

Krakowska Szkoła Wyższa
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Lucjan Kocik

WZORY MAŁŻEŃSTWA I RODZINY

Od tradycyjnej jednorodności
do współczesnych skrajności

Kraków 2002

Rada Wydawnicza: Klemens Budzowski, Andrzej Kapiszewski,
Jacek Majchrowski, Zbigniew Maciąg

Recenzja: dr hab Tadeusz Paleczny

Opracowanie Redakcyjne: Małgorzata Hertmanowicz Brzoza

Copyright by Krakowskie Towarzystwo Edukacyjne Sp. z o.o.

ISBN 83-916758-1-5



Na zlecenie Krakowskiej Szkoły Wyższej
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Wydawca: Krakowskie Towarzystwo Edukacyjne Sp. z o.o.

Druk: Drukarnia Multipol II
ul. Obrońców Modlina 1C
30-833 Kraków
tel: (12) 653 05 92, 653 18 92
fax: (12) 653 23 58

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
I PODSTAWOWE POJĘCIA I UJĘCIA RODZINY	13
1. Deformacje potocznych ujęć i stereotypowych generalizacji	13
2. Różnorodność form życia małżeńsko-rodzinnego	19
3. Socjologiczne ujęcia rodziny	23
II RODZINA W HISTORII MYŚLI SPOŁECZNEJ ORAZ TEORIACH SOCJOLOGICZNYCH	29
1. Uwagi wstępne	29
2. Starożytność i chrześcijaństwo	30
3. Próby tworzenia niezależnych teorii i pierwsze badania	39
4. Spór o bezład płciowy, kazirodztwo oraz ewolucję rodziny	43
5. Wybrane współczesne teorie i koncepcje	50
5.1. Teorie społeczno-kulturowe	50
5.2. Teorie rodziny nuklearnej i autonomizacji jednostki w rodzinie	54
5.3. Koncepcja zmodyfikowanej rodziny rozszerzonej	63
III RODZINA JAKO INSTYTUCJA SPOŁECZNA	67
1. Pojęcie instytucji społecznej	67
2. Instytucjonalne cechy małżeństwa i rodziny	69
3. Ideologiczne afirmacje i deformacje instytucjonalnego charakteru rodziny	72
3.1. Genealogiczna „ułamność” i „podrzędność” kobiety	73
3.2. Pozycja kobiety i podział obowiązków w rodzinie	80
4. Historyczna rola instytucji rodziny w Polsce	83
5. Funkcje i struktura rodziny jako instytucji	90
IV FUNKCJA SEKSUALNA	95
1. Ludzki wymiar identyfikacji płciowej i zachowań seksualnych	95
2. Społeczno-kulturowy charakter aktywności seksualnej człowieka	100
3. Osobowościowy wymiar aktywności seksualnej	103
4. Integracja kreatywnych cech seksualności w małżeństwie	109
5. „Zinstytucjonalizowane” działania seksualne – „obowiązek małżeński” w świetle wyników badań empirycznych	113
6. Ambiwalencja zbiorowych wyobrażeń i postaw wobec seksualności	122

V	FUNKCJA PROKREACYJNA	137
	1. Różne oblicza i wymiary prokreacji	137
	2. Między ideologią macierzyństwa a realiami dzieciństwa	139
	3. Prokreacja w cieniu „cywilizacji śmierci”	148
	3.1. Dzieciobójstwo i plodobójstwo – odwiecznie aktualny problem	155
	3.2. Problem aborcji w naszym kraju	161
	4. Sytuacja prokreacyjna Polski	163
	5. Kształtowanie się antyprokreacyjnych postaw i wzorów – ideologia „Dinks”	167
	6. Prokreacja w teoriach i polityce społecznej	177
	6.1. Teorie maltuzjańskie i neomaltuzjańskie	179
	6.2. Teoria równowagi ludnościowej	180
	6.3. Teoria drugiego przejścia demograficznego	181
	6.4. Prokreacja w teoriach ekonomicznych rodziny	186
VI	FUNKCJA OPIEKUŃCZO-ALIMENTACYJNA	193
	1. Problemy definicyjne i operacjonalizacyjne	193
	2. Alimentacja oraz jej kulturowe i socjotechniczne znaczenie	199
	3. Funkcjonowanie rodziny a zdrowie	202
	4. Zabezpieczenie własnej „prywatnej” przestrzeni życiowej w rodzinie	207
VII	FUNKCJA OKREŚLONOŚCI GENEALOGICZNEJ ORAZ STRATYFIKACJI SPOŁECZNEJ	213
VIII	FUNKCJA SOCJALIZACYJNA. RODZINNO-ŚRODOWISKOWE PODŁOŻE ŁADU SPOŁECZNEGO	215
	1. Człowiek jako istota społeczna	215
	2. Pojęcie socjalizacji	218
	3. Rodzina i społeczność lokalna jako pierwotne i podstawowe środowiska socjalizacji	221
	4. Socjalizacja a zasady i normy ładu społecznego	228
	5. Ideologiczne afirmacje i deformacje ładu społecznego	235
IX	RODZINA JAKO GRUPA, SYSTEM I MIKROŚWIAT SPOŁECZNY	239
	1. Funkcje rodziny zorientowane wewnątrznie	239
	2. Rodzina jako grupa społeczna	239
	3. Rodzina jako system społeczny	243
	4. Rodzina jako uniwersalny mikroświat człowieka	254

X	ZAGROŻENIA DOTYCHCZASOWEGO WZORU MAŁŻEŃSTWA I RODZINY	265
	1. Liberalizacja instytucjonalnych zabezpieczeń trwałości małżeństwa	265
	2. Dominujące przyczyny i uwarunkowania rozwodów	270
	2.1. Niewierność	271
	2.2. Niezgodność charakterów – blahe przyczyny rozwodów	277
	2.3. Patologia więzi rodzinnych	282
	3. Upowszechnianie się niezalegalizowanych związków	288
	4. Samotność zamiast rodziny	296
	4.1. Socjologiczne tło zjawiska	296
	4.2. Samotnicza wolność w miejsce małżeńskiego jarzma	300
	4.3. Skala oraz skutki zjawiska	304
	4.4. Cywilizacyjne okaleczenia więzi społecznych i ról rodzinnych	306
XI	HYBRYDYZACJA I NEUTRALIZACJA ETYCZNA ZWIĄZKÓW MAŁŻEŃSKO-RODZINNYCH	315
	1. Globalizacja, ponowoczesność oraz poczucie zagrożenia jako socjologiczne tło zjawiska	315
	2. Rodzina w nurcie kolejnych „fal cywilizacyjnych”	320
	3. Globalny charakter przemian rodziny	328
	4. Zanikanie określoności i różnicowanie się celów życia małżeńsko-rodzinnego	332
	5. Dręczące pytania i upiorne wizje	339
	6. Aksjologiczna i teleologiczna neutralizacja dotychczasowego wymiaru człowieka i rodziny	346
	LITERATURA	357
	NOTATKI	364

WSTĘP

Chyba najbardziej swoistą i podstawową cechą rodziny jest to, że istnieje ona od zarania dziejów ludzkości jako rzeczywistość społeczna trwała i zmienna zarazem. Ta najstarsza i najważniejsza instytucja społeczna z jednej strony podlega zmianom zachodzącym w całokształcie życia społecznego, z drugiej jednak hamuje i ogranicza żywiołowość tych zmian oraz ich tempo i zakres. Stanowi więc najbardziej stabilny i stabilizujący czynnik struktury świata społecznego na przestrzeni dziejów. W tym przede wszystkim wyraża się podmiotowość i fundamentalne znaczenie rodziny dla życia człowieka i funkcjonowania całego społeczeństwa. **Jest ona bowiem warunkiem istnienia ładu społecznego oraz tożsamości i określoności genealogicznej jednostki. Bez rodziny nie może istnieć społeczeństwo w dotychczasowym jego rozumieniu.**

Wyraz temu daje coraz liczniejsza grupa najpoważniejszych filozofów społecznych z różnych krajów i reprezentujących rozmaite orientacje. Leszek Kołakowski wprost stwierdza: „wolno podejrzewać, że monogamia jest wynalazkiem dobrym i wartościowym, niezależnie od tego, jak naprawdę funkcjonuje w czysto seksualnych sprawach, i że sukcesy intelektualne, artystyczne i techniczne Europy mają monogamię za jeden z filarów” (Kołakowski 2000).

Tymczasem poziom kryzysu rodziny w krajach wysoko rozwiniętych osiągnął już takie rozmiary, że podnoszą się tam głosy propagujące odnowienie i ochronę tej podstawowej instytucji, aby tym samym zapobiec dezorganizacji życia społecznego. W Stanach Zjednoczonych rozwijają się radykalne ruchy religijne, nawiązujące do starych rodzinnych tradycji i ograniczające skutki rewolucji seksualnej. Obok wielkomiejskiego chaosu i relatywizmu aksjologicznego działa coraz liczniejsza rzesza ludzi odwołujących się do podstawowych wartości.

Trwałą i odpowiednio funkcjonującą rodzinę uważa się za istotny czynnik ładu i porządku społecznego, tak w wymiarze codziennego życia jednostek, jak i przyszłych losów grup etnicznych całych narodów oraz społeczeństwa w ogóle.

Trzeba sobie uzmysłwić, że przez całe wieki małżeństwo i rodzina wypełniały zadania znacznie szersze niż te, które się im dzisiaj przypisuje. Życie poza małżeństwem i rodziną oznaczało życie na marginesie spo-

łeczności. Rodzina była małym zakładem produkcyjnym – warsztatem rzemieślniczym lub gospodarstwem rolnym. Pełniła więc istotną i podstawową funkcję gospodarczą, zapewniając swoim członkom utrzymanie. Pełniła także funkcję ochronną w sytuacji, gdy nie istniał jeszcze system rent i emerytur czy jakichkolwiek innych ubezpieczeń społecznych. Ludzie nie wyobrażali sobie życia bez małżeństwa i rodziny. Liczne potomstwo nie tylko nadawało rodzicom sens życia, ale także budziło nadzieję na lepszą egzystencję materialną; stanowiło tanią siłę roboczą, zapewniało bezpieczną starość, umożliwiało przedłużenie rodu (zob. Knotz 2001: 41).

Pomimo że rodzina utraciła obecnie wiele cech uniwersalnej instytucji, to jednak jej znaczenie jest nadal bardzo duże, a w warunkach kryzysowych zawsze następuje powrót do wielu dawnych, tradycyjnych form jej funkcjonowania.

Ze względu na swoje uniwersalne znaczenie w życiu społecznym, całkowity jej zanik jako instytucji nie wydaje się możliwy. We wszystkich bowiem krajach mamy obecnie do czynienia z wysiłkami legislacyjnymi dopasowującymi instytucjonalny kształt rodziny do wymogów związanych z przemianami społecznymi. Rodzina z racji swojej dwoistej natury, to znaczy z powodu faktu, że jest zarówno instytucją, jak i grupą społeczną, stanowi też niezwykle inspirujący obszar badań, ciągle penetrowany i stale aktualny badawczo. Dzieje się tak dlatego, że po prostu funkcjonuje w zmieniającym się społeczeństwie i zmienia się razem z nim. Wydaje się więc, że tak długo, jak długo będziemy mówić o człowieku jako istocie rodzinnej – „*homo familiaris*”, samej rodzinie nie grozi całkowity zanik cech instytucjonalnych, a tym bardziej grupowych. Pozostanie więc nadal najważniejszym i podmiotowym elementem struktury świata społecznego.

Analiza problematyki życia małżeńsko-rodzinnego w szybko zmieniającym się świecie nie jest łatwa. Wynika to z faktu, że musi ona obejmować dwie istotne płaszczyzny dotyczące tego życia:

- 1) Analizę materiału opisowo-badawczego obejmującego konkretne zachowania się małżonków oraz członków rodzin w skali masowej. Analiza ta musi mieć charakter wyjaśniający, przyczynowo-skutkowy i opierać się na wielu aktualnych opracowaniach badawczych o różnym pułapie ogólności.

2) Analizę istniejących dociekań teoretyczno-analitycznych, określających rolę rodziny w strukturze świata społecznego, wyjaśniających ogólne mechanizmy jej przemian oraz zawierających predyktywne, futurologiczne wizje społecznych skutków jej przekształceń czy wręcz zaniku w dotychczas znanej nam formie.

I w tym zakresie nieocenione są spostrzeżenia i uogólnienia wielu cytowanych autorów zajmujących się współczesną rzeczywistością społeczną. Analiza ich tekstów doprowadza do wniosku, że właściwie nie można zupełnie samodzielnie napisać socjologii rodziny, jeśli ma ona nie przypominać średniowiecznych traktatów.

Wiedza o tak skomplikowanym, zróżnicowanym, intymnym i zarazem społecznym problemie nie może pochodzić od jednej osoby, choćby najbardziej doświadczonej. Zagadnienia związane z funkcjonowaniem rodziny są też obciążone ogromnym subiektywizmem (z tego m.in. wynikają zarówno liczne uroki, jak i nieszczęścia życia małżeńsko-rodzinnego). Opracowanie dotyczące socjologii rodziny musi więc zawierać pewną „uogólnioną mądrość” i ogólną znajomość realiów życia codziennego w tym zakresie, czyli w znacznej mierze stanowić przegląd i syntezę dotychczasowego dorobku różnych dyscyplin zajmujących się rodziną.

Praca ta pisana jest z myślą o tych przede wszystkim, którzy zamierzają rozwijać swoje naukowe zainteresowanie rodziną oraz bliżej poznać społeczne uwarunkowania zasad jej funkcjonowania i przemian. **Książka ta powinna służyć przede wszystkim czytelnikom, którzy nie posiadają specjalistycznego socjologicznego przygotowania. Dlatego posiada ona charakter odtwórczy, przetwórczy, sprawozdawczy, reinterpretacyjny i konfrontacyjny.**

Oczywiście, każdy z tych przymiotników świadczy, że nie jest to „dzieło odkrywcze”. Dążenia autora zmierzały bowiem przede wszystkim w tym kierunku, by było ono potrzebne i pożyteczne, a więc, żeby praca realizowała określone cele poznawcze, dydaktyczne i socjotechniczne. Powyższe cele znalazły swój wyraz w tym, że opracowanie:

- 1) Aktualizuje i syntetyzuje spojrzenie na rodzinę w kontekście przemian społecznych zachodzących we współczesnym świecie oraz ukazuje ogólne zasady socjologicznej analizy rzeczywistości społecznej.
- 2) Ukazuje socjologiczne i antropologiczne „ścieżki interpretacyjne” współczesnych przemian rodziny oraz związanych z tymi przemianami

zjawisk budzących niepokój społeczny. Prezentuje również historię norm i obyczajów małżeńsko-rodziny, które funkcjonowały w społecznych przekonaniach i „mądrości ludowej”.

- 3) Konfrontuje przy pomocy odpowiednio dobranych egzemplifikacji różne koncepcje i stanowiska dotyczące istoty, zakresu i różnorodności przemian rodziny.
- 4) Prezentuje szeroki i łatwo dostępny wybór literatury przedmiotu oraz publicystyki socjologicznej związanej z problematyką rodziny.
- 5) Ukazuje znaczenie rodziny jako podstawowego i podmiotowego elementu struktury świata społecznego.

Praca stara się więc uwzględnić skutki określonego typu funkcjonowania małżeństwa i rodziny tak w sferze makrostrukturalnej jak i mikrostrukturalnej. Dotyczy to właściwie analizy każdej cechy i funkcji rodziny.

Zarówno cele tej publikacji, jak i jej koncepcja oraz układ tematyczny zostały wypracowane w trakcie wieloletnich zajęć z socjologii rodziny oraz dyskusji nad realizacją prac magisterskich poświęconych rodzinie na dziennych i zaocznych studiach socjologicznych.

W tym kontekście z wdzięcznością muszę wspomnieć studentów, którzy przygotowali prace magisterskie oparte na materiale wykorzystanym w tej książce, mgr Teresę Jaszczyńską (2000) oraz mgr. Jarosława Żywno (1997).

Wdzięczny też jestem wszystkim studentom, którzy gromadzili dla mnie publicystykę socjologiczną poświęconą rodzinie, w szczególności zaś Katarzynie Buczek i Magdalenie Buczek.

Wspomniana publicystyka odegrała w przygotowaniu niniejszej pracy bardzo poważną rolę. Często były to znakomite, z socjologicznego punktu widzenia, opracowania kwestii wziętych prosto z życia małżeńsko-rodziny i chociaż nieraz grzeszyły jednostronnością spojrzenia, stanowiły zawsze cenne przykłady ilustrujące omawianą w pracy problematykę. Zwykle przytaczane są w dosłownym brzmieniu, by zachować ducha i styl wypowiedzi, nie pozbawiony często publicystycznej pikanterii. To samo odnosi się również do wielu trudno dostępnych już dziś i mało znanych naukowych opracowań dotyczących rodziny. Wspomniane przykłady i cytaty ułatwić mają odbiorcy własną refleksję nad analizowanymi w pracy problemami.

Nie jest to więc opracowanie, z którego można „wkuwać”, prawie nie zawiera definicji do zapamiętania. Ma ono przede wszystkim rozwinąć umiejętność socjologicznego spojrzenia na sprawy związane z funkcjonowaniem rodziny w społeczeństwie oraz ułatwić ich zrozumienie.

L.K.

I PODSTAWOWE POJĘCIA I UJĘCIA RODZINY

1. Deformacje potocznych ujęć i stereotypowych generalizacji

Rodzina jako forma społecznego życia istnieje od najdawniejszych czasów w każdym typie społeczeństwa. Jest ona grupą określoną przez trwałe i zalegalizowane życie seksualne dwojga ludzi, służące prokreacji. Role małżonków i członków rodziny są określone nie tylko przez siły wewnętrzne, do których należą osobiste potrzeby człowieka, jego dążenia, popędy, miłość, przywiązanie itp., ale także przez zewnętrzną kontrolę, a więc prawo, obyczaje, tradycję, nakazy czy normy religijne społeczeństwa, w którym rodzina funkcjonuje.

Zainteresowanie i zaniepokojenie problemami małżeństwa i rodziny jest obecnie tak żywe i powszechne, jakby tę – starą jak ludzkość – instytucję odkryto dopiero w naszych czasach. Dążenie do wszechstronnego poznania problemów rodziny jest też wynikiem pojawienia się nowych, nieznanych dotąd zjawisk, a wśród nich również wielu takich, które zagrażają dotychczasowym formom jej funkcjonowania. To dzięki ich negatywnym skutkom zaczynamy coraz lepiej uświadamiać sobie, że podstawowe środowisko życia jednostki stanowi rodzina i że w zależności od tego, jaka ona jest i będzie zależy ukształtowanie jednostek i całego społeczeństwa.

Rodzina zawiera w sobie wymiar historyczny. Jej kształt i struktura podlegają zmianie. Zmienia się ona tak, jak zmienia się kultura i jak zmienia się społeczeństwo. Można żałować tradycyjnego modelu rodziny, statycznego i stabilizującego życie jej członków, uświęconego siłą tradycji, lecz trzeba zdać sobie sprawę, że będzie to żal daremny. Dziś rodzina wygląda inaczej i nie wrócą już dawne czasy.

Od przełomu ustrojowego z 1989 r. Polska w coraz większym stopniu uczestniczy w przemianach społecznych charakterystycznych dla Zachodu. Otwarcie się kraju na świat spowodowało wzmocnienie tendencji globalizacyjnych dominującej obecnie kultury Zachodu. Wraz z wieloma pozytywnymi i funkcjonalnymi wzorcami napływa też do nas wiele wzorów patologicznych i problemów powodujących narastanie różnych przejawów kryzysu rodziny. Przejmowanie zachodnich wzorców kulturowych może doprowadzić do dalszego rozwoju tego zjawiska.

Dokonujący się za pośrednictwem środków masowego przekazu kontakt z obcymi kulturowo wzorcami oraz informacje o całkowicie obcych lokalnym stereotypom formach życia małżeńsko-rodzinnego budzą niepokój o przyszłość rodziny w ogóle i – w odczuciu wielu – stawiają pod znakiem zapytania sam rozwój ludzkości. Na te obawy nakładają się jeszcze numerologiczne przesady związane z przełomem tysiącleci, co powoduje, że poczucie zagrożenia rodziny występuje w świadomości wielu zarówno prostych, jak i wykształconych ludzi jako realny bądź potencjalny problem społeczny. Szybkość, z którą do poszczególnych polskich rodzin docierają ze świata „złe wieści” potęguje te obawy. Również potoczne, codzienne doświadczenia coraz częściej wskazują na niewydolność socjalizacyjno-wychowawczą rodziny. Przesłanki nieletnich, zanik najpewniejszych, nienaruszalnych dawniej wartości, erotyzacja reklamy i kultury masowej, nagłaśnianie poglądów ludzi o odmiennych orientacjach seksualnych, rozpad małżeństw i wiele innych negatywnych zjawisk powodują narastanie poczucia zagrożenia stawiającego pod znakiem zapytania przyszły kształt i sposób funkcjonowania rodziny, a wraz z tym i możliwość utrzymania dotychczasowego ładu społecznego. Właściwie główny problem społeczny poczucia zagrożenia rodziny przełomu wieku XX i XXI wyrasta w większości z takich potocznych doświadczeń społecznych oraz powstających na ich gruncie stereotypów (Jaszczyńska 2000).

Świat społeczny jest bowiem zbyt złożony, różnorodny i skomplikowany, by można go było utrwalić w całości w naszej świadomości. Wynika stąd konieczność poddania zachodzących w nim zjawisk daleko idącej typizacji i uproszczeniu (zob. Kapiszewski 1977: 12 i n.).

Owa typizacja i uproszczenia pozwalają całkowicie ograniczyć wysiłek intelektualny podejmowany podczas percepcji rzeczywistości, dając gotowy obraz kanalizujący ową percepcję, przy czym definiowanie faktu wyprzedza doświadczenie. **Takie gotowe schematy, zwalniające nas od pogłębionej refleksji, nazywamy stereotypami** (zob. Shaff 1981).

Stereotyp to po prostu skrótowy, uproszczony i zabarwiony wartościująco obraz rzeczywistości odnoszącej się do rzeczy, osób, grup społecznych, instytucji itp. Stereotypy są rozpowszechnionymi formami myślenia irracjonalnego, broniącego dotychczasowej praktyki danej grupy społecznej lub instytucji. Ogólnie można stwierdzić, że zawierają one uogólnienia niepoprawne, nie odzwierciedlające prawidłowo rzeczywistości.

Stereotypy pełnią jednak w społeczeństwie wiele różnorodnych funkcji. Do najważniejszych, wymienianych w literaturze przedmiotu zaliczyć można następujące (zob. Mądrycki 1986):

- 1) Funkcję poznawczą. Polega ona na selektywnym oraz izolowanym odbiorze informacji, które czynią świat społeczny mniej skomplikowanym i łatwiejszym do „lepszego” zrozumienia. Dostrzega się więc to, co chce się widzieć, bez kontekstu społecznego i uwarunkowań, i z tego wyprowadza się poczucie zagrożenia lub afirmacji własnej sytuacji społecznej. Poetycko, ironicznie, lecz niezwykle trafnie scharakteryzował taką kategorię ludzi Julian Tuwim w wierszu „Mieszkańcy”:

„I oto idą, zapięci szczerze,
 Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
 A patrząc – widzą wszystko oddzielnie:
 Że dom.... że Staszek...., że koń...., że drzewo....,
 [...]
 I znowu mówią, że Ford...., że kino....,
 Że Bóg...., że Rosja...., radio, sport, wojna....,
 Warstwami rośnie brednia potworna
 I w dżungli zdarzeń widmami płyną”.

- 2) Funkcję przystosowawczą. Stereotyp, dostarczając prostych obrazów rzeczywistości, daje prostą odpowiedź jak zachowywać się w kontaktach z innymi osobami czy grupami, które wzory życia należy akceptować, a które odrzucać czy wręcz potępiać.
- 3) Funkcję umocnienia wartości grupowych. Zabezpiecza to członków własnej grupy przed przyjmowaniem wartości innych grup. Tutaj szczególnie ważną rolę odgrywają stereotypy ukształtowane w rodzinach pochodzenia oraz innych grupach odniesienia pozytywnego.
- 4) Funkcję ukierunkowującą agresję i usprawiedliwiającą atak na innych. Dotyczy to w naszym kraju np. nosicieli wirusa HIV, którym nie pozwala się zakładać schronisk w pobliżu osad ludzkich, a także często spotykanej agresji wobec „panienek na drodze”, potocznie zwanych też „tirówkami”.
- 5) Funkcję przewidywania ludzkich zachowań oraz zaklasyfikowywania osób, których nie zna się osobiście. Wystarczy tutaj wspomnieć np. obejmujące bardzo szeroki zakres cech stereotypy narodowościowe. Np. stereotyp Francuza jako niewiernego męża lecz idealnego kochanka czy negatywne stereotypy Arabów i Murzynów jako małżonków.

Dotychczasowe rozważania pozwalają udzielić szerszej odpowiedzi na pytanie, po co w ogóle tworzyć socjologię rodziny jako naukę i po co ją studiować, skoro każdy prawie człowiek zna życie rodzinne, bo do jakiejś rodziny należał i należy, dzieli jej losy i w jakiś sposób przeżywa nurtując ją problemy. I jest to prawda, co więcej, sytuacja ta sprawia, że każdy na swój sposób i na własny użytek jest w jakimś sensie socjologiem rodziny. Nawet bezżenne siostry zakonne i żyjący w celibacie duchowni zajmują się problemami życia małżeńsko-rodzinnego oraz wychowania dzieci. Wszyscy szeroko też wykorzystujemy obserwację zachowań i zależności społecznych zachodzących w rodzinach, tworzymy generalizacje (uogólnienia) tłumaczące istotę życia rodzinnego oraz formułujemy praktyczne, socjotechniczne wnioski. Postępowanie takie można by określić mianem techniki „zdrowego rozsądku” lub „praktyczną socjologią”.

Nasze potoczne wyobrażenia o życiu społecznym złożone są bowiem z treści przekazywanych w procesie socjalizacji, z wiedzy o zależnościach ustalonych doświadczeniem, o stałym następstwie faktów, czasem z urojeń, czasem z przekonań lub życzeń, aby sprawy tak się właśnie miały, jak to sobie wyobrażamy itp.

Te przekonania i wyobrażenia są często zespołami stereotypów wyznaczającymi nasze reakcje na sytuacje społeczne i umożliwiającymi nam funkcjonowanie w kulturze, w której wyrosliśmy. Wyobrażenia potoczne wystarczają nam wszędzie, gdzie nie posiadamy odpowiedniej wiedzy naukowej, tłumaczą to wszystko o życiu i świecie, co jeszcze nie zostało w pełni wyjaśnione a co trzeba „zrozumieć” aby żyć. Ta praktyczna czy zdroworozsądkowa socjologia nadal jest stosowana powszechnie przez każdego z nas. Ludzie tworzą uogólnienia na temat cech charakteru poszczególnych narodów, dlatego, że byli jakiś czas za granicą, bądź że stykali się z obywatelami innych państw.

Według takich uogólnień np. każdy Włoch to wspaniały tenor, każdy Francuz to idealny kochanek, każdy Niemiec to człowiek pozbawiony poczucia humoru, a każdy Amerykanin to biznesmen. Podobne uogólnienia tworzymy w odniesieniu do innych kultur, wyznań czy okolic. Stąd wynika często zła sława określonych miast i wsi czy przysiółków.

Choć ta potoczna wiedza nam wystarcza, chociaż w mniejszym lub większym stopniu określa nasze zachowanie, to wcale nie musi być prawdziwa. Nie zawsze bowiem to, co jest dla nas rzeczywistością i truizmem, bywa prawdą.

Dla przykładu zastanówmy się teraz, czy moglibyśmy bez wahania, opierając się na „zdroworozsądkowej” socjologii odpowiedzieć na następujące pytania (zob. Chałubiński, Trybusiewicz 1976):

- Czy ten, który w dzieciństwie był bity, będzie karał swoje dzieci bardziej czy mniej surowo? (na ogół bardziej surowo)
- Czy istnieją takie ludy, które kontaktu seksualnego żony z innym mężczyzną nie uważają za zdradę? (istnieją)
- Czy to prawda, że w krajach katolickich rodzi się mniej dzieci nieślubnych niż w niekatolickich? (nieprawda)
- Czy to prawda, że żonaci żyją dłużej? (prawda)
- Z kim w Polsce lepiej układają się stosunki młodym małżeństwom – z rodzicami żony czy rodzicami męża? (z rodzicami żony).

Nikt nie neguje praktycznej użyteczności potocznej wiedzy o ludziach w niewielkiej skali, nie jest to jednakże wiedza o społeczeństwie, bo dotyczy tylko wybranych przez nas cech pewnego, wyraźnie ograniczonego środowiska.

Życie rodzinne stanowi prawdopodobnie tę sferę rzeczywistości społecznej, do której odnosi się najwięcej potocznych generalizacji wyjaśniających wszystkie niemal aspekty i tajemnice tego życia.

Dla ilustracji wróćmy do pytania, czy żonaci żyją dłużej. Badania socjologiczne wykazują, na przekór mądrości ludowej – „małżeństwo-męczeństwo” – że nie tylko żyją dłużej, ale są psychicznie zdrowsi (tamże: 222). Socjologia potoczna tłumaczy to przysłowiowym wyjaśnieniem, że „samotnemu wszędzie źle, a żonatemu tylko przy żonie”.

Taka zawarta w przysłowiach mądrość w sposób często dosadny, niezadko figlarnie dwuznaczny sugeruje, że rodzina to twór niedoskonały, ale lepszego nie da się wymyślić. Oto garść przykładów: „W małżeństwie raj i piekło”, „Kto chce żyć spokojnie w małżeństwie, niechaj się nie żeni”, „W muzyce małżeńskiej byle się oboje zgadzały, to mniejsza o inne instrumenty”, „Małżeństwo, gdzie się go miłość wyrzekła, jest największym nieszczęściem, jest obrazem piekła”, „Żonaty żyje jak dziad, a umiera jak król, samotny żyje jak król, a umiera jak dziad”, „Kto przed ślubem na oczy szeroko nie patrzy, musi po ślubie trzymać je przymknięte” itp.

I chociaż codzienna praktyka społeczna opiera się często na takiej socjologii potocznej, to jednak wcale nie oznacza, że uogólnienia nasze są słuszne. W. I. Thomas i F. Znaniecki w swoim słynnym dziele o chłopie

polskim wskazali na trzy zasadnicze błędy tej socjologii (Thomas, Znaniecki 1976: 43 i n.).

Pierwszy błąd polega na domniemaniu, że znamy rzeczywistość społeczną, ponieważ w niej żyjemy. Przypomina to pogląd, według którego znamy świat fizyczny, ponieważ żyjemy i działamy w nim, obserwujemy go i widzimy główne zależności w jego funkcjonowaniu – a więc, że słońce wędruje wokół ziemi, że powietrze nic nie waży, a zmęczenie to po prostu brak tchu.

Drugi błąd polega na tym, że nasze obserwacje, rejestracja faktów oraz uogólnienia mają bezpośredni związek z praktycznymi celami, nie są bezinteresowne, a w tej sytuacji to, co przez nas samych jest pożądane lub nie, brane jest za podstawę przy tworzeniu uogólnień i rozważaniu teoretycznych zagadnień. Dlatego gorliwy katolik będzie raczej skłonny twierdzić, że w społeczeństwach katolickich jest najmniejszy odsetek dzieci nieślubnych, zięć żyjący w konflikcie z teściową będzie widział przede wszystkim przypadki potwierdzające jego tezę o konfliktowości teściowych, zazdrosny mąż będzie wszędzie dostrzegał podrywaczy i konkurentów, itp.

Trzecim błędem jest milcząco przyjmowanie założenie, że interesującą nas grupę faktów można rozważać teoretycznie i praktycznie w izolacji od reszty życia danego społeczeństwa. Tak np. prawnik skłonny będzie upatrywać źródeł przestępczości w niedostatkach prawa, prokurator – w zbyt niskim wymiarze kary, duchowny – w narastającej bezbożności, nauczyciel – w niewydolności wychowawczej rodziny, rodzice – w niewydolności wychowawczej szkoły, a wszyscy razem i każdy z osobna w złym przykładzie płynącym z otoczenia.

Widzimy więc, że socjologia zdrowego rozsądku, potocznych doświadczeń czy po prostu praktyczna nie wystarcza dla rozwinięcia naukowych dociekań, tzn. dla prowadzenia badań zgodnie z regułami metodologii naukowej i do stworzenia logicznie poprawnej teorii wyjaśniającej zjawiska i procesy zachodzące w życiu zbiorowym.

Podkreślić jednak należy, że wpływ socjologii zdrowego rozsądku w odniesieniu do rodziny był potężny, a wspomagany systemami: religijnym, obyczajowo-moralnym i prawnym, które na swój sposób organizowały oraz interpretowały życie społeczne, spowodował, że dopiero pod koniec XIX w. pojawiły się przesłanki rozwoju socjologii rodziny.

Trzeba jednak w tym miejscu podkreślić, że w licznych potocznych spostrzeżeniach i uogólnieniach na temat rodziny uderza z jednej strony kumulacja doświadczeń wielu pokoleń oraz często głęboka, psychologiczna treść, z drugiej jednak daleko posunięta stereotypowość nie uwzględniająca miejsca dla historycznej i kulturowej różnorodności. Tymczasem małżeństwo i rodzina pozostają sobą mimo najróżnorodniejszych swoich kształtów i wnętrza.

2. Różnorodność form życia małżeńsko-rodzinnego

Rodzinę jako uniwersalną rzeczywistość społeczną cechuje znaczne różnicowanie form oraz układów małżeńsko-rodzinnych. W tym zróżnicowaniu najpowszechniejszymi formami są monogamia i poligamia.

Monogamia (z gr. *monos* – pojedynczy, *gamos* – małżeństwo), to względnie trwały związek jednego mężczyzny z jedną kobietą. Monogamia była i jest dominującą oraz najbardziej rozpowszechnioną formą małżeństwa.

Jak podkreśla Cz. Znamierowski (1958: 20), tak już jest zbudowane ciało człowieka, że akt płciowy jest sprawą dla dwojga. Stąd też trwałe współżycie dwojga ludzi odpowiada najbardziej warunkom organicznym człowieka. W zbiorowościach ludzkich małżeństwo monogamiczne jest najbardziej upowszechnione, zarówno na najniższym, jak i na najwyższym poziomie rozwoju. I nawet tam, gdzie na pierwszy rzut oka grupa małżeńska ma inną strukturę, w istocie rzeczy w praktyce życiowej zbliża się ona mniej lub bardziej do monogamicznej, mimo bowiem wszelkich komplikacji jakie stwarza zwyczaj, obcowanie płciowe jest aktem dwojga (tamże: 21).

We współczesnych społeczeństwach z powodu nasilającej się liczby rozwodów oraz powtórnych małżeństw zaczyna panować sytuacja, którą określa się jako **monogamię seryjną** lub też **sukcesywną poligamię**.

Poligamia (gr. *polys* – liczny, duży) oznacza wielość osób w związku małżeńskim, lecz w znaczeniu dosłownym termin ten nie mówi nam nic o strukturze tego związku pod względem płci. Dlatego w poligamii wyróżniamy **poligamię** (gr. *gynē* – kobieta, por. ginekolog) i **poliandrię** (gr. *andros* – mężczyzna).

Poligynia, czyli małżeństwo jednego mężczyzny z dwiema lub więcej kobietami stanowi cechę wyróżniającą formalnie rodziny muzułmańskie.

Zwykle wymaga ona jednak od mężczyzny zamożności oraz wysokiego statusu społecznego, dlatego praktykują ją tylko nieliczni członkowie społeczeństw, które ten typ małżeństwa dopuszczają. Koran zezwala mężczyznom żenić się aż czterokrotnie, aczkolwiek jako zasadę uznaje monogamię. Wielonożność – zgodnie z duchem Koranu – zostało dopuszczone celem położenia kresu utrzymującemu się od wieków nieładowi społecznemu i moralnemu. Chodziło więc o uporządkowanie sytuacji moralno-obyczajowej, a było to wówczas jedynie możliwe na drodze legalizacji istniejącego stanu faktycznego. Trzeba było czekać aż do początków wieku XX, aby można było dowieść, że monogamia jest także możliwym sposobem „uporządkowania sytuacji moralno-obyczajowej” (za: Adamski 1982: 95).

Poligynia powszechna była również w starożytnym Izraelu. Harem Salomona miał liczyć około siedmuset żon legalnych i trzystu konkubin, o czym znajdujemy wzmiankę w Pierwszej Księdze Królewskiej (11.3). Obowiązywało też prawo lewiratu, nakazujące związek bezdzietnej wdowy z bratem zmarłego męża.

Mocą tego prawa, jeżeli mąż umarł, nie pozostawiając syna, brat jego miał obowiązek pojąć żonę zmarłego, a pierwszy potomek męski, zrodzony z takiego małżeństwa, był uważany za syna zmarłego wcześniej męża.

Z tej sytuacji wywodzi się sprawa Onana, od którego imienia pochodzi powszechne w świecie określenie samozaspokojenia seksualnego.

A Her, pierworodny Judy, był zły przed oblicznością Pana, i został od niego zabity. Rzekł tedy Juda do Onana, syna swego: „Wnijdź do żony brata twego i złącz się z nią, abyś wzbudził potomstwo bratu twemu”. On wiedząc, że się nie jemu synowie rodzić mieli, gdy wchodził do żony brata swego, wypuszczał nasienie na ziemię, aby się dzieci imieniem brata jego nie rodziły. I z tej przyczyny zabił go Pan, bo czynił rzecz obrzydliwą” (Rodz. 38.4. wg Wujka).

Religijna interpretacja tego faktu jest znacznie szersza niż potoczne rozumienie samego pojęcia. Oto co pisze na ten temat A. D’Ascanio, 2000: 14 in.): „Onan nie myślał z pewnością, że poniesie tak surową karę; przecież właściwie nikomu nie wyrządził krzywdy i miał nawet dobre wytłumaczenie: kto chciałby dać życie dziecku, które i tak nie zostałoby uznane za jego własne? Prawdę mówiąc, Pan, godząc w Onana, nie zamierzał bronić prawa lewiratu ustanowionego przez człowieka, lecz bronił pierwszego i jedyne prawa Bożego, jakie On sam dał ludziom w momencie stworzenia:

[...] Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną, abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi (Rodz 1,27-28).

Poliandria (czyli małżeństwo jednej kobiety z dwoma lub więcej mężczyznami) jest o wiele rzadszą formą poligamii. Spotyka się ją tam, gdzie kobiet jest mało wskutek tego, że się zabija noworodki płci żeńskiej oraz gdzie warunki życia są tak trudne, że jeden mąż nie może zapewnić egzystencji żony. Wydaje się więc, że poliandria jest surogatem małżeństwa, który powstał pod naciskiem konieczności i łatwo ustępuje miejsca monogamii, jeśli w danej zbiorowości liczba kobiet się zwiększy lub poprawią się warunki gospodarcze. Zresztą w małżeństwie poliandrycznym układa się często tak, że wspólna żona kolejno przechodzi na krótkie okresy od jednego męża do drugiego, żyjąc kolejno z każdym z nich. W ten sposób współżycie poliandryczne rozkłada się na cykl okresów monogamicznych. Bywa też, że poliandryczni współmężowie jednej żony są rodzonymi braćmi i że gospodarują na jednym kawałku ziemi (za: Znamierowski 1958: 22).

Poliandria występowała również przed upowszechnieniem się islamu w świecie arabskim – bogate kobiety zawierały tam związki małżeńskie z wieloma mężczyznami. Uprawniał je do tego fakt posiadania majątku wystarczającego do utrzymania poliandrycznej rodziny. Zrodzone z takich związków dzieci były przez matkę przypisywane temu mężowi, którego ona sama uznawała za ojca albo który ze względu na podobieństwo fizyczne z dzieckiem mógł być posądzony o ojcostwo. Było też praktykowane oddawanie przez nieplodnego męża swej żony na „służbę małżeńską” mężczyźnie bogatemu i szanowanemu w plemienu, aby tą drogą zdobyć potomstwo. Odebranie wypożyczonej żony następowało po stwierdzeniu faktu jej zajścia w ciążę. Urodzone w ten sposób dziecko mąż uznawał za własne i obdarzał je wszelkimi należnymi prawami (za: Adamski 1982: 89 i n.).

Małżeństwa grupowe występują sporadycznie tam, gdzie kilku braci ma za żony kilka sióstr. Partnerami takiego małżeństwa mogą być też ludzie niespokrewnieni. Bywa przy tym często, że w ramach małżeństwa grupowego istnieją ściślejsze związki dwuosobowe, które uważać można za małżeństwa główne. Tu małżeństwo monogamiczne dopełnione jest niejako związkami drugorzędnymi, które się aktualizują sporadycznie w obcowaniu płciowym przygodnym, mniej więcej takim, z jakiego u niektórych ludów korzysta gość, gdy znajdzie się pod obcym dachem. Małżeństwo

grupowe zresztą jest bardzo rzadkie, znane tylko u ludów bardzo pierwotnych i nie dość zbadane (Znamierowski 1958: 22).

Również niektóre układy małżeńskie tworzone w komunach młodzieżowych w latach 60. i 70. miały formę zbliżoną do małżeństwa grupowego (zob. Goodman 1997: 186).

Jak podkreśla Cz. Znamierowski (1958: 23) wszelkie postacie poligamii nie dają małżeństwu wewnętrznej równowagi trwałej, nie są bowiem zgodne z dwoma prawami duchowego życia człowieka i życia zbiorowego. W duszy człowieka działa prawo dyspersji. Żywym i głębokim uczuciem nie można obdzielać bardzo wielu osób, bowiem rozdzielone na zbyt liczne, słabnie i traci głębię. Dotyczy to już w znacznej mierze nawet sympatii seksualnej, nie mówiąc o spolaryzowanej miłości. W życiu zbiorowym zaś włada powszechnie prawo ograniczonego kontaktu: niepodobna pozostawać naraz w styczności z wieloma osobami. Sama budowa fizyczna ogranicza możliwość kontaktu płciowego, bardziej rygorystycznie niż innych, do dwóch tylko osób, lecz także kontakty innych rodzajów również mają swoją granicę jednorazowego zasięgu. Nawet najbardziej luźny kontakt towarzyski ma swoje granice, wyznaczone małą pojemnością uwagi (tamże).

Ze względu na wielkość wyróżniamy rodziny małe (nuklearne, atomowe), duże oraz poszerzone.

Rodzina mała, nuklearna (łac. *nucleus* – jądro, ziarno) zwana też atomową (gr. *atomos* – niepodzielny) składa się tylko z męża, żony oraz ich potomstwa. Często określa się ją również jako **rodzinę małżeńską, dwupokoleniową**. Głównym kryterium jest tutaj liczba pokoleń w rodzinie. Np. ojciec, matka i piętnaścioro dzieci, to – w sensie socjologicznym – rodzina mała i po prostu niepodzielna z systemowego punktu widzenia. Brak ojca lub matki sprawia, że otrzymujemy już całkiem inny typ rodziny a mianowicie niepełną. Rodzinę, w której przychodzimy na świat i w której mamy (lub mieliśmy) status dziecka określamy mianem **rodziny pochodzenia**, natomiast rodzinę, którą zakładamy wstępując w związek małżeński określamy jako **rodzinę prokreacji**.

Rodzina duża, zwana często **rodziną wielopokoleniową** składa się przynajmniej z trzech pokoleń w linii prostej. Jest wielka nawet w sytuacji, gdy obejmuje dziadków, rodziców i tylko jedno dziecko. Innym typem rodziny dużej jest **rodzina poszerzona**, składająca się z krewnych w linii bocznej, stanowiących razem zbiorowość rodzinną (zob. Szczepański 1970: 308 i n.).

Typologię rodzin przeprowadza się ze względu na najróżnorodniejsze kryteria. Poniższy wykaz uwzględnia najczęściej spotykane w literaturze terminy występujące w określaniu małżeństwa i rodziny.

Rodzina patriarchalna – dominuje władza ojca, **matriarchalna** – władza matki, **egalitarna** – istnieje partnerstwo obydwójga małżonków w decyzjach rodzinnych.

Rodzina patrylinearna – w której następuje dziedziczenie nazwiska, mienia, pozycji itp. w linii męskiej (po mieczu), **matrylinearna** – gdy dziedziczenie następuje po linii kobiecej (po kądzieli) oraz **bilinarna** lub **bilateralna** – gdy dziedziczenie odbywa się w obydwu liniach (zob. Godman 1997: 187).

Rodzina patrylokalna – gdy młode małżeństwo zamieszkuje z rodzicami męża, **matrylokalna** – gdy z rodzicami żony i **neolokalna** – gdy zajmuje całkiem nowe miejsce zamieszkania.

Endogamiczny dobór małżeński ma miejsce wówczas, gdy małżonkowie wywodzą się z tej samej miejscowości, grupy społecznej, warstwy czy klasy, **egzogamiczny** – gdy pochodzą z różnych środowisk społecznych.

Dobór **homogamiczny** występuje wówczas, gdy małżonkowie wywodzą się ze środowisk podobnych pod względem kulturowym i zawodowym, a **heterogamiczny**, gdy pochodzą z różnych środowisk kulturowych i sfer społecznych.

3. Socjologiczne ujęcia rodziny

Rodzina jest tym rodzajem rzeczywistości społecznej oraz takim elementem struktury świata społecznego, który od wieków skupia na sobie uwagę wszystkich wyznań religijnych, licznych dyscyplin naukowych, wielu reformatorów społecznych i polityków, a także zwykłych, przeciętnych ludzi. Wynika to z faktu, że jest ona nieodłączną częścią naszego człowieczeństwa oraz czynnikiem warunkującym zarówno jego treść, jak i formę. Sytuacja ta znajduje odzwierciedlenie w opiniach wybitnych socjologów różnych krajów i orientacji światopoglądowych.

Na ogół traktują oni rodzinę zarówno jako grupę, jak i instytucję o szczególnym znaczeniu społecznym. „Stanowi ona jedną z najbardziej uniwersalnych form stosunków społecznych” (A. Kłoskowska); „jest nierozzerwalnie

związana z istnieniem ludzkiego społeczeństwa i kultury” (Z. Tyszka); jest „jednym z najbardziej wielostronnych zjawisk społecznych, łączących w sobie stosunki biologiczne i społeczne, ekonomiczne i moralne, ideologiczne i psychologiczne” (A.G. Charczew); rodzina to zespół ludzi „w których życiu osobistym realizuje się zarazem życie całego społeczeństwa” (Chombar de Lauwe). Tak więc – by jeszcze posłużyć się cytatem – „spośród wszystkich organizacji dużych i małych – jakie wytwarza społeczeństwo, żadna nie przewyższa rodziny pod względem znaczenia socjologicznego” (R.M. Mac Iver).

Dwa jednak określenia wydają się szczególnie trafne w odniesieniu do rodziny: „Rodzina: źródło życia i szkoła miłości” (zob. Kornas-Biela 2001) oraz „Osobotwórcza, niezastąpiona” (zob. Gołębiowski 1976: 26). I pomimo że rodzina jest często pod wieloma względami tworem niedoskonałym, wszyscy zgadzają się, że lepszego i powszechniejszego tworu społecznego ludzkość do tej pory nie była w stanie wymyślić.

Rodzina jest wielostronnym systemem więzi człowieka z człowiekiem, pokolenia z pokoleniem. Jako wspólnota wiąże osobę ludzką we wszystkich fazach jej życia ze społeczeństwem, kulturą, narodem, klasą społeczną. Motywuje jej aktywność ekonomiczną, społeczną i kulturalną, kształtując cechy osobowości człowieka. Powiązania te są nie tylko realne, lecz także emocjonalne: z historią, ojczyzną, klasą społeczną, kulturą, określonymi wzorcami osobowymi, obyczajowością społeczną. Dawniej, w klasowych ustrojach społecznych, rodzina była jednocześnie losem życiowym, miejscem w społeczeństwie, warsztatem pracy.

Rodzina, jako podstawowa komórka w społeczeństwie, w każdych warunkach, nawet najtrudniejszych, może dawać poczucie szczęścia, ciepła, ludzkiej godności i szlachetności. Ale może również być – nawet w warunkach materialnie najdogodniejszych – piekłem konfliktów, rozdarcia psychicznego, samotności i bólu.

W powszechnym odczuciu rodzina jest formą realizacji szczęścia na co dzień; jest więzią biologiczną, emocjonalną, materialną i kulturową człowieka z człowiekiem, która rozwija się i utrwała w wielu innych więziach społecznych o motywacjach ideowo-politycznych, klasowych, narodowych, internacjonalistycznych itp. Jest więc źródłem społecznej natury człowieka i jednocześnie realizacją jego osobowości, indywidualności jednostkowej. Jest wreszcie podstawowym forum wyjściowym następstwa i konfrontacji pokoleń każdego społeczeństwa (zob. tamże: 29).

Jak zauważa Z. Tyszka (1980: 11): Cały ten „mikroświat” rodziny wkomponowany jest w integralny całokształt ogólnospołecznych, ekonomicznych i kulturowych procesów danego kraju, w którym egzystuje i może być analizowany, należycie rozumiany jedynie w ich kontekście. Podlega wpływom tych procesów, odzwierciedla je, będąc odbiciem ich cech, a także wtórnie wpływa na nie. Dlatego analiza życia rodzinnego nie może ograniczać się wyłącznie do spraw wewnątrzrodzinnych, lecz musi również dotyczyć zewnętrznych relacji rodziny – jej „osadzenia” w społeczeństwie, jego strukturach, procesach i kulturze. Dzięki tym zewnętrznym relacjom i uwarunkowaniom, badania nad, i tak już wewnątrznie złożoną, rodziną komplikują się jeszcze bardziej, a zarazem wydaje się, że jej socjologiczna analiza ma kluczowe znaczenie, bowiem ogólnospołeczne tło rodziny określa całą jej istotę. Społecznie ukształtowana rodzina jest z kolei podłożem wszelkich innych zjawisk i procesów – np. o charakterze psychospołecznym, psychologicznym czy pedagogicznym. W tych innych procesach odczytujemy cechy danego społeczeństwa i dzięki temu możemy te procesy należycie rozumieć oraz interpretować.

Zarówno ze względu na wewnętrzną złożoność rodziny, jak i jej skomplikowane zewnętrzne interakcyjne relacje, podporządkowane dynamicznym przeobrażeniom świata społecznego, należyte jej poznanie naukowe wymaga wielostronnego podejścia badawczego – spojrzenia z wielu stron i z wielu punktów widzenia.

Anatomia rodziny jako tworu socjologicznego oznacza, że gdybyśmy, badając rodzinę kolejno z punktu widzenia ekonomisty, geografą, historyka, psychologa itp., dodali do siebie wyniki tych badań, to przez to nie tylko nie wyczerpalibyśmy wszystkiego, co można powiedzieć o rodzinie ze stanowiska naukowego, lecz nie dotknęlibyśmy w ogóle samego problemu rodziny. Sama socjologia nie może się uporać z jednoznacznym określeniem rodziny. Jest ona bowiem wielowymiarową i wieloaspektową rzeczywistością społeczną: grupą, instytucją i systemem o cechach szczególnej wspólnoty (zob. Mysłakowski 1931: 4 i n.).

Jak podkreśla F. Adamski (1982: 24), dzisiejsza rodzina stanowi *sui generis* zinstytucjonalizowaną małą grupę. Innymi słowy, rodzina jest zarazem zinstytucjonalizowana i nieformalna, posiada bowiem cechy upodabniające ją do małej grupy, ale odznacza się też pewnymi znamionami organizacji określającymi proces jej powstania, trwania, rozpadu czy za-

niku. Tym, co ją różni od innych grup społecznych, jest jej niepodatność na wszelkie formy organizacji, na tendencje organizatorskie, które znamionują grupy sformalizowane o charakterze instytucjonalnym. O ile współcześnie większość instytucji dąży do coraz głębszej formalizacji wewnętrznej, coraz dalej idącego uorganizowania swych działań i wzorów zachowań, swej struktury, o tyle rodzina jako jedna z niewielu stanowi tu wyjątek. Proces jej wewnętrznych przemian idzie w przeciwnym kierunku: od większej do mniejszej złożoności. I o ile w innych instytucjach społecznych coraz silniej dominują stosunki rzeczowe i krótkotrwałe, o tyle rodzina jako grupa społeczna i instytucja społeczna odznacza się – jako dominującymi – stosunkami zasadzającymi się na długotrwałej więzi uczuciowej.

Rodzina jest więc grupą o niepowtarzalnym charakterze. Jest jedyną grupą społeczną bazującą na czynnikach biologicznych i naturalnych, w której więzi miłości i pokrewieństwa nabierają najwyższego znaczenia. Jest jedyną grupą zbudowaną na miłości, gdzie prawo interweniuje wyjątkowo dla umocnienia więzi wspólnoty. Tworzy najmniejszą społeczność ludzką, najbardziej naturalną, a zarazem konieczną, wcześniejszą od państwa czy innych grup zarówno w porządku czasowym, jak i logicznym. Mówiąc językiem Hegla, jest „królestwem miłości”, tak jak państwo jest „królestwem prawa”. W każdym społeczeństwie i w każdej epoce ujawnia swe pełne kompetencje do zapewnienia swym członkom warunków harmonijnego rozwoju ich osobowości (tamże: 26).

Te socjologiczne ujęcia rodziny będą przedmiotem rozważań w dalszych rozdziałach. W tym miejscu warto za Z. Tyszką (1988: 31) wspomnieć, w jaki sposób socjologia stara się badać rodzinę.

Socjologia rodziny korzysta właściwie ze wszystkich metod, technik i procedur badawczych socjologii, przy czym niektóre z nich preferuje. W grupie rodzinnej występują bardzo intensywne stosunki społeczne, zbiegają się w niej wielostronne oddziaływania, jest ona miejscem wielostronnego współżycia społecznego, wyzwala skomplikowane uczucia i postawy. Empiryczne badania nad rodziną są więc dosyć trudne. Rodziny jest niełatwo badać z innego jeszcze powodu. Poznawanie życia rodzinnego przy zastosowaniu metod pozwalających na sformułowanie ogólnych, dostatecznie skontrolowanych twierdzeń, napotyka większe trudności aniżeli badania prowadzone w wielu innych dziedzinach życia społecznego.

Główne źródło trudności stanowi intymny, prywatny charakter stosunków rodzinnych, które z trudem poddają się obserwacji zewnętrznej i stawiają opory wobec zastosowania metod ankiety i wywiadu. Członkowie badanej rodziny mogą niejednokrotnie zdradzać niechęć przed ujawnieniem osobistych, niekiedy nawet wstydlivych spraw związanych z życiem rodzinnym, o których nie rozmawia się na ogół z ludźmi postronnymi, i które nawet w gronie rodzinnym bardziej są odczuwane niż komentowane.

Badając skomplikowane procesy życia rodzinnego należy przyjąć następujące metodyczne zasady postępowania badawczego: 1) dążenie do wieloaspektowego ujęcia problematyki rodziny; 2) łączenie analizy ilościowej z jakościową; 3) jednoczesne posługiwanie się wieloma technikami badawczymi.

Wieloaspektowa analiza życia rodzinnego polega na jednoczesnym sprzężonym badaniu poszczególnych „pięter” rodziny – począwszy od podstawowych spraw ekonomicznych, a skończywszy na emocjonalnych związkach oraz świadomościowych modelach dotyczących małżeństwa i rodziny. Jeśli przedmiotem badań jest nawet jakiś jeden tylko aspekt życia rodzinnego, powinien on być ujmowany na tle innych, pobieżniej już zbadanych, niejako w ich ogólnym kontekście.

Przez ilościowe ujmowanie zjawisk społecznych rozumiemy ich liczenie, ich charakterystykę przy pomocy liczb. Analizę jakościową należy utożsamiać z poznaniem dyskursywno-pojęciowym, operującym słownym opisem badanych zjawisk, połączonym z ich klasyfikacją, określaniem ich zewnętrznego kontekstu, wzajemnego, wielostronnego związku między nimi itp. Łączenie analizy ilościowej z jakościową umożliwia ujęcie skomplikowanych, wieloaspektowych struktur i procesów życia rodzinnego w kontekście wielu sprzężonych ze sobą procesów społecznych (za: Tyszką 1988: 31).

II RODZINA W HISTORII MYŚLI SPOŁECZNEJ ORAZ TEORIACH SOCJOLOGICZNYCH

1. Uwagi wstępne

Trudno jest udzielić jednoznacznej i wyczerpującej odpowiedzi na pytanie czym jest rodzina i jakie są jej podstawowe cechy, ale jeszcze trudniej przedstawić opis oraz interpretację przekształceń jakim ona podlegała. Początek rodziny kryje się bowiem w pomroce dziejów, tak samo jak ludzka genealogia. T. Szczurkiewicz (1969: 240 i n.) podkreśla, że źródła tych trudności tkwią w dwóch momentach, charakterystycznych dla rodziny. Rodzina jest podstawową i powszechną, elementarną grupą społeczną i dlatego posiada między innymi dwa swoiste kompleksy cech o wielkiej doniosłości społecznej.

- 1) Rodzina zawiera potencjalnie wszystkie niemal pochodne formy organizacji i stosunków społecznych. Historia ludzkości – to w pewnym sensie historia różnicowania się i wykryształizowania funkcji i form, zawartych *implicite* w pierwotnej rodzinie;
- 2) Rodzina jako jedyna grupa reprodukcyjna jest zasadniczym źródłem odnawiania się i trwania wszelkich innych grup społecznych. Z tych dwóch charakterystycznych cech rodziny wynika jednak, że jest to grupa niezmiernie czuła na wszelkie zmiany zachodzące w strukturze i dynamice tego społeczeństwa, w którego ramach występuje. Mówić tedy o przemianach rodziny, o konkretnych formach, które ona przybierała i przybiera, oraz czynnikach tych zmian, to, ściśle rzecz biorąc, mówić o rozwoju wszystkich grup i społeczeństw ludzkich oraz tych wszystkich czynników, które, współdziałając ze sobą lub sobie przeciwdziałając, tworzą w każdym społeczeństwie ustawicznie zmieniającą się dynamikę, kształtującą dzieje ludzkości w ogromne bogactwo form konkretnych.

„Rozwój społeczeństw ludzkich dokonywał się i dokonywa równocześnie w wielu różnych, niezależnych od siebie kierunkach, które później dopiero zaczęły się ze sobą krzyżować. Nie ma tedy jednego schematu rozwojowego, pod który można by podciągnąć wszystkie społeczeństwa w czasie i przestrzeni; porównawcze badania etnologiczne wykazały dobitnie wielość kierunków rozwojowych. Do każdego z tych kierunków

dadzą się zaszeregować tylko niektóre społeczeństwa, żadne zresztą nie da się całkowicie bez reszty przyporządkować wyłącznie do jednego tylko kierunku. Można więc dokonywać przyporządkowania tylko ze względu na dominujące, przeważające cechy. Linia rozwojowa, prawdziwa w odniesieniu do pewnych społeczeństw, jest więc fałszywa w odniesieniu do innych” (tamże: 241).

Dlatego dzieje rodziny i społeczeństw ludzkich nie dadzą się zamknąć w zwartym, monolinearnym schemacie rozwojowym. Świadomość tego stanu rzeczy pojawiła się w myśli społecznej relatywnie późno, bo w XIX w. wraz z odkrywaniem i opisami innych ludów i analizą innych kultur niż europejska.

Ogólnie można stwierdzić, że do połowy XIX w. rodzina ujmowana była w sposób ahistoryczny, jako niezmienna, trwała i podstawowa instytucja życia społecznego. Wszystkie więc rozważania i koncepcje jej natury posiadały charakter postulatyno-normatywny i najczęściej spekulacyjny. Decydowały o tym – jak pisze A. Kłoskowska – tradycje patriarchyizmu judajskiego połączone z patriarchyzmem grecko-rzymskim w chrześcijańskiej interpretacji rodziny. Utrwały one w szerokich kręgach społecznych przekonanie o niezmienności form rodziny usankcjonowanej sakramentalną więzią (zob. Kłoskowska 1965: 507).

Jednakże doniosłość społeczna funkcji rodziny decydowała o tym, że rozważania na jej temat osadzone bywały na ogół w kontekście rozważań nad szerszymi grupami, w kręgu takich zagadnień jak: miejsce rodziny w strukturze społeczeństwa, typy stosunków rodzinnych, charakter więzi między płciami i pokoleniami, wewnętrzny podział ról społecznych oraz zachowania i postawy jej członków.

2. Starożytność i chrześcijaństwo

W rozwoju myśli i teorii społecznej na przestrzeni wieków rodzina traktowana była więc jako podstawowa instytucja społeczna. Doniosłość zadań i funkcji rodziny w ramach każdego społeczeństwa wyznaczała zakres dużego zainteresowania się jej problematyką, wykraczającego poza ramy ściśle związane tylko z życiem grupy rodzinnej, jako takiej. Funkcje te określał zawsze w znacznej mierze ogólny stan społeczeństwa, jego makrostruktura, stąd też ich realizacja poddana była ustawicznej kontroli innych

grup i licznych instytucji. Sposób ujmowania problematyki rodziny był też odzwierciedleniem poglądów dotyczących ogólnych zasad społecznej organizacji.

Zarys tych poglądów zostanie przedstawiony przede wszystkim na podstawie syntetycznych ujęć historii myśli społecznej H. Beckera i H.E. Barnes'a (1944), J. Szackiego (1983) i J. Szczepańskiego (1961).

Platon (427-342 p.n.e.), pierwszy twórca koncepcji państwa idealnego, był również zwolennikiem wychowania państwowego i względami politycznymi uzasadniał nawet w „Państwie” konieczność ograniczenia wpływu rodziny na potomstwo. Poglądy swe skorygował nieco w „Prawach”, dopuszczając w koncepcji idealnego państwa życie rodzinne i własność prywatną.

Uczeń, a zarazem i oponent Platona **Arystoteles** (384-322 p.n.e.) widział w rodzinie elementarne środowisko człowieka. W swej słynnej „Polityce” wyraził pogląd, że pierwszym i podstawowym warunkiem zapewnienia trwałości gatunku i istnienia rodziny jest związek płci, drugim warunkiem natomiast jest związek pana i niewolnika. Z tych dwu podstawowych związków męża i żony oraz pana i niewolnika powstaje dom, czyli rodzina, którą określił jako „z natury istniejącą wspólnotę, utrzymującą się trwale dla codziennego współżycia”. Określenie to można traktować jako pierwszą definicję rodziny, do której nawiązuje wiele późniejszych jej ujęć.

Arystoteles był zwolennikiem surowej rodziny monogamicznej, w której ojciec ma bezwzględna władzę, cudzołóstwo zaś karane jest pozbawieniem winnego przywilejów obywatelstwa. Kobiety odsuwał od wszelkich męskich zajęć i życia publicznego, wyznaczając jej miejsce w domu, pośród domowych spraw. W jego poglądach, jak łatwo zauważyć, spotykamy się z koncepcją rodziny rozszerzonej, która składa się z męża i żony, ojca i dzieci, pana i niewolników. Rodzinie przyznaje rangę podstawowej komórki społecznej organizacji, traktując ją równocześnie jako pewną formę zrzeszenia. Ponad rodziną, jako następna forma zrzeszenia, istnieje gmina wiejska, tworzona przez kilka rodzin wstępujących w ściślejsze związki niż te, które służą wyłącznie zaspokojeniu codziennych potrzeb. Z połączenia kilku gmin wiejskich w jedną samowystarczającą wspólnotę powstaje trzecia i najwyższa forma społeczeństwa – państwo. Wskazał też wyraźnie na trzy podstawowe funkcje rodziny: rozrodczą, produkcyjną

i wychowawczą; w tej ostatniej szczególnie akcentował potrzebę rozwijania umiejętności współżycia z ludźmi i przyjaźni, której przypisywał szczególne znaczenie w życiu społecznym.

Rzymski poeta i filozof **Lukrecjusz** (99-55 p.n.e.) w życiu rodzinnym i atmosferze, którą ono tworzy upatrywał czynników łagodzących surową naturę pierwotnego człowieka, prowadzących do przyjmowania osiadłego trybu życia, rozwoju sąsiedztwa, zrozumienia wzajemnych potrzeb i interesów oraz do zaniechania wzajemnego krzywdzenia się i powstania sprawiedliwości opartej na sympatii i litości dla słabych.

Początek nowej ery spowodował znaczny wzrost zainteresowania się problematyką rodziny, a to dzięki rozwojowi idei chrześcijańskich.

Źródłem chrześcijańskiej koncepcji rodziny był Stary Testament i kultura judajska, nauka Chrystusa i jego uczniów zawarta w Nowym Testamencie, nauczanie ojców Kościoła i soborów. Po kilku wiekach doszło do rozdzielenia Kościoła Zachodniego od Wschodniego i stopniowo teologia rodziny zaczęła ujawniać pewne doktrynalne różnice w obu tych nurtach chrześcijaństwa. Od czasów reformacji pojawił się trzeci duży nurt chrześcijaństwa w podzielonym Kościele Zachodu – protestantyzm, który stworzył własną wizję rodziny. Omawiając zatem chrześcijańską koncepcję rodziny, należy wyodrębnić te trzy jej podstawowe nurty: katolicki, prawosławny, protestancki.

Judaizm wniósł w chrześcijańską koncepcję rodziny wiele elementów: patriachalizm, wysoką pozycję głowy rodziny, podporządkowanie kobiety mężowi, sakralizację życia rodzinnego, normy dotyczące seksu, pojęcie nieczystości, a także religijną wizję rodziny. Ze Starego Testamentu fundamentem chrześcijańskiej doktryny religijnej stały się: opis stworzenia człowieka, dzieje grzechu pierworodnego (na długo uzasadniające wyższość męzczyzny i nieufność wobec kobiet), model kobiety wiernej i poddanej mężowi (Sara, Rebeka), sentencje przedstawiające zasady wychowania dzieci (przez karcenie, upominanie). Z judaizmu przejęto również model małżeństwa monogamicznego, negatywną postawę wobec wyrafinowań i dewiacji seksualnych.

Nauka Chrystusa wprowadziła wiele nowych zasad do chrześcijańskiego modelu rodziny: zasadę nierozzerwalności małżeństwa, monogamiczność, życzliwość wobec życia rodzinnego (np. historia cudu w Kanie Galilejskiej), wobec kobiet, zmniejszenie rygoryzmu wobec tzw. kobiet

upadłych, dała również przykłady miłości ojcowskiej (częste odwoływanie się do miłości Boga, historia syna marnotrawnego).

Na chrześcijańską doktrynę rodzinną duży wpływ wywarła nauka św. Pawła, który wniósł w nią ducha rygoryzmu żydowskiego i opozycji wobec dominujących tendencji w kulturze antycznej. Św. Paweł przyznał wysoką pozycję mężczyźnie, jako głowie rodziny, głosił ideę posłuszeństwa dzieci. Celibat uznał za najwyższą formę życia, co później na długo zaważyło na traktowaniu życia rodzinnego jako wartości mniejszej niż życie zakonników czy księży. Ostro również wystąpił przeciw rozwodom, wyrafinowaniom seksualnym, homoseksualizmowi i kazirodztwu. Można powiedzieć, że zaostrzył naukę łagodnego Chrystusa. Późniejsze nauczanie ojców Kościoła wprowadziło pojęcie sakramentu małżeństwa, dzięki czemu wzrosły kompetencje Kościoła w zakresie regulacji zachowań seksualnych, warunków powstania małżeństwa, oceny postępowania rodziców, dzieci i małżonków wobec siebie. Najważniejsze znaczenie w doktrynie chrześcijańskiej miał sakrament małżeństwa, który uzasadniał jego nierozzerwalność, wspólnotę duchową małżonków, podporządkowanie rodziny normom religijnym (za: Lew Starowicz 1985).

W pismach chrześcijańskich moralistów starożytności i średniowiecza zagadnienia odnoszące się do postępowania ludzi w sferze seksualnej nie były wyodrębnione z całości rozważań o życiu moralnym człowieka. Nie stworzono jeszcze osobnego działu etyki, zwanego dzisiaj etyką seksualną. Małżeństwem zajmowano się nie od strony pożycia seksualnego małżonków, gdyż co do tego wystarczały wskazania św. Pawła apostoła. Ojcowie i pisarze Kościoła, tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie, analizowali istotę małżeństwa i rację jego istnienia w stwórczym i zbawczym planie Boga. O seksualności mówiło się w tym kontekście niewiele, i to w związku z funkcją małżeństwa jako instytucji uśmierzejacej pożądliwość seksualną. Ojcowie i pisarze pierwszych wieków widzieli w tej funkcji jedną z przyczyn ustanowienia małżeństwa przez Stwórcę, a teologowie scholastyczni jeden z celów małżeństwa.

Obok tego głównego nurtu teologicznego istniały inne, dotyczące wprost istnienia seksualności i jej interpretacji. Pierwszym z nich były idee stoików, według których wszystko co cielesne, a więc także aktywność seksualna człowieka, stanowi obciążenie jego natury duchowej. Sądzieli, że zaspokajanie potrzeb cielesnych trzeba tolerować, ale byłoby lepiej,

żeby człowiek zajmował się tylko sprawami duchowymi, związanymi z jego naturą rozumną. Drugi, skrajniejszy prąd, to poglądy manichejczyków, dla których wszystko co cielesne było złe, pochodziło od szatana.

Trzeci pogląd to pesymistyczna teologia niektórych pisarzy wschodnich, a w szczególności żyjącego w IV w. Grzegorza z Nyssy, który sądził, że popęd seksualny i konieczność pożycia seksualnego małżonków dla wydawania na świat nowych ludzi są skutkami grzechu pierworodnego; gdyby go nie było, nie byłoby ani pożycia seksualnego ani małżeństwa, a Bóg powoływałby nowych ludzi do bytu w inny, bardziej wzniosły sposób.

Chrześcijaństwo nie zaaprobowało ani skrajnej teorii Grzegorza z Nyssy, ani poniżającej ciało koncepcji stoików, a z tezami o szatańskim pochodzeniu ciała i seksualności walczyło we wszystkich okresach swych dziejów. Lecz ze wszystkich tych prądów coś niecoś przeniknęło do myśli chrześcijańskiej i pozostało w niej aż do XX w. Te właśnie „obce ciała” w myśli teologicznej Kościoła zaciążyły ujemnie na jej rozwoju, a w konsekwencji również na działalności duszpasterskiej i na życiu wiernych (za: Skrzydlewski 1999: 13-14).

Na określenie katolickiej doktryny rodziny największy wpływ wywarła nauka św. Augustyna, św. Tomasza, dzieje myśli średniowiecza, a następnie sobór trydencki z lat 1545-1563, który stworzył prawo kanoniczne, obowiązujące faktycznie do niedawna, bowiem nowa rewizja prawa została opracowana za czasu pontyfikatu Jana Pawła II. Prawo kanoniczne z czasów soboru trydenckiego określiło warunki powstania ważnego małżeństwa, przeszkody w jego zawarciu, wprowadziło obowiązek ceremonii ślubnej w Kościele. Dokonano w nim rozróżnienia między pierwszorzędnym celem małżeństwa (prokreacja i wychowanie dzieci) i celem drugorzędnym (wzajemna pomoc małżonków, zaspokajanie potrzeb seksualnych). Nauczanie kolejnych papieży, szczególnie Piusa XI i XII, wprowadziło nowe, ważne elementy, potwierdzało zasadę istnienia głowy rodziny (mężczyzny), kobieta została określona jako „serce” rodziny (zob. Adamski 1982: 159 i n.). Głoszono ideę prawa rodziny w państwie: prawa do zawarcia małżeństwa, założenia rodziny, oczekiwania od państwa stworzenia warunków prawnych i ekonomicznych, umożliwiających rodzinie pełnienie jej funkcji. Rodzina została określona jako autonomiczna wobec państwa. Głoszona była zasada równości małżonków przy istniejącym zróżnicowaniu ról i obowiązków; podstawowa rola kobiety to

macierzyństwo, prowadzenie domu, a jej rola zawodowa winna być tak ukształtowana, aby nie utrudniała jej podstawowych zadań jako kobiety (za: Lew Starowicz 1985).

Dalszy rozwój doktryny katolickiej przypada na czasy Soboru Watykańskiego II, który dotychczasowe rozdzielenie pierwszo- i drugorzędnych celów małżeństwa zmienił na współistnienie miłości i prokreacji. Encyklika Pawła VI „*Humanae vitae*” pogłębiła katolicką doktrynę i podkreśliła obowiązek korzystania przez małżonków jedynie z biologicznych metod regulacji urodzeń. Sprowokowało to liczne kontrowersje, bowiem wielu katolików uznawało prawo do swobodnego decydowania o wyborze metod sterowania płodnością. W drugiej połowie XX w. Kościół katolicki do wartościował seks, małżeństwo i rodzinę, czego przykładem jest rozwijająca się tzw. teologia ciała, pojawienie się ośrodków naukowych w uczelniach katolickich, specjalnych instytucji w Kurii Rzymskiej (do spraw rodziny, świeckich), a także rozwój duszpasterstwa rodzin, obowiązek przygotowania do sakramentu małżeństwa w formie nauk przedślubnych. W nauczaniu religii wiele miejsca poświęca się problemom seksu i życia rodzinnego.

Jak podkreśla W. Skrzydlewski (1999: 16 i n.), tradycyjna etyka seksualna miała ogromne i niewątpliwe zasługi: zwalczała nierząd i rozwiązłość, broniła godności osoby, wpływała na docenianie wartości małżeństwa i rodziny. Przez blisko dwa tysiące lat stanowiła jeden z głównych fundamentów porządku społecznego. Lecz formułowane na jej podstawie wskazania praktyczne nie zawsze były rozumiane przez ogół ludności, a nawet wielu duchownych, i z biegiem czasu stawały się nieraz niedostosowane do nowych sytuacji, oraz do rozwoju wiedzy o człowieku. Stąd brała się potrzeba krytycznego spojrzenia na pewne konkretne punkty dawnego nauczania. Nie chodziło o zmiany podstawowych zasad, lecz o lepsze ich zrozumienie i o uwolnienie się od naleciałości pochodzących z obcych poglądów czy ideologii.

Pierwszą z tych obcych duchowi chrześcijańskiemu naleciałości było spojrzenie na seksualność jako na coś nieczystego oraz związany z tym przesadny rygoryzm w ocenie działalności seksualnej w małżeństwie. Ten pesymistyczny rygoryzm, sięgający korzeniami pierwszych wieków, znalazł swe echo jeszcze w kanonach wprowadzonego w 1917 r. kodeksu prawa kanonicznego. Brak odpowiednich publikacji i trudności z dotarciem

do odległych osiedli powodowały, że jeszcze w pierwszej połowie XX w. niektórzy ludzie uważali pocałunek między narzeczonymi za grzech, a prawidłowe pożycie seksualne w małżeństwie nawet za grzech ciężki.

Innym mankamentem popularnych poglądów było niedocenianie znaczenia miłości w doborze małżeńskim i w osobowych relacjach małżeńskich. Była to pozostałość z epoki przedprzemysłowej, w której ograniczony krąg znajomości sprawiał, że zakochanie przedmałżeńskie bywało prawie nieznaną, a małżeństwa były zawierane z rozsądku lub wskutek układów rodzinnych. Dopiero rozwój miasta i szkolnictwa mógł wpłynąć na zmianę sytuacji i poglądów wśród szerszych kręgów ludności. Nie działało się to jednak szybko i dlatego wiele osób lub środowisk pozostawało nadal pod wpływem popularnych, błędnych poglądów.

Te poglądy, dotyczące problemów etyki seksualnej i zdarzające się lub nawet dominujące w pewnych środowiskach jeszcze w pierwszej połowie XX w., można ująć następująco:

- Uważanie seksualności za element nie należący do natury człowieka w sposób istotny, a działalności seksualnej – nawet w małżeństwie – za coś niskiego i stanowiącego tabu, o którym nie należy mówić.
- Biologiczno-naturalistyczne rozumienie pożycia małżeńskiego jako nastawionego wyłącznie na prokreację.
- Wymaganie od współmałżonka pożycia seksualnego jako obowiązku prawnego bez uwzględnienia jego potrzeby uczucia.
- Uważanie pożycia seksualnego w małżeństwie za tylko dozwolone.
- Niedocenianie osobowych wartości małżeńskiego pożycia seksualnego.
- Genitalne rozumienie seksualności i niedocenianie niegenitalnych przejawów seksualności w formie serdeczności.
- Niedocenianie małżeństwa jako stanu życia chrześcijańskiego i uważanie go za stan niedoskonały, przekonanie, że trzeba się zbawić nie przez życie w małżeństwie, lecz mimo niego.
- Negatywno-zakazowe ujmowanie etyki seksualnej: nastawienie bardziej na to, czego nie wolno i czego trzeba unikać, niż na to, co pozytywne i co według planu Bożego służy rozwojowi osób i społeczeństwa.

Te błędne poglądy na seksualność zanikły w ciągu pierwszej połowy XX w. przede wszystkim pod wpływem działalności szkolnictwa oraz duszpasterstwa, a także dzięki upowszechnieniu się nauki Soboru Watykańskiego II (za: Skrzydlewski 1999: 16).

Pontyfikat Jana Pawła II i jego liczne nauki, encykliki, książki zaznaczyły się potwierdzeniem tradycyjnej nauki co do zasady zakazu współżycia przedmałżeńskiego, praktykowania masturbacji, homoseksualizmu, stosowania sztucznych metod zapobiegania ciąży, przerywania ciąży, utrwaliły też zasadę nierozzerwalności małżeństwa i celibatu. Papież teologię rodziny wzbogacił nowym spojrzeniem, w którym pojawiła się hermeneutyka i antropologia. Inaczej mówiąc – papież przywrócił tradycyjną naukę Kościoła, dyscyplinę wewnątrzkościelną, a zarazem wzbogacił teologię rodziny o nowe akcenty.

Trzeba jednak przyznać, iż w Kościele katolickim istnieje duży rozdźwięk między doktryną a praktyką, czego dowodem są chociażby wyniki badań socjologicznych stwierdzające, że katolicy akceptują dość powszechnie współżycie przedmałżeńskie, rozwody, sztuczne metody zapobiegania ciąży, przerywanie ciąży, masturbację, a religijna wizja małżeństwa i rodziny ma mniejszą niż dawniej siłę oddziaływania (zob. np. Mariański 2001).

Prawosławie traktuje małżeństwo jako podobne do zakonnego powołanie życiowe, drogę uświęcenia człowieka. Wiązało się to z zasadą zakładania rodziny przez kapłanów, co do XIX w. było nawet obowiązkiem; dopiero Synod Rosyjskiej Cerkwi wyraził zgodę na celibat duchownych, którzy ukończyli 40 lat. Sakramentalny charakter małżeństwa wiązano z rajem, w którym Adam został stworzony na obraz Chrystusa, a Ewa na obraz Kościoła. Człowiek jest powołany do małżeństwa na podobieństwo życia Trójcy św. Według Jana Chryzostoma beżzenność jest połową pełni bytu. Celem małżeństwa w doktrynie prawosławnej jest osiągnięcie pełni bytu w Bogu, a jego podstawowym znaczeniem jest wzajemna miłość małżonków, wzorująca się na miłości Boga. Dzięki małżeństwu małżonkowie stają się czyści, bowiem sprawia to ich miłość. Rodzina jest małym Kościołem, częścią Królestwa Bożego.

Skrótowo omówiona wyżej doktryna prawosławna jest najlepiej wyrażona w bogatych ceremoniach ślubnych, które w obrządkach liturgicznych są bardzo rozbudowane.

Doktryna prawosławna w porównaniu z katolicką jest bardziej mistyczna, mniej prawnicza i kazuistyczna, mniej również ingeruje w codzienne życie rodziny. Kościół prawosławny, mówiąc codziennym językiem, jest bardziej wyrozumiały i łagodny wobec ułomności człowieka; wyrazem tej postawy jest możliwość rozwiązania małżeństwa. Jest to traktowane jako ustępstwo

ze względu na słabość, ułomność człowieka. Nowa ceremonia ślubna jest jednak mniej uroczysta i zawiera akcenty pokutne, co ma wyrażać żal Kościoła z powodu zerwania pierwszego małżeństwa. Podstawą udzielenia rozwodu jest zdrada, usiłowanie zabójstwa małżonka, zabieg przerwania ciąży bez zgody męża, choroba psychiczna, długa nieobecność współmałżonka, zmiana wyznania, kara więzienia (tamże).

Mniej jest również ingerencji w życie seksualne małżonków. Ogólnie rzecz biorąc, prawosławie traktuje małżonków jako bardziej dojrzałych i samodzielnych. Współżycie przedmałżeńskie, zdrada, przerwanie ciąży są traktowane jako grzech, ale nie nadaje się im takiej rangi jak w doktrynie katolickiej.

Współczesna teologia prawosławna większe znaczenie przykładu do podkreślenia roli kobiety, bardziej też akceptuje wartość ciała i seksu. W tym jest podobna do ewoluującej teologii katolickiej, ale inne jest akcentowanie doktrynalne – kobieta np. ma specjalne wyposażenie w charyzmat zbawienia, bierze udział w zbawieniu świata, oddziałuje na męża i dzieci. W życiu codziennym istnieje wyraźnie mniejszy rozdział doktryny od praktyki, co jest obecnie dużym problemem w katolicyzmie.

Protestantyzm traktuje małżeństwo jako stan naturalny, przyrodzony, wyrażający prawo natury. Oznacza to, że nie jest traktowane jako sakrament, a jest po prostu instytucją utworzoną dla wspólnoty ludzkiej, podobnie jak inne instytucje konieczne do życia czy pracy; ma charakter ziemskiego powołania do prokreacji, wzajemnej pomocy małżonków, realizacji ich potrzeb seksualnych, które są naturalne. Ceremonie kościelne wyrażają jedynie prośbę o błogosławieństwo Boga i ujawniają związek ze społecznością wierzących. Małżeństwo poddane jest regulacji prawnej przez państwo, które określa jego obowiązki i powinności. Rozwód jest uzasadniony w wypadku chorób, niewierności, braku satysfakcji seksualnej w tym związku, impotencji, opuszczenia przez partnera, negatywnych cech charakteru partnera, zmiany wyznania, złego traktowania przez współmałżonka.

W protestantyzmie wierni mają swobodę decydowania o wyborze metod zapobiegania ciąży, form współżycia seksualnego. Relacje wewnątrzrodzinne mają duchowy, a nie prawny charakter. Rodzina winna służyć właściwemu ułożeniu relacji między człowiekiem a Bogiem, a do tego celu wiedzie wzajemna miłość i jedność w rodzinie.

Protestantyzm nie stworzył modelu życia rodzinnego. Oparcie na Biblii i nauce chrześcijańskiej dostarcza wzorców postępowania, co wiąże się z dużym indywidualizmem widzenia obowiązków i ról. Ukierunkowanie na rzeczywistość, obowiązek realizacji zadań życiowych wpłynął m.in. na wysoki etos pracy i obowiązkowości (tamże).

3. Próby tworzenia niezależnych teorii i pierwsze badania

Pierwszym przedstawicielem myśli społecznej, który odwoływał się do empirycznych wskaźników przy tworzeniu swojej koncepcji społeczeństwa oraz wizji jego przyszłości był **Tomasz Robert Malthus** (1766-1834). W swojej pracy „An Essay on the Principle of Population” po raz pierwszy w historii poglądów na funkcjonowanie rodziny domagał się ograniczenia jej prokreacyjnej funkcji. Niepokoiło go tempo przyrostu naturalnego, przebiegającego w postępie geometrycznym, podczas gdy – jego zdaniem – przyrost środków utrzymania powiększa się tylko w postępie arytmetycznym. Wskazywał na dwa czynniki mogące ograniczyć nadmierny przyrost ludności. Pierwszy, prewencyjny, to powściągliwość moralna, polegająca na wstrzymaniu się od współżycia oraz posiadania dzieci. Drugi, realny – to nędza, przepracowanie i choroby wynikające z trudnego położenia większości robotników, spełniające rolę naturalnego regulatora liczby ludności oraz stwarzające możliwość poddania się życiu wstrzemięźliwшему, które sam zalecał tej grupie.

Do połowy XIX w. panowało powszechne przekonanie – zgodne z nauką Kościoła – że pierwotną formą rodziny jest rodzina patriarchalna oparta na małżeństwie monogamicznym. W wieku XIX nastąpił żywy rozwój zainteresowania problematyką rodziny i pojawiły się poważne spory na temat jej istoty, pochodzenia oraz struktury. Zainteresowania te rozbudzone zostały zastrzężającym się kryzysem stosunków społecznych, wywołanych rozwojem kapitalizmu, a zapoczątkowanych rewolucjami burżuazyjnymi. Rozwój społeczeństw europejskich w kierunku społeczeństw zindustrializowanych, przekształcenia w strukturze klasowo warstwowej, rozwój tendencji demokratycznych stworzyły układ stosunków, do których z trudem tylko przystosować się mogła rodzina oparta na gruncie starożytnego i średniowiecznego systemu. Nowe stosunki społeczne, które umożliwiły zawodową aktywność kobiet, spowodowały też silny rozwój tendencji

emancypacyjnych, wyrażających się w dążeniu do uzyskania praw równych z mężczyzną, nie tylko w życiu publicznym, lecz także rodzinnym, uwolnienia spod władzy męża oraz stworzenia egalitarnej struktury rodziny.

Tendencje te znalazły wyraz w próbach tworzenia programu przywracania ładu społecznego w warunkach „anarchii wierzeń i obyczajów” (A. Comte), a w tym kontekście dociekań naukowych obejmujących, z jednej strony aktualną problematykę rodziny, z drugiej zaś historyczne uwarunkowania rozwoju różnych jej form wraz z towarzyszącymi im zjawiskami społecznymi.

Pierwszy typ przedsięwzięć najpełniej reprezentował **Le Play** (1806-1882), któremu zawdzięczamy przede wszystkim opracowanie metodologii badań nad rodziną. Stworzony przez niego schemat można – w znacznym stopniu – uważać za szczegółową analizę głównych jej funkcji. Le Play wychodził z założenia, że, badając rodzinę, dowiadujemy się bardzo wiele o społeczeństwie jako całości, uważał ją bowiem za komórkę, w której powstają i zmieniają się obyczaje oraz sposoby życia zbiorowego.

Rodzina występuje bowiem we wszystkich społeczeństwach i we wszystkich grywa podstawową rolę – przedłuża ich ciągłość biologiczną, jest instytucją zapewniającą swoim członkom środki utrzymania, jest pierwszym środowiskiem społecznym, które otacza dziecko i zapoznaje je z tradycją i dorobkiem kulturalnym danego społeczeństwa, jest ściśle związana ze środowiskiem geograficznym, wpływającym poprzez nią na rozwój i strukturę społeczną; pozostaje stale pod wpływem instytucji i kultury całego społeczeństwa. Zbadawszy więc rodzinę – sądził Le Play – możemy się dowiedzieć bardzo wiele o społeczeństwie jako całości. Rodzina jest to komórka, w której powstają i zmieniają się obyczaje i sposoby życia zbiorowego. Należy więc dobrać rodziny reprezentatywne dla różnych regionów geograficznych i od nich rozpocząć badania.

Badanie rodziny prowadził Le Play według następującego schematu: 1) Określenie miejsca zamieszkania, rodzaju pracy i pozycji społecznej rodziny. (Chodziło tu o charakterystykę środowiska geograficznego, o stan przemysłu, o charakterystykę ludności tego środowiska; na tym tle miała być przedstawiona organizacja rodziny, jej religia, obyczaje, higiena i pozycja w szerszych grupach). 2) Środki utrzymania rodziny: własność, dochody, zajęcia, praca. 3) Sposób utrzymania się rodziny, tj. odżywianie, mieszkanie, umeblowanie, ubranie, odpoczynek. 4) Historia rodziny, tzn.

najważniejsze okresy jej istnienia; obyczaje i urządzenia zapewniające jej ciągłość. 5) Budżet rodziny: dochody, wydatki i rachunki.

Szukając sprawdzalnej, ilościowej metody badań, Le Play uznał, że jest to analiza budżetów rodzinnych. W budżecie rodziny odbija się całkowicie jej życie, organizacja i funkcje. Według powyższego schematu Le Play zbadał tysiące rodzin europejskich. Posługiwał się przy tym trzema sposobami obserwacji: 1) obserwacje prowadzone bezpośrednio przez samego badacza; 2) wywiady i rozmowy z członkami rodziny badanej; 3) wywiady i rozmowy z osobami nienależącymi do rodziny, lecz znającymi ją z osobistych kontaktów i współżycia. Wywiady przeprowadzał według starannie ułożonego kwestionariusza. Na tej podstawie uważa się Le Playa za właściwego twórcę metody monograficznej.

Ta właśnie metoda badania budżetów rodzinnych okazała się najtrwałszym wkładem Le Playa w rozwój nauk społecznych. Jego programy reform były nawrotem do zasad chrześcijańskich. Sądził on, że od czasu objawienia dziesięciorga przykazań i ich interpretacji przez Chrystusa umysł ludzki nie znalazł użyteczniejszych zasad. „Narody przestrzegające tych zasad rozwijają się, a te, które ich nie uznają, giną. Rozwiązanie problemu społecznego nie wymaga znalezienia nowych zasad”. Tego rodzaju tezy trudno rozstrzygnąć metodą obserwacji, toteż mogą one być przedmiotem dyskusji jeszcze dziś. Stulecie, które upłynęło od czasu opublikowania prac Le Playa, potwierdziło natomiast wartość badań budżetów rodzinnych: podejmuje się je wciąż po dzień dzisiejszy, oczywiście już innymi technikami.

Zmiany i uzupełnienia w metodach badań socjologicznych zaczęli już wprowadzać bezpośredni uczniowie Le Playa. Rozszerzyli oni ramy metody monograficznej, poddali rewizji schemat opisu rodziny. Skupieni w tzw. Szkole Nauki Społecznej, uznali, że mistrz poświęcał za mało uwagi czynnikom społecznym, instytucjom i procesom, które nie znajdowały bezpośredniego odbicia w warunkach pracy i budżecie. Szkoła przyjęła zatem inny schemat badania zjawisk społecznych (opracowany przez Henri'ego de Tourville'a), zwany powszechnie „nomenklaturą”. Schemat ten miał być udoskonalonym narzędziem obserwacji zjawisk społecznych (miał umożliwiać systematyczny opis każdej zbiorowości ludzkiej), a równocześnie dyrektywą prowadzenia tych obserwacji (za: Szczepański 1961: 91 i n.).

Myślicielem, który budując swoją teorię, potraktował rodzinę jako podstawowy element struktury społecznej, był twórca socjologii **August**

Comte (1788–1857). W swojej statyce społecznej, czyli „teorii samorzutnego porządku społeczeństw”, dążył on do określenia warunków społecznej egzystencji jednostki, rodziny i społeczeństwa, tzn. zbadania zasadniczych części składowych społeczeństwa i wyjaśnienia jego budowy.

Szukając tych części składowych Comte wskazuje na rodzinę jako na jednostkę podstawową. Społeczeństwo ludzkie składa się z rodzin, nie z jednostek – oto podstawowy aksjomat socjologii statycznej. Rodzina tworzy pomost pomiędzy jednostką a gatunkiem, gdyż przez rodzinę człowiek wchodzi do stanu społecznego. Człowiek rozpatrywany jako jednostka istniejąca poza społeczeństwem to abstrakcja. Bez współżycia w społeczeństwie ludzie nie wytworzyliby żadnej kultury, pozostałoby na poziomie rozwoju zwierząt. Społeczeństwo jest zatem pierwotną rzeczywistością ludzką; cechy jednostek możemy wyjaśniać tylko przez odniesienie ich do społeczeństwa, do którego ludzie należą, a nie odwrotnie. Społeczeństwo jest organiczną całością i jego cechą dominującą jest wzajemna zależność i zgodność części składowych, gdyż wszystkie one uzupełniają się nawzajem i są dla siebie niezbędne. Stanem normalnym społeczeństwa jest spontaniczna harmonia, jednakże wskutek wielkiej swej złożoności często podlega ono schorzeniom i patologicznym zaburzeniom. W tej comte'owskiej teorii harmonijnego porządku, negującej rolę walki klas i piętnującej konflikty jako zjawiska patologiczne, przejawiały się nie tylko wspólne rysy wszystkich ideologii liberalnych. Znacznie ostrzej występuje tu wpływ katolickich teorii konserwatywnych, zapatrzenie się w ideał społeczeństwa hierarchicznego, w którym nie ma miejsca na walkę klas niższych z wyższymi.

Teoria rodziny zajmuje poważne miejsce w statyce społecznej Comte'a. Rozpatruje on dwa zasadnicze stosunki rodzinne: 1) stosunek między płciami, który tworzy rodzinę, 2) stosunek między pokoleniami, który ją podtrzymuje. Instytucja małżeństwa ulega ewolucji w ciągu dziejów, lecz pewne jej cechy są niezienne, gdyż wynikają z biologicznych cech organizmu mężczyzny i kobiety. Istota małżeństwa polega na podporządkowaniu kobiety mężczyźnie. Równość płci jest dla Comte'a chimerą, a dążenie do emancypacji kobiet przejawem anarchii panującej w epoce przejściowej. Badania biologiczne i socjologiczne wykazują niższość kobiety w porównaniu z mężczyzną i odmiennosć funkcji, które obie płcie mają do spełnienia. Mężczyzna przeważa intelektualnie, cechuje go również silna wola; kobieta jest niezdolna do trwałego wysiłku i nie posiada zdol-

ności do rządzenia. Rola społeczna kobiety wynika z jej uczuciowości. Kobiety górują nad mężczyznami rozwojem sympatii i uczuć społecznych o tyle, o ile stoją niżej intelektualnie. Tak więc ich funkcja w rodzinie i społeczeństwie polega na łagodzeniu zimnego i brutalnego rozumu mężczyzn przez pobudzanie uczuć oraz instynktu społecznego (za: Szczepański 1961: 66).

4. Spór o bezład płciowy, kazirodztwo oraz ewolucję rodziny

Odmienny typ badań prowadzili przedstawiciele etnosocjologii, zaliczani, ze względu na przyjęte hipotezy i głoszone teorie, do kierunku ewolucjonistycznego, który pojawił się pod wpływem dzieł Karola Darwina (1809-1882) i Herberta Spencera (1820-1903). Charakterystyce tego kierunku pod kątem teorii rodziny poświęcona została znakomita praca T. Szczurkiewicza „Rodzina w świetle etnosocjologii” (1969), za którą podaję charakterystykę tego kierunku.

Ewolucjoniści zakładali, że rozwój wszystkich społeczeństw ludzkich odbywa się w jednym kierunku i dokonuje się z immanentną koniecznością. Schemat rozwojowy jest tedy jeden i ten sam dla wszystkich społeczeństw ludzkich. Każde z nich przechodzi w swoich dziejach i przechodzić musi – jeżeli nie zostanie zniszczone w walce o byt przez inne społeczeństwa – pewne określone fazy czy stadia rozwojowe jednakowe dla wszystkich społeczeństw. Kolejność tych faz jest niezmienna i niezależna od czynników zewnętrznych. Przez porównawcze badanie kolejno po sobie następujących faz ustalał ewolucjonizm immanentne tendencje rozwojowe. Postępując zaś drogą odwrotną, tzn. porównując ze sobą fazy późniejsze z fazami kolejno wcześniejszymi, można, zdaniem ewolucjonistów, rekonstruować fazy już dziś niedostępne, odtwarzać naukowo uzasadniony obraz tych stadiów, które zapadły się już w mrok dziejów, ponieważ ludzkość współczesna już dawno je przeszła (za: Szczurkiewicz 1969: 246 i n.).

Pierwszym, który zastosował wszystkie założenia etnologicznego ewolucjonizmu do badania rozwoju rodziny i małżeństwa, był szwajcarski historyk prawa **Jan Jakub Bachofen** (1815-1887). W słynnym dziele *Das Mutterrecht* postawił hipotezę, według której rodzina, zwłaszcza monogamiczna, nie jest formą społeczną, istniejącą już w zaraniu dziejów ludzkich, ale wytworzoną dopiero w późnych fazach rozwojowych. Matry-

lineat, zdaniem Bachofena, jest wcześniejszy od patrylineatu, a tłumaczy się jako następstwo wcześniejszego bezładu płciowego. Pierwotnie ludzie żyli w hordach, w których nie znano małżeństw; każdy dorosły mężczyzna mógł obcować seksualnie z dowolną dorosłą kobietą z własnej hordy. W tych warunkach ojciec był zawsze *incertus* (niepewny), niewątpliwa była tylko matka. Konsekwencją tego stanu rzeczy było wyłonienie się matrylineatu, a nawet matriarchatu z chwilą przejścia do rolnictwa.

Hipoteza Bachofena zdobyła w etnosocjologii olbrzymie powodzenie (tamże: 247). Wykorzystał ją i ugruntował amerykański badacz **Lewis H. Morgan** (1818-1881), w dziele prezentującym ogólną teorię systemów powinowactwa i pokrewieństwa w rodzinie ludzkiej.

Punktem wyjścia w budowaniu schematu rozwojowego rodziny był dla Morgana hawajski system pokrewieństwa, który uważał za najprymitywniejszy i najuboższy, posiadający tylko generalizujące oznaczniki. W systemie hawajskim „bratem” lub „siostrą” nazywa mówiący nie tylko właściwych braci czy właściwe siostry, ale i wszystkich kuzynów i kuzynki z linii bocznych, choćby najdalszych, a więc nie tylko drugiego czy piątego, ale i dalszego stopnia pokrewieństwa. W ten sam generalizujący sposób używa się wyrazu „ojciec”, „matka”, „dziadek”, „babka” oraz wyrazu „dziecko”. Należący do tej samej generacji nazywają się między sobą „braćmi” względnie „siostrami”. System ten, w odróżnieniu od europejskiego, opiera się więc na przynależności nie do pojedynczej rodziny, lecz do grupy krewnych. Otóż Morgan z systemu hawajskiego wyprowadził wniosek, że u podstaw jego kryło się „małżeństwo grupowe” (tzw. *punalua*), a idąc jeszcze dalej wstecz, bezład płciowy (za: Szczurkiewicz 1969: 248).

Rozumowanie swoje opierał na częściowo słusznych przesłankach – że relikty językowe w postaci określonych nazw czy zwrotów trwają dłużej niż sytuacja, która je w przeszłości wywołała. W naszym języku obecnie takimi relikdami są powiedzenia np. „pał go sześć” (polecenie wydawane katu w czasie torturowania skazańca), „wyrwał się jak Filip z konopi”, czy „słowo się rzekło, kobyłka u płota”.

Z faktu więc, że określenia „ojciec” czy „matka” używano w stosunku do całej generacji mężczyzn i kobiet Morgan wysnuł wniosek, że jest to relikat istniejącego w przeszłości bezładu płciowego, który powodował, że ojciec nie był możliwy do wskazania.

Odkrycie systemów pokrewieństwa było wielkim dziełem Morgana; przed nim ani podróżnicy, ani misjonarze nie zauważali, że ludy pierwotne przestrzegają w życiu rodzinnym określonych reguł; w ich obyczajach widzieli tylko pogańskie praktyki lub dziwactwa. Do czasów Morgana prawie powszechnie panowało też przekonanie, że rodzina monogamiczna jest pierwotną formą rodziny, która bez zmian utrzymała się w toku dziejów. Morgan wykazał, że forma rodziny ulegała rozwojowi wraz z całym systemem kultury i sposobu życia, oraz że w toku tego rozwoju wytwarzały się swoiste systemy pokrewieństwa.

Według jego teorii pierwszą formą życia rodzinnego była horda, w której panował bezład płciowy: mężczyźni żyli w wielożeństwie, a kobiety w wielomęstwie. Z tej hordy bezładnie współżyjącej wyłania się pierwsza forma rodziny, którą Morgan nazywa rodziną opartą na pokrewieństwie lub rodziną kazirodczą, gdyż „polegała na obcowaniu małżeńskim między braćmi i siostrami, rodzonymi i bocznymi”. Ten typ rodziny znikł zupełnie i nie występuje nawet wśród najdzikszych ludów obecnie żyjących, lecz o jego istnieniu niegdyś świadczy system pokrewieństwa zwany hawajskim, występujący w całej Polinezji. Systemy pokrewieństwa wytworzone przez pewien typ rodziny mogą bowiem trwać dłużej niż sam ten typ; do zmiany systemu pokrewieństwa potrzebna jest nie tylko zmiana typu rodziny, lecz zjawienie się jakiejś nowej instytucji.

Z rodziny kazirodczej wyłoniła się rodzina „*punalua*”, czyli rodzina swoista, która „polegała na obcowaniu małżeńskim grup złożonych z wielu sióstr rodzonych lub bocznych z grupą wspólnych mężów, którzy nie musieli być spokrewnieni między sobą, a także na obcowaniu małżeńskim wielu braci rodzonych lub bocznych ze wspólnymi żonami, które mogły nie być spokrewnione między sobą, chociaż zdarzało się to często w obu wypadkach. W każdym razie, grupa mężczyzn obcowała pospolicie z całą grupą kobiet”.

Następny typ rodziny, który w toku rozwoju wyłonił się z rodziny „*punalua*”, to rodzina syndyasmiczna, czyli parzystą. Polegała ona na małżeństwie jednej pary, lecz nie mieszkającej wspólnie. Małżeństwo trwało tak długo, jak upodobanie z obu stron. Z rodziny parzystej powstała rodzina patriarchalna, która zasadzała się na małżeństwie jednego mężczyzny z wieloma kobietami i szła w parze z odsunięciem kobiet od stosunków z innymi. Ostatni etap ewolucji stanowi rodzina monogamiczna, występująca w społeczeństwie współczesnym; wytwarza ona także własny system pokrewieństwa, zwany przez autora systemem aryjskim.

Istotnym wkładem Morgana do nauki było twierdzenie, że pokrewieństwo nie jest faktem biologicznym, lecz instytucją społeczną, która reguluje stosunki między ludźmi i wyznacza ich wzajemne wobec siebie postępowanie (za: Szczepański 1961: 152 i n.).

Gdy Morgan opublikował swoje dzieło, F. Engels pisał pracę „O pochodzeniu własności prywatnej i państwa”. Teoria Morgana w pełni potwierdzała tok jego rozumowania w sprawach dotyczących rozpadu wspólnoty pierwotnej i wyłaniania się własności prywatnej, czemu towarzyszyć musiało – zdaniem Engelsa – powstanie rodziny monogamicznej i patriarchalnej. Pod wpływem Morgana zmienił on pierwotny tytuł swojej pracy, który ostatecznie brzmiał „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa”.

Według teorii **Engelsa** monogamia wytworzyła się z przyczyn ekonomicznych, związanych z powstaniem prywatnej własności. W tej sytuacji małżeństwo zostało uzależnione od klasowego położenia zainteresowanych i stało się efektem wyrachowania. „To małżeństwo z wyrachowania dość często staje się najordynarniejszą prostytutką – uprawianą czasem przez obie strony, o wiele częściej przez kobietę. Ta ostatnia różni się od zwykłej kurtyzany tylko tym, że swe ciało wynajmuje nie jako robotnica najemna – na akord, lecz sprzedaje je raz na zawsze w niewolę. [...] Jak w gramatyce dwa przeczenia dają potwierdzenie, tak samo w moralności małżeńskiej dwie prostytutki uchodzą za jedną cnotę” (Engels 1949: 216-217).

Zdobywające szeroki rozgłos i bardzo kontrowersyjne teorie ewolucjonistyczne zostały już w 1891 r. poddane krytyce przez fińskiego etnologa E. Westermarcka w jego książce „The History of Human Marriage” (Historia ludzkiego małżeństwa). W dziele tym po raz pierwszy została przeprowadzona obszerna krytyka teorii „bezlądu płciowego”. Westermarck dowodził, opierając się na danych etnograficznych, że pierwotną formą małżeństwa jest monogamia. Niedostrzeżenie teorii Westermarcka spowodowane było lukami w jego dowodach oraz powszechnością idei ewolucjonizmu.

W końcu XIX w. w Niemczech rozpoczęła się krytyka ewolucjonistycznej filozofii H. Spencera. Wraz z nią nastąpiła krytyka teorii ewolucjonistycznych w etnologii i socjologii. Krytyka ewolucjonizmu oznaczała również rewizję teorii dotyczących pierwotnych form rodziny, a zwłaszcza pierwotnego bezładu płciowego (za: Olszewska-Ładyka 1964: 21 i n.).

Do obalenia teorii ewolucjonistycznych przyczyniły się prace najwybitniejszych terenowych etnosocjologów oraz badaczy skupionych wokół twór-

cy kierunku funkcjonalnego w socjologii, **Bronisława Malinowskiego** (1884-1942). Do przedstawicieli tego kierunku należeli ponadto R. Thurnwald, R.H. Lowie, A.R. Radcliffe-Brown. Kierunek ten był niezwykle płodny i odkrywczy. W badaniach ludów pierwotnych, ich życia społecznego i społecznej organizacji zakładał istnienie pewnych podstawowych potrzeb ludzkich – na przykład zaspokojenia głodu, zaspokojenia seksualnego i inne. Wokół tych podstawowych potrzeb rozbudowane jest całe życie społeczne i kultura danej zbiorowości ludzkiej. Analiza badaczy studiujących życie zbiorowości ludzkich winna przede wszystkim zmierzać w kierunku pokazywania, jaką funkcję posiada analizowane zjawisko w całokształcie danej kultury, to znaczy, jakie w niej zajmuje miejsce, jaka jest jego rola w tej kulturze.

Funkcjoniści wysuwali wiele argumentów przeciw ewolucjonistycznym tezom o bezładzie płciowym jako pierwotnej formie życia rodzinnego i stopniowym wykształcaniu się z niego rodziny monogamicznej. Do najważniejszych argumentów zaliczyć można następujące (za: Szczurkiewicz 1969: 255 i n.):

- 1) U wszystkich ludów, bez względu na stopień ich kultury i rozwoju, stosunek małżeński jest wyraźnie odróżniany od pozamałżeńskich stosunków seksualnych między mężczyzną a kobietą. Zawsze i wszędzie, bez względu na takie czy inne formy małżeństwa, stosunek małżeński jest uważany społecznie za odmienny, a przede wszystkim w treści swej znacznie bogatszy od przygodnego stosunku seksualnego.
- 2) Zawsze i wszędzie małżeństwo ma charakter stosunku nie czysto prywatnego, lecz posiadającego doniosłość publiczną i z racji tej doniosłości podlega regulacji i sankcjom otoczenia społecznego (społeczeństwa). Małżeństwo więc ma wszędzie charakter instytucji społecznej. Regulacji i sankcjom otoczenia społecznego podlega:
 - a) sposób zawierania małżeństwa
Jeśli stosunek mężczyzny i kobiety ma być uznany przez otoczenie za stosunek małżeński, musi być przede wszystkim zawarty i ogłoszony publicznie w sposób zgodny z wymaganiami zwyczaju i obrzędowości rodzinnej, obowiązującej w danym społeczeństwie;
 - b) sama forma małżeństwa, czas jego trwania oraz warunki rozvodu;
 - c) wzajemne obowiązki i powinności małżonków;
 - d) obowiązki i powinności rodziców względem dzieci oraz dzieci względem rodziców.

Oczywiście, nie wszystkie te reguły muszą być wyraźnie sformułowane w danym społeczeństwie. Przy niskim stopniu refleksji człowieka prymitywnego nad zagadnieniami życia społecznego większość owych reguł nie jest w ogóle wyraźnie uświadomiona, ma raczej charakter faktycznie praktykowanego zwyczaju czy obyczaju, którego przekroczenie wywołuje w otoczeniu społecznym reakcję dezaprobaty. Te właśnie reakcje pozwalają etnografowi ustalić, co w danym społeczeństwie jest regułą, co zaś jej przekroczeniem, co uważane jest za właściwe, a co za niewłaściwe.

- 3) Zasada legalności. Zasada ta orzeka, że w prawie, obyczajach i moralności wszystkich społeczeństw ludzkich ojciec jest uważany za niezbędny element grupy rozrodczej. Kobieta musi wprzód wyjść za mąż, aby móc legalnie zająć w ciążę albo też późniejsze małżeństwo względnie akt adopcyjny daje dziecku pełny stan legalny. Inaczej bowiem dziecko niezamężnej kobiety nieodwołalnie nosi piętno niższego i nienormalnego stanowiska w społeczeństwie. Zasada legalności działa czasami pośrednio, lecz, ogólnie biorąc, prawo, które wymaga zawarcia małżeństwa przed zawiązaniem rodziny wydaje się powszechne.
- 4) Nie ma na kuli ziemskiej żadnego ludu żyjącego w trwałym bezładzie płciowym. Przede wszystkim fakty, które mogą sugerować obserwatorowi złudzenie bezładu płciowego występują u ludów nie najbardziej prymitywnych, lecz właśnie u znacznie wyżej stojących, wykazujących już przeważnie w swojej strukturze społecznej pewne rozwarstwienie, pewien podział na warstwy, a nawet klasy niższe i wyższe. I tam jednak małżeństwo, acz często poligyniczne czy poliandryczne, jest uważane za jedyną legalną podstawę rodziny, wolna miłość zaś czy nawet bezład płciowy są zjawiskami tylko przelotnymi lub okresowymi. U tych ludów jednak wolna miłość jest tolerowana społecznie tylko między osobnikami niezamężnymi i niezonatymi. Z chwilą zawarcia małżeństwa uprawianie pozamałżeńskich stosunków seksualnych jest wyraźnie zakazane lub przynajmniej uchodzi za niewłaściwe, budząc reakcje dezaprobaty.
- 5) Decydującym wszakże argumentem przeciw teorii pierwotnego bezładu płciowego i jego przeżytków w postaci poligynii czy poliandrii było i jest stwierdzenie dwóch faktów niewątpliwych, a mianowicie:
 - a) u najniżej stojących ludów, u Pigmejów i w ogóle u ludów, należących do tzw. niższego myślistwa, powszechną formą rodziny jest mała rodzina, oparta na małżeństwie monogamicznym. U niektórych tylko,

niewielu zaawansowanych w rozwoju, należących do niższego myślistwa, spotykamy się, wyjątkowo zresztą, ze sporadycznymi wypadkami poli-gynii fakultatywnej; ten i ów spośród bardziej wpływowych mężczyzn posiada więcej żon, jeżeli pozwala na to nadwyżka kobiet w hordzie czy gromadzie. Wyższa funkcja i pozycja społeczna daje mu większe uprawnienia społeczne, nieprzewidziane dla zwykłych członków gromady. I ten jednak objaw poli-gynii fakultatywnej tłumaczy się często wpływem zewnętrznym wyżej stojących sąsiadów;

- b) zjawiska poli-gynii czy poliandrii, w których ewolucjonizm dopatrywał się przeżytków pierwotnego bezładu płciowego, występują częściej dopiero na wyższych szczeblach rozwoju społeczno-gospodarczego, tam zwłaszcza, gdzie spotykamy już uwarstwienia czy podział klasowy w strukturze społecznej. Faktyczny związek chronologiczny, zachodzący między monogamią a poli-gamicznymi formami małżeństwa, jest więc dosłownie odwrotny od tego związku, który postulował ewolucjonizm w swoim schemacie rozwojowym. Nie monogamia jest zjawiskiem następczym poli-gamii, ale na odwrót: poli-gamia jest zjawiskiem następczym pierwotnej monogamii.

Przeciwko hipotezie bezładu płciowego przemawia wreszcie fakt, że najbardziej prymitywne, najstarsze budowle mieszkalne, które znajdujemy, to szałas służące małej, monogamicznej rodzinie; szałas kolektywne spotykamy dopiero u ludów wyżej stojących. I w tych jednak kolektywnych szałasach, nawet przy małżeństwach poli-gicznych i dominującej roli ustroju rodowego, każda kobieta posiadała własne ognisko, co dowodzi, że pewne zręby małej, monogamicznej rodziny nie giną właściwie nigdy i zachowują się w najmniej nawet sprzyjających warunkach.

- 6) Niezwykły rozwój i uściślenie metod badania terenowego w etnografii (zwłaszcza ludów egzotycznych), które dokonały się w ciągu XX w., pozwoliły również stwierdzić, że przesłanki empiryczne, na których opierała się hipoteza pierwotnego bezładu płciowego, były fikcyjne. Źródłem ich była powierzchowna obserwacja. Ewolucjonizm w etnologii czerpał dane faktyczne w przeważającej mierze z dzieł podróżników, u których pragnienie obiektywnego poznania instytucji społecznych ludów prymitywnych oraz naukowe przygotowanie do tego rodzaju badań stało w odwrotnym stosunku do ich żądzy awanturniczości i sensacji.

W tych warunkach jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że opisy etnograficzne, obojętne czy pochodziły od podróżników, czy nawet zawodowych etnologów, zawierały sporo nieścisłości. Przede wszystkim, przygodny obserwator obcego środowiska społecznego ma zawsze tendencje do uogólniania faktów sporadycznych indywidualnych, wyjątkowych i tą wyjątkowością zwracających uwagę. Tą drogą do etnologii często przedostawały się jako normalne, typowe te fakty, które w opisywanym społeczeństwie uważane były właśnie za anormalne lub dozwolone jedynie pewnym jednostkom. W każdym społeczeństwie znajdują się ludzie, których życie seksualne, małżeńskie i rodzinne odbiega od obowiązującej normy i trzeba nieraz dłuższego pobytu w danym środowisku, ażeby zrozumieć charakter społecznej anormalności zachowania się tych ludzi oraz dostrzec reakcje represyjne otoczenia. Z drugiej zaś strony często niezwykła, właśnie u ludów najniżej stojących, prostota form zawierania małżeństwa i zwyczajów towarzyszących temu zdarzeniu wywoływała niejednokrotnie u przygodnego obserwatora mylne przeświadczenie o niczym nieskrępowanej swobodzie nawiązywania stosunków seksualnych między mężczyzną a kobietą, o pożyciu ludów prymitywnych, upływającym w jakiejś wolnej miłości – przeżytku dawnej *promiscuitas*.

- 7) Bezład płciowy nie występuje u najbliższych nam kuzynów i kuzynek – małp człekokształtnych. Byłoby dziwne, gdyby właśnie człowiek, żyjący w gromadach wymagających większego ładu wewnętrznego i stałości organizacji niż stada małp, zaczął swoje dzieje społeczne od form anarchicznego współżycia obu płci.

5. Wybrane współczesne teorie i koncepcje

5.1. Teorie społeczno-kulturowe

Są to wyrastające z przeszłości ale bardzo żywe obecnie teorie na gruncie socjologii i antropologii kulturowej. F. Adamski (1982: 150 i n.) zalicza je do współczesnych teorii rodziny zdecydowanie odcinających się od jakichkolwiek wpływów ewolucjonistycznych. Rozważają one małżeństwo i rodzinę na tle społeczeństwa globalnego, i to zarówno pierwotnego, jak i industrialnego.

C. Levi-Strauss, nawiązując do tradycji socjologicznych Durkheima i Maussa, wychodzi z założenia, że małżeństwo i rodzina nie zasadzają się wyłącznie na dążnościach biologicznych człowieka ani jego potrzebach psychicznych, ale są wytworem organizacji życia społecznego. To nie uczucia wewnętrzne ludzi, ale organizacja społeczna stosunków pokrewieństwa określa wzajemne relacje wewnątrzmałżeńskie i rodzinne.

Charakter tych relacji jest wyznaczany w poszczególnych typach społeczeństwa przez typy struktury społecznej. Czynnikiem biologicznym odgrywa w tym względzie rolę drugorzędą. Zasadniczym czynnikiem określającym formy życia małżeńsko-rodzinnego jest zakaz kazirodztwa. Zakaz ten jest zarazem podstawowym elementem organizacji społecznej, on właśnie leży u podstaw rozwoju społeczeństw pierwotnych. Jego funkcją jest „uruchamianie” wymiany matrymonialnej, dzięki której ludzie nawiązują stosunek powinowactwa. Na skutek zakazu kazirodztwa zostaje ujęty w ramy instynkt seksualny człowieka pierwotnego, a zbiorowości ludzkie zostają podzielone na dwie grupy – te, w których ramach małżeństwa są zabronione i te dostarczające sobie wzajemnie partnerów do małżeństwa. Jest to podstawowa dychotomia, na której zasadza się pierwszy typ wymiany społecznej między ludźmi, noszący cechy wzajemności. Posiada ona swój aspekt negatywny – to znaczy zakaz zawierania małżeństw między rodzeństwem, i aspekt pozytywny – nakaz zawierania małżeństw między członkami różnych grup i zbiorowości. Istotną więc treść zakazu kazirodztwa nie wyczerpuje się w samym fakcie zakazu czegoś; ona z natury swej ma rodzić wymianę – wymianę mężczyzn i kobiet między poszczególnymi grupami; ona też stanowi regułę, normę wyrażającą pragnienie grupy nawiązania przyjaznych stosunków z drugą grupą i wyjścia z izolacji. Z tego punktu widzenia jest to norma pozytywna, środek łączenia, zespalania z sobą i przedkładania ponad naturalne więzy pokrewieństwa więzów sztucznych, o wzmożonej sile działania. Pozytywny aspekt egzogamii należy odczytywać także w tym, że afirmuje drugiego człowieka (po to zabrania małżeństw w ramach grupy, aby je zawierano między członkami różnych grup) i wskazuje na korzyści społeczne, które wynikają z faktu wymiany. Z tego względu egzogamia jest archetypem wszelkich przejawów wzajemności w stosunkach między ludźmi. Można zatem stwierdzić, że zasady pokrewieństwa i zawierania małżeństw zostały wypracowane przez człowieka pierwotnego (nieświadomie) dla zapewnienia integracji rodzin bio-

logicznych z grupą społeczną. Człowiek po to narzucił sobie zasadę egzogamii, aby społeczeństwo mogło się zorganizować i trwać. Gdyby społeczeństwo mogło istnieć bez wymiany, to zasady pokrewieństwa oraz doboru małżeńskiego nie stanowiłyby konieczności społecznej.

Małżeństwo jest w swej istocie niczym innym, jak wieloaspektową wymianą między grupami ludzkimi, które dzięki temu mogą ze sobą wchodzić w stosunki zażyłości i przełamywać barierę izolacji społecznej. Ta wymiana matrymonialna, rządzona zasadą egzogamii, jest w wielu społeczeństwach podobna do wymiany handlowej, gospodarczej. Wartość „towaru” będącego przedmiotem wymiany rośnie w miarę zmniejszania się jego obfitości. Podobnie i kobiety uzyskują wysoką wartość jako przedmiot wymiany ze względu na poligyniczne skłonności męskiej części społeczeństwa ludzkiego. Proces wymiany małżeńskiej ukształtował następnie wzory życia gospodarczego oraz model *homo oeconomicus* i w tym znaczeniu zasada egzogamii leży u podstaw organizacji społeczno-gospodarczej społeczeństw ludzkich na przestrzeni wielu wieków.

G. Tillion wychodzi z założenia, że koncepcje Levi-Straussa nie tłumaczą rzeczywistości małżeńsko-rodzinnej w każdej epoce historycznej i dowolnym miejscu na świecie. Jak twierdzi Tillion, należy odróżnić dwa odmienne typy społeczeństw ludzkich: społeczeństwa egzogamiczne – społeczeństwa dzikich, rzadko rozsiane na kuli ziemskiej i w zasadzie dziś już zanikające, oraz społeczeństwa endogamiczne, rozmnażające się, a nie zanikające, gęsto zamieszkujące kulę ziemską, których początki stanowiły społeczeństwa historyczne, znane badaczom na podstawie zachowanych śladów ich kultur i organizacji. Struktury rodzinne tych dwóch typów społeczeństw wiążą się z warunkami ekonomicznymi i demograficznymi. Struktury egzogamiczne są charakterystyczne dla społeczeństw żyjących z myślistwa, zbieractwa lub doraźnej uprawy ziemi. Ten typ życia gospodarczego wymagał pewnej integracji terytorialnej, co z kolei pociągało za sobą konieczność wymiany kobiet w obrębie większych grup sąsiedzkich. Wymiana kobiet (córek) dokonywała się tu za cenę obrony integralności terytorium. Aby móc wyżywić wszystkich członków grupy, należało dbać o zachowanie stosownych granic wzrostu ludnościowego. Najbardziej funkcjonalnym rozwiązaniem była stabilizacja demograficzna i z tej przyczyny musiano – dla przeciwstawienia się zanikowi liczebnemu grupy – otaczać dziecko szczególną opieką, ale też z drugiej strony – aby

się bronić przed zbyt dużym przyrostem naturalnym – prowadzić w pełnym tego słowa znaczeniu kontrolę urodzin.

Tym strukturom pierwotnym Tillion przeciwstawia struktury wtórne, endogamiczne, które zjawiały się tam, gdzie był wyższy poziom rozwoju gospodarczego, a więc u ludów o kulturze rolnej, charakteryzującej się oswojeniem zwierząt domowych, ludów rozwijających środki transportu i tworzących większe skupiska zamieszkania. Rozwój gospodarczy, nowe zasady uprawy ziemi oraz potrzeba zachowania i powiększania obszaru gruntów doprowadziły do zaniechania egzogamii i upowszechnienia endogamicznych form zawierania małżeństw. Warunki ekonomiczne wymagały tego, aby „zachować córki rodziny dla synów rodziny”. Rozwój gospodarczy wymagał stałego wzrostu liczby rąk do pracy – stąd nastawienie na liczne potomstwo. Starotestamentowe „bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną” było obowiązującym nakazem dla wielu znanych ludów historycznych, szczególnie w basenie Morza Śródziemnego. Doprowadziło to w konsekwencji do daleko idącej stabilizacji terytorialnej i zahamowania ruchów migracyjnych. Zanikał powoli obowiązujący dawniej zakaz związków małżeńskich w ramach grupy pokrewieństwa, następował rozpad rodziny monogamicznej, a dotychczasową troskę o utrzymanie ludnościowego *status quo* zastępowało przemożne staranie o liczebny wzrost ludnościowy, które Tillion nazywa „mentalnością populacjonistyczną”. Upowszechniająca się endogamia szła w parze z rozwojem nowych form życia rodzinnego, przybierającego charakter paternalistyczny i patriarchalny. Taki bowiem typ rodziny był funkcjonalny w panujących wówczas stosunkach społeczno-gospodarczych. Jednostka została w dużym stopniu uzależniona od grupy rodzinnej, a kobieta podporządkowana mężczyźnie i zepchnięta przede wszystkim do roli rodzicielki. Tego rodzaju struktury rodzinne ulegały pewnym modyfikacjom w społeczeństwach średniowiecznych i nowożytnych. Dawną zasadę endogamii wyparła dążność do zawierania związków małżeńskich w obrębie jednej klasy czy warstwy społecznej, podporządkowanie kobiety zastąpiła tendencja do jej emancypacji społecznej i małżeńsko-rodzinnej, a „mentalność populacjonistyczną” wyparła posunięta do granic roztropności kontrola urodzeń (za: Adamski 1982: 150-155).

5.2. Teorie rodziny nuklearnej i autonomizacji jednostki w rodzinie

Teoria rodziny nuklearnej zajmuje jedno z czołowych miejsc pośród nowych prądów w socjologii rodziny. Powstała i rozwinęła się w Stanach Zjednoczonych, ale przyjęła się i była rozwijana także na gruncie europejskim. Do jej rozpowszechnienia i ugruntowania przyczynili się tacy socjologowie jak: W.F. Ogburn, E.W. Burges, H.J. Locke czy wreszcie T. Parsons. Teoria ta obejmuje próbę wyjaśnienia kierunków zmian, którym ulega rodzina we współczesnych społeczeństwach, przekształcających się w społeczeństwa industrialne i miejskie. Próbuje ona wyjaśnić także rodzaje zmian zachodzących w strukturze rodziny, skupia tezy o rozpadzie wielkiej, trzypokoleniowej rodziny i pełnym usamodzielnieniu się rodziny małej i jej uniezależnieniu od rodziny dużej. Stwierdza ona ponadto, że w industrialnym i zurbanizowanym świecie dochodzi nieustannie do „oddalania się” rodziny małej od lokalnej społeczności. Na gruncie tej teorii mówi się także o izolacji społecznej małej rodziny, zwłaszcza w rodzinach miejskich, a przede wszystkim wielkomiejskich oraz o ograniczeniu jej funkcji. To powoduje, że rodzina z grupy społecznej o wielorakich funkcjach staje się wyspecjalizowaną grupą społeczną. Hipotezę tę miało potwierdzić stopniowe przejmowanie przez instytucje państwowe i społeczne funkcji opiekuńczo-wychowawczych, produkcyjnych, a częściowo także innych, które do niedawna były pełnione wyłącznie przez rodzinę. Tak więc istotną tezą teorii rodziny nuklearnej jest twierdzenie, że funkcje rodziny w społeczeństwie industrialnym, miejskim ulegają redukcji. Na przykład, według Ogburna, rodzina straciła wiele ze swych przedindustrialnych funkcji, tak że we współczesnej rodzinie pozostały tylko dwie funkcje, a mianowicie prokreacyjna i emocjonalna (zob. Turowski 1975: 244).

Inną ważną rzeczą, na którą zwraca się uwagę, jest indywidualizacja i autonomizacja jednostki w rodzinie współczesnej. Ta indywidualizacja jednostki w rodzinie przejawia się między innymi w emancypacji kobietyżony. Proces ten dokonuje się poprzez jej przejście do pracy zawodowej. Kobieta nie jest już uwikłana wyłącznie w rolę wewnątrzrodzinną. Szerszy jest zasięg jej aktywności pozarodzinnej i większe szanse na pełnienie ważnych ról w społeczeństwie. Zwolennicy teorii rodziny nuklearnej mówią też o utrwalaniu się egalitaryzmu i partnerstwa w rodzinnych stosunkach.

Autonomizacja jednostek przejawia się także w zupełnie wolnych i samodzielnych decyzjach, m.in. dotyczących wyboru współmałżonka, w zmniejszaniu się autorytetu męża-ojca i wzroście autorytetu żony-matki. Jeśli chodzi o pozycję dzieci, to w świetle omawianej teorii jej indywidualizacja dokonuje się i zachodzi poprzez uwalnianie się dzieci od arbitralnej władzy rodziców. Dochodzi do niezależnienia się pozycji dzieci w rodzinie, co przejawia się w zwalnianiu ich od pełnienia wielu ról w gospodarstwie domowym, samodzielnym wyborze przez nie zawodu, form spędzania wolnego czasu czy rozrywki. Procesy indywidualizacji dzieci, zwłaszcza w miejskiej rodzinie, prowadzą często do konfliktów pomiędzy rodzicami i dziećmi.

Więź małżeńska oraz więź między ojcem, matką a dziećmi ulega zmianie i opiera się głównie na związkach emocjonalnych, a nie rzeczowych i funkcjonalnych zależnościach, wynikających z pełnionych ról i zadań rodziny (zob. Turowski 1972).

Mała rodzina nuklearna ewoluuje, zdaniem autorów, od „instytucji” do „związku przyjaźni”. Oznacza to przewagę tak zwanej więzi emocjonalnej, osobistej i duchowej we współczesnej rodzinie. Wzajemne obcowanie i współżycie opiera się na interakcji osobowości w małżeństwie oraz na bezpośrednich stosunkach bez jakichkolwiek dystansów między rodzicami a dziećmi. Przedstawiciele tej teorii twierdzą również, że zmniejsza się wewnętrzna spójność i jedność małej rodziny. Przeciwno zmniejszeniu się tej spójności przemawia, jak się wydaje, natężenie wielu zjawisk patologicznych w życiu rodzinnym, które zaistniały wraz z rozwojem procesów urbanizacji i industrializacji w świecie. Do tych patologicznych zjawisk należały i należą między innymi takie, jak: wzrastająca liczba rozwodów czy wzrost aktywności seksualnej partnerów poza małżeństwem.

Proces rozpadu spójności rodziny dużej i proces formowania się rodziny małej przebiega szybko przede wszystkim w zurbanizowanych, wielkomiejskich środowiskach, których jest coraz więcej. W tych wielkich aglomeracjach działają bowiem intensywnie zjawiska, które mają wpływ na ten proces i stale go podtrzymują. Zaliczyć można do nich zmianę systemu zatrudnienia i pracy, rozwój i wzrost instytucji zabezpieczających i ubezpieczających, wzrost osobistej i ekonomicznej niezależności oraz ruchliwość społeczną i przestrzenną ludności. W sytuacji, kiedy wiele funkcji całkowicie lub częściowo przejęły instytucje państwowe i społeczne, reali-

zujące bardzo różne i ściśle określone formy aktywności (np. opieka, wychowanie, asekuracja, rekreacja), rodzina może być znacznie mniejszych rozmiarów, bo jest zwolniona z pełnienia tych funkcji, które dawniej były jej przypisane. Talcott Parsons twierdził i podkreślał w swoich rozważaniach, że społeczeństwo industrialne charakteryzuje się dużym stopniem przestrzennej i zawodowej ruchliwości, a do tego zjawiska nie jest przystosowana duża grupa rodzinna, bo cechuje ją stabilność zamieszkania i zawodowa ciągłość. To powoduje, że nie pasuje ona do takich zjawisk jak ruchliwość zawodowa oraz przestrzenna, które znamionują współczesne społeczeństwa industrialne i zurbanizowane. Społeczeństwo przemysłowe, tworząc wciąż nowe sposoby i ośrodki produkcji oraz nowe centra skupisk ludzkich, wymaga od jednostek i rodzin dużej ruchliwości społecznej i przestrzennej. Tę cechę posiada przede wszystkim mała, wyizolowana rodzina. Składając się z niewielu osób, stosunkowo łatwo może ona zmieniać miejsce zamieszkania, a panująca w niej duża autonomia jednostki w realizowaniu własnych uzdolnień, zamiłowań i aspiracji daje jej swobodę wyboru wykształcenia, zawodu i pracy. Cech tych nie posiada natomiast duża rodzina. Jest ona bowiem stabilna lokalnie i społecznie. Występuje w niej dość często zjawisko ciągłości zawodowej, a to znaczy, że zarówno rodzaj zajęć jak i zawód przechodzą z ojca na syna, a potem na wnuka.

W miarę dochodzenia do wysokiego stopnia uprzemysłowienia następuje więc rozpadanie się dużych grup pokrewieństwa. Dochodzi do powstania małych rodzin, które mogą łatwo zmieniać miejsce pobytu. Także z racji psychospołecznych mała, niezależna rodzina o wiele bardziej odpowiada uprzemysłowionemu społeczeństwu aniżeli rodzina duża. W rodzinie małej istnieją bowiem intensywne więzi osobowe, które sferę życia duchowego zmęczonej schematyczną i zautomatyzowaną pracą jednostki regenerują wszechstronnie i szybciej niż w rodzinie dużej, w której regeneracja sił psychofizycznych, z powodu dużej liczby kontaktów rzeczowych, dokonuje się wolniej.

Parsons i bliscy jego poglądom socjologowie zaczęli niezależną, wyizolowaną rodzinę małą przeciwstawiać rodzinie dużej. Pierwszy typ rodziny łączyli z uprzemysłowieniem i miastem oraz z przyszłością, drugi z wsią i przeszłością. Byli przekonani, że istnieje zupełnie odmienny styl życia miejskiego i wiejskiego, a co za tym idzie, w tak różnych środowiskach muszą funkcjonować odmiennie typy życia rodzinnego (zob. Dyczewski 1976: 14).

Tak więc można powiedzieć, że teoria rodziny nuklearnej to wynik poszukiwania odpowiedzi na pytanie dotyczące wzajemnego stosunku zmieniającego się życia społecznego i życia rodzinnego. To również próba odpowiedzi na pytanie, jaki wzór życia rodzinnego ugruntowuje się i rozprzestrzenia we współczesnych zindustrializowanych i zurbanizowanych społeczeństwach.

W ujęciu tej teorii rodzina traci większą część swoich dawnych funkcji na rzecz różnego rodzaju instytucji społecznych i państwowych. Można więc za Parsonsem stwierdzić, że funkcje rodziny ograniczają się do integracyjno-ekspresyjnej, prokreacyjnej i wychowawczej (zob. 1972).

Koncepcja ta zajmuje ważne miejsce w historii socjologii rodziny, pomimo że pod wpływem głębszych studiów teoretycznych oraz badań empirycznych poddano ją w późniejszym okresie pewnej krytyce (także na gruncie polskim, szeroko zajmował się tym problemem Jan Turowski). Ale koncepcja teorii autonomicznej, wyizolowanej małej rodziny okazała się na tyle istotna, że stała się źródłem wielu inspiracji badawczych, systematycznych studiów oraz doczekała się wielu późniejszych opracowań, w tym także polemicznych. Teoria ta bowiem wzbudziła obawy, czy rozwój tego typu rodziny nie pójdzie w kierunku liberalnym, czego przejawami może być rosnąca stale liczba rozwodów i malejąca stopa przyrostu naturalnego, emancypacja kobiet i osłabienie poczucia obowiązków rodzicielskich. Parsons wyraża tu pełny optymizm, stwierdzając, że rodzina przebrnie przez owe trudności. Spadek urodzeń wiąże się z sytuacją ekonomiczną i wzrastającymi potrzebami rodziny, które przecież będą coraz lepiej zaspokajane. Rozpad małżeństwa obserwuje się głównie w okresach przełomowych, po kataklizmach dziejowych (jak wojna) i dotyczy on częściej małżeństw bezdzietnych. Ale, niezależnie od tego, rozwód nie prowadzi do negacji i rezygnacji z małżeństwa, bo rozwodzący się w ogromnej większości zawierają powtórne związki małżeńskie. Co więcej, obecnie – gdy warunki ekonomiczne stwarzają nieporównanie lepsze szanse życia w samotności, poza małżeństwem – minimalna jest liczba kobiet, a także mężczyzn, żyjących w stanie pozamałżeńskim. W sumie Parsons konkluduje, że nie ma mowy o jakimś kresie rodziny w społeczeństwie przyszłości. Rodzina jest powołana do wykonywania coraz bardziej wyspecjalizowanych funkcji, których nie jest w stanie przejąć żadna inna instytucja.

Małżonkowie będą – w przyszłości nawet pełniej niż dotąd – znajdować w niej możliwości uzupełniania swych osobowości, przeżywania bogactwa życia we dwoje. Z socjologicznego punktu widzenia rozwód można przecież traktować jako swego rodzaju „klapę bezpieczeństwa” dla nieprzezwycięzalnych trudności życia małżeńskiego oraz jako przejaw dążenia do osiągnięcia takiego idealnego układu stosunków małżeńskich, jakiego dotąd nie było, a który jest niezbędny dla zachowania równowagi psychicznej małżonków mających w sposób właściwy socjalizować swe dzieci. Aczkolwiek dokonana analiza rodziny odnosi się do społeczeństwa amerykańskiego, Parsons nie widzi przeszkód w stosowaniu jej przy opisie także innych społeczeństw zindustrializowanych i zurbanizowanych (za: Adamski 1982: 157-158).

Koncepcja teorii autonomicznej, wyizolowanej rodziny okazała się źródłem wielu inspiracji badawczych i systematycznych, teoretycznych studiów. Z czasem zaczęto poddawać rewizji założenia tej teorii. Konfrontowano je z wzorami rodziny funkcjonującymi w różnych warstwach społecznych i różnych społeczeństwach, począwszy od krajów trzeciego świata, a skończywszy na krajach o najwyższym stopniu zindustrializowania i zurbanizowania. Wśród socjologów wystąpiły dość daleko idące różnice poglądów co do tego, czy wyizolowana rodzina mała jest konsekwencją uprzemysłowienia i modelem przyszłościowym czy też nie, czy rodzina duża zniknie z nowoczesnych społeczeństw czy będzie się nadal rozwijać, ale w zmienionej postaci. Ciekawe wydaje się to, że do takiego obrotu sprawy w dużym stopniu przyczynili się etnologowie, którzy, w przeciwieństwie do socjologów, nie koncentrowali się tylko na rodzinie małej, ale bez przerwy prowadzili badania nad rodziną dużą i systemami pokrewieństwa w nowoczesnych społeczeństwach.

G.P. Murdock zbadał blisko 350 społeczeństw i stwierdził, że struktury pokrewieństwa, które w nich funkcjonują, nie ulegają radykalnej zmianie ani nie upadają pod wpływem zetknięcia się z nowoczesną cywilizacją. Struktury te raczej ewoluują, rozwijają się i dostosowują do nowych potrzeb, a działania przez nie podejmowane są zgodne z wymogami stawianymi przez zmieniające się warunki życia społecznego (zob. Murdock 1949). Do podobnych wniosków doszli J. Benner i L. Despres. Badali oni struktury pokrewieństwa w kilku społeczeństwach, które już były zindustrializowane. Wynikiem tych badań było stwierdzenie, że nowoczesne

systemy ekonomiczne, które tam wprowadzono, funkcjonują w zgodności z tradycyjnym systemem pokrewieństwa. Rodziny dopasowują się do niego, asymilują, ale następuje to stopniowo i powoli, a do gwałtownych zmian nie dochodzi. Tak więc badania antropologiczne rzuciły pewien cień na teorię nuklearnej rodziny i okazały się pomocne przy krytycznej analizie tej teorii.

Pojawiły się też poglądy, że rodzina mała jest starsza niż industrializacja, że na rozwój tej formy życia rodzinnego większy wpływ wywarła reformacja w XVI w., niż rewolucja przemysłowa w wiekach XIX i XX. Podobnie, zdaniem wielu innych badaczy, nie można łączyć zależnością przyczynową pojawienia się rodziny małej z rozwojem industrializacji i urbanizacji. S. Grenfield, który przestudiował rozwój procesu industrializacji w zachodnich społeczeństwach, wyciągnął wniosek, że występowanie małej rodziny nie było koniecznym następstwem postępującej industrializacji i urbanizacji społeczeństw. Stwierdza on, że mała rodzina istniała już przed rewolucją przemysłową, a duża rodzina z kolei istnieje nadal w społeczeństwach industrialnych i wcale nie zanika.

Jak wiemy, autorzy teorii rodziny małej – Ogburn, Nimkoff, Parsons, a także inni – uważali, że pod wpływem gwałtownego rozwoju industrializacji i urbanizacji załamują się dawne struktury społeczne. To przejście od społeczeństwa typu rolniczego do przemysłowego niszczy więc stare hierarchie wartości, wzory postępowania i stosunki społeczne, zamiast których wytwarzają się zupełnie nowe. Zdaniem autorów teorii małej rodziny proces ten obejmuje także strukturę rodzinną, sieć pokrewieństwa (która zawęża się do jak najmniejszej liczby osób, najczęściej do najbliższych krewnych) i wzory więzi małżeńsko-rodziny. W rezultacie tych wszystkich zachodzących równocześnie procesów powstaje i kształtuje się zupełnie odmienny wzór rodziny, i to przede wszystkim rodziny miejskiej. Pozycja naukowa socjologów głoszących upowszechnianie się niezależnej, wyizolowanej małej rodziny, konsekwentne uzasadnianie jej adekwatności do społeczeństwa przemysłowo miejskiego, a także przekonanie wielu socjologów europejskich, że to co dzieje się w Stanach Zjednoczonych, będzie się także działo w innych rozwijających się krajach sprawiły, że teoria mówiąca o powstaniu niezależnej, wyizolowanej rodziny dość szybko zyskała w Europie dużą popularność. Stała się modna i coraz więcej publicystów powoływało się na nią.

Jednak pogłębione analizy więzi rodzinnej i struktury pokrewieństwa prowadzone przez socjologów z różnych krajów wykazały, że nie da utrzymać się tej teorii w całej rozciągłości. Nie ma bowiem aż tak bardzo gwałtownych przejść z jednej formy życia rodzinnego w drugą. Dlatego polemizowano z teorią rodziny biologicznej, a do zakwestionowania faktu, że jest ona w nowoczesnym społeczeństwie najbardziej rozpowszechnionym typem rodziny przyczyniły się szeroko zakrojone badania empiryczne nad strukturą pokrewieństwa, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie. Charakterystyczne jest przy tym, że narastająca krytyka wyizolowanej, małej rodziny łączy się ze wzrostem zainteresowania problemami ludzi w starszym wieku. Nastąpiło to w II połowie XX w., kiedy w grupie najbardziej rozwiniętych krajów liczba osób starych zaczęła się powiększać i kiedy zaczęto się bardziej interesować ich sytuacją życiową. Dokładne badania warunków życia i powiązań osobowych ludzi starszych wykazały, że nie tak znów rzadko mieszkają oni wspólnie z dziećmi oraz wnukami i nie są pozbawieni kontaktów ze swoimi rodzinami.

Tak więc twierdzenia autorów teorii rodziny nuklearnej, mówiące o jej izolacji od krewnych, okazały się nie do końca prawdziwe. Już pierwsze wyniki badań przeprowadzonych w USA (badania empiryczne M.B. Sussmana) czy w Anglii (badania P. Townsenda) przyniosły wyniki zaskakująco odmienne od hipotez wysuwanych przez teoretyków autonomicznej, wyizolowanej, małej rodziny. Wykazały one bowiem, że zarówno całe rodziny, jak i poszczególni ich członkowie są powiązani w różnoraki sposób z dość szerokim kręgiem krewnych. Żywołność stosunków rodzinnych wychodzących poza małą rodzinę potwierdzały także badania socjologiczne w takich krajach jak Austria, RFN, Francja, Dania, Kanada, Polska. Te badania wykazały, że chociaż życie kilku generacji w jednej społeczności domowej nie jest już przeważającą formą życia rodzinnego, jak to było w epoce przedindustrialnej, to nie jest też ono zupełnie obce współczesnemu społeczeństwu. Nawet w krajach wysoko zindustrializowanych i zurbanizowanych pokolenie najstarsze częściej niż można się było tego spodziewać mieszka razem ze średnim i najmłodszym. Już w latach 40. XX w. J.H. Sheldon, badając warunki życiowe starszych ludzi w Wielkiej Brytanii stwierdził, że z dziećmi i wnukami utrzymywali oni częste i różnorodne kontakty, i to niezależnie od tego, czy mieszkali razem z nimi czy osobno. Rodzina posiadała dla nich podstawowe znaczenie. Z wielu studiów euro-

pejskich i amerykańskich wynika, że dzieci i wnuki są głównymi gośćmi ludzi starszych, przychodzą częściej niż sąsiedzi i znajomi, mimo że miejsce ich zamieszkania jest nieraz dość odległe; także starzy rodzice często odwiedzają swoje dzieci i wnuki. Badania porównawcze wykazują, że około dwóch trzecich rodziców w starszym wieku ma codzienny kontakt z dziećmi i wnukami: 62% w Danii, 65% w Stanach Zjednoczonych, 69% w Anglii, 67% w RFN, 73% w Budapeszcie (zob. Dyczewski 1976: 19 i n.). W Polsce 71% pracowników umysłowych, 80% fizycznych i 89% rolników widuje się z dziećmi lub wnukami codziennie lub prawie codziennie. Kompleksowe badania porównawcze przeprowadzone w ostatnich latach z inspiracji i pod kierownictwem Międzynarodowej Organizacji Gerontologicznej wykazały, że w Danii 75% spośród osób 65-letnich i starszych mieszka albo razem z jednym ze swych dzieci, albo stosunkowo blisko niego. W Anglii odsetek ten wynosi 82, w Stanach Zjednoczonych 77, w Polsce 88, w Niemczech 82. Z badań tych wynika, że pomimo dużej ruchliwości przestrzennej i społecznej, która występuje w nowoczesnym zurbanizowanym społeczeństwie, wśród przedstawicieli wszystkich pokoleń rodzinnych istnieje silna tendencja do osiedlania się w pobliżu siebie. Tak więc można zaryzykować stwierdzenie, że w dzisiejszych społeczeństwach istnieje nadal, wbrew opiniom „nuklearystów”, żywotna więź pokrewieństwa wychodząca poza ramy małej rodziny.

W dyskusji na temat zmian w funkcjach rodziny współczesnej nie zauważono i nie doceniono należycie dwóch bardzo ważnych procesów, które ukazane zostały w badaniach w Polsce.

Pierwszym z nich jest zjawisko tzw. intensyfikacji funkcji rodziny, zarówno zasadniczych (uniwersalnych), jak i historycznych, częściowo zredukowanych. Stwierdzono w rodzinie polskiej intensyfikację funkcji tzw. integracyjno-ekspresyjnej, zwanej funkcją emocjonalną czy też funkcją wzajemnej adaptacji. (zob. Turowski 1975: 245).

Ten proces intensyfikacji dotyczy również funkcji, które uległy największej redukcji. Przykładem jest funkcja wychowawcza rodziny. Choć została ona częściowo przejęta przez instytucje społeczne i państwowe, to jednak w nowych warunkach wymaga od rodziców zarówno więcej czasu dla jej wykonywania, jak również większego nakładu środków. Oznacza to, że chociaż obecnie szkoła, przedszkole i różne organizacje w pewnym stopniu wyręczają rodzinę w wychowywaniu, to jednak rodzice (lub jedno

z nich) muszą dziecko przygotować do wyjścia do szkoły, pomagać w odrabianiu lekcji, wygospodarować mu czas na naukę, kontrolować jego zachowanie itd. Ten proces intensyfikacji związany jest ze zjawiskiem usamodzielnienia się funkcji, tj. z rozdzieleniem się, zarówno co do czasu, jak i miejsca, czynności, które składały się na poszczególne funkcje rodziny; w tradycyjnej rodzinie chłopskiej czynności te mieszały się ze sobą, łączyły się i mogły być wykonywane komplementarnie.

Usamodzielnienie się funkcji wystąpiło również bardzo silnie w rodzinie miejskiej wskutek przejścia kobiety do pracy zawodowej poza domem. Wykonywanie pracy zarobkowej poza domem uniemożliwia kobiecie łączenie ról domowych z pracą zawodową, podczas gdy w tradycyjnej rodzinie takie zespolenie było możliwe. I to właśnie usamodzielnienie się, wyodrębnienie się poszczególnych funkcji i ról pełnionych przez kobietę pracującą zawodowo jest źródłem napięć i kolizji, których dodatkową przyczyną są trudności w pogodzeniu tychże ról.

A zatem teza o linearnej zmianie rodziny, która przechodzi od grupy wielofunkcyjnej do wyspecjalizowanej i teza o redukcji funkcji historycznych i podstawowych nie znajdują potwierdzenia. Natomiast można mówić o modyfikacji funkcji w rodzinie, stwierdzając częściową redukcję niektórych z nich, ale jednocześnie dostrzegając intensyfikację funkcji zredukowanych i usamodzielnienie się poszczególnych funkcji (tamże: 247).

Jak podkreśla L. Dyczewski (1981: 69), „Zarówno badania rodzime jak i obce wykazują, że w nowoczesnym społeczeństwie żywotne są normy moralne, nakazujące krewnym udzielanie sobie pomocy. Odległość przestrzenna i rozdzielanie gospodarstw domowych wcale nie muszą powodować wyizolowania się jednostek i rodzin z szerszego kręgu pokrewieństwa. Także ruchliwość przestrzenna i społeczna nie niszczą więzi pokrewieństwa [...] Już studia W.J. Thomasa i F. Znanieckiego nad emigracją chłopów polskich do Ameryki wykazały, że odległość geograficzna nie niszczy rodzinnych więzi między krewnymi różnego stopnia”.

Jan Turowski zaś, biorąc pod uwagę syntezę wyników badań polskich socjologów stwierdza: „Powierzchnowa okazała się teza o indywidualizacji małej rodziny, i to zarówno w stwierdzeniu o zaniku wspólnoty zamieszkiwania i gospodarstwa domowego w obrębie zredukowanej czy zmodyfikowanej rodziny dużej, jak i przede wszystkim żywotności związku między usamodzielnioną rodziną małą, a rodzinami macierzystymi czy też

rzekomym zanikiem stosunków pokrewieństwa między rodziną małą a dal-
szym rodzeństwem” (Turowski 1972).

Można powiedzieć, że rezultatem empiryczno-teoretycznego dialogu między przedstawicielami teorii autonomicznej, wyizolowanej rodziny ma-
łej a jej oponentami jest stwierdzenie, że w nowoczesnym społeczeństwie
rodzina mała, dwupokoleniowa stanowi tylko jeden z typów rodziny w nim
występujących. Ponadto ta mała rodzina, składająca się z pary małżeńskiej
i niesamodzielnych jeszcze dzieci wcale nie musi być, jak twierdzili nu-
klearyści, i faktycznie nie jest wyłączona z szerszego kręgu pokrewień-
stwa. Więzy rodzinne istnieją nadal i nie zanikają.

5.3. Koncepcja zmodyfikowanej rodziny rozszerzonej

Pogłębione studia nad teorią rodziny nuklearnej doprowadziły do sformu-
łowania tezy, że taka forma życia rodzinnego co prawda istnieje, ale
jest tylko jedną z wielu form występujących we współczesnych społe-
czeństwach. Istotnym i powszechnym zjawiskiem jest natomiast zmody-
fikowana rodzina duża (rozszerzona). W tej rodzinie znajdujemy wysoki
stopień trwałej wzajemnej pomocy chociaż jej członkowie nie mieszkają
pod jednym dachem, a nawet zamieszkują w pewnym oddaleniu od siebie.

W tradycyjnej rodzinie dużej występowało wspólne zamieszkanie
wszystkich członków rodziny oraz daleko idąca wzajemna pomoc pomię-
dzy krewnymi różnego stopnia. Pomoc ta wiązała się również z różnymi
formami ingerencji w ich prywatne życie. Ani w rodzinie małej, ani w zmo-
dyfikowanej dużej nie występują te zjawiska.

Czołowym teoretykiem zmodyfikowanej rodziny jest E. Litwak. Przy
tworzeniu typologii rodzin istniejących w obecnym społeczeństwie wziął
on pod uwagę cztery kryteria: bliskość zamieszkania dorosłych członków
rodziny, więź uczuciową, trwałe formy zabezpieczenia i pomocy oraz
socjalizację.

Bazując na tych kryteriach, wyróżnił cztery typy rodzin: rodzinę dużą
(szeroką), rodzinę dużą zmodyfikowaną, wyizolowaną rodzinę małą –
nuklearną i – jako czwarty typ – rodzinę, która ma charakter związku
przyjacielskiego i raczej nie posiada cech instytucjonalnych.

Zmodyfikowana rodzina duża charakteryzuje się, zdaniem Litwaka,
tym, że w rzeczywistości składa się na nią kilka małych rodzin znajdujących
się w częściowej zależności od siebie. To znaczy, że kilka rodzin wymienia

między sobą usługi, świadczy sobie wzajemną pomoc i nie zrywa więzi krewniaczych (jest to więc coś przeciwnego do tego, co twierdzili zwolennicy teorii małej rodziny nuklearnej). Ta wzajemna pomoc, świadczona w różnych dziedzinach życia, jest tym co różni rodzinę zmodyfikowaną dużą od małej biologicznej rodziny. Natomiast tym, co ją różni od dużej, tradycyjnej, wielopokoleniowej rodziny jest autonomia poszczególnych małych rodzin. Te rodziny nie są od siebie zależne ani przez czynniki geograficzne (choćby nieraz ze sobą zamieszkują), ani przez czynniki ekonomiczne. Od klasycznej dużej rodziny różni się ona także tym, że nie ma w niej zawodowej ciągłości, nie ma hierarchicznej patriarchalnej struktury. Cechuje ją także istnienie silnej wewnętrznej więzi pomiędzy członkami rodziny, ale nie więzi strukturalno-przedmiotowej, jak to było dawniej, lecz osobowej i uczuciowej.

Litwak założył zgodnie z istniejącym stanem rzeczy, że zmodyfikowana rodzina rozszerzona funkcjonuje i istnieje na dwa sposoby i w dwóch różnych wariantach.

Wariant pierwszy to młoda rodzina prokreacyjna, która żyje wspólnie z krewnymi pod jednym dachem, najczęściej są to rodzice lub jedno z rodziców małżeńskiej pary; jest to więc rodzina wielopokoleniowa. Dla rodziny takiej charakterystyczne jest, że obie strony, pomimo wspólnego zamieszkiwania, są bardzo często od siebie niezależne pod względem ekonomicznym, chociaż często także prowadzą wspólne domowe gospodarstwo. Jak wykazują badania, ten typ rodziny rozszerzonej występuje częściej w Polsce niż w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz w Europie Zachodniej i Środkowej.

Jest kilka przyczyn takiego stanu rzeczy. Rodzina zawsze była w Polsce bardzo silną i znaczącą grupą, która w dużym stopniu organizowała życie jej członków. Według E. Wnuka-Lipińskiego Polacy bardzo cenią rodzinę; w „Katalogu wartości” wspólnych dla większości naszego społeczeństwa znajduje się ona na czołowym miejscu. Rodzina pełni funkcję azylu i schronienia przed trudami codziennego życia. Do niej powraca się chętnie i często. Innym ważnym, choć w sumie dość specyficznym czynnikiem wpływającym na istnienie rodzin wielopokoleniowych jest u nas problem mieszkaniowy.

Drugi wariant zmodyfikowanej rodziny dużej charakteryzuje się tym, że składa się ona z kilku małych rodzin mieszkających oddzielnie w sto-

sunku do swych rodzin pochodzenia oraz do siebie, ale zachowujących trwale więzi emocjonalne wobec siebie i świadczących sobie wzajemną pomoc. M. Trawińska (1967) jest zdania, że „w społeczeństwie nowoczesnym, dynamicznym jak nasze, gdzie jednostki nie zawsze osiągają pożądane przez siebie pozycje na skali prestiżu czy dochodu itp., rodzina pełni doniosłą rolę kompensacyjną przez intensyfikowanie którejś ze sfer życia”. Komentując wyniki prowadzonych przez siebie badań stwierdza, że „start młodych powszechnie odbywa się w oparciu o pomoc rodziców”.

W podsumowaniu można powiedzieć za L. Dyczewskim, że wydaje się, iż najbardziej odpowiednia dla współczesnego społeczeństwa i człowieka jest rodzina rozszerzona, w której nie wszyscy zamieszkują razem, ale są ze sobą w ścisłej łączności. Rodzina ta może pełnić wiele pożytecznych funkcji, a ponadto pozwala unikać napięć i konfliktów, które mogłyby wyniknąć ze wspólnego zamieszkiwania z krewnymi, chociażby to byli rodzice (Dyczewski 1981: 78).

W Polsce funkcjonują różne typy rodzin. Mała rodzina nuklearna jest raczej obca naszej kulturze i tradycji, ale mimo to istnieje, choć odsetek tych rodzin nie jest dokładnie znany w skali ogólnopolskiej.

III RODZINA JAKO INSTYTUCJA SPOŁECZNA

Rodzina stanowi jeden z najbogatszych wytworów społecznych. Jest ona przy tym w dużym stopniu odzwierciedleniem społeczeństwa, w którym występuje. To ukształtowane w niej zasady życia zbiorowego dały początek szerszym organizacjom: rodowej i narodowej, społecznej i państwowej oraz ich instytucjom. Rodzina jest więc rzeczywistością wielowymiarową. Dlatego też socjologia stosuje w odniesieniu do niej trzy ważne kategorie pojęciowe: instytucji społecznej, grupy społecznej oraz systemu społecznego.

1. Pojęcie instytucji społecznej

Pomimo że w potocznym odczuciu rodzinę dostrzegamy przede wszystkim jako grupę społeczną, to jednak w strukturze świata społecznego stanowi ona przede wszystkim jedną z najważniejszych (jeżeli nie najważniejszą) i najpowszechniejszych instytucji społecznych, bez której niemożliwe byłoby istnienie społeczeństwa i kultury. I tutaj pojawia się problem właściwego rozumienia pojęcia „instytucja”, które należy do podstawowych kategorii analizy socjologicznej. Jak podkreśla N. Goodman (2001: 55), każde społeczeństwo, aby przetrwać, musi ciągle rozwiązywać pojawiające się problemy, musi dbać o zaspokojenie fizycznych i emocjonalnych potrzeb swoich członków, o przekazywanie wspólnego dziedzictwa społecznego następnym pokoleniom i o rozwój najmłodszych. Wraz z upływem czasu społeczeństwa wykształciły stabilne i stosunkowo trwałe układy kulturowe i strukturalne, które zajmują się rozwiązywaniem tych problemów. Układy te nazywamy instytucjami społecznymi (zob. tamże).

Rozwój procesu instytucjonalizacji życia społecznego i małżeńsko-rodzinnego w sposób prosty, obrazowy i celny charakteryzuje Cz. Znamierowski (1958: 11-18); warto przytoczyć główny tok jego rozumowania, gdyż będzie on pomocny przy interpretacji restryktywnych norm funkcjonowania małżeństwa i rodziny.

Działając, człowiek wciąż staje wobec licznych, wykluczających się wzajemnie możliwości. Jedną, wybraną, realizuje swym działaniem, inne tym samym odrzuca nie wyzyskane. Jednakowymi zaś wciąż wyborami nadaje swym powtarzającym się działaniom pewne rysy niezmiennie, a przez to pewną postać swoistą. Taką postać swoistą ma wszelkie działanie

zautomatyzowane przez nawyk. Ten nawyk mógł powstać bez rozmysłu, dzięki niezamierzonemu przez kogokolwiek zespołowi warunków. Ale może go też uformować rozmyśl, wynikający z osądu, że taki właśnie powinien być dany ruch. Wtedy ruch jest ukształtowany przez normy, mówimy więc, że jest znormalizowany czy unormowany. Nieraz też rozmyślnie wiążemy jakiś zespół ruchów w jedną całość, aby w ten sposób bądź osiągnąć jakiś skutek naturalny – jak w fechtunku, bądź też, by temu zespołowi ruchów dać jakieś umowne znaczenie, jak w ruchach składających się na powitanie. W tym drugim wypadku zespół ruchów otrzymał znaczenie konwencjonalne, stał się działaniem konwencjonalnym.

Życie zbiorowe narzuca normy działania przez zwyczaj powszechny i przez przymus. Ścieżka między wioskami jest przykładem i symbolem takiego zwyczaju: tędy zwyczajnie chodzi się z wioski do wioski. Jest w tym, być może, przypadek, lecz jest też wynik wielu prób i błędów, które wskazywały, że tędy chodzić najwygodniej. Czasem zwyczaj nie ma za sobą żadnej innej racji poza tym, że wszyscy właśnie tak coś robią. Witamy się uściskiem ręki, bo tak powszechnie przyjęto. Inaczej tego uzasadnić nie potrafimy. A przecież, gdybyśmy próbowali odstąpić od przyjętego zwyczaju, spotkałby nas zewsząd śmiech, zdziwienie lub oburzenie. Byłaby to sankcja rozsiana za nasze przekroczenie głęboko wdrożonego zwyczaju; sankcja, bo złem jest dla nas, gdy ściągamy na siebie dezaprobatę społeczną w jakiegokolwiek postaci, rozsiana, bo moglibyśmy ją wyczytać z zachowania każdej jednostki.

Ale zbiorowość może wywierać nacisk bardziej stanowczy i brutalny. Może zadać cierpienia cielesne, może pozbawić wolności lub życia, może wreszcie odrzucić tego, kto wykracza przeciw jej normom. Zwłaszcza zbiorowość pierwotna łatwo gotowa jest wykluczać tych, którzy w jej rozumieniu naruszyli swym wykroczeniem wręcz pozaludzki porządek świata i narazili całą zbiorowość na odwet nieosobowych czy też osobowych sił kosmicznych. Aparat przymusu zbiorowego jest tu, jak widać, prosty, lecz bardzo skuteczny. Zbiorowość pierwotna może więc narzucać skutecznie swe normy jednostkom i wnikać drobiazgowo w ich nieskomplikowany tryb życia. Może, co więcej, narzucać nie tylko normy uzasadnione, lecz nawet przekornie i niemal złośliwie przeciwstawiające się przyrodzonym dążnościom człowieka. Wierzenia magiczne i religijne, które rozsnuwa nieokiełznana poczuciem rzeczywistości fantazja, dyktują właśnie takie

przekorne normy życia codziennego. Każą, na przykład, część zbiorów odkładać na ofiarę bogom, każą niszczyć życiowy dobytek zmarłego, każą wdowie ginąć na stosie ze zwłokami męża, kamienować wiarołomną żonę czy dokonywać obrzezania córek.

W życiu zbiorowym takie znormalizowane działanie nazywamy często instytucją. Dajemy tę nazwę zazwyczaj działaniom jednostkowym, wystawionym, by tak rzec, na widok publiczny, lub też działaniom zbiorowym. Tak, na przykład, instytucją jest spisanie ostatniej woli, złożenie przysięgi, wymiana dóbr. Takie działanie-instytucja zazwyczaj mocą normy pociąga za sobą pewne skutki, których nie pociągałoby bez norm, albo, co więcej, z tym działaniem wiąże się mocą normy obowiązek czy uprawnienie tej samej osoby lub innych osób do pewnych określonych działań.

Często norma powierza takie działanie zinstytucjonalizowane ściśle określonej osobie lub grupie. Tylko kapłan ma prawo i moc magiczną, aby wykonywać czynności obrzędowe, tylko lekarz ma prawo wykonywać zabiegi lecznicze, tylko jedenastoosobowy zespół ma prawo grać w piłkę nożną z drugim takim samym zespołem. Tę wyróżnioną osobę czy grupę, która ma uprawnienie albo obowiązek wykonywania pewnych działań unormowanych, nazywamy nieraz w życiu potocznym również instytucją (tamże: 14).

W socjologii występują trzy podstawowe rozumienia pojęcia instytucji.

1) Rozumienie najszersze traktuje instytucję jako podstawę porządku społecznego. 2) Instytucję rozumie się też jako zorganizowane typy działalności podejmowanej w celu zaspokojenia potrzeb jednostek i całych zbiorowości. 3) Trzecie, najwęższe rozumienie instytucji odnosi się tylko do takich form organizacji społecznej, które charakteryzują się wyraźnym i specyficznym porządkiem, a zwłaszcza mają za zadanie podporządkowanie zachowania ludzi szczególnym rygorom (za: Skąpska, Ziółkowska 1998: 317 i n.).

2. Instytucjonalne cechy małżeństwa i rodziny

Już na podstawie powyższego wywodu nie trudno zauważyć, jak wiele cech instytucjonalnych wykazują każde małżeństwo i rodzina. Przystępnie i obrazowo prezentuje to Cz. Znamierowski (1958: 15 i n.), który stwierdza, że jedną z istotnych cech grupy małżeńskiej jest to, że zbiorowość przyjmuje ją do wiadomości i uznaje. Może to czynić na bardzo różne sposoby.

W niektórych bardzo pierwotnych zbiorowościach wystarcza, że para nowożeńców zamieszka jawnie razem, by uznano ją za małżeństwo, zwłaszcza jeśli zamieszka przy rodzicach jednego z partnerów. W tym najprostszym przypadku zbiorowość nie dokonuje żadnego widzialnego aktu. Jej uznanie jest tu tak rozsiane, jak kiedy indziej rozsiana może być dezaprobata. Bo skoro nowożeńcy zamieszkali jawnie razem, to zgodnie ze zwyczajem każdy członek zbiorowości z osobna powinien uznać i uznaje, że się związało małżeństwo. Podobnie rzecz się ma, gdy małżeństwo zawiązuje się przez to, że mężczyzna kupuje, porywa czy dziedziczy żonę. Mocą zwyczaju te fakty wystarczają, by zbiorowość uznała małżeństwo.

W innych znów zbiorowościach małżeństwo zostaje uznane, gdy zostaje dokonany pewien obrzęd magiczny czy religijny. Czasem biorą w nim udział tylko pewni członkowie rodzin obu nowożeńców; czasem znów norma zbiorowa wyznacza, że ma go dokonać czarodziej, mag czy kapłan, który jakoś tajemniczo stwarza niewidzialny związek między nowożeńcami. W każdym razie we wszystkich przypadkach nowo zawiązujące się małżeństwo ujawnia się przed zbiorowością, rejestruje się w świadomości zbiorowej. Gdzie zaś warunkiem jest obrzęd, tam rejestracja staje się wyraźnie uchwytnym faktem.

Uznanie małżeństwa przez zbiorowość ma ten skutek, że obcowanie płciowe, między niemajątkami zakazane lub tolerowane, zostaje przez tą zbiorowość dozwolone czy też nawet ogólnie nakazane; akt płciowy nazywany jest wszak nieraz powinnością małżeńską. Tak więc normy, które tworzą instytucję małżeństwa, dają pewien ograniczony luz jednemu z podstawowych instynktów człowieka. Ograniczony, bo, pozwalając na obcowanie płciowe między małżonkami, normy zaostrzają na ogół zakaz obcowania pozamałżeńskiego obu partnerów. Usiłują więc wziąć w pewne ramy ten instynkt i jego dążeniom wyznaczyć pewien określony kierunek.

Normy, pozwalając nowożeńcom na najbardziej intymne współżycie i określając też ogólnie i ogólnikowo uprawnienia i obowiązki wzajemne małżonków, czynią partnerów małżeństwa jedną grupą, instytucją w najszerszym znaczeniu tego słowa (tamże: 15).

Część środowiska, w której ta para żyje i która jest szczególnie związana z ich współżyciem, jest domem tego małżeństwa. Jest to punkt wypadowy, w którym krzywa ruchu każdego z małżonków co rano zaczyna się, a co wieczór kończy; mówi się też, że małżonkowie żyją we wspólnocie do-

mowej. Zaspokajają razem wszelkie swe potrzeby materialne ze wspólnych zasobów i wspólnym wysiłkiem. Mają więc bardzo wiele interesów wspólnych lub bardzo podobnych. Małżeństwo, powiada krótka formuła potoczna, jest wspólnotą stołu i łoża.

Małżeństwo jest na ogół grupą trwałą: partnerzy zawierają je z intencją, że będzie dożgonne. Ma však być bazą całego ich życia i na tej bazie ma się opierać cały układ stosunków społecznych każdego partnera. Gdyby partnerzy nie mieli intencji żyć ze sobą dożgonnie i gdyby to było wiadome zbiorowości, uważano by, że nie podejmują swej decyzji poważnie i nie zawierają małżeństwa naprawdę, a zbiorowość nie uznawałaby tej grupy za małżeńską. Niektóre zbiorowości wywierają silny nacisk, by małżeństwo było dożgonne, nie dając swego uznania, gdy partnerzy chcą zerwać związek, a tym bardziej, gdy chcą zawrzeć inne małżeństwo. W innych zbiorowościach natomiast dopuszcza się łatwiej lub trudniej do tego, że jeden z partnerów zrywa więzy lub że oboje zgodnie się rozchodzą, skoro współżycie nie układa się im szczęśliwie. Lecz i tu uważa się, że partnerzy próbowali zawiązać współżycie dożgonne i że źle jest dla zbiorowości, gdy próba ta się nie powiedzie. Na ogół bowiem korzystne jest dla zbiorowości, gdy stosunki między ludźmi układają się w sposób trwały (tamże: 18).

Grupa małżeńska zawiązuje się w zbiorowości, między jej członkami. Nie jest to więc sprawa, która obchodziłaby wyłącznie partnerów. Przez to małżeństwo powstają przede wszystkim nowe związki społeczne między każdym z partnerów a członkami rodziny drugiego partnera. Są to związki powinowactwa, pochodne od tego związku małżeńskiego. Z powinowactwa wynika np. znów uprawnienie albo nawet obowiązek pojęcia żony, a z wielu stosunków pokrewieństwa wypływa surowy zakaz luźnego obcowania płciowego, jak i małżeństwa.

Dlatego też sprawa małżeństwa danej pary nie jest wyłącznie rzeczą samych partnerów (tamże: 19). Małżeństwo bowiem jest instytucją, poprzez którą społeczeństwo określa członkostwo społeczne każdego nowo narodzonego dziecka; określa więzy jego powinowactwa; sposób dziedziczenia własności; wprowadza każde nowo narodzone dziecko w sferę kultury grupy, do której należy i kultury całej społeczności; wyznacza zakres uprawnień seksualnych swych członków; wyznacza sferę materialnej i pozamaterialnej pomocy nowo narodzonym dzieciom, kobietom ciężarnym,

żywiącym i wychowującym dzieci. Wszystkie wyżej wymienione zadania są spełniane w każdym społeczeństwie, ale na różny sposób, to znaczy w różnorodnym zakresie są wiązane ze związkiem osób traktowanym jako związek małżeński. Stąd w poszczególnych kulturach z pojęciem małżeństwa może być wiązana szersza bądź węższa treść (Adamski 1982: 16).

Pojmowanie rodziny jako instytucji musi więc uwzględniać bardzo wiele cech i funkcji oraz specyficzny układ stosunków między osobami różnej płci i wieku. Układ ten wyznacza normy regulujące współżycie seksualne, wydawanie na świat dzieci i ich wychowanie, a także linie pokrewieństwa, dziedziczenie majątku i współdziałanie w ramach gospodarstwa domowego. Gdy mówimy o rodzinie jako instytucji społecznej, zawsze mamy na myśli jej formalne ustanowienie i funkcjonowanie według określonych norm społecznych w ramach danego systemu społecznej kontroli. Jako instytucja rodzina jest przedmiotem studiów badających jej strukturę, zakres działania, podział i charakter ról jej członków, a przede wszystkim realizowane funkcje. **Sens rodziny jako instytucji sprowadza się więc przede wszystkim do pełnienia przez nią niezbędnych dla społeczeństwa funkcji. Rodzina jest zatem o tyle instytucją, o ile realizuje podstawowe funkcje społeczne, niezbędne dla istnienia społeczeństwa** (Adamski 1982: 21-22).

3. Ideologiczne afirmacje i deformacje instytucjonalnego charakteru rodziny

Przez pojęcie ideologii rodziny rozumiemy będziemy za F. Adamskim „zwały i spójny system twierdzeń dotyczących treści i wartości zasadniczych dla rozwoju rodziny, związanych z jej pozycją wobec innych instytucji, obejmujący zadania rodziny wobec swoich członków oraz twierdzeń określających warunki funkcjonowania rodziny jako instytucji. Każda ideologia rodziny ma swe odniesienie do określonego systemu filozoficzno-religijnego czy światopoglądowego.” (Adamski 1982: 159).

Ideologiczne afirmacje i deformacje są często wynikiem określonego typu interesów grupowych, lęku przed zmianami, programów reformatorskich, prób utrzymania istniejącego porządku bądź pozycji własnej grupy itp. Nie miejsce tutaj, by analizować społeczne mechanizmy powstawania tego typu deformacji. Zawsze jednak opierają się one na jakichś uznawanych koncepcjach, interpretacji świętych ksiąg, wpływie osób głoszących

określone programy itp. Przykładem takich deformacji jest np. wywodzenie chłopskiej genealogii od biblijnego Chama, syna Noego, biblijna interpretacja genealogicznej niższości kobiet czy głoszenie nierówności społecznej w niebie na podstawie wyrwanej z kontekstu frazy Modlitwy Pańskiej „jako w niebie tak i na ziemi”. Z podobnymi deformacjami w odniesieniu do rodziny można się było spotkać niejednokrotnie już w zarysie historii poglądów na małżeństwo i rodzinę. Występują one również powszechnie na co dzień, szczególnie w odniesieniu do małżeństwa i rodziny oraz grzeszą wszystkimi błędami socjologii „praktycznej” (zdroworozsądkowej), przed którymi przestrzegali W. Thomas i F. Znaniecki (zob. rozdz. I).

3.1. Genealogiczna „ułamność” i „podrzędność” kobiety

Deformacje te w szczególności dotyczyły (i dotyczą nadal) kobiet, ich pozycji społecznej, systemu władzy w rodzinie oraz uprawnień mężczyzny jako męża i ojca. Opierają się one w dużej mierze na autorytecie swoiście interpretowanego Pisma Świętego. Np. po stworzeniu pierwszego człowieka Adama rzekł Pan Bóg „Niedobrze być człowiekowi samemu, uczynimy mu pomoc jemu podobną” (Rodz. 2,18 J). Dało to początek trwającym wiele wieków rozważaniom, kogo Bóg stworzył Adamowi – drugiego człowieka czy tylko pomoc jemu podobną.

W 1690 r. pojawiła się we Frankfurcie wydana po łacinie książka pod wymownym tytułem: „Kobieta nie jest człowiekiem” a w roku 1753 ukazało się w Lipsku równie postępowe dzieło pt.: „Dowód, że kobiety nie przynależą do rodzaju ludzkiego” (cyt. za Tryfan 1968: 259).

Nawet w sytuacji, gdy kobiecie jako żonie i matce nie odmawiano pełni człowieczeństwa, traktowano ją jako istotę niżej stojącą od mężczyzny i jemu podległą.

Jak podaje B. Tryfan (1968: 155 i n.), w Polsce średniowiecznej odmawiano równych praw nawet przedstawicielkom najznakomitszych rodów, a gdy regencję w imieniu swego syna Ludwika Węgierskiego objęła Elżbieta Łokietkówna, czternastowieczny kronikarz, Jan z Czarnkowa, pisał, że Polacy ze wstydem przyjęli władzę niewiasty: „Płac i wylewaj izerwawe polski narodie, albowiem stało się nad tobą przekleństwo proroka, niewiasta ujęła berło tych rządów i będzie władać nad tobą”.

Prawna nierówność kobiet znajdowała teoretyczne uzasadnienie w poglądach wielu uczonych. Na przykład Schopenhauer twierdził, że kobieta nie jest powołana do wielkich prac. Istotą jej jest nie aktywność, lecz bierność. Kunsztowną teorię niższości intelektualnej kobiet zbudował Zygmunt Freud. Jego widzenie rozwoju charakteru kobiecego, ukształtowane na podstawie anatomicznych różnic, zmierzało do wartościowania cech, zainteresowań, postaw i emocji przez pryzmat fizycznej inności. Wyrażając pogardę dla mniejszych zdolności intelektualnych, większej próżności, predyspozycji do nerwic i hysterii, bierności, Freud używał terminów „męski” i „kobięcy” jako symboli kontrastowych par wartości: jednej stronie przypisywał wszystkie cechy pozytywne i pożądane, drugiej tylko negatywne. Założenia takie prowadziły oczywiście do określonych konsekwencji praktycznych, sankcjonujących wyłączenie kobiet z udziału w kulturalnej, twórczej i politycznej działalności z powodu rzekomo organicznych braków ich natury.

Jeszcze skrajniejsze stanowisko reprezentował Otto Weininger. Jego charakterologiczne studium „Płeć i charakter” jest właściwie traktatem o geniuszu i płci. Przyjmując za punkt wyjścia wrodzoną niższość kobiet, godził się na to, by dać im legalną równość, ale uważał, że moralnie i intelektualnie nigdy nie będą one równe mężczyznom. Skoro kobiety przez swą organiczną kłamlliwość, niemoralność, ubóstwo umysłowe nie są indywidualnościami, nie mają więc ani osobowości, ani duszy. Nazywając z emfazą różnicę między płciami kosmicznym kontrastem, Weininger nie przeciwstawiał kobiecie mężczyzny, ale geniusza. Uznawał on bowiem, że w każdym osobniku rodzaju męskiego drzemie, przynajmniej potencjalnie, geniusz. Kobieta natomiast reprezentuje tylko jedną wartość – płeć, jedyne jej zainteresowania życiowe sprowadzają się do aktywności seksualnej. Dzielać wszystkie przedstawicielki rodzaju żeńskiego na matki i kurtyzany, oceniał je wyłącznie z punktu widzenia wartości, które mężczyźni im przypisują. Założenie takie implikowało wyższe wartościowanie mężatek. Zgodnie bowiem z jego teorią kobieta żyje nieświadomie, a świadomość nabywa jedynie od mężczyzny, jest tylko dodatkiem do niego, samotna więc nigdy nie może być geniuszem. W swej pogardzie dla kobiet posuwał się tak daleko, że jedyną uznawaną przez siebie sferę ich aktywności potępiał jako ponizającą, wstrętną i bestialską. Złośliwi twierdzą, a historia temu nie przeczy, że u podłoża jego teorii tkwiły własne kompleksy, które sprawiły, że osobisty konflikt nie-

możności rozstrzygnął przez samobójstwo w dwudziestym czwartym roku życia (tamże).

Nie wszyscy uczeni wrogowie kobiet tworzyli swe konstrukcje teoretyczne, bazując na złych doświadczeniach osobistych. Żyjący pod koniec XIX w. prof. Bischoff próbował szukać uzasadnień dla twierdzenia o niższości intelektualnej słabej płci na drodze badań empirycznych. Dowodził on, że kobiety są z natury upośledzone umysłowo, ponieważ mózg ich waży przeciętnie o 100 gramów mniej niż mózg mężczyzny. Zaprzeczył tej teorii Havelock Ellis, ważąc trzy najcięższe z będących aktualnie w posiadaniu mózgow. Pierwszy co do wielkości, o wadze 2 222 g, należał do robotnika, drugi o wadze 2 012 g – do pisarza Turgieniewa, a trzeci o wadze 1 925 g był mózgiem idioty. Szczególna złośliwość losu chciała, że po śmierci prof. Bischoffa zważono jego mózg i okazało się, że ważył on zaledwie 1 245 g, a więc znacznie mniej niż przeciętny mózg kobiecy (tamże: 159-161).

Ale też i w najodleglejszych czasach w historii wielu narodów okrucieństwo wobec kobiet i ich upośledzenie przeplata się niejednokrotnie z uznaniem i czcią dla nich. Starohinduska księga Manusa zawiera np. takie oto aforyzmy: „Lzy kobiety sprowadzają ogień niebieski na tych, którzy je wyciskają”, albo: „Mężczyzna staje się istotą zupełną tylko przez połączenie się z kobietą” (Orzeszkowa 1891).

Autorytet Pisma Świętego wykorzystywany był również dla legalizacji oraz instytucjonalizacji skrajnie patriarchalnej struktury rodziny. Napisano w nim bowiem, że po upadku w Raju rzekł Pan Bóg do kobiety: „i pod mocą będziesz mężową, a on będzie panował nad tobą” (Rodz. 3.16. J). Święty Paweł zaś naucza: „Mąż jest głową dla żony zupełnie tak jak Chrystus jest głową dla Kościoła” (Ef. 5.23. K) oraz „Jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak niech żony we wszystkim poddane będą mężom swoim” (Ef. 5.54. K).

Dlatego też „Katechizm ludowy” włoskiego teologa F. Spirago (1927: 92-93), przetłumaczony w okresie międzywojennym na kilka języków naucza: „Mąż jest głową rodziny, kobieta niejako ciałem. Jako ciało ulega rozumnej głowie, tak kobieta ulegać powinna mężowi (św. Augustyn). Mąż jest głową żony, jak Chrystus jest głową Kościoła. Zatem jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak żony swoim mężom we wszystkim (Ef. 5.24.). Żona ma się bać i czcić męża swego (Ef. 5.33.), to znaczy, okazywać mu należny szacunek (Ehrfurcht). Iż kobieta ma być poddana

mężowi, zarządził Bóg po upadku w grzech (1 Mojż. 3.16). Dlatego, że Ewa dała się uwieść wężowi, który obiecywał jej władzę, równą Boskiej, przeto musi teraz poddana być mężowi (Św. Ef.). Mąż zatem ma prawo rozkazywać żonie”.

Kościół wykazywał w różnych okresach różny stopień rygoryzmu wobec spraw życia małżeńsko-rodzinnego. Powodowane to było głównie dążeniami do korekty wewnątrzrodzinnych zachowań, wykazujących w różnych okresach znaczne często nadużycia i dewiacje. Stopniowo jednak nauka Kościoła coraz mniej nacisku kładła na strukturę rodziny oraz rozkład obowiązków i władzy, a coraz więcej na sferę życia duchowego członków rodziny. Zmiana ta jest bardzo widoczna w nauczaniu Soboru Watykańskiego II. Szczególnie dotyczy to oceny roli kobiety, życia seksualnego oraz ludzkiego ciała. Interpretacja ustaleń soborowych nie pozostawia wątpliwości, że jest to wyraźna afirmacja dyskryminowanych dawniej przez Kościół sfer życia małżeńskiego.

Współczesny Katechizm Kościoła Katolickiego (KKK) wyraźnie podkreśla, że godność kobiety nie różni się niczym od godności mężczyzny. Mężczyzna i kobieta są stworzeni razem, jako „jedność dwojga” albo jako „jedno dla drugiego”. Bóg stworzył ich do wspólnoty osób, aby równi jako osoby, pomagali sobie i uzupełniali się wzajemnie (KKK 371 n). Godność kobiety jest więc zarazem autonomiczna i komplementarna, podobnie jak godność mężczyzny. Kobieta i mężczyzna na równi posiadają również godność „zarządców” Bożych w stosunku do ziemi i całego stworzenia (Rodz. 1.28). Na kobiecie i mężczyźnie spoczywa więc odpowiedzialność za świat powierzony im przez Boga (KKK 373).

Często niesłusznie obarcza się kobietę odpowiedzialnością za upadek człowieka (Rodz. 3, 1–11). Mówi się jednak o grzechu Adama, a nie Ewy (za: Ozorowski 1999: 195).

Wyraźnie dowartościowana jest również miłość duchowa i fizyczna małżonków. „Małżeństwo, które jest wspólnotą mężczyzny i kobiety, Bóg uczynił obrazem komunii trynitarniej, a ich wzajemna miłość jest punktem odniesienia do Jego wiecznej miłości. Również rodzicielstwo małżonków jest obrazem Bożego rodzicielstwa. Mężczyzna i kobieta, wspólnie jako rodzice, posiadają godność współpracowników Boga Stwórcy wówczas, gdy poczyrna się i rodzi nowy człowiek” (tamże).

Książd A. Knotz (2001: 217) pisze wprost: „Namiętność rozpatrywana w nowej perspektywie kieruje się ku największej pełni życia, a nie ku zaspokojeniu braku. Miłość między małżonkami, która wyraża się w akcie płciowym powoduje, że cielesność człowieka zostaje wyniesiona w kierunku nieba. Ekstazę związaną z radością współżycia seksualnego można porównać do szczęścia życia wiecznego. Dlatego akt małżeński pozwala uzmysłowić małżonkom, na czym polega słodycz spotkania z Bogiem. Porównanie to nie sugeruje, że szczęście wieczne będzie polegało na przeżyciu seksualnym, jak interpretowane jest to w islamie” (tamże).

W as suyūti, jednym z komentarzy do Koranu, raj, do którego się trafia po śmierci, jest pojęty jako miejsce szczególnej rozkoszy seksualnej. Wybrany będzie miał do swojej dyspozycji oprócz zachwyconych jego pięknem swych żon ziemskich także 70 innych kobiet, które zakochane będą czekały na niego. Za każdym razem, gdy mężczyzna będzie spał z kobietą z haremu, znajdzie ją dziewicą. Rozkosz seksualna będzie wzmocniona. W raju erekcja będzie wieczna, a orgazm będzie trwał 80 lat (zob. tamże).

Jest to odwołanie się do znanych powszechnie ziemskich doświadczeń, aby przez analogię uzmysławiać intensywność szczęścia duchowego, którego będziemy mogli zakosztować w niebie. Orgazm jest jednym z najbardziej intensywnych ludzkich przeżyć, dlatego odwołując się do tego doświadczenia, najłatwiej można wyobrazić sobie wieczny stan szczęścia ludzi zbawionych. Nieraz przecież w historii próbowano opisać szczęście nieba, np. porównywano ten stan do podniosłej atmosfery wywołanej pięknem śpiewu chóru gregoriańskiego (tamże).

Jednak w ukształtowanej na podstawie tradycyjnej interpretacji Pisma Świętego rodzinie patriarchalnej mężczyzna był głową, panem życia i śmierci. Niemieckie prawo cywilne XIX w. przewidywało na przykład, że rozstrzygnięcie wszelkich kwestii dotyczących dzieci należy do męża, który zarządza całym majątkiem, nawet jego częścią wniesioną przez żonę w posagu. Prawo to było wybitnie nieprzychylnie dla kobiet, dopuszczało bowiem „umiarkowane cielesne skarcenie żony” w wypadku nieposłuszeństwa (Tryfan 1968: 95).

Austriacka ustawa karna z 1892 r. obowiązująca na ziemiach polskich pozostających pod zaborem dopuszczała karanie żony przez męża chłostą, jednak bez cięższego pobicia (zob. Dobrowolski 1966: 210). W Anglii aż do 1870 r. kobietę, niezależnie od wieku, uważano za małoletnią, nad

łóżkiem jej wieszając bat. Obowiązywała też „zasada kciuka”, która głosiła, że nie należy bić żony kijem grubszym niż grubość kciuka.

W średniowieczu Kościół, propagując przekonanie, że mąż jest głową żony, która powinna mu być poddana, uznawał prawo męża do jej łagodnego karcenia. Wyraz temu dawały sentencje wyroków konsystorskich w konfliktach małżeńskich, przeważnie wśród nieszlachty, gdy żony skarżyły się na okrutne traktowanie ich przez mężów. Zabraniano w nich, wyliczając dokładnie: bicia kijem, kaleczenia nożem, siekierą, mieczem, przemęczania i zdzierania odzieży. Daje to pojęcie o okrucieństwie i samowoli męża, niejednokrotnie panujących w małżeństwie. Cytowane wyroki dozwalały jednak, w razie nieposłuszeństwa żony, karcenie jej różgami. Słowa „karcił ją i bił jak własną żonę” używane były dla podkreślenia podobieństwa danego konkubinatu do małżeństwa. Wyroki w procesach konsystorskich, w których stroną skarżącą była żona, zawierają jednak, niezależnie od swej treści rzeczowej, klauzulę zabraniającą mściwości wobec żony, a nawet ustanawiają wysoki zakład pieniężny ubezpieczający jej życie (za: Koczarska 1975: 75-76).

Bicie żon było więc instytucjonalnie uregulowaną i powszechnie akceptowaną formą stosunków między małżonkami. O jego powszechności w niektórych warstwach społecznych świadczyć mogą popularne niegdyś przysłowia, które na szczęście są już coraz mniej znane i rzadziej przytaczane. Zwykle odzwierciedlają one niedolę kobiety, bitej i tyranizowanej przez męża. Przysłowia oddają mężowi władzę nad żoną. Do niego należy więc prawo decyzji w najważniejszych sprawach. Od żony wymaga się posłuszeństwa. Wyraża to lapidarnie sformułowane przysłowie śląskie; „Chłop je głowa, baba rzyć, co ón powie, musi być”. O mężowskiej racji mówi też przysłowie: „Zawsze chłopska góra, choć na nim tylko skóra”.

W stosunku do żony mąż spełniał funkcje opiekuńcze. W niektórych pieśniach śpiewanych na weselu podkreśla się, że wraz z zawarciem przez kobietę związku małżeńskiego funkcje te przechodzą z jej ojca na męża.

Jako opiekun mąż mógł żonę karać. Stosował też wobec niej karę chłosty, co było nawet zalecanym w przysłowiach środkiem wychowawczym. Mówią one: „Kiedy mąż żony nie bije, to w niej wątroba gnije”; „Kto dobrze kocha, ten tęgo bije”, „Gdy chłop bije, skórka tyje”, „Babę bij, bo się wścieknie”, „Baba jest złoty słup, ino go trzeba od czasu do czasu trochę opucować” (za: Barańska 1975: 131-132).

Jeszcze w okresie międzywojennym było rzeczą naturalną, że mężowie publicznie opowiadali, że pobili, a żony że „dostały lanie od chłopą”. Obecnie jest to temat wstydliwie przemilczany, chyba że drastycznie przekroczone zostaną pewne granice.

Zdaniem psychologów przemoc w rodzinie jest patologią doskonale zakonserwowaną w polskiej obyczajowości. Wszyscy wiedzą, że istnieje, a równocześnie jakby jej nie było, ponieważ należy do tematów tabu. Wychowanie potomstwa przez bicie traktowane jest jako rodzicielskie prawo i obowiązek – bywa, że osadzane w wychowaniu religijnym. Z kolei agresja wobec kobiet jest tradycyjnie wpisana w rolę mężczyzny i instytucję małżeństwa. Kobiety postrzegają przemoc jako atrybut męskiej władzy. O społecznej sile porzekadła „Jak chłop baby nie bije, to jej wątroba gnije” świadczy jego obecność w „Księdze przysłów polskich”. Respekt dla tradycji cechuje także przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Policja mówi eufemistycznie o „nieporozumieniach rodzinnych” niewartych interwencji. Sąd żąda od ofiar wyników obdukcji, którą należy zrobić na własny koszt; poza tym byle złamana zuchwa czy wykręcona ręka wrażenia nie czyni. Większe zrozumienie znajdzie sprawca tłumaczący np. „Żony nigdy nie biłem tak, by zaszkodzić”. Psychologowie nazywają to wszystko kulturowym tłem przemocy, a kryminolodzy podejrzewają, że ciemna liczba aktów agresji w czterech ścianach stanowi wielokrotność zgłaszanych przypadków. Zarazem jednak wszyscy wolą wierzyć, że ich współpracownicy i znajomi to ludzie łagodni i zorni. Dlatego tak silne jest stereotypowe przekonanie o związku przemocy z tzw. marginesem społecznym: brakiem wykształcenia, degeneracją alkoholową, skrajnym ubóstwem. Tymczasem wśród znęcających się nad rodziną są przedstawiciele wszystkich środowisk, nierzadko ludzie o bardzo wysokiej pozycji zawodowej, którzy w środowisku pracy ukrywają się pod maską nienagannych manier. Ci najczęściej pozostają bezkarni, ponieważ ich ofiary tają domową tragedię, a gdy zdecydują się mówić – nikt im nie wierzy (za: Nowakowska 1997: 33-34).

Co najmniej 750 tysięcy Polek pada ofiarą przemocy w rodzinie – wynika z sondaży CBOS dla „Gazety”. Badanym zadano pytanie, czy „zetrknęli się z przypadkami przemocy w małżeństwie, gdy mężczyzna bije kobietę (lub odwrotnie)”. Ponad 5 procent kobiet odpowiedziało, że bywają ofiarami bicia (mężczyźni niemal nie wybierali tej odpowiedzi). Oznacza to, że ok. 750 tys. dorosłych Polek było bitych. Prawdziwa liczba jest większa, bo sporo kobiet wstydziło się powiedzieć prawdę

o swoim małżeństwie obcemu człowiekowi (ankieterowi). Maltretowanych kobiet może być milion lub więcej. Przemocy jest mniej w rodzinach o wyższym wykształceniu, za to aż dwukrotnie więcej wśród ludzi opisujących swą sytuację materialną jako złą. Wbrew stereotypom nie ma jej więcej na wsi. Aż 60% badanych zna rodziny, gdzie dochodzi do bicia. (Badanie CBOS z 23-28 października na reprezentatywnej próbie 1 168 dorosłych mieszkańców Polski, „Gazeta Wyborcza” 4 XI 1997, „Nasze bicie codzienne”).

3.2. Pozycja kobiety i podział obowiązków w rodzinie

Jeszcze pod koniec XIX wieku w krajach europejskich kobieta miała władzę tylko nad córkami. W tym samym czasie we Francji, Belgii, Szwajcarii nie wolno było kobiecie występować w charakterze świadka przy spisywaniu umów handlowych i testamentów. We Francji mąż miał prawo dobra wniesione przez żonę w posagu sprzedać, wdzierżawić, obciążyć hipotekami. Kodeks Napoleona sankcjonował dośmiertną niepełnoletniość kobiety, uznając ją za człowieka jedynie w zakresie obowiązków, a za istotę niesamodzielną w dziedzinie praw.

W tradycyjnej polskiej rodzinie chłopskiej, jakich wiele istnieje jeszcze u nas do dziś, zwłaszcza w rejonach bardziej zacofanych, rozłożenie zadań i kompetencji między męża i żonę jest bardzo nierównomierne. Mężczyzna trzyma w swym ręku władzę, zajmuje w rodzinnym zespole roboczym stanowisko kierownika i organizatora produkcji. On decyduje o planach i terminach zasiewów, o rozmiarach hodowli, o potrzebie inwestowania w gospodarstwo. On reprezentuje rodzinę na zewnątrz w kwestiach najmu, zbytu towarów, zakupu narzędzi i nawozów. Jest więc w całym tego słowa znaczeniu „głową rodziny”.

Tradycyjny typ gospodarki chłopskiej wyznaczał hierarchię prestiżu w grupie rodzinnej według przydatności gospodarczej. Ponieważ mężczyzna wykonywał prace uznawane za ważniejsze i podejmował decyzje w imieniu całej rodziny, miał on oczywiście stanowisko uprzywilejowane. Bez jego wiedzy i zezwolenia żona nie mogła dokonać żadnej transakcji handlowej, nie mogła sprzedać nic z inwentarza, nawet wniesionego w posagu, ani z wyprodukowanych przez siebie płodów rolnych. Ta dysproporcja pozycji społecznych uwidaczniała się również w życiu towarzyskim i obrzędowym. Goście i sąsiedzi wchodzący do mieszkania najpierw witali się zawsze z mężem. On otrzymywał z reguły najlepszą część posiłku, a rodzina nie siadała

do obiadu, dopóki jego nie było w domu. W niektórych częściach kraju panował nawet zwyczaj, że żona jadła osobno, a nie przy wspólnym stole. Ta obyczajowa dyskryminacja miała oczywiście swe źródło m.in. w fakcie przeciążenia obowiązkami kobiety, która usługiwała do stołu, a w przerwie jadła sama, nie tracąc czasu. Gdy małżonkowie szli razem na jarmark lub do kościoła, mąż kroczył zwykle pierwszy, by i w ten sposób akcentować swoją przewagę. Różnice w ocenie społecznej w zależności od płci pojawiały się już w momencie urodzenia dziecka. Na przykład, według obowiązującego na niektórych terenach obyczaju, przed obrzędem chrztu ojciec wrzucał do pierwszej kąpeli noworodka pieniądze. Suma zależała od płci: dziewczynka otrzymywała o połowę mniej (za: Tryfan 1968: 96-97).

Ważnym instytucjonalnym aspektem rodziny był (i jest) podział obowiązków pomiędzy mężem a żoną, nieraz rygorystycznie przestrzegany. Ponieważ nie był on nigdzie i nigdy w wyraźny sposób skodyfikowany, najdokładniejszą jego ilustrację stanowi mądrość ludowa zawarta w przysłowiach i powiedzeniach wyrażających powszechnie przekonania na ten temat. Nakreślają one rolę męża i żony, głównie gdy chodzi o sprawy zarządzania gospodarstwem, organizacji życia i podejmowania decyzji w sprawach zasadniczych. Rola naczelna przypada tutaj mężczyźnie, jako temu, który z natury rzeczy lepiej się do wykonywania tych zadań nadaje. Nie można tu mówić o wyeliminowaniu którejś ze stron, ale o określeniu odpowiedniej roli dla każdego z partnerów, co znajduje potwierdzenie w takich sformułowaniach. „Mężczyzna ma rządzić dla dobra kobiety”, „Dziewka nie potrzebuje pisarza jeno gospodarza”, „Na podziwianie chłop baby nie potrzebuje, ino do roboty”. Często rola gospodyni nie jest wdzięcznym zajęciem i nie ma pozytywnej opinii – „Gospodyni – domowe pomietło”, „Gospodyni dobra trzy węgły domu utrzymuje, a gospodarz czwarty, ale gdy gospodarz ten jeden puści, to i tamte polecą”, „Za dobrym gospodarzem dobra gospodyni”. „Jaki gospodarz, taki dom”. Kobięcie przypada więc rola bardziej podrzędna – „Gdzie chłop nie może, tam baba nie pomoże”, czy też „Dobra żona sługa doma”. Taka zależność od mężczyzny miała być czymś naturalnie pozytywnym, nawet mimo przejawów despotyzmu ze strony męża w codziennym życiu: „Choć chłop bije i kopie, to najlepiej przy chłopie”. Rangę gospodarza określa też stwierdzenie: „Więcej oznacza gospodarza puknięcie niż gospodyni fuknięcie” oraz „Kiedy pana nie ma w domu, to myszy po stole biegają”. Czasami rolę

mężczyzny jako naczelnej osoby w domu określają przysłowia o raczej dwuznacznej wymowie np.: „Mąż doradza, a przy żonie władza”, czy też „Mąż jest głową domu, a kobieta szyją”.

Sytuację, w której role społeczne w rodzinie zostały odwrócone obrazuje również wiele przysłów i porzekadeł, ale mówią one o takim stanie rzeczy zdecydowanie negatywnie: „Żona z pola wraca, a mąż kury maca”. Natura nie toleruje takich wybryków, gdyż „Samo przyrodzenie okazuje, iż mąż żonie rozkazuje”, „Dawno ludzie powiedzieli, chłop do cepów, baba do kądzieli”, co parafrazowane w latach 50. przyjęło formę „Chłop do kielni, baba do patelni” czy też wcześniejsze „Nie przystoi mężowi kądziel, a białogłowie miecz”. Ta negatywnie oceniana sytuacja wyrażona została w licznych przysłowiach przyjmujących formę przestróg przed skutkami nieprzestrzegania prawidłowości wypełniania swej, z natury rzeczy wynikającej roli społecznej. „Biada temu domowi, gdzie żona przewodzi mężowi”, „Stare przysłowie, że źle w tym domu się dzieje, gdzie pietuch jaja niesie, a kura zań pieje”, „Złe gospodarstwo, gdzie kądziel przewodzi nad mieczem”, „Gdzie kądziel rządzi, tam rozum błądzi”, „Gdzie donica (makutra) rządzi, tam wiercimak błądzi”, „Złe ten dom rządzi, gdzie baba sądzi”, „Niedobrze tam, gdzie mąż w spódnicy, a żona w gatkach chodzi”, „Mąż w spódnicy, a żona w kapocie diabłu przyczyniają w robocie”. Nie jest też wskazane, aby mąż mieszał się do spraw kulinarnych: „Niedobrze tam, gdzie mąż żonie w garnki zagląda”. Mężczyźnie przypada rola odpowiedzialniejsza, dlatego też „Mąż bez własnego zdania, nocleg bez posłania, most bez poręczy – gorszy niż sen zajęczy”. Natura lubi jednak płatać figle i nie zawsze ten, kto powinien rządzić, jest do tego predysponowany: „Pobłądzą szybko w takim domu rządy, gdzie kiep powozi, a w chomąty mądry”. Dla dobra całego gospodarstwa dopuszcza się w takim wypadku zamianę ról: „Kiedy sam głupi, a zaś mądra ona – tam niech mąż żoną, a mężem będzie żona”. Jest to jednak sytuacja ostateczna, a najbardziej optymalna to ta, kiedy „Chłop robotny i żona pyskata, to wezmą razem choćby i pół świata”.

Drugorzędna pozycja żony miała też swoje źródło w ogólnie przyjętych poglądach podkreślających niską wartość kobiety w ogóle. Znajdują one odbicie w przysłowiach znanych i powtarzanych od niepamiętnych czasów: „Niewiasta – zła rzecz”, „Niewiasta na złe rozumna, pamiętna, na dobre głupia, zapamiętliwa”; „U niewiasty długie włosy, a krótki rozum”;

„Trzymać kobietę za słowo, a piskorza za ogon, na jedno wychodzi”, „Nie potrzeba rady niewieście do zdrady” (za: Barańska 1975: 133).

4. Historyczna rola instytucji rodziny w Polsce

Należy żałować, że nie istnieje jeszcze syntetyczne opracowanie historii rodziny polskiej oraz jej obrazu i znaczenia w dziejach naszego narodu. Obraz ten możemy częściowo odtworzyć, posługując się świetnymi, chociaż cząstkowymi opracowaniami takich autorów, jak J.S. Bystron (1960), W. Łoziński (1974), M. Koczerska (1975) oraz Z. Kuchowicz (1975), za którymi przytoczone zostaną ważniejsze fragmenty dotyczące funkcjonowania rodziny jako instytucji.

Jak zauważa Łoziński (1974: 172), mawiano, że dawniej Polska stała jednostkami. Rzecz by raczej można, że stała rodziną. W społeczeństwie tak niedostatecznie obwarowanym instytucjami ładu i bezpieczeństwa publicznego, w kraju, o którym Rej powiada z goryczą, że „Zadna banda, a snadź i cygańska, nie jest w takiej niedbałości, a snadź jest we lepszym zaopatrzeniu, niżli sławne a zacne to państwo nasze” większa część tych obowiązków, które spełniać winny państwo, władze, ustawy, spadała na rodzinę. Najsurowszy nawet sędzia przeszłości przyznać musi, że rodzina polska spełniała ten wielki obowiązek, że była najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym, i że w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie, przechowała w sobie wiernie wszystko, co było warunkiem i ręką mią odrodzenia.

W przeszłości, która nas tu zajmuje, spełniała misję wyrównania, godziła sprzeczności publicznych i prywatnych interesów; była bodźcem i hamulcem zarazem – bodźcem swoją tradycją i ambicją, hamulcem swoją poczciwością i karnością. Można powiedzieć, że topniał w niej i miarkował się krnąbrny i porywczy temperament narodowy, poskramiał się wybujały i aż do niesforności niezawisły indywidualizm szlacheckiego charakteru. Etyczna siła rodziny długo była jedynym ratunkiem spraw publicznych; rodzina była też najwyższą, a może nawet jedyną rozstrzygającą instancją opinii w społeczeństwie, którego klątwą była bezkarność i pobłażliwość publiczna. Bardziej niż na wyroku trybunalskim, bardziej niż na sejmikach i na sejmie, na zjazdach i na wyborach, gruntowało się zdanie o ludziach na opinii rodzinnej

– nawet banita i infamis długo mógł wyzywać bezbronne społeczeństwo i żartować z wyroków publicznych, ale próg poczciwego domu wytykał kres jego zuchwalstwu, a związek z szanowaną rodziną stawał się dlań niemożliwy. Człowiek wątpliwego charakteru łatwiej mógł odgrywać rolę w publicznym życiu, aniżeli znaleźć poczesne miejsce u czyjegoś rodzinnego ogniska, łatwiej mu było zostać urzędnikiem powiatowym, posłem lub deputatem na trybunał, aniżeli spowinowacić się z zacną rodziną, otrzymać rękę córki dobrego domu czy ożenić w nim syna.

Wpływ i znaczenie rodziny były tym potężniejsze, im szerzej pojmowano jej granice, a nigdzie nie pojmowano ich tak szeroko jak w Polsce. Świadomość łączności rodzinnej sięgała w najdalsze filiacje; rodzina stawała się wielką rzeszą, a wymownym symbolem jej moralnego obszaru był fakt, że już sama wspólność herbu stworzyła w języku szlacheckim nazwę ze znaczeniem powinowactwa, bo nazwę „stryjców herbowych”. Znano i śledzono u nas najdalsze powinowactwa i pokrewieństwa, przyznawano się do najodleglejszych koligacji i filiacji i uznawano je chętnie nawzajem. W kraju, w którym nigdy nie było heroldii, jaka istniała np. w Anglii i Francji, wiadoma była przecież dobrze historia rodów, a mimo skłonności do bajecznych wywodów wypływających z manii pochodzenia od cudzoziemskich, często nawet klasycznych rzymskich protoplastów, mimo wszystko i wszystkich szlachta umiała trzeźwo i trafnie ocenić i starożytność, i dostojność każdej rodziny. Nigdzie może tyłu co w Polsce nie było urodzonych genealogów, którzy z pamięci umieli wyliczyć wszystkie parantele i koligacje szlacheckich domów, sięgając w daleką przeszłość i w dalekie stopnie, nigdzie też może nie starczyło tak mało do tytułu krewieństwa i powinowactwa. „Krewny, jak żerdź po płocie, jak woda po kisielu, jak ścieżka po zagumniu” – żartowano sobie z tych wywodów, które, dochodząc do przesady, przybierały często cechy śmieszności, ale wypływały zawsze z szanownego i szerokiego poczucia łączności rodzinnej. „Jego baba i moja były to dwie babie – kochały się, jednakie mając w herbie Grabie” – powiada Wacław Potocki o takim sąsiedzie genealogu (tamże: 193).

Jak podkreśla Z. Kuchowicz (1975: 156 i n.) rodzina stanowiła podstawową komórkę panującego ówczesnie systemu społecznego. Posiadała ona strukturę wybitnie patriarchalną. Byt jej opierał się na surowym autorytecie ojcowskim. Wprawdzie zakres i trwałość władzy ojcowskiej zależna była od wielu czynników, przede wszystkim decydowało o tym rozwarstwienie społeczne, nie ulega jednak wątpliwości, że odgrywała ona ol-

brzymią rolę w obyczajowości wszystkich grup ludności. Najsilniej władza ojcowska zaznaczała się w rodzinach szlacheckich i u zamożnego mieszczaństwa. Między energicznym, dysponującym majątkiem ojcem a resztą rodziny, łącznie z małżonką, istniał w zasadzie olbrzymi dystans. Dla dzieci uosabiał on wręcz władzę, nazywały go zwykle „panem ojcem”, nie śmiały usiąść w jego obecności. Między ojcem a dziećmi istniała więc opierająca się nie tyle na serdeczności, wzajemnym zaufaniu, co raczej na zasadach obowiązującej tradycji, respekcie i strachu. Zakaz ojcowski uniemożliwiał podjęcie jakiegokolwiek decyzji, odmowa z jego strony błogosławieństwa równała się nieszczęściu. Dopóki żył ojciec, dopóty majątek był niepodzielny i nawet dorośli synowie zależni byli od jego woli i nie mogli marzyć o całkowitej samodzielności, chyba że ojciec zezwolił na małżeństwo i syna wyposażył. W wystąpieniach publicznych, nawet w spotkaniach rodzinnych, akcentowano na każdym kroku tę zależność. Dorośli synowie chodzili w pewnej odległości za głową domu, nosząc np. jego szablę, stawali prawie na baczność przy ławce, w której zasiadał on w kościele itp. Stosunki takie typowe były zwłaszcza dla kół tzw. sarmackich, prowincjonalnych, konserwatywnie trzymających się zwyczajów na które złożyły się całe wieki. Władzę zachowywał ojciec aż do śmierci. Nic więc dziwnego, że młodzież traktowała swój dom rodzinny nieomal jak swego rodzaju więzienie. Ciągła obawa przed gniewem i karą, najczęściej fizyczną, jaka mogła spotkać młodego człowieka ze strony ojca, i to zadawaną na oczach domowników i służby, budziła niechęć i rozżalenie. Nie ulega wątpliwości, że u jednostek bardziej wrażliwych i o słabszej konstytucji fizycznej powstawały na tym tle nerwice, wręcz stany chorobowe. Z radością więc młodzież wyrывała się na dwory pańskie, dwór królewski czy nawet do wojska lub klasztoru.

Stosunki między ojcem a dziećmi układały się nieco łagodniej w kołach wielkopańskich oraz wśród szlachty przebywającej dłużej w dużych miastach i podatniejszej na przyjmowanie nowych wzorów obyczajowych. Przeobrażenia te zaznaczyły się jednak silniej dopiero u schyłku XVIII w., tak że właściwie do tego momentu silna władza ojcowska stanowiła charakterystyczny rys naszej obyczajowości.

Te patriarchalne stosunki budziły zdziwienie u wychowywanych na innych wzorach cudzoziemców, pochodzących z zachodniej Europy, szczególnie zaznaczyło się to w drugiej połowie XVIII wieku (tamże: 157).

Te surowe stosunki potrafiła często łagodzić matka. Matka w ówczesnej obyczajowości była postacią ogromnie czczoną. Dzieci rzadko ją znieważały. Jeśli zdarzał się taki wypadek, uważano go za ciężkie, poważne przestępstwo (w podaniach np. potworom-zbrodniarzom zarzuca się często maltretowanie matek). Zarówno wśród plebsu, jak i szlachty piętnowano wyrodných synów, którzy dopuszczali się zniewag wobec matki. Matki bywały z reguły łagodniejsze, darzyły dzieci serdeczniejszym uczuciem, chroniły je też nie tylko przed przeciwnościami losu, lecz nawet przed tyranią ojców. Przekazy ilustrujące życie szlachty informują, jak to niejednokrotnie ojciec nakazywał preceptorom i wychowawcom surowo karać wszelkie przewinienia syna, matka zaś zakazywała zdecydowanie realizacji tych żądań (tamże: 158).

Roli kobiety-matki nie można jednak przeceniać, gdyż same uczucia, które miały one dla swych dzieci nie były w stanie zmienić patriarchalnej struktury staropolskiej rodziny.

Małżeństwa zawierane wśród szlachty i magnatów bywały niedobre nie tylko ze względu na różnicę wieku współmałżonków, gorzej było, jeśli któraś ze stron cierpiała na poważną chorobę fizyczną czy psychiczną. W dążeniu do realizacji ambitnych planów żeniono się bowiem lub wydawano panny za mąż nawet za jednostki nienormalne, kalekie, cierpiące na rozmaite nerwice i psychozy. Komerccyjne podejście do małżeństwa stanowiło charakterystyczny rys obyczajowości szlacheckiej.

Większość współczesnych czytelników patrzy na dawne życie obyczajowe, m.in. rodzinne, oczyma powieściopisarzy, sugerując się przede wszystkim genialną literacko, lecz niestety daleką od wiarygodności wizją stworzoną w *Trylogii* przez Henryka Sienkiewicza. Do dziś żywe zainteresowanie wzbudza romans i pożycie małżeńskie pana Michała Wołodyjowskiego. Otóż jego żona Basia, ściśle Krystyna Jeziorkowska, w istocie nie miała w sobie nic z dzielnego, młodziutkiego hajduczka. Wyszła za pana Michała w wieku lat ponad czterdziestu jako wdowa po trzech mężach: Świrskim, Kondrackim i Ćwilichowskim. Nie tylko nie towarzyszyła mężowi podczas oblężenia Kamieńca, lecz w obawie przed inwazją wyjechała aż na Litwę, uwożąc ze sobą rodzinne kosztowności. Powróciła stamtąd dopiero po śmierci męża i zaraz wyszła za mąż po raz piąty za pisarza podolskiego Dziewanowskiego. Oczywiście również i całe porwanie Basi przez Azję jest wytworem wyobraźni autora powieści (tamże).

Wiek XVIII jeszcze bardziej zmerkantylizował małżeńskie związki. Opinii tych nie można jednak generalizować, fakty takie dotyczą przede wszystkim kół wielkopańskich. Spotyka się bowiem w źródłach informacje świadczące o tym, że wiele małżeństw szlacheckich, a także i magnackich, łączyło serdeczne, głębokie uczucie. W języku staropolskim żonę określano mianem „dożywnego przyjaciela”. Widziano w niej nie tyle kochankę, ile właśnie powiernika, dożywnego współtowarzysza doli i niedoli, matkę swego potomstwa. Stąd też dążność do obopólnego zrozumienia się, stąd nadawanie wysokiej rangi przywiązaniu, lojalności, trosce o codzienne sprawy swych najbliższych.

Konkludując, sprawy uczuciowe i życie małżeńskie układało się w dawnej Polsce rozmaicie, należy więc unikać jakiejś jednostronnej, schematycznej oceny. Na pewno uczucie w tych czasach odgrywało mniejszą rolę niż miało to miejsce w wielu strukturach obyczajowych wieków XIX i XX, obyczajowość szlachecka stworzyła jednak taką koncepcję szczęścia małżeńskiego, że i miłość miała w niej swoje miejsce. W obyczajowości szlacheckiej żona cieszyła się poważną pozycją, wymagano dla niej godnego, „obyczajnego” stosunku. Kobiety potrafiły to dyskutować i uzyskiwały nieraz poważny, a nawet przemożny wpływ na swoich współmałżonków. Fakty takie miały w Polsce miejsce chyba częściej niż w innych krajach, dlatego też pozycja kobiety u szlachty dziwiła nieraz cudzoziemców (Kuchowicz 1975: 169).

Jak podkreśla Łoziński (1974: 173) – gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą obyczajowej kultury było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałby się może z tego tytułu prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całym znaczeniu tego słowa dostojne; wpływ kobiety wielki, często nawet przemożny. Żona „klejnot drogi”, żona „miły i wdzięczny, a tobie równy towarzysz”, żona „ozdoba mężowi”, żona „głowy korona” – wszystkie te nazwy, spotykane ustawicznie u naszych starych poetów i pisarzy, począwszy od Reja i Kochanowskiego, a skończywszy na najpóźniejszych, to nie były czcze tylko słowa, jak tyle innych w naszej, nie zawsze szczerzej literaturze, to była cała prawda; stwierdzają to wszystkie inne, najmniej podejrzane źródła obyczajowe przeszłości: akta sądowe, intercyzy, testamenty, listy poufne, nie mówiąc już o pamiętnikach.

Z powyżej przytoczonych informacji wynikałoby, że, jak w tylu sprawach domowych i pozadomowych, tak samo i w życiu towarzyskim kobiety

zajmowały dominujące stanowisko. Jednak wydaje się, że wniosek taki byłby mylny. Mamy wprawdzie tylko skąpe wiadomości o życiu towarzyskim w wiekach minionych, ale to, co wiemy, wystarcza, aby odnieść uzasadnione wrażenie, że towarzyska rola kobiety nie pozostawała w odpowiednim stosunku do jej zalet i przymiotów okazywanych w praktycznym i domowym życiu. Było kilka powodów tego objawu: najpierw surowe aż do przesady pojmowanie skromności i wstydlivosti niewieściej, wynikający stąd podyktowany wychowaniem brak towarzyskich stosunków z pięcią męską w pierwszej młodości, a co za tym iść zwykło, brak dozwolonej nawet i niewinnej zalotności – a w końcu i braki samegoż wychowania, które nie dawało kobiecie dostatecznej oświaty, a już zupełnie zaniedbywało kultywowanie tych stron umysłu i fantazji, które są duszą konwersacji i wykwintniejszego pożycia z ludźmi. Kobieta polska wieków przeszłych miała dużo wrodzonej inteligencji, ale bardzo mało umysłowego wykształcenia. Spotykamy liczne przykłady, że szlachcianki ze znaczniejszych nawet domów podpisać się nie umiały: zdradzają nam tę niemiłą tajemnicę akta sądowe (tamże: 180).

W tym czasie jednak wiele kobiet wielkopańskich zaczęło również odgrywać rolę w życiu politycznym, dość przypomnieć królowe – Ludwikę Marię i Marysienkę Sobieską. Panny ich fraucymeru pełniły rolę agentek politycznych, inspirując misterne intrygi, usidlając swymi wdziękami sarmackich dygnitarzy, by następnie wprzęgać ich w rydwan dworskiej, królewskiej czy frakcyjnej polityki. Bywało, że te ambicje polityczne wiązały się z prostą rozwiązłością, niemniej w drugiej połowie XVII w. w kołach wielkopańskich można dostrzec zdecydowany wzrost znaczenia kobiet w życiu politycznym. A już szczególnie zaczęły się wymykać spod kurateli męskiej w wieku XVIII, kiedy to coraz staranniejsze otrzymywały wykształcenie. W tym okresie można nawet mówić o zakulisowych rządach kobiet. Słynne jest powiedzenie Fryderyka II z roku 1752, że w Polsce „rozum popadł w zależność od niewiast, one intrygują i rozstrzygają o wszystkim, podczas gdy ich mężowie się upijają”. Następane lata spotęgowały jeszcze ich wpływy, stąd też w historiografii o okresie tym mówi się czasem żartobliwie: „kiedy nami rządziły kobiety”. Wpływ kobiet był bardzo silny zarówno w kołach społecznie konserwatywnej konfederacji barskiej, jak i w otoczeniu postępowego Stanisława Augusta.

Historycy zwracają uwagę, że wiele wybitnych kobiet tej doby miało niewiele sobą reprezentujących, wręcz ograniczonych mężów, za których właśnie one prowadziły działalność polityczną. Można nawet mówić w tym okresie o swoistej politykomanii dam oraz ich zakulisowych gierkach. Zwróciło to także uwagę cudzoziemców, którzy na każdym kroku podkreślali rolę, jaką ówczesnie pełniły kobiety w Polsce.

Dobrze znający polityczny świat warszawski Schulz, omawiając sprawy publiczne, tak powiada:

Wszystko to razem wzięwszy łatwo zrozumieć, dlatego w Polsce tak zwycięski wpływ na wszelkie sprawy mają kobiety. Powaga, nauka, pracowitość nigdzie kobiet podobno nie odznaczają, a u tutejszych ich najmniej. Ale przy sposobie, w jaki tutejsze sprawy się dobywają, nie potrzebują one tych przymiotów, które by im raczej szkodliwe niż pożyteczne być mogły. Wdzięk powierzchowny i wypływająca zeń siła przekonania, sztuka zręcznego pochlebiania, obudzania pewnych nadziei, zmiękczenia łzami, wzruszania miłą niecierpliwością, pięknym gniewem przerażania; powolność i grzeczność, które natura im dała jako oręż przeciw mężczyźnie umieją użyć bardzo trafnie. Przymioty te, złączone z chytryością i umiejętnością słowa, cudów dokazują; miłość, zapał, zachwycenie równie wiele czynią jak złoto, klejnoty, ekwipaże i często też się równie zużytkowują.

Należy podkreślić, że wpływy kobiet, a w pewnych latach wręcz nawet ich hegemonia, miały miejsce wyłącznie w sferach arystokratycznych, warstwa średnioszlachecka i patrycjat w dalszym ciągu nie dopuszczały, by kobiety odgrywały jakąkolwiek rolę polityczną, pozostawiało im się najwyżej wpływ na rodzinę i dom. Mimo to można mówić, że w końcu XVIII w. pozycja kobiety w wielu dziedzinach życia i we wszystkich warstwach uległa wzmocnieniu i że zmniejszyła się w tym czasie przepaść pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Nauka, literatura, sztuki piękne nadal stanowiły prawie wyłącznie domenę mężczyzn. Kobiet w dalszym ciągu nie dopuszczało się do zdobywania wykształcenia. Nawet szlachcianki były analfabatkami lub, w najlepszym razie, półanalfabatkami. Wśród większości mężczyzn panowało przekonanie, że kobiety nie reprezentują zdolności intelektualnych, ograniczano więc ich rolę w procesach kulturowych. Na przestrzeni XVI-XVIII w. działało jednak wiele kobiet, które swoją twórczością podważały wspomniane przekonania i przyczyniały się do zapoczątkowania procesu emancypacji. Można tu wymienić tak wybitne jednostki, jak np. Anna

Wazówna, Anna Stanisławska, Elżbieta Drużbacka. Poważne zmiany w tej dziedzinie nastąpiły w dobie oświecenia, które sprzyjało tendencjom emancypacyjnym. W tym okresie kobiety zaczęły już odgrywać poważną rolę w życiu kulturalnym, stając się m.in. głośnymi mecenasami. Można tu przypomnieć m.in. działalność Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej, Anny Jabłonowskiej, Izabeli Czartoryskiej (za: Kuchowicz 1975: 153).

5. Funkcje i struktura rodziny jako instytucji

Rodzina jest instytucją ogólnoludzką spotykaną we wszystkich epokach i kulturach. Do jej uniwersalnych, wszędzie spotykanych funkcji należy zaspokajanie popędu seksualnego, utrzymywanie biologicznej ciągłości społeczeństwa (płodzenie, pielęgnacja, kształcenie i wychowanie dzieci), utrzymywanie ciągłości kulturalnej poprzez przekazywanie potomstwu dziedzictwa kulturowego (języka, obyczajów, wzorów zachowań), nadawanie obwarowanej wzorami kulturowymi pozycji społecznej swoim dzieciom, zaspokajanie potrzeb emocjonalnych oraz kontrola nad zachowaniami członków rodziny.

W socjologii małżeństwo i rodzinę jako instytucję analizuje się głównie przez pryzmat funkcji, które pełni ona w społeczeństwie. Różni autorzy i badacze przytaczają różny rejestr tych funkcji. Termin funkcja oznacza pewną stałą działalność, nakierowaną na określony cel. Gdy mówimy, że jakaś instytucja ma określone funkcje społeczne, to chcemy zaakcentować, że wykonuje ona określone czynności, na które oczekuje społeczeństwo, przynosi jakieś skutki, zaspokaja określone potrzeby, wywołuje efekty ważne dla innych instytucji społecznych. Kiedy mówimy o istotnych i ważnych funkcjach instytucji, to myślimy o tych skutkach działań, bez których nie można sobie wyobrazić istnienia i funkcjonowania społeczeństwa.

Większość opracowań poświęconych zagadnieniom rodziny przytacza szerszy bądź węższy rejestr funkcji przez nią spełnianych. Funkcje te wynikają zawsze w sposób istotny ze społeczno-ekonomicznego i kulturowego charakteru społeczeństwa, w którego ramach rodzina występuje. W odniesieniu do rodziny polskiej najczęściej wymienia się funkcje wyodrębnione przez F. Adamskiego, J. Szczepańskiego (1970) i Z. Tyszkę (1974).

Funkcje rodziny wyodrębnione przez:

F. Adamskiego (1982)	J. Szczepańskiego (1970)	Z. Tyszkę (1974)
Funkcje instytucjonalne: Prokreacyjna (biologiczna)	Utrzymywania ciągłości biologicznej	Materialno-ekonomiczna Opiekuńczo-zabezpieczająca
Ekonomiczna Opiekuńcza Socjalizacyjna Stratyfikacyjna Integracyjna	Utrzymywania ciągłości kulturalnej	Prokreacyjna Seksualna
Funkcje osobowe: Mażeńska (intymne życie) Rodzicielska Braterska	Nadawanie pozycji społecznej Zaspokajanie potrzeb emocjonalnych Kontroli nad postępowaniem	Legalizacyjno-kontrolna Socjalizacyjna Klasowa Kulturalna Rekreacyjno-towarzyska Emocjonalno-ekspresyjna

Liczba wyodrębnionych funkcji jest zależna oczywiście od szczególności i sposobu ujęcia funkcjonowania rodziny. Np. szerzej pojęta funkcja wychowawcza obejmuje elementy takich funkcji jak: opiekuńcza, socjalizacyjna, emocjonalna, kontroli itd. Często podkreśla się, że przez pryzmat funkcjonowania rodziny można w właściwy sposób ujmować i charakteryzować ważne i istotne elementy kultury danego społeczeństwa oraz elementy subkultury określonej klasy czy warstwy, którą ona reprezentuje (zob. Tyszka 1974: 237).

Na ogół im bardziej społeczeństwo jest rozwinięte cywilizacyjnie, im szerszą posiada sieć instytucji wspomagających rodzinę, tym funkcje rodziny są mniej liczne, a niektóre ulegają daleko idącej redukcji.

Wartość rodziny dla jednostki tkwi w jej ponadindywidualnym, obiektywnym charakterze, zewnętrznym w stosunku do człowieka, a także

w możliwości konstytuowania i nadawania wartości ludziom i rzeczom zgodnie z naszymi potrzebami. Trwałość tej instytucji czy raczej tych dwu instytucji: rodziny i małżeństwa, wynika z łączenia satysfakcji osobistych (intymnych, psychicznych, społecznych) z ogólnospołecznym interesem, którym jest ciągłość kulturowa (zob. Trawińska 1977: 28 i n.).

Instytucjonalny aspekt małżeństwa i rodziny jest bardzo ważny. Mianowicie zwraca się w nim uwagę na tak istotną płaszczyznę zagadnienia, jak powszechnie pożądaną układ praw, obowiązków i wzorów zachowań się członków wspólnoty małżeńskiej w społeczeństwie. Brak jasnych, zinstytucjonalizowanych kryteriów w tym względzie może prowadzić do przejawów dezorganizacji i zasadniczej zmiany dotychczasowych pojęć (np. występująca w niektórych krajach tendencja do określania związków homoseksualnych czy kohabitacji jako małżeństwa).

Podsumowując, rodzina jest rzeczywistością swoistego rodzaju. Stanowi ona bowiem zarówno grupę, jak i instytucję społeczną, o czym była już mowa wcześniej. Realizuje ona podstawowe funkcje niezbędne dla istnienia społeczeństwa. Dlatego małżeństwo ze względu na swą rangę społeczną, zarówno w procesie swego powstawania, jak i trwania, jest podporządkowane społeczeństwu. Posiada określoną pozycję prawną, która zapewnia mu trwałość oraz narzuca formalnie charakter stosunków z innymi grupami czy instytucjami, ma także własną organizację wewnętrzną wyznaczającą prawa i obowiązki rodziców i dzieci, męża i żony współdziałających w ramach wspólnoty rodzinnej. Jest związkiem o charakterze publicznym, o utrwalonej wewnętrznie strukturze i określonym zakresie trwałości. We wszystkich okresach historycznych i wszystkich środowiskach społecznych rodzina miała i ma dwoisty charakter: społeczny i prywatny. Badacze kultury, etnologowie i socjologowie zarejestrowali ogromną różnorodność form ingerencji społecznej w życie rodziny. Nie znaleźli jednak żadnego społeczeństwa, w którym sprawy małżeństwa i rodziny pozostawione byłyby wyłącznie samym zainteresowanym. Ingerencja społeczna w życie małżeńsko-rodzinne przejawia się zarówno w postaci kreowania jego wzorów, jak też kontroli oraz stosowania sankcji wobec uchylających się od realizowania obowiązujących wzorów.

Rodzina jest instytucją o dużej społecznej doniosłości. Dostarcza nowych członków społeczeństwu, zapewnia jego biologiczne trwanie, istnienie, jest szczególną grupą o biologiczno-społecznym charakterze, bo

powiększa swój skład i zmienia strukturę wskutek biologicznego procesu rozmnażania. Instytucjonalny aspekt małżeństwa i rodziny jawi się także w tym, że społeczeństwo musi racjonalnie planować swój dzień dzisiejszy i jutrzejszy, a przez to musi też oddziaływać na życie rodzinne w taki sposób, by nie pojawiały się w nim skutki negatywne, które odbiłyby się potem w skali całej zbiorowości, np. sieroctwo społeczne.

Pierwszorzędne znaczenie małżeństwa i rodziny jako instytucji i grupy społecznej wynika też z faktu, że człowiek może być w sensie osobowościowym, podmiotowym i społecznym zrodzony przez rodzinę, a nie tylko przez materialną zbieżność współdziałania dwóch fizycznych organizmów, czyli przez „sumę” tego co męskie i żeńskie. Taka suma byłaby bowiem tylko płaszczyzną biologiczną, a nie wspólnotową, osobową i ludzką (zob. Bajda 1976).

Z rozważań dotyczących socjologicznego pojęcia instytucji wynika, że instytucje są szeroko rozumianymi zespołami urządzeń społecznych, powstałymi w celu zaspokajania potrzeb jednostkowych i grupowych oraz w celu regulowania ludzkich zachowań. Skoro pojmujemy instytucje jako „zespoły urządzeń”, to urządzenia te muszą posiadać funkcjonalną, przejrzystą oraz społecznie usankcjonowaną strukturę. Dopiero rodzaj i charakter tej struktury decyduje o społecznej efektywności instytucji, o jej żywotności bądź kryzysie i upadku. Dotyczy to również takiej instytucji jak rodzina. Oczywiście określoną strukturę posiadają nie tylko zinstytucjonalizowane elementy rzeczywistości społecznej, ale w przypadku socjologicznej analizy instytucji, zagadnienia jej struktury nabierają szczególnego znaczenia. W potocznym rozumieniu struktura to budowa, konstrukcja lub układ części jakiegoś przedmiotu czy zbioru. J. Szczepański uważa, że „skład grupy to członkowie oraz ich cechy osobiste i społeczne, natomiast struktura grupy to układ wszystkich elementów nie tylko członków i zasad ich wzajemnego przyporządkowania. A więc struktura to to samo co budowa, oznacza ona taki sposób ułożenie elementów składowych, aby mogły one wykonywać swoje funkcje, uzupełniając się i harmonizując tak, aby grupa jako całość mogła się utrzymać i rozwijać” (Szczepański 1970: 274).

Tak więc struktura społeczna to pewien całościowy system, w którego ramach pełnione są określone role i funkcje społeczne oraz kształtowane pozycje społeczne. Jeżeli będziemy chcieli określić strukturę interesującej

nas rodziny, to możemy ją określić jako stałe ramy, wewnątrz których przebiega życie i zachowanie małżeńsko-rodzinne. Do struktury rodziny zalicza się:

- a) Formy instytucjonalne tworzące małżeństwo i rządzące nim, czyli społecznie uznane formy wyboru partnerów, wiek uznany za odpowiedni do zawarcia małżeństwa, instytucjonalne formy zawarcia małżeństwa, jego rozwiązania, liczbę partnerów w małżeństwie i pokoleń w rodzinie.
- b) Wzory regulujące współżycie wewnątrz rodziny oraz wyznaczające hierarchię władzy i autorytetu.
- c) Układ wzajemnie powiązanych ról – chodzi tu o pozycje i role małżonków (np. rola instrumentalna męża i ekspresyjna żony) oraz charakter stosunków zachodzących między rodzicami i dziećmi.
- d) Struktury dziedziczenia majątku, władzy czy nazwiska.
- e) Cykle i fazy życia małżeńsko-rodzinnego (zob. Adamski 1984: 46).

Jak proponuje Zbigniew Tyszka, „strukturę rodziny określa liczba członków rodziny, układ pozycji, jakie zajmują i ról społecznych jakie pełnią oraz ich przestrzenne usytuowanie, a także siła więzi instytucjonalnych i psychicznych łączących poszczególnych członków danej rodziny. Siła ta świadczy o większej lub mniejszej spójności rodziny. Podział czynności w rodzinie oraz struktura wewnątrzrodzinnej władzy i autorytetów jaki posiadają poszczególni członkowie rodziny, odgrywa także niebagatelną rolę przy rozpatrywaniu jej struktury. Tak więc podział władzy, kompetencji i pracy jest fundamentalnym i zasadniczym kryterium struktury rodziny” (zob. Tyszka 1970: 14).

Innym istotnym i ważnym elementem jest charakter więzi istniejącej pomiędzy poszczególnymi członkami rodziny. W grupie rodzinnej działa cały kompleks sił przyciągających jej członków do siebie i wiążących ich ze sobą. Kompleks tych sił i warunków posiadał w historii różne oblicza, podlegał również wyraźnym kulturowym uwarunkowaniom. Inny był w rodzinie epoki feudalnej, a inny wśród plemion trobriandzkich badanych przez Bronisława Malinowskiego. Różny też był ich wpływ na kształt i trwałość społecznej struktury rodziny. Wszędzie jednak oprócz różnic zachodziło tyle podobieństw, że rodzinę traktuje się jako instytucję ogólnoludzką, o wyraźnie wyodrębnionej, wewnętrznej strukturze, odmiennej od innego typu struktur społecznych.

IV FUNKCJA SEKSUALNA

1. Ludzki wymiar identyfikacji płciowej i zachowań seksualnych

W socjologii istnieją – jak to już wcześniej zaprezentowano – najróżnorodniejsze typologie funkcji rodziny, nie zawsze pokrywające się ze sobą. Zależy to m.in. od założeń i celów badawczych, które przyświecają danemu autorowi bądź od opowiadania się za określoną teorią czy ideologią rodziny. W rezultacie otrzymujemy obraz funkcji rodziny o różnej szczegółowości i gradacji. Szczególnie widoczne jest to w sposobie ujmowania funkcji związanej z zaspokojeniem erotycznej miłości i potrzeb seksualnych człowieka. Niektórzy autorzy w ogóle pomijają tę funkcję, łącząc ją ściśle i nierozdzielnie z funkcją prokreacyjną. Inni ograniczają się do stwierdzenia, że polega ona na społecznym zalegalizowaniu życia seksualnego oraz nadaniu małżonkom wzajemnych uprawnień i wyłączności w tym zakresie. Najczęściej jednak wymienia się ją mimochodem, jakby przy okazji.

Właściwie brak jest przystępnej analizy socjologicznych aspektów aktywności seksualnej człowieka, która niezależnie od tego, czy posiada widoczne, zewnętrzne przejawy czy nie, w sposób istotny wpływa na jego psychikę i społeczne funkcjonowanie.

Opracowania poświęcone tym problemom często przerastają możliwości odbioru przeciętnego czytelnika i w dodatku są rozproszone po różnych specjalistycznych periodykach.

Problem seksualności człowieka jest jedną z najbardziej nieuporządkowanych i niesfornych dziedzin nauki, ideologii, mody i wreszcie codziennego życia. Z jednej strony nie jest to nic nowego pod słońcem, z drugiej zaś często pojawia się zaskoczenie wynikające z ciągłego atakowania naszych stereotypów w tym względzie zmieniającą się rzeczywistością. Chodzi tutaj o stereotypy, według których niekoniecznie sami postępujemy, ale które stanowią dla nas wzorce czy punkty odniesień porównawczych, a przez to stwarzają możliwości wygłaszania ocen oraz ich uzasadniania.

Stąd też ogromna różnorodność stanowisk, postaw i zachowań, która właściwie uniemożliwia akceptację opracowań zawierających zrącjalni-

zowane podejście do tej sfery życia ludzkiego. Takie w pełni zrationalizowane podejście może być zastosowane jedynie w odniesieniu do płciowości najniższych form życia przyrodniczego. Im wyżej posuwamy się po drabinie ewolucyjnej złożoności gatunków, tym trudniej ową racjonalność określić i stosować. I wreszcie na poziomie człowieczeństwa i kultury stajemy właściwie bezradni ze swoją racjonalnością. Racjonalność jest bowiem metodą porządkowania i organizowania działań tylko w tych dziedzinach rzeczywistości, które są na tyle poznane, by ich uporządkowanie miało charakter wyczerpujący.

Tymczasem istnieją wielkie obszary ludzkiej psychiki i rzeczywistości związane z typowo ludzkimi emocjami: wiarą, nadzieją, miłością, rozkoszą, cierpieniem, systemem wartości itp., które nigdy nie poddadzą się racjonalnej organizacji i uporządkowaniu. Wymagają one przecież raczej wzorów do przeżywania niż schematów do przemyślenia.

W świecie społeczeństwa i kultury nie ma racjonalności absolutnej. I tutaj dotykamy zasadniczej sprawy, tej mianowicie, że zachowanie czy działanie seksualne człowieka jest bardziej dziełem kultury niż natury, nie może więc podlegać jakiejś racjonalizacji formalnej, pomijającej wartości związane z kulturą. Przekonującą interpretację tego faktu daje J. Stojnowski (1976: 8 i n.), podkreślając, że płciowa działalność instynktowna uległa u człowieka daleko posuniętej redukcji.

W aktywności płciowej zwierzęcia można wyróżnić trzy człony. Pierwszym z nich jest popęd – stan napięcia ze zmianami z sferze wegetatywnej i ruchowej. Członem drugim są specyficzne bodźce seksualne o działaniu kluczowym. Wreszcie człon trzeci to działanie instynktowne.

Już u zwierząt obdarzonych bardziej rozbudowaną psychiką aktywność płciowa traci wiele ze swej sztywności. Jednak dopiero płciowość ludzka różni się zasadniczo od zwierzęcej wieloma cechami, tak fizjologicznymi, jak i psychospołecznymi. Z wymienionych wyżej trzech członów aktywności płciowej nienaruszony u człowieka pozostaje wyłącznie popęd, ładunek emocjonalny, gdy tymczasem dwa pozostałe ulegają znacznej redukcji. Innymi słowy, jeżeli zwierzę znajdujące się pod wpływem popędu, wie, jak ma się zachować i działa spontanicznie, to człowiek pozostaje wtedy bezradny. Ponieważ brak mu wrodzonych mechanizmów działania, musi je nabyć drogą uczenia się. W rezultacie istnieje możliwość wykształcenia się wielu różnorodnych form życia płciowego, zależnie od

wielości kultur. Następstwem redukcji instynktu u człowieka jest niemal wszechstronna plastyczność ludzkiego postępowania płciowego. Działanie seksualne człowieka nie jest wrodzone, nie jest instynktowne, lecz wyuczone; nie jest ono dziełem natury, lecz kultury.

Można powiedzieć, że redukcja instynktu umożliwiła człowiekowi rozwinięcie się u niego intelektu i poddanie jego kontroli działania popędogo. Z drugiej strony, skutek rozchwiania instynktu mogły rozwinąć się społecznie użyteczne, kulturowe formy współżycia płciowego, mające istotne znaczenie dla ukształtowania się struktury społecznej.

Skoro zgodzimy się, że seksualne zachowania i działania ludzkie są przede wszystkim dziełem kultury, ich pełna racjonalizacja jest po prostu niemożliwa. Poddanie tego zachowania jednakowym drobiazgowym instrukcjom, przepisom, normom – innymi słowy pełnej racjonalizacji cofałoby człowieka jako jednostkę i podmiot świata społecznego z „królestwa ducha” do poziomu zbliżonego do „królestwa instynktu” w znaczeniu biologicznym, a więc do form organizmów stojących znacznie niżej od niego.

Wszystkie sfery życia wymykające się racjonalizacji regulowane są zasadami pozaracjonalnymi (irracjonalnymi) co nie znaczy, że bezwartościowymi w sensie socjotechnicznym i społecznym. Zasad takich dostarczają religia i magia.

Wiara była pierwszym instrumentem poznania oraz narzędziem konstrukcji ładu społecznego i moralnego (zob. Paleczny 1998: 80), magia zaś pierwszą formą socjotechniki w kontaktach człowieka z przyrodą i drugim człowiekiem. Stąd też sfera aktywności seksualnej człowieka, jako niepoddająca się w pełni racjonalizacji, zawsze w znacznej mierze regulowana była przez wiarę i magię.

R. Bastide (1969: 64 i n.) twierdzi też, że płciowość jest czynnikiem równowagi; ale pozostawiona sama sobie jest czynnikiem nieładu, który rozciąga się ze świata ludzi na świat natury, burząc porządek rzeczy, rodząc na nowo chaos i wyzwalaając apokaliptyczny zamęt.

To, co rzuca się w oczy, kiedy przypatrujemy się bliżej płciowości ludów pierwotnych, to nie jej nadużycia, ale nakładane na nią ograniczenia. Nadużycia seksualne są wytworem naszych cywilizacji, człowiek pierwotny wystrzega się ich. Kultury pierwotne są antyseksualne lub, mówiąc ściślej, umieszczają płciowość we właściwym dla niej miejscu w całokształcie ludzkich potrzeb.

„Orgie i ekscesy (seksualne) pełnią określoną i zbawczą rolę w ekonomii spraw świętych. Znoszą zapory między człowiekiem, społeczeństwem, przyrodą i bogami. Pomagają krążyć mocom, życiu, płodności [...]. Trzeba ożywić Ziemię, pobudzić Niebo, aby hierogamia kosmiczna – deszcz, ciepło – spełniła się w jak najlepszych warunkach, ażeby płody ziemi rosły i przynosiły owoce, aby kobiety rodziły synów, aby zwierzęta się rozmnażały”. W związku z tym pierwsza uwaga: mamy tu do czynienia z kultem płodności, a nie płciowości. Płciowość jest jedynie środkiem, środkiem normalnym i koniecznym, ażeby kobieta (i jej symboliczny odpowiednik – Ziemia) zostały zapłodnione, bo wszędzie potrzebna jest nieustanne odradzanie się życia zwierzęcego i roślinnego – czynności z tym związane przyjmują postać orgii tylko w określonym kręgu mitologicznym, to jest w micie Nieba-Ziemi, pokrywających się i stwarzających rzeczy przez swoje zespolenie. Zupełnie niesłusznie historycy i etnografowie chcieli widzieć w tych uroczystościach olbrzymią ruję, gwałtowny wybuch erotyzmu, łamiącego wszelkie zapory, burzliwe wyzwolenie zmysłów. I tu raz jeszcze stwierdzić trzeba tryumf etnocentryzmu, gdyż interpretujemy rytę, patrząc na nie przez pryzmat naszych własnych odczuć. Oddzielamy „środek” od „celu”, podczas gdy tu liczy się tylko cel: są to rytuały płodności, a nie płciowości.

Skoro z definicji kultury wynika, że jest ona czymś „nauczonym”, we wszystkich społecznościach tradycyjnych musi istnieć wychowanie w dziedzinie płciowej. I tu tkwi jedno ze źródeł naszego etnocentryzmu. Ponieważ u nas wychowanie seksualne nie dokonuje się ani w rodzinie, ani w szkole, tylko w grupach dziecięcych, napotkanie – jeśli można tak powiedzieć – publicznego wychowania w dziedzinie płciowej skłania nas do przypuszczeń, że płciowość jest u ludów pierwotnych znacznie bardziej wybujała od naszej i graniczy nawet ze sprośnością. Stwierdzono i opisano w wielu grupach etnicznych „zabawy kopulacyjne” u dzieci, odbywające się pod rozbawionym okiem rodziców, podkreślano od czasów Malinowskiego istnienie domów ludzi nie złączonych małżeństwem, gdzie praktykuje się małżeństwa na próbę. Dlaczego jednak ukazując płciowość od strony swobód, nie ukazuje się jej od strony równie ważnych ograniczeń? Bo w rzeczywistości chłopiec, uświadamiając się seksualnie, uczy się równocześnie skomplikowanych prawideł pokrewieństwa, odróżniania grup dziewcząt, które są dla niego zakazane i tych, wśród których będzie mógł dokonać wyboru. Uczy się, że stosunki seksualne muszą być podpo-

rządkowane bardzo surowej etykietce, że nie można nigdy pozwalać sobie na seksualne żarty wobec małżonków itd. I wszystkie te zasady grają zasadniczą rolę w ceremoniach wtajemniczenia seksualnego, w których zostanie mu przekazana tradycja plemiennej moralności seksualnej. To prawda, że spotykamy u ludów pierwotnych obyczaje, które wydają się nam zboczeniem, w których upatrujemy wyraźne dowody perwersji płciowej, ale skoro się je zrozumie, ten rzekomy element perwersji natychmiast się rozwiewa” (tamże).

W świetle powyższych ustaleń można stwierdzić, że aktywność seksualna człowieka wszędzie poddana jest odpowiedniej regulacji i kontroli jako bardzo istotna – ze społecznego punktu widzenia – sfera życia. Najwyraźniej oczywiście ta kontrola występuje w małżeństwie, które legitymizuje, sankcjonuje i reguluje życie seksualne. Funkcja seksualna z założenia jest jedną z fundamentalnych, ale zarazem poddanych właściwie wszystkim społecznym systemom normatywnym, tzn. religii, moralności, obyczajom i prawu.

W tej sytuacji warto zwrócić uwagę na coraz częstsze głosy oburzenia na Kościół za to, że „wtrąca się” w sprawę seksu, najbardziej osobistej oraz intymnej sfery życia jednostki (zob. Sanders, Stanford 1996). Wy tłumaczenie tego faktu jest bardzo proste nawet w kategoriach czysto społecznych, bez uciekania się do odniesień dogmatyczno-religijnych.

Jak już wspomniano wcześniej, sfera życia seksualnego nie poddaje się w pełni racjonalizacji, a ponadto stanowi potencjalnie najbardziej krzywdogenną czy wiktymogenną płaszczyznę kontaktów międzyludzkich. Stwarza po prostu wielorakie możliwości krzywdzenia, wyzysku i upokorzenia człowieka, o wiele większe niż sfera ekonomii, polityki, pieniądza i pracy. Trudno jest je nawet wszystkie wyliczyć: przerwanie poczętego życia, dzieciobójstwo, sieroctwo, sprzeniewierzenie zaufania i uczucia, oszustwo, złamanie życiowych planów, poniżenie godności, urzeczowienie osoby, psychiczna trauma na całe życie itp. Jest to w pewnym sensie cena wynikająca z faktu, że ludzkie zachowania seksualne są dziełem kultury, a nie czystego instynktu. Instykt sam z siebie nie zawiera możliwości krzywdzenia. Stąd też konieczność regulowania tych zachowań przez pozaracjonalne systemy, tj. religię i magię.

Właściwie każdy system religijny w jakimś stopniu ingeruje w życie seksualne swoich wyznawców głównie po to, by zachować społecznie pożądane wzory zachowania oraz w różnym stopniu chronić ich od krzywd

i nadużyć. W społeczeństwach pierwotnych czyni to magia, która zwykle posiada znacznie wyższą skuteczność niż religia w społeczeństwach cywilizowanych. Wynika to z prostego faktu, że jeśli mamy w pełni racjonalizowane zasady postępowania, to również łatwo możemy racjonalizować motywy uzasadniające ich łamanie. Z nakazami i zakazami o charakterze magicznym czy religijnym nie sposób dyskutować i nie ma żadnej przesłanki, by można racjonalizować uzasadnienie ich omińnięcia. Zasady te są jasne, gotowe, ustalone raz na zawsze, zastępujące refleksję i wymagające bezwzględnej realizacji. Tutaj m.in. tkwi odpowiedź, dlaczego każdy system religijny „wtrąca się” w życie seksualne swoich wiernych.

2. Społeczno-kulturowy charakter aktywności seksualnej człowieka

Jak podkreśla J. Strojnowski (1976: 17), brak instynktownych form działania prowadzących do zniwelowania stanu napięcia sprawia, że u człowieka obserwujemy jakby nadmiar popędu płciowego, stający się źródłem działań z płciowością nie pozostających w ścisłym związku; między innymi również takich, które są doniosłe i wartościowe dla kultury.

Z drugiej strony przerost popędu i chwiejność instynktownego zachowania się płciowego u człowieka może stanowić zagrożenie zarówno dla egzystencji biologicznej i struktury wewnętrznej społeczeństw, jak i dla kształtowania osobowości człowieka. Mianowicie skutek możliwości odizolowania przeżycia rozkoszy seksualnej od celu biologicznego istnieje zagrożenie drastycznego ograniczenia urodzin i wyginięcia przynajmniej niektórych populacji ludzkich. Z kolei nasiloną aktywność płciową może u pewnych osób stać się przeszkodą w rozwoju innych działań, prowadząc do kompulsywnego, wręcz przymusowego, coraz częstszego powtarzania odizolowanych aktów płciowych, poważnie zaburzających prawidłowy rozwój osobowości. To samo dążenie do silnych przeżyć seksualnych może wyrazić się również w tendencji do nieuporządkowanych stosunków płciowych i tym samym stanowić zagrożenie dla struktury społecznej.

Największym zagrożeniem byłoby tutaj kazirodztwo, zakazane we wszystkich kulturach i na wszystkich szczeblach ludzkiego rozwoju. A. Jeanniere (1969: 254 i n.) tak interpretuje ten zakaz:

„Nie każda pożądana kobieta jest osiągalna. W sposób najprostszy tak można by wyrazić ten podstawowy zakaz: nie wolno z byle kim spółkować. Pewne samice są zabronione samcowi – lub pewne samce samicy – nie dlatego, żeby właściwa była człowiekowi biologiczna regulacja pożądania, ale dlatego, że społeczeństwo straciłoby swoją podstawę, przestałoby istnieć, a wraz z nim zniknęłoby człowieczeństwo. Zakaz w pierwszym rządzie będzie dotyczył łączenia się mężczyzny ze swoją matką lub córki z ojcem, bo to głównie przeciwstawia się powstaniu filiacji, więzi rodowej; może być przy tym kładziony większy lub mniejszy nacisk na pierwszy lub drugi przypadek w zależności od tego, czy ród wywodzi się po linii ojczyznej czy macierzystej.

W tym sensie, najogólniej biorąc, można dopatrywać się w zakazie kazirodztwa oznaki przejścia do człowieczeństwa. Zakaz ten leży u podstaw więzi rodowej, znamionując przejście od grupy zwierzęcej do grupy ludzkiej lub, jeśli kto woli, przejście od natury do kultury”. [...]

„Jeśli złączenie płciowe z rodzoną matką jest zakazane, nie wyływa to z prawa biologicznego, które w takim wypadku zawieszaloby pożądanie płciowe. Nie wynika to również z sublimacji psychologicznej: ta sublimacja zakłada stłumienie, które zakłada z kolei ograniczenie pożądania. Główną rolę odgrywa tu zakaz, mający dla grupy ludzkiej znaczenie prawa, gdyż nadaje tej grupie ludzką wartość. Tak samo więzi brata z siostrą wykraczają poza płciowość nie dlatego, by wspólne życie osłabiając pożądanie seksualne było dostatecznym tego wytłumaczeniem, ale dlatego, że reguła zamieniła się w prawo. Norma, która nadaje strukturę grupie rodowej zmusza do sublimacji pragnienia, będąc równocześnie przyczyną stłumienia.

Po tym, cośmy tu powiedzieli, dochodzimy do wniosku mającego kapitalne znaczenie dla problemu więzi między istotą-mężczyzną i istotą-kobietą, a istotą-samcem i istotą-samicą. Przejście od zwierzęcości do człowieczeństwa nie może być sprawą indywidualną, nie może być przejściem od poszczególnego zwierzęcia do poszczególnego człowieka, ale dokonuje się ono między sferą zwierzęcą a sferą ludzką. Jest to przejście od zwierzęcości do człowieczeństwa lub, jak mówi Hegel, od życia do ducha” (tamże: 255).

Spółeczny wymiar zachowań seksualnych ze wszystkimi jego konsekwencjami przejawia się również w stałości popędu seksualnego.

U zwierząt ssących występują wyraźne, okresowo pojawiające się objawy rui, które sprawiają, że samice, a pod ich wpływem także samce, niemal całkowicie porzucają swe zwykłe zajęcia i zwracają się ku czynnościom płciowym. U człowieka objawy podobne do rui, jeżeli w ogóle występują, są bardzo słabo wyrażane. Dzięki temu nie ma tu więc periodycznego „szaleństwa płciowego”, które by przerywało normalne zachowanie się społeczne. Ma to oczywiście olbrzymie znaczenie dla kształtowania się międzyosobowych form ludzkiego współżycia społecznego.

Wobec braku u człowieka okresów godowych, to jest rui, popęd u niego – inaczej niż u zwierząt – ma charakter nie okresowy, lecz ciągły. Istnieje więc u człowieka niemal ciągła możliwość wzajemnego odnoszenia się mężczyzny do kobiety, ale bez atmosfery przymusu działania seksualnego. Ludzki popęd płciowy dzięki temu w dość znacznym stopniu poddaje się kontroli społecznej.

Płciowość ludzką charakteryzuje także wyjątkowo długi okres wychowania potomstwa, z zachowaniem przez kobietę równoczesnej zdolności do reprodukcji. Ten nadzwyczaj długi okres dojrzewania dzieci jest jedną z najbardziej doniosłych i bogatych w konsekwencje różnic między człowiekiem a zwierzętami z rzędu naczelnych. Tak długie dzieciństwo może realizować się jedynie w społeczności. Z drugiej strony zjawisko to staje się ważnym czynnikiem wzmacniającym strukturę społeczną oraz przyczynia się do dalszego rozwoju kultury.

Niespotykany u zwierząt jest także charakterystyczny dla człowieka długi okres życia po zakończeniu czynności rozrodczej. Dzięki niemu kobieta, która może urodzić swe najmłodsze dziecko najpóźniej tuż przed pięćdziesiątym rokiem życia, ma jeszcze dość czasu, by je wychować, a także, by pełnić w społeczności inne, niezwiązane z rozrodczością funkcje. Również – w porównaniu z większością zwierząt – długi okres życia mężczyzny pozostaje w związku z koniecznością wieloletniego uczenia się i gromadzenia doświadczenia (Strojnowski 1976: 18).

Aktywność seksualna jako zjawisko społeczne i potrzeba ludzka posiada przemożny, specyficzny, ale też i niezwykle ambiwalentny charakter. Jak podkreśla L. Kołakowski (2000: 55), „oglądając codziennie wszelkie szaleństwa, zbrodnie i nieszczęścia, jakie seks produkuje, a także ich opisy we wszystkich prawie arcydziełach literatury i sztuki, łatwo dochodzimy do wniosku, że nie ma w ludziach silniejszego popędu. Nie jest jednak jasne,

jak moglibyśmy oceniać względną siłę różnych energii instynktowych. Od niejedzenia się umiera, nie umiera się jednak od niekopulowania. [...]

Nadzwyczajna różnorodność zachowań seksualnych ludzkich jest jednak dziełem kultury, a nie natury, i równie mało można ją z postanowień natury wydedukować, jak i z faktu, iż natura kazała nam się odżywiać, można wydedukować menu wszystkich restauracji paryskich i reguł *savoir-vivre* u przy jedzeniu.

Seks jest niepodobny do innych stron fizjologii. Nie jest zrzędzeniem natury, lecz kultury, że inaczej wyrażamy nasze doświadczenia w zakresie jedzenia, a inaczej w sprawach seksualnych. Wolno publicznie jeść, lecz zakaz publicznego uprawiania seksu jest bardzo silnym tabu bodaj we wszystkich kulturach; zakaz ten należy do konstytutywnych znamion ucłowieczenia; wyraża umiejętność odnoszenia się do własnego ciała jak do rzeczy, a więc ostatecznie zdolność do odróżniania ciała od samego siebie, ludzkość pewnie nie wysłaby ze stanu zwierzęcego, gdyby to tabu nie było ustanowione. Inne restrykcje, zakazy i nakazy (prócz kazirodztwa, gwałtu i seksu z dziećmi) mogą uchodzić za cywilizacyjnie i historycznie zmienne, jak nam mówią o tym na przykład historycy kultur Indii i Chin” (tamże).

I tutaj bardzo silnie dotykamy osobowościowego aspektu seksualności, potrzeb erotycznych oraz związanych z ich zaspokajaniem konsekwencji dla kształtowania się osobowości jednostki.

3. Osobowościowy wymiar aktywności seksualnej

L. Kołakowski w swoich rozważaniach o sprawie seksu (2000: 16) wyraźnie akcentuje umiejętność odnoszenia się do własnego ciała jak do rzeczy, a więc zdolność odróżniania ciała od samego siebie. Dodajmy w tym miejscu, że zdolność ta jest skutecznie zacieraana np. przez współczesne reklamy kosmetyków. Na ten problem zwraca również silną uwagę współczesna nauka Kościoła oraz chrześcijańscy moralisiści, których wnioski podsumowuje W. Półtawska (zob. 2001: 164 i n.).

„Każde ludzkie działanie jest uzależnione od ciała, czyli od płciowości; bo inaczej reaguje ciało męskie, a inaczej kobiece. Wszystko, co ludzie czynią, jest nacechowane męskością czy kobiecością. Wszelkie próby zaprzeczenia temu są naiwnością, płęć sięga bardzo głęboko w strukturę ludzkiej osoby – począwszy od faktu płci genetycznej, która sprawia, że każda ko-

mórka ciała ludzkiego nosi znak swojej płci, aż do intymnej głębi ludzkiego „ja”, gdzie kryje się ów „człowiek wewnętrzny” (zob. Jessel, Moir 1998).

Ludzie przeżywają nawzajem siłę swej atrakcyjności, kontakty ludzkie nie mogą obejść się bez ciała. Stąd pojawia się konieczność wychowania własnego ciała do takiej sprawności, żeby człowiek kierował jego reakcjami, a nie ciało człowiekiem.

Współczesne dążenie do „odkrywania tajemnic łoża małżeńskiego” wcale nie przynosi prawdziwego poznania tajemnicy Bożej ani ludzkiej, bo do tej głębi ludzkiej intymności człowieka nikt nie może wtargnąć. Prawdziwa ludzka miłość będzie zawsze własną tajemnicą tych dwojga osób. Pozorne odkrycie prawdy, która *de facto* jest fałszem, powoduje zaniżenie wartości wszystkiego, co wiąże się z płciowością, a więc jest zaniżeniem wymiaru samego człowieka, zaniżeniem wartości miłości i samego współżycia małżeńskiego. Czym są miłość i współżycie odarte z głębi tajemnicy? Sposobem przeżycia drobnej przyjemności związanej z reakcją ciała? Pogoń za tą przyjemnością staje się nieraz motorem działań ludzkich (Półtawska 2001: 164).

Dlatego też wielu dorosłych ludzi i znaczną część starszej młodzieży cechuje typowe dla małego dziecka dominujące dążenie do przyjemności. Kierują się oni w życiu, jak to określa Freud, „zasadą przyjemności”, a nie „zasadą rzeczywistości”, która jest charakterystyczna dla dojrzałej osobowości.

Skutki tego są groźne zarówno dla niedojrzałych jednostek, jak i dla całego społeczeństwa. Niedostateczne liczenie się z rzeczywistością fizyczną i społeczną oraz brak opanowywania swych pragnień przyjemnościowych naraża te jednostki na częste zawody życiowe, bo życie nie zaspokaja ich nierealnych, egocentrycznych pragnień. Ten brak spełnienia wywołuje stany frustracji, przygnębienia, zniechęcenia, pretensje do losu, a często i zaburzenia nerwowe, prowadzi do życiowych bankructw czy ucieczki od życia. Społeczeństwo zaś cierpi z tego powodu na różne choroby społeczne, jak alkoholizm, narkomania, włóczęgostwo, chuligaństwo, prostytutka, przestępczość dorosłych i małoletnich. Bezpośrednią konsekwencją takiego stanu rzeczy jest także coraz większa liczba dzieci niedorozwiniętych umysłowo, obniżających stale wartość następujących po sobie pokoleń (Grzywak-Kaczyńska 1973: 7).

Właściwością wszelkiego popędu jest dążenie do natychmiastowego zaspokojenia. Tak bywa w świecie zwierzęcym. W świecie ludzkim dążenie

do natychmiastowego zaspokojenia popędu świadczy o degradacji do poziomu animalnego, a co najmniej o braku wszelkiej kultury uczuć. Cechą specyficzną ludzką jest zdolność do powściągnięcia się, czyli do odraczania momentu realizacji jakiegoś pragnienia, na skutek czy to konieczności obmyślenia sposobu realizacji, czy też zastanowienia się nad słusznością tej realizacji. Są to dwa najważniejsze i wyłącznie ludzkie człony w procesie działania człowieka: samorefleksja i obmyślenie działania. Są one podstawą tego, co nazywamy powściągliwością.

Ażeby zrozumieć jego znaczenie w okresie dojrzewania, należy uświadomić sobie fakt, że budzący się potężny popęd rozrodczy stanowi dynamizm wrodzony, o wrodzonych, a więc gotowych drogach wyładowań, gdy tymczasem dynamizmy wyższego rzędu, uwarunkowane społecznie (postawy społeczne), jako nabyte w procesie osobistego doświadczenia jednostki, muszą się dopiero rozwinąć i wytworzyć w psychice odpowiednie formy przejawiania się, jako wyższe uczucia i dążenia. Jeśli w okresie dojrzewania jednostka nie ma wytworzonych, choćby w ząbku, postaw społecznych, które by kanalizowały tę nasiloną energię i przetransponowały ją dla swoich celów, to energia ta przejawia się w sposób wrodzony, prymitywny. Wtedy każdy impuls, każde pobudzenie, zewnętrzne czy wewnętrzne wyzwala energię seksualną, ponieważ ma ona już gotowe drogi wyładowania. W ten sposób następuje przedwczesna erotyzacja, która ze swej strony w dalszym ciągu utrudnia wytwarzanie się dynamizmów wyższego rzędu, działając hamująco na rozwój zarówno intelektualny, jak i uczuciowo-dążeniowy czyli emocjonalny (tamże: 23).

Człowiek pragnie kochać i być kochanym, ale zdolność do kochania nie jest mu w gotowej formie dana. Miłości trzeba się uczyć. Zdolność kochania musi się ukształtować w psychice człowieka, aby stać się ośrodkiem jego życia, nadawać mu sens i wartość. Okazuje się jednak, że człowiek napotyka wiele przeszkód w kształtowaniu tej zdolności i w rezultacie albo w ogóle nie rozwinięto wrodzonej tendencji do kochania, albo rozwinięto ją w stopniu niedostatecznym. Człowiek taki nie umie kochać, ale mimo to pragnie być kochany. Wytwarza się więc taka sytuacja, że człowiek rozpaczliwie pragnie miłości, nie umiejąc sam kochać. Pragnie brać, nie umiejąc dawać. I stąd różne zaburzenia w sferze emocjonalnej, stałe konflikty z partnerem miłości, prowadzące do nerwic, spaczeń osobowości, do cierpień i załamania życiowych.

Im więcej jest ludzi nieumiejących kochać a pragnących miłości, tym mniejsza szansa realizowania tego pragnienia bez rewanżu. Zwłaszcza, jeśli oboje partnerzy niezdolni są do kochania. Tym częściej występują konflikty, rozczarowania, tym bardziej wyolbrzymia się to, co najłatwiejsze w miłości, bo automatycznie występujące w określonym wieku życia – czynnik erotyczny (Grzywak-Kaczyńska 1973: 16).

Ten czynnik erotyczny wysuwa się obecnie coraz bardziej na pierwszy plan jako wartość sama w sobie, skrajnie zindywidualizowana i odnoszona tylko do własnej, prywatnej sfery życia, chociaż w rzeczywistości nigdy nie była ona tylko własna i tylko prywatna. Zawsze posiadała konteksty społeczne i kulturowe i w jej kręgu pozostawały inne jednostki lub całe grupy.

Jak trafnie zauważa L. Kołakowski (2000: 56), „w naszych czasach, w ostatnich dziesięcioleciach, prawie wszystkie tabu chrześcijańskiej proweniencji są kwestionowane zasadniczo. To, co było kiedyś wstydlive i skrzętnie ukrywane, a więc tzw. zboczenia seksualne, jest wystawiane na pokaz publiczny, nie jest prawie nigdzie na terenach ongi czy aktualnie chrześcijańskich karane prawem, a samo słowo „zboczenie” jest potępione w przepisach politycznej poprawności. Seks przedmałżeński jest niemal powszechnie akceptowany, Kościół, nawet gdy przypomina tradycyjne zakazy, czyni to słabo i bez wielkiego przekonania, nie grzmi surowo; nie poślubione pary mieszkają ze sobą jawnie i niemal wszędzie. Rodzina wielopokoleniowa jest w zaniku, a rozwody są nagminne. Cudzołóstwo nie jest jawnie chwalone, ale i tu pobłażliwość jest znaczna.

Jakże więc mamy ocenić tzw. rewolucję seksualną, jaka się dokonała w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego wieku? O ile przyczyniła się do uczynienia seksu przedmiotem publicznych, jawnych debat i do zniesienia różnych restrykcji niemądrych – była udana; prawdą jest jednak, że tym samym przyczyniła się do ogromnej eksplozji literatury i sztuki pornograficznej, do obsesji seksu, w jaką nasza kultura została wtrącona. Zapewne też przyczyniła się do rozkładu instytucji rodziny, której kruchy status jest nieustannie i ze zrozumiałym niepokojem rozważany. Jak zwykle w takich sprawach, nie potrafimy sporządzić wiarygodnego bilansu.

Dyscypliny życia seksualnego, jakiej pragnąłby Kościół rzymski, nie uda się narzucić dzisiejszemu światu. Gdyby jednak miało dojść do zu-

pełnego rozkładu życia rodzinnego, do upadku tradycyjnych więzi między pokoleniami, zaczniemy może zastanawiać się nad tym, czy okropne reszty dawnych czasów, z ich wszystkimi nieszczęściami, nie były w sumie bezpieczniejsze, nawet z punktu widzenia samozachowania gatunku ludzkiego i jego kultury. Ale jest to spekulacja, z której nic właściwie nie wynika” (zob. tamże: 60).

Eksplozja haseł rewolucji seksualnej miała w dużej mierze znaczenie prowokacyjnego wyzwania młodzieży wobec społeczeństwa „starszych” i wywodzących się z niego elit rządzących. Hasła te jednak przeniknęły nie tylko do świadomości młodzieży, lecz także do szerokich rzesz społeczeństwa i zmieniły poważnie jego mentalność w odniesieniu do zagadnień moralności seksualnej. Seks przestał być czymś wstydlivym, a rynek środków przekazu społecznego zaalał morze publikacji pornograficznych. Sprawy intymnych przeżyć seksualnych stały się przedmiotem nie tylko badań naukowych, lecz także otwartych dyskusji (za: Skrzydlewski 199: 35).

Dzięki niestrudzonemu uświadomieniu, propagandzie *flower power* i stałemu łamaniu tabu seksualnych zbuntowana młodzież roku 1968 uświadomiła wszystkim, że zahamowania seksualne całkowicie wyszły z mody. I to zadziałało. Seks – przynajmniej w społeczeństwach zachodnich – nie jest już tabu. Seks stał się sportem, towarem, jest wszechobecny niemal w każdej reklamie. Społeczeństwo konsumpcyjne i jego media są tak zseksualizowane, że brak jakiegokolwiek sex appealu znów graniczyłby ze złamaniem tabu.

Czym zatem jest seks, erotyka i miłość wreszcie? Antropolodzy, genetycy i seksuolodzy lokują ją w zewnątrzności, w poszczególnych cechach ciała, w wielkości bicepsów i objętości piersi. Endokrynolodzy twierdzą nawet, że znają chemiczne wzory miłości romantycznej: trwa ona od 6 do 18 miesięcy i jest związana ze wzmocnionym poziomem dopaminy i norepinephryny w mózgu oraz obniżonym wydzielaniem serotoniny. Socjologowie twierdzą, że miłość to komunikacja pożądania z pożądaniem przechodząca w stan zakłóceń na łączach w momencie, gdy afirmacja dla partnera wpada w konflikt z narcyzmem. I tak dalej. Wszystko zostało opisane. Ale erotyka wciąż wymyka się materii i jej mechanice: kryje się w ruchliwości umysłu, w czarze gry słów, w porywającej logice myśli.

I wreszcie: czym byłaby miłość fizyczna bez duchowej refleksji na jej temat? Sex appeal wcale nie kryje się w idealnie wymodelowanym ciele, a raczej w tym, co we Francji nazywa się *esprit*, jest aktem duchowym – ulotnym i trwałym zarazem. Jego utrata jest nieszczęściem, którego nie wyrówna cały najbardziej wymyślny przemysł pornograficzny. I o tym właśnie są powieści nowej erotycznej fali w literaturze francuskiej. O wymyślnych protezach, jakich dostarcza rynek ludziom pozbawionym miłości. (Krzemiński 2002).

Jak podkreśla Skrzydlewski (1999: 19-21), dzisiejsze rozumienie seksualności jest w zasadzie pozytywne. Seksualność nie jest czymś, czego należy się bać. Właściwe spojrzenie na seksualność i działalność seksualną człowieka można ująć w następujące stwierdzenia:

- Seksualność jest integralnym składnikiem natury ludzkiej, a naturalna struktura ludzkości wyraża się w zróżnicowaniu płciowym.
- Ludzie rodzą się mężczyznami lub kobietami; nieliczne stosunkowo nieprawidłowości potwierdzają regułę (Skrzydlewski 1999: 19).
- Czynniki płci tak dogłębnie przenikają człowieka, że stanowią element konstytutywny osoby jako mężczyzny albo kobiety.
- Człowiek zawsze działa jako osoba seksualna, nawet jeśli jest podmiotem anomalii wrodzonej; nie ma ludzi nieseksualnych.
- Seksualność ludzka jako istotny element natury człowieka, przejawiający się w zróżnicowaniu płciowym i w popędzie seksualnym, jest pozytywną wartością bytową, darem Stwórcy.
- Seksualność ludzka jest wraz z całą naturą człowieka skierowana ku rozwojowi osobowemu i społecznemu; realizacja tego zadania następuje przez działalność seksualną w małżeństwie, rozwój rodziny i wychowanie dzieci.
- Niezbędne opanowanie popędu seksualnego służy osobowemu rozwojowi człowieka i dobru społeczności.
- Pożycie seksualne ma swe właściwe miejsce w małżeństwie, które zapewnia stabilność i poczucie bezpieczeństwa małżonkom.
- Osobowemu i społecznemu rozwojowi człowieka służy odpowiednie opanowanie popędu seksualnego, rozumne i odpowiedzialne podejmowanie współżycia seksualnego w małżeństwie oraz aktualizujący miłość kontakt osobowy małżonków.
- Współżycie seksualne mężczyzny i kobiety w małżeństwie jest ze swej natury skierowane ku rodzicielstwu i ku jednoczeniu małżonków w miłości.
- Stosunek seksualny w małżeństwie jest wyrazem wzajemnego daru osobowego, nie może więc być realizowany wbrew miłości.

4. Integracja kreatywnych cech seksualności w małżeństwie

Cokolwiek skojarzyło daną parę, małżeństwo jest instytucją, która ma regulować sprawę płciową. Współżycie płciowe jest więc rdzeniem małżeństwa. Od kobiety niewiele trzeba, by doszło do aktu płciowego: wystarczy, że się nań godzi, choćby jako na uciążliwy zabieg. Ale mężczyzna musi go chcieć aktywnie. I pragnie go samorzutnie, gdy kocha lub ma sympatię seksualną. W innych przypadkach liczy na to, że niewysoki jest próg tego pragnienia i że je obudzi dobra sposobność, która w jednej sypialni powtarzać się będzie codziennie.

Obcowanie płciowe jest niezmiernie ważnym momentem współżycia. W miłości czy przy sympatii seksualnej zaspokajają ono jedno z najbardziej żywiołowych i nieustępliwych pragnień człowieka: daje partnerom poczucie ostatecznego, bez dystansu i rezerwy, zbliżenia i wzajemnego oddania. W tym wspólnym przeżyciu do granicznego, maksymalnego punktu dochodzi ich spójnia cielesna i duchowa (za: Znamierowski 1958: 41).

Mówi się często, że seksualność jest tą szczególną sferą, w której nie sposób kłamać. Zbyt wiele osób zostało oszukanych w miłości, żeby taką tezę można było przyjąć bez zastrzeżeń. Ale trzeba przyznać, że aktywność płciowa z natury rzeczy wymaga daleko idącego obnażania się, ukazania się takim, jakim się jest w swej głębi, po zdjęciu tych wszystkich masek, które nakładamy, wychodząc na ulicę. Ukazujemy wzajemnie przed sobą swoje ciało – może urodzive, a może mające jakieś defekty. Ujawniamy swój styl bycia, sposób zachowania się – wszystko, czym nasiąkaliśmy w ciągu dzieciństwa – może radosnego, może tragicznego. Ukazujemy swoją wielkoduszność, ale też swoje większe lub mniejsze perwersje; swoją odporność psychiczną, jak również lękliwość oraz niewiarę w siebie i innych. Nie można też wtedy ukryć żywionej do partnera niechęci lub nieufności.

Wzajemne obnażanie się, tak charakterystyczne dla spotkania erotycznego, wymaga się, jako niezbędnego czynnika, równoległe rozwijającego się wzajemnego zaufania. Bez ufności nie ma odkrywania się. Z drugiej strony, rezerwowanie jakiejś strefy swej psychofizycznej struktury jest wyrazem nieufności. Jeżeli zaś dana osoba ma przekonanie, że mogłaby wobec partnera wyrazić się pełniej niż to czyni, może się tak dzieć dlatego, ponieważ partner zbyt zapatrzonej w siebie niedostatecznie się nią interesuje.

Zbliżenie erotyczne, jeżeli ma być pełne, uszczęśliwiające, wymaga stopniowego przewycięzania lęku przed drugą osobą, wzrostu zaufania, proporcjonalnego do redukcji lęku, pogłębiającego się zainteresowania partnerem (Strojnowski 1976: 151).

A to można osiągnąć tylko w stałym związku, jakim jest małżeństwo. W tym też sensie mamy do czynienia ze zjawiskiem małżeńskiej humanizacji seksu.

Z chwilą, gdy partnerzy rozpoczynają współżycie pod jednym dachem, odległość między nimi skraca się tak, jak nigdy przedtem. Nawet i u tych ludów pierwotnych, które zaledwie przesłaniają ciała przepaską biodrową lub nie zakazują obcowania przedmałżeńskiego, partnerzy zostają wystawieni na wielką próbę w chwili, gdy znajdą się obok siebie na stałe, na co dzień. A próba taka może być wręcz dużym wstrząsem tam, gdzie zbiorowość nie dopuszcza przedmałżeńskiego zbliżenia płciowego i gdzie draperie ubrania nie pozwalają domyślać się dokładnie rzeczywistych kształtów i właściwości ciała (Znamierowski 1958: 61 i n.).

Potocznie często mówi się, że małżeństwo umożliwia systematyczne zaspokajanie potrzeb seksualnych. Określenie takie znacznie ogranicza i zawęża istotę małżeńskiej miłości erotycznej i wspólnej podmiotowości małżonków. Potoczny sens pojęcia „zaspokajanie potrzeby” zakłada, że partner jest tylko środkiem do celu. Nie wykazuje się tutaj szacunku dla indywidualności partnera, dla jego wartości jako istoty, której nie można czynić środkiem do celu. Zazwyczaj z wyrachowania nie przyznaje się do swych chłodnych zamysłów i na progu swego współżycia małżeńskiego kładzie kłamstwo, które może pogłębić początkowy dysonans obcości (tamże: 40).

Jak podkreśla Lew Starowicz (1973: 25), w kulturze masowej notorycznie popełnia się pewien błąd: miłość ukazywana jest jako przejaw statyczny, dany, z przewagą i wyraźną dominantą erotyzmu. Tymczasem jest to proces dynamiczny, angażujący całą osobowość, dlatego koniecznością jest mówienie o czynnikach determinujących miłość, jak typ osobowości, płeć, system kulturowy, środowisko, historia życia. W świetle psychofizjologii, gdzie rozwój osobowości przebiega od dominanty ośrodków podkorowych do dominanty płatów czołowych mózgu, miłość rozwija się od formy egocentrycznej do oblubieńczej (heterocentrycznej). Ja zaczyna przechodzić w My. Dojrzałość miłości (gdy dominują czołowe płaty mózgu) oznacza całościowe zaangażowanie, hierarchię wartości, w której seks jest podporządkowany poczuciu odpowiedzialności, uczuciowości, procesom świadomie motywacyjnym (tamże).

Tworzenie wspólnego podmiotu „My”, to najistotniejszy aspekt podmiotowy życia małżeńsko-rodzinnego, w którym rozkosz zmysłowa

nie może być jedynym celem, lecz jest tylko intensywnym stanem towarzyszącym. Gdyby była jedynym celem, to w miarę utraty przez małżonków swych walorów erotycznych musiałby zawsze następować zanik miłości.

Funkcja seksualna małżeństwa występuje bardzo silnie zarówno w jego aspekcie wspólnotowo-podmiotowym, jak i instytucjonalnym. W aspekcie wspólnotowo-podmiotowym jest ona „prawdziwą miłością”, w aspekcie tylko instytucjonalnym jest „spełnianiem obowiązków małżeńskich”. Rozróżnienia te zostaną omówione w dalszej części opracowania. Obecnie zajmiemy się wspólnotowo-podmiotowym aspektem funkcji seksualnej.

Jak podkreśla Cz. Znamierowski (1958: 66), „im bogatsza jest otoczka duchowa kopulacji, prosta i niemal mechaniczna sprawa cielesna staje się wówczas tajemniczym i irracjonalnym misterium, które wciąż jest inne, choć niby wciąż takie samo. Sprzęg cielesny staje się wtedy podobny do pozornie monotonnego refrenu w wierszu, gdzie każda strofa mieni się treścią swoistą i bogatą.

Lecz jeśli nawet sprawa cielesna powszednieje nieco między małżonkami i staje się niejako nawykowym dodatkiem do współżycia duchowego, to przecież jednocześnie więzy nawyku i przywiązania wzmagają się na sile i kompensują słabnące pożądanie. Współżycie przędzie partnerom spójni duchowej wspólnej i nierozzerwalną nić przeżyć, która omotuje ich pragnienia i nie pozwala im wyskakiwać poza umocnione już tory” (Znamierowski 1958: 67).

Gdy małżeństwo takie jest dozgonne, współżycie rozciąga się na dziesiątki lat, w których w obojgu partnerach zachodzą nieuniknione zmiany cielesne i duchowe. Przede wszystkim, z natury rzeczy, zmniejsza się napięcie spolaryzowanego pociągu płciowego już przez to samo, że akt płciowy nie przynosi na ogół tego uroku nowości, który daje w początkach współżycia. **Mowa potoczna krótki bardzo okres wyznacza na porowy i transy miłości: jeden tylko miesiąc nazywa się miodowym.** Ale to wielka i bardzo pesymistyczna przesada. Miłość potrafi wyszukiwać w partnerze coraz to nowe uroki i tym podsycy wciąż niby to samo pragnienie. A partner, gdy żywi miłość podobną, jakoś instynktownie umie takie samo wciąż zbliżenie płciowe uczynić nie takim samym.

Początki współżycia mają doniosłe znaczenie dla dziejów późniejszych małżeństwa. Jest to ważka próba tego, czy partnerzy pasują do siebie i czy współżycie ułoży się im harmonijnie. Trudności te u startu są liczne i po-

ważne. Do współżycia wchodzi partnerzy z odmiennymi nawykami, z zupełnie tym samym zespołem potrzeb i upodobań, z więzami uczuciowymi, które łączą ich od dzieciństwa z rodziną, od której się nieco oddalają. Muszą tedy zdobyć się na dużą cierpliwość, na wyrozumienie i tolerancję, by spokojnie rozładowywały się konflikty, które łatwo wyniknąć mogą z tej początkowej odmienności. A takie konflikty niebezpieczne są dla współżycia, w nich bowiem rodzić się może uraza i gorycz, które działają destrukcyjnie nawet na miłość. Na nią nawet działają szczególnie.

W tych początkach współżycia partnerzy mają sposobność przekonać się o jednej ważnej, dotyczącej życia zbiorowego prawdzie, jeśli jej nie poznali wcześniej. Normy, które kształtują wszelkie instytucje społeczne, niezmiennie w długich odcinkach czasu, dają pozór, że niezmiennie jednakie jest też to, co się w tych instytucjach dokonuje. Ale w istocie rzeczy dzieje każdego ludzkiego zespołu pełne są wciąż nowych wydarzeń, które wciąż nieuchwytnie zmieniają równowagę między partnerami. Stosunek między dwoma partnerami nie jest czymś niezmiennym i sztywnym, przeciwnie, jest czymś, co wciąż ulega zmianie i co wymaga wciąż podtrzymywania.

Takim stosunkiem jest też więź małżeńska. Uczucia partnerów wzmagają się lub przygasają, niby płomień pod zmiennym tchnieniem różnych zdarzeń. Partnerzy muszą rozumieć, że tak jest z natury rzeczy, by im przykrości nie sprawiały te fluktuacje, i co ważniejsze, by rozumieli, że uczucie, które ich wiąże, jest płomieniem, który trzeba podsycać rozmyślnie i umiejętnie. Człowiek jednorazowo składa śluby małżeńskie, ale każdym swym czynem i słowem wzmacnia lub osłabia więź małżeńską. Nie widać tego wyraźnie z dnia na dzień, lecz na dłuższą metę drobne wydarzenia codzienne zdobywają kumulacyjnie wielki wpływ na tok pożycia (Znamierowski 1958: 63–65).

W tym miejscu warto, za J. Strojnowskim (1976: 44 i n.) przytoczyć tok rozumowania w niezwykle trafny sposób analizujący seksualne podłoże kształtowania się wspólnotowych cech grupy małżeńsko-rodzinnej.

Rodzina ma szczególną specyfikę – stanowi obszar oddziaływania zindywidualizowanych osób, których rola w grupie jest wyznaczona przede wszystkim funkcjami płciowymi: matki – wybranej przez ojca i z jego wyboru rodzącej, oraz ojca – akceptowanego przez matkę w jego funkcji zapładniającej. Żaden stosunek międzyludzki nie jest w stanie pochłonąć jednostki tak całkowicie i głęboko jak małżeństwo. Związek ten ustawia

mężczyznę i kobietę w ich najbardziej intymnej zdolności odczuwania jedności cielesnej i psychicznej zarazem. Wystawia to na próbę stopień ich dojrzałości męskiej lub kobiecej. Ojcostwo i macierzyństwo rozbudzają najpotężniejsze poruszenia uczuciowe, umożliwiając jednostce afirmację.

Osobowość kobiety dopełnia się wskutek podjęcia przez nią roli żony i matki; te dwie funkcje wzajemnie się uzupełniają. Matka staje się w pełni kobietą stosownie do tego, w jakim stopniu jej mąż, a ojciec dziecka, zostanie przez nią przyjęty i pokochany. W swoim odniesieniu się uczuciowym do dziecka przeżywa ona fakt, że dziecko to pojawiło się dzięki płciowemu zaangażowaniu miłosnemu jej męża. Akceptacja męża jest więc jednym z ważkich elementów, które konstytuują uczuciowość macierzyńską. Innymi słowy nie ma pełnej miłości do dziecka bez miłości małżeńskiej.

W małżeństwach konfliktowych odnoszenie się ludzkie, odnoszenie się mężczyzny i kobiety, stosunek seksualny, zostają odarte z miłości oraz czułości i objawiają się wyłącznie jako niebezpieczna i groźna wrogość. Małżeństwo skłócone, w którym agresywność zniszczyła jedność małżeńską, niszczy równocześnie i dziecko, które jest produktem tej jedności.

Jeżeli rodzina nie jest w stanie dokonać społecznego formowania osobowości dzieci, pojawiają się u nich perwersje zachowania seksualnego, jak homoseksualizm, niezdolność do nawiązywania kontaktów międzyludzkich oraz seksualność antyspołeczna.

Jak widać, rodzice i rodzina są dzieciom konieczne dla ich prawidłowego, pełnego rozwoju. Więź społeczną, również w instytucjach pozarodzinnych, mogą tworzyć tylko takie osoby, które, będąc dziećmi wzrastały w zdrowej atmosferze rodzinnej.

W ten sposób powstaje najbardziej swoista i szczególnego typu grupa społeczna o ogromnym znaczeniu makrostrukturalnym (dla społeczeństwa i jego kultury) oraz mikrostrukturalnym – dla jednostki i jej osobowości. Tę grupę można bez przesady nazwać „źródłem życia i miłości”.

5. „Zinstytucjonalizowane” działania seksualne – „obowiązek małżeński” w świetle wyników badań empirycznych

Omówiony wcześniej podmiotowo-wspólnotowy aspekt małżeńskiego życia seksualnego świadczy, że „odbycie aktu płciowego jest złożonym procesem, który może stać się radosną grą, uszczęśliwiającą oboje partne-

rów, ale wymagającą zawsze pełnego zaangażowania. Akt rzeczywiście uszczęśliwiający jest trudnym dziełem, nigdy nie dość doskonałym, stawiającym obojgu wysokie wymagania. Jeżeli każde z partnerów będzie pamiętało, że i druga strona ma do spełnienia być może przyjemne, niemniej trudne zadanie, i że u niej także czai się w głębi serca odrobina lęku, to oboje poczują się solidarni, będą starali się wyczuć intencje drugiej strony, cofną się przed tym, co partnerowi może przysporzyć lęku lub przykrości” (Strojnowski 1976: 135).

Jak wykazują badania socjologiczne i seksuologiczne (zob. Malewska 1969, Rodan 2000), ten złożony proces nie jest na ogół w małżeństwie ani odpowiednio rozumiany, ani dostrzegany przez znaczny odsetek mężów. Po pewnym czasie, zgodnie z tradycją, traktują oni akt płciowy jako należną im powinność i rodzaj świadczenia ze strony żony zagwarantowanego instytucjonalnie. Pośrednio świadczy o tym pojęcie „obowiązku małżeńskiego”, często podnoszone przez mężów oraz „niedyspozycje seksualne” powodowane tradycyjnym bólem głowy, akcentowane często przez żony. Zaskakujące jest również to, jak długo nie istniało w systemie normatywnym naszego społeczeństwa pojęcie krzywdy czy przemocy seksualnej w małżeństwie. Jeszcze do niedawna pojęcie gwałcenia żony było pojęciem pustym oraz śmiesznym i dopiero niedawno znalazło swoje miejsce w kodeksie karnym.

Instytucjonalizacja małżeńskiego współżycia sprzyja – w większości związków – statycznemu traktowaniu miłości. Tymczasem – jak podkreśla Lew Starowicz (1973: 34) statyczne traktowanie miłości, pogoń za posiadaniem, aby „więcej mieć”, pewność, że zaślubiony partner „należy” do współmałżonka, to wszystko jest przyczyną, że kryzys miłości rozwija się podstępnie i zostaje uświadomiony nagle z całym dramatyzmem w sytuacji, w której okazuje się, że miłości już nie ma. Rola czasu w miłości to umiejętność poświęcania swych dążeń, przyjemności, to rozmowy, więcej spędzanych razem chwil, dialog, rozrywka, wspólne przemyślenia.

Samo współżycie wymaga odpowiednio długiego czasu. Statystyki wyraźnie wskazują, że przeciętny czas trwania współżycia wynosi 5-10 minut, czyli poniżej niezbędnego minimum. Aby współżycie mogło być źródłem przeżyć wspólnotowych, wielorakich, winno trwać minimum pół godziny i wówczas nie musi być częste. W naszych warunkach najczęstszą formą jest współżycie krótkie i częste (Lew Starowicz 1973: 34).

Inną przyczyną wypaczenia miłości jest minimalizm życiowy. Studiowanie ankiety „Życia Warszawy” wydanej następnie w formie książkowej *Młodzi po ślubie* nasuwa niewesołe refleksje. Pragnienie stabilizacji życiowej, skądinąd bardzo słuszne i naturalne, przesłania wizję miłości jako procesu dynamicznego, stale zmieniającego się i wymagającego twórczości, improwizacji, wyobraźni. Z tych wypowiedzi wynika, że w takich sprawach jak starania o mieszkanie, jego urządzenie czy kupno samochodu młodzi ludzie przejawiają wiele inicjatywy twórczej. W tym wysiłku małżonkowie są zgodni, małżeństwo pozbawione jest większych konfliktów, cel bowiem angażuje wszystkie siły psychiczne, jednoczy budżet, wyobraźnię i pragnienia. W momencie zaś osiągnięcia pułapu potrzeb zaczyna się szara, monotonna egzystencja, w której miłość karleje, zanika, wygasa – ponieważ karleją osobowości nastawione już jedynie na utrzymanie stanu posiadania.

Ta dominacja „więcej mieć” nad „więcej być” staje się przyczyną kłębki. Nie zawsze dochodzi do rozwodu, ale pojawia się świadomość zaniku miłości. Osobowość ponosi kłębę w swej funkcji stałej samorealizacji, dojrzwania, personalizacji i, będąc pozbawiona swego dynamizmu twórczego, nie jest zdolna do wzbogacania wspólnoty miłości. To jest źródłem mitu miłości wygasającej.

Analiza seksuologiczna takiej wspólnoty ujawnia zubożale życie seksualne. U jednych staje się ono monotonne, stereotypowe, traktowane jako obowiązek wobec partnera, przysięgi, małżeństwa. U innych jedynym środkiem urozmaicenia szarej egzystencji staje się właśnie współżycie. Zainteresowanie dotyczy wówczas albo wielości pozycji, technik, udziwniania współżycia, albo zmiany partnera.

Prelegent mówiący o zagadnieniach seksualnych w rozmaitych środowiskach bardzo łatwo wyczuwa tego typu zapotrzebowanie. Zadaje sobie wówczas pytanie – czy zaspokoić te potrzeby i zasłużyć sobie na miano interesującego, czy przeciwstawić się tej pokusie i forsować wizję miłości twórczej, stale doskonalącej się, dla której współżycie seksualne będzie stanowiło zawsze jeden z elementów twórczości (tamże:36).

Patologią miłości jest również usiłowanie sprowadzenia jej do erotyki, pożądania. Znane jest popularne powiedzenie, że „kłóć się w dzień, ale pogodzą w noc”. Jest tak rzeczywiście w początkach związku, kiedy erotyka jest jeszcze bardzo atrakcyjna, ale w chwili jej pewnego stonowania, osłabienia, ważniejsza staje się więź psychiczna i wówczas noc już nie

rozwiązuje konfliktów. Patologię współżycia płciowego reprezentują różne formy. Jej przyczyny bywają złożone i odmienne w poszczególnych przypadkach. Zaburzenia osobowości (sadyzm, masochizm, psychopatie), niedojrzałość psychoseksualna – to niektóre z przyczyn psychicznych. Częściej mamy do czynienia z przyczynami kulturowymi, jak stereotypy męskości i kobiecości, mit orgazmu, manicheizm środowiskowy, krzywa drogi emancypacji kobiet. Te patologie współżycia wyrażają się zwykle w stylach zaspokojenia potrzeby seksualnej, które są najlepszym testem dojrzałości osobowościowej i powiązania erotyki z miłością. Z. Lew Starowicz, opierając się na swoich doświadczeniach lekarskich oraz spostrzeżeniach wyniesionych z poradnictwa seksuologicznego, wyróżnia następujące patologiczne style współżycia:

Styl wulgarny, w którym najbardziej istotną rzeczą jest rozładowanie odczuwanego napięcia, zaspokojenie szybko powstałego podniecenia seksualnego. Bardzo często współżycie poprzedza samogwałt, pigmalionizm (podniecanie się nagością), kontakt z prostytutką. Partner jest traktowany czysto instrumentalnie, a jeżeli reprezentuje podobną formację, wówczas mamy do czynienia ze wzajemnym samogwałtem.

Ten wulgarny styl szybko upowszechnia się obecnie wśród dorastającej młodzieży jako jej pierwsze doświadczenia seksualne. Ostatnie opory w tym względzie łamie naszpikowana wulgarnym seksem kultura masowa, zajęcia szkolne poświęcone zagadnieniom seksu, a właściwie „czystych” technik seksualnych oraz przykład i uznanie „wtajemniczonych” rówieśników.

Sytuację istniejącą w tym względzie wśród amerykańskich nastolatków opisuje w swojej korespondencji z Nowego Jorku M. Zawadzka (2001).

Wykryto, że w Ameryce lat 90. seks oralny (przez dzieci nie uważany za seks prawdziwy) jest najmłodniejszą formą spędzania wolnego czasu uczniów klas piątych i szóstych. W klasach siódmych zaczynają się już pełne stosunki płciowe. Według statystyk z roku 1997, aż 45% chłopców i 38% dziewcząt poniżej 15. roku życia ma za sobą pierwsze kontakty płciowe. W latach 70. do aktywności seksualnej przyznawało się mniej niż 5% dziewcząt i 20% chłopców w tym wieku.

Socjologów najbardziej szokuje instrumentalne podejście młodzieży do seksu. Nazywają go „hooking-up” (łączenie). Grupki dzieci spotykają się po szkole pod supermarketami, wałęsają się po ulicach, by spotkać grupę dzieciaków z innej podstawówki i razem chodzą od domu do domu, aż znajdą jakieś miejsce, gdzie nie ma rodziców. Wtedy łączą się w pary i uprawiają seks oralny. Seks traktowany jest przez nich jak sport, narkotyk, sposób na zyskanie popularności w szkole.

Tak bawi się pokolenie dzieci, którym na przerwach rozdawane są prezerwatywy, a na lekcjach nauczyciele demonstrują, jak nakładać je na ogórki. Seks, naukowo traktowany przez nauczycieli – w celu uchronienia nastolatków przed AIDS i przedwczesną ciążą – stał się czymś odizolowanym od uczuciowych związków z partnerem. Jako główną przyczynę przedwczesnej aktywności erotycznej dzieci eksperci wymieniają naszpikowaną seksem kulturę masową, przed którą, tak jak przed przemocą w mediach, nikt nie jest w stanie młodego pokolenia uchronić. Zaczyna się już w wieku przedszkolnym, kiedy dziewczynki dostają na swoje trzecie urodziny zestawy do malowania ust i paznokci. W wieku 11 lat wyglądają i zachowują się tak, jak kiedyś ich 17- i 18-letnie mamy. Wzorcami stają się dla nich lolitki w stylu piosenkarki Britney Spears, która obnosi się ze swoim dziewiectwem, ale publicznie opowiada o nim w taki sposób i tak ubrana, że nie ma wątpliwości, o czym marzy. Dlatego 13-letnia Maria mówi: „Ja go jeszcze nie miałam, ale koleżanka mi mówiła, że trzeba się przemóc, zamknąć oczy, wytrzymać kilka minut i szybko wszystko wypluć. Nie jest to przyjemne, ale warto. Potem cię szanują, koleżanki pytają o instrukcję. To taki rodzaj rytuału”.

Styl jednostajny, monotony, tzw. „dla zdrowia”. Brak tu akceptacji psychofizycznych wartości erotyzmu, świeżości uczuć. Nie widać dbałości wobec przeżyć i doznań partnera. Znamionuje on schyłek lub brak miłości, brak wyobraźni i troski o podtrzymanie miłości.

Styl sportowy. Najbardziej istotnym dążeniem jest maksymalna wydolność płciowa, np. maksimum stosunków w ciągu jednej nocy, co później jest źródłem infantylnego samozadowolenia i dumy. Inni wybierają drogę wielości pozycji i technik, przedkładając ilość nad jakość lub widząc we współżyciu jedynie grę zabawową. Ten styl, typowy w młodym wieku, potrafi jednak w wyniku fiksacji rozwojowej utrwalić się i wówczas przykry jest los partnera.

Styl wyrafinowany, np. używanie systemu luster, specjalnego oświetlenia, fetysyzm. Inną formą są gry zbiorowe i orgie seksualne. W wielu wypadkach należy tu zakwalifikować osławiony styl „francuski”.

Styl perwersyjny (różne formy zbroceń płciowych) (Lew Starowicz 1973: 33-34).

Oczywiście trudno jest szacunkowo nawet określić powszechność występowania poszczególnych stylów we współżyciu małżeńskim. Masowe badania tego problemu prowadzi się jeszcze bardzo rzadko, a ich wyniki budzą zastrzeżenia wielu specjalistów. Najnowsze dane na ten temat pochodzą z raportu A. Rodana (2000) pt. „Życie seksualne Polaków”.

Badaniami ankietowymi objętych zostało 3248 osób, w tym 2417 mężczyzn i 831 kobiet w wieku od 18 do 80 lat. Dominowała grupa wiekowa 21-50 lat (73,5% K i 76,2% M). Osoby stanu wolnego (panna/kawaler) stanowiły 28,6%. Oto kilka wskaźnikowych danych, pośrednio świadczących również o stylach współżycia seksualnego.

Przeciętna liczba stosunków rocznie wynosi 117. Dużo to czy mało? Przypatrzmy się, jak to wygląda w innych krajach. Według wyników ankiet Durex Global Survey (Raport z 1998 r.) przodują pod tym względem Francuzi z liczbą 141 stosunków seksualnych rocznie. Na drugim miejscu plasują się Stany Zjednoczone (138), a na trzecim Rosja (131). Z innych ankiet wynika, że pod względem przeciętnej liczby stosunków rocznie również prym wiodą Francuzi (151), na drugim miejscu znajduje się USA (148), na trzecim Rosja (129). Następne miejsca zajmują w kolejności: Niemcy – 129, Wielka Brytania – 113, Włochy – 105, Hiszpania – 90, Tajlandia – 69 itd.

Średnia światowa wynosi – 112.

W analizie wyodrębniono małżeństwa, tak aby ocenić spadek pożycia w miarę upływu czasu. I tak małżeństwa w przedziale wiekowym 20-30 lat współżyją ze sobą przeciętnie 13 razy w miesiącu (156 rocznie), w wieku 30-40 lat – 9 razy w miesiącu (108 rocznie), 40-50 lat – 6 razy w miesiącu (72 rocznie).

W miarę upływu czasu zauważalny jest spadek częstości pożycia małżeńskiego. Odsetek małżeństw odbywających przynajmniej jeden stosunek seksualny w tygodniu spada z 87% dla osób w wieku 30-40 lat, do 54% w wieku 40-50 lat i do 24% w wieku ok. 50-60 lat. U kobiet i mężczyzn stanu wolnego, mimo zaobserwowanej wyraźnej tendencji do większej liczby partnerów i ich częstszych zmian, aktywność seksualna jest mniejsza niż przeciętna (tamże: 60-61).

23% zamężnych kobiet deklaruje częstsze stosunki płciowe niż sobie tego życzą (odsetek kobiet deklarujących niezadowolenie ze zbyt rzadkich stosunków seksualnych wynosi 52%). Tylko 18% żonatych mężczyzn deklaruje swoje niezadowolenie z apetytu (rzadsze stosunki), natomiast 78% mężczyzn jest zadowolonych z częstotliwości swego pożycia seksualnego (tamże: 62).

Bez gry wstępnej rzadko która kobieta osiąga pobudzenie, a prawie żadna nie jest przygotowana do stosunku fizjologicznie. Przeżycie praw-

dziwie głębokiej satysfakcji seksualnej w trakcie stosunku umożliwiają właśnie te wstępne fazy kontaktu fizycznego. Faktem jest, że często mężczyźni zbyt szybko przystępują do penetracji, bowiem dla nich sygnałem możliwości stosunku jest erekcja. Orgazm u mężczyzny może nastąpić prawie w każdych okolicznościach i niekiedy w krótkim czasie. Kobieta jednak pozostaje niezaspokojona, jej partner najczęściej zasypia (po wytrysku raptownie spada zainteresowanie mężczyzny seksem i partnerką, wzwód ustępuje błyskawicznie, ogarnia go senność), nie zdając sobie sprawy, na jakim właśnie etapie pozostawił swą partnerkę. Jeśli powtarza się to częściej, albo – co gorsza – stanie się nawykiem, kobieta przyzwyczaja się do tego stanu rzeczy (niekiedy uważa się za zimną), a jeżeli trudno jest się z tym pogodzić – małżeństwo zaczyna przypominać krajobraz po bitwie.

Tablica 1. Preludium i gra miłosna

Płeć	Odpowiedź							
	Nie		Czasem		Często		Zawsze	
	Liczba	Procent	Liczba	Procent	Liczba	Procent	Liczba	Procent
Kobiety	367	44,2	264	31,8	138	16,6	62	7,4
Mężczyźni	313	12,9	468	19,4	602	24,9	1034	42,8

Za: Rodan 2000: 71

Pytanie o wstępną grę okazało się pytaniem-pułapką. Nastąpiła bowiem niewiarygodna rozbieżność opinii między kobiecym a męskim rozumieniem preludium i wstępnej gry.

Aż 44% kobiet utrzymuje, że ich kontakty seksualne całkowicie są pozbawione gry miłosnej, a tylko 13% mężczyzn potwierdza tę opinię. Natomiast aż 43% mężczyzn twierdzi, że zawsze stosują tę formę jako umożliwiającą późniejsze satysfakcjonujące zespolecie seksualne. Jeśli więc przyjmiemy te ankietowane, które na to pytanie odpowiedziały „czasem”, otrzymujemy przerażającą liczbę kobiet (76%), których partner „nigdy” lub tylko „czasem” pomyślał o wstępnych dłuższych, satysfakcjonujących partnerkę pieścizotach, o zmysłowych urokach gry wstępnej. Te 76% kobiet to, jak wynika z dalszego sondażu, pewne kandydatki na

negatywną odpowiedź na pytanie: Jak często osiąga Pani orgazm w trakcie stosunku? (nigdy). Partnerka nie osiąga orgazmu, bowiem nie jest psychicznie i fizjologicznie przygotowana do podjęcia stosunku.

W rezultacie pozostaje w roli podległej mężczyźnie, aseksualnej istoty, nie oczekującej ani od swego pana, ani od życia nowych doświadczeń i satysfakcji seksualnej. Ewentualnie poszukuje zdrowej seksualności, praca do pieśzcot, preludeum, gry wstępnej, poszukiwania najlepszych dla niej wzorów odczuwania orgazmu poza małżeństwem i powiększa procent kobiet utrzymujących stałe lub okresowe związki pozamałżeńskie.

Należałoby zatem zadać pytanie, co ci wspaniali mężczyźni uważają za grę wstępną, skoro $\frac{3}{4}$ kobiet zagłosowało: „nie”. Wiadomo, że wyznaczana przez panów aktywność i energia przejawiana na tym początkowym etapie stosunku płciowego wykazuje ich zdecydowanie dobre samopoczucie, ale również zdecydowanie nie znajduje uznania partnerek.

I niewiele się zmieniło przez ostatnie półwiecze, kiedy to w latach 50. XX w. na pytanie: czy na ogół bywa Pani podniecona przed stosunkiem, czy zdarza się to rzadko, czy prawie nigdy, a mimo to dochodzi do stosunku? – ponad połowa kobiet odpowiedziała: rzadko, prawie nigdy, a mimo to do stosunku dochodzi.

Dość wysoka przeciętna częstotliwość stosunków, wykazana we wcześniejszej części raportu, potwierdza przewidywania, że spora część kobiet, nie odczuwając z zespolenia płciowego oczekiwanej rozkoszy, współżyje seksualnie pod presją swoich partnerów, zgodnie z małżeńskim hasłem „tak trzeba”, „bo to obowiązek”, „bo chłop potrzebuje” itp. (tamże: 73).

Angielska królowa Wiktorja, posiadająca wiele bardzo pruderyjnie wychowanych córek, każdej z nich przed nocą poślubną dawała radę: „skoro już musi do tego dojść, zamknij oczy i myśl o Anglii”.

Aż 25% kobiet nie doświadcza nigdy orgazmu w trakcie stosunku. Sumując odpowiedzi „nigdy” i „czasem”, aż 64% nie osiąga orgazmu lub ma go rzadko. I nie jest to za przyczyną oziębłości płciowej kobiet, bowiem podczas masturbacji aż 94% zawsze ma orgazm (tamże: 85).

Warto w tym miejscu wspomnieć raport Share Hite z 1976 r. (przetłumaczony na 15 języków w nakładzie 20 mln), z którego wynika, że, globalnie rzecz biorąc, tylko co trzecia kobieta doświadcza orgazmu w trakcie stosunku. Warto też dodać, że kobiece orgazm w ciągu mijającego stulecia był przedmiotem najbardziej sprzecznych teorii. Jeszcze sto lat temu nie

było pewne, czy w ogóle istnieje. Wibrator, wynaleziony przez lekarzy, stosowany był przez długie lata wyłącznie do wywoływania niosących ulgę „histerycznych paroksyzmów”. Jak twierdzi Rachel Maines, autorka książki „Technologia orgazmu”, dopiero około 1920 r. odkryto, że paroksyzmy mają coś wspólnego z seksem. Kilkadziesiąt lat później prawo do orgazmu stało się postulatem politycznym, wypisanym na feministycznych sztandarach. I niepodzielnie kształtuje linię porad sercowych w najbardziej wyzwolonych pismach kobiecych w stylu „Cosmopolitan”. Orgazm jest celem. Środkiem może być odpowiednia wcześniejsza gimnastyka, jak donosi pismo „Shape” przeznaczone „dla kobiet, które chcą być w formie”.

W nowym raporcie pani Hite, ogłoszonym latem 2000 r., komentatorzy znów dopatrują się przewrotu. 60% brytyjskich kobiet, wyzwolonych, świadomych swych potrzeb (i praw „politycznych”), wyznaje, że mężczyźni słabo znają kobiece ciało, są leniwymi i pozbawionymi wyobraźni kochankami (za: Podgórska, Wilk 2000).

Jakie są przyczyny faktu, że tak duży procent kobiet nie osiąga orgazmu w trakcie stosunku, natomiast ma go prawie zawsze podczas masturbacji?

Przypomnijmy: 76% kobiet odpowiedziało negatywnie („nie” oraz „czasem”) na pytanie: Czy stosuje pani takie fazy stosunku jak preludium i gra miłosa przed rozpoczęciem spółkowania? Wielu mężczyzn lubi seks szybki, gwałtowny, nie traci czasu na grę wstępną i osiągnięcie stanu pobudzenia przez kobietę. Partnerka takiego mężczyzny jest więc, nie z własnej winy, absolutnie fizjologicznie i psychicznie nieprzygotowana do podjęcia stosunku.

Kobiece problemy z anorgazmią, jakże często łączone z tzw. oziębłością płciową, są więc pozorne (z wyjątkiem stanów chorobowych lub wad fizycznych) i głównie stanowią wynik braku starań partnera o rozbudzenie partnerki, jego egoistycznego (falicznego) nastawienia do seksu (cel: własne zaspokojenie) albo braku wyobraźni, słabszej wydolności seksualnej, zbyt wczesnego wytrysku, ewentualnie wadliwej techniki. Lęk, brak poczucia bezpieczeństwa, złe nastawienie do partnera (nawet chwilowe), naruszone wzajemne stosunki emocjonalne, to z kolei przyczyny „obciążające” kobiety za brak orgazmu. Anorgazmia u mężczyzn występuje bardzo rzadko i przeważnie ma tło organiczne (tamże: 76).

Przytoczone wyniki świadczyłyby, że w życiu seksualnym Polaków dominuje styl jednostajny, monotony, rutynowy, egoistyczny. Pośrednio

potwierdza to czas trwania stosunku. W zasadzie powinien on kończyć się obopólnym orgazmem, osiągnięciem przez oboje partnerów szczytu napięcia seksualnego, ale ta komfortowa sytuacja zdarza się bardzo rzadko.

Zagadnienie czasu osiągania orgazmu, podobnie jak i ustalenie „prawidłowej” częstotliwości stosunków płciowych, jest dlatego trudne, że należy w każdym przypadku uwzględniać indywidualne różnice w nastawieniu psychicznym, różnice fizjologiczne, w pobudliwości, osobowości, zaburzenia chorobowe.

49% mężczyzn miało orgazm po mniej niż trzech minutach od momentu rozpoczęcia stosunku.

34% osiągało orgazm powyżej trzech minut – w czasie do sześciu minut.

Tak więc u połowy ankietowanych czas trwania stosunku seksualnego nie przekracza trzech minut, a u 1/3 stosunek płciowy trwa powyżej trzech minut, ale nie przekracza sześciu minut.

Przedwczesny wytrysk nasienia albo krótkotrwałość stosunku niezbyt satysfakcjonują partnerkę, która pozostaje w fazie początkowej (prawdopodobieństwo orgazmu u partnerki w wyniku samego stosunku jest minimalne) (tamże: 77).

Powszechnie więc daleko odbiega spełnianie „obowiązków małżeńskich” od potrzeby syntonii, wzajemności, zintegrowania poczynań i doznań w zinstytucjonalizowanym pożyciu małżeńskim. Większość naukowych opracowań jako głównych winowajców wskazuje tutaj mężczyzn.

6. Ambivalencja zbiorowych wyobrażeń i postaw wobec seksualności

Prawdopodobnie nie ma drugiej sfery życia ludzkiego tak bardzo ambiwalentnej jak sfera potrzeb seksualnych, sposobów ich wyrażania i zaspokajania. Mieszają się tutaj w społecznym wymiarze odczucia wzniosłe i podłe, altruistyczne i egoistyczne, wspaniałe wytwory kultury i najordynarniejsze słownictwo itd., itp.

Bez wątpienia wynika to z faktu, że seks jest tą płaszczyzną życia człowieka, na której codziennie odbywa się zmaganie natury i kultury, biologii i ducha. Z drugiej strony postulowane przez religijnych moralistów trzymanie się „myślą, mową i uczynkiem” z daleka od seksu jako potencjalnego zła i śmiertelnego grzechu, nie do końca jest możliwe.

Jest to ponadto powszechnie w naszej kulturze dziedzina wstydlia. Geneza tej wstydlivosti jest r33nie interpretowana przez antropolog33w i moralist33w. Niekt33rzy z nich podkreślaj33, że wstyd dany jest naturalnie cz33lowiekowi jako ochrona duszy przed grzechem. Czesław Znamierowski (1958) np. interpretuje poczucie wstydu i jego pochodzenie w sposób naturalistyczny. Podkreśla on, że zwierzęta nie okrywaj33 tajemnic33 swoich spraw p33ciowych, lecz sprz33gaj33 si33 jawnie, na oczach innych. Cz33lowiek natomiast na wszystkich dziś znanych poziomach rozwoju ukrywa starannie akt p33ciowy przed innymi: wstyd stoi powszechnie na straży tej sprawy. Wi33że si33 to z tym, że sprawa wydalnicza osłaniana jest tajemnic33, bo budzi wstr33t u innych osobników. A organ p33ciowy zwi33zany jest bliskości33 przestrzenn33 z organami wydalniczymi i razem z nim tworzy, by tak rzec, stref33 wstydu, najbardziej okrywany tajemnic33 rdzeń i ośrodek enklawy cielesnej. „*Inter faeces et urinam coimus et nascimur*” (mi33dzy fekaliami i moczem kopulujemy i rodzimy si33) (św. Augustyn). Poza tym akt p33ciowy wprowadza partner33w w stan swoistego podniecenia, w trans p33ciowy, w kt33rym para partner33w nie może i nie chce zachować kontaktu z otoczeniem i szuka instyktownie samotności. Akt p33ciowy jest zaspokojeniem jednego z najsilniejszych pop33d33w cz33lowieka. A jest juź tak og33lnie, że gdy zostanie zaspokojona jakaś silna d33żność, to powstaje u cz33lowieka czy u zwierzęcia wstr33s zaspokojenia: uwaga skupia si33 wtedy wył33cznie na osi33gni33tym celu d33żenia i nie jest zdolna przerzucić si33 na cokolwiek innego. Wszystko, co w takiej chwili usiłuje przerwać to skupienie, niecierpliwi i wywołuje gniew. Przykładem cz33lowiek, kt33remu przerywaj33 czytanie z dawna oczekiwanego listu. Ot33ż ten wstr33s zaspokojenia w akcji p33ciowym jest tak silny i żywiołowy, jak nigdzie indziej. St33d i tak silne, jak nigdzie indziej, d33żenie, by zabezpieczyć si33 przed wszystkim, co mogłoby przerwać to jedyne w swej istocie zapami33tanie. To d33żenie obojga partner33w wyrwa ich z otoczenia i przeciwstawia wszystkim innym ludziom, czyni33c to szaleństwo we dwoje spraw33 jak najbardziej intymn33, a przez to życiowo bardzo doniosł33.

Stanowisko Cz. Znamierowskiego potwierdzałyby r33wnieź przykłady m33drości ludowej zawarte w przysłowia33ch i pieśniach dotycz33cych tajemnicy po33d33liwości cz33lowieka i anatomii jego ciała. Jak podaje D. W33żowicz-Zi33łkowska (1991: 180 i n.):

wśród „filozoficznych” obscenów wyraźnie dają się wyodrębnić zwłaszcza teksty, którym można przydać miano refleksji anatomicznych. Podejmują one nieodmiennie ten sam problem teleologiczności usytuowania tego, co pociągające, przy tym, co odpychające, pięknego przy brzydkim. Owo połączenie traktują one jako niezrozumiałą zagadkę natury, jej niepojęty zamysł:

Oj pisiu, moja pisiu,
oj, cóżże ty zrobiła,
oj, coś se w kiepskim miejscu
mieszkać polubiła.

Intencje natury są mało zrozumiałe, lecz jej prawa przemożne i bezdyskusyjne, odczuwane jako determinujące. Niestosowanie się do nich, do nakazów miłości obowiązujących cały otaczający świat, jest według obsceniczných tekstów folkloru i w świadomości ich twórców postępowaniem zasługującym na najgorszą (w tym systemie wartości) karę – kastrację, na pozbawienie człowieka naturalnego wyposażenia, danego mu przez naturę dla rekreacji i prokreacji. Prosto i brutalnie wyraża tę prawdę ostatnia już z przywoływanych tu nieprzystojnych śpiewek, której nie wahał się pomieścić w swych zbiorach także Oskar Kolberg:

Oj, cóż takiemu zrobić, co nie chce miłować.
D... wybić – j... urznąć – k... upiłować.

Zawiera ona ostateczny i pełny wykład o wartości miłości cielesnej w świecie ludowych obscenów (tamże: 182).

Niewątpliwie wielki wpływ na narzucanie ludziom oficjalnej wstydlivości miał Kościół. Negatywny wpływ religii na życie płciowe występował we wszystkich chrześcijańskich kulturach, czasach i państwach, a więc również w Polsce. Skrajna nietolerancja, zakaz zmysłowych reakcji, prokreacja jako jedyne uzasadnienie aktu płciowego, ponure zozydanie miłości cielesnej – to ważniejsze aspekty chrześcijańskiej batalii z Erosem, batalii toczonej do dnia dzisiejszego.

Kościół wprawdzie tłumił seksualizm, ale – podobnie jak dziś – zdecydowanie przegrywał walkę z ludzką zmysłowością i erotyką.

Pijar ks. Reginald Józef Bienkiewicz w swych „Kazaniach dwoistych postnych” (1745 r.), podobnie jak wcześniej Piotr Skarga w „Żywotach świętych” (1644 r.) czy Adam Gracjusz w traktacie pt. „Dyskurs o grzechach szóstego przykazania” (1682 r.) ganili erotyczne pokusy, stosunki pozamałżeńskie, „lubość cielesną”, bo przecież Pan Bóg „zakazuje wszystkich nierządów, wszystkich cielesności” (Rodan 2000: 14).

Wstydlivość ta przenoszona była nie tylko na sam problem czy temat, który stawał się tematem tabu, lecz także na wszelkie pojęcia z nim związane. Przykładem niech będzie sprawa wykładu profesora Heima w 1900 r. w Warszawie.

Profesor Heim, wygłaszając 13 lutego 1900 r. dla młodzieży męskiej odczyt pt. „Życie płciowe ze stanowiska dziejów rozwoju”, nie spodziewał się zapewne, jakie kontrowersje wzbudzi jego inicjatywa. Sala mieszcząca 700 osób była przepełniona studentami uniwersytetu. Wielu musiało odejść z powodu braku miejsca. Profesorzy akademicy potępili jednak swego kolegę, twierdząc, że „nietaktownem było omawianie tej kwestyi ze studentami [...], szkodzi to powadze szkoły i władza uniwersytecka nie powinna była pozwolić na wygłoszenie odczytu [...] tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi obeszło się bez skandalu”.

Heim nawołuje do wstrzemięźliwości płciowej, bo „historia daje nam mnóstwo przykładów, że całe plemiona wymierały wskutek nadużyć płciowych”.

Jako ciekawostkę z tego wykładu warto przytoczyć niektóre zalecenia i ostrzeżenia profesora.

Profesor Heim piętnował zbyt wczesne „wzbudzenie życia płciowego”, bo natura ludzka wymaga wstrzemięźliwości seksualnej do czasu zupełnego zmeźnienia, to jest mniej więcej do lat 25 u mężczyzny i do 18-20 u kobiety.

Późny wieczór jest najlepszą porą dla miłości płciowej, chociaż – dodawał profesor – niektórzy wolą ranek. Absolutnie nie wolno spółkować po przyjęciu pokarmu (kolacja powinna być spożyta na 2 godziny przed stosunkiem płciowym), surowo zabronione jest spółkowanie w dzień, gdyż gwałci wstydlivość niewieścią i zawsze ma cechę pośpiechu, podobnym więc jest do zwierzęcej naglącej zmysłowości. Zalecana pozycja przy spółkowaniu to „piers na piersi”. Każda inna pozycja dowodzi rozpusty, lubieżności, zepsucia i niezgodna jest z przyzwoitością, wstydlivością i moralnością. Niezależnie od norm etycznych przy spółkowaniu w innych niż małżeńskie „piers na piersi” pozycjach można uszkodzić swe organy płciowe. „Nie zawsze rzeczą odpowiadającą jest spanie we wspólnym łóżu, bo ciała małżonków z konieczności zbyt często się stykają, co z kolei wywołuje podniecenie i powtórzenie uciech płciowych, nieraz ponad wszelką miarę”. Tako rzecze profesor.

Odczyt profesora zamówiło stowarzyszenie młodzieży studenckiej pod nazwą „Ethos” – związek akademicki do walki z rozpustą.

Profesor Heim był ... geologiem. Wykładał na Uniwersytecie w Zurichu (za: Rodan 200: 22).

Taki stosunek do całej afery seksualnej położył się cieniem na rozwoju nazewnictwa oraz pojęć z nim związanych, co – jak się wydaje – do tej pory w języku polskim stanowi poważną barierę w dziedzinie uświadamiania seksualnego oraz w dyskusjach o życiu seksualnym. Funkcjonują albo pojęcia medyczne wywodzące się z łaciny, albo wulgarne, brukowe. Brak tzw. miękkich, pośrednich pojęć pozwalających bez „obelżywości” rozmawiać „o tych sprawach” na co dzień. Już w okresie międzywojennym zwracał na to uwagę T. Boy-Żeleński (1971) w poetyckim utworze „Pieśń o mowie naszej”.

[...]

To, co ziemię w raj nam zmienia,
 Życia cały wdzięk stanowi,
 Na to – nie ma wyrażenia.
 O tym – w Polsce się nie mówi!
 Pytam tu obecne panie
 (By od grubszych zacząć braków):
 Jak mam nazwać... „obcowanie”
 Dwojga różnych płci Polaków?
 Czy „dusz bratnich pokrewieństw”?
 Czy „tarzaniem się w rozpuście”?
 „Serc komunii” – czy też „świństwem”
 Lub czym innym w takim guście?
 W archaicznym tym zamęcie
 Jak ma kwitnąć szczęścia era,
 gdzie ztraca się pojęcie
 Tam i sama rzecz umiera.” (tamże: 47)

Od czasów Boya sytuacja nie zmieniła się zasadniczo. Wyniki badań z początku lat 60. XX w. przyniosły zatrważające rezultaty, jeśli chodzi o uświadomienie seksualne Polaków. Zaledwie co czwarta kobieta miała wystarczające informacje na temat własnej fizjologii oraz stosunku płciowego. 15% dopiero podczas pierwszego spółkowania dowiadywało się, czym właściwie jest zespolenie płciowe (*coitus*).

25 lat później okazało się, że w 70% polskich rodzin w ogóle nie dyskutuje się o seksie, jest to temat wstydlivy, zabroniony.

Pod koniec lat 80. 20% kobiet (prowadzących normalne życie płciowe) miało orgazm z partnerem 3-7 razy w życiu (!), a pozostałe 80% twierdziło, że ich stosunki seksualne to zaledwie łagodne podniecenie lub (uwaga!) umiarkowana przykrość (zob. Malewska 1969, Rodan 2000: 13).

Również obecnie mówienie czy pisanie o seksie mieści się na obszarze wyrażeniowo-nazewniczym, którego biegunami są terminologia medyczna, nazewnictwo rynsztokowe oraz poetyzmy nie do zniesienia.

Tę sytuację trafnie ilustruje wypowiedź literata Jerzego Pilcha udzielona „Polityce” (zob. Podgórska, Wilk 2000).

„Słownik seksualizmów polskich” Jacka Lewinsona odnotowuje jako synonim na przykład słowa „orgazm” fachową „ejakulację”. kilkadziesiąt wyrażen plugawych typu: „pakowanie”, „potok”, „wypłata”, „meta”, „rozbryzg”, jeden neologizm: „spermostrzał” oraz jedno wyrażenie poetyckie: „rozplakać się czułymi łzami”. W większości innych haseł proporcje leksykalnych zasobów erotycznych są podobne albo jeszcze dramatyczniejsze. [...]

Chyba istotnie język polski nie ma swego erotycznego kanonu, a erotycznego kanonu współczesnego nie ma z całą pewnością; nawet Miłosz, pragnąc nazwać istotę rzeczy, ryzykownie pisze, że układa „pieśń nad pieśniami o puszystym zwierzętku nie do oswojenia”. Lewinson w swoim słowniku przykłady literackie czerpie prawie bez wyjątku z literatury staropolskiej; owszem, seksualny kanon rubasznosarmacki istnieje i dosyć jest zgubny, bezpośrednio toruje drogę do sprośności językowej. Plugastwo językowe ma gołym okiem widoczną przewagę. Zawsze i pod każdym (tym także) względem twórcza tradycja biblijnego wzorca językowego była u nas kiepska. W każdym razie odnoszę nie poparte niczym poza intuicją i własnym słuchem wrażenie, że Polak potoczny, gdy potocznie mówi o seksie, mówi językiem menela zatwardziałego, a kiedy z jakichś powodów chce sprawę uwznioślić albo zaszyfrować, mówi (a bywa i pisze) idiomem jakiego rozcieńczonego Tetmajera. Albo „Jesteś piękna jak wiosenna róża”, albo „Kotku, masz dupę jak kancelaria trzeciej rzeszy”.

I chociaż w dziedzinie słownictwa oraz pojęć związanych ze sferą spraw seksualnych zaznaczył się już pewien postęp, szczególnie dzięki środkom masowego przekazu, to sytuacja w tym zakresie jest nadal niezadowolająca. Tym bardziej że wiele ugrupowań społeczno-religijnych nadal odnosi się wrogo nie tylko do spraw seksu, lecz także nazewnictwa z nim związanego. Przykładem może być stosunkowo świeżej daty tekst

Prezesa Towarzystwa Krzewienia Czystości Obyczajów i Języka wygłoszony w Krakowie w 1985 r. (zob. Lovell 1985).

Jest to tekst dlatego godny uwagi, że prócz „programu walki o czystość języka” stanowi mimowolną ilustrację funkcjonujących ówczesznie pojęć i określeń związanych z seksem. Oto wybrane fragmenty tego referatu (podają za M. Lovell 1985).

(...) Na odcinku krzewienia czystości obyczajów i języka mamy bardzo wiele do zrobienia, bo w ostatnim okresie dokonało się znaczne rozluźnienie. Przodują w dziele zgorzenia niektóre oficyny wydawnicze, które, pod przykrywką słusznych hasel reformy gospodarczej, drukują w masowych nakładach pozycje zdecydowanie niesłuszne, dowodząc przy tym przewrotnie, że dzięki zyskom osiągniętym na tej drodze, mogą wydawać dzieła piękne i pożyteczne. My jednak nie idźmy na lep tej argumentacji i dajmy stanowczy odpór podobnemu rozumowaniu.

Każda książka, w której mówi się o tych rzeczach, jest przejawem najwyższego szkodnictwa moralnego, obyczajowego i językowego. Nie pozwólmy na wydawanie podobnych książek!

Rozumiemy, że najwybitniejszym twórcom, artystom, może zdarzyć się chwila słabości, w której przeleją oni na papier pewne myśli ukryte w podświadomości zwojach. Im, tym największym, wybaczymy. Nie oznacza to jednak wcale, że podobne potknięcia należy ogłaszać drukiem, upowszechniać, nie, trzeba w całej pełni i rozciągłości przywrócić zwyczaj, stosowany z pożytkiem w XIX stuleciu a i do niedawna jeszcze, otóż zwyczaj starannego wykrawania myśli i słów zdrożnych, choćby w najwybitniejszym dziele się znalazły. Zwyczaj ten, niestety, ostatnio uległ znacznemu zaniedbaniu.

Oto więc pierwszy kierunek naszego ataku – jest nim słowo pisane.

Front drugi, znacznie trudniejszy do opanowania, to mowa nasza codzienna, potoczna, tak strasznie zepsuta nadużywaniem słów i pojęć, nierzadko o najwyższym stopniu wulgarności, dotyczących seksu. Jest to niewątpliwy przejaw patologii społecznej i spotkać się musi z naszej strony ze stanowczym sprzeciwem.

Po części ogólnej, pozwólcie szanowni zebrani, że przejdę do opisu konkretnych przykładów. By wroga pokonać, trzeba go najpierw dobrze poznać – niech ta zasada stanowi usprawiedliwienie słów i cytatów, których zmuszony będą użyć z tej mównicy, w waszym czcigodnym gronie.

Czymże innym, jak nie szkodnictwem, jest propagowanie obcych nam wzorów i zachowań pod pretekstem upowszechniania wiedzy o innych narodowościach? Celuje w tym niejaki Łojek Jerzy, ośmielający się pisać o orgiach w osiemnastowiecznym Paryżu, ze szczególnym uwzględnieniem słownictwa w tej materii. Podam przykład: „Zakon Szczęśliwości działał między rokiem 1740 a 1750. Specyfiką tego związku był żartobliwy rytuał, oparty o zwyczaje marynarskie i umowny język, określający metaforami i przenośniami zaczerpniętymi ze słownika terminów morskich wszelkie formy działania seksualnego. Tak np. okręt oznaczał ciało, kabestan

– lędźwie, wnętrze statku – brzuch, szalupa – młodą dziewczynę, stocznia – łózko, port – kobiecy narząd płciowy, tuba sygnalizacyjna – usta, statek – mężczyznę itp. Celem członków zakonu było szczęśliwe żeglowanie, urozmaicone różnymi przygodami, po coraz to innych trasach, aż do wylądowania na upragnionej wyspie szczęśliwości.

Nowych adeptów przyjmowano uroczyście na specjalnych posiedzeniach, a między innymi wypytywano ich dokładnie o lądowania, których już dokonali, aby przekonać się, jak dalece są doświadczeni w sztuce nawigacji”

Wiele przykładów dostarcza inna praca, rzekomego naukowca, niejakiego Kuchowicza Zbigniewa – tym niebezpieczniejsza, że odnosi się do naszej polskiej przeszłości, którą ten niecny autor próbuje kłaść, utrzymując, że miłość erotyczna odgrywała w życiu ludzi XVI–XVIII w. większą rolę, niż się na ogół dziś przyjmuje. Oto co czytamy na temat nazewnictwa dotyczącego spraw płci w mowie potocznej i pisanej: „Jeżeli chodzi o kobiecą anatomię, to część wstydliwą określano licznymi słowami. Powiadało się o *piersieniu, kądziolce, bandurce, bobrze, cisie, dziurce, grzywie, grzesiu, włosianym gaiku*. Nazewnictwo intymne operowało wobec kobiet zdrobnieniami filuternymi. Piersi nosiły miano *drażniątek*, mówiło się o *kochanych cycuniach, smacznym kasku, średnim dzwonku u kobiety-rybki*. Wiele dosadnych nazw i prostych metafor odnosiło się do męskiej anatomii erotycznej: *bindas, grot, Kupidyna, chwost, dudek, ptaszek, pałka, paluszek, ogon, żyła*. Jeśli chodzi o coitus, to nosił on także wiele nazw, od bardziej wytwornych, metaforycznych, przyrównujących go do *szturmu*, a także *pistoletowego strzału, pojenia i karmienia konia, koszenia łączki*, przez dziś już całkiem zapomniane. Mam na myśli takie, jak: *miłówka, kortezować, giąć się, golić się, czubić się, łupić się, torować, zapuścić kota do mięsa, obtapiać*; mówiło się *iść do pościeli*”.

Tyle przykładów z dziedziny pozornej nauki; o różnych Wisłockich, Imielińskich, Starowiczach nie chcę nawet wspominać.

Sięgnijmy po tzw. literaturę piękną. Ile tu bezceństwa, pornografii i zepsucia języka; jak karygodną lekkomyślność wykazuje wydawca i ci, którzy za nim stoją, wznawiając np. „Zmory” niesławnej pamięci Zegadłowicza, u którego co krok występuje nienawistne nam słownictwo, że przytoczę tylko nazwy żeńskich narządów: *pugilares, kaczka, pociurka, pociuryna, siurdynka* itp.

Albo znany erotoman Kazan Elia, którego lepiej by było, dla dobra sprawy czystości obyczajów i języka, nie tłumaczyć w ogóle, lecz skoro już przetłumaczono, należało bezwzględnie wyciąć np. rozważania na temat *Olka, Jednookiego Rozbójnika, Fiuta, Korzenia, Twardego Kutasa* itp.

Niestety, proszę szanownych zebranych, nie zdołam w krótkim czasie przeznaczonym na ten referat przedstawić więcej przykładów, opisać cały ogrom zła na linii zagrożenia obyczajów i języka.

Przejdźmy do mowy codziennej. Zlecieliśmy ostatnio zaufanym językoznawcom opracowanie tego tematu. Wyniki są nie do przyjęcia. Bo, czyż można dopuścić, by np. studenci tak nazywali stosunek cielesny: *walencja, kotletowanie, młócenie*,

kicanie, pchanie, piętrowanie, przelecenie, krochmalenie się, bzykanie, dmuchanie, obracanie, bara-bara, zrobić przedziałek, oporządzić pieroga?

A czy wiecie, szanowni, jak w gwarze studenckiej nazywane są kobiety? Oto przykłady: *koty, pawiany, pchełki, panienki, szprotki, szprychy, sztuki, nimfy, skóry, rajskie, rakiety, dupuchny, lepiszcza, pupy, ryjki, landrynki, parowy, [...]*

Poznaliśmy zatem rozmiary zła. Przechodząc do wniosków końcowych postuluję:
– stworzenie Społecznych Komisji do Walki o Czystość Obyczaju i Języka (SKWCOIJ) przy każdej oficynie wydawniczej. Komisja winna mieć prawo decydowania o tym, co można drukować, co zaś jest niewskazane w całości lub w części – w imię najwyższych wartości: sprawy czystości obyczaju i języka.

– powołanie wojewódzkich, miejskich, miejsko-gminnych, gminnych, dzielnicowych, osiedlowych i blokowych organów Komisji Obyczajów i Języka (KOiJ) z prawem nakładania mandatów,

– zwrócić się do Sejmu z propozycją wprowadzenia stosownej ustawy, mocą której osoby notorycznie dopuszczające się psucia obyczajów i języka zostałyby wysoko opodatkowane, zaś obywatele szczególnie niezdyscyplinowani skazywani by być mogli na przepadek mienia (podobnie, jak za pędzenie samogonu).

Szanowni zebrani! Nie wolno dłużej tolerować zjawiska wszechobecnego seksu w naszym języku mówionym, pisanim, a także w naszym życiu w ogólności. Walkę zacząć musimy od języka, by stopniowo przejść do likwidacji drożnego zamilowania rodaków do uprawiania stosunków cielesnych jako takich, bo przeszkadzają im one w wypełnianiu obowiązków zawodowych i w samodoskonaleniu się. Gdy wyeliminujemy seks, wtedy dopiero zwycięstwo nasze będzie całkowite!

Tymczasem seks i eros coraz bardziej upowszechniają się w kulturze masowej, co oprócz wielu negatywnych skutków posiada również pewne pozytywne aspekty. Erotyzacja kultury masowej – bo tak nazywa to zjawisko Lew Starowicz (1984) – jest cechą znamioną całej drugiej połowy XX w. Można zaobserwować stopniową jej ewolucję – od nieśmiałego wprowadzania nagości, tematu seksu, aż do rosnącej liberalizacji w poruszaniu wszelkich tematów seksualnych. Jeżeli przyjrzymy się bliżej kinematografii, programom TV, czasopismom, publikacjom popularnonaukowym wydawanym na świecie w XX w., to widać wyraźnie zwiększenie zakresu tematyki seksualnej, naturalizm w poruszaniu spraw płci, zwiększenie informacji o seksie, sięganie do dewiacji i patologii seksualnej. Seks stał się codziennym, niejako zwyczajnym tematem kultury masowej, uległ obnażeniu i wiwiseksi, coraz mniej w nim tajemnic. Rozważania na temat orgazmu można znaleźć w gazetach, począwszy od Kanady, a kończąc na Australii. Nagość ciała, fizjologia seksualna jest na okładkach czasopism. Ujawnianie swych przeżyć

intymnych na pograniczu ekshibicjonizmu jest codziennością w wywiadach. Do pomocy kulturze masowej ruszyli naukowcy, w tym i seksuolodzy. Na tej samej stronie pism znajdujemy rozważania kulinarne, seksualne, polityczne itd. Mówi się wprost o seksie w filmie, w prasie, w książce beletrystycznej. W tym samym kiosku można kupić wydawnictwo pornograficzne, Kamasutrę, akty, książkę seksuologiczną, Platona. Rosnącej liberalizacji seksualnej towarzyszy rosnący relatywizm, zanika pojęcie norm na rzecz układu partnerskiego, który stał się wyrocznią tego, co dobre i złe w seksie, co normalne i patologiczne.

Gabinety lekarzy, konfesjonały, doświadczenie dziadków czy babć zastąpiły porady specjalistów ogłaszane w publikatorach. Dystrybutorzy kultury masowej zaczęli wywierać nacisk na specjalistów i np. narzucają im tematy, styl wypowiedzi, aby zyskać większą popularność swych filmów, wydawnictw, rośnie zatem spirala erotyzmu, dosłowności i pogranicza z pornografią w kulturze masowej. Inną jej typową cechą jest dostępność bez względu na wiek. Każdy może sięgnąć do danej książki, pisma czy obejrzeć film.

Erotyzacja kultury masowej polega m.in. na lansowaniu nowych form zachowań seksualnych, odrzucaniu wzorców tradycyjnych, idei ascezy, umiarkowania. Ulega ona również falom mody, np. na styl retro, melodramat, orientalizm, mistycyzm, zjawiska paranormalne itd. Mody te są również łączone z seksem i np. fala mody na Orient pociągnęła za sobą publikacje różnych dzieł z kultur seksualnych Tao czy Indii, powstają kluby „wtajemniczonych” itp.

Tematy seksualne znajdujemy u nas w prawie każdym filmie, czasopiśmie, jest ich wiele w radiu, coraz więcej w TV, a i w literaturze pięknej mamy coraz bardziej dosłowne i śmiałe teksty. Treścią w rodzimej kulturze masowej jest seks o różnych obliczach: klasyczny, rubaszny, orgiastyczny (np. ogłoszenia zachęcające do wymiany partnerów, seksu grupowego), pruderyjny, dewocyjny manichejski, naturalistyczno-filozoficzny (np. u Wisłockiej).

Mamy zatem do czynienia z różnymi nurtami, które ujawniają zróżnicowanie naszych tradycji kulturowych i różnych wpływów (ze strony Kościoła, tradycji, seksuologii, mody z Zachodu itd.).

Erotyzacja kultury masowej jest różnie interpretowana. Jedni traktują ją jako apokaliptyczną wizję naszych czasów, inni jako wyraz upadku

kultury Zachodu, choroby dobrobytu, ucieczki od problemów i napięć społecznych. Widzi się w niej również motywy ekonomiczne, agresje wobec nurtu purytańskiego i rygorystycznego, dowartościowanie seksu, symbol nowej obyczajowości wolnej od tabu i zahamowań itd.

Kolejnym ważnym zagadnieniem seksu w kulturze jest zasięg następstw i ich rodzaj. Zdania są bardzo zróżnicowane nawet wśród badaczy, wystarczy np. przypomnieć dyskusje na temat pornografii. Dla jednych erotyzacja kultury masowej prowadzi do odhumanizowania seksu, swobody obyczajowej, urzeczowienia partnera. Dla innych nie ma żadnych negatywnych następstw, dostrzegają raczej pozytywne: wzrost autentyzmu w zachowaniach seksualnych, zanik stereotypów seksualnych, udane życie seksualne coraz większej liczby ludzi, dowartościowanie seksu i fakt, że stał się przedmiotem twórczości.

Jak więc wynika z badań naukowych, kultura masowa nie jest jedynym ani decydującym czynnikiem formującym postawy wobec seksu. Ma jednak na tyle znaczący zasięg, zwłaszcza w wypadku młodzieży, że musi być brana pod uwagę jako czynnik wychowujący i formujący postawy seksu. Młodzież ma szczególnie duże zapotrzebowanie na kulturę masową, szuka w niej filozofii życiowej, wzorców i modeli zachowań, podniet i przeżyć, jest przy tym sugestywna, chłonna. Kultura masowa spełnia zatem różne role w sferze seksu: poznawczą, formującą postawy, umożliwiającą przeżywanie.

Podsumowując blaski i cienie erotyzacji kultury masowej oraz kształtowania się nowej obyczajowości seksualnej, Lew Starowicz (1984) do stron pozytywnych zalicza dowartościowanie seksu i ciała (widoczne również w chrześcijaństwie), rozwinięcie możliwości przeżywania i wzbogacania życia seksualnego, zasadę partnerstwa, wzrost uświadomienia seksualnego i eliminację wielu stereotypów i błędnych poglądów, zwiększenie możliwości leczenia zaburzeń seksualnych, autentyzm w przeżywaniu seksu, pojawienie się zdolności racjonalnego sterowania płodnością, dbałość o *ars amandi*, utratę lęku przed seksem i wprowadzanie go do różnorodnej działalności twórczej.

Negatywne strony obecnej obyczajowości seksualnej to m.in. autonomizacja seksu, rywalizacja płci, nacisk na zadaniowość w zachowaniach seksualnych, szaleńcza pogoń za orgazmem jako sensem współżycia, zagubienie w systemie wartości.

Pozytywne postawy wobec seksu są zauważalne w nauce, w teologii, w sztuce. Wystarczy przyrzeć się publikacjom religijnym, aby stwierdzić życzliwe nastawienie wobec seksu jako wartości, co jest zauważalne od czasów Soboru Watykańskiego II (zob. Knotz 2001).

Istnieje jednak duże zróżnicowanie postaw wobec seksu zarówno w obyczajowości, jak i w publicystyce, odbijające nastawienia i wychowanie oraz uwarunkowania środowiskowe.

Gdyby narzeczeni nauczani przez współczesnych katechetów zostali przeniesieni o 100 lat wstecz, zapewne ulegliby szokowi, tak dalece zmieniła się postawa w traktowaniu spraw seksu. Podobnie gdyby czytelnik współczesnych publikacji seksuologicznych sięgnął do podobnego typu lektury sprzed 60 lat, nie wierzyłby własnym oczom, jak wielka zaszła zmiana.

Seks w kulturze współczesnej stał się zatem inny i zapowiada nowe przeobrażenia. Wbrew opiniom pesymistów, przewidujących rozwój dewiacji, upadek małżeństwa, zanik wierności i miłości zdecydowana większość uczestników kultury współczesnej nadal sobie ceni te wartości, jakimi są miłość, małżeństwo, wierność (za: Lew Starowicz: tamże).

Co więcej, pojawiają się symptomy, na razie sygnalizowane głównie przez publicystów, „nędzy erotycznej”, wynikającej z traktowania seksu jako wartości autotelicznej i głównego celu codziennych dążeń. Coraz częściej na nowo podkreśla się wartość celibatu (zob. np. Abbott 1999). Np. w Ameryce zdobywa powodzenie „Historia celibatu” Elizabeth Abbott. Jeśli wierzyć pisarce, wszelki postęp człowieka – od kultury po politykę – dokonuje się dzięki tym, którzy zrezygnowali z uciech cielesnych na rzecz wyższych celów. Kiedyś celibat był wyrzeczeniem godnym litości, dziś zwolennicy tej formy abstynencji są dumni ze swej czystości i twierdzą, że „w czystym ciele zdrowy duch”.

Dzieło Abbott nie jest naukowym omówieniem zjawiska, ale apologią celibatu; według kanadyjskiej autorki dzieje czystości seksualnej to historia najwybitniejszych umysłów. Abbott nie ma na myśli celibatu katolickiego, zakonnice bowiem i zakonnicy porzucają doczesność niby z wyboru, ale też trochę z nakazu sił nadprzyrodzonych i oczywiście zwierchności.

W prawdziwym celibacie żyje wyłącznie człowiek wolny – ten, który gdyby zechciał, to mógłby popofolgować żądom. Ale nie folguje, bo akurat tworzy lub myśli. Na przykład starożytni filozofowie, jak Diogenes, raczej

woleli leżeć samotnie w beczcze niż z kobietą w łożu. Albo młoda i piękna Kastissima z Aleksandrii, która uważała, że jej uroda jest raczej przeszkodą w osiągnięciu absolutu niż pomocą. Ta dziewczyna, darzona szczególną sympatią przez Abbott, postanowiła obciąć swe bujne włosy i, udając eunucha, zamieszkała w męskim klasztorze, gdzieś na rubieżach Bizancjum. Tam zresztą kult dla celibatu był bardzo silny – władza eunuchów na cesarskim dworze była niemal nieograniczona.

Jak podkreśla Górski (2000), książka ta powstała na gruncie coraz modniejszego na Zachodzie dość osobliwego ruchu „Nowego Celibatu”, do którego przystępują ludzie świadomie odrzucający cielesne uciechy na rzecz bliżej nieokreślonych wartości wyższych. Seks jest dla nich czymś nie tyle niegodnym, ile pasującym raczej do czasów prehistorycznych, gdy człowiek miał niewiele więcej do robienia, niż do naznaczonego intelektualnym wyrafinowaniem przełomu XX i XXI w. Według wyznawców tej teorii seks należy odrzucić zupełnie świadomie – czyli nic strasznego, jeśli kiedyś tam się już zgrzeszyło – wiedząc z autopsji, czym on jest.

A jest wysiłkiem fizycznym, pozbawionym humanistycznej refleksji. Ich zdaniem (posłużę się cytatem z jednej ze stron internetowych poświęconych celibatowi) „współczesna kultura wymaga od nas powielania pewnych czynności i doprowadzania ich do perfekcji, a seks ma nas na chwilę wyrwać z tej rutyny”. Ale czy nie ma lepszych sposobów na walkę ze schematem jak łożko? Owszem – uważają abstynenci – na przykład taniec, joga czy sporty ekstremalne. Nowy celibat to nie jedyna oferta dla tych, którzy mają dość prymitywnych uciech cielesnych: są jeszcze ruchy zwące się Monastycyzm New Age, Oczekujący na Prawdziwą Miłość czy Dziewice Odrodzone (tamże).

Podobne tendencje pojawiają się, zdaniem Z. Kałużyńskiego (2001) również we współczesnym światowym kinie.

Antyseks. Tak można by określić orientację, która dała o sobie znać w bieżącym sezonie. Wyraża ona protest przeciwko erotyzmowi we współczesnej cywilizacji, ale nie z racji pruderii, pedagogii czy zagrożenia moralnego, lecz z powodu presji wywieranej przez seks na charaktery. Człowiek jest monstrum, w którym zderza się wysoka świadomość z systemem rozplodowym ssaków i kultura od wieków pracuje nad wyrównaniem tej sprzeczności. Zasadą była wstrzemięźliwość, ale jej przymus był niszczący. Ostatnio doszło do równowagi, niemniej problem nie zniknął.

Socjologowie stwierdzają, że bywają młode pary, które starają się uprawiać seks, ponieważ uważają, pod wpływem otaczającej ich opinii, że wszyscy postępują podobnie i nie chcą się wyróżniać. Stają się ofiarami mody.

Inni uciekają od seksu, by uratować swoje poczucie ludzkiej wyższości. Fizyczność seksu bywa wciąż, również dzisiaj, odczuwana przez kobiety jako poniżenie, upadek, dyshonor.

Jak więc wynika z dotychczasowych rozważań i przykładów, ambiwalencja zbiorowych wyobrażeń i postaw wobec seksualności jest niezwykle szeroka i rozciąga się od najwyższej kultury do najniższego zbydlęcenia. To, że ludzka aktywność seksualna jest przede wszystkim sprawą kultury, a nie natury, wynika po prostu z faktu, że seks w świecie społecznym jest tym, czym człowiek go uczynił, co zrobił z niego i z samego siebie.

V FUNKCJA PROKREACYJNA

Nie jest łatwo dokonać socjologicznej analizy funkcji prokreacyjnej rodziny. Jest ona bowiem uwarunkowana nie tylko faktem współżycia płciowego małżonków, ale także wieloma najróżnorodniejszymi czynnikami społecznymi, ekonomicznymi, religijnymi, kulturowymi itp. W skali masowej występują też wyraźne wahania poziomu urodzeń, które są przedmiotem skomplikowanych analiz demograficznych.

W niniejszym opracowaniu przyjmujemy najprostsze podejście, które można by nazwać socjologiczną ścieżką interpretacyjną modeli i wzorów dzietności rodzin różnych okresów społeczno-ekonomicznych. Ta ścieżka interpretacyjna obejmować będzie uwarunkowania dzietności na różnych poziomach struktury społecznej oraz w różnych zależnościach – od indywidualnych po cywilizacyjne. Posuwając się tą ścieżką, położymy szczególny nacisk na wybrane elementy analizy jakościowej, ograniczając wskaźniki ilościowe do ilustracji określonych tendencji i zjawisk.

1. Różne oblicza i wymiary prokreacji

Utrzymywanie ciągłości biologicznej społeczeństwa (funkcja prokreacyjna, rozrodcza) wysuwa się na czoło we wszelkich analizach funkcji rodziny. Rodzina jest grupą, w której wydawane jest na świat potomstwo. Jest ona bowiem zalegalizowanym miejscem stosunków seksualnych ludzi, a w wyniku tego zalegalizowanym miejscem przyjscia na świat potomstwa. Oczywiście, przyjscie na świat dziecka może mieć miejsce także poza rodziną, jednak tylko rodzina jest społecznie uznanym środowiskiem powoływania nowego życia, dostarczania społeczeństwu nowych członków. Dokonuje się to przez zaspokajanie potrzeb seksualnych i dążności rodzicielskich małżonków (zob. Adamski 1982: 52).

Rodzina jest jedyną grupą rozrodczą, tzn. grupą rozmnażającą się nie przez przyjmowanie członków z zewnątrz, lecz przez rodzenie dzieci, a więc jest grupą utrzymującą ciągłość biologiczną społeczeństwa. W rodzinie przychodzą na świat nowi członkowie, którym ona przekazuje drogą dziedziczenia cechy biologiczne gatunku. Drugie zadanie grupy polega na przekazywaniu dzieciom dziedzictwa kulturowego szerszych grup, takich jak klasy społeczne, naród. Rodzina może się rozwijać także przez adopcję

dzieci i wtedy spełnia tylko drugie z wymienionych powyżej zadań (zob. Szczepański 1970: 299).

Utrzymywanie ciągłości biologicznej społeczeństwa wymaga płodzenia, pielęgnacji, kształcenia i wychowywania dzieci. Zaspokajanie popędu seksualnego jest intymną osobistą potrzebą małżonków, dążenie do posiadania dzieci jest także dążeniem czysto osobistym. Dziecko staje się jednakże przedmiotem zainteresowania szerszych zbiorowości i rodzina musi zdobyć odpowiednie środki, aby spełnić swoje zadanie opieki, rozwoju, wychowania i wykształcenia dziecka, aby dać mu użyteczny zawód i wprowadzić go do szerszych zbiorowości jako pełnowartościowego członka (zob. tamże).

Podręczniki socjologii rodziny traktują funkcję prokreacyjną w sposób uproszczony i zdawkowy, odstępując znaczne obszary dociekań demografii, polityce społecznej, religii itp. Prokreacja szeroko rozumiana kumuluje w sobie wiele problemów i zagadnień ze wszystkich szczebli struktury społecznej. Posiada ona wymiar indywidualny, małżeński, rodzinny, rodowy, narodowy, polityczny, ekonomiczny itp. W tym miejscu nie będziemy szerzej tych wymiarów omawiać. Zatrzymamy się tylko na wybranych społecznych aspektach prokreacji a w szczególności na jej szeroko rozumianych kulturowych uwarunkowaniach, obejmujących wybrane zagadnienia aksjologiczne.

Potomstwo różnie jest plasowane w systemie wartości rodzinnych i społecznych – od ogromnego szczęścia i radości po „wypadek losowy” i „przekreślenie szans życiowych”. W tym kontekście słuszna wydaje się teza Ph. Ariesa (1995), że prokreacja, dziecko i dzieciństwo są w społeczeństwie wytworem kultury.

Początek naszej cywilizacji cechowała ogromna płodność, która została utrwalona w wielodzietnym modelu rodziny patriarchalnej. Rozrodczość musiała być bardzo wysoka, by kompensować wysoką umieralność. Tak duża płodność utrzymywała się do zapoczątkowania procesu transformacji demograficznej, czyli do przełomu XVIII–XIX w. Płodność była akceptowana i wysoko ceniona w społecznościach pierwotnych. Była też chroniona różnymi nakazami religijnymi (np. w religiach judaistycznych, później w Kościołach chrześcijańskich).

Natomiast samo dziecko jako istota ludzka nie było jednak dostatecznie chronione, o czym świadczą liczne fakty z historii. Dziecko do czasów rewolucji francuskiej i ogłoszenia praw człowieka w zasadzie pozostawało poza

prawem. W czasach patriarchy dziecko było własnością ojca rodziny, który często decydował o losach, a nawet życiu potomka. W czasach dużej płodności dzieci były zaniedbywane pod względem higieny i warunków bytowania. Nękanie chorobami i epidemiami – często umierały (zob. Neugebauer 1989).

W miarę upływu czasu i rozwoju kultury tradycyjne cele ulegały przewartościowaniu. Zmieniała się kultura współżycia, która dostosowywała się do nowych wymagań. Rodzina patriarchalna przekształcała się w rodzinę partnerską, pociągając za sobą zanik tradycyjnych autorytetów i spadek znaczenia wielodzietności na rzecz równości małżeńskiej. Życie seksualne, a właściwie nowa kultura seksualna stawała się wzorem zachowań dla grup i jednostek w sferze prokreacji. Sam seks stawał się jedną z ważniejszych wartości autotelicznych w pożyciu małżeńskim, jednak nie zawsze był właściwie ukierunkowany.

Również stosunek do potomstwa i problemy „świadomego macierzyństwa” są w przeważającej mierze wytworem kultury – całego społeczeństwa, poszczególnych jego warstw i wreszcie kultury indywidualnej człowieka, jego systemu wartości i samooceny. Świadczyć o tym może pojęcie „instinktu macierzyńskiego” oraz społeczne realia dzieciństwa w przeszłości.

2. Między ideologią macierzyństwa a realiami dzieciństwa

Dzieje dzieciństwa do niedawna traktowane były w sposób marginesowy. Nauka nie poświęcała zbyt wiele uwagi pozycji dziecka w społeczeństwie i rodzinie. Przełomem w podejściu do badań nad dzieciństwem stała się wydana w 1973 r. praca Philippa Aries „Historia dzieciństwa”. Opierając się na wnikliwych badaniach, autor wysunął tezę, że dzieciństwo było tworem kultury.

Teza ta stała się podstawą do rozlicznych dyskusji i polemik. Aries zwrócił uwagę socjologów, historyków i antropologów na problem dzieciństwa w dziejach ludzkości. Problematyka ta wzbudziła szczególne zainteresowanie we Francji i Niemczech. W Polsce dzieciństwo człowieka i jego przemiany nie są tak popularne. Stosunkowo najlepiej opisane i zbadań zostały dzieje myśli pedagogicznej. Zainteresowanie budzi również problem obecności dziecka i dzieciństwa w literaturze pięknej. Ciągłe jeszcze dzieciństwem jako odrębną kategorią badawczą nie zainteresowały się w szerszym zakresie historia i socjologia.

W tym kontekście nie można pominąć bardzo ciekawego opracowania M. Papużyńskiej (1999) pt. „Pierwsze dziecko naszej ery”, które zaczyna się następującą uwagą:

Nasza era, jak dobrze wiadomo, zaczęła się od narodzin dziecka. A dalej, przez wiele stuleci, było tak, jakby żadne inne dziecko się już nie urodziło. Ludzie brali się znikąd i od razu byli dorośli. Pierwsze prawdziwe dziecko, jakie po narodzinach Chrystusa zdołało wejść do europejskiej kultury i osiąść w niej na stałe, było dziewczynką i nazywało się Urszula Kochanowska (tamże).

Do XII w. w literaturze i sztuce dziecko nie istnieje. Średniowieczne ilustracje pokazują ludzi we wszelkich możliwych sytuacjach – we śnie i przy pracy, w kąpielu, na polowaniu, handlujących, modlących się, walczących i odpoczywających. Ale ludzie ci prawie nigdy nie zajmują się dziećmi. Na rycinach nie da się obejrzeć matki czule pochylonej nad kółką ani ojca bawiącego się z synkiem. Jeśli nawet na jakimś obrazie przedstawiano dzieci, to w niczym one dzieci nie przypominały. Miały twarze, budowę ciała, strój ludzi dorosłych, były tylko o połowę mniejsze.

W wiekach średnich nieliczne kobiety umiejące czytać mogły z przepisywanych ręcznie ksiązek dowiedzieć się, jak odmawiać pacierze, jak zwalczać pchły, jak poruszać się z godnością, a zarazem skromnie, jak zarządzać majątkiem, gdy mąż wyruszył na wojnę, jak rozmnażać ptaki w klatce. Do niezmiernej rzadkości należały jednak podręczniki opieki nad dzieckiem, jakby taka wiedza nie była nikomu przydatna.

Historycy łamali sobie głowę nad tym fenomenem, bo przecież wydaje się, że miłość macierzyńska jest, podobnie jak seks, wrodzonym instynktem i nie da się jej wykorzenieć. Przynajmniej tak uważamy dzisiaj.

W średniowieczu, a nawet znacznie później, wcale tak nie było. Dzieci rodziło się dużo i wiele z nich (według różnych szacunków od 30 do 60%) umierało przed ukończeniem piątego roku życia.

Nowo narodzone dziecko było czymś w rodzaju domowego zwierzątka. Nie jest to przesada, bo istniały okolice, gdzie zmarłe, nieochrzczone dzieci chowano gdziekolwiek, razem z padłymi psami czy cieleętami. Kobiety karmiły niemowlęta i zapewne czasem nawet przewijały. Jeśli ten wysiłek zakończył się fiaskiem, to trudno – Bóg dał, Bóg wziął. Małe dziecko nie było człowiekiem, lecz zaledwie etapem pośrednim, istotą zawieszoną między życiem a śmiercią. Dopóki nie stanęło mocno na nogach, nie wiadomo było, czy nie

poszybuje z powrotem do nieba, więc nie należało się zbyt do niego przywiązywać. Z dzisiejszego punktu widzenia może to wyglądać na okrucieństwo, ale była to raczej samoobrona. Tak wiele dzieci umierało; za dużo, by warto było inwestować w nie uczucie i cierpieć, gdy odejdą. Dziecko nabierało wartości dopiero wtedy, gdy zaczynało nadawać się do pracy, a do tego zdolne już były pięcio-, siedmiolatki. I to nie do jakiejś na wół ulgowej zabawy, ale do pełnowartościowej pracy na równi z dorosłymi. Na prawdziwe dzieciństwo nie było zatem czasu. Ledwie niemowlak wyszedł z pieluch, stawał się dorosłym człowiekiem, obarczonym dorosłymi obowiązkami i biorącym udział w dorosłych rozrywkach.

Czy w ogóle w średniowieczu były dzieci? – pyta Jacques le Goff, wybitny mediewista, i odpowiada, że nie. Nie było dzieci, nie było dzieciństwa, byli tylko malutcy dorośli. „Odrodzenie nauczyło nas – albo nauczyło na nowo – opłakiwać zmarłe dzieci” – pisze Jean Delumeau w „Cywilizacji Odrodzenia”. Rzeczywiście, z tego okresu pochodzą pierwsze nagrobki, na których pojawiają się wizerunki przedwcześnie zmarłych dzieci, ale zwykle są to groby rodziców, a dzieci zajmują tylko stosowne dla siebie miejsce u ich stóp. Dopiero w XVII w. dzieci zamożnych rodziców uzyskały prawo do własnego nagrobka. Zmiana ta dotarła tylko do wąskiej warstwy elit. Społeczeństwo w swej masie nie zmieniło się ani o jotę.

W Polsce o wiele wcześniej niż w Europie pojawiły się osobne nagrobki poświęcone dzieciom. We Francji najwcześniejszy nagrobek przedstawiający samo dziecko powstał, zdaniem F. Aries, w 1584 r., a w Polsce odnaleziono nagrobki dzieci pochodzące z początku wieku XV (Tazbir 1995: 42). Powszechny był zwyczaj ozdabiania nagrobków epitafiami będącymi wyrazem miłości rodzicielskiej.

O tym, że o zmarłych dzieciach pamiętano, świadczyć może jeszcze jeden powszechny w Polsce zwyczaj. Otóż częste było nadawanie dziecku imion, które nosiło zmarłe przedwcześnie rodzeństwo, jak gdyby chciało się je przywołać do życia.

W XVII i XVIII w. w Polsce umieralność dzieci do piątego roku życia wynosiła 55%. Mężatka była w ciąży permanentnie. Kobieta, która wyszła za mąż przed ukończeniem 20. roku życia, rodziła średnio od dziewięciorga do dziesięciorga dzieci. Tej, która znalazła męża po dwudziestce, było trochę lżej – miała tylko siedmioro, ośmioro dzieci. Dzieciobójstwo uznawano wprawdzie za przestępstwo, karane zarówno przez państwo, jak

i przez Kościół, ale to prawo było jednym z wielu martwych w owych czasach przepisów. Niechciane dzieci umierały często z powodu zaniedbania i braku opieki. Nierzadko niemowlę spało w jednym łóżku z rodzicami i zostawało przez nich całkiem przypadkowo zaduszone. Powszechną praktyką w bogatszych rodzinach było oddawanie niemowląt na odchowanie na wieś. Taki proceder, jeżeli weźmiemy pod uwagę warunki życia na wsi, był niemal oczywistym skazywaniem dzieci na śmierć. Niekiedy zawierano kontrakty dzierżawne, w których zapisywano, że dzierżawca bierze na odchowanie dzieci właściciela ziemskiego. Właściciel oddawał ziemię wraz z dziećmi i raz do roku otrzymywał raport od dzierżawcy. Z raportu mógł się dowiedzieć, że żyto pięknie obrodziło, Krasula urodziła dorodnego byczka, a Staś zmarł na kaszel, Zosia jeszcze żyje, chociaż czegoś słabuje. Dominującym uczuciem wobec śmierci małego dziecka była wciąż obojętność. Takie postępowanie rodziców nie mieści się dziś w głowie i zapewne nie wszyscy tak postępowali, bo ludzkość już dawno by wyginęła (Papuzińska 1999).

E. Badinter, podobnie jak Aries, stara się udowodnić, że instynkt macierzyński jako cecha dana przez naturę to mit. Jej książka „Historia miłości macierzyńskiej” wydana u nas w 1998 r. rozpętała prawdziwą burzę. Zakwestionowała ona bowiem coś, co przez ostatnie dwa wieki uchodziło za dogmat (zob. Podgórska 2001).

Przytacza ona dane i relacje, które brzmią dziś makabrycznie. Na 21 tys. dzieci rodzących się w Paryżu w połowie XVIII w. tylko tysiąc było wychowywanych i karmionych przez matki, resztę oddawano mamkom. Charakterystyczna jest historia Talleyranda, którego oddano mamce już w dniu urodzin. Przez cztery lata jego rodzona matka ani razu go nie odwiedziła, nie próbowała się też dowiedzieć, czy żyje. Z miast na wieś jechały wozy wypełnione noworodkami, część z nich nie dojeżdżała, bo nieuważny woźnica mógł nie spostrzec, że któreś wypadło. Te, które docierały do celu, całe dni spędzały owinięte w ciasne powijaki, niemyte, nieprzewijane, głodne, bo biedne wiejskie kobiety brały na wykarmienie po kilkoro. Śmiertelność noworodków była ogromna (średnio ok. 25%, a u mamek jeszcze wyższa, dochodząca nawet do 70%). To nie był margines, to była norma, a jeśli tak, to gdzie był wówczas instynkt macierzyński? – pyta Badinter.

Dziecka przez długie wieki nie traktowano podmiotowo. Uznawano je za istotę z natury grzeszną, nieznającą kategorii moralnych, kapryśną,

coś w rodzaju zwierzęcia, które trzeba dopiero uczłowieczyć za pomocą tresury (św. Augustyn), a przy tym głupią, bo pozbawioną rozumu i władzy sądzenia (Kartezjusz). Śmierci dziecka nie przeżywano ani nie opłakiwano, chyba że było to usprawiedliwione jego wyjątkowymi zaletami. „Straciłem dwoje czy troje dzieci zmarłych u mamki, nie bez żalu, ale bez irytacji” – pisał Monteskiusz. A skoro dziecko nie było wartością, to i miłości macierzyńskiej nie uznawano za wartość społeczną czy moralną. Dla XVI i XVII-wiecznych arystokratek dzieci były kłopotliwym ciężarem w towarzystwie. Karmienie piersią uznawały za zajęcie mało eleganckie, wręcz niegodne, zbliżające kobietę do zwierzęcia. Dla kobiet z klas średnich oddawanie dziecka mamce było więc oznaką dystynkcji, dla kobiety z klas niższych – ekonomiczną koniecznością, bo żeby przeżyć, musiały pracować.

Sytuacja zmieniła się dopiero pod koniec XVIII w. Za datę graniczną uchodzi rok 1762 – moment wydania książki Jana Jakuba Rousseau „Emil”, w której tworzy on portret dobrej i poświęcającej się matki i dziecka jako istoty, która potrzebuje miłości i czułości.

Dla ścisłości należy dodać w tym miejscu, że sam Rousseau nigdy nie starał się zrealizować swoich ideałów dotyczących wychowania. Prawdopodobnie nawet nie byłby zdolny do ich realizacji. Oto, co na jego temat pisze J. Johnson (1988: 30 i n.).

Z tego, co wiemy o jego charakterze, wydaje się nieprawdopodobne, by Rousseau mógł być kiedykolwiek dobrym ojcem. Mimo to szokiem będzie odkrycie, co Rousseau zrobił ze swoimi dziećmi. Pierwsze dziecko urodziła Teresa zimą 1746-1747. Nie wiemy, jakiej było płci. Nigdy nie otrzymało imienia. Jak mówi Rousseau „miałem największe trudności, aby nakłonić ją [Teresę] do tego jedyne go środka zdolnego ocalić mój honor”, to jest do oddania dziecka. „Usłuchała z ciężkim sercem”. Kartkę z monogramem umieścił w powijkach dziecka i przekazał położnej, by zostawiła zawiniątko w dzieckiem w domu dla podrzutek. Z czworgiem innych dzieci, które miał z Teresą, postąpił dokładnie tak samo, tylko już nie trudził się umieszczaniem kartki z monogramem. Żadne z nich nie miało imienia. Nie jest prawdopodobne, by którekolwiek żyło długo.

Dzieje przytułku, opisane w „Mercure de France” pokazują jasno, że był on przepelniony podrzuconymi niemowlętami, przybywało ich ponad trzy tysiące rocznie. W roku 1758 sam Rousseau zanotował, że ogólna ich liczba wzrosła do 5082 niemowląt. Do roku 1772 sięgała średnio prawie ośmiu tysięcy. Dwie trzecie tych dzieci umierało w pierwszym roku życia. Przeciętnie czternaścioro na sto dożywało wieku siedmiu lat, pięcioro osiągało wiek dojrzały, większość stawała się

zebrakami i włóczęgami. Rousseau nie znalazł nawet dat urodzin pięciorga swoich dzieci i nigdy nie zainteresował się ich losem, jedynie w roku 1761, gdy sądził, że Teresa umiera, uczynił powierzchowną próbę, wkrótce przerwana, odszukania pierwszego dziecka [...].

Poza tym mieć dzieci oznaczało „niewygodę”. Nie mógł sobie na to pozwolić. „Jak mógłbym osiągnąć spokój umysłu niezbędny dla mej pracy, jakby moje poddasze wypełniły troski domowe i hałas dzieci? Zostałbym zmuszony do zajęcia się poniżającą pracą, wszystkimi tymi niecznymi czynami, które słusznie napętlniają mnie przerażeniem.” [...].

„Wiem bardzo dobrze, że nikt nie byłby czulszym ojcem ode mnie”.

Do tego doszły czynniki obyczajowe i ekonomiczne. Przyszła moda na małżeństwa z miłości, a więc dzieci nie były już efektem kontraktu zawartego między dwiema rodzinami, ale owocem uczucia dwojga ludzi. Rodził się kapitalizm, ludzi zaczęto traktować jako potencjał ekonomiczny i militarny. Liczba ludności stanowiła o potęgę państwa i narodu. To było zlecenie dla kobiet. Łatwo zaakceptowały tę sytuację, bo jako matki nabrały znaczenia społecznego i prawa do szacunku. Poczuly się niezastąpione i objęły niepodzielny władzę nad domem. Był to awans, ale zapłaciły za niego dużą cenę. Zgodnie bowiem z XIX-wiecznym ideałem obowiązkiem matki jest wyrzeczenie, całkowite poświęcenie i ciężka, bezustanna praca. Prawdziwa matka nie ma nigdy wolnej chwili. Nie można być jednocześnie matką i kimś innym. Na ołtarzu macierzyństwa należy złożyć wolność i wszelkie ambicje. Kobiety, które takich poświęceń odmawiały, obkładano kłębami, oskarżano o wynaturzenie i powodowanie wszelkich społecznych plag.

Przyczynił się do tego także Freud, który stwierdził, że w naturalnym procesie rozwoju kobiecości początkowe pragnienie posiadania penisa zostaje zastąpione pragnieniem posiadania dziecka. Według niego pełnię człowieczeństwa może kobieta zyskać tylko dzięki macierzyństwu. Głosił, że wrodzoną cechą kobiet jest masochizm, w bólu znajdują rozkosz, co usprawiedliwia wszelkie cierpienia związane z porodem czy karmieniem. Psychoanaliza obciążała matki także całkowitą odpowiedzialnością za wszelkie problemy psychiczne dziecka. „Uwięziona w roli matki kobieta nie będzie mogła już z niej wyjść pod groźbą moralnego potępienia” – pisze Badinter.

Z tym bagażem zmierzyły się feministki. Rewolucja obyczajowa XX w. otworzyła przed kobietami nowe drogi, uznała ich ambicje, które mogą nie mieć z dziećmi nic wspólnego. Macierzyństwo jest dziś darem, a nie obowiązkiem (zob. Podgórska 2001).

Wydaje się, że wiele przykładów z życia rodzin chłopskich również potwierdza niektóre spostrzeżenia i uwagi E. Badinter. Jak pisze Z. Barańska (1975: 134 i n.), jednym z podstawowych zadań małżeństwa chłopskiego było rodzenie i wychowywanie dzieci. Uważano je powszechnie za dowód boskiego błogosławieństwa. Przekonanie to zostało zawarte w przysłowiu: „Dzieci są błogosławieństwem bożym”.

Poglądy na posiadanie dzieci kształtowały się w środowisku wiejskim z jednej strony pod wpływem nauki Kościoła, który zalecał w sprawach prokreacji bezwzględne poddanie się woli bożej, z drugiej zaś były wynikiem przeświadczenia, że dziecko jest najtańszą siłą roboczą, którą można dowolnie dysponować. Małżeństwa bezdzietne nie cieszyły się uznaniem społecznym. Mówiono: „Dobrej kobiecie dziecko jak koniowi owies”, „Żona bez dzieci jak bez ryby sieci”, „Rodzina bez dzieci, to jak las bez ptaków”, „Niech się dzieci rodzą, póki nogi chodzą”, „U kogo dzieci, tam szczęście świeci”.

Przysłowie szeroko rozpowszechnione w Polsce dziewiętnastowiecznej głosi: „Jedno dziecię – nie ma dziecięcia, dwoje dzieci – pół dziecięcia, a troje dzieci – to już jedno dziecię”. Jak widzimy, propaguje ono większą liczbę dzieci niż jedno czy dwoje. Potrzebę posiadania większej liczby dzieci tłumaczono względami gospodarczymi: „Gdzie więcej dzieci, pręcej idzie robota”.

Pod koniec XIX w. coraz częściej pojawiały się przysłowia, które niechętnie mówiły o wielodzietności: „Łachmanami świeci, kto ma wiele dzieci”, „Tyle ma dzieci, co królicca”, „Łatwiej o dzieciaka, niżli o cielaka”, „Kto ma pszczoły, ten ma miód, kto ma dzieci, ten ma smród”.

Zarówno w stosunku do narodzin dziecka, jak i jego śmierci zajmowano na ogół postawę bierną, tzn. nie usiłowano w te sprawy ingerować. Uważano, że należy zgadzać się z wyrokami niebios. Poglądy te ilustrują znane wszystkim przysłowia: „Komu Bóg da dzieci, da i na dzieci”, „Bóg daje dzieci i Bóg je odbiera”, „Bóg dał, Bóg wziął”.

W przysłowiach częściej mówi się o chęci posiadania synów niż córek. Może to wynikać z tego względu, że przysłowia były, jak twierdzi Bystroń, tworzone wyłącznie przez mężczyzn. Synowie byli pożądanymi, ponieważ pomagali ojcu w pracy, a potem przejmowali po nim zagrodę i ziemię. Córkę trzeba było natomiast wyposażać, tzn. albo oddać część ziemi w obce ręce, albo obciążyć gospodarstwo splatami. Stąd powstały takie przysłowia,

jak: „Syn w dom, dziewczka z domu”, „Jak się córka urodzi, to jakby się siedmiu złodziei do komory podkopało”, „Pięć córek to odbiero leszt do śmiechu”, „Radzi mieć chcieli syneczka, w pieluszkach już ósma córeczka”, „Z woli jednego synka, siedym dziółch na rodzcie”, „Lepiej co się dioból za stodołom okoci, niż co się dziółcha urodzi”.

Jak pisze B. Tryfan (1968: 122 i n.), rodzina chłopska odznaczała się z reguły dużą liczbą potomstwa. Literatura i publicystyka już co najmniej od kilkudziesięciu lat czynią z tego faktu przedmiot swych penetracji i dociekań, upatrując niejednokrotnie głównej przyczyny niedoli kobiety w nadmiernym obciążeniu jej funkcjami macierzyńskimi. W latach 30. Boy-Żeleński z żarliwą pasją przedstawiał obraz udręku i nieszczęść kobiety, dla której rodzenie stało się elementarną funkcją fizjologiczną podobnie jak jedzenie i sen:

Zgłosiła się do lekarza kobieta lat około czterdziestu z prośbą, czyby jej czegoś nie mógł zalecić, iżby nie zachodziła w ciążę. Okazało się, że ta kobieta ostatni raz miała period w siedemnastym roku życia, przed zamążpójściem; od tego czasu dwadzieścia razy rodziła i roniła bez przerwy...

W rodzinach wielodzietnych śmiertelność spowodowana złym stanem sanitarnym, brakiem opieki lekarskiej, niedożywieniem, występowała zawsze w roli kontrolera przyrostu naturalnego. I taki właśnie obraz tragicznego dzieciństwa utrwalił się we wspomnieniach niektórych pamiętnikarzy płockich.

Było nas dziesięcioro dzieci. Moja matka wraz z ojcem pracowali w cegielni. Matka moja deptała tę glinę własnymi nogami, a ojciec kładł do takiej formy i to wychodziła cegła. A myśmy siedziały na podłodze i dano nam kartofle i takeśmy jadły, umorusane, upaciane, jak te świnki, i czekałyśmy, dokąd matka nie wróci. A ojca tośmy mało co widzieli. W jednym roku umarło od razu dwoje dzieci na nerki. A takie były spuchnięte, że okropność było patrzeć. W następnym roku umarło od razu dwoje na dyfteryt, a ja płakałam, a moja matka mówi do mnie, że one wrócą, bo wyjechali. A mnie było biedno w tym domu i głucho. (zob. Tryfan).

Ciąże i porody, choroby dzieci i zgony, zabiegi o ich wyżywienie i trudy wychowania, to – mówiąc stylem Boya – „podatek obrotowy”, płacony każdego dnia przez kobiety wiejskie, podatek, który nie uznawał ulgi, prolongaty, pomocy z zewnątrz, który ograniczał horyzont myślowy i spra-

wiał, że nieustanny lęk przed następną ciążą przekształcał się w psychozę. Los dzieci niepożądanych bywał tragiczny, co pogłębiało jeszcze niedolę matek-gospodyń wiejskich, pragnących dla swych potomków warunków godnych człowieka (tamże: 125).

„Prokreacyjna funkcja rodziny wiejskiej stanowi pochodną charakteru życia wiejskiego oraz poziomu kulturalnego i światopoglądu ludności wiejskiej. Do głównych czynników determinujących w przeszłości żywiolową, nie ograniczoną w szerszym zakresie rozrodczość rodzin wiejskich należały: brak wiedzy o fizjologii rozrodu, niedostępność medycznych środków zapobiegania ciąży, jaskrawy niedostatek opieki lekarskiej i nacisk ideologii religijnej, wdrażającej zasady nie kontrolowanej rozrodczości” (Jakubczak 1966: 3).

Szybsze tempo przyrostu naturalnego na wsi, zarówno w pokoleniach międzywojennych, jak i w obecnych, nie świadczy o negatywnym stosunku ludności wiejskiej do kwestii regulowania urodzeń. Powiedzenie: „Dał Pan Bóg dzieci, da i na dzieci”, używane w wielu dyskusjach jako element charakteryzujący mentalność kobiet tego środowiska, odnosi się już tylko do najstarszej generacji.

Idea planowania rodziny docierała do społeczeństwa bardzo powoli, a do ludności wiejskiej ze znacznym opóźnieniem. W tym miejscu warto dodać, że publikacje dotyczące świadomego macierzyństwa konfiskowano jako pornograficzne, ich autorów zaś osadzano w więzieniach jako niebezpiecznych dla ludzkości. Pionierka regulacji urodzin (birthcontrol), Ida Cradvoch, szykanowana przez wrogą jej opinię publiczną ówczesnej Ameryki, popełniła samobójstwo. Jeszcze w pierwszej połowie dwudziestego stulecia w najbardziej cywilizowanych krajach istniał zakaz uświadamiania kobiet o sposobach zapobiegania ciąży. Przeciw zakazowi opowiedziała się oficjalnie angielska Izba Lordów dopiero w 1928 r. (tamże: 137).

Ocena kobiety w małżeństwie z punktu widzenia funkcji prokreacyjnych wiąże się często ze składaniem wyłącznie na jej barki odpowiedzialności za planowanie rodziny. Próby buntu kobiet wiejskich przybierają czasem dramatyczną postać, jak to miało miejsce w przypadku dziewczyny spod Konstantynowa w pow. Biała Podlaska, która, patrząc na los swej matki, zaharowanej, zniszczonej urodzeniem dwanaściorga dzieci, broniąc się przed wydaniem za mąż i przed podobnym losem, uciekła do klasztoru. Inne próbują chronić się przed następną ciążą odmawianiem pożycia

seksualnego. Ślady tych postaw i poglądów na kwestię regulacji urodzin odnajdujemy w licznych pamiętnikach, które wyraźnie przemawiają przeciwko teoriom o determinującej roli instynktu macierzyńskiego. Jeszcze tragiczniej wygląda ten problem w skali globalnej.

Zgodnie z danymi UNICEF na Ziemi żyje obecnie 2,1 miliarda dzieci i młodzieży, co stanowią 35% ogólnego zaludnienia. Jedno dziecko na czworo żyje w absolutnej nędzy. Jego rodzina musi wyżyć z jednego dolara dziennie. Z około 129 milionów dzieci, które rodzą się co roku, 50,4% to chłopcy, 49,6% dziewczynki. Obecnie średnia długość życia wynosi przeciętnie dla całego świata 64 lata. Dzieci w krajach uprzemysłowionych mogą liczyć na to, że dożyją 78 lat. W takich krajach Afryki jak Botswana, Malawi, Mozambik, Rwanda, Zambia i Zimbabwe, szczególnie dotkniętych epidemią AIDS, przeciętna długość życia spadła poniżej 43 lat.

Na każdych 100 dzieci na naszej planecie...

- narodziny 33 dzieci nie są oficjalnie rejestrowane. W związku z tym nie mają one narodowości ani praw obywatelskich;
- więcej niż 8 dzieci umiera przed ukończeniem dwunastego roku życia. Większość z nich pada ofiarą łatwo uleczalnych chorób;
- 27 jest niedożywionych już przed piątym rokiem życia;
- 26 nie jest szczepionych przeciwko żadnym chorobom;
- 18 w ogóle nie chodzi do szkoły; 11 z nich to dziewczynki;
- 18 nie ma dostępu do czystej wody pitnej;
- 25 dzieci w krajach rozwijających się musi pracować; połowa z nich – przez cały dzień.

3. Prokreacja w cieniu „cywilizacji śmierci”

Sam fakt, że prokreacja ściśle związana jest ze sferą życia seksualnego człowieka nadaje jej w znacznym stopniu charakter żywiołowy. Zaprowadzenie nad żywiołowością seksu i prokreacji lub inaczej humanizacja seksu i prokreacji właściwie może się dokonywać w psychologicznym i socjologicznym (a więc również i masowym) sensie tylko w małżeństwie i rodzinie. Uczłowieczony seks i prokreacja posiadające ludzki, czyli etyczny wymiar leżą u podstaw struktury i kultury świata społecznego.

Z drugiej jednak strony prokreacja jako skutek zachowań seksualnych planowych i żywiołowych jest silnie powiązana z najróżnorodniejszymi

aspektami grupowego i społecznego życia ludzi oraz pozostaje obecna w systemie wartości społecznych, można nawet powiedzieć, że jest „aksjologicznie gorąca”. Nie sposób w tym miejscu pobieżnie nawet omawiać tych zagadnień, natomiast warto zainteresowanych skierować do świetnych opracowań W. Skrzydlewskiego (1999, 2001), T. Slipko (1994) i K. Knotza (2001).

W tym miejscu musimy jednak przynajmniej pobieżnie zwrócić uwagę na socjologiczne aspekty związane z miejscem osoby ludzkiej w społecznym systemie wartości.

Otóż, o ile chcemy utrzymać życie ludzkie i samego człowieka na określonej (najwyższej) pozycji systemu aksjologicznego, to nie możemy dopuszczać do ich zrelatywizowania. Relatywizacja otwiera bowiem siłą rzeczy w systemie aksjonormatywnym i etycznym „moralną śluzę”, która wcześniej czy później doprowadza do erozji dotychczasowego systemu wartości. Jest to o tyle groźne ze społecznego punktu widzenia, że powstała na skutek tego „moralną wyrwę” jest niezwykle trudno uzupełnić. Nie da się przecież empirycznie udowodnić, że człowiek jest wartością najwyższą, bo nie da się nawet wyczerpująco zdefiniować człowieka. Człowieka, osobę jako wartość należy zinternalizować, przyjąć ten fakt jako część własnej osobowości, własnego ja tkwiącego w drugim człowieku. A skoro tak, to w odniesieniu do osoby i życia ludzkiego stosować należy podejście integralne. Jeżeli relatywizujemy to podejście w zależności od okresu np. życia płodowego czy starczej sprawności oraz od sytuacji indywidualnej, wówczas integralne spojrzenie na człowieka i jego życie rozsypuje się, a relatywizacja obejmuje coraz szersze obszary norm etycznych, zaczyna się kruszyć cały dotychczasowy system wartości a wraz z nim nasze człowieczeństwo jako wartość.

Musimy bowiem pamiętać, że istnienie określonego systemu wartości, to – z socjologicznego punktu widzenia – właściwie jedyna cecha specyficznie ludzka i podstawa kultury, która nas jedynych i nas jedynie wyróżnia w świecie przyrody. A przecież to typowo socjologiczne spojrzenie należałoby wzbogacić podejściem filozoficznym, teologicznym, psychologicznym itp. Erozja integralnego spojrzenia na człowieka oraz postępująca relatywizacja wartości życia ludzkiego przejawiają się m.in. w dewaluacji i neutralizacji aksjologicznej pojęć oraz w poszerzaniu się „cywilizacyjnych” form i norm uśmiercania. I chyba nie jest przypadkiem, że w krajach, które najwcześniej

i najłatwiej decydowały się na legalizację aborcji, następnym krokiem jest legalizacja eutanazji.

„Cywilizowaniu się” form przerywania życia towarzyszy zmiana retoryki związana z neutralizacją etyczną pojęć dotyczących tego procesu. Dlatego Kościół katolicki zjawisko to zaczął określać mianem „cywilizacji śmierci” (zob. D’Ascanio 2000).

W świetle danych zawartych we wspomnianym opracowaniu jest to – niestety – chyba najtrafniejsze określenie. Oto kilka faktów zaczerpniętych z opracowania D’Ascanio (2000). W latach 90. dokonano „odkrycia”, że pochodzące z aborcji szczątki płodów mogą znaleźć zastosowanie w kosmetyce – tak narodził się najbardziej odrażający handel w historii: w Lyonie Instytut Merieux „przerabia” się 17 ton materiału ludzkiego dziennie, z czego jedna tona importowana jest z Rosji (za „Corriere della Sera” z 31 marca 1994 r.). A pozostałe 16 ton, skąd się importuje? (s. 20). Poszczególne organy anatomiczne wkłada się do wyraźnie oznakowanych kubłów, jak można zobaczyć na zamieszczonym zdjęciu. Zamrożone i ciasno zapakowane, w ogromnych kontenerach następnie eksportowane są do Francji. Zapytani o ten fakt rosyjscy dyrektorzy sanitarni spokojnie wszystko potwierdzili i wyrazili ubolewanie, mówiąc, że oni, niestety, zmuszeni są do eksportowania wspomnianego „materiału”, jako że nie posiadają odpowiednich urzędzeń, które pozwalałyby na jego „obróbkę” na miejscu (s. 23).

Potem rozpowszechniło się przekonanie, jakoby tkanka mózgowa dzieci miała leczyć chorobę Parkinsona. I tak to doszliśmy do najnowszych chirurgicznych technik aborcji, stosowanych przez szwedzkich „badaczy”, a opisanych przez doktora Nathansona w książce „All about Issue”. Kobiety będące w ciąży od trzynastu do osiemnastu tygodni kładzie się na stole operacyjnym; rozszerza się im szyjkę macicy i przebija się worek owodniowy, aby dotrzeć do głowy dziecka, która, po umieszczeniu u wyjścia szyjki macicy, zostaje przebita tak, aby umożliwić wprowadzenie cewki ssącej. Tak otrzymaną tkankę mózgową umieszcza się w lodzie, aby zachować jej używalność, po czym aborcja zostaje zakończona wyciągnięciem reszty ciała dziecka, które tymczasem umarło.

Technika ta została udoskonalona przez „badaczy” amerykańskich, którzy zajmują się „płodem”, kiedy osiąga 32 tygodnie życia (około 7 i pół miesiąca: dziecko ma 30 cm długości i mogłoby przeżyć także i poza łonem matki). Przy pomocy techniki przedstawionej na rysunkach wydo-

bywa się zeń cenny materiał za pomocą strzykawki, którą przebija się czaszkę; dziecko jest żywe (śmierć następuje podczas zabiegu).

W Ameryce technika ta została już wypróbowana tysiące razy i myślimy, że została już wprowadzona również we Włoszech, które od dawna stały się „ślepyim naśladowcą i śmietnikiem wszelkich potworności made in USA”; o leczniczych walorach materiału otrzymanego za pomocą tejże techniki zapewniał Piero Angela, w popularnym programie QUARK, w odcinku z lutego 1995 roku (s. 21).

A oto wymowny tytuł prasowy: „Leczę swoje serce komórkami mojego dziecka” („Republica” z 23 listopada 1994)

Nowe serce? Lepiej odnowić stary organ, unikając przeszczepu i wiążących się z tym trudności organizacyjnych, medycznych (odrzut) i ludzkich (dramat eksplan-tacji, serce obcego człowieka w swoim wnętrzu). Teraz istnieje inna możliwość: komórki serca embrionu. Wszczepione w dorosły mięsień sercowy, mnożą się a potem łączą się ze starymi komórkami, dając choremu organowi siłę i długowieczność młodych komórek. I aby dodatkowo zmniejszyć ryzyko odrzutu, niemalże do zera, nowe komórki mogłyby pochodzić od dziecka odbiorcy, z embrionu utworzonego w próbówce z nasienia ojca i jajeczka matki. Gdyby nie było możliwe zastoso-wanie tego systemu – który jest absolutnie najbardziej odpowiedni – można uciec się do jajeczka anonimowej dawczyni tak, aby komórki były w połowie identyczne pod względem genetycznym.

Ta najnowsza „technika” – owoc studiów prowadzonych przez badaczy z Uniwersytetu w Indianie (USA) – przedstawiona została ze źle ukrywanym entuzjazmem przez kardiologów Giuseppe Specchię i Heloizę Arbustini z Uniwersytetu w Padwie, na dorocznym kongresie w Mediolanie promowanym przez „Corriere della Sera”.

Innymi słowy, dla tych, którzy nie chcą zrozumieć:

„Jeśli chcesz się leczyć na serce, które zaczyna się starzeć, masz spłodzić dziecko, zabić je, a potem wszczepić jego komórki do twego zmęczonego serca, aby nabrało werwy” (s. 23).

Wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianego już aspektu, ściśle związanego z pojęciem cywilizacji śmierci, a mianowicie do eufemizmów neutralizujących aksjologiczne przejawy i fakty cywilizacyjnych osiągnięć w zakresie pozbywania się i wykorzystywania „niewygodnego życia”.

Sam termin „aborcja” nie oddaje w pełni istoty zagadnienia; słowo to zostało wprowadzone dla złagodzenia negatywnego wydźwięku tego, co

faktycznie oznacza. A oznacza przerwanie rozwoju życia polegające na usunięciu zapłodnionej komórki jajowej z łona kobiety. Definicja ta jest nieostra, gdyż nie oddaje całego dramatu związanego z faktem, że jest to po prostu zabieg uśmiercania i zabijania poczętego życia ludzkiego. Jest wiele teorii zajmujących się tym problemem. Są takie, które uznają aborcję za działanie moralnie szkodliwe i złe, ale są też zupełnie przeciwne, traktujące ją jako środek do osiągnięcia dobrego celu. Np. w Holandii na skutek daleko posuniętej liberalizacji przepisów dotyczących regulacji urodzeń, do aborcji nie zalicza się zabiegów eufemistycznie zwanych „regulacją menstruacji”, czyli poronień dokonywanych w pierwszym miesiącu ciąży. W Polsce często zabieg ten nazywa się „wywołaniem miesiączki”.

Także inny termin, określający istotną rzeczywistość „cywilizacji śmierci”, a mianowicie „eutanzja” jest podobnym eufemizmem. Sam termin eutanazja (z greckiego: *eu* – dobra, *thanatos* – śmierć) oznacza łagodną śmierć bez cierpienia. Obecnie jednak słowo to rozumie się jako interwencję medyczną, mającą na celu przyspieszenie zgonu pacjenta w sytuacji nieuleczalnej choroby, ogromnego cierpienia lub agonii. Teoretyczne podstawy dla eutanazji w latach dwudziestych naszego stulecia stworzyli profesor prawa karnego Karl Bindig z Lipska i profesor psychologii Alfred Hoche z Freiburga. Napisali oni pracę o niszczeniu „niegodnego życia”, która stała się elementarzem nazistowskiego prawa o eutanazji, ograniczającej się początkowo do chorych psychicznie, a potem rozszerzonej na osoby ulegające innym chorobom.

Eutanazja znana była już u ludów pierwotnych. W starożytnej Grecji ideę tę propagowali Spartanie, którzy porzucali w górach Tajgetu ułomne lub słabo rozwinięte fizycznie dzieci. Nawet Platon reprezentował podobne poglądy. W swojej rozprawie o państwie żądał, aby „najlepsze” dzieci oddawane były pod opiekę państwa, słabowite zaś porzucone lub zabijane. Również u Germanów i Słowian występowało podobne zjawisko. Dopiero z przyjęciem nauki Chrystusa eutanazja uległa poważnemu zahamowaniu, a problem odżył w pełni dopiero w XIX w. Można powiedzieć, że „przywróciła” go do życia nauka Darwina i Nietzschego. W pewnych kręgach medycznych (i nie tylko) panuje swoista filozofia śmierci. Powstają poradniki dla samobójców (jak np. „Final Exit” Dereka Humphreya). W niektórych kantonach Szwajcarii ciężko chorzy mogą nabyć truciznę i uzyskać od lekarza informację dotyczącą sposobu jej przyjęcia. Doktor Jack Kevorkian skonstruował specjalną „maszynę eutana-

zyją”, której zdjęcia obiegły całą prasę światową. Pieter Admiraal, lekarz z Delft nie ukrywa, że ponad 100 swoim pacjentom pomógł „przenieść się” na tamten świat, a iluż jest takich, którzy z lęku przed prawem i opinią publiczną nigdy nie przyznają się do podobnych praktyk? W krajach Europy Zachodniej i w USA pojawiają się liczne stowarzyszenia propagujące tzw. dobrą śmierć. Pod ich humanitarnymi hasłami niestety często kryje się zwykła chęć łatwego zysku, bo trzeba wiedzieć, że działalność na rzecz eutanazji to nie tylko ideologia, ale również interes. Przykładem może być choćby prezes Niemieckiego Towarzystwa Godnej Śmierci Hans H. Atrott, który zdobywa krociowe zyski, sprzedając cyjanek. Jak podaje „Der Spiegel”, odbiorcy „zabójczego środka” zapisywali swoim „wybawicielom” wielkie majątki. Po pewnej kobiecie z Bielefeld sam Atrott odziedziczył 6 milionów marek (za: Leśniak 2001).

Dotąd, mimo karalności, nielegalna eutanazja była masowo praktykowana w belgijskich szpitalach. Według senatora Philippe’a Monfilsa w Belgii dokonywano więcej zabiegów eutanazji niż w Holandii – szacuje się, że co dziesiąty zgon nastąpił w wyniku eutanazji („Prawo do eutanazji” G.W., 26 X 2001).

Warto więc zwrócić uwagę, że w tych krajach, gdzie eutanazja jest legalizowana, była ona już wcześniej stosowana. Na początku prawo przy- myka na to oko i koniec końców argumentacja idzie w tym kierunku, że skoro praktyki eutanazji mają miejsce, to trzeba to uporządkować, określić pewne procedury itd. obrońcy życia od dawna zwracają uwagę, że zaniegowanie wartości życia ludzkiego czy relatywizacja tej wartości, która miała miejsce najpierw, jeśli chodzi o człowieka w pierwszej fazie życia, a więc przed urodzeniem, w konsekwencji musi prowadzić do relatywizacji życia w ogóle i że następnymi ofiarami będą ludzie chorzy, starzy. 10 lat temu tej argumentacji nie przyjmowano, ale życie pokazuje, że przesady w rozumowaniu obrońców życia nie było.

„Gazeta Wyborcza” z 26 X 2001 r. informowała, że Belgia stanie się najpewniej drugim po Holandii krajem na świecie, w którym nieuleczalnie chorym i cierpiącym pacjentom przyznane zostanie prawo do śmierci na własne życzenie.

Wieczorem 44 senatorów przyjęło nowe prawo przy 22 głosach sprzeciwu i dwóch wstrzymujących się. Po zaakceptowaniu ustawy w izbie niższej parlamentu, co nastąpi pod koniec tego roku lub na początku 2002 r., prawo o eutanazji wejdzie w życie. Senat zajmował się eutanazją z przerwami od prawie dwóch lat. Odbyło

się na ten temat 88 spotkań. Momentami gorąca debata, w której udział wzięło 40 filozofów, etyków, prawników, lekarzy, specjalistów, trwała w sumie 300 godzin. Do projektu zgłoszono 687 poprawek, z których dziesiątki przyjęto.

Prawa dopuszczającego eutanazję broniły partie koalicji rządowej – socjaliści, liberalowie i ekolodzy – choć zdarzały się przypadki wyłomów i znaczącego milczenia niektórych senatorów. Koalicja miała natomiast za sobą opinię publiczną – ok. 72% obywateli katolickiej w większości Belgii jest za warunkową eutanazją. Dla porównania w Holandii, w której parlament przegłosował prawo do eutanazji w kwietniu tego roku, za śmiercią na życzenie było 90%. (tamże).

A co na to Kościół? Kongregacja Doktryny Wiary wydała w maju 1980 r. *Deklarację o eutanazji*. W dokumencie tym podkreślano wartość życia jako daru pochodzącego od Boga i stwierdzono z całą stanowczością, że „nikt i nic nie może upoważnić do zabijania niewinnej istoty ludzkiej i nikt też nie może zażądać tego zabójczego czynu dla siebie samego i dla innej osoby, gdyż stanowiłoby to naruszenie prawa Bożego [...], obrazę godności osoby ludzkiej, zamach przeciw człowieczeństwu”. Wspomniany dekret określa akt eutanazji jako „czyn zabójczy i zawsze sam w sobie niedopuszczalny”.

Z powodu tak radykalnego stanowiska wobec eutanazji Kościół może zostać posądzony o to, że nie jest czuły na ludzkie cierpienia. Nic podobnego. Kościół solidaryzuje się z cierpiącymi, ale nie upatruje rozwiązania ich problemu w eutanazji. Bo, jak czytamy dalej we wspomnianej deklaracji, „błagania ciężko chorych, którzy często wzywają śmierci, nie mogą być rozumiane jako wyraz prawdziwej woli eutanazji, są one niemal zawsze pełnymi udręki prośbami o pomoc i uczucia”. Oprócz leczenia medycznego chory potrzebuje miłości, ciepła ludzkiego, którymi mogą i powinni otaczać go ci wszyscy, którzy są przy nim: rodzice i dzieci, lekarze i pielęgniarze. Negatywne stanowisko wobec eutanazji zajmują też religie inne niż katolicka, np. islam. Na konferencji w Rijadzie, która odbyła się pod auspicjami UNESCO (1984 r.), eutanazja została potępiona jako niezgodna z istniejącymi w Koranie zakazami zabijania istoty ludzkiej.

Co jest powodem tego, że eutanazja ma swoich zwolenników? Szukając odpowiedzi na to pytanie, wskazać należy przede wszystkim na załamanie się religijności w większości społeczeństw konsumpcyjnych. Dla kogoś, kto twierdzi, że po śmierci nie ma nic, znoszenie niehumanitarnych cierpień wydaje się absurdem. Umieszczony pod pustym niebem laickiego światopoglądu i znajdujący się w sytuacji tragicznej człowiek jedyną możliwość

wyzwolenia widzi w eutanazji. Oczywiście, nie jest to regułą. Zdarzają się bowiem tacy niewierzący, którzy odkrywają w cierpieniu szansę rozwoju swojej osobowości. Bo czy ból nie wybija nas ze stanu pewnej obojętności, nieczułości? Czy nie staje się ocaleniem od tej cichej i powolnej śmierci, której na imię stagnacja, apatia, rutyna? „Gdy złagodzi się ból nękający pacjenta i gdy stworzy się w nim poczucie, że jest komuś potrzebny, a tak jest naprawdę, to nie będzie on prosił o eutanazję” – przypomina prof. Kielanowski (zob. Leśniak: 2001).

3.1. Dzieciobójstwo i płodobójstwo – odwiecznie aktualny problem

Dzieciobójstwo i różne formy „spędzania płodu” istniały już w czasach prehistorycznych. Dostępne nam źródła ukazują zapewne tylko niewielki wycinek całego problemu, który również w głębokiej starożytności budził wiele kontrowersji etyczno-moralnych, prawnych i politycznych. Bardzo wyraźnie występują one w wielu księgach Pisma Świętego. Najwcześniejsze opisy pochodzą z czasów niewoli egipskiej.

A synowie Izraela rozradzali się, pomnażali, potężnieli i umacniali się coraz bardziej, tak, że cały kraj się nimi napelnił [...] I rzekł król do swego ludu: oto lud synów Izraela jest liczniejszy i potężniejszy od nas. Roztropnie przeciw niemu wystąpmy, ażeby się przestał rozmnażać. W wypadku bowiem wojny mógłby się połączyć z naszymi wrogami w walce przeciw nam, aby wyjść z tego kraju (Wj 1.6–10)

Do położnych u kobiet hebrajskich powiedział król egipski:

Jeśli będziecie przy porodach kobiet hebrajskich, to patrzcie na pleć noworodka. Jeśli będzie chłopiec, winnyście go zabić (Wj 1.16).

Z tych racjonalnych i realistycznych stwierdzeń zrodziła się najokrutniejsza kampania na rzecz aborcji w całej starożytności (D'Ascanio 2000: 16). Faraonowi nie powiodła się ta kampania, ponieważ większość położnych okazała nieposłuszeństwo:

Lecz położne bały się Boga i nie wykonały rozkazu króla egipskiego, pozostawiając przy życiu nowo narodzonych chłopców. I wezwał król egipski położne, mówiąc do nich „Czemu tak czynicie i czemu pozostawiacie chłopców przy życiu?” One odpowiedziały faraonowi: „Kobiety hebrajskie nie są podobne do Egipcjanek: one są zdrowe, toteż rodzą dzieci wcześniej, zanim zdola do nich przybyć położna!”

Bóg dobrze czynił położnym, a lud izraelski stawał się coraz liczniejszy i potężniejszy. Ponieważ położne bały się Boga, również i im zapewnił On potomstwo. Faraon wydał wtedy całemu narodowi rozkaz: „Wszystkich nowo narodzonych chłopców Hebrajczyków należy wrzucić do wody, a dziewczynki pozostawić przy życiu. (Wj 1.15–22).

To oczywiście, że faraon nie akceptował wyjaśnienia hebrajskich położnych, czego dowodzi fakt, iż wynalazł inny sposób, aby wyeliminować naród, który „stawał się coraz liczniejszy i potężniejszy” właśnie dlatego, że położne nie były posłuszne nikczemnemu rozkazowi, który miał uczynić z tych kobiet – poświęcających się przyjmowaniu rodzącego się życia – morderczynie przynoszące śmierć (tamże: 17).

„Faraon ogłosił, że chłopcy mają być zabijani jeszcze przed narodzeniem. Były to czasy, w których wiedza medyczna była prymitywna, taka jak prymitywna była mentalność człowieka, ale nie używano zawyżonych słownych: „Jeśli będzie chłopiec, zabijecie go!” powiedział faraon, bez żadnych dwuznaczności.

Dziś człowiek jest zepsuty podobnie jak i wtedy, lecz bardziej fałszywy i wykrzywiony: kiedy mówi się o aborcji, nigdy nie używa słowa „zabić”, szafuje się nim jako wymogiem terapeutycznym, pożytecznym, wręcz koniecznym dla zachowania życia kobiety” (tamże: 20).

Motywami politycznymi kierował się również król Herod nakazując w czasie narodzenia się Chrystusa wymordowanie wszystkich noworodków płci męskiej. Motywacja i formy dzieciobójstwa były różne w dziejach ludzkości. Zaliczyć do nich należałoby religijne ofiary z dzieci, eliminowanie słabych i ułomnych noworodków przez porzucanie ich w górach przez Spartan, czy pozostawianie nagich na mrozie na terenach Skandynawii itp.

Znane były przypadki samowolnego spędzania płodu przy użyciu różnorodnych środków doustnych np. nalewek wywołujących wczesne poronienia. Najstarszy przepis na sztuczne poronienie pochodzi z przed ponad 4,5 tysięcy lat, a odkryty został w trakcie wykopalisk archeologicznych. Innymi metodami było powodowanie uszkodzeń mechanicznych i urazów brzucha kobiety, np. jazda wozem po wybojach czy jazda konna na oklep.

Starożytne cywilizacje w różny sposób podchodziły do problemu dzieciobójstwa i spędzania płodu. Że musiała to być powszechna praktyka, świadczy fragment przysięgi Hipokratesa z IV w. p.n.e, zawierający zdanie „podobnie nie dam nigdy niewieście środka na poronienie”.

W starożytnym świecie wielkim zwolennikiem spędzania płodu był Platon, który uważał, że konieczne jest ograniczenie rozrodczości obywateli. Odmienne zdanie prezentował Cynceron, będący przeciwnikiem przerywania ciąży i zwolennikiem zwiększania liczby obywateli państwa rzymskiego (zob. Veyne 1988).

Zasadniczo istniały trzy metody planowania rodziny: zapobieganie ciąży za pomocą różnych środków antykoncepcyjnych, sztuczne poronienia i dzieciobójstwo.

W Grecji stosowane były dwa doustne napoje antykoncepcyjne: atokion i misi. Bardziej rozwinięte metody antykoncepcji stosowano w Rzymie. Było to: płukanie pochwy po stosunku, stosunek przerywany, tampony antykoncepcyjne oraz kalendarzyk płodności. Najbardziej zawodną z tych metod był kalendarzyk, ponieważ radzono podejmować kontakty seksualne w dniach, o których obecnie wiemy, że są płodne. W starożytnej Grecji decyzję o przerwaniu ciąży, za mocy prawa Peryklesa, mógł podjąć tylko przyszły ojciec. Kobieta, która postanowiłaby tego dokonać bez zgody swego partnera mogła zostać oskarżona o zabójstwo. Lekarze greccy zajmowali różnorakie stanowiska odnośnie sztucznego poronienia. Od pełnej akceptacji (zalecania kobietom podnoszenia ciężarów, gwałtownych ruchów, gorących nasiadówek i środków doustnych mających spowodować poronienie) do sprzeciwu wyrażonego przez Hipokratesa, który twierdził, że zadaniem lekarza jest chronienie życia. W Rzymie wykonywanie sztucznych poronień nie było karalne, jednakże w szczególnych przypadkach cenzor czuwający nad moralnością mógł w sprawie przerwania ciąży zgłaszać swe zastrzeżenia.

W wiekach średnich nie tylko spędzanie płodu, lecz także wszelkie sposoby zapobiegania ciąży były traktowane przez Kościół jako grzech śmiertelny i surowo zabronione.

Co więcej, w dobie kontreformacji i inkwizycji kwestia zapobiegania ciąży została potraktowana jako jeden z dowodów na kontakty utrzymywane przez „czarownice, baby położne” z diabłem. „Bulla przeciw czarownicom” (1484) wyraźnie zwraca się przeciwko sztukom, które „przeszkadzają mężczyźnie płodzić, a kobietom zachodzić w ciążę” (zob. Ranke-Heinemann 1995: 277). Jediną dopuszczalną metodą była wstrzeźliwość małżonków, a wszystkie inne uchodziły za grzech śmiertelny.

Grzechem śmiertelnym i zabójstwem był stosunek przerywany, tym bardziej że w 1677 r. odkryto istnienie plemników w nasieniu. W związku z tym, że nie zdawano sobie sprawy z istnienia komórki jajowej, bez której poczęcie byłoby niemożliwe (odkryta została dopiero w 1827), uważano, że męczyzna składa w łonie kobiety malutkiego gotowego człowieka, którego zwano homunculus, a wkład kobiety w poczęcie jest niewielki – zarodek tylko rośnie w jej brzuchu.

Wiele kobiet, poczynawszy od starożytności aż do ubiegłego stulecia, stosowało ziołowe środki poronne – bardzo popularna była „herbatka” z trującego sporyszu – na polskich wsiach sporządzana jeszcze w latach 20. Niektóre jednak napary z ziół były prawie tak samo skuteczne jak używane dzisiaj pigułki, a to dzięki wysokiej zawartości substancji hormonalnych w ich soku. Korzystały z nich plemiona zamieszkujące Amerykę Południową.

Środki antykoncepcyjne stosowane przez nasze przodkinie są niejednokrotnie bardzo dziwne. Mieszkanki trzynastowiecznej Europy, by uchronić się przed ciążą jadły żywe pszczoły. Chinki i Japonki – połykały kijanki (obowiązywała zasada: ile zjesz kijanek, tyle lat nie zajdziesz w ciążę). Używano także mechanicznych zabezpieczeń: różnego rodzaju tamponów, kapturków. Egipcjanki sporządzały z roztartych z miodem cierni akacji i daktyli specjalną maść, którą wprowadzały do pochwy na kłębku bawełnianej przędzy. Mieszkanki Oceanii zaś zatykały pochwę wodorostami i algami, aby zatamować przepływ spermy.

Dopiero w latach dwudziestych ubiegłego stulecia zdano sobie sprawę z istoty cyklu miesięcznego kobiety i jego wpływu na płodność. Wówczas rozpoczęto badania nad hormonalnymi środkami zapobiegania ciąży. Był to bardzo ważny moment – kontrolując swoją płodność kobiety zyskiwały szansę na ekonomiczne uniezależnienie się od mężczyzn i możliwość decydowania o swoim życiu. Dlatego feministki uważają pigułkę antykoncepcyjną za jedno z największych osiągnięć ludzkości.

Pierwsze wzmianki na temat stosowania prezerwatywy pojawiają się w kronikach z XVI w. Był to płócienny woreczek, który zdaniem wielu chronił nie tyle przed niepożądaną ciążą, ile raczej przed kiłą.

Prezerwatywy z płótna nie zyskały sobie znacznej popularności – w przeciwieństwie do prezerwatywy wykonanej z jelita owcy, wynalezionej przez Johna Condoma.

Charles Goodyear, zasłużony dla przemysłu gumowego Anglik, wynalazł w XIX w. gumę wulkanizowaną, która posłużyła jako materiał do

produkcji kondomów. Były skuteczniejsze od tych z jelita, ponieważ lepiej przylegały do członka. Tamowały jednak większość doznań płynących z seksu – były więc niechętnie stosowane.

Przełom nastąpił w latach 30. XX w. Na rynek wprowadzono prezerwatywy lateksowe – cieńsze od gumowych, bardziej rozciągliwe i zapewniające większą jakość doznań. Dziś do wyboru są setki wzorów: kolorowe, pachnące, smakowe, z wypustkami (zob. Aleksandrowicz 2002).

Chrześcijańska etyka seksualna, stojąc na gruncie absolutyzmu etycznego tzw. antypermisywizmu, zakłada normy obowiązujące „zawsze i wszędzie” oraz „nigdy i pod żadnym warunkiem”. Absolutność tych klauzul sprawia, że nie są one łatwe do praktycznego stosowania szczególnie w sferze antykoncepcji i przerywania ciąży. Niepogwałcalność poczętego życia i prokreacyjne nastawienie przy każdym akcie seksualnym dopuszcza jako jedynie usprawiedliwione moralnie i religijnie naturalne metody regulacji urodzeń. Kościół w swoim nauczaniu głosi, że „każda istota ludzka już od chwili swego poczęcia jest osobą, tzn. istotą rozumną i wolną, przedmiotem nienaruszalnych praw zarówno w porządku fizycznym (ma prawo do życia ciała, jak i w porządku duchowym (ma prawo do życia Bożego)”. Kościół określił również ściśle definicję sztucznego poronienia jako „zamierzone usunięcie żywego zarodka lub płodu ludzkiego z łona matki, niezdołnego jeszcze do życia poza jej organizmem”. Sam czyn został uznany za przestępstwo i dzieciobójstwo, które według Kodeksu Kanonicznego podlega karze ekskomuniki wiążącej mocą samego prawa.

Kościół, broniąc prawa do życia, odwołuje się do szerszej, uniwersalnej płaszczyzny, która obowiązuje wszystkich ludzi. Prawo do życia nie jest tylko kwestią światopoglądu, nie jest tylko prawem religijnym, ale jest prawem człowieka. Jest prawem najbardziej podstawowym. Bóg mówi: „Nie będziesz zabijał!” (Wj 20,13). Przykazanie to jest zarazem fundamentalną zasadą i normą kodeksu moralności, wpisanego w sumienie każdego człowieka. Miarą cywilizacji – miarą uniwersalną, ponadczasową, obejmującą wszystkie kultury – jest jej stosunek do życia. Cywilizacja, która odrzuca bezbronnych, zasługuje na miano barbarzyńskiej.

Dzisiaj świat stał się areną bitwy o życie. Trwa walka między cywilizacją życia a cywilizacją śmierci. Dlatego tak ważne jest budowanie „kultury życia”: tworzenie dzieł i wzorców kulturowych, które będą podkreślały wielkość i godność ludzkiego życia; zakładanie instytucji naukowych i oświatowych, które będą promowały praw-

dziwą wizję osoby ludzkiej, życia małżeńskiego i rodzinnego; tworzenie środowisk wcielających w praktykę codziennego życia miłość miłosierną, którą Bóg obdarza każdego człowieka, zwłaszcza człowieka cierpiącego, słabego, ubogiego, nienarodzonoego” (Jan Paweł II 1977: 35 i n.).

Dzieci nie są „dodatkiem” do życia małżeńskiego. Nie są „opcją”, ale najcenniejszym darem (*Gaudium et spes*), wpisanym w sama naturę związku małżeńskiego (tamże).

Książka J. Bajda (2001) w kontekście papieskich nauk podkreśla, że współczesne zredukowanie miłości do seksu najbardziej godzi w wolność i godność ludzkiej osoby oraz powoduje „totalną klęskę antropologiczną”. Kiedy seks staje się wszystkim, wtedy w sercu człowieka nie ma miejsca dla Boga i dla człowieka, bo człowiek staje się tylko instrumentem uzyskiwania odpowiednich doznań, a w ten sposób traci to wszystko, co nazywa się godnością, ponieważ stał się jedynie obiektem pożądania. Stąd pochodzi ta spłaszczona wizja człowieczeństwa i owa mentalność, która w darze małżeńskiej płodności widzi jedynie zagrożenie, czyli w dziecku widzi „agresora”. Istota tej mentalności została znakomicie opisana w „*Familiaris consortio*”. Składają się na nią następujące elementy: utrata sensu istnienia przez samo zredukowanie pojęcia egzystencji do wymiaru horyzontalnego, to jest wymiaru przeżywania czasu, który mija, ale nie mija bezboleśnie, gdyż jest napełniony wszelakim złem; po drugie – wzrastające możliwości techniczne skłaniające do tego, by je drapieżnie wykorzystać dla egoistycznej korzyści, z wykluczeniem wszelkich potencjalnych konkurentów. Tych konkurentów należy się pozbyć – lub zapobiec pojawieniu się ich – przez takie środki jak aborcja, antykoncepcja i sterylizacja; wreszcie daje znać o sobie kult konsumpcji pochłaniający wszelką energię duchową człowieka. Ludzie ulegający tej postawie, nie rozumiejąc wyższych wartości, godnych człowieka, a priori je odrzucają i grzęzną w bezmyślnym poszukiwaniu coraz to nowych przyjemności. W sumie – jest to kryzys metafizyczny, egzystencjalny i moralny: totalna klęska antropologiczna.

Ta „alternatywna antropologia” odrzuca więź między płciowością a osobą, między małżeństwem a rodzicielstwem, między „wolnością a naturą” (*Veritatis splendor*), między miłością a płodnością pojętą jako powołanie, między płodnością a człowieczeństwem. Postawienie aktywności seksualnej poza ramami etosu osoby uniemożliwia zrozumienie ludzkiego

charakteru ojcostwa i macierzyństwa. „Tym samym odbiera się prokreacji status współpracy z Bogiem Stwórcą i degraduje się ją do poziomu technicznie kontrolowanej „re-produkcji” kolejnego przedstawiciela gatunku, przez co zatracą się niepowtarzalna osobowość godności dziecka”. Taka interpretacja płodności uniemożliwia zrozumienie istnienia ludzkiego jako „daru pochodzącego od Boga” (tamże).

3.2. Problem aborcji w naszym kraju

Problem dopuszczalności aborcji wzbudzał i wzbudza w naszym kraju wiele skrajnych ocen i ekstremalnych reakcji, co nie ułatwia socjologicznej analizy problemu. Ostatnio „Polityka” opublikowała raport Joanny Podgórskiej o aborcji (2002), oparty na ilościowej i jakościowej analizie problemu. Wymowa tego raportu jest przygnębiająca.

Zacznijmy od tego, że w badaniach CBOS sprzed kilku lat tylko 14% ankietowanych opowiedziało się za aborcją dozwoloną bez ograniczeń. Jednocześnie na pytanie, czy kobieta, jeśli tak zdecyduje, powinna mieć prawo do aborcji, 35% odpowiedziało „tak”, a dalszych 30% „raczej tak”. Co więcej, zgadza się z tym 14% tych, którzy deklarowali się jako zwolennicy całkowitego zakazu przerywania ciąży. Niemal co czwarta osoba, która akceptowała stwierdzenie, że „aborcja to morderstwo” przyznawała, że byłaby skłonna zdecydować się na zabieg w sytuacji nieplanowanej ciąży. Jak wytłumaczyć tak schizofreniczne postawy? „Moim zdaniem należy przyjąć, że sferze ocen moralnych i sferze rozwiązań prawnych, uważanych za słuszne, odpowiadają niewspółmierne skale wartości. Jest to sformułowanie Stefana Ossowskiego, który pisząc o skalach wartości stwierdził, że są one niewspółmierne wówczas, gdy każda ze skal wymaga zupełnie odmiennej postawy psychicznej, a postawa, która pozwala nam się przejąć wartościami jednej skali, nie daje się przejąć wartościami drugiej skali – i odwrotnie. Sądzę, że w przypadku omawianych tu ocen prawa do aborcji można mówić o takiej właśnie niewspółmierności, którą nie wszyscy sobie uświadamiają” – komentuje socjolog Danuta Duch.

I ta sytuacja jest chyba jednym z powodów tego, że pomimo iż w Polsce obowiązuje jedna z najbardziej restrykcyjnych ustaw antyaborcyjnych w Europie, podziemie ginekologiczne funkcjonuje świetnie. Łatwiej usunąć ciążę nielegalnie niż legalnie. Życie na co dzień rozmią się z prawem. Łamią je kobiety, lekarze w prywatnych gabinetach i szpitale odmawiające

przeprowadzenia zabiegu, nawet gdy dopuszcza go ustawa. W Polsce aborcja jest legalna, gdy ciąża pochodzi z gwałtu, zagraża życiu lub zdrowiu kobiety oraz gdy stwierdzono ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu.

W 2000 r. dokonano 138 legalnych aborcji – tak mówią rządowe statystyki. W Polsce żyje ok. 10 mln kobiet w wieku rozrodczym. Nieco ponad 600 tys. stosuje tabletki antykoncepcyjne, stanowiące najpewniejsze zabezpieczenie przed niechcianą ciążą. Przyrost naturalny z roku na rok spada. Uwzględniając te czynniki albo należy uznać oficjalne dane o liczbie aborcji za czystą fantastykę, albo przyjąć, że Polacy masowo zdecydowali się na wstrzemięźliwość seksualną.

Wystarczy przejrzeć ogłoszenia, by przekonać się, że w grę wchodzi pierwsza opcja. „Ginekolog – pełny zakres”, „Wywoływanie miesiączki”, „Wszystkie zabiegi – tanio” – w prasie pełno takich anonsów. Najczęściej podany jest w nich numer telefonu komórkowego. Bywa, że nie jest to numer lekarza, ale pośrednika.

Po wprowadzeniu restrykcyjnej wersji ustawy powstały agencje organizujące tzw. wyjazdy aborcyjne za granicę. Jednak po zakończonych wyrokami procesach z lat 1995-1997 proceder ten niemal ustał. Nie znaczy to, że zjawisko turystyki aborcyjnej nie istnieje, ale są to raczej wyjazdy indywidualne niż zbiorowe. Kilkaset Polek rocznie jeździ w tym celu do Holandii, biedniejsze wybierają wschód, ale większość korzysta z usług polskiego podziemia. Jaka jest jego skala? Tego nie sposób rzetelnie określić. Jesteśmy skazani na spekulacje. Według szacunków Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny jest to ok. 80 tys. zabiegów rocznie. Według innych analiz liczba ta może dochodzić nawet do 200 tys.

Nie sposób nie dostrzegać, że nielegalne przerywanie ciąży jest w Polsce zjawiskiem powszechnym.

Problem niechcianej ciąży dotyczy przede wszystkim dwóch grup kobiet – mówi Monika Tajak, która od 5 lat dyżuruje przy telefonie zaufania prowadzonym przez Federację na rzecz Kobiet. – Pierwsza to kobiety koło czterdziestki, które mają już dzieci i są w fatalnej sytuacji finansowej. Dzwonią do nas, żeby dowiedzieć się o możliwość zabiegu i są w szoku, kiedy dowiadują się, że przerywanie ciąży ze względów społecznych jest w Polsce nielegalne. Druga grupa to dziewczyny bardzo młode, często studentki, którym na początku drogi życiowej przytrafiła się wpadka. Te z kolei zwykle są przekonane, że jest u nas dostępna tabletką wczesnoporonna. Potem trafiają pewnie do prywatnych gabinetów (tamże).

Po latach dyskusji, kłótni i awantur o aborcję wszyscy są już tematem zmęczeni. Środowisko lekarskie nie jest zainteresowane zmianą ustawy. Tak jak wśród dżentelmenów nie mówi się o pieniądzach, tak wśród lekarzy nie mówi się o aborcji. Każdy robi swoje. Ci, dla których usuwanie ciąży zawsze było zawodowym dramatem i ostatecznością, dziś odmawiają jej wykonywania z czystym sumieniem; inni odmawiają, by uniknąć stygmatu mordercy nienarodzonych. Jeszcze inni w prywatnych gabinetach czerpią z ustawy niezłe dochody. Są i tacy, którzy rano w szpitalu powołują się na klauzulę sumienia, a po południu dokonują aborcji prywatnie.

Sytuacja, z którą mamy dziś do czynienia w Polsce – bardzo surowa ustawa i w pełni dostępne podziemie, które za sumę ok. 2 tys. zł pozwala dokonywać wyborów moralnych – prowadzi do lekceważenia prawa.

4. Sytuacja prokreacyjna Polski

W 1990 r. na 1000 kobiet przypadało 58 urodzeń (już niewiele), w dziewięć lat później tylko 37. Coraz mniej matek jest wśród kobiet młodych, które nie ukończyły 25 lat. I nie ma znaczenia, czy są zamożne, biedne, mieszkają na wsi czy w mieście. Od boomu niemowląt w 1982 r., tłumaczonego przerwami w dostawach energii elektrycznej podczas stanu wojennego, krzywa wciąż leci w dół. Psychologowie zarzucają społeczeństwu egoizm, ekonomiści zastanawiają się, kto będzie pracował na nasze emerytury, policja dokonuje pokazowych nalotów na gabinety, w których nielegalnie przerywa się ciążę. Bez rezultatu.

Dla młodych dziewcząt ciąża jest coraz częściej wynikiem głębokiego namysłu, a nie romantycznego uniesienia lub wpadki.

Sytuację demograficzną, a raczej prokreacyjną Polski świetnie charakteryzuje raport „Polityki” (7/1998), opracowany przez E. Nowakowską pt. „Dlaczego Polki nie chcą dzieci”, z którego warto przytoczyć obszerniejsze fragmenty.

W końcu 1997 r. było nas 38 mln 659 tys. Pod względem liczby ludności znajdujemy się na ósmym miejscu w Europie, a gęstość zaludnienia sytuuje nas wśród krajów średnio zaludnionych (123 osoby na 1 km²; w miastach ok. 1 150 osób, na wsi – 50). Na 100 mężczyzn przypada 105 kobiet. O naszej sytuacji ludnościowej decydują trzy główne zjawiska: urodzenia, migracje zagraniczne i zgony. Te pierwsze maleją od 1989 r.

tak gwałtownie, że lata 90. nazwano już okresem głębokiej depresji urodzeniowej.

W tym obrazie jest jeden punkt zasługujący na szczególną uwagę: nadal rodzi się mniej dzieci, chociaż w wiek najwyższej płodności (20-29 lat) wchodzi coraz liczniejsze roczniki kobiet urodzonych w drugiej połowie lat 70. Jednak najmłodsze pokolenie nie kwapi się do zakładania rodzin. W latach 80. na tysiąc ludności przypadało 9 nowych małżeństw, na początku lat 90. – 6, a ostatnio – 5. W ubiegłym roku, podobnie jak rok wcześniej, połączyło się ok. 250 tys. par. Aż 7% z nich stanowiły związki młodocianych, wymuszone przez ciążę. W 1996 r. zawarło małżeństwa za zgodą sądu 3,1 tys. dziewcząt szesnasto- i siedemnastoletnich oraz 12,1 tys. chłopców w wieku od 18 do 20 lat.

Polki rodzą swoje pierwsze dziecko mając (średnio) 22,9 roku. W ostatniej dekadzie rysuje się znamienna polaryzacja wieku matek. Zostaje nimi coraz więcej bardzo młodych dziewcząt, poniżej 19 lat (8% urodzeń), i coraz więcej kobiet dojrzałych, powyżej 35 roku życia (11%). Pierwszy z tych biegunów powiększa się w wyniku przypadkowych ciąż, czyli niewiedzy i lekkomyślności. Drugi jest mocno zróżnicowany. Mieszczą się tutaj kobiety niezamężne i nisko wykształcone, które rodzą kolejne, nieplanowane już dzieci, ponieważ Kościół zabrania antykoncepcji, a aborcja stała się dla nich niedostępna. Znajdujemy tu także kobiety o wysokiej pozycji społecznej, wykształcone i świadome swoich praw, które odraczają decyzję o macierzyństwie (pierwszym lub kolejnym). Kobiety z wyższym wykształceniem rodzą pierwsze dziecko (średnio) w wieku powyżej 27 lat.

Nowym dla współczesnej Polski zjawiskiem jest stały wzrost urodzeń pozamałżeńskich. Na początku lat 80. było to 5% nowo narodzonych dzieci, a w 1997 r. dwa razy więcej. Większość z nich przychodzi na świat w związkach nieformalnych, których liczba także wzrasta. Ostatni spis powszechny (1988) informował o 110 tys. par żyjących w kohabitacji. Z badań Zbigniewa Izdebskiego (patrz raport, *Polityka* 1) można wnioskować, że ta liczba uległa podwojeniu.

Główny Urząd Statystyczny przeprowadził w odstępach dziesięcioletnich (1985-95) bardzo szczegółową ankietę rodzinną, skierowaną do reprezentatywnej grupy 5% młodych małżeństw zawartych w 1985 r. Pytano m.in. o plany rodzicielskie, a w dziesięć lat później – o ich realizację. Co piąta z badanych kobiet nie zrealizowała swoich planów macierzyńskich i stanowczo nie chce

już powiększać rodziny. Najczęściej uzasadniały to złą sytuacją materialną (35%), złym stanem zdrowia (25%) i obawą przed bezrobociem (8%), jako że obecnie urodzenie dziecka może być powodem utraty pracy.

„Mam chyba zbyt dużo odpowiedzialności i wyobraźni” – napisała 31-letnia kobieta z wyższym wykształceniem, która poprzestała na jednym dziecku. Matka trójki dzieci (29 lat, wykształcenie średnie) tak podsumowała swoje doświadczenia: „Problem nie tkwi w tym, że kobiety nie chcą rodzić, ale w tym, że nie mają warunków do wychowywania dzieci. Zasiłek jest śmiesznie niski. Opieka nad rodziną prawie żadna” (Nowakowska 1998).

Prof. J. Witkowski z GUS pesymistycznie komentuje to zjawisko gwałtownego i głębokiego spadku urodzeń. Píše on: (zob. tamże): „Od dłuższego czasu z dużym niepokojem obserwujemy malejącą liczbę urodzeń. Osiągnęliśmy obecnie poziom najniższy od 1945 r. W konsekwencji może to prowadzić do depopulacji, czyli zmniejszania się liczby ludności. Jak wskazują prognozy, przynajmniej do 2020 r. nam to jeszcze nie grozi, chociaż już jesteśmy w obszarze zawężonej zastępowalności pokoleń. Niski poziom urodzeń nie gwarantuje odtworzenia populacji.

Druga konsekwencja wiąże się ze strukturą ludności według wieku. W Polsce mamy bardzo zmienną liczbę urodzeń. Mieliśmy okres wyżu demograficznego lat pięćdziesiątych, później nastąpił okres zmniejszonej liczby urodzeń, w latach siedemdziesiątych notowano niewielki wzrost, na początku lat osiemdziesiątych ponowny szczyt, teraz znów spadek. W tych warunkach bardzo trudno dostosować rozwój gospodarczy do rozwoju i potrzeb ludności. Raz mamy ogromną presję na szkoły, potem powstaje popyt na miejsca pracy i na mieszkania, bo pojawia się wyż, który rozpoczyna naukę, wchodzi na rynek pracy, zakłada rodziny itd. Malejąca obecnie liczba urodzeń oznacza, że wszystkie kłopoty, których doświadczyliśmy do tej pory, będą pojawiać się w przyszłości.

Jest też dodatkowy, szczególnie drastyczny problem: po roku 2010 w wiek poprodukcyjny wkroczą osoby urodzone w okresie wyżu demograficznego lat pięćdziesiątych. Nie stanowiłoby to problemu, gdyby temu zjawisku towarzyszyła wysoka liczba urodzeń. Jednak w obecnej sytuacji obciążenie ludności aktywnej zawodowo grupą w wieku poprodukcyjnym stanie się szczególnie duże. Może to powodować poważne problemy z zabezpieczeniem emerytalnym i z zagwarantowaniem niezbędnego dla rozwijającej się gospodarki, odpowiedniej liczby osób aktywnych zawodowo.

Demografowie są ostrożni – przewidywanie zmian ludnościowych w przyszłości wymaga analizy bardzo wielu przesłanek. Nie wystarczy szczegółowe rozpoznanie obecnych tendencji oraz ich społecznego i gospodarczego tła. Im mniej ustabilizowana sytuacja w życiu publicznym, gospodarce, na rynku pracy, tym więcej wątpliwości i znaków zapytania. Tak jak wydarzenia polityczne na początku poprzedniej dekady zmodyfikowały procesy demograficzne, tak i transformacja ustrojowa z przełomu lat 80. i 90. odciska swoje piętno, utrudniając prognozowanie”.

Zaskakujący demografów skok urodzeń w latach 1982-83 nastąpił po traumatyzującym doświadczeniu stanu wojennego z jednej strony i po wprowadzeniu płatnych urlopów wychowawczych (lipiec 1981) – z drugiej. Tłumaczono go ucieczką w prywatność, ale bodziec socjalny też odegrał swoją rolę. W wielu domach przychodziły na świat drugie i trzecie dzieci, wcześniej nieplanowane. Możliwość skorzystania z płatnego urlopu sprzyjała zaspokojeniu (lub obudzeniu) potrzeby rodzicielstwa. Zgodnie z teorią G.S. Beckera, ekonomicznego noblisty, można by powiedzieć, że ludzie decydowali się na dzieci, ponieważ te stały się – w pewnym sensie – dobrem atrakcyjniejszym od innych, wówczas dostępnych.

Poza racjonalnymi przesłankami jest jeszcze coś, co wymyka się szkiełku i oku badaczy. To spontaniczne zachowania jednostek i rodzin, które przekładają się na zachowania całych grup społecznych.

„Ostatnio nastąpiła wyraźna zmiana w zachowaniach ludzi – myślę nie tylko o zachowaniach prokreacyjnych” – przekonuje dyrektor Lucyna Nowak. „Możemy zmierzyć, jaki wpływ na procesy demograficzne ma polityka socjalna, fiskalna, gospodarcza, ale nie potrafimy zmierzyć ani przewidzieć sumy ludzkich zachowań”. Można pytać, dlaczego kobieta zrezygnowała z planowanego wcześniej drugiego lub trzeciego dziecka, jednak uzyskane odpowiedzi nie dają wystarczających podstaw do wnioskowania, jak w podobnych okolicznościach życiowych zachowują się w przyszłości inne kobiety.

Demograficzne niespodzianki wzbudzały zawsze nie tylko falę interpretacji, ale i pretensji pod adresem demografów – że nie przewidzieli. Bo gdyby przewidzieli, wówczas politycy przygotowaliby warunki na przyjęcie wyżu lub niżu. To argument sugestywny, ale nieprawdziwy. Powojenne prognozy były zawyżone, zapowiadano np. że w 1975 r. będzie nas 38 mln, było nas o 4 mln mniej. Prognostycy przesadzili, a tymczasem

mieszkań, szkół, szpitali dotkliwie brakowało. Na początku lat 60. demografowie trafnie ostrzegali o tendencji spadkowej, jednak socjalną politykę przywilejów dla matek zainicjowano wiele lat później, gdy już wychodziliśmy z dołka (zasilek porodowy – styczeń 1976). Następne prognozy okazały się zaniżone, a skokowego wyżu z lat 1982-83, porównywalnego tylko z wyżem końca lat 50. nie przewidział nikt.

„W październiku 1983 r. zaprosiliśmy do „Polityki” grono demografów, aby zapytać, jak długo potrwa ta wyżowa tendencja i co z niej wyniknie. Dr Władysław Kondrat przewidywał stabilizację urodzeń: jego zdaniem w pierwszej połowie lat 90. miało przychodzić na świat około 600 tys. dzieci rocznie. Prof. Jerzy Holzer dzielił się obawami na temat znacznego spadku urodzeń w kolejnych latach i jego odległych następstw w postaci dysproporcji między grupami wieku – produkcyjnego, przed- i poprodukcyjnego – jakie mogą się zarysować w przyszłości.

Życie przyznało rację temu drugiemu. Jednak bez względu na różnice poglądów demografowie nie dawali się wciągnąć w politykę i nie traktowali macierzyństwa instrumentalnie – nie twierdzili, że naszą narodową ambicją powinna być jakaś docelowa liczba ludności. Mówili o naturalnych warunkowaniach i płynących stąd konsekwencjach dla polityki oświatowej i zdrowotnej, dla rynku pracy i konsumpcji. Takie ekspertyzy zawsze porastały kurzem w szafach polityków, ponieważ wyjście im naprzeciw wymagało zróżnicowanych i długofalowych starań, nie zwiastując zarazem szybkich i błyskotliwych sukcesów. Dziś czeka je podobny los” (Nowakowska 1998).

5. Kształtowanie się antyprokreacyjnych postaw i wzorów – ideologia „Dinks”

Na powstawanie i upowszechnianie się antyprokreacyjnych wzorów i postaw wpływa całokształt cech współczesnej cywilizacji, co świetnie analizuje oraz interpretuje A. Toffler (1986, 1998), a do czego jeszcze powrócimy w innym miejscu. Dlatego absolutyzowanie jednego tylko czynnika, choćby bardzo pojemnego zakresowo, wydaje się dużym uproszczeniem. Z drugiej strony nie sposób oczywiście zwrócić uwagi na wszystkie przyczyny tego zjawiska. Z socjologicznego punktu widzenia warto jednak przynajmniej wspomnieć następujące czynniki:

- 1) Zanik tradycyjnej rodziny wielopokoleniowej skupionej przestrzennie,
- 2) Brak odpowiedniej polityki pronatalistycznej,
- 3) Możliwość dostatniego życia oraz awansu poza małżeństwem i rodziną,
- 4) Zanik misji prokreacyjnej jako powołania i obowiązku wobec Boga, ludzkości i narodu i koncentracja na doznaniach zmysłowych,
- 5) Szybko postępujący proces prywatyzacji życia rodzinnego, macierzyństwa i prokreacji,
- 6) Swoista międzynarodowa moda na bezdzietność.

Zanik tradycyjnej rodziny skupionej przestrzennie powiększa u młodych kobiet poczucie samotności i lęk przed macierzyństwem. Dziewczyny po maturze wyjeżdżają do miast oddalonych o setki kilometrów od domu. Bywa, że wychodząc za mąż, zrywają kontakty z rodziną, bo narzeczony nie został zaakceptowany albo brakuje czasu na odwiedzin.

„W rodzinach wielopokoleniowych, żyjących blisko, dziewczynki pomagały wychować potomstwo sióstr. W sposób naturalny przygotowywały się do roli matki. Rodząc dziecko, dostawały wsparcie od doświadczonych kobiet. Jeżeli niemowlę miało kolkę, ciotki i babki spieszyły z pomocą” – wyjaśnia Anna Titkow. Dziś młode mamy, obstawione podręcznikami i ulotkami reklamowymi, czują się opuszczone. Chcąc się poradzić, dzwonią na infolinię producenta mleka w proszku. Ich dziecko nie należy już do całej rodziny, należy wyłącznie do nich i zagubionego męża. W badaniach wykonanych na zlecenie „Elle” kobiety zapytane, co najczęściej przeszkadza im w pogodzeniu życia rodzinnego z zawodowym, wymieniały na pierwszym miejscu opiekę nad dziećmi, dopiero na drugim trudności finansowe (zob. Barcz 2001).

30% młodych matek cierpi na depresję poporodową, a łagodniejsza jej forma – *baby blues*, dotyka 70%. Nie jest to więc zjawisko marginalne. Przyczyną są nie tylko szalejące hormony, ale także samotność i zagubienie w nowej roli. Nie ma już wielopokoleniowych rodzin, w których dziewczyna, opiekując się młodszym rodzeństwem albo dziećmi starszych sióstr, w sposób naturalny uczyła się macierzyństwa. Dla wielu współczesnych kobiet jedynym doświadczeniem tego typu jest lalka z dzieciństwa. Zostają sam na sam z własnym dzieckiem i odchodzą od zmysłów (zob. Podgórska 2001).

Nie bez znaczenia pozostaje również brak konkretnej polityki pronatalistycznej ze strony władz państwowych. Akcja „Gazety Wyborczej”

rzeczywiście spowodowała, że w Polsce można już urodzić po ludzku, ale nikt nie interesował się tym, co dzieje się potem. O opiece i wychowaniu mówiło się wyłącznie w kontekście dziecka, nikt nie uwzględniał potrzeb kobiet.

We wspomnianym sondażu CBOS połowa badanych wytknęła też brak pomocy państwa jako przyczynę spadku urodzeń. „W polityce prorodzinnej podporządkowanej interesom partyjnym panuje bałagan i niekonsekwencja. W efekcie dobro dziecka i rodziny przegrywa” – mówi Anna Titkow. Kilka miesięcy temu Sejm na wniosek Unii Wolności przyznał mężczyznom prawo do zasiłku na urlopie wychowawczym. Nowelizację o zasiłkach uchwalono przy niechętnej postawie prawicy.

Katarzyna Miller nazywa politykę prorodzinną łgarstwem i pozorem, odwracaniem uwagi od istoty problemu. „Nakazuje rodzić, zostawiając kobiety samym sobie z ich bezradnością i lękiem. Ta „opieka” daje wielu politykom prawo do moralnego piętnowania bezdzietności i zwalnia od tworzenia państwa, w którym chce się rodzić. Odbieranie prawa wyboru nie kształtuje ludzi umiających decydować” (za: Barcz 2001).

Na Zachodzie już jakiś czas temu zorientowano się, że nie nakłoni się kobiet do rodzenia dzieci, zakazując usuwania ciąży albo odbierając dopłaty do środków antykoncepcyjnych. Lepszym sposobem jest zapewnienie im bezpieczeństwa socjalnego: systemu zasiłków, bardziej elastycznych warunków pracy, instytucji pomagających w opiece nad dziećmi. Choć i to nie zawsze odnosi skutek. Współczesne kobiety – bez względu na to, czy decydują się na dziecko czy nie – nie postrzegają już macierzyństwa jako obowiązku wobec narodu czy społeczeństwa, ale jako sprawę czysto indywidualną. Także Polki z wielu publikacji na temat dzieci zapamiętały przede wszystkim zdanie, że „dobra matka to matka spełniona i szczęśliwa”. I choć presja stereotypów jest nadal bardzo silna, coraz częściej odmawiają zamknięcia się w jednej tylko roli. Matka-Polka powoli przechodzi do historii.

„Współczesne młode kobiety są inne niż pokolenie ich matek” – mówi dr Joanna Bator z Instytutu Spraw Publicznych. „Zanika syndrom „poświęcającej się matki”. Kobiety starają się pogodzić macierzyństwo z karierą”. I niektórym to naprawdę wychodzi. Są nie mniej heroiczne i godne hołdu od dawnych matek-Polek, pielęgnujących domowe ogniska, gdy mężowie walczyli i ginęli za Ojczyznę. Te współczesne – gdy ich mężowie

piastują stanowiska i martwią się o ludzkość (w pubach z kolegami) – wychowują dzieci na porządnym ludzi, a w dodatku budują demokrację lokalną oraz własne domy (zob. Podgórska 2001).

Współczesna sytuacja gospodarcza wszystkich krajów rozwiniętych stwarza właściwie każdemu możliwość względnie dostatniego życia oraz awansu poza małżeństwem i rodziną. Społeczeństwa wolnorynkowe, społeczeństwa dobrobytu przestają być rodzinocentryczne. Monogamiczna, rygorystyczna, wielopokoleniowa rodzina, o jakiej marzy nasza prawica, to nierealny, dawny mit. Nie da się jej odtworzyć, zamykając przedszkola i zmuszając kobiety do rodzenia dzieci. Taka idealna rodzina istniała w XIX w. i zapewne była fantastycznym miejscem do wychowywania dzieci. Jednak ten model nie przetrwał.

Odchodzenie od rodziny, które wyraźnie widać na Zachodzie, u nas też będzie coraz bardziej odczuwalne. Teraz społeczeństwo zapewnia bezpieczeństwo materialne tym, którzy porzucają sentymentalną wizję domowych pieleszy. Albo pozostają przy nich czymś kosztem – kobiet właśnie. Dzisiejsze studentki to wiedzą i są chyba coraz bardziej świadome, że nie chcą płacić takiej ceny. Nie po to studiują, by potem zapewnić mężowi spokojną domową przystań i umożliwić mu zrobienie kariery.

Nasze babcie, mając do wyboru otoczone pogardą staropanieństwo, podrzędną pracę pielęgniarki lub guwernantki oraz rolę żony i matki, nie miały nic do stracenia. Zawodowo pracujące kobiety z wyższym wykształceniem mają w latach 90. naszego wieku bardzo wiele do stracenia – deklaruje Frank Abrams w „The Independent”.

Gdy z przeprowadzonej w połowie lat 90. wśród młodych Angielek ankiety wynikało, że 20% z nich deklaruje bezdzietność z wyboru – czy jak wolą to nazywać – wolność od dziecka, rozległy się jeremiady nad egoistycznym pokoleniem. Pierwsze, co nasuwa się na myśl to fakt, że te kobiety będą kiedyś nieszczęśliwe. Ale książka „Beyond Motherhood. Choosing a Life without Children” świadczy, że wcale tak być nie musi. Jej autorka, 50-letnia Jeanne Safer, pozostająca, jak 15% Amerykanek z jej pokolenia bezdzietna, przeprowadziła ankietę, z której wynika, że bezdzietne pięćdziesięciolatki czują się spełnione i szczęśliwe, prowadzą twórcze, bogate życie, często podejmują działalność charytatywną (Podgórska 2001).

Kolejnym czynnikiem ograniczania funkcji prokreacyjnej rodzin jest utrata etycznego wymiaru prokreacji jako małżeńskiego przeznaczenia,

powołania i misji. Sytuacja ta została już omówiona z punktu widzenia stanowiska Kościoła we wcześniejszych podrozdziałach. W języku etycznym i socjologicznym oznacza to rozdział pożycia małżeńskiego od miłości, miłości od rodzicielstwa, płodności od małżeństwa. Pożycie małżeńskie często ogranicza się do „uprawiania seksu”, którego istotą jest orgazm i antykoncepcja. Takie uogólnienia podaje, bazując na swoim bogatym doświadczeniu zawodowym, Z. Lew Starowicz (1998).

Powołaniem kobiety jest macierzyństwo – to przez wieki uchodziło za dogmat. Dziewiętnastowieczni moralisci, przekonując kobiety do rodzenia dzieci porównywali je do lwic, drobiu lub wręcz gleby próchniczej, która nie może pozostać jałowa. Encyklopedie definiowały instynkt macierzyński jako skłonność właściwą każdej normalnej kobiecie. Dwudziestowieczna psychologia skazywała kobiety bezdzietne na frustracje i neurozy. Aż w końcu ta grupa stała się zbyt liczna, by określać ją jako nienormalną czy patologiczną.

Ile jest Polek bezdzietnych z wyboru? Według badań statystycznych – nikły procent, ale taka decyzja obłożona jest silną presją. To temat tabu. Nie wypada otwarcie mówić: nie chcę mieć dzieci, nie lubię dzieci, nie wzruszają mnie. Wypada natomiast indagować młode małżeństwa o ich plany rozrodcze, pouczać, że bez dzieci będą nieszczęśliwe, a ich związek pozbawiony sensu (zob. Podgórska 2001).

Dziewictwo przestało być najważniejszym elementem posagu współczesnej kobiety. Dzisiaj erotycznym wianem na miarę złota stał się kobiecy orgazm. Już przedwojenne książki T. van de Veldego, m.in. „Małżeństwo doskonałe”, uświadamiały kobietom ich seksualne potrzeby i prawa. Rewolucja seksualna końca lat 60. zmieniła postawę kobiet wobec seksu. To dzięki niej prawie połowa Polek u progu lat 70. zaczęła uświadamiać sobie, że przeżywa orgazm, a w końcu lat 90. już 89%. Kobiety zrozumiały, że ich życie erotyczne to nie kodeks uległości i poddania, ale bogata karta praw, zależna od ich potrzeb i temperamentu. Apetyt na seks nieoczekiwanie przybrał u nich na sile, zaczęły też coraz więcej wymagać od mężczyzn. Dla wielu zdolność przeżywania orgazmu stała się źródłem poczucia własnej wartości i atrakcyjności. Sztuka miłości została podporządkowana ćwiczeniu tej właśnie zdolności. W gabinetach seksuologów zaroilo się od nowej generacji pacjentów: pań oczekujących pomocy w przeżywaniu orgazmu, który stał się dla nich kobiecym być lub nie być i niezbędnym warunkiem do zawarcia małżeństwa. Jak pisze Lew Starowicz (1998):

Spotkałem się też z przypadkami, że młode dziewczyny są nakłaniane do wizyty u seksuologa przez swoich partnerów, którzy nie kryją, że od wyleczenia partnerki zależy przyszłość związku. Kobiety bywają wtedy zdesperowane. Za brak orgazmu winią siebie. Szybko uważają się za gorsze od innych. Bywam świadkiem bulwersujących sytuacji, gdy partner daje im określony czas na leczenie i od tego uzależnia zawarcie małżeństwa. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że zdolność przeżywania orgazmu przez kobietę jest źródłem jej wysokiej samooceny? W niedawno przeprowadzonych badaniach okazało się, że 86% żon wystawiło sobie „bardzo dobry” za spełnianie się w roli kochanki, dlatego że przeżywają orgazmy, a ich partnerzy odczuwają satysfakcję i przyjemność z życia seksualnego. Obserwuję jednak, że pogoń za orgazmem zaczyna przybierać niekiedy formy paradoksalne. Wiele młodych kobiet, nie mogąc przeżyć orgazmu, trenuje przed ślubem zdolności orgazmiczne, np. w praktykach masturbacyjnych. Często zmieniają partnerów. Dążą do przeżycia orgazmu wielokrotnego, przedłużonego. Jeśli poczują, że są idealnymi kochankami, wchodzą na niebezpieczną drogę prowadzącą do narcyzmu” (tamże).

Szybko postępuje też proces prywatyzacji małżeństwa, macierzyństwa i prokreacji traktowanej jako swoiste „hobby”, które się realizuje lub nie. Jest to jeden z bardzo ważnych czynników współczesnej bezdzietności małżeństw, a wiąże się on z zasadniczym naruszeniem dotychczasowego stereotypu małżeństwa i rodziny. Ten stereotyp traktuje potomstwo jako główny sens związku, „uświęcenie” seksu, przejaw naturalnych skłonności małżonków, ich wyższych uczuć, gwarancję trwałości małżeństwa, zabezpieczenie starości, nadawanie sensu własnemu życiu itp. itd.

Nie istnieją na ten temat poważniejsze badania empiryczne ani opracowania socjologiczne. Dlatego z uznaniem należy potraktować raport „Elle” pt. „Bezdzietni w konspiracji”, opracowany przez B. Pawłowicz (2000).

W rozwiniętych krajach świata zaczyna nawet panować swoista moda na bezdzietność. Jak wynika z opracowania A. Niedzielskiej (zob. Pawłowicz 2000), co piąta urodzona w ostatnim trzydziestoleciu Brytyjka pozostanie bezdzietna z wyboru – ujawniają raporty demografów. Liczba par, które rezygnują z potomstwa, w Wielkiej Brytanii rośnie bardzo szybko. „Anglia bez rodzin” – alarmuje prasa.

Małżeństwa, które nie chcą mieć dzieci, także i tu nie mają łatwego życia. Zarzuca im się egoizm i wygodnictwo. Te ataki sprawiły, że postanowiły walczyć o prawo do bycia bezdzietnymi. Założyły Brytyjskie Stowarzyszenie Nie-Rodziców. Chcą przekonać rodaków, że rodzicielstwo nie jest biologicznym i społecznym przeznaczeniem człowieka. Dzieci powinno

się mieć tylko wtedy, kiedy się ich rzeczywiście pragnie, a nie dlatego, że mają je wszyscy. Nie godzą się, żeby decyzja o nieprzedłużaniu gatunku skazywała ich na społeczny ostracyzm i była traktowana jako objaw psychicznej dewiacji. „Życie solo też może być pełne i szczęśliwe” – zapewniają. Rodzicielstwo ich zdaniem jest idealizowane. Dzieci ograniczają wolność, wychowywanie ich jest wyczerpujące, czasochłonne i kosztowne. Przewodniczący Stowarzyszenia, pięćdziesięcioletni Root Cartwright, już jako nastolatek wiedział, że nigdy nie zdecyduje się zostać ojcem. „Piętnaście lat temu poddałem się zabiegowi wasektomii (podwiązania nasieniowodów)” – wyznał na łamach „The Independent”. „Nie jestem niedołągą, osobą nieodpowiedzialną ani starym rozpustnikiem. Po prostu nie chcę poświęcać się dzieciom”. Towarzyszka Roota, którą poznał już jako mężczyzna bezpłodny, zaakceptowała jego wybór. Też chciała pozostać bezdzietna.

Macierzyństwo częściej odrzucają kobiety wykształcone. W stowarzyszeniu nie brak lekarek, urzędniczek państwowych wysokiego szczebla, specjalistek od marketingu. Jane Elliot, od lat szczęśliwa mężatka, pracuje w handlu: „Zupełnie nie widziałam siebie w roli matki. Nie interesowało mnie to”. Kiedy zbliżała się do czterdziestki, jeszcze raz przeanalizowali z mężem wszystkie za i przeciw. To był ostatni moment na zmianę decyzji. Ale jej nie zmienili. Są zadowoleni ze swego życia.

Gdy młoda kobieta z powodów zdrowotnych musi usunąć macicę, przeżywa dramat. Dla tych, które uciekają przed macierzyństwem, to szczęśliwy zbieg okoliczności. „Dopiero wtedy odetchnęłam z ulgą” – mówi szczerze jedna ze stowarzyszonych kobiet. „Skończyły się natrętne pytania rodziców: kiedy dacie nam wnuki? Nareszcie byłam w ich oczach usprawiedliwiona”. Dzieci to podpora starości – tak rozumuje większość matek i ojców. Dobrowolnie bezdzietni dostrzegają w tym zbyt dużo zwykłego wyrachowania. Zresztą ta kalkulacja często zawodzi. Coraz więcej rodziców podeszłym wieku żyje samotnie w domach starców. Bezdzietnym nie podoba się też sposób, w jaki rodzice traktują swoje obowiązki wychowawcze. Spychają je na piastunki, nianie, szkoły z internatem.

Jeśli kobieta i mężczyzna postanowili zostać rodzicami, niech wypełniają tę funkcję w stu procentach, a nie na pół gwizdka. To dowodzi braku odpowiedzialności. Ludzie dziwią się, że nie chcemy mieć dzieci. Ale to my powinniśmy ich spytać, dlaczego zdecydowali się je mieć?

Jak podaje B. Pawłowicz (2000), w Anglii powstało stowarzyszenie obrony praw bezdzietnych małżeństw, bowiem normą dla społeczeństwa jest posiadanie dzieci.

Ci, którzy ich nie mają – są poza normą. Dotyka ich społeczne odium. Jakie, uświadomiły mi dopiero kontakty z takimi parami. Znalazłam ich kilkanaście. Tylko trzy zgodziły się zabrać głos publicznie. Większość odmówiła. Powody były różne, wszystkie jednak sprowadzały się do obawy przed reakcją otoczenia.

Aktor, 35 lat: „Gdybym oficjalnie przyznał, że nie chcemy dzieci, zostalibyśmy oskarżeni o to, że nasze małżeństwo jest tylko przykrywką. Że ja jestem gejem, a żona lesbijką”.

Prawnik, 29 lat: „Rodzina by nas zjadła. Do tej pory udajemy, że to ze względu na pracę odwołujemy decyzję o dzieciach”.

Plastyk, 28 lat: „Ludzi jest tak wiele, że grozi nam katastrofa ekologiczna. Ale nie mogę tego mówić publicznie. Jeśli powiem, że potrzeba więcej drzew, a nie ludzi – uznają mnie za obłąkaną”.

Pracownica agencji reklamowej, 27 lat: „Nie chcę słyszeć, że jestem egoistką, że brak mi uczuć wyższych, że myślę tylko o przyjemnościach. To wszystko zarzucała mi własna matka. Nie utrzymuję kontaktów z rodziną także z tego powodu. Innym wolę mówić, że dzieci mieć po prostu nie mogę. To ucina dyskusje. Wszyscy zaczynają współczuć”.

Zdaniem Urszuli Sadowskiej, pedagoga i terapeuty (matki dwóch córek) nie ma nic dziwnego w tym, że pary nie chcą się przyznawać do planowej bezdzietności. „Jesteśmy społeczeństwem zatopionym w dulszczyźnie. Każde małżeństwo powinno mieć dziecko. Inaczej zostanie podane presji. Społeczeństwo przypisze im negatywne cechy i wysunie złe prognozy. Przede wszystkim uzna taki związek za chwilowy. Bez przyszłości”. Stereotyp mówi: to dziecko łączy małżeństwo. Czy zawsze? Według statystyk najczęściej rozwodów dotyczy par z jednym dzieckiem (40,4%), dopiero potem są bezdzietni (32,1%).

„Kobiety często decydują się na ciążę dla zachowania związku – mówi Izabella Kurzejewska. – Kiedy jednak nie ma miłości, dziecko nie pomoże. Nawet jeśli małżeństwo przetrwa, o szczęściu trudno będzie w nim mówić”.

Zgodnie z raportem GUS liczba bezdzietnych małżeństw w Polsce wzrasta. W 1978 r. było ich 1 571 996, czyli 21% małżeństw w ogóle. W 1995 r. stanowili już 27,7%.

Nie wiadomo jednak, ile było takimi z wyboru. Jak udało się ustalić, takich badań nikt nie prowadził. Choć bezdzietni stanowią prawie jedną

trzecią małżeństw w ogóle (28%), nie pozostają pod wnikliwą uwagą badaczy. Jak twierdzi demograf, prof. dr hab. Jerzy Holzer z Polskiej Akademii Nauk, dzieje się tak z powodu ich „niewielkiego wkładu w procesy demograficzne”.

Udało się tylko ustalić, że liczba bezdzietnych małżeństw w Polsce rośnie. Jak alarmują lekarze, problem bezpłodności dotyczy aż 20% małżeństw. Możemy więc założyć, że z 28% bezdzietnych, 8% pozostaje takimi z wyboru. Czy naprawdę? (Pawłowicz 2000).

Czasem natura przeszkadza zostać matką. Lekarze szacują, że w Polsce co piąta para ma trudności ze spłodzeniem potomka. A jeśli się już uda, trudno utrzymać ciążę.

Na palcach jednej ręki mogą policzyć ciężarne pacjentki, u których wystarczy zrobić rutynowe badania kontrolne – opowiada doktor Krzysztof Dynowski, ginekolog położnik i endokrynolog, adiunkt Kliniki Położnictwa i Ginekologii w Warszawie. – Ich kłopoty wynikają z nieleczonych zaburzeń cyklu. Dwa lata po pierwszej miesiączce regularny cykl powinien być nie krótszy niż 25 i nie dłuższy niż 33 dni. Każde odstępstwo od normy wymaga zbadania. Wiele problemów ginekologicznych maskuje pigułka antykoncepcyjna. Nie jestem jej przeciwnikiem, ale dobierając tabletki 17-letniej dziewczynie należy ją zbadać, wykonując profil hormonalny, a nie przepisać pierwszy z brzęgu lek, bo akurat plakat firmy wisiał nad biurkiem. Pigułka wywołuje cykl sztuczny, oszukany. Miesiączka pojawia się jak w zegarku, więc nikomu nie przychodzi do głowy, że dzieje się coś złego. Odchudzanie też może być groźne. Wystarczy zejść poniżej zwykłej wagi, żeby pojawiły się kłopoty.

Coraz więcej pacjentek Krzysztofa Dynowskiego odsuwa macierzyństwo na dalszy plan. Tłumaczą się chęcią zrobienia kariery.

Jest taki hormon, prolaktyna, reagujący histerycznie na nadmierne zmęczenie. Jeżeli poziom stresu się podnosi, przysadka produkuje jej więcej niż normalnie, co prowadzi do blokady owulacji. Wystarczy spać mniej niż sześć godzin na dobę, żyć w napięciu. W kraju nagminnie łamie się prawo pracy: pacjentki skarżą się na brak urlopu, nadgodziny. Na szczęście hiperprodukcję prolaktyny hamuje się farmakologicznie. Doktor Dynowski przestrzega, by nie lekceważyć bólów brzucha u nastolatek. Mamy zamiast do ginekologa prowadzą je do internisty, a on zapisuje antybiotyki. Tymczasem mogą to być pierwsze objawy stanu zapalnego narządów rodnych. Za dziesięć lat nikt nie połączy niedrożności jajowodów z tym zlekceważonym bólem (za: Barcz 2001).

Wspomnieć wreszcie należy o coraz liczniejszej na terenie USA grupie yuppies, którzy nie mają ochoty na założenie rodziny i nie zamierzają tego robić. Robią pieniądze i robią co chcą. Nazwano ich **DINKS**: „**Double Income, No Kids**” (podwójny dochód, bez dzieci). Tę kategorię społeczną świetnie charakteryzuje M. Teresińska (1997) w swojej korespondencji z Bostonu.

Grupa Dinksów nie jest na razie tak liczna, by stanowiła zagrożenie dla tradycyjnych wartości rodzinnych, wyborczego hasła numer jeden Ameryki, nadużywanego od dziesięciolecia; ostatnio przez Clintona i Dole'a. Uważają się za najwydajniej pracującą elitę młodych Amerykanów, w pełni wykorzystujących swój intelekt i doskonale przygotowanie zawodowe. Ubolewania mediów, że oto nastal czas upadku wartości duchowych i erupcji egoizmu, traktują pobłaźliwie. Dają przecież społeczeństwu to, co najcenniejsze: pracę mózgową o najwyższym IQ. Model rodziny dwa plus trzy, z ciężko zaharowanym ojcem i pozostającą w domu matką, nie ma dla nich uroku. Dzień wypełniony nieciekawą pracą bez perspektyw (on) oraz praniem, gotowaniem i oglądaniem wraz z dziećmi przygód telewizyjnego dinozaura Barnie (ona), jawi się im jako egzystencja nudna i pozbawiona sensu.

Czy nie lubią dzieci? Lubią, oczywiście! Ale nie do tego stopnia, by je mieć, a potem zostawić na pięć dni w tygodniu pod opieką niani, którą dzieci nazywają mamą. Zasadą jest pozostawanie w wolnym związku i świadoma rezygnacja z rozmnażania się. Samochody, konta bankowe, papiery wartościowe i ruchomości są własnością każdego z partnerów – i dokładnie, bo na papierze, wiadomo, co jest czyje. Jeśli para Dinksów kupuje dom, jest on notarialnie zapisany na każde z nich, zgodnie z wniesionym wkładem finansowym. Nie ma małżeńskiego komunizmu w stylu co moje, to twoje, więc w razie rozstania sprawa jest prosta: zabiera się swoje zabawki i wynosi na inne podwórko. Czytaj – do innego Dinksa. W ten sposób można się rozstać bez walki i upokarzających przetargów o dzieci, alimenty, meble i psa. Nikt nikogo nie krzywdzi, szanse są wyrównane.

Wszyscy im zazdroszczą, choć nie mówią tego głośno. Rodzice, bo przeżyli trudne lata niewysokich zarobków, mozolnego wspinania się po drabinie społecznej i nieustannej troski o dzieci. Rodzeństwo, bo tuż po studiach dorobiło się żon (mężów) i potomstwa; teraz z melancholią wspomina krótki okres życia, kiedy mogło robić to co chciało, a nie to co powinno. Oraz znajomi, którzy nie czują się *successful*, mają bowiem gorsze wykształcenie, gorsze posady i gorsze samopoczucie.

Wybrany przez Dinksów model życia wynika przede wszystkim z ich ambicji zawodowych. Każde z nich pracuje po dziesięć, dwanaście i więcej godzin na dobę. Pracoholicy. Ale tylko póki to, co robią, jest ekscytujące. Kiedy praca zaczyna być zbyt łatwa, mało interesująca lub nie rokuje dobrze na przyszłość, odchodzą. Zmieniają firmę za każdym razem, kiedy na horyzoncie pojawia się *challenge*: wyzwanie. Ale nie tylko nowe i ciekawe pcha Dinksa naprzód. Uważnie przygląda się on również pakietowi udogodnień, które oferuje firma, czyli tzw. benefitom. Najlepiej jest,

jeśli ów pakiet zawiera dobre ubezpieczenie zdrowotne i dentystyczne, zwolnione od podatku składki emerytalne, do których dopłaca pracodawca, i własny bank kredytowy. Każda zmiana przynosi zresztą Dinksom lepsze niż poprzednio zarobki. Pieniądze są zaś potwierdzeniem sukcesu i zarazem kluczem do wolności, na którą nie stać człowieka kiepsko uposażonego.

Warto podkreślić, że Dinksy nigdy nie liczą na pieniądze z domu. Rodzinne schedy są rzeczą piękną, ale jeszcze piękniejszą pieniądź samodzielnie zarobiony i inteligentnie pomnażany. Ich idolem jest Billy Gates. (Teresińska 1997).

6. Prokreacja w teoriach i polityce społecznej

Teorie demograficzne (obejmujące również zagadnienia prokreacji) oraz polityka kształtująca procesy ludnościowe określonych krajów nie zawsze są ze sobą powiązane w jednoznaczny sposób. Polityka społeczna i ludnościowa to pojęcia bardzo szerokie. Polityka dotycząca procesów ludnościowych zmierza m.in. do odpowiedniego kształtowania poziomu płodności, umieralności i ruchów migracyjnych.

Dotyczy to zarówno działań związanych ze świadomym planowaniem wielkości rodziny, jak i programów mających prowadzić do obniżania poziomu umieralności (zwłaszcza programów ochrony zdrowia i żywienia) oraz planowania przestrzennego, zmierzającego do pożądanego rozmieszczenia ludności.

Można wyróżnić trzy możliwe rodzaje polityki ludnościowej: neutralną, pronatalistyczną i antynatalistyczną.

Polityka neutralna sprowadza się do nieingerencji w kształtowanie się procesów demograficznych, przy milczącym założeniu, że procesy te są autonomiczne i że właściwy jest im mechanizm samoregulujący, prowadzący do stanu swoistej równowagi biologicznej zharmonizowanej z warunkami, w których toczy się egzystencja gatunku.

Przeciwieństwem polityki neutralnej jest aktywna polityka ludnościowa, w której istocie leży ingerencja w procesy demograficzne zgodnie z założonymi celami. Można tu wyodrębnić dwa przeciwstawne kierunki działania: **politykę pronatalistyczną**, zmierzającą do zachowania lub podniesienia istniejącego poziomu dzietności, oraz **politykę antynatalistyczną**, zmierzającą do ograniczenia dzietności.

Polityka ludnościowa, podobnie jak każda inna, polega na świadomym i konsekwentnym działaniu zmierzającym do osiągnięcia wyznaczonego

celu. W obecnej sytuacji Polski można określić trzy integralnie związane strategiczne cele polityki ludnościowej:

- 1) zagwarantować co najmniej prostą zastępowalność pokoleń dla osiągnięcia ustabilizowanej bądź w dalszej perspektywie zastoju struktury ludności,
- 2) stale podnosić stan jakościowy ludności w rozumieniu kondycji zdrowotnej, poziomu bytowego i kulturowego,
- 3) stymulować wewnętrzny napływ i odpływ migracyjny w taki sposób, aby nie dopuścić do terytorialnych zniekształceń struktury ludności według płci i wieku.

Z teorii związanej z budową modelu ludności ustabilizowanej wiadomo, że w każdej dużej zbiorowości ludzi stabilizacja wzorca płodności (częstkowych współczynników płodności) oraz umieralności powoduje, że struktura tej zbiorowości według płci i wieku zmierza do modelu ludności ustabilizowanej, jeśli migracje zewnętrzne nie odgrywają znaczniejszej roli. Model ludności ustabilizowanej przy przeciętnym dalszym trwaniu życia równym 70 lat i zerowym przyroście naturalnym, gdy współczynnik urodzeń równa się współczynnikowi zgonów na poziomie ok. 14-15 na 1000 osób zachowuje następujące proporcje ludności według wieku: 0-14 lat – 20%, 15-59 – 60% oraz 60 lat i więcej – 20%.

Ustabilizowana struktura wieku zapewnia stałe i korzystne proporcje między podstawowymi grupami wieku, co ma bardzo istotne znaczenie dla rozwoju społeczno-gospodarczego kraju (Slany 1986).

W krajach rozwiniętych gospodarczo jedynym czynnikiem determinującym wzrost liczby ludności i zmiany w strukturze wieku jest płodność. Zainteresowanie płodnością jako tematem badawczym datuje się od czasów Malthusa, bowiem umieralność, czynnik, który w przeszłości odegrał zasadniczą rolę w kształtowaniu liczebności populacji, utracił swoje znaczenie. W krajach tych nastąpił znaczący spadek umieralności. Jako jego główne przyczyny wymienia się: ogólny wzrost dobrobytu i poziomu świadomości, lepsze odżywianie, warunki sanitarne i higieniczne oraz postęp w medycynie. Czynniki te spowodowały, że umieralność zbliżyła się do granic tzw. umieralności biologicznej, przypisanej gatunkowi ludzkiemu.

Zainteresowanie płodnością znalazło wyraz nie tylko w prowadzonych badaniach empirycznych. Z teoretycznego punktu widzenia wagę tego zagadnienia podkreślają teorie i modele dotyczące płodności i rozwoju ludności. Warto więc zwrócić uwagę przynajmniej na niektóre z nich.

6.1. Teorie maltuzjańskie i neomaltuzjańskie

Pierwszą próbę sformułowania zwartej teorii rozwoju ludności w powiązaniu z rozwojem ekonomicznym podjął T.R. Malthus (1766–1834). Według niego liczba ludności wzrasta w postępie geometrycznym (1, 2, 4, 8, 16 ...) i podwaja się co 25 lat, a reprodukcja środków żywnościowych w postępie arytmetycznym (1, 2, 3, 4, 5 ...). Epidemie i głód, będąc następstwem dysproporcji między wzrostem liczby ludności i środków żywnościowych, miały – zdaniem Malthusa – spełniać rolę naturalnego regulatora, utrzymującego stan liczebny ludności w granicach, na które zezwalają istniejące środki żywności. Malthus rozróżnił dwa rodzaje oddziaływania umożliwiającego utrzymywanie liczby ludności na właściwym poziomie:

- 1) prewencyjne (zapobiegawcze), np. opóźnianie wieku zawierania związków małżeńskich, dobrowolny celibat (zwłaszcza wśród ubogich),
- 2) „pozytywne przeszkody” skracające długość życia, np. epidemie, wojny, klęski głodu.

Zdaniem Malthusa, podstawowa i stała przyczyna nędzy ma niewiele albo nawet nic wspólnego z formą rządu i nierównomiernym podziałem własności. Klasowy charakter tej tezy był skierowany przeciwko istniejącym wówczas teoriom głoszonym przez socjalistów utopijnych.

Teoria ta po raz pierwszy w dziejach ludzkości podjęła próbę wykazania związku pomiędzy wzrostem liczby ludności a zasobami żywnościowymi świata i uwzględniła problematykę regulowania procesu reprodukcji ludności.

Obecnie w użyciu są dwa często stosowane określenia, związane z nazwiskiem Malthusa – **maltuzjanizm** i **neomaltuzjanizm**. Według słownika demograficznego ONZ maltuzjanizm opowiada się za ograniczeniem tempa przyrostu ludności na drodze przeszkód represyjnych i prewencyjnych. Neomaltuzjanizm opowiada się natomiast za ograniczaniem przyrostu ludności za pomocą regulacji urodzeń.

Jak podkreśla S. Wielgus (2001: 17-18):

stara teoria Tomasza Malthusa, ciągle przywoływana przez jego następców (np. P. Ehrlicha, R. MacNamara, A.J. Carlsona), przedstawiająca szybki wzrost liczby ludności świata jako największe dla niej zagrożenie, większe nawet niż bomba atomowa, w konfrontacji ze współczesną rzeczywistością nie wytrzymuje krytyki. Dowodzi tego nie tylko przykład Hongkongu. To samo potwierdzają także przykłady

innych krajów, zwłaszcza azjatyckich, takich na przykład jak Japonia czy Indonezja. Wbrew oczywistym faktom teoria Malthusa głoszona jest nadal jako jedynie prawdziwa. Jednoznacznie opowiadają się za nią Chiny, stosujące wprost barbarzyńskie metody ograniczania wzrostu ludności, zgodnie z rozpowszechnionym tam przysłowiem, które głosi, że gdy się rodzi świnia wówczas rośnie narodowe bogactwo, gdy natomiast dziecko – bogactwo to maleje.

Błąd maltuzjanizmu, tak drastycznie stosowany w Chinach i w bardzo wielu innych krajach świata opanowanych przez cywilizację śmierci, a przejawiający się zwłaszcza w zjawisku masowej aborcji, polega na tym, że rządy tych krajów widzą w rodzących się ludziach tylko gęby do wykarmienia, nie dostrzegając ich mózgów i nieprawdopodobnych wprost możliwości, jakie ma przed sobą inteligentny, dobrze wykształcony i wychowany człowiek, który zdolny jest do takiego zagospodarowania ziemi, że wykarmić i utrzymać można by, stosując współczesne tylko środki cywilizacyjne, ponad 20 miliardów ludzi. William McGurn obliczył, że na świecie żyje obecnie 5,5 miliarda ludzi. Gdyby żyli po czworo w rodzinie, to potrzebowaliby 1,375 miliarda domów. Gdyby dla każdego domu wyznaczyć działkę o powierzchni 500 m², to mieszkania dla ludności całego świata zajęłyby 680 tys. km², tzn. taki obszar, jaki zajmuje Teksas. Czy więc rzeczywiście grozi ludzkości nieszczęście przeludnienia? (Wielgus 2001: 17-18).

6.2. Teoria równowagi ludnościowej

Elementy teorii „równowagi ludnościowej” sformułowanej przez ekologów, można odnaleźć w socjologii w pracach E. Durkheima, M. Halbwacha, W.F. Ogburna, a szczególnie u A. Hawleya i O.D. Duncana (Slany 1986).

Teoria ta zakłada, że wszystkie społeczeństwa ludzkie znajdują się pod presją swoich własnych tendencji do rozmnażania się. Z przyjętego jako pewnik stwierdzenia, że mężczyźni i kobiety każdej populacji pobierają się i płodzą dzieci wynika, że przy braku społecznych, instytucjonalnych, fizycznych, biologicznych lub innych czynników hamujących wzrost ludności populacje zmierzają do powiększania się. Presja wzrostu ludności powoduje korzystne następstwa dla niektórych społeczeństw, dla innych jest źródłem obniżania się poziomu życia. To właśnie w konsekwencji tej presji dokonują się zmiany w organizacji społecznej, ekonomicznej i technologicznej społeczeństw lub rozwijają się ograniczenia oddziałujące na zawieranie związków małżeńskich i na prokreację. W ten sposób w każdym społeczeństwie występują wzajemne oddziaływania między rozwojem ludności i jego społeczną organizacją, jego technologią i środowiskiem. Społeczeństwo charaktery-

zujące się ustaloną technologią i społeczną organizacją, stojąc wobec istotnego problemu powiększania się swojej liczebności, musi zmierzać do powiększenia swojego terytorium przez zasiedlanie, uprawę i eksploatację nowych terenów lub skazane jest na cierpienie z powodu obniżenia się dochodu na głowę i poziomu egzystencji. Z drugiej strony, społeczeństwo żyjące na określonym terytorium może utrzymać wzrastającą swoją liczebność przez dokonywanie zmian albo w swojej organizacji społecznej albo w swojej technologii lub w obu dziedzinach jednocześnie.

Gdy społeczeństwo nie jest zdolne do zmiany swoich technologicznych i społecznych wzorów i do poszerzenia własnego terytorium (otoczenia fizyczno-geograficznego), musi zinstytucjonalizować wzory kontrolowania wzrostu lub zostaje skazane na znaczny spadek poziomu życia albo też (co najczęściej występowało w historii) na zlikwidowanie całego potencjalnego przyrostu ludności poprzez wysoką umieralność.

Teoria „równowagi ludnościowej” różni się od teorii Malthusa tym, że ukazuje ona możliwość zaistnienia takiej sytuacji, w której nie jedna technologia i społeczna organizacja, ale różne (technologie i społeczne organizacje) wpływają na równowagę między ludnością i środowiskiem, i pozostają w związku z poziomem materialnym i jakością życia społeczeństw.

6.3. Teoria drugiego przejścia demograficznego

Współcześnie w literaturze przedmiotu najczęściej spotkać się można z czterofazowym schematem przejścia demograficznego. Faza pierwsza charakteryzuje się naturalnym procesem reprodukcji, w którym natężenie urodzeń i zgonów utrzymuje się na bardzo wysokim poziomie. W tej fazie rozwoju nie wyklucza się istnienia reprodukcji prostej, co oznacza, że liczba urodzeń równa się liczbie zgonów, ale występują także okresy, kiedy poziom umieralności przekracza poziom rodności. Pierwsza faza charakterystyczna jest dla ludności żyjącej na bardzo niskim poziomie rozwoju gospodarczego. Według demografów współczynnik dzietności w tej fazie jest większy niż sześcioro dzieci na jedną kobietę w wieku rozrodczym, a przeciętna długość trwania życia nie przekracza 45 lat.

Faza druga to zmniejszanie się umieralności przy utrzymaniu rodności na tradycyjnym, bardzo wysokim poziomie. Osiągnięcia współczesnej medycyny i zasięg oddziaływania służby zdrowia wywierają znaczny wpływ na zmniejszenie się liczby zgonów. W fazie tej współczynnik dzietności

wynosi 4,5-6,0 dzieci na jedną kobietę. Przeciętna długość trwania życia zawiera się w granicach 45-65 lat. Wysokie natężenie poziomu urodzeń, podobne do istniejącego w fazie poprzedniej wynika z powolnej zmiany obyczajów i rozwoju świadomości.

Faza trzecia charakteryzuje się obniżeniem poziomu rodności w stosunku do poziomu umieralności. Na przełomie fazy drugiej i trzeciej przyrost naturalny osiąga najwyższy poziom. Demografowie ONZ przypisują tej fazie dzietność wynoszącą 3,0-4,5 dziecka na jedną kobietę. Przeciętna długość trwania życia wynosi 55-65 lat.

W fazie czwartej poziomy natężenia urodzin i umieralności zbliżają się. Natężenie zgonów bliskie jest minimalnych wartości. Wynika to z obecnego poziomu wiedzy medycznej, zasięgu oddziaływania służby zdrowia i struktury ludności według wieku. Ta faza charakteryzuje się dzietnością poniżej trojga dzieci na jedną kobietę i przeciętną długością trwania życia wyższą niż 65 lat. Może tu nastąpić stabilizacja procesu reprodukcji na niskim poziomie przyrostu naturalnego. W sytuacji, gdy stan ten będzie się przedłużał, a natężenie urodzeń przyjmie wartości niższe od natężenia zgonów, to przy długoterminowej tendencji wpłynie to na zmniejszanie ogólnej liczby ludności w populacji (zob. Holzer 1994: 16 i n.).

Dla sytuacji demograficznej poszczególnych krajów rozwijających się gospodarczo charakterystyczne są trzy pierwsze fazy. Ostatnia faza natomiast jest typowa dla współczesnej sytuacji demograficznej krajów gospodarczo rozwiniętych (Holzer 1994:17). Przez ostatnie 25 lat w wielu krajach wysoko rozwiniętych nie nastąpił oczekiwany proces stabilizacji reprodukcji ludności. Można zaobserwować natomiast tendencję do malejącej dzietności, spadającej poniżej prostej zastępowalności pokoleń. W tej sytuacji demografowie przyjęli, że w krajach wysoko rozwiniętych gospodarczo nastąpił kolejny, drugi model przejścia demograficznego.

Drugi model przejścia demograficznego, charakterystyczny dla współczesnych społeczeństw krajów wysoko rozwiniętych gospodarczo, przejawia się w znacznym zmniejszeniu poziomu dzietności, przy bardzo niskim poziomie umieralności. Ten fakt wynika ze zmiany stylu życia młodego pokolenia, który wyraża się w trosce przedstawicieli obojga płci o zapewnienie sobie możliwości rozwoju i samorealizacji. Kobieta i mężczyzna stają się partnerami w życiu codziennym i dążą do zdobycia własnych źródeł dochodów, odpowiedniego wykształcenia i satysfakcji życiowej.

Szczególnie ważne stają się motywacje do stałego podnoszenia poziomu stopy życiowej rodziny. Posiadanie dzieci zaczyna urastać do problemu rachunku ekonomicznego, duża ich liczba może stać się barierą w osiągnięciu wyznaczonego celu. Wielu demografów i socjologów zgadza się z D. Van de Kaa, że daleko posunięty indywidualizm stał się dominującą cechą zachowań ograniczających prokreację w postindustrialnych społeczeństwach (Holzer 1994: 19).

Teoria przejścia demograficznego uważana jest współcześnie za schemat konceptualny analizy przemian związanych z zagadnieniami reprodukcji ludności, a mianowicie płodnością i umieralnością. Pojawiają się nowe teorie objaśniające przyczyny zmian procesów demograficznych, jednakże żadna z nich nie wyjaśnia procesu reprodukcji w powiązaniu z oceną związków ze zmianami struktur demograficznych oraz z rozwojem społeczno-gospodarczym.

Przemiany demograficzne określone mianem drugiego przejścia demograficznego charakteryzuje spadek płodności, opóźnianie zawierania małżeństw i prokreacji, zmiany modelu rodziny i wynikające stąd zmiany struktur gospodarstw domowych, przy czym wszystkie te zmiany następują w dość krótkim okresie i uległy szybkiej dyfuzji (Kotowska 1998: 3).

Spółczesne społeczeństwa, posługując się polityką ludnościową, dążą do tego, aby urodzenia i zgony kształtowały się na poziomie zapewniającym równowagę niezbędną dla prostej reprodukcji pokoleń. Zejście poniżej tego granicznego poziomu dzietności powoduje zawężoną reprodukcję populacji. Proces ten rozpoczął się już w końcu lat 60. w wielu krajach europejskich. Van de Kaa nazwał go drugim przejściem demograficznym. W pierwszym stadium procesu pierwszego przejścia demograficznego czynnikiem sprawczym był spadek zgonów, który wyprzedzał obniżenie się rozrodności. W drugim stadium występuje spadek częstości urodzeń, mający nikłą szansę spowodowania dalszej obniżki liczby zgonów. Cechą zmienną pierwszego przejścia demograficznego jest stale dodatni przyrost naturalny, początkowo zwiększający się, a następnie zmniejszający się do poziomu oscylującego w granicach reprodukcji prostej. W rezultacie podczas tego stadium następuje przyspieszenie wzrostu liczby ludności.

Drugie przejście natomiast, sytuujące poziom dzietności poniżej granicznego poziomu zapewniającego zastępowalność pokoleń, oznacza rozpoczęcie długotrwałego procesu regresji rozwoju demograficznego społeczeństw europejskich.

W kontekście tego procesu nasuwają się dwa spostrzeżenia:

- większość społeczeństw nie wykorzystuje swego potencjału demograficznego dla zapewnienia ciągłości pokoleń,
- na proces reprodukcji tych społeczeństw w coraz większym stopniu oddziaływają czynniki pozademograficzne.

Wskazuje to na gwałtowne przemiany dokonujące się w świadomości człowieka pod wpływem przeobrażeń systemu wartości społecznych. Wynikają one z wysokiego statusu materialnego, rozwoju społeczeństw prokonsumpcyjnych, tendencji ku niczym nieskrępowanej wolności oraz z indywidualizmu jednostki. Na przeobrażenia wzorca dzietności w tych krajach znaczny wpływ wywarła rozbudowa systemów zabezpieczenia socjalnego. Spowodowała ona zmiany polegające na odchodzeniu od zabezpieczenia opartego na rodzinnym systemie produkcji, którego funkcjonowanie gwarantowała odpowiednia liczba dzieci w rodzinie, do systemu zabezpieczenia niesprzyjającego realizacji funkcji prokreacyjnej. Problem dziecka w rodzinie jest coraz powszechniej rozważany z punktu widzenia celowości jego posiadania. Dziecko w świetle rozpowszechniającej się filozofii życia stanowi dobro konkurencyjne w stosunku do innych dóbr materialnych czy inwestycyjnych. Uważane jest często za barierę dla osiągnięcia przez małżonków osobistej satysfakcji i samorealizacji zgodnej z ich wykształceniem.

Zjawiska te można przyjąć jako główne symptomy uwarunkowań nowych zachowań demograficznych społeczeństw krajów znajdujących się w postindustrialnej fazie rozwoju społecznego. Między procesami transformacji demograficznej a zmianami form rodziny w rozwiniętych krajach europejskich zaobserwować można wysoki stopień zbieżności. Spadek dzietności w okresie pierwszego przejścia demograficznego doprowadził do utrwalenia się rodziny małodziejnej.

Drugie przejście demograficzne łączy się w krajach Europy Zachodniej z procesem rozpadu instytucji małżeństwa i zjawiskiem dezintegracji form życia rodzinnego. W wyniku słabnącej skłonności do zawierania związków małżeńskich i wzrastającej częstotliwości rozwodów rodzina nuklearna traci stopniowo swą dominującą rolę. Mężczyźni w hierarchii wartości preferują na ogół wykształcenie, karierę, a następnie małżeństwo, które jest wymieniane alternatywnie ze związkami konsensualnymi.

Istotne zmiany zachowań demograficznych, mające miejsce w Polsce w ostatniej dekadzie, są zbieżne z przemianami obserwowanymi w krajach Europy Zachodniej. Zmiany te wyrażają się głównie w sferze tworzenia związków, a ich przejawami są:

- przedmałżeńskie stosunki seksualne,
- przedmałżeńska kohabitacja,
- zmiana skłonności do zawierania małżeństw przez osoby w różnym wieku,
- opóźnianie momentu zawierania małżeństw,
- wzrost liczby i natężenia rozwodów,
- wzrost liczby powtórnych małżeństw, rodzin niepełnych, gospodarstw jednoosobowych (Kotowska 1999: 99).

Obecnie młodzi ludzie zawierają małżeństwa zdecydowanie rzadziej i później, a związki te są mniej trwałe.

Proces zawierania małżeństw w latach 90. w Polsce charakteryzuje się zmianami zachowań matrymonialnych, a ich symptomami są:

- obniżanie się skłonności do zawierania związków zarówno przez osoby w grupach wieku o najwyższej intensywności zmian stanu cywilnego, jak i zmniejszanie się skłonności do tworzenia małżeństw powtórnych.;
- jednoczesny wzrost mediany wieku kobiet zawierających pierwsze małżeństwa oraz powolny wzrost wieku mężczyzn zawierających małżeństwo (Kotowska 1999: 123).

Przyczyn zachodzących zmian należy poszukiwać w różnych sferach życia jednostki i społeczeństwa. Wydaje się, że czynniki demograficzne tracą na znaczeniu na rzecz nasilających się wpływów uwarunkowań systemowych oraz społeczno-kulturowych. Odraczenie decyzji o zawarciu małżeństwa i urodzeniu dziecka jest spowodowane zmianami na rynku pracy. Konkurencyjność zmusza młode osoby do ustawicznego podwyższania kwalifikacji i dbania o karierę zawodową. Chęć osiągnięcia określonego statusu społecznego przez kobiety wzmacnia skłonność wielu z nich do przedkładania obowiązków zawodowych ponad powinności związane z rodziną oraz dziećmi.

Przyczyn przemian należy poszukiwać również w sferze kulturowej. Szerokie możliwości korzystania z kultury masowej stymulują do powielania wzorców zachowań obcych kulturowo. Współczesny model partnerstwa jest postrzegany jako pozytywny przejaw zmian w polskich wzorcach

tworzenia rodzin. Liberalizacja postaw i zachowań wyzwala w młodych chęć uwalniania się spod wpływu rodziców i rozpoczynania życia na własny rachunek. W takim podejściu jest więcej miejsca dla wolnego związku niż dla formalnego małżeństwa, które w polskiej kulturze zobowiązuje do wierności i odpowiedzialności (Kotowska 1999: 124).

6.4. Prokreacja w teoriach ekonomicznych rodziny

W teoriach tych rodzina jest definiowana jako wieloosobowa jednostka produkcyjna. Takie ujęcie rodzin, niemal w kategoriach gospodarstwa domowego, znalazło m.in. zastosowanie w skonstruowanym przez Gary'ego Beckera modelu umożliwiającym analizę czynników skłaniających ludzi do zawierania małżeństw oraz prokreacji (zob. Freyberg 1993).

Becker uznał, że prawidłowości dotyczące zawierania związków małżeńskich mają tak wielkie znaczenie (wpływają na liczbę urodzeń, stopień aktywności zawodowej kobiet, sposób spędzania wolnego czasu), że powinni zajmować się nimi ekonomiści. Podstawę jego analizy stanowią dwie zasady: pierwsza – że osoby zawierające małżeństwo liczą na to, iż dzięki niemu osiągną wyższy poziom użyteczności społecznej poprzez zwiększenie poziomu dochodu, druga – że na kontrakty ślubne istnieje rynek, na którym każdy, w ramach narzuconych przezeń ograniczeń, stara się znaleźć najlepszego w danych warunkach partnera.

W modelu opisującym ekonomiczne motywy zawarcia małżeństwa rozpatrywane są kolejno: czynniki określające korzyści z tego faktu dla kobiety i mężczyzny; sposób doboru partnerów według rynkowych i nierynkowych kryteriów; podział produktu gospodarstwa domowego, czyli tego, co ono wytwarza, między męża i żonę; czynniki wpływające na występowanie poligamicznych form małżeństwa; problem opóźniania zawarcia małżeństwa, małżeństwa „próbne” i rozwodu.

Rozwody i czas trwania małżeństwa zależą np. od inwestycji dokonywanych w małżeństwie – między innymi od liczby posiadanych dzieci, wzajemnych powiązań itd. Korzyści z małżeństwa określane są przede wszystkim wielkością wspólnych dochodów, relatywną różnicą płac oraz czynnikami definiowanymi przez Beckera jako zwiększające produktywność pozarynkową (uroda, wykształcenie). Mężczyźni posiadający kapitał lub odznaczający się określonym wzrostem czy rasą będą dążyć do związania się z kobietami o podobnych cechach, ale ci, których płace są wysokie, będą poszukiwać partnerek o niższych zarobkach.

Interesująca jest analiza procesu poszukiwania partnera do małżeństwa. Decyzje o ślubie podejmowane są na podstawie chłodnej kalkulacji oczekiwanej użyteczności dochodów w małżeństwie i korzyści pozostania w stanie wolnym, a także kosztów dalszego rozglądania się za odpowiednim partnerem. O rozwód zaś występuje się wówczas, gdy przyrost satysfakcji z zerwania więzów lub poślubienie kogoś innego przewyższa straty związane z rozstaniem (brak stałych kontaktów z dziećmi, podział majątku, koszty rozvodu).

Zastosowanie analizy ekonomicznej do problemów posiadania dzieci i małżeństwa budzi na ogół duże kontrowersje. Becker bowiem w sposób niezwykle konsekwentny proponuje, by traktować dzieci, w zależności od ich wieku, jako trwałe dobra konsumpcyjne (dostarczają „dochodu psychicznego” lub satysfakcji) albo dobra produkcyjne (źródło dochodu pieniężnego). Abstrahując od jakości satysfakcji uzyskiwanej dzięki dzieciom, możliwe jest w tej nowej koncepcji, pisze Becker, włączenie popytu na dzieci do dobrze już rozwiniętej teorii ekonomicznej. Zabieg ten pozwala na analizę zróżnicowania jakości dobra, którym są dzieci. Na przykład dziecko, na którego wykształcenie ponosi się większe wydatki, można nazwać dzieckiem wyższej jakości. Powyższa metoda służy również do analizy podaży dzieci. „Dzieci nie można kupować na otwartym rynku; trzeba je produkować w domu. Dostępną dla danej rodziny liczbę dzieci wyznacza nie tylko dochód rodziny oraz ceny różnych dóbr, ale także jej zdolność do produkowania dzieci”. Zdolność ta jest funkcją znajomości metod antykoncepcji, a także – na przykład – przekonań religijnych, stopnia wykształcenia kobiet, dyskryminacji zawodowej kobiet i wielu innych czynników.

Zastosowanie metody ekonomicznej Beckera do badania zmian demograficznych (zbudowanie funkcji popytu na dzieci i funkcji podaży dzieci) pozwala wyjaśnić, dlaczego wraz ze wzrostem dochodu szybciej rośnie jakość potomstwa (wielkość wydatków na jedno dziecko) niż liczba dzieci, a przede wszystkim pozwala zwrócić uwagę, że istnieje ścisła zależność między liczbą a jakością dzieci. Teoria ta została wykorzystana do wyjaśnienia powojennego, stosunkowo nieznacznego w porównaniu z innymi dobrami trwałymi, wzrostu rozrodczości w krajach zachodnich, cykliczności wahań rozrodczości, a także różnic między liczbą dzieci rodzonych przez kobiety wiejskie i kobiety mieszkające w mieście.

W ekonomicznym nurcie teorii wyjaśniających prokreacyjne zachowania się człowieka mieści się również teoria **kosztów użyteczności**.

Proponowane w tej teorii ekonomiczne wyjaśnienie płodności spotkało się z ogromną uwagą i zostało w ostatnich latach szeroko rozpowszechnione. Podstawowe jej idee zostały przedstawione przez H. Libensteina. Teoria ta zakłada, że:

- 1) ludzie zachowują się racjonalnie w odniesieniu do swojej własnej płodności, tzn. zachowują się tak, jakby stosowali kalkulacje przy ustalaniu pożądanej liczby urodzeń;
- 2) kalkulacje te idą w kierunku równoważenia satysfakcji i użyteczności (które mogą być uzyskane, jeśli zdecydujemy się na następne dziecko) oraz kosztów – zarówno materialnych jak i psychicznych, wynikających z posiadania kolejnego dziecka.

Teoria ta wyróżnia trzy rodzaje użyteczności mogących wynikać z urodzenia kolejnego dziecka:

- a) użyteczność z dziecka traktowanego jako „dobro konsumpcyjne”, np. dziecko źródłem osobistej przyjemności dla rodziców;
- b) użyteczność z dziecka, które traktowane jest jako siła produkcyjna, tzn. można oczekiwać, że kiedyś będzie wykonywało pracę i powiększało dochód rodziny;
- c) użyteczność z dziecka, wynikająca z traktowania go jako źródła zabezpieczenia, np. dla rodziców w starszym wieku.

Istnieją zarówno koszty bezpośrednie, jak i pośrednie, wynikające z posiadania kolejnego dziecka:

- 1) koszty bezpośrednie to codzienne wydatki na utrzymanie dziecka aż do czasu jego usamodzielnienia się;
- 2) koszty pośrednie, które powstają wówczas, gdy rezygnuje się z pewnych korzyści ze względu na przyjście na świat dziecka, np. rezygnacja kobiety z pracy zawodowej.

Teoria „kosztów użyteczności” wyjaśnia również klasowe zróżnicowanie płodności w różnych okresach i w każdym wymiarze czasu. Po pierwsze głosi ona, że skoro dochód jest zróżnicowany w różnych grupach społecznych, to grupy te mogą pozwolić sobie na posiadanie mniejszej lub większej liczby dzieci lub na wyższą lub niższą jakość dzieci, przy założeniu, że istnieje niezmienny wzór kosztów i użyteczności. Po drugie teoria ta zakłada, że wzory kosztów i użyteczności są odmienne w różnych grupach społecznych. Na przykład użyteczność wynikająca z posiadania kolejnego dziecka jest inna dla rolnika i urzędnika. Także koszty pośrednie związane z posiadaniem kolejnego

dziecka są różne dla kobiet mających wyższe wykształcenie i kobiet będących na przykład gospodyniami domowymi.

Teoria „kosztów – użyteczności” dostarcza również wyjaśnienia zmian w płodności zachodzących w czasie. Rozwój ekonomiczny może zmieniać wzór kosztów i użyteczności. Na przykład zarówno bezpośrednio jak i pośrednio koszty kolejnego dziecka prawdopodobnie rosną, natomiast użyteczność dziecka traktowanego jako źródło bezpieczeństwa i jako osoba przynosząca dochód rodzinie prawdopodobnie się zmniejsza. Z drugiej jednak strony, użyteczność dziecka traktowanego jako „dobro konsumpcyjne” jest utrwalona w świadomości rodziców.

O wielkiej popularności teorii „kosztów i użyteczności” na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych świadczy fakt, że znalazła ona zastosowanie w wielu badaniach dotyczących płodności. Wykorzystana została m.in. w badaniach przeprowadzonych przez Douglasa, Esterlina i Rainwata.

Teorie ekonomiczne zwracają się ku definicjom alokacji czasu i środków do produkowania dóbr trafiających na rynek lub konsumowanych w obrębie gospodarstwa domowego. Teorie dotyczące gospodarstw domowych w znacznym stopniu wyjaśniły modele ich działania, ale również przyczyniły się do rozumienia i objaśnienia związków między zachowaniami gospodarstw a wzrostem ekonomicznym i rozwojem systemów społeczno-ekonomicznych. Funkcje pełnione przez komórkę społeczną, jaką jest rodzina, są bardzo różne i zależą od czynników makrosystemowych. W krajach rozwiniętych gospodarczo rodzina odgrywa bardzo ważną rolę. Jest przede wszystkim jednostką decyzyjną i główną przyczyną tworzenia się kapitału ludzkiego.

Jednym z nowszych podejść teoretycznych w socjologii dotyczących rodziny jest też teoria **racjonalnego wyboru**. Wiąże ona różne aspekty badanej dziedziny, a mianowicie: ekonomiczny, polityczny, socjologiczny, psychologiczny. Wyniki analizy zjawisk w tym nurcie pozwalają dostrzec relacje między czynnikami kształtującymi nacisk sytuacyjny na jednostkę oraz modelować strukturę działania w danej sytuacji. Teoria racjonalnego wyboru służy do analizy zjawisk z dziedziny formowania i funkcjonowania rodziny (zob. Giza-Poleszczuk 1993).

Do podstawowych założeń teorii racjonalnego wyboru należy indywidualizm. Przedmiotem badań jest bowiem jednostka, jej indywidualne decyzje i strategie działania. Procesy zachodzące w grupach są rozpatry-

wane jako skumulowane efekty decyzji i działań jednostek, dla których grupa stanowi warunki poboczne w trybie podejmowania decyzji. Rodzinę przestaje się traktować jako jedną i nieodróżnicowaną całość, ponieważ stworzona jest z autonomicznych jednostek. Jednostki mają prawo do indywidualnego podejmowania decyzji chociażby w sprawach małżeństwa czy prokreacji. Osoby tworzące rodzinę niekoniecznie łączy ten sam zakres celów i interesów. Jaki będzie ostatecznie wynik, zależy również od otoczenia, tzw. „znaczących innych”. Jest to jedna z podstawowych cech życia społecznego.

Założenie rodziny rozpoczyna się od znalezienia i wyboru partnera, wzajemnej kooperacji, określenia optymalnego momentu rozpoczęcia wspólnego życia, podjęcia decyzji o posiadaniu potomstwa. Decyzje podjęte przez jednostkę nie są obojętne dla jej otoczenia, czyli rodziny pochodzenia. W zależności od punktów decyzyjnych obserwujemy zróżnicowane strategie formowania i prowadzenia gospodarstwa domowego. W rezultacie rodzina jest wypadkową wielu decyzji podejmowanych przez kilku aktorów życia społecznego: kobietę, mężczyznę, dzieci, rodziców. Dlatego też jednostki, tworząc rodzinę przyjmują zróżnicowane strategie wiązania się. Zadaniem jednostki dysponującej pewnymi możliwościami w zespole warunków pobocznych jest poradzenie sobie z problemami natury reprodukcyjnej, ekonomicznej, społecznej.

Każdy z tych problemów wywiera na proces formowania rodziny swoje presje i uruchamia splot, często sprzecznych, interesów indywidualnych. Warunki makrosystemowe, do których zaliczamy sytuację demograficzną (liczba i dostępność potencjalnych partnerów), ekonomiczną (sytuacja na rynku pracy), społeczną (reguły zawierania małżeństw) oraz kulturową (normy i wartości), w istotny sposób wyznaczają liczbę i dostępność możliwych rozwiązań. Biorąc pod uwagę te czynniki, można rodzinę zdefiniować jako funkcję indywidualnych decyzji podejmowanych przez jednostki posiadające różne interesy i cele, dążące do rozwiązywania specyficznych problemów oraz działające pod presją złożonego układu warunków otoczenia.

Drugim najważniejszym, obok indywidualizmu, elementem teorii racjonalnego wyboru jest ujmowanie indywidualnych działań w kategoriach kosztów i zysków. Analiza w tych kategoriach wspiera się na dwóch założeniach: wszystko kosztuje, a zasoby, którymi dysponuje jednostka, są

zawsze ograniczone. Działanie podejmowane przez jednostkę niesie za sobą koszty, ale również i wymierne korzyści. Rodzina jest więc dynamicznym procesem, w którym jednostki podejmują decyzje i kształtują swój rozwój na konsekwencjach tych decyzji. Zjawiska mające miejsce w skali makro są odzwierciedleniem indywidualnych decyzji jednostek. I tak sytuacja gospodarcza kraju i kondycja rynku pracy mają wymierny wpływ na podejmowanie decyzji o prokreacji. Zmienne strategie formowania rodziny wpływają na przemiany w skali makro, rodzina nie jest biernym obserwatorem procesów społeczno-ekonomicznych. Stabilność kształtu rodziny i powszechność tej formy w danej populacji jest konsekwencją przyjęcia pewnej strategii. Obecna sytuacja wymusza odkładanie decyzji o posiadaniu pierwszego dziecka. Jest to zrozumiałe, gdyż empirycznie stwierdzono, że wczesne dzieci obniżają przyszły status materialny i społeczny rodziny (zob. Marody, Giza, Poleszczuk, Rychard 2000: 115).

W wyżej wymienionym modelu gospodarstwo domowe traktuje się jako funkcję indywidualnych strategii rozwiązywania problemów dotyczących reprodukcji, aspektów ekonomicznych, społecznych i psychologicznych. Owe strategie oddają racjonalność wyborów jednostek funkcjonujących w systemie warunków brzegowych i sytuacji konkurencji o rzadkie zasoby.

W literaturze przedmiotu znaleźć można dwie zasadnicze strategie rozwiązywania dylematów, które przekładają się na formę rodziny. Pierwsza to strategia rozwiązywania dylematów poprzez budowanie dużej i stosunkowo samowystarczalnej sieci krewniaczej. Rodzina poszerzona ma silnie rozbudowaną funkcję ekonomiczną i społeczną. Koszt reprodukcji jest ponoszony przez wszystkich członków rodziny. Drugą strategią rozwiązywania dylematów jest instrumentalne wykorzystanie rozbudowanej sfery publicznej przez rodzinę nuklearną. Warunkiem pojawienia się strategii nowoczesnej jest powstanie i dobre funkcjonowanie sfery publicznej, czyli systemu opieki społecznej i emerytalno-rentowego. Istotnym czynnikiem jest także urynkowanie kolejnych dóbr, które dotychczas produkowane były w ramach gospodarstw domowych.

VI FUNKCJA OPIEKUŃCZO-ALIMENTACYJNA

1. Problemy definicyjne i operacjonalizacyjne

W opracowaniach często można spotkać różne inne nazwy tej funkcji, takie jak np. opiekuńczo-pielęgnacyjna czy zabezpieczająca. Ponadto funkcja ta jest wyodrębniana w sposób zakresowo nieostry, gdyż taki jest po prostu jej charakter. W pewnych zakresach pokrywa się ona z funkcją socjalizacyjną, integracyjno-ekspresyjną czy funkcją równowagi psychoemotionalnej. Dlatego jej empiryczne, badawcze opracowanie powinno zawsze podlegać wyraźnej operacjonalizacji, tzn. określać zakres i wskaźniki.

Sytuacja nieraz przedstawia się wręcz paradoksalnie. Z jednej strony nie ma chyba pracy traktującej o rodzinie, gdzie nie poruszona byłaby kwestia funkcji, z drugiej można rzec, że owe rozważania nad nimi niewiele wnoszą nowego. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że badacze, manipulując różnymi definicjami i pojęciami funkcji, w rezultacie piszą o tych samych, przypisanych im czynnościach, choć w nieco zmienionych sekwencjach. Owe zmiany konfiguracji i współwystępowanie czynności uzależnione są od samej nazwy i zakresu funkcji, jaki dany badacz przyjął przy jej określaniu i nazwie.

Problem ten stał się nawet przedmiotem rozprawy doktorskiej Ż. Leszkowicz-Baczyńskiej (1996), w której autorka analizuje funkcję opiekuńczo-zabezpieczającą w rodzinach z dziećmi niepełnosprawnymi, poświęcając znaczne partie tekstu analizie zakresu samego pojęcia tej funkcji.

Podjmując próbę uplasowania funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej w strukturze funkcji rodziny, warto przytoczyć klasyfikację F. Adamskiego, który umieszcza ją wśród funkcji instytucjonalnych, to jest takich, które dotyczą rodziny i małżeństwa jako instytucji społecznych (Adamski 1984). Funkcja ta zakwalifikowana została też do tzw. akcydentalnych (drugorzędnych), a więc takich, których obecność nie jest bezwzględnie konieczna dla funkcjonowania rodziny i społeczeństwa. Takie potraktowanie funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej sugeruje, że może ona zostać przejęta na przykład przez inne instytucje czy organizacje. Na dowód tego można przytoczyć opinię M. Ziemskiej, która nazywając ową funkcję usługowo-opiekuńczą wskazuje, iż „wystąpiło ograniczenie [...] zadań i wyraźne

ich przemieszczenie się w pewnym stopniu poza rodzinę” (Ziemska 1979: 241). Już w tym momencie pojawia się pierwsze nieporozumienie i brak jednolitego stanowiska wśród badaczy w samym pojmowaniu roli i znaczenia funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej dla rodziny. Owe nieporozumienia wywołane są wieloma czynnikami, spośród których tylko kilka zostanie tutaj wymienionych.

Większość badaczy akcentuje te czynności, które przypisane zostały określonemu, wybranemu przez nich kryterium. Sytuacja ta sprawia, że definicje są często niejasne, niepełne i dość uproszczone. Kolejną kwestię stanowi to, że różni badacze w sposób niejednolity określają istotę funkcji. Problem ten został poruszony w rozdziale dotyczącym rodziny jako instytucji społecznej. Ta niejednorodność z góry determinuje różnicę w przypisywanych danej funkcji czynnościach. Skutkiem takiego stanu rzeczy są różnice w określeniach i nazwie funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej. Jedni traktują ją jako funkcję opiekuńczo-wychowawczą, główny akcent kładąc na jej aspekt wychowawczy i emocjonalny, a pozostałe czynności (np. opiekuńcze i pielęgnacyjne) traktują jako pomocnicze, inni, na przykład M. Ziemska, nazywają ją funkcją usługowo-opiekuńczą (Ziemska 1979). W konsekwencji akcent położony zostaje na aspekt usługowy. Autorka zwraca uwagę, że wiele czynności przypisanych tej funkcji w dobie obecnej przejmowanych jest przez instytucje specjalnie do tego celu powołane. Z. Kawczyńska-Butrym z kolei funkcję tę zwie pielęgnacyjno-higieniczną, przy czym, jej zdaniem, w zakres tej funkcji wplecione są czynności skierowane na trzy grupy członków rodziny: najmłodszych – dzieci (będą to czynności pielęgnacyjne, higieniczne oraz dbałość o wygląd estetyczny), dorosłych (higiena i estetyka) oraz całej rodziny, m.in. dbałość o zdrowie i opieka nad starymi członkami rodziny. Aspekt psychoemocjonalny autorka włączyła do odrębnej funkcji, zwanej emocjonalną. Celowe wydaje się tutaj zwrócenie od razu uwagi, że rozdzielenie aspektu emocjonalnego od czynności opiekuńczych jest podziałem sztucznym, bowiem można przypuszczać, iż zakres świadczonej pomocy, sposób wykonywania czynności opiekuńczych oraz ich efektywność w dużej mierze zależne są od zaangażowania emocjonalnego i stosunku do osoby wymagającej owej opieki. Tak czy inaczej funkcje te są najlepiej interpretowane wówczas, gdy traktowane są łącznie.

F. Adamski, posługując się pojęciem funkcji opiekuńczej, wskazuje, że dotyczy ona tych członków rodziny, którzy sami nie są w stanie zaspokoić swych potrzeb (Adamski 1984). Przypuszczać można, że czynności nakierowane będą tutaj na małe dzieci, ludzi starych, zniedołężniałych oraz chorych. Tę niejednorodność w pojmowaniu funkcji wzmacnia dodatkowo pojawiające się często w sąsiedztwie pojęcia „opiekuńcza”, pojęcie „zabezpieczająca”. A. Dodziuk-Lityńska i D. Markowska w zakresie funkcji, nazwanej przez nie zabezpieczającą, włączają takie elementy jak przekazywanie mienia oraz pozycji społecznej, a także zabezpieczenie członków rodziny w czasie okresowej lub trwałej niewydolności jednostki i zapewnienie przyszłości potomstwu (Dodziuk-Lityńska, Markowska 1975). Pojawia się tutaj także element emocjonalny dotyczący zaspokojenia potrzeb uczuciowych członków rodziny.

Próby łącznego potraktowania funkcji opiekuńczych i zabezpieczających dokonał Z. Tyszka. Według niego obejmuje ona „materialne i fizyczne zabezpieczenie członków rodziny małej lub dużej pozbawionych całkowicie lub częściowo środków do życia albo fizycznie niesprawnych, wymagających opieki” (Tyszka 1979: 62). W skład tej funkcji wchodzić będą działania związane z pielęgnacją niemowląt i małych dzieci, pomoc materialna świadczona na rzecz ludzi starszych oraz opieka nad zniedołężniałymi członkami rodziny.

Z racji postawionego problemu warto wskazać na perspektywę badawczą funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej, którą proponuje Z. Woźniak. Autor traktuje ją w kategoriach triady medycznej. Wynika z tego, że analizie poddano tutaj tylko jedną płaszczyznę życia społecznego rodziny, tzn. zdrowie i wszelkie zabiegi, które je podtrzymują, przywracają lub zapobiegają chorobie. Ma ona tutaj zakres wąski, choć interesujący z punktu widzenia działań podejmowanych w ramach tej funkcji, a prowadzących do normalnego (w sensie zdrowotności) funkcjonowania rodziny.

Z. Woźniak wskazuje na trzy sfery zdrowotności rodziny: profilaktykę – leczenie – rehabilitację, przy czym udział funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej będzie różny w poszczególnych elementach triady medycznej. Niewątpliwie największy jej udział odnotować należy w procesie leczenia (tworzenie warunków umożliwiających leczenie i zdrowienie, zaspokajanie potrzeb osób hospitalizowanych lub obłożnie chorych, szukanie pomocy u profesjonalistów i wśród paramedyków). Również istotne znaczenie przy-

pisywane jest tej funkcji w procesie rehabilitacji, gdzie zakresem swym obejmować ona będzie takie działania jak pielęgnacja, opieka fizyczna czy podejmowanie samych czynności rehabilitacyjnych. Nie bez znaczenia będą tutaj działania związane z samą profilaktyką, choć nie zawsze muszą one być przez członków rodziny uświadamiane. Będą one raczej związane z ogólnie pojętą higieną dotyczącą zarówno sfery osobistej, jak i domu, w którym mieszkają – dbałość o czystość, dobre odżywianie, zapewnianie bezpieczeństwa dzieciom oraz podawanie środków profilaktycznych zapobiegających chorobom czy niedyspozycjom (za: Leszkowicz-Baczyńska 1996).

Wskazanie niektórych tylko definicji i ich zakresu wyraźnie sugeruje rozbieżności w pojmowaniu istoty funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej, a jednocześnie ujawnia trzeci czynnik determinujący jej zakres. Są to trudności w wyraźnym oddzieleniu jednej funkcji od drugiej. Trudność tę dodatkowo potęguje jej dwuczłonowa nazwa (co zostało już wcześniej wskazane). Skutkiem takiej sytuacji jest zazębianie się obszarów funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej z socjalizacyjną, materialno-ekonomiczną czy kulturalną.

Różnice w pojmowaniu wyżej wymienionej funkcji powodują powstanie trudności przy operacjonalizacji tego terminu. W zależności od przedmiotu zainteresowań akcentowane będą różne fragmenty działań przypisanych omawianej tu funkcji, co w rezultacie sprzyja jej interdyscyplinarnemu potraktowaniu. Na innego rodzaju działaniach będzie koncentrować się psycholog, na innych pedagog, na jeszcze innych socjolog. Ważne jest to, by każdy badacz przed rozpoczęciem procesu badawczego precyzyjnie określił zakres działań i czynności przypisanych danej funkcji. Brak jednoznacznego określenia wskazuje także, że postawienie sztywnej granicy między funkcjami nie jest możliwe, ponieważ badaniu podlegają tutaj żywe jednostki ze swymi dążeniami, aspiracjami, postawami i preferencjami. Mając świadomość, że pracuje się z człowiekiem a nie nad człowiekiem, trzeba liczyć się z płynnym wkraczaniem w zakres innych funkcji. Ta właśnie cecha decyduje o specyfice funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej.

Nie sposób w tym miejscu pominąć definicji zaproponowanej przez A. Kotlarską-Michalską, najpełniej, jak się wydaje, obrazującej elementy tworzące funkcję opiekuńczo-zabezpieczającą oraz jej istotę. Można poczynić tutaj spostrzeżenie, że tak zdefiniowana funkcja stanowi kompilację lub, jeszcze lepiej, wypadkową wszystkich elementów definicji, o których

była mowa wcześniej. Definicja ta dotyczy tylko tych członków rodziny, którym pomoc jest niezbędna. Autorka rozumie tę funkcję jako „zespół czynności pielęgnacyjnych związanych z opieką nad niemowlęciem i małym dzieckiem w rodzinie oraz czynności związanych z opieką nad okresowo lub stale chorymi i świadczenie pomocy osobom niepełnosprawnym, zniedołężniałym i innym członkom rodziny wymagającym szczególnej troski” (Kotlarska-Michalska 1990: 62). Tak więc funkcja dotyczyć będzie zarówno świadczeń o charakterze materialnym, jak i usług wykonywanych na rzecz potrzebujących członków rodziny. Zawarte są tutaj działania, które jej członkom zapewniają wsparcie psychiczne i moralne oraz materialne. Warto wspomnieć, że przy określaniu funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej można wskazać jej następujące ujęcia: 1) jako funkcji autonomicznej, posiadającej jednorodząjowy zakres czynności lub działań rodziny; 2) jako funkcji dwuzakresowej, o bliźniaczych zakresach ściśle związanych rodzajów czynności; 3) jako funkcji nieautonomicznej, wchodzącej w zakres kilku innych funkcji (Kotlarska-Michalska 1990).

Wreszcie konieczne wydaje się zwrócenie uwagi na problem przejmowania tej funkcji przez instytucje bądź wspomaganie rodzin posiadających dziecko czy dzieci niepełnosprawne przez grupy krewniacze. Najczęściej rodziny te wspomagane są przez osoby najbliższe (dziadków), przy czym udzielana pomoc jest dodatnio skorelowana z zamieszkiwaniem we wspólnym gospodarstwie domowym.

Kwestią mającą o wiele większe znaczenie jest dzielenie tej funkcji między rodzinę a instytucje społeczne. Niektórzy badacze wręcz uważają, że choć więzy rodzinne w grupie krewniaczej wykazują w dalszym ciągu sporą żywotność, to ich rola w wypełnieniu funkcji jest znacznie mniejsza niż instytucji społecznych. Dość powiedzieć, że dzielenie funkcji między rodzinę a instytucję społeczną staje się znakiem czasu nowej epoki. Należy przyznać, że instytucje społeczne w funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej nie zawsze sprawdzają się, zwłaszcza w wypadku rodziców z dzieckiem upośledzonym umysłowo. Tutaj funkcja ta ma szczególne miejsce. Potwierdza to sprecyzowany przez D. Markowską pogląd o niedostatku i niskiej jakości usług świadczonych przez instytucje społeczne. Jeśli już mówić o pomocy przy realizacji funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej, to najczęściej ogranicza się ona do czynności związanych z zabezpieczeniem, a i ta kwestia pozostawia wiele do życzenia. Natomiast czynności związane z opieką czy

pielęgnacją w dużej mierze spoczywają na rodzinie. Bagatelizowanie tego problemu, zwłaszcza w wypadku rodzin z problemem niepełnosprawności dziecka, jest niewskazane z kilku powodów. Po pierwsze – rodzice, zwłaszcza matki będą swe działania koncentrować przede wszystkim na czynnościach pielęgnacyjnych. Po drugie – wzrasta poczucie wyobcowania, izolacji i osamotnienia wśród rodziców posiadających chore dziecko (zwłaszcza w odniesieniu do upośledzenia umysłowego). Po trzecie, bywa, że instytucje wspomagające są jedynym miejscem spotkań ze specjalistami, którzy mogą wspomóc rodziców w leczeniu czy rehabilitacji dziecka. Po czwarte – współpraca z instytucjami daje możliwość kontaktu z innymi rodzicami o podobnych problemach. Ponadto pomoc instytucjonalna może wpływać na polepszenie sytuacji materialnej rodziny, gdy jest udzielana bezpośrednio lub stwarza możliwości podjęcia pracy przez poszczególnych członków rodziny, zwłaszcza matki.

Przytoczone do tej pory uwagi oraz enumeracja czynności wchodzących w zakres omawianej funkcji pozwalają stwierdzić, że są one liczne i bardzo zróżnicowane zakresowo, a często mogą być w pełni realizowane tylko dzięki współpracy wszystkich członków rodziny.

Najpełniejszy zakres czynności wchodzących w zakres omawianej funkcji przytacza A. Kotlarska-Michalska, która do funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej zalicza następujące postawy, działania i czynności: 1) sprawowanie nadzoru nad małymi dziećmi, 2) pielęgnacja małych dzieci, 3) gwarantowanie bezpieczeństwa dzieciom w domu i poza domem, 4) zapewnienie odpowiednich warunków mieszkaniowych rodzinie, 5) okazywanie życzliwej postawy i gotowości udzielania pomocy, 6) podnoszenie kwalifikacji w zakresie opiekuństwa, 7) świadczenie pomocy osobom kalekim, 8) świadczenie pomocy osobom zniepełniałym, 9) udzielanie opieki osobom starszym, 10) wykazywanie dbałości o fachowość porad lekarskich, 11) zapewnienie leków i środków higieny, 12) świadczenie opieki osobom przewlekle chorym, 13) zapewnienie opieki okresowo chorym, 14) zapewnienie startu życiowego dzieciom, 15) świadczenie porad potrzebującym wsparcia członkom rodziny, 16) gwarantowanie utrzymania niepracującym okresowo członkom rodziny, 17) okazywanie zainteresowania warunkami bytowymi bliższej i dalszej rodziny, 18) świadczenie różnorodnej pomocy rodzinie bliższej i dalszej w wypadku trudnej sytuacji życiowej (Kotlarska-Michalska 1990: 32–33).

Tak więc każdy z wymienionych tutaj elementów funkcji złożony jest z kilku czynności, a także wielu sposobów ich realizacji, które zależą w dużej mierze od typu stosunków i więzi łączących poszczególnych członków rodziny.

Innymi słowy, najogólniej rzecz ujmując, **funkcja opiekuńczo-alimentacyjna (zabezpieczająca, pielęgnacyjna) stanowi w pewnym sensie materialno-kulturową płaszczyznę koordynowania fizycznych właściwości organizmu oraz środowiska, w którym ten organizm żyje w celu wykształcenia najlepszej postawy dla rozwoju i utrzymania uzdolnień naturalnych oraz rytmiki życia, która w każdej strukturze może być odmienna, a która reguluje i ułatwia zaspokajanie głodu, snu, pragnienia, fizycznej i psychicznej potrzeby bezpieczeństwa, potrzeby działania itp.** (por. Dyczewski 1981: 22).

I to jest również istotny powód, dla którego nie sposób precyzyjnie wyznaczyć zakresu omawianej funkcji, stanowiącej przecież naturalne niejako podłoże dla określonego sposobu realizacji wielu pozostałych funkcji rodziny, takich jak np. socjalizacyjna i psychologiczna.

Dla ukazania trafności używanych do tej pory określeń oraz cech omawianej funkcji przeprowadzimy krótkie rozważania dotyczące problemu alimentacji (żywienia) w stosunkach rodzinnych i międzyludzkich, wpływu jakości życia rodzinnego na zdrowie, realizacji dążenia do aktywności i poczucia przydatności życiowej oraz zabezpieczenia własnej, indywidualnej przestrzeni życiowej w rodzinie.

2. Alimentacja oraz jej kulturowe i socjotechniczne znaczenie

Dla uniknięcia nieporozumień przypomnijmy, że pojęcie alimentacji (od. łac. *alimentum* – pokarm) oznacza środki świadczone w naturze i pieniądzu mające zapewnić świadczeniobiorcy utrzymanie się przy życiu.

„Ciężka boleść, gdy się chce jeść” – mówi przysłowie i z tego prostego powodu „dla wielu ludzi możliwość jedzenia do syta staje się wartością nieodpartą. Stary góral żyjący w niedostatku całe życie marzył o tym, by zostać cesarzem i móc codziennie jadać polewkę z łoju. Tłuszcz bowiem był najwyższym wskaźnikiem zamożności, ilość tłuszczu na kartoflach miarą dostatku. Mięso w takich sytuacjach stawało się miarą szczęścia albo jego podstawowym warunkiem” (Szczepański 1980: 89). Ludowe

powiedzenie: „żyje w dostatku jak robak w słoninie” w ironiczny i dosadny sposób oddawało istotę rzeczy.

Dobre jedzenie było przez tysiąclecia symbolem wyróżnienia i nierówności społecznej, przywilejem panów, ludzi bogatych, wyższych sfer. Stąd każde marzenie o awansie społecznym, to marzenie o dobrym jedzeniu, zdobywanym bez wielkiego wysiłku. „Trzeba się kształcić, żeby mieć lekki chleb” – to powszechna motywacja stosowana przez rodziców chłopskich wobec swoich dzieci wysyłanych do szkół.

Stare ludowe przysłowie powiada, że „syty głodnego nie zrozumie”. Można więc za Janem Szczepańskim powtórzyć, że kto nie był głodny, ten nie zrozumie podstawowych spraw życia człowieka, sposobu myślenia, motywów działania i dręczących go obaw. Chodzi tutaj o doświadczenie głodu ostrego i bezwzględnego w sytuacjach bezradności, gdy wiadomo, że nie ma go czym zaspokoić, a wokół snują się takie same wygłodniałe postacie, opanowane tym samym cierpieniem, i wszystkie sprawy między nimi sprowadzają się do tego samego pytania – jak sobie poradzić z głodem (por. Szczepański 1980: 93).

Lévi-Strauss podkreśla, że jako ludzie jesteśmy fragmentami natury, jako istoty rozumne jesteśmy wszyscy częścią kultury. Nasze przetrwanie jako ludzi uzależnione jest od spożywania pokarmów (będących elementem natury), nasze przetrwanie jako istot rozumnych uwarunkowane jest stosowaniem przez nas kategorii społecznych, wywodzących się z klasyfikacji kulturowych narzuconych elementom natury. Jedzenie jest tutaj szczególnie dobrym łącznikiem, ponieważ jedząc, tworzymy, w dosłownym sensie, bezpośrednią tożsamość między nami (kultura) i pożywieniem (natura). Przynależność jedzenia jest więc powszechnie spotykanym przykładem przetwarzania natury w kulturę i dlatego sposoby warzenia żywności są szczególnie odpowiednie do symbolizowania zróżnicowania społecznego.

Tutaj zapewne należy szukać silnie zakorzenionego podziału na dania godne i niegodne uroczystych przyjęć, tak powszechnego w naszym kraju. Przez długi czas np. żur, zupy jarzynowe czy wszelkiego rodzaju kluski uchodziły za dania niegodne uroczystości weselnych, imieninowych itp., były bowiem spuścizną chłopskiego systemu kulinarnego. Jako godne traktowano rosoły i pieczenie. Zmiany następują dopiero w ostatnich latach, ale też reklamowane przez niektóre restauracje „chłopskie jadło” niewiele ma wspólnego z chłopskim menu (zob. Kocik 2000: 84 i n.).

Jednak tylko chleb i zboże najpełniej symbolizują *alimentum*, czyli wszelki pokarm. W kulturze chrześcijańskiej w ogóle, a w naszej narodowej w szczególności, chleb uzyskał wymiar *sacrum*. „Pierwsze zdanie napisane po polsku w *Księdze Henrykowskiej* mówi pośrednio o braterstwie pracy związanej z chlebem. Chleb dla Polan był symbolem najświętszych sił Natury i Kosmosu, integrujących rodzinę i wspólnotę narodową. Samo znaczenie słowa „z-Boże” to coś więcej niż tylko nazwa nasienia żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa” (Placek, Bocian 1992: 7). Aleksander Brückner nazwę „zboże” wywodzi od tych samych znaczeń, co „zbożny”. „pobożny”, w znaczeniu „wedle Boga”.

Chleb jeszcze w świadomości naszych babek to zawsze rzecz święta.

Chlebem błogosławiono nowożeńcom, witano nie tylko dostojnych gości na progu domu, lecz również – o czym rzadko wspomina się – skrzywdzonych, ubogich, żebrzących właśnie chleba. Dzielenie się chlebem pozostaje do dziś znakiem braterstwa i przyjaźni. Kromkę chleba dawano na pożegnanie jako znak błogosławieństwa oraz zapowiedź szczęśliwego powrotu. Do nowo wzniesionego domu najpierw wnoszono chleb i wodę, wypowiadając przysłowie: „gdy chleb i woda, to nie ma głoda”. Ręki z chlebem wyciągniętej ku zgodzie nie można było odtrącić. Szacunek i cześć dla życia i świata wykształcono w polskich domach, opierając się na obcowaniu z chlebem, o czym wspomina C.K. Norwid w „Mojej piosence” (Placek, Bocian 1992: 7).

O znaczeniu chleba w kontaktach społecznych może świadczyć wywód Krzysztofa Opalińskiego z XVII w.: „Polacy pochlebstwo i pochlebców nazwali od tego, że po chlebie cudzym pochlebcy zwykli biegać, za chleb pochlebając” (tamże: 25). Podobnie ujmują tę sprawę przysłowia: „pochlebstwo idzie po chlebie” oraz „kto czyj chleb je, tego piosenkę śpiewa”.

Przed marnowaniem i poniewieraniem chleba ostrzegały liczne przestrogi i przysłowia. „Kto chlebem gardzi, to nim Pan Bóg bardziej”, „kto chleb ciska, ten po śmierci będzie go zbierał” (tzn. nie zazna spokoju). Wyrzucanie chleba na śmietnik traktowano jako najcięższe wykroczenie przeciwko Ziemi i Niebu, życiu. Można mówić, że kult świętego chleba najdłużej przetrwał w tradycji ludowej, w której uprawa roli, wypiek chleba uchodziły za akt twórczy, współtowarzyszący tworzeniu podstaw życia najszerzej rozumianego i je zapewniający. Słowem: „bądźcie chleb, bądźcie wszystko; nie bądźcie chleba, nie bądźcie nic” (Placek, Bocian 1992: 7).

Chleb był również ważnym symbolem i realnym składnikiem władzy głowy rodziny – gospodarza, gdyż te role identyfikowano ze sobą bez względu na płeć. W wielu polskich domach klucze od komory czy skrzyni z chlebem znajdowały się stale w rękach gospodarza, który dzielił go według pozycji i wkładu pracy poszczególnych członków rodziny, przestrzegając zasady: „co

się należy oraczowi, to nie smarkaczowi”. Wydzielanie chleba posiadało aspekty wychowawcze, wynikające z przekonania, że „chleb daje rogi, a głód nogi”, „głód dokuczy, głód nauczy”, motywowało do ciężkiej pracy, bo „nie do spać trzeba, kto chce dostać chleba”, wskazywało drogę do zamożności poprzez odpowiedni dobór małżeński, „przyczyniać trzeba, chleba do chleba”, zawierało wskazówki socjotechniczne: „dajeś komu chleb, wzięteś serce”, „za chlebem ciało woła, nawet przez usta apostoła” itp.

Chleb był symbolicznym i realnym łącznikiem międzyludzkim oraz płaszczyzną integracji zbiorowego wysiłku rodziny, darów ziemi i błogosławieństwa niebios.

3. Funkcjonowanie rodziny a zdrowie

Jak podkreśla A. Firkowska-Mankiewicz (1991: 223), dopiero od mniej więcej ćwierćwiecza socjologia medycyny i socjologia rodziny odkryła wspólną przestrzeń badawczą łączącą problemy zdrowia i choroby z problemami rodziny. Z jednej strony bowiem dostrzeżono, że rodzina – traktowana nie jako zbiór jednostek o określonych cechach demograficznych, kulturowych i psychospołecznych, ale jako dynamicznie zmieniająca się i powiązana siecią interakcji całość – jest ważnym wyznacznikiem zdrowia i choroby człowieka, z drugiej strony uzmysłowiono sobie, jak istotnym przemianom podlegać ona może czy musi w związku z procesem chorobowym dotykającym jednego z jej członków.

Świadomość istnienia związku pomiędzy rodziną a zdrowiem i chorobą dość długo torowała sobie drogę wśród badaczy zajmujących się socjologią rodziny i socjologią zdrowia. Przyczyny niezależnego rozwoju obu dziedzin wiedzy były rozliczne (piszą o tym szczegółowo Sokołowska 1986, 1988 i Butrym 1990). W największym skrócie można powiedzieć, że na gruncie socjologii (i to nie tylko socjologii rodziny, ale i innych socjologii szczegółowych) problemy zdrowia i choroby pomijane były programowo jako zjawiska przynależne do medycyny. Socjologowie nie uważali się za kompetentnych do podejmowania kwestii z nimi związanych i, szczerze mówiąc, nie interesowali się nimi specjalnie, uważając za Znanięckim, że chociaż „normalny i zdrowy organizm jest oczywiście warunkiem *sine qua non* kulturalnego życia człowieka”, to jednak „tylko umożliwia życie kulturalne, nie wyznaczając w niczym jego istoty”, nie warto więc się nim zajmować. Sytuacja uległa

zmianie z chwilą pojawienia się socjologii medycyny, jednakże i ona w pierwszym okresie swego rozwoju koncentrowała się głównie na problemach medycyny jako instytucji społecznej, choroby jako dewiacji wymagającej kontroli społecznej, na relacjach lekarz-pacjent, na kwestiach profesji medycznej itd. (tamże: 230).

Do swoistych paradoksów zaliczyć należy fakt, że zainteresowanie społecznymi uwarunkowaniami chorób, odnotowywane od czasów najdawniejszych i owocujące w wieku XIX i początkach XX bardzo interesującymi badaniami, w okresie późniejszym gwałtownie zmalało. Stało się tak za sprawą biomedycznego modelu „jednej przyczyny”, który na długo, by nie rzec, trwale zdominował sposób myślenia o chorobie. Lata od 30. do 60. XX wieku charakteryzowały się błyskotliwym rozwojem takiej właśnie biokliniczno-technicznie zorientowanej medycyny, szczytącej się m.in. zwalczaniem większości chorób zakaźnych, wydłużeniem długości życia, spektakularnymi osiągnięciami w dziedzinie chirurgii i farmakologii. Wydawało się, że sukcesy uzasadniają rosnącą wiarę ludzi w skuteczność medycyny profesjonalnej i podporządkowanie coraz szerszych sfer życia jej władaniu (co późniejsi krytycy tego zjawiska określili mianem medykalizacji).

Jednakże proces ten uległ zahamowaniu w latach 70., kiedy to podnosić się zaczęła fala sceptycyzmu wobec wszechwładnej, jak się dotąd zdawało, medycyny – z czym wiązał się ponowny renesans zainteresowań pozamedycznymi, głównie psycho-socjo-kulturowymi zjawiskami otaczającymi zdrowie i chorobę. Stało się tak wówczas, gdy m.in. wskutek przemian nazywanych cywilizacyjnymi (m.in. podniesienia poziomu wykształcenia, poprawienia higieny, odżywiania – ale i industrializacji, zanieczyszczeń środowiska, stresogennych warunków życia itp.) nastąpiły wyraźne zmiany w dominującym obrazie nękających ludność chorób: gdy choroby zakaźne ustąpiły miejsca chorobom przewlekłym, degeneracyjnym, nie poddającym się leczeniu, o niejasnej, złożonej etiologii (tamże: 231).

Krytycy współczesnej medycyny profesjonalnej mówią wręcz o „kryzysie medycyny” i jej rosnącej niewydolności wobec coraz liczniejszych grup ludzi (ofiary starości, chorób cywilizacyjnych, wypadków, zatruc i szkodliwości środowiskowych i nieracjonalnego trybu życia).

Niewydolność ta, bardziej wprawdzie systemowo-organizacyjna niż merytoryczna sprawiła, że tak w epidemiologii, jak i – zwłaszcza – w naukach społecznych wzrosło ponownie zainteresowanie społecznymi

problemami zdrowia i choroby. Jako przeciwwaga czy uzupełnienie modelu wąskobiomedycznego pojawiły się próby konstruowania „społecznego modelu choroby”.

Jak pisze Sokołowska, polegały one na „zastosowaniu perspektywy socjologicznej w badaniu procesu choroby, tj. zwróceniu uwagi na osobowość jednostki, jej zachowanie, zdarzenia życiowe, pozycję w strukturze społecznej, warunki rodzinne i środowiskowe itd.”

Tak więc zmiana perspektywy badawczej sprawiła, że w literaturze socjologiczno-medycznej pojawiać się zaczęły takie terminy jak „samopomoc” czy „opieka domowa” i wówczas okazało się, że odpowiadające tym terminom struktury społeczne i formy opieki istniały nieomal od zawsze, choć dopiero ostatnio zostały na nowo odkryte i przyznano im właściwą rangę.

Jak pisze Sokołowska, badania historyczne i antropologiczne wskazują, że w większości społeczeństw istniał podwójny system zwalczania chorób: z jednej strony eksperci, tacy jak szamani, uzdrowiciele czy lekarze, a z drugiej zwykli ludzie – rodzina, sąsiedzi, przyjaciele, stosujący środki domowe, praktyki medycyny ludowej oraz pielęgnujący w chorobie swoich bliskich.

Rodzina była od wieków podstawową instytucją pełniącą rozliczne funkcje w sferze zdrowia i choroby, obecnie określane jako promocja czy umacnianie zdrowia oraz profilaktyka, leczenie i rehabilitacja. To właśnie głównie w ramach rodziny następuje edukacja i socjalizacja w zakresie postaw wobec zdrowia i choroby, a więc przekazywanie pewnych elementów wiedzy ich dotyczącej, kształtowanie emocjonalnego stosunku do zdrowia jako wartości, wreszcie modelowanie i uczenie podstawowych nawyków higienicznych i pielęgnacyjnych, zachowań pro- lub antyzdrowotnych (sposobu odżywiania, rekreacji, stosunku do używek itd.), wreszcie konkretnych zachowań w chorobie (oceny symptomów choroby, samoleczenia, szukania pomocy profesjonalnej i nieprofesjonalnej itd.). Tam także realizuje się gros czynności dotyczących higieny, pielęgnacji i opieki zarówno nad osobami zdrowymi, ale niesamodzielnymi z racji wieku (niemowląt, dzieci starszych), jak też nad osobami dotkniętymi okresową czy chroniczną chorobą lub kalectwem.

Wymienione wyżej funkcje rodziny nie były przez całe stulecia przedmiotem systematycznej refleksji naukowej. Co ciekawe, nie znalazły się one w jej zasięgu ani na gruncie medycyny, ani socjologii nawet

wówczas, gdy obie te dziedziny wiedzy miały już ugruntowany status dyscyplin naukowych.

Efektowna inwazja medycyny profesjonalnej zdominowała opiekę nad chorymi i zdeprecjonowała socjalizacyjne i opiekuńczo-pielęgnacyjne zadania rodziny, odbierając im walor fachowości, racjonalności i skuteczności. Ostateczną wyrocznią w sprawach zdrowia i choroby stał się lekarz, w związku z czym praktykom samoleczenia, odwołującym się np. do metod nieprofesjonalnych przylepiano chętnie etykietę nienaukowości lub określano je jako nieskuteczne, a przynajmniej nieracjonalne, chociażby ze względu na to, że opóźniają kontakt z jedynym kompetentnym źródłem pomocy – medycyną profesjonalną.

Nie lepiej przedstawiała się do niedawna sytuacja w dziedzinie socjologii rodziny i socjologii medycyny.

W socjologii rodziny dość długo popularny był pogląd, że w bieżącym stuleciu niektóre funkcje rodziny ulegną znacznemu ograniczeniu. Istniała nawet teza, że w miarę wzrostu uprzemysłowienia i zurbanizowania wiele funkcji dawniej pełnionych przez rodzinę przejmą wyspecjalizowane instytucje – wychowawcze, opiekuńcze, medyczne itd. Wskazywano także na przemiany w strukturze rodzin, zanik wielkich wspólnot rodzinnych, rodzin dwu- i trzypokoleniowych oraz ukształtowanie się dominującego modelu rodziny nuklearnej.

W związku z tymi przemianami amerykańscy socjologowie medycyny wysunęli tezę, że współczesna mała rodzina nie jest w stanie sprawować opieki nad swoimi chorymi, powinna więc jak najprędzej przekazać ich pod fachową, najlepiej szpitalną opiekę. Teza ta, choć dyskusyjna i w wielu sytuacjach nierealna, zaciążyła na wiele lat na kierunkach badań w socjologii medycyny – eliminując rodzinę z pola jej zainteresowań – i w jakiejś mierze na socjologii rodziny, gdzie także długo nie interesowano się problematyką zdrowia i choroby. Znalazło to m.in. wyraz w tym, że w większości podręczników socjologii rodziny nie wymieniano w ogóle funkcji związanej z opieką i pielęgnowaniem chorych (tamże: 237).

Najnowsze doświadczenia oraz wyniki badań wskazują, że głównym obiektem analizy powinna być rodzina, rozpatrywana nie jako zbiór oddzielnych jednostek, lecz jako dynamiczny, powiązany różnorodnymi więzami system, pełniący wiele ważnych zadań wobec swych członków i całego społeczeństwa. Funkcjonowanie rodziny, zakres i sposób realizo-

wania przez nią większości podstawowych funkcji jest chyba kluczowym, najważniejszym być może, ogniwem pośredniczącym pomiędzy zmiennymi społecznymi różnego szczebla (makro, mezo i mikrostrukturalnymi), a zmiennymi charakteryzującymi całokształt procesów i zjawisk dotyczących zdrowia i choroby. Dlatego też w centrum zainteresowań badawczych powinna się znaleźć analiza znaczenia i roli budowania wiedzy o zdrowiu i chorobie oraz kształtowania zachowań prozdrowotnych i profilaktycznych. Szczególne znaczenie ma tu z pewnością funkcja socjalizacyjna rodziny. Stan zdrowia poszczególnych członków rodziny, a także ich leczenie i rehabilitacja mogą być wypadkową różnych konfiguracji innych funkcji – zwłaszcza emocjonalno-konsumpcyjnej. Wiedza na ten temat jest ciągle jeszcze jednak bardzo uboga (tamże: 240).

W tym miejscu podkreślić należy ogromną rolę odpowiednio zintegrowanych funkcji rodziny dla zdrowia i samopoczucia jej członków w wypadku rodzin chłopskich. Rodzina chłopska stanowiła (i nadal stanowi) grupę zagrodową. Zagroda i gospodarstwo w przeszłości absorbowały właściwie wszystkie wymiary osobowości członków tej rodziny. Każda grupa żyje – jak wiadomo – tylko poprzez aktywność swoich członków, a członek nieaktywny jest społecznie martwy i dla grupy stanowi tylko obciążenie. Dlatego też w rodzinie chłopskiej istniały pola aktywności przewidziane dla wszystkich kategorii wiekowych i wszystkich rodzajów kondycji fizycznej. Zagroda do tej pory jest miejscem, gdzie każdy może czuć się przydatny, nawet jeśli faktycznie jego przydatność nie jest innym konieczna. W przeszłości miało to ogromny walor społeczny, niwelujący np. problem starości i niepełnosprawności w rodzinnej zagrodzie, z trudem i nie w pełni rekompensowany przez dzisiejsze osiągnięcia opieki społecznej, nawet w krajach o wysokim standardzie pracy socjalnej. Jeden był tylko wyjątek od tej zasady – choroba psychiczna lub ciężkie upośledzenie umysłowe. Przypadki takie należały w rodzinie do najbardziej wstydliwych doświadczeń, w swoisty sposób stygmatyzujących całą rodzinę. Wstydlivość ta wynikała z faktu, że ludzie dotknięci tego typu upośledzeniem nie mogli pełnić właściwie żadnej roli w zagrodzie, nie liczyli się więc w sensie społecznym. Również ich los był szczególnie ciężki, gorszy często od pośledniejszych gatunków żywego inwentarza zagrody.

Te różnorodne pola aktywności wszystkich członków rodziny, składające się na zadania grupy rodzinnej jako całości, w równej mierze wynikały

ze świadomie określonych ustaleń, co z powielanych wzorów jej funkcjonowania oraz istoty samego gospodarstwa i zagrody. Ich statusem był naturalny, wiejski i zagrodowy porządek świata.

4. Zabezpieczenie własnej „prywatnej” przestrzeni życiowej w rodzinie

Mówiąc o rodzinie oraz jej mikroprzestrzeni życiowej zawsze mamy na myśli dom w najogólniejszym, uniwersalnym sensie. Ideę domu oraz jego rolę w życiu jednostki i społeczeństwa analizuje z socjologicznego punktu widzenia A. Siciński (1992: 9 i n.), pisząc, że dom jest instytucją (instytucją w sensie, jaki nadają temu określeniu antropologowie społeczni), którą współtworzą trzy elementy (można by też o nich mówić jako o trzech aspektach domu).

Po pierwsze – dom to konkretne miejsce, a także materia wyznaczająca owo miejsce; mówiąc prościej: mieszkanie, jego wyposażenie i najbliższe otoczenie. W tym materialnym sensie dom jest określeniem tylko częściowo pokrywającym się znaczeniowo z określeniem budynek; z jednej strony bowiem budynek może zawierać wiele mieszkań; z drugiej zaś – co chyba jeszcze ważniejsze – dom-mieszkanie nie musi się znajdować w budynku; może się mieścić np. w szałasie, a nawet, jak niegdyś, w jaskini. Ponadto miejsce uznawane za „dom” może znacznie wykraczać poza budynek – obejmować większy lub mniejszy obszar otaczający.

Po drugie – dom to pewna zbiorowość społeczna; zespół domowników, ich role, funkcje, aktywność domowa, style życia; ich wzajemne relacje. Dom w tym sensie jest pojęciem szerszym niż rodzina; obejmuje – a w każdym razie kiedyś obejmował – także innych domowników (np. służbę, guwernerów, najbliższych przyjaciół traktowanych jak domownicy itp.).

A wreszcie – po trzecie – dom to pewna wartość, zaspokajająca różnorodne potrzeby materialne, społeczne, ale także – co szczególnie ważne – symboliczne. Z tego właśnie względu, mówiąc o domu ma się czasem na myśli ściśle określoną przestrzeń własnego mieszkania, określony krąg domowników; czasem zaś pewien symbol własnych korzeni, minionego czasu. W tym symbolicznym znaczeniu dom utożsamia się niekiedy z ojczyzną, czasami wielką – rodzinnym krajem, a częściej „małą”.

Powtórzmy raz jeszcze: na istotę domu jako instytucji społecznej składają się wzajemnie powiązane, trzy wymienione przez nas aspekty: materialny, społeczny, aksjologiczny (kulturowy). W takim sensie dom jest jedną z instytucji, która – można to chyba śmiało powiedzieć – towarzyszyła zawsze i wszędzie człowiekowi (pierwsze dwa aspekty domu występują zresztą i w życiu wielu zwierząt (tamże: 9).

Innym doniosłym czynnikiem jest poziom techniczny danego społeczeństwa, technologie, którymi dysponuje, od nich bowiem zależą w znacznym stopniu zarówno materiały do budowy, jak i kształt miejsca zamieszkania oraz jego wyposażenie (w naszych współczesnych mieszkaniach: umeblowanie i zestaw innych sprzętów).

Nie mniej ważnym czynnikiem jest system i poziom ekonomiczny danego społeczeństwa. Z nimi m.in. związane są różnice pomiędzy rolami domu jako miejsca produkcji i miejsca konsumpcji (a od nich zależy na przykład ukształtowanie miejsca zamieszkania), a także różnice standardu wykonania domu-mieszkania i jego wyposażenia.

Organizacja życia społecznego to kolejny czynnik, od którego zależy materialny aspekt domu. Mamy tu na myśli przede wszystkim typ i wielkość rodziny (ewentualnie fakt, czy wspólnie z nią zamieszkują również osoby do niej nienależące), ale także organizację (czy zagospodarowanie – jak się dziś często mówi) czasu danej społeczności (w szczególności ilość czasu spędzanego w domu-mieszkanii).

I jeszcze jeden czynnik różnicujący: obyczaje, style życia, normy społeczne itp., a więc – ogólniej mówiąc – zróżnicowania ściśle kulturowe. One również oddziałują zarówno na kształt, jak i wyposażenie mieszkania.

Aspekt społeczny domu zależy również od wielu czynników, takich jak typ i wielkość rodziny, a przede wszystkim podziały ról pomiędzy domownikami. Istotną rolę odgrywają relacje międzypokoleniowe, dominujące w danym społeczeństwie. Jednym z doniosłych czynników są nierówności społeczne, związane z przynależnością do określonej warstwy społecznej, udziałem we władzy, zamożnością itp. Wymienić też należy zależność domu od systemu prawa, które – obok norm obyczajowych – reguluje wiele zachowań zachodzących w domu.

Zwróćmy również uwagę na fakt, że dom jest schronieniem nie tylko przed zagrożeniami ze strony środowiska przyrodniczego, w którym żyje człowiek, ale także przed innymi ludźmi – i to zarówno w sensie dosłowo-

nym, jak i przenośnym. Charakter tych kontaktów ma wpływ i na kształt, i na rolę domu.

Spółeczny aspekt domu kształtuje się także w zależności od tego, jakie inne instytucje i w jakim zakresie funkcjonują w danym społeczeństwie; jaka jest ich relacja z domem. Mamy tu na myśli w szczególności instytucje wychowawcze oraz np. sferę usług.

Istotne znaczenie dla domu ma też symbolika życia codziennego danej społeczności i dominujące w niej normy estetyczne (także zresztą jeśli chodzi o jego kształt, wyposażenie (tamże: 13).

Po zaprezentowaniu ogólnych uwag dotyczących rodzinnej przestrzeni życiowej przejdźmy na grunt przestrzennego wymiaru funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej w odniesieniu do najmłodszej generacji w rodzinie.

Psychologowie nie pozostawiają wyboru. Dziecko najpóźniej od trzeciego roku życia powinno mieć swój pokój. Na początku wydaje się to łatwe. Różowo-błękitny baldachim nad łóżeczkiem i jedna pastelowa ściana w chmurki i misie. Potem lalki, domek dla Barbie i Kena w pokoju dziewczynki, „resoraki”, koleжки i lego w pokoju chłopców. Obrazy z kotkami i pieskami na ścianach, korkowa tablica do przyczepiania skarbów. Dopiero kiedy pociechy przepoczwarzają się w nastolatki i postanawiają same urządzić swe pokoje, zaczyna się problem, z którym rodzice przestają sobie radzić. Psychologowie zaczynają bić na alarm, że dzieci zostały we własnych pokojach porzucone.

Przemiany, które zachodziły w ostatnim półwieczu w zakresie przydziału domowej przestrzeni dzieciom oraz jej wyposażenia świetnie charakteryzuje z publicystycznego punktu widzenia M. Urbanek (2000).

Własne pokoje dla dzieci to właściwie zasada **lat sześćdziesiątych**, która nastąpiła wraz z niżem demograficznym oraz rozbudową blokowisk. Dzieci było coraz mniej, więc łatwiej było wykroić dla nich siedmiometrowe pokoiki w trzypokojowych mieszkaniach o powierzchni 48 m².

Wcześniej pokój latem zastępowały podwórka, pełne zakamarków i komórek, a zimą strych albo pralnia w piwnicy, do której kumpel znosił stary odbiornik telefunkena, puszczał Radio Luxemburg z „Blue suede shoes” i nie można było w nocy spać. Na stole pingpongowym, wokół którego zostawało najwyżej po metrze z każdej strony, musiały jeszcze zmieścić się krzesła i szpulowy grundig.

Parę lat później, nie mieścił się w nich już stół pingpongowy, ale był adapter podłączany do radia i stopy pocztówek dźwiękowych kupowanych „zamiast nowej pary jeans”. W małych sklepikach ze wszystkim – pozostałościach po wygranej wojnie z prywatnym handlem – wisały listy z nowościami. Pocztówki uzupełniały czarno-białe reprodukcje zdjęć zespołów z kolorowych pism. Kiepskich, jeśli oryginał pochodził z „Perspektywy”, lepszych, jeśli wycięte były z wydawanej na kredowym papierze „Ameryki”.

W pokojach, oprócz tapczanów z wałkiem (wersalki i półkotapczany dopiero szykowały się do tryumfalnej ekspansji) i półek na książki zaczynały już królować praktyczne słomianki. Chroniły ściany przed ścieraniem kredowej farby z naniesionym wałkiem wzorem i pozwalały bez robienia ciągle nowych dziur wieszać na nich widokówki. W dobrym tonie było mieć zdjęcia bohaterów „Bonanzy”, doktora Kildera i Winnetou.

W latach siedemdziesiątych meble zastąpił półkotapczan, którego wreszcie nie trzeba było ścielić, na ścianach zawisły plakaty filmowe. Z Fantomasem, Bardotką i Samymi Swoimi. Bonda nie było, bo był zakazany za walkę z komunistami. O plakaty muzyczne było trudniej. Jeśli ktoś miał ciotkę w Niemczech, to dostawał raz na kwartał paczkę ze starymi numerami „Bravo” i wtedy ustawiały się do niego kolejki. Stronicowy plakat kosztował 20-30 zł, rozkładówka 50-60.

Na dyżurnej słomiance, która przetrwała kolejne dziesięciolecie, zawisły pierwsze oznaki otwarcia na Zachód. Kolekcje pudełek po zachodnich papierosach, zbiory opakowań po żyletkach i zdjęcia samochodów z zachodnich folderów.

Na półkotapczanach zaczynały rozrastać się kolekcje puszek po piwie i napojach. Obok adapteru, który nazwą ciągle jeszcze wygrywał z gramofonem, stanął kasetowy kasprzak. Ale magnetofon nie mógł wyprzeć płyt, bo jakość dźwięku, zwłaszcza płyt zachodnich, była jeszcze nieporównywalna. Płytotekę budowało się długo. Aby dostać biały, podwójny album Niemena, trzeba było mieć znajomości w księgarni, po płytę ABBY stać w 1976 r. w długiej kolejce.

Zachodnie płyty były dostępne tylko dla najbogatszych. Sprzedawane wprost z torby podróźnej (używane 700 zł, zafoliowane 1000, największe hity 1500), były ozdobą każdej kolekcji. Nawet „zheblowana” do cna przez igłę płyta Hendrixa warta była kilkaset złotych, żeby okładka dumnie zawisała na słomiance.

W latach osiemdziesiątych na ścianach dalej pozostawały słomianki, na których królowała Madonna, Michael Jackson i inne gwiazdy. U chłopców plakaty muzyczne powoli wypierał Bruce Lee.

Komputery wkroczyły tryumfalnie do pokoi dzieci **w latach dziewięćdziesiątych**. Na początku commodore i atari, potem coraz bardziej firmowe pecety na częściach wyprodukowanych w Hongkongu. Psycholog Zofia Miłska-Wrzosińska, prezes Centrum Psychoedukacji, mówi, że jednocześnie, symbolicznie i dosłownie, z pokoi dzieci wyszli rodzice.

Zostały sam na sam z elektronicznymi gadżetami. Rodzice zdezerterowali z pokoi swoich dzieci, mówiąc – trudno, niech one robią co chcą, my i tak mamy dość problemów z zarobieniem na to, co im kupujemy. Ale mają poczucie winy, starają się więc zrekompensować dzieciom swoją nieobecność, tworząc wirtualny świat, w którym nie będą się czuły samotne. Nie możemy, co prawda, być z dzieckiem, nie możemy mu dać siebie, ale coś trzeba mu dać, więc kupimy mu nowy telewizor. Pokoje dziecinne stały się pełne jakichś pozornych bytów, z którymi dzieci są w kontakcie.

Ale w tym świecie nie ma żywych osób, nie ma więc też dialogu. Elektroniczne gadżety grają także rolę pośrednika w kontaktach rodziców z dziećmi. Skoro nie udaje nam się już porozmawiać ze sobą, to może chociaż usiądźmy przed ekranem komputera i zagrajmy w coś razem. Te urządzenia pełnią taką samą funkcję, jak kiedyś pies. Są pretekstem, takim samym jak wspólne oglądanie wideo, po którym wszyscy bez słowa rozchodzą się do siebie.

Dla wielu z tych dzieci, szczególnie z pewnymi problemami emocjonalnymi, świat społeczny jest zbyt skomplikowany i niejasny – mówi psycholog Elżbieta Małkiewicz. A w świecie gier komputerowych odnajdują się bardzo dobrze. Odkrycie jakiejś reguły rządzącej wirtualną rzeczywistością daje im pewność jej niezmienności. Mam czasem wrażenie, że świat społeczny jawi im się jako nieregularna ciemna plama, w której coś czasem zabłyśnie, ale nie wiadomo dlaczego. W telewizorze i komputerze wszystko jest inaczej, więc czasem jest to dla nich ucieczka w świat nierzeczywisty.

Z tych fragmentarycznie tylko zarysowanych analiz wynika, że w świecie społeczeństwa i kultury, w którym funkcjonuje określona rodzina, nie ma funkcjonalności absolutnej. Jednym z najistotniejszych aspektów funkcjonowania rodziny jest jej ciągłe przystosowywanie się do nowych warunków i wyzwań. Wiele zachowań i wzorów bardzo funkcjonalnych

w przeszłości staje się dysfunkcjonalnymi obecnie, z kolei wiele innych, nowoczesnych i modnych elementów stylu życia rodziny załamuje funkcjonalną efektywność w kilku naraz wymiarach jej działalności.

Doskonałym przykładem jest analizowana funkcja. I trudno odpowiedzieć na pytanie czy funkcja opiekuńczo-zabezpieczająca rodziny była pełniej realizowana, gdy dziecko odrabiało lekcje w kuchni, na jednym końcu góralskiej ławy, podczas gdy na drugim jej końcu matka kroїła kapustę (zob. np. Winclawski 1971), czy obecnie, gdy pozostaje ono samo ze sobą i swoim wirtualnym światem, niezrozumiałym i w ogóle niedostępnym dla rodziców.

Do jakiego stopnia funkcja alimentacyjno-opiekuńczo-zabezpieczająca zaczyna ograniczać się tylko do alimentacji pojmowanej jako „chów”? Czy gwałtowna zmiana niektórych elementów wzoru tej funkcji nie powoduje międzygeneracyjnej przepaści oraz izolacji? Czy w takim razie ta funkcja nie staje się powoli zaprzeczeniem samej siebie w tradycyjnym jej rozumieniu i nie staje się w ogóle dysfunkcjonalna dla rodziny jako takiej? Niestety, na większość tych pytań nie znamy jeszcze odpowiedzi.

VII FUNKCJA OKREŚLONOŚCI GENEALOGICZNEJ ORAZ STRATYFIKACJI SPOŁECZNEJ

To, co mieści się w zakresie tej funkcji różnie bywa określane w literaturze przedmiotu. Najczęściej spotykamy takie określenia, jak funkcja nadawania pozycji społecznej potomstwu, funkcja klasowa (uklasowienia) itp.

Rodzina jest bowiem grupą, która dziedziczy i przekazuje pewne wartości, a także sytuację społeczną związaną z przynależnością do określonej klasy czy warstwy społecznej. Fakt, że każdy człowiek rodzi się w określonej rodzinie, wyznacza automatycznie jego wstępną pozycję społeczną, a tym samym punkt jego startu życiowego. Przynależność klasowa człowieka jest tak długo tożsama z przynależnością klasową jego rodziców, jak długo on sam dzięki wykształceniu i podjętym rolom zawodowym nie zdobędzie własnej pozycji społecznej. Ale w rodzinie dziedziczy się nie tylko wstępną pozycję klasową, lecz także łączące się z nią szanse i drogi życiowe ich potomstwa. W niektórych społeczeństwach – kastowych, feudalnych – fakt urodzenia decydował na całe życie o pozycji społecznej jednostki (zob. Adamski 1982: 61).

Tak jak dziecko chłopca pańszczyźnianego internalizowało swoją bierność i podporządkowanie, tak dziecko feudała internalizowało pychę i dumę rodową. W tych społeczeństwach, nazywanych zamkniętymi, tzn. nie mających otwartych dróg z klas i grup niższych do wyższych, pozycja społeczna rodziców była przekazywana potomstwu, a możliwość zmiany, awansu była bardzo nikła lub prawie nieistniejąca, jak w systemie kastowym (zob. Szczepański 1970: 305).

W społeczeństwach współczesnych w mniejszym, ale również istotnym stopniu pozycja rodziców, stan ich posiadania, poziom wykształcenia, miejsce zamieszkania (wieś czy wielkie miasto) są czynnikami poważnie wpływającymi na karierę życiową potomstwa.

Wpływ ten obecnie nie jest jednak tak determinujący, jak w systemie sztywnego podziału stanowego czy np. klasowego wczesnego okresu kapitalizmu. Ograniczanie jednak rozważań tylko do wymiaru dziedziczenia pozycji społecznej wydaje się znacznym uproszczeniem, gdyż wiąże się z zacieraniem bardzo istotnej funkcji rodziny, a mianowicie nadawania potomstwu genealogicznej określoności oraz cech identyfikacji w społecznej strukturze.

Od początku istnienia ludzkości człowiek był określany oraz identyfikowany tylko przez odniesienie do rodziny. Brak przynależności do rodziny sprawiał, że jego identyfikacja była niemożliwa lub bardzo utrudniona. Człowiek był w takim wypadku tylko czymś określonym gatunkowo, bez aspektów osobowościowych i podmiotowych. Represje polegające na odbieraniu człowiekowi jego rodzinnej – a przez to i społecznej – identyfikacji oraz zastępowaniu jej np. odpowiednim numerem czy symbolem graficznym należały do najokrutniejszych. Taki wzór identyfikacji, zaczerpnięty z rodziny właśnie, został wykorzystany w różnych dyscyplinach naukowych i służy porządkowaniu wielu pojęć, a także klasyfikowaniu różnych elementów badanej rzeczywistości. Dzieje się tak, gdy posługujemy się terminem rodzina np. w biologii, językoznawstwie, astronomii, matematyce, mineralogii itd. Przez użycie tego terminu określamy pewne szczególnego typu relacje pomiędzy wyodrębnionymi elementami jakiegoś systemu. Dodajmy, że w każdym powyższym i wszelkim innym przypadku relacje te są znacznie prostsze, płytsze i mniej dynamiczne niż w rodzinie ludzkiej.

VIII FUNKCJA SOCJALIZACYJNA. RODZINNO-ŚRODOWISKOWE PODŁOŻE ŁADU SPOŁECZNEGO

1. Człowiek jako istota społeczna

Historia myśli społecznej od jej zarania dostarcza nam przykładów wielu refleksji akcentujących społeczną naturę człowieka. Refleksje te zawierają określenia, które na trwałe weszły do zasobu powszechnie znanych przysłów i generalizacji. W starożytności Arystoteles określał człowieka jako „*zoon politicon*”, co znaczyło: „istota państwowa”, w sensie „stworzona do życia w społeczeństwie”.

Kultura starożytnego Rzymu przekazała nam takie sentencje i określenia jak „*homo est animal social*” (człowiek jest stworzeniem [zwierzęciem] społecznym) czy „*homo socius*” (człowiek społeczny).

Co jednak właściwie oznacza, że człowiek jest istotą społeczną? Twierdzenie to posiada kilka aspektów.

Pierwszy i najbardziej widoczny jest ten, że człowiek wykazuje naturalną skłonność do przebywania z ludźmi, do łączenia się w grupy i społecznego bytowania. Całkowicie samotne życie trudno sobie wyobrazić. Jeżeli takie wypadki mogą zaistnieć (nigdy zresztą w całkowicie dosłownym sensie), to jest to wynik albo okrutnej społecznej represji (więzień), albo nieszczęśliwego wypadku (rozbitek) albo heroicznej decyzji i poświęcenia się (pustelnik). W rzeczywistości jednak życie w całkowitej izolacji od ludzi nie występuje.

Drugi ważny aspekt powyższego twierdzenia oznacza, że człowiek nie mógłby rozwinąć cech specyficznie ludzkich, gdyby znajdował się poza środowiskiem społecznym.

Z natury rzeczy rozważania o genezie człowieka muszą mieć charakter hipotetyczny. Nie jesteśmy w stanie odtworzyć eksperymentalnie ani obserwować w warunkach naturalnych procesu formowania się człowieka i środowiska społecznego jako struktur odrębnych od świata zwierzęcego. Proces antropogenezy miał miejsce w odległej przeszłości i rekonstruować go możemy jedynie opierając się na niepełnych i nie zawsze wystarczających znaleziskach. Na jej rzecz przemawiają m.in. nowsze badania antropologiczne i archeologiczne, np. Darta, a potem Brooma w południowej

Afryce. Jeśli jednak nie możemy sformułowanej wyżej tezy dowieść bezpośrednio, używając argumentów z dziedziny antropogenezy, to możemy w tym miejscu posłużyć się charakterystycznymi przykładami istot, które na skutek odizolowania od społeczeństwa nie wytworzyły w sobie cech ludzkich. Przykłady takie podaje J.J. Wiatr (1977: 16 i n.) w swojej pracy pt. „Społeczeństwo”.

W 1828 r. do Norymbergi zawędrował siedemnastoletni Kaspar Hauser, który przez całe swe dotychczasowe życie, wskutek niefortunnnych okoliczności, znajdował się w zupełnej izolacji. Nie umiał wypowiedzieć niczego poza paroma nieartykułowanymi i pozbawionymi sensu zwrotami. Jego poziom intelektualny nie przewyższał pod żadnym względem poziomu paroletniego dziecka. Między innymi nie dostrzegał on różnicy między martwymi przedmiotami a istotami żywymi. Pięć lat później, po jego śmierci, sekcja zwłok wykazała, że mózg Kaspara był nieco mniej rozwinięty niż normalny mózg ludzki. Uważa się, że przyczyną było tu przede wszystkim upośledzenie wynikłe z izolacji od społeczeństwa, a nie wada wrodzona.

Sto lat później, w 1920 r. w Indiach, znaleziono dwoje dzieci, które wychowywały się wśród wilków. Młodsze, dwuletnie, nie przeżyło przeniesienia w odmienne warunki i wkrótce zmarło, ale starsze – dziewczynka nazwana Kamala – żyła aż do 1929 r. W momencie znalezienia ośmioletnia Kamala nie wykazywała żadnych cech ludzkich i reagowała na otoczenie w sposób charakterystyczny dla dzikich zwierząt. Dopiero podczas pobytu wśród ludzi zdołała przyswoić sobie pewne elementarne poczucie bycia istotą ludzką i pewne sposoby zachowania charakterystyczne dla ludzi.

Trzeci przykład podobnego typu pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. W 1938 r. znaleziono pięcioletnią dziewczynkę Anne, która jako dziecko nieślubne była od niemowlęctwa izolowana w zamkniętym pokoju, w zasadzie bez żadnych kontaktów społecznych. Jej poziom umysłowy był niezwykle niski, nie umiała mówić ani chodzić, wykazywała całkowity brak zainteresowania światem zewnętrznym. Przeniesiona w inne warunki nabywała stopniowo cech ludzkich; jednakże i w tym wypadku śmierć nastąpiła szybko, bo już w 1942 r.

Wszystkie te przykłady ilustrują tezę, że cechy ludzkie rozwinęły się w człowieku w toku jego współżycia z innymi ludźmi. W tym znaczeniu możemy powiedzieć, że nie ma człowieka poza społeczeństwem (tamże: 17).

Trzecie znaczenie twierdzenia, że człowiek jest istotą społeczną wiąże się z powszechnym (w ujęciu socjologicznym) faktem, że człowiek jest produktem stosunków społecznych w takim sensie, iż jest on taki jak społeczeństwo, które go wychowało. Antropologia społeczna dostarcza wielu dowodów różnorodności kultur ludzkich i związanej z nią różnorodności ludzkiej psychiki. Obserwując je, wysuwano niegdyś dwie – dziś już odrzucone – koncepcje. Jedni sądzili, że różnice te wynikają z wrodzonych różnic rasowych, inni, że zależą od stadium procesu ewolucyjnego, w którym dana społeczność aktualnie się znajduje. Według tej drugiej koncepcji różnice między poszczególnymi społeczeństwami są w istocie rzeczy różnicami wieku; cechy, które dziś obserwujemy u ludów „prymitywnych”, to te same cechy, które my sami posiadaliśmy niegdyś. Dzisiejsza etnologia zapatruje się na te sprawy inaczej. Sądzi się na ogół, że różnice kultur mają podłoże głębsze i nie dają się sprowadzić do etapów ewolucji. Odmienne wzory kultury, jak nazywa je Ruth Benedict, wyrażają odmienne charaktery poszczególnych społeczeństw. Niezbyt wiele wiemy jednak o tym, skąd biorą się te różnice. W każdym razie nie dają się one wytłumaczyć różnicami rasowymi. Z jednej strony, powołać się można na argument nieidentyczności kultur rozwiniętych przez ludy o podobnej kompozycji rasowej, z drugiej zaś wskazać na to, że obserwowalne zewnętrzne cechy rasowe bardzo mało mają wspólnego z tymi właściwościami organizmu, które determinują czynności psychiczne. Pigmentacja, kolor i kształt włosów, kształt nosa lub warg – oto cechy, które łatwo służą jako zewnętrzne wyróżniki ras ludzkich. Żadna z tych cech jednak nie ma najmniejszego wpływu na funkcjonowanie kory mózgowej. Mózg ludzki różnych ras jest zbudowany identycznie. Skład chemiczny i biochemiczny krwi jest taki sam. Wszystkie czynności organizmu przebiegają tak samo. Rasa ma wprawdzie istotny wpływ na ludzkie zachowanie, ale wpływ ten wynika z czynników społecznych, nie biologicznych (tamże: 19).

Odrzucenie argumentu rasowego prowadzi nas do wniosku, że oczywiste różnice ludzkich zachowań i cech psychicznych, obserwowane przy porównywaniu różnych społeczeństw, są wytworem społecznego oddziaływania. Zresztą w naszym własnym społeczeństwie możemy łatwo obserwować, jak człowiek nabiera tych cech, które wpaja mu jego środowisko społeczne. Stereotyp człowieka z towarzysztwa, stereotyp żołnierza,

stereotypy duchownego, uczonego czy artysty stanowią dla poszczególnych osobników swoistą normę kształtującą ich zachowanie. Pod wpływem tych norm społecznych człowiek kształtuje się w kierunku, który narzuca mu społeczeństwo. W każdym razie tak jest w przeważającej większości przypadków. Możemy więc powiedzieć, że twierdzenie o człowieku jako istocie społecznej nabiera nowego sensu – znaczy ono, że człowiek jest taki, jakim uformowało go społeczeństwo.

Wreszcie znaczenie czwarte. Mówimy często, że człowiek jest istotą społeczną, mając na myśli pewną tezę normatywną. Głosimy mianowicie, że człowiek powinien postępować zgodnie z interesem społecznym. W niektórych doktrynach etycznych i politycznych – np. w hitleryzmie czy stalinizmie – teza ta wypowiedzana jest niezwykle kategorycznie. Jednostka ma bezwzględnie podporządkować się społeczeństwu, dokładniej zaś tym siłom politycznym, które społeczeństwo oficjalnie reprezentują. Jednakże nie tylko w tych skrajnych teoriach spotkać można sugestie, że społeczny charakter człowieka winien wyrażać się w uzgadnianiu jednostkowych zachowań z interesem społecznym. Jednostką aspołeczną nazywamy potocznie tego, kto dotkliwie i notorycznie lekceważy pewne istotne interesy społeczeństwa jako całości (tamże: 21). Oznacza to, że nie był on poddany odpowiedniemu procesowi socjalizacji (uspołecznienia) lub że socjalizacja ta przebiegała wadliwie; wówczas mówimy o potrzebie jego resocjalizacji.

2. Pojęcie socjalizacji

Proces uspołecznienia, czyli socjalizacji stanowi przedmiot zainteresowań psychologii, socjologii, pedagogiki. Każda z tych nauk posługuje się różnymi znaczeniami i terminami na określenie tego procesu. Psychologia używa następujących sformułowań: rozwój społeczny, dojrzałość społeczna, socjalizacja, przygotowanie społeczne. Znaczenie przedstawionych określeń jest różne, zależne między innymi od reprezentowanego stanowiska w psychologii. Socjologia, której przedmiotem jest analiza kształtowania się życia społecznego, w sposób szczególny interesuje się zagadnieniem uspołecznienia. Podobnie jak psychologia posługuje się różnymi określeniami tego procesu. Oto one: socjalizacja, przystosowanie społeczne, akulturacja. Znaczenia tych określeń są dość zbliżone do psychologicznych. Trzecią nauką interesującą się tym zagadnieniem jest pe-

dagogika. W pedagogice, obok terminu uspołecznienia, używa się określeń: wychowanie społeczne i wychowanie zespołowe.

Próba porządkowania wskazanych określeń jest w zasadzie trudna, formują je bowiem różne nauki, a w ich obrębie następują jeszcze odmienne ujęcia z uwagi na reprezentowane kierunki. Szczególnie często w wymienionych naukach używany jest termin socjalizacja. W najszerszym znaczeniu obejmuje się nim wzrastanie, rozwój człowieka w społeczeństwie. Mówi się nawet o tzw. ontogenetycznej socjalizacji. W jej świetle człowiek rodzi się tylko z potrzebami biologicznymi, niewiele różniąc się od zwierząt, i dopiero dzięki socjalizacji staje się istotą posiadającą potrzeby psychospołeczne. Socjalizacja oznacza rozwinięcie w człowieku jego potencjalnych możliwości do takiego poziomu, aby pozwoliły mu na porozumienie się ze społecznością, do której należy. Szczególnie szkoła antropologiczna w socjologii podkreśla, że skutkiem socjalizacji jest nabywanie określonych zachowań charakterystycznych dla płci, wieku. M. Mead twierdzi, że mężczyznę i kobietę w znaczeniu psychologicznym staje się człowiekiem właśnie dzięki socjalizacji. Peter L. Berger i T. Luckman definiują socjalizację jako wprowadzanie jednostki w obiektywną rzeczywistość społeczeństwa lub jej część, przy czym wyróżniają tzw. socjalizację podstawową oraz wtórną. Socjalizacja podstawowa to uczynienie jednostki członkiem społeczeństwa przez internalizację i generalizację znaczeń najbardziej ogólnych, dzięki pośrednictwu osób opiekujących się jednostką. Socjalizacja wtórna to przyjęcie znaczeń rzeczywistości społecznej w jej zróżnicowaniu społecznym, zinstytucjonalizowanym. Socjalizację traktuje się również jako uczenie się życia w danym społeczeństwie i jako drogę do stawania się obywatelem danego kraju. Warto jeszcze dorzucić, że znaczenie podobne do socjalizacji ma termin akulturacja. Oznacza on wprowadzenie człowieka w społeczeństwo. W skrajnym ujęciu – uczynienie go ludzkim (za: Kukułowicz 1973: 36).

Obecnie w literaturze przedmiotu proces socjalizacji rozumiany jest najczęściej jako proces zmian zachodzących w osobowości jednostki, przygotowujący do życia w grupach społecznych, w wyniku oddziaływań grup społecznych. „polegający na uczeniu i wprowadzaniu do kultury, umożliwiających porozumiewanie się i inteligentne działanie w jej ramach. [...] Poprzez ten proces kultura kształtuje nowych członków społeczeństwa, uczy ich, jak się należy zachowywać, co należy czynić, aby się utrzymać

i osiągnąć zasadnicze cele życiowe” (Tyszka 1988: 66). Byłaby to więc długa seria wzajemnych oddziaływań między dzieckiem, jego wychowawcami i środowiskiem społecznym – „reakcje dziecka na następne oddziaływania są wyznaczone w pewnym stopniu przez zjawiska poprzednio zaistniałe i, w rezultacie, wywołują pewien stan jego osobowości” (Szczepański 1970).

W tak ujętym procesie socjalizacji mieści się wychowanie jako proces kształtowania cech osobowości zgodnych z przyjętym w danym społeczeństwie ideałem wychowania, jako proces oddziaływań ukierunkowanych, celowych i planowych.

Jak więc widzimy, w literaturze psychologicznej i socjologicznej spotkać można różne definicje socjalizacji. Zawsze jednak pojęcie to odnosi się do wpływów społecznych – grup ludzkich i innych ludzi na jednostkę. J. Szczepański (1970: 94) określa socjalizację jako „tę część całkowitego wpływu środowiska, która wprowadza jednostkę do udziału w życiu społecznym, uczy ją zachowania według przyjętych wzorów, uczy ją rozumienia kultury, czyni ją zdolną do utrzymania się i wykonywania określonych ról społecznych”. Z kolei inni badacze socjalizacji określają to zjawisko jako całokształt procesów, dzięki którym jednostka rozwija, poprzez procesy wymiany z innymi ludźmi, specyficzne wzory swego społecznie relewantnego zachowania i doświadczenia.

Przyjmując za Szczepańskim, że socjalizacja to „część całkowitego wpływu środowiska”, musimy zwrócić uwagę na fakt, że ważna część procesów socjalizacji dokonuje się jako wpływ i oddziaływanie środowiska rodzinnego. Wpływ ten odbywa się przez całe życie jednostki, nie ograniczając się bynajmniej do okresu dzieciństwa i dorastania, choć wtedy bywa szczególnie intensywny i wyraźny.

Przy prawidłowym przebiegu procesów socjalizacji jednostka może osiągnąć właściwy dla danego etapu rozwoju i związanych z tym zadań poziom dojrzałości psychicznej, który przejawia się w dobrym funkcjonowaniu społecznym, przystosowaniu psychicznym i zdolności do dalszego rozwoju. Natomiast zaburzenia i nieprawidłowości procesów socjalizacyjnych blokują rozwój i przejawiają się w zaburzeniach przystosowania psychicznego i złym funkcjonowaniu społecznym w przewidywanych dla danego etapu rozwojowego zadaniach i rolach (zob. Tyszkowa 1991: 80).

3. Rodzina i społeczność lokalna jako pierwotne i podstawowe środowiska socjalizacji

Rodzina, w której ma miejsce socjalizacja pierwotna, stanowi podstawowe ogniwo trwałości, spójności i efektywności funkcjonowania szerszych struktur społecznych ze względu na funkcje, które pełni, łącząc system wartości jednostki (mikroświata) z systemem wartości i celami ogólnospołecznymi (makroświata). Dokonuje się to poprzez przejmowanie ról i postaw znaczących dla innych (rodziców) i czynienie ich swoimi. Dziecko, utożsamiając się z rodzicami na wiele sposobów, staje się zdolne do identyfikowania samego siebie, do uzyskania subiektywnie spójnej i akceptowanej tożsamości, z którą może wkraczać w role pozarodzinne.

Jednakże w praktyce wychowawczej niemożliwe jest określenie, które bodźce, oddziaływania, prowadzą go do względnie trwałej zmiany osobowości, które stymulują zachowania aprobowane i pożądane społecznie, a które prowadzą do dewiacji w zachowaniu. W różnorodnych i wielorakich oddziaływaniach część z nich jest zamierzona, część niezamierzona. Z. Tyszka wyróżnia z jednej strony bodźce spontaniczne, wychowawczo niezamierzone w całości oddziaływań rodziny, z drugiej zaś zaplanowane, świadome działania wychowawcze skierowane na dziecko (zob. Tyszka 1974: 168).

Proces socjalizacji zaczyna się w rodzinie od wprowadzania do kultury symbolicznej. Dziecko uczy się mówić i, jak twierdzą psychologowie, nigdy nie nauczy się już więcej niż w ciągu pierwszych dziesięciu lat życia. W tym właśnie okresie najsilniej identyfikuje się ze swoimi wychowawcami, nauczycielami, matką i ojcem, a wszystko, czego się wówczas nauczy, zapada głęboko w jego osobowość. W tym też okresie tworzą się podstawy systemu znaków, znaczeń i wartości decydujące o rezultatach procesu indywidualizacji. O ich rodzaju i jakości decydują przede wszystkim: działalność wychowawcza rodziny, środowisko kulturowe, które ona stanowi, i jej wyposażenie kulturowe. Jeśli trzeba nam przykładów konkretnych, to powiedzmy po prostu, że o tym, jak być matką i ojcem uczy się człowiek przede wszystkim od swojej matki i od swojego ojca.

Kształtowanie uczuć wyższych przez wychowanie do uczestnictwa w kulturze symbolicznej jest zadaniem zarówno rodziny, jak i innych instytucji wychowujących, ale rodziny przede wszystkim. Jak istotne jest to zadanie, uzmysłowimy sobie wtedy, gdy powiemy, że idzie tu – ze

społecznego punktu widzenia – o kształtowanie emocjonalnych i moralnych podstaw więzi właściwie wszystkich jednostek organizacji społecznej: rodziny, wspólnoty sąsiedzkiej, wspólnoty lokalnej i regionalnej, warstwy zawodowej, grupy pracowniczej, narodu itd.

Wielką przeszkodą w procesie socjalizacji i rozwoju osobowości dzieci i młodzieży jest wychowanie, które stanowi dość szczególne połączenie autorytaryzmu z nadopiekuńczością; zastępuje to czułość rozwijającą uczucia wyższe. Nadopiekuńczość blokuje rozwój orientacji na osiągnięcie zaradności życiowej, odporności psychicznej na klęski, przedsiębiorczości i dzielności życiowej. Chłód, mimo opiekuńczości, w stosunkach rodziców i dzieci, który jest rezultatem zmęczenia rodziców, a także nieumiejętności wyrażania uczuć, wręcz wstydu przed uczuciowością, blokuje rozwój emocjonalny dzieci i młodzieży. Wychowanie autorytarne prowadzi, generalnie rzecz biorąc, do powstawania osobowości poddańczych, pozbawionych silnego wewnętrznego steru moralnego, mało twórczych, oczekujących opieki, chłodnych uczuciowo, egoistycznych i egotycznych.

Równie istotna i brzemienna w skutki jest projekcja rodzicielskich ambicji na dziecko. Jak dobrze wiadomo, w obliczu osobistej porażki albo ograniczonego sukcesu wielu rodziców tłumi swe początkowe cele-wartości i odracza dalsze wysiłki, próbując zastępczo osiągnąć cel poprzez dzieci. Oddziaływanie może nastąpić ze strony matki lub ojca. Nierzadko któreś z rodziców ma nadzieję, że dziecko osiągnie szczyty, których on lub ona osiągnąć nie zdołali. Jeśli kompensacyjna projekcja ambicji rodzicielskich na dzieci jest rozpowszechniona, oznacza to, że właśnie rodzice najmniej zdolni do zapewnienia swoim dzieciom swobodnego dostępu do możliwości – nieudacznicy i frustraci – wywierają na nie najsilniejszą presję w kierunku dużych osiągnięć. A ten syndrom wysokich aspiracji i ograniczonych w rzeczywistości szans stanowi właśnie wzorzec skłaniający do zachowań dewiacyjnych (zob. Merton 1982: 222).

Do niedawna pomijano jednak fakt, że rodzina przekazuje przeważnie część kultury, dostępną warstwie społecznej i grupom, w których się znajdują sami rodzice. Jest to więc mechanizm socjalizowania dziecka w kategoriach celów kulturowych i obyczajów charakterystycznych dla tego wąskiego kręgu grup społecznych (zob. tamże). Dlatego też jako niemal równorzędne pod względem roli socjalizacyjnej uznać należy środowisko społeczności lokalnej, do której rodzina w sposób integralny należy.

W przeszłości tradycyjne społeczności lokalne rozwinęły niezwykle szeroką i skuteczną funkcję kontrolno-socjalizacyjną, która wymuszała społecznie pożądane zachowania się ich członków. Następujący obecnie zanik małych lokalnych grup oraz ich tradycyjnych funkcji prowadzi do licznych zjawisk patologicznych oraz anomii moralno-obyczajowej.

W granicach tradycyjnej społeczności lokalnej następował zamknięty obieg stosunków społecznych oraz wymiany usług pomiędzy rodziną, zagrodą, przyrodą i gromadą. W tej społeczności przynależność kulturowa, wyznaniowa, stanowa, a w dużym stopniu również małżeństwo, sąsiedztwo itp. były jednostce dane przez los i możliwość ich zmiany nie wchodziła w rachubę. Własna inicjatywa w doborze i odgrywaniu ról też była niewielka. Wszyscy oceniali wszystkich globalnie (a nie tylko ze względu na jedną interesującą w danej chwili rolę), ale konfliktowość ról była rzeczą rzadką.

Każda dziedzina wspólnych działań, pomocy czy wzajemnie świadczonych sobie usług, obejmowała również realizację wielu innych, materialnie niewymiernych wartości oczekiwanych, otrzymywanych i udzielanych sobie nawzajem. Był to zintegrowany system zaspokajania wszystkich potrzeb członków grupy lokalnej. Mogli oni mieć poczucie wpływu na kształt lokalnego życia społecznego i strukturę lokalnego świata, bo cały dostępny świat nie wykraczał poza lokalne granice. Jedną więc z najistotniejszych cech społeczności lokalnych był zintegrowany system zaspokajania potrzeb indywidualnych i zbiorowych. Tradycyjny chłop np. mógł mieć poczucie pełnej podmiotowości w skali rodziny i wsi, poczucie egzystencjalnego spokoju oraz swoistej pełni życia.

Spółeczność taka wytwarzała *sui generis* zwarty i konsekwentny system obyczajowy i kulturowy. Wszystkich obowiązywały jednakowe zasady postępowania i jednakowy stosunek do świata zewnętrznego. Dzięki temu życie poszczególnych osób i całych rodzin z łatwością podlegało publicznej kontroli.

W takiej społeczności lokalnej socjalizacyjna funkcja rodziny była wspierana przez – rzecz my można – zunifikowany ogólnowioskowy system wychowawczy. Rodzice, krewni, sąsiedzi i Kościół – to zgodnie ze sobą funkcjonujące elementy tego systemu. Każdy z członków społeczności poddawany był niezwykle czujnemu systemowi kontroli lokalnej, pełniącemu przede wszystkim funkcje wychowawcze o charakterze adaptacyjno-korek-

tywnym, który dysponował całym zestawem, nierzadko drastycznych sankcji społecznych. Tę zgodność oddziaływań wychowawczych wszystkich instytucji funkcjonujących w środowisku można określić jako harmonię poziomą socjalizacji (zob. Winclawski 1976: 69).

Obecnie współczesne społeczeństwo oferuje każdej jednostce stale poszerzający się wachlarz szans i wyborów indywidualnych w ramach uznanych powszechnie wzorów. Wybory te i wzory są realizowane bez udziału społeczności lokalnej i nawet często nie są do niej odnoszone. A skoro tak, towarzyszące tym wyborom lokalne normy stają się niepotrzebne. Następuje wyraźna ich relatywizacja. Instytucjonalizacja zaspokajania potrzeb obcych lokalnemu środowisku i lokalnym normom sankcjonuje i legitymizuje nowe sposoby ich zaspokajania. Przenoszenie aktywności, zainteresowań, potrzeb oraz sposobów ich zaspokajania poza rodzinę i poza społeczność lokalną tworzy z nich środowiska martwe pod względem obyczajowo-moralnym. Z kolei porzucenie lokalnego scenariusza moralno-obyczajowego oraz zanik strzegących go sankcji daje w środowisku poczucie wolności bez odpowiedzialności wobec lokalnego systemu aksjonormatywnego.

Związane z tym przemiany społeczności lokalnych wykazują głęboką często dysharmonię o traumatyzującym charakterze. Religia przestaje mieć integralny związek ze wszystkimi wymiarami codziennego życia, obyczajowość i wzory zachowania odrywają się od etycznego podłoża macierzystej społeczności, stając się dysharmonijnymi i kalekimi kopiami uniwersalnego *savoir-vivre* 'u. Zaznacza się w związku z tym dotkliwy brak poczucia kontynuacji, oparcia w sprawdzonej tradycji, punktu odniesienia dla oceny wielu sytuacji i zjawisk oraz motywacji określonych sposobów zachowania się. Retrospektywny system odniesień był bowiem zasadniczym czynnikiem tworzenia się i kultywowania systemu międzygeneracyjnych wartości ludności chłopskiej oraz utrzymywania się tożsamości lokalnej.

Warto tutaj przykładowo wspomnieć przynajmniej takie sprawy jak dziedziczenie pojęć dobra i zła po przodkach oraz związane z tym oczywistości etyczne, wielowymiarowość i wielowartościowość działań i zachowań, wielowymiarowość oceny jednostki, brak konfliktowości ról oraz „dzielenie trosk i mnożenie radości”, co z punktu widzenia zintegrowanego systemu zaspokajania potrzeb jest najbardziej wskaźnikowe dla pełni lokalnego życia.

Obecnie styl życia grupy rodzinnej ewoluuje w kierunku autonomizacji osobowości, zwłaszcza w sferze czasu wolnego i wartości niezależnych od pracy. W sferze rodzinnej zaś dawny, wysoki na ogół poziom satysfakcji wynikający z przynależności do grupy i ambicje związane z grupą ustąpiły miejsca postawom względności i aspiracjom zorientowanym na niektóre tylko nowe cechy upowszechniające się w obrębie własnej grupy oraz aspiracjom ponadlokalnym.

W tym wypadku mierza się do realizacji określonego wachlarza możliwości i wyborów indywidualnych w ramach ogólnospołecznie uznanych wzorów, a wyborów tych dokonuje się bez akceptacji i współpracy z najbliższym lokalnym otoczeniem. Opinia lokalna bowiem pojmowana jako zwarty system ocen i poglądów uznawanych przez wszystkich lub większość członków danej społeczności, właściwie nie istnieje, bowiem na wsi nie funkcjonuje już koherentny system wartości i norm kulturowych bezapelacyjnie uznawanych i przestrzeganych przez wszystkich jej mieszkańców.

Aktualizacja odniesień porównawczych przejawia się w tym, że spojrzenie wokół siebie, a nie w przeszłość dostarcza motywacji i kryteriów oceny. Wsie przyjmują cechy społeczeństwa otwartego. Wyraźnemu ograniczeniu ulega siła sankcji społecznych. W życiu rodziny wiejskiej następuje szybki spadek normotwórczej roli tradycji, zarówno w sferze produkcyjnej, jak i kulturowej. Przyjmowanie nowych wzorów życia i pracy funkcjonujących poza wsią, niweluje uniformizację i ostrość form wytworzonych w przeszłości przez rodziny chłopskie oraz przybliża je do form dominujących we współczesnym społeczeństwie, ale odbiera im tradycyjną pełnię życia. Aktualizacja odniesień porównawczych stwarza również szerokie podłoże relatywizmu i permissywności moralnego.

Schemat 1. Zależności przyczynowo-skutkowe procesu postępującej anomii moralno-obyczajowej



Wachlarz szans i możliwości wyborów oraz zakres potrzeb stale się poszerza. Te wybory mogą być (i są) realizowane bez akceptacji i udziału rodziny oraz społeczności lokalnej, gdyż nie jest ona warunkiem, ale coraz częściej przeszkodą w ich osiągnięciu. Realizowane są one poprzez zinstytucjonalizowane mechanizmy społeczeństwa ponadlokalnego i globalnego. A skoro tak, towarzyszące tym wyborom lokalne normy obyczajowo-mo-

ralne stają się niepotrzebne i mogą być odrzucane oraz zastępowane innymi. Utrata przez jednostki potrzeby aktywnego udziału w systemie zintegrowanego zaspokajania potrzeb oznacza w stosunku do lokalnego środowiska poczucie wolności bez odpowiedzialności. Początkowo poczucie takie dawało ludziom ze wsi miasto. Wystarczy przypomnieć wyniki badań Thomasa i Znanieckiego nad chłopem polskim czy opracowania dotyczące wielkich inwestycji masowo zatrudniających żywiol chłopski. Obecnie rolę taką spełnia instytucjonalizacja zaspokajania potrzeb wykraczających poza lokalny system moralno-obyczajowy lub nawet sprzeczny z nim. Instytucjonalizacja nadaje tym potrzebom oraz towarzyszącym ich realizacji zachowaniom usankcjonowanie oraz legitymizuje je w ogólnej społecznej skali (patrz: schemat).

Mówiąc o anomii socjalizacyjnej społeczności lokalnych, należy wspomnieć przynajmniej o współczesnej polskiej wsi, która głęboko jest tą anomią dotknięta. Świadczy o tym jeden z najbardziej wymownych wskaźników, a mianowicie samobójstwa.

Jak stwierdza Maria Jarosz w swoich licznych studiach nad tym problemem, samobójstwa są najczulszym wskaźnikiem dezintegracji społeczeństwa (Jarosz 1998: 137). Najwyższe wskaźniki śmierci samobójczej występują obecnie na wsi i w małych miasteczkach (Jarosz 2001: 22) i nadal wykazują one tendencje wzrostowe.

„Miejsce zamieszkania wyznaczające przynależności do społeczności miejskiej lub wiejskiej uważane jest, jak wiadomo, za czynnik silnie determinujący zachowania samobójcze. W pracach naukowych koncentrujących się na samozniszczeniu pisze się o znacznie większym nasileniu samobójstw w mieście niż na wsi (w miastach zaś proporcjonalnie do ich wielkości), potwierdzają to także badania empiryczne. Przyjęto nawet powszechnie uważać samobójstwo za swoisty, negatywny wytwór miejskiego stylu życia, za zjawisko specyficznie miejskie. Wynika to z tych teoretycznych przesłanek, do których założenie o typowo miejskim fenomeń samobójstw wyjątkowo dobrze przystaje. Rozstrzygają jednak fakty: nawet niepotwierdzające teorii mają większą wagę niż najbardziej uzasadnione oczekiwania” (Jarosz 1997: 87).

W roku 1995 samobójców ze wsi było o blisko 40% więcej niż z miast, podczas gdy w 1951 r. proporcje te były, w przybliżeniu, odwrotne. W drugiej połowie lat 70. zaobserwowano tendencje wyrównywania się udziału

mieszkańców miast i wsi w strukturze zgonów samobójczych: w 1978 r. wskaźniki śmierci samobójczej w obu środowiskach były analogiczne (wynosiły około 50%), choć udział ludności miejskiej w strukturze populacji Polski w roku 1951 wynosił około 40%, a w roku 1978 – 60% (tamże: 85).

Od drugiej połowy lat 70. mieszkańcy miast popełniają samobójstwa relatywnie rzadziej, natomiast mieszkańcy wsi częściej. Od roku 1978 wieś wyraźnie przoduje w nasileniu zgonów samobójczych, wykazujących w środowisku wiejskim w latach 90. silną tendencję wzrostową. Dowodzi tego zarówno statyczny obraz zjawiska, jak i obserwacja jego trendów (tamże: 86).

Zjawisk tych nie można interpretować, uwzględniając jedną tylko grupę przyczyn. Posiadają one bowiem charakter ogólnego, anomijnego syndromu.

Obecnie kultura wsi oraz jej system moralno-obyczajowy staje się tworem hybrydowym, człowiek wsi natomiast staje się w coraz większym stopniu „człowiekiem masowym”, „samotnym w tłumie”, zagubionym coraz bardziej w globalnej wiosce, atakowanym przez „globalne zagrożenia ostateczne”. Musi on bowiem od nowa nadać sens i wartość swemu życiu codziennemu i sąsiedzkiemu. Musi od nowa budować swą osobowość, tożsamość i etos.

4. Socjalizacja a zasady i normy ładu społecznego

Jak trafnie zauważa K. Frieske (1991: 148) – dwie podstawowe cechy zbiorowego życia ludzi są bardzo łatwo uchwytnie. Pierwszą jest to, że życie zbiorowe jest uporządkowane w jakąś formę ładu społecznego, a drugą, że ład społeczny jest mniej lub bardziej systematycznie naruszany. Mówiąc o ładzie społecznym ma się zazwyczaj na uwadze kilka powiązanych ze sobą przejawów tego porządku. Elementarnym doświadczeniem udziału w życiu zbiorowym jest **konieczność ograniczenia indywidualnej spontaniczności**. Ludzie na rozmaite sposoby uczą się kontrolowania własnych postępów i ustawicznie przekonują się o tym, że wiele jest takich sytuacji, w których okazuje się, że pewne sposoby postępowania są zakazane lub przeciwnie, że tylko niektóre z pośród nich są dopuszczalne. Mówi się wprawdzie niekiedy, że między zakazami i nakazami nie ma zasadniczej różnicy, gdyż jedno i drugie wyznaczają to, czego czynić nie należy, jednakże dla działającego człowieka i, szerzej,

dla charakterystyki kultury nie bez znaczenia jest to, jak rozległa jest sfera swobodnego wyboru takich czy innych zachowań.

Ład społeczny to także kwestia przewidywalności zachowań ludzi. Jakikolwiek kontakty między ludźmi stają się możliwe dzięki temu, że – ogólnie rzecz biorąc – wiedzą oni, czego się mogą nawzajem po sobie spodziewać. Zarówno złożone procesy interakcji społecznych, jak i ich najprostsze i najbardziej przelotne formy opierają się nie tylko na znajomości aktualnie pełnionej przez jednostkę roli społecznej, lecz także na znajomości, choćby najogólniejszej, zarysów ról pełnionych przez innych. Dzięki temu można w rozsądnych granicach przewidywać, jak określony bodziec sytuacyjny wpłynie na postępowanie osoby pełniącej określoną rolę społeczną.

Jeśli nawet spełnianie wymogów ról ma stanowić harmonijny ciąg interakcji, to muszą one być do siebie jakoś dopasowane. Kolejnym przykładem ładu społecznego jest zatem **spójność reguł** wyznaczających porządek życia zbiorowego lub co najmniej ich niesprzeczność. Wreszcie nie trudno zauważyć, że mimo nieustannych zmian życie zbiorowe charakteryzuje się pewną **stabilnością**, bez której ani przewidywalność, ani spójność zachowań ludzi nie byłaby możliwa. **Ciągłość** to następny przejaw ładu społecznego. Wbrew potocznym stereotypom, a także wbrew nadziejom wielu rewolucjonistów, zmiany całkowicie przekształcające ład społeczny to rzeczywistość pojawiająca się jedynie w programach rewolucyjnych. Zmiany zawsze dokonują się stopniowo, a naruszenie spójności zachowań ludzi w jednej dziedzinie uruchamia wiele trudnych zazwyczaj do przewidzenia procesów przystosowawczych w innych dziedzinach. Bez względu na to, jak dalece ustabilizowany jest określony ład społeczny, nie jest on wolny od rozmaitych zakłóceń (tamże).

Jednakże w każdym społeczeństwie zachowania nie mieszczące się w ramach wzorów uznanych i dopuszczalnych spotykają się z sankcjami. Sankcje są jednym z elementów kontroli społecznej. Każda grupa, każda zbiorowość społeczna rozwija system miar, sugestii, sposobów przekonywania, nakazów i zakazów, perswazji i nacisku, sankcji aż do przymusu fizycznego włącznie, dzięki któremu doprowadza zachowania jednostek i podgrup do zgodności z przyjętymi wzorami działania, do respektowania kryteriów wartości, słowem – którego stosowanie kształtuje konformizm członków. System ten nazywamy systemem kontroli społecznej. Nie wszystkie jednak zachowania i działania

jednostek są w jednakowy sposób poddane nadzorowi ze strony społeczeństwa. Każdy człowiek posiada pewną sferę prywatności, która może być węższa lub szersza, zależnie od typu społeczeństwa, spójności wewnętrznej grup, charakteru ich instytucji i od pozycji zajmowanej przez jednostkę w grupie. Grupa, zbiorowość do której my należymy, staje się jakby częścią nas samych i interesowanie się nią jest także zainteresowaniem się sobą. Kontrola nad innymi jest więc przejawem także zainteresowania własnymi sprawami.

W zespole środków kontroli społecznej wyróżnić możemy dwa rodzaje mechanizmów: psychospołeczne i materialno-społeczne. Pierwsze polegają na internalizacji (uwewnętrznieniu) norm i wartości, tak że jednostka odczuwa posłuszeństwo wobec nich jako moralny wewnętrzny przymus. Drugie opierają się na przymusie zewnętrznym, stosowanym przez instytucje. Tu skoncentrujemy się przede wszystkim na mechanizmach psychospołecznych, obejmujących internalizację norm społecznych, to znaczy takie ich uwewnętrznianie, że stają się częścią naszej osobowości, naszego „ja” czy naszej „natury”. Internalizacja taka najwcześniej i najgruntowniej oraz w sposób najbardziej trwały zachodzi w rodzinie. Dzieje się to w procesie zwanym socjalizacją, czyli uspołecznianiem. Każde społeczeństwo stwarza wiele systemów normatywnych, których funkcja polega na tym, że wskazują one jednostce, jak powinna postępować, jakie oczekują ją nagrody i kary za stosowanie lub niestosowanie się do narzucanych przez społeczeństwo wzorów zachowania. „Te systemy normatywne wrastają niezwykle głęboko w psychikę ludzi. Mówimy o nich, że są przez ludzi „zinternalizowane”, tzn. stanowią element świadomości poszczególnych osobników, a stosujący się do nich ludzie nie zdają sobie sprawy, że normy te zostały im narzucone z zewnątrz. Przeciwnie, przekonani jesteśmy, że to sama nasza „natura” pewnych rzeczy nam zakazuje, a inne nakazuje” (Wiatr 1977: 48).

Różne systemy normatywne sklasyfikować można w cztery zasadnicze grupy. Są to: moralność, obyczaje, religia i prawo. Ponieważ w życiu społecznym wiele norm moralnych, religijnych, obyczajowych i prawnych pokrywa się ze sobą czy nakłada na siebie (np. nie zabijaj, nie kradnij itp.), wymienione systemy odróżnia od siebie typ sankcji, jakimi dysponują.

Ogólnie sankcje można by zdefiniować jako reakcje grupy na zachowanie się członków w sytuacjach społecznie ważnych bądź reakcje kierujące zachowaniem się ludzi. Sankcje dzielimy na dwa rodzaje: negatywne,

czyli kary, oraz pozytywne, czyli nagrody. Zazwyczaj w języku potocznym sankcjami nieprecyzyjnie nazywa się tylko system kar. Lecz kara jest przecież taką samą reakcją grupy jak nagroda, różni się tylko klasyfikacją ocenianego zachowania.

Typ sankcji to różnica podstawowa i wystarczająca dla przeprowadzenia klasyfikacji systemów normatywnych.

Moralność posługuje się pojęciem dobra i zła, ściślej: czynu dobrego lub złego, niezależnie od jego oceny np. religijnej czy prawnej. Jest to wartościujące ocenianie czynu samego w sobie, nie zaś z punktu widzenia jego zgodności z innymi systemami. Człowiek, będąc na bezludnej wyspie, gdzie nie funkcjonują ani obyczaje ani prawo, może postępować źle z punktu widzenia moralnego, jeżeli swoim postępkami niepokoi własne sumienie, tzn. narusza zinternalizowane przez siebie zasady postępowania. Wszystkie systemy normatywne krajów cywilizowanych – do niedawna jeszcze – nie tolerowały eutanazji, czyli zabójstwa z litości. Niemniej jednak eutanazja w wielu przypadkach, wbrew prawu i normom religijnym, była moralnie aprobowana. Przykładem może być głośna ostatnio sprawa instrukcji oraz urządzenia do zadawania śmierci sobie samemu, które dla nieuleczalnie chorych i cierpiących wymyślił jeden z amerykańskich lekarzy. Normy moralne odwołują się do ludzkiego odczucia dobra i zła. Czysty system moralny nie wymaga żadnych dodatkowych uzasadnień na rzecz postulowanych zakazów i nakazów (tamże: 69).

Obyczaj jest to norma postępowania utrzymująca się wyłącznie dzięki takim sankcjom jak powszechna aprobatą bądź dezaprobatą i odsunięcie, odrzucenie członka przez grupę. Ma ona na ogół poparcie tradycji. Postępuje się tak a tak, ponieważ zawsze tak robiono. Ale obyczaje regulują też bardzo wiele ważnych sfer ludzkiego zachowania. Obyczaj nakazuje niekiedy nawet przełamanie naszego instynktu samozachowawczego, np. w sytuacji wyzwania na pojedynek czy popełnienia samobójstwa przez oficera idącego do niewoli. Obyczaj często wyręcza prawo, gdy brak jest władzy zdolnej do stosowania przemocy lub tam, gdzie regulacja prawna jest niejasna i nieprecyzyjna. Wreszcie funkcją obyczajów jest utrzymywanie i podkreślanie różnic w łonie społeczeństwa. Niejednokrotnie jest to podkreślanie negatywnego stosunku do istniejącego porządku społecznego np. przez anarchistów, skinheadów, gitowców itp., którzy swoją odrębność podkreślają specyficzną obyczajowością, ubiorem, „sznytami” na ciele, tatuażem itp.

Sankcje, którymi dysponuje obyczajowość posiadają różny ciężar gą-tunkowy. W skrajnych przypadkach grupa może winnego wyszydzić, „ode-brać mu dobre imię” i ostatecznie lub warunkowo wykluczyć ze swego grona. Taka właśnie sankcja spotkała Jagusię Borynową w „Chłopach” Reymonta, wywiezioną przez mieszkańców wsi poza jej granice na furze gnoju.

Gdy rozpatrujemy **religię** jako system normatywny, centralne znaczenie zyskuje pojęcie grzechu. Popełnia go ten, kto łamie zakaz pochodzący od Boga. Między pojęciem grzechu i pojęciem czynu niemoralnego istnieje fundamentalna różnica. Społecznie ukształtowany osąd moralny i osąd innych ludzi są wystarczającymi podstawami do uznania, czy dany postępek jest moralnie naganny czy też godny moralnej aprobaty, czy wreszcie moralnie neutralny. Inaczej w przypadku grzechu. O tym, czy dany czyn jest grzeszny, decyduje zakaz o ponadnaturalnym charakterze. Możemy powiedzieć, że podstawowa różnica między normami religijnymi a wszelkimi innymi – w tym normami ściśle moralnymi – polega na tym, że normy religijne odnoszą się do sytuacji społecznej jedynie pośrednio. Oczywiście nie oznacza to, że tylko religia jako system normatywny funkcjonuje niejako obok pozostałych. Najczęściej religijne zakazy i nakazy organicznie wiążą się z porządkiem moralnym, obyczajowym i prawnym społeczeństwa, chociaż wiązać się nie muszą w każdym przypadku.

Normy prawne wyróżniają się przede wszystkim tym, że dysponują sankcjami opartymi na możliwości zastosowania fizycznej przemocy. Nie znaczy to oczywiście, że ludzie respektują prawo wyłącznie dlatego, że są do tego zmuszani przemocą. Norma prawna często bywa zinternalizowana, głęboko przyswojona przez jednostkę, wsparta siłą obyczaju, moralności, religii. To jednak, co ją wyróżnia to fakt, że ludzie znajdujący się na terenie obowiązywania danego prawa muszą stosować się do niego niezależnie od tego, czy z treścią normy prawnej wewnętrznie godzą się czy też nie. Przemoc stoi za każdym działaniem prawa, nawet tam, gdzie jest ona ukryta – do niej odwołujemy się w skrajnych przypadkach. Przemoc ta obecna jest potencjalnie, tzn. towarzyszy nam świadomość, że byłaby zastosowana w wypadku zdecydowanego oporu wobec decyzji i orzeczeń wpływających prawomocnie z obowiązujących norm prawnych (tamże: 84).

W rzeczywistości istnieją dwa podstawowe warunki określające zakres oddziaływania i skuteczność omówionych do tej pory norm. Pierwszy to

odpowiednio silne, prowadzące do ich internalizacji, procesy socjalizacyjne w rodzinie i najbliższym otoczeniu społecznym. Drugi to wzajemne uzupełnianie się i wzmacnianie tych norm. Jeżeli te warunki współwystępują, możemy mówić o istnieniu w danym społeczeństwie ładu moralnego.

Socjologowie od dawna już wskazywali na niebezpieczeństwo wynikające dla społeczeństwa z osłabienia procesów socjalizacji. Niektórzy z nich mówili nawet o swoistej „inwazji barbarzyńców”, dokonującej się co roku, a mianowicie – o corocznie przychodzących na świat dzieciach, które społeczeństwo musi nauczyć wzorów zachowania się, respektowania systemów istniejących w tym społeczeństwie wartości. Jeżeli procesy socjalizacji zawiodą i młode pokolenia nie będą kontynuować dziedzictwa kulturalnego, wtedy społeczeństwu grozi zerwanie ciągłości jego trwania, radykalna reorganizacja połączona z dezorganizacją i zagrożenie jego bytu. Dlatego niektórzy socjologowie widzą w ruchach i rewoltach młodzieżowych wynik takiego właśnie osłabienia funkcji socjalizacyjnych, wychowawczych rodziny oraz innych instytucji wychowujących i wynikające stąd zagrożenie ciągłości społeczeństw wysoko rozwiniętych. Wiąże się to z poglądami na poważny i powszechny kryzys rodziny w skali społeczeństwa globalnego.

Omówione wyżej cztery rodzaje sankcji uzupełniają się nawzajem w wypadku istnienia ładu moralnego. Działając łącznie, mają one bowiem największą szansę doprowadzenia do wysokiego stopnia konformizmu członków zbiorowości. Jeżeli między systemami normatywnymi zachodzą rozbieżności, jeżeli np. przepisy prawne domagają się od członków zbiorowości zachowań potępianych przez moralność (a sytuacje takie zdarzają się w wypadku przewrotów społecznych), wtedy skuteczność sankcji wybitnie się zmniejsza.

Skuteczność sankcji zależy więc od tego, w jakim stopniu stanowią one zwarty i spójny system. Jeżeli sankcje prawne pozostają w niezgodzie z sankcjami moralnymi lub religijnymi, wtedy ich skuteczność może być niewielka.

Prawo na ogół nie może się skutecznie przeciwstawić fanatyzmowi religijnemu, moralnemu czy ideologicznemu. Wiemy z historii ruchów religijnych i rewolucyjnych, że fanatycy idei bardzo chętnie biorą na siebie represje prawne, które ściągają na nich wysokie uznanie współtowarzyszy. Represje, kreując męczenników, wywołują zawsze skutki odmienne od

zamierzonych. Cenzura prac literackich i naukowych zawsze podnosi stopień zainteresowania nimi i wpływa na przyznawanie wyższych ocen dziełom zdyskwalifikowanym przez cenzora. Wiemy także, że dowcipy ośmieszające władzę polityczną są skuteczną metodą podrywania jej autorytetu. Słowem – system sankcji formalnych i nieformalnych, jeżeli ma być skuteczny, musi opierać się na zharmonizowanym systemie wartości i kryteriów ocen.

W zintegrowanym społeczeństwie normy prawne mają za sobą aprobatę norm moralnych, obyczajowych, a często także wielu norm religijnych. Są jednak sytuacje, w których opisane normy nie współdziałają ze sobą, a nawet znajdują się w stanie konfliktu. Do nich zaliczyć można sytuację, gdy w skład tego samego społeczeństwa wchodzi różne grupy, których normy moralne i obyczajowe wykazują znaczną rozbieżność, a które poddane są działaniu tego samego systemu prawnego.

Rozbieżność następuje również wówczas, gdy prawo potraktowane jest jako instrument wpajania ludziom nowych, dotychczas nieznanych lub nieakceptowanych norm postępowania. Prowadzi to najczęściej do społecznej alienacji oficjalnych instytucji, podziału na „my” i „oni”, stosowania w życiu podwójnej moralności itp. Z niedawnych jeszcze doświadczeń naszego społeczeństwa pamiętamy, że mówiło się o kimś: „on jest jak rzodkiewka, z wierzchu czerwony, w środku biały” czy: „jak arbuż, z wierzchu zielony, w środku czerwony”.

Każde oddziaływanie prawne, religijne, ideologiczne, moralizatorskie musi się liczyć z konserwatywną siłą obyczajów. Wprowadzenie w latach 20. w Stanach Zjednoczonych prawnego zakazu produkcji, sprzedaży i spożywania alkoholu przyniosło jedynie rozkwit podziemia oraz szerokie łamanie prawa. Podobnie byłoby trudno zakazać cudzołóstwa czy nakazać równy podział obowiązków pomiędzy mężem a żoną w gospodarstwie domowym. Jednym słowem – prawo nie jest w stanie skutecznie oddziaływać tam, gdzie zachowania, które pragnie się uregulować mają ściśle prywatny charakter, norma zaś musi wkraczać w sferę życia codziennego.

Jeżeli mimo to prawo działa jednak przeciwko istniejącym obyczajom i normom moralnym, wytwarzają się najczęściej dwa rywalizujące ze sobą systemy normatywne. Zniesienie tytułów książęcych nie przeszkodziło ludziom posługiwać się nimi, a usiłowanie zastąpienia zwrotu „pan” zwrotem „obywatel” nie przyniosło trwałych efektów. Podobnie nie przyniosło raczej

efektów wprowadzania świeckiej obrzędowości rodzinnej i grupowej. Doprowadziło natomiast do wykształcenia się podwójnej moralności, podwójnego języka (nowomowy) i prezentowania podwójnych postaw, oficjalnych – „obywatelskich” i nieformalnych, obowiązujących we własnej grupie rodzinnej czy przyjacielskiej.

W społeczeństwie, w którym panuje ład moralny, wszystkie systemy normatywne (lub przynajmniej ogromna ich większość) współdziałają ze sobą i wzajemnie się wzmacniają. Nie istnieje tam przepaść między oficjalnymi instytucjami a grupami nieformalnymi. Przedstawiciele instytucji nie stoją „nad” społeczeństwem czy „obok” niego, lecz stanowią jego integralną część, a wszystko, co nie jest wyraźnie zabronione, jest dopuszczalne. O takim społeczeństwie możemy mówić, że panuje w nim ład moralny, chociaż nie tyle o moralność tutaj chodzi, ile o harmonijne funkcjonowanie wszystkich systemów normatywnych. Pojęcia tego używamy również dla odróżnienia go od ładu prawnego, który może być narzucony brutalną siłą i ciężkimi represjami.

5. Ideologiczne afirmacje i deformacje ładu społecznego

W życiu społecznym istnieją sytuacje, kiedy jakieś hasło czy idea zdolne są wyzwolić w ludziach wielką energię i porwać ich do wspólnego czynu. W innych sytuacjach określonego typu hasła czy poglądy stanowią uzasadnienie dla łamania obowiązujących norm postępowania oraz burzenia dotychczasowego ładu społecznego. Wspomnieć można w tym kontekście rewolucjonistów, terrorystów, hippisów, anarchistów, skinów, satanistów itp.

Na taką sytuację można patrzeć z różnych punktów widzenia. Zawsze jednak mamy do czynienia ze swoistym sposobem argumentacji i motywacji, eksponującym interesy określonych ugrupowań. Owe motywacje i system argumentacji nie muszą być – i najczęściej nie są – racjonalne. Zwykle obliczone są na wywołanie określonych emocji, dlatego zaliczymy je do ideologii.

Cechą ideologii jest, jak wiadomo, to, że stanowi ona zbiór poglądów i przekonań, wyrażających interesy określonych ugrupowań oraz służących tym ugrupowaniom za podstawę i uzasadnienie ich działalności. Pomijamy w tym miejscu polityczny wymiar czy aspekt ideologii, znany wszystkim

doskonale z „idei wiecznie żywych” czy „wiecznie żywych nauczycieli” i skoncentrujemy swoją uwagę na ideologii odnoszącej się do skromniejszych wymiarów rzeczywistości społecznej.

Dla lepszego zrozumienia, na czym polega cały problem porównajmy dwa zdania. Jednego użyto, przedstawiając znajomego: „to jest pan X, doktor socjologii, przedstawiciel młodej generacji inteligencji wiejskiej”, drugie wypowiedziano w innych okolicznościach pod adresem tego samego człowieka: „ty wieśniaku, słomę ci z butów widać”. Pierwsze zdanie orzeka o rzeczywistości coś, co można sprawdzić. Informuje o faktycznym stanie rzeczy. Zdanie drugie ma zupełnie inny charakter oraz cel i nie ma żadnego sensu sprawdzać, czy jest ono prawdziwe. Z podobną sytuacją mamy do czynienia, gdy w podręczniku geografii czytamy informację o klimacie i uprawach zboża w Polsce, a następnie przeczytamy jak Kornel Makuszyński charakteryzował te same cechy naszego kraju w czytance „Do dzieci polskich”: „Nigdzie słońce nie świeci tak cudnie jak w Polsce, nigdzie księżyc nie jest jaśniejszy, nigdzie śnieg bielszy nie pada. [...] Polskie zboże piękniejsze od złota, a jak zacznie szumieć, a jak zacznie się modlić, to się sam Pan Bóg z nieba wychyla, aby usłuchać tej modlitwy”.

I znowu nie ma sensu sprawdzać, czy to na pewno prawda, bo tutaj nie o przekazanie prawdy chodzi. Zdania te mają inny cel. Nikt rozsądny nie będzie jednak miał za złe Makuszyńskiemu tego co napisał ani tego, że rozbudza on szczególny emocjonalny stosunek do naszej ziemi. Inny przykład. Często, gdy chodzi o panie, kolor ich włosów, długość rzęs czy pozycja pieprzyka na twarzy nie są zgodne z naturalnym stanem faktycznym, ale nikt rozsądny o nich nie powie, że są kłamczuchami. Podobnie wygląda sprawa z ideologią. Od systemów i zdań ideologicznych nikt nie oczekuje precyzyjnych informacji o rzeczywistości, bo nie do niej należy ich udzielanie. Ideologia pełni inne ważne funkcje: a) daje grupie poczucie wspólnoty, a jednostce przynależności do grupy, b) dostarcza grupie określonych symboli i wartości duchowych, c) stwarza punkt odniesienia do oceny zjawisk i umożliwia ich wartościowanie, d) podkreśla blaski i retuszuje cienie celu, do którego się dąży, e) skraca perspektywę czasową i historyczną, f) tworzy program działania oraz wskazuje metody realizacji tego programu (zob. Wiatr 1977: 508 i n.).

Jednym słowem ideologia to makijaż rzeczywistości lub inaczej: ideologia stara się kreować rzeczywistość w sposób zgodny z naszymi

oczekiwaniami lub przynajmniej racjonalizuje w jakiś sposób istniejącą sytuację. Np.: „jeśli mieszkać, to mieszkać wysoko”, „posiadać „M” ciasne, ale własne”, „żyć skromnie, ale niezależnie” itp. Czasami są to oczekiwania i życzenia absurdalne lub demagogiczne i kryminalne, np. „Polska dla Polaków”, „wszystkiemu winni Żydzi”, „zabij skina s... syna” itp. Innym razem jest to nawoływanie to totalnego zburzenia istniejącego porządku, np. „ruszymy z posad bryłę świata [...] sędziami wówczas będziemy”.

Nie sposób wreszcie nie wspomnieć, że ideologia może również wspomagać istniejący w społeczeństwie ład moralny oraz kształtować silne patriotyczne uczucia. Aby lepiej zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, warto bliżej zanalizować wewnętrzną strukturę ideologii jako pewnego zwartego systemu poglądów, przekonań, a czasem wizji. Każdy system ideologiczny składa się z czterech kategorii poglądów wzajemnie ze sobą powiązanych i warunkujących się. Przede wszystkim w jej skład wchodzi pewne ogólne przekonania wartościujące, określające podstawowe wartości przyjmowane za punkt wyjścia oceny zjawisk społecznych. A więc np. że człowiek jest najwyższą wartością lub że wszyscy ludzie są sobie równi. Te podstawowe wartości muszą być zinternalizowane już w procesie rodzinnej socjalizacji (zob. Wiatr 1968).

Nie jesteśmy w stanie na drodze empirycznej nikogo przekonać, że życie chorego starca jest wartością jako życie w ogóle. Łatwiej by było wykazać np. – posługując się parametrami ekonomicznymi – że stara generacja jest ciężarem dla społeczeństwa. Ale kogoś takiego uznalibyśmy za osobnika skrajnie cynicznego, nieludzkiego. Jeśli jednak ktoś nie przyjmuje wartości życia ludzkiego jako najwyższej wartości, temu później już tego nie jesteśmy w stanie mu udowodnić.

Drugim składnikiem ideologii są ogólne wyobrażenia o świecie i jego prawach. Np., że ludzie dzielą się na „gitowców” i „frajerów”, bądź na niższe i wyższe rasy, że świat należy do silnych i bezwzględnych lub przeciwnie, że dobroć i miłość w sumie są największą siłą i one ostatecznie zwyciężą itp.

Trzecią częścią składową ideologii jest zespół twierdzeń określających warunki realizowania przyjętych wartości podstawowych. Np., że rewolucja jest nieuchronna, że potrzebna jest dyktatura proletariatu, że wojny można uniknąć lub że jest niezbędna, aby świat powrócił do moralnego ładu, „a człowiek całował ślady stóp człowieka” itp.

Czwartą wreszcie warstwą ideologii są szczegółowe dyrektywy działania. Np. „proletariusze łączcie się”, „ostatecznie rozwiązać kwestię żydowską”, „zabić skina s... syna” itp. Dyrektywy działania są uwieńczeniem całej budowy ideologicznej – od przyjętych podstawowych wartości zaczynając.

Dlatego też w rozprzestrzenianiu się oraz podatności na wpływy określonych haseł i programów ogromne znaczenie mają ogólne przekonania wartościujące oraz ogólne wyobrażenia o świecie. Obie dziedziny w zasadniczym kształcie internalizują się w procesie wczesnej socjalizacji – a przede wszystkim w rodzinie. I w tym względzie roli rodziny, a także pierwszych wychowawców i rówieśników, nie sposób przecenić. Dlatego też wszelkie ideologie przygotowujące programy radykalnych zmian dotychczasowego porządku społecznego atakowały istniejący ład moralny oraz rodzinę jako instytucję wychowującą.

Historia stara jak ludzkość. Już Platon (427-347 p.n.e.) w swojej wizji państwa idealnego właśnie względami państwowymi uzasadniał konieczność odebrania rodzinie wpływu wychowawczego na dzieci, co zresztą częściowo zrealizowano w Sparcie.

W sytuacji braku ugruntowanych, tj. zinternalizowanych, podstawowych wartości młodzi ludzie stają się często łupem różnych prądów ideologicznych, nieraz o wąskim i krótkotrwałym zasięgu, które jednak potrafią wykoleić i sprowadzić na manowce niejedną osobę.

System ideologiczny połączony z monopolem środków masowego przekazu, siłą oraz likwidacją hierarchii wartości ukształtowanych w toku życia wielu pokoleń prowadzi do takich wynaturzeń jak hitleryzm, stalinizm, nacjonalistyczny szowinizm itp. Są to jaskrawe przykłady ideologicznej deformacji ładu społecznego.

IX RODZINA JAKO GRUPA, SYSTEM I MIKROŚWIAT SPOŁECZNY

1. Funkcje rodziny zorientowane wewnętrznie

Jak już wcześniej wspomniano, rodzina jest mikrostrukturą społeczną posiadającą wyraźne cechy instytucjonalne, grupowe i systemowe, z którymi wiążą się liczne funkcje skierowane do społeczeństwa, otaczającego rodzinę środowiska oraz do poszczególnych jej członków. Te funkcje są w najróżnorodniejszy sposób wyodrębniane i określane w literaturze przedmiotu. Socjologowie i psychologowie często dzielą je na funkcje zewnętrzne, spełniane na rzecz społeczeństwa i poddawane w różnym zakresie jego kontroli, oraz funkcje wewnętrzne, słabo widoczne dla społeczeństwa, spełniane głównie na rzecz członków rodziny. Inne określenia, wprowadzone np. przez F. Adamskiego, to funkcje instytucjonalne i osobowe (zob. Adamski 1982: 50, Ziemska 1979).

Podstawowe, instytucjonalne i zewnętrzne funkcje rodziny oraz ich znaczenie dla życia społecznego zostały omówione w poprzednich rozdziałach. Funkcje osobowe, wewnętrzne takie jak psychohygieniczna, miłości, emocjonalno-ekspresyjna, balansu psychicznego itp., itd., nie mogą być rozważane w oderwaniu od kontekstu życia rodziny jako szczególnego typu wspólnoty zawierającej w sobie wszystkie wspomniane wcześniej aspekty społeczne. Dlatego analiza tych funkcji zostanie dokonana pośrednio, w kontekście wspomnianych wyżej cech grupowych i systemowych rodziny jako szczególnego typu wspólnoty.

2. Rodzina jako grupa społeczna

Rodzina to również grupa społeczna o wyjątkowej wprost wadze wśród wszystkich małych grup opartych na więzi osobistej.

W literaturze wskazuje się na pięć cech pełniących rolę znamion rozpoznawczych rodziny jako grupy społecznej (Bauman 1963: 20 i n.):

- a) rodzina jest aprobowanym społecznie sposobem obcowania trwałego;
- b) rodzina składa się z osobników połączonych tym, co panujący obyczaj społeczny uznaje za związki krwi, małżeństwa lub adopcji;
- c) członkowie

rodziny zamieszkują na ogół pod jednym dachem; d) członkowie rodziny współdziałają ze sobą w ramach uznanego społecznie wewnętrznego podziału ról, przy czym jednym z najistotniejszych przedmiotów tego współdziałania jest utrzymanie i wychowanie dzieci; e) członkowie rodziny dają się określić przy użyciu nazw skorelowanych ze społecznie uznaną metodą mierzenia pokrewieństwa i pochodzenia.

Innymi słowy, najbardziej ogólna definicja rodziny głosi, że jest to grupa osób połączonych więzami małżeństwa, pokrewieństwa lub adopcji, na ogół wspólnie zamieszkująca i współdziałająca wewnętrznie odpowiednio do społecznie określonego i uznanego podziału ról i również społecznie określonego zestawu jej zadań. Obok wymienionych znamion rozpoznawczych rodziny wskazuje się w literaturze kilka cech szczególnych tej grupy, określających jej wyjątkową rolę wśród wszystkich innych małych grup, których członkiem bywa człowiek w ciągu swego życia. Oto one: a) rodzina jest pierwszą grupą, której członkiem człowiek staje się od razu w momencie urodzenia; ten fakt uzasadnia pretensje rodziny do prymatu jej wymogów nad wymogami innych grup; ponadto wpływ rodziny jest wywierany w tym okresie rozwoju osobowości, gdy jest ona najbardziej elastyczna i gdy, co więcej, wpływ ten jest faktycznie pozbawiony konkurencji; stąd wyjątkowa trwałość piętna wywieranego na osobowości człowieka właśnie przez rodzinę, b) rodzina jest w pewnym sensie przedstawicielem wszystkich innych instytucji społecznych; jeśli trwałość i poprawność funkcjonowania owych instytucji zależy od stopnia „uwewnętrznienia” ich eufunkcjonalnych wymogów przez jednostki objęte zasięgiem ich działania, to jest ona tym samym zależna w pierwszym rzędzie od należytego wywiązywania się rodziny z jej zadań w zakresie uspołecznienia, c) kontrola społeczna realizowana przez rodzinę nad jej członkami jest wyjątkowo silna i skuteczna; zawdzięcza to rodzina swym stosunkowo małym rozmiarom i wielości dziedzin współdziałania, umożliwiającym wytworzenie się wyjątkowo intymnych stosunków między jej członkami i więzów emocjonalnych o bardzo dużym natężeniu.

Te właśnie wyjątkowe cechy rodziny umożliwiają jej pełnienie ważkich społecznie funkcji, o których wspomnieliśmy poprzednio – pisze socjolog amerykański August B. Hollingstead (tamże: 251).

W socjologii rodzina określana jest jako grupa pierwotna. Pojęcie grupy pierwotnej wprowadził i sformułował Charles H. Cooley. Według niego grupa

pierwotna (rodzina, grupa rówieśnicza, grupa sąsiedzka) jest głównym terenem uspołecznienia człowieka. Charakteryzuje się ścisłym zespoleniem jednostek poprzez stosunki osobiste typu *face to face* (twarzą w twarz) oraz współpracę. Jej główne cechy to: niska liczebność, kontaktowanie się bezpośrednie, świadomość odrębności grupy („my”), trwałość, dominacja stosunków intymnych, związki nie mające charakteru wyspecjalizowanego, celowego, większa możliwość identyfikacji, wzajemna sympatia i poczucie przynależności.

Pierwotność grupy rodzinnej polega więc na tym, że jest ona z reguły najwcześniejszym typem zbiorowości społecznej, z którym styka się dorastająca jednostka, oraz że przekazuje tej jednostce najbardziej podstawowe, pierwotne właściwości społeczne, dzięki czemu jest ona w ogóle zdolna do uczestnictwa w życiu społecznym. W rodzinie dominuje więc tradycja (obok więzi wzajemnej sympatii i wspólnych wartości), co oznacza, że jest ona grupą trwałą, do której należy się niezależnie od własnej woli.

Taka grupa charakteryzuje się współpracą i bezpośrednim kontaktem wchodzących w jej skład osób i spełnia fundamentalną rolę w kształtowaniu natury społecznej jednostki, czyli w procesie socjalizacji człowieka. Rodzina jest zatem traktowana przez Cooleya jako grupa pierwotna ze względu na charakter więzi społecznych łączących jej członków, będących ze sobą w kontaktach częstych i bezpośrednich, bliskich i intymnych. Franciszek Adamski definiuje rodzinę jako grupę społeczną stanowiącą duchowe zjednoczenie szczupłego grona osób aktami wzajemnej pomocy i opieki, oparte na wierze w prawdziwą lub domniemaną łączność biologiczną, tradycję rodzinną i społeczną. Grupę rodzinną wyróżnia spośród innych grup współwystępowanie następujących cech: wspólne zamieszkanie członków, wspólne nazwisko, wspólna własność, ciągłość biologiczna oraz wspólna kultura duchowa. Inna definicja rodziny, kładąca nacisk na jej aspekt grupy mówi, że jest to grupa złożona z osób połączonych jednym z dwu typów stosunków społecznych: stosunkiem małżeństwa i stosunkiem rodzice-dzieci. Z tego wynika, że jest ona grupą określoną przez trwałe i zalegalizowane stosunki seksualne dwojga partnerów dających życie swoim dzieciom i uzależniających je od siebie w początkowej jego fazie, a jednocześnie przyjmujących na siebie zadanie wprowadzania ich w życie.

Rodzina oznacza się silną spójnością wewnętrzną utrzymywaną dzięki siłom wewnętrznym oraz naciskowi zewnętrznemu. Siły wewnętrzne sku-

piające rodzinę to: silne uczucia i przywiązanie emocjonalne małżonków oraz rodziców i dzieci, wzajemny szacunek, solidarność i inne postawy, które wynikają z wzajemnego zaspokajania przez członków grupy rodzinnej osobistych potrzeb emocjonalnych, dążeń do intymności czy do poczucia zaufania i bezpieczeństwa. Siły wewnętrzne rodziny pozwalają jej przeciwstawić się, niekiedy skutecznie, naciskom zewnętrznym pochodzącym od rodziny szerszej, społeczności lokalnej, instytucji religijnych i państwowych. Jednakże różne formy kontroli społecznej, obawy przed opinią, dążenie do zyskania uznania za wzorowe wykonywania zadań itd. są silnym czynnikiem wzmagającym siły wewnętrzne utrzymujące spójność rodziny. Rozpatrując rodzinę jako grupę społeczną, należy pamiętać o tym, że stwarza ona również swoje własne środowisko kulturowe, które może wpływać na kształtowanie osobowości dzieci w procesie socjalizacji ich przez rodziców. Rodzina wytwarza, podobnie jak każda grupa społeczna, swój mniej lub bardziej wyraźny styl życia lub typowe dla niej nawyki.

Rodzina zaspokaja też najintymniejsze potrzeby osobiste, jest silnym regulatorem zachowań. Dzieje się tak, dopóki uczucia miłości, zrozumienia pomiędzy członkami rodziny są intensywne i odwzajemniane. Rodzaj osobistej i bardzo emocjonalnej więzi występującej pomiędzy członkami rodziny decyduje i wpływa na to, że ludzie prawie zawsze i przez długi czas uważają rodzinę za grupę odniesienia w zakresie spraw wymagających osobistej i ważnej decyzji. Grupa rodzinna może kreować swoje indywidualne sposoby wyrażenia się poprzez działania lub jakieś własne słownictwo. Charakterystyczne są dla niej ponadto cechy małej grupy nieformalnej, a mianowicie: bliskość przestrzenna, mała liczba członków, nieformalne wzory kontroli oraz nieformalne stosunki łączące członków grupy, przybierające charakter w pełni osobowy. Będąc małą grupą, grupą pierwotną, rodzina zachowuje jednak swoje niepowtarzalne oblicze. Od typowej małej grupy odróżnia ją m.in. wyraźny podział pokoleniowy, intensywność stosunków oraz, co jest oczywiste, sposób, w jaki wchodzi do niej nowi członkowie. Należy też zwrócić uwagę na to, że rodzina jest grupą o charakterze wspólnotowym. Przez pojęcie wspólnoty rozumie się naturalne zespolenie szczupłego grona ludzi ze względu na wspólnie odczuwany cel, podobne wzajemne uczucie i naturalne wspólne dążenia. Dzieje się tak, ponieważ rodzina daje swoim członkom wiele radości o charakterze wspólnotowym, zupełnie różniących się od radości i przyjemności

gwarantowanych przez inne grupy społeczne. Rodzina jest zawsze pierwszą grupą społeczną, w której uczestniczy młode pokolenie i w której zdobywa orientację w życiu społecznym. W zależności od społeczeństwa, w którym występuje, posiada różne formy, różny zakres i kształt, ale stanowi zawsze swoistą całość, swoistą jedność o wyraźnie określonych cechach, które decydują o jej wewnętrznej spójności i odrębności. Ta wspólnotowa jedność rodzinna obejmuje biologiczne, psychiczne, kulturowe i społeczne aspekty życia. Jest to wspólnota, w której przychodzi na świat, uzyskuje tożsamość oraz kształtuje podmiotowość i osobowość. **Relacje w rodzinie opierają się przede wszystkim nie na tym, co poszczególni jej członkowie posiadają, lecz na tym, czym i kim są wzajemnie dla siebie.** Dla prawidłowego rozwoju i funkcjonowania rodziny bardzo ważna jest jej jedność, dlatego wszędzie zabezpieczają ją określone systemy normatywne właściwe danemu społeczeństwu. Rodzina jest podstawową grupą społeczną w życiu człowieka, a zarazem jest swoistego rodzaju jednością i wspólnotą żyjących w niej ludzi. Jest to wspólnota tkwiąca głęboko w naturze człowieka, a potrzeba uczestniczenia w niej należy do najważniejszych potrzeb wyższego rzędu (zob. Jaszczyńska 2000).

T. Kotarbiński w swoich „Medytacjach o życiu godziwym” wskazywał, że życie człowieka tylko wtedy ma wartość, jeśli się kogoś kocha, jeśli się jest komuś przyjacielem, opiekunem, dobroczyńcą, wreszcie nawet, gdy się jest komuś pomocnym.

Człowiekowi potrzebne jest w ciągu całego życia, od dzieciństwa aż do późnej starości, poczucie psychicznego bezpieczeństwa i to właśnie znajduje w rodzinie. Jest ona swego rodzaju przystanią życiową. Dlatego małżeństwo i rodzina stanowią jedno z najcenniejszych dóbr ludzkości. Tutaj, bardziej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie życia, rozgrywa się naprawdę los człowieka (zob. Jan Paweł II 1983).

3. Rodzina jako system społeczny

Pojęcia grupy i instytucji społecznej odnoszą się do pewnych całości społecznych, wyodrębnionych ze względu na określony typ czy fragment więzi społecznej istniejącej między elementami tych całości.

W przypadku grupy chodzi głównie o powiązania świadomościowe (znajomość) jak i – nieco wężziej – o powiązania wynikające z poczucia

łącności, poczucia przynależności do tej samej całości społecznej. W odniesieniu do instytucji idzie o powiązanie trwałe i usankcjonowane. Powiązania grupowe wraz z powiązaniami instytucjonalnymi nie wyczerpują wszelkich kategorii powiązań zachodzących między osobnikami. Pojęciem obejmującym wszelkie całości społeczne niejednostkowe, niezależnie od typu występujących w nich powiązań, jest pojęcie systemu społecznego.

Właściwie terminu „system społeczny” w szerszym znaczeniu można używać zamiennie z określeniem „całość społeczna złożona z wzajemnie powiązanych elementów”. Systemem społecznym nie będzie tylko taki zbiór czy taka kategoria społeczna, między których elementami nie zakłada się żadnych związków, a wyodrębnia się je ze względu na posiadanie jakiejś cechy.

Każda zatem grupa społeczna i instytucja społeczna (przy pewnym jej rozumieniu) będą systemami społecznymi. Nie każdy natomiast system społeczny będzie grupą społeczną. Nie będzie nią wtedy, gdy wśród powiązań międzyosobniczych nie będą występowały styczności ani poczucie łączności (Stasiak 1975: 45 i n.).

Rozpatrując rodzinę małą jako system społeczny, zwracamy uwagę na charakter wszelkich powiązań występujących między jej członkami. Możemy zatem objąć tym pojęciem rodziny, w których nie istnieje np. poczucie łączności lub występują powiązania w niewielkim tylko stopniu zinstytucjonalizowane. W ogóle możemy rozpatrywać rodzinę jako pewną całość społeczną ze względu na powiązania wynikające z zachowań niezamierzonych, w wielu przypadkach nieuświadomionych i przez członków nierozpoznanych. Interakcje zachodzące w rodzinie możemy badać na różnych poziomach.

Rodzinę schizofreników np. można ujmować jako system społeczny, a mielibyśmy trudności z ujęciem jej jako grupy społecznej lub instytucji. Odnosić się to może również do wszelkich rodzin tzw. nietypowych (tamże: 48).

Podejście systemowe stało się w pewnym sensie odpowiedzią na konieczność zmiany sposobu myślenia i innego ujmowania świata. Konieczność ta wynika z zachodzących we współczesnym świecie przemian, które obejmują wszystkie dziedziny życia. Podejście systemowe jest metodą spojrzenia na świat, metodą jego opisu i równocześnie zakłada, że świat posiada systemowe własności.

W wielu dyscyplinach równocześnie i niezależnie od siebie narodziła się potrzeba jednolitego ujęcia systemowego. Za twórcę ogólnej teorii systemów uznano Ludwiga von Bertalanffy'ego. Był on z wykształcenia biologiem, rozpoczął swoje prace w latach dwudziestych w Wiedniu. Wynikała z nich wyraźna potrzeba integracji wiedzy pochodzącej z różnych dziedzin. Bertalanffy przedstawił swoje koncepcje dotyczące podejścia systemowego po raz pierwszy publicznie w 1937 r. na seminarium filozoficznym profesora Charlesa Morrisa na Uniwersytecie w Chicago. Jednak jako datę powstania ogólnej teorii systemów przyjmuje się rok 1954, w którym Bertalanffy założył Society for General Systems Research. Teoria systemów rozwijała się szybko i wkroczyła prawie we wszystkie dziedziny nauki i życia. Główną zaletą ujęcia nauki stworzonego przez Bertalanffy'ego jest to, że pozwala ono łączyć pozornie niepowiązane zjawiska oraz zrozumieć to, w jaki sposób ze sobą współdziałają.

Pojęcie systemu odnosi się w równej mierze do zjawisk natury jak i samego człowieka. Ogólna teoria systemów koncentruje się na odkrywaniu funkcjonalnych strukturalnych zasad, które są istotne dla wszystkich systemów, niezależnie od ich elementów składowych, w celu stworzenia modeli mogących umożliwić opis przyrody i społeczeństwa.

System (gr. *systema* – złożona rzecz) jest to uporządkowana kompozycja elementów tworząca spójną całość (za Drożdżowicz 1994). Całość ta nie jest zwykłą sumą jej części. Ważną właściwością systemu jest to, że jakakolwiek zmiana w jakiejś części systemu wpływa na pozostałe jego części. Z tym wiążą się także takie zasady funkcjonowania systemu jak ekwipotencjalność (przyczyny wywodzące się z tego samego źródła mogą powodować różne skutki) i ekwifinalność (wychodząc z różnych źródeł można dojść do tych samych rezultatów). Kiedy połączymy obie zasady, dojdziemy do wniosku, że zależności pomiędzy przyczyną a skutkiem nie są proste i jednoznaczne.

Pojęcie systemu jest pojęciem względnym; nierozzerwalnie związane jest z nim pojęcie otoczenia systemu. Otoczenie jest to fragment rzeczywistości, który nie jest systemem, a z którym system ten wchodzi lub może wchodzić w jakieś relacje.

System zawsze współistnieje z innymi systemami i można powiedzieć, że każdy system należy do systemu szerszego, tworząc razem tzw. ekosystem.

Systemy możemy podzielić na dwie grupy (za Drożdżowicz 1994):

- 1) Systemy otwarte, czyli takie które wymieniają energię z otoczeniem. Systemy te mają tendencję do podtrzymywania uporządkowania. Systemami otwartymi są wszystkie tzw. systemy żywe.
- 2) Systemy zamknięte, czyli takie które działają w obrębie swych nieprzenikalnych granic. Nie przyjmują one niczego z zewnątrz i dlatego też możemy mówić tu o tendencji do dezorganizacji.

Inną charakterystyczną cechą systemu jest to, że elementy tworzące całość wzajemnie na siebie oddziałują, pozostając w dynamicznej równowadze. Te elementy i relacje zachodzące między nimi tworzą strukturę systemu. Struktura ta wyznacza jego funkcje wraz z dopuszczalnym dla danego systemu zbiorem działań.

Aby system zachował swą tożsamość, musi zachować pewną określoną stałość struktury. Obowiązuje tu zasada mówiąca, że małe zmiany w strukturze systemu prowadzą do małych zmian w zachowaniu systemu.

Każdy system ma jakieś powody, dla których istnieje oraz cele, które stara się osiągnąć. Na przykład rodziny istnieją, by zapewnić socjalizację dzieciom, zaspokajając potrzebę intymności swoich członków itp. Brak celów wpływa demoralizująco na system, a ich wyraźne określenie sprzyja podejmowaniu decyzji dotyczących działań. W trakcie istnienia systemu rozwijają się przekonania jego członków na temat tego, co jest dla niego ważne i pożądane. Przekonania te osadzone są w jego tradycjach i ceremoniach. Pomagają one systemowi w wyznaczaniu kierunków działań, a także zwiększają poczucie przynależności i spójności. Systemy rozwijają wzorce relacji pomiędzy swymi uczestnikami. Wzorce te mogą być stabilne, mogą jednak ulegać zmianie wraz z rozwojem systemu. W ujęciu systemowym proces to zmiany zachodzące w warunkach systemu wraz z upływem czasu.

Podejście systemowe to podejście holistyczne, gdyż główną tezą wspólną teorii rodzinnych wychodzących z założeń systemowych jest twierdzenie, że system należy traktować jako całość i nie może być on zrozumiany poprzez izolowaną analizę jego części składowych. Założenie to jest znane z psychologii postaci, gdzie całość jest czymś innym niż suma części na nią się składających. Własności systemów ludzkich wynikają zatem z wzajemnych interakcji między członkami systemu. W rozumieniu systemowym rodzina jako całość nie jest prostą sumą niezależ-

nych jednostek wchodzących w jej skład, lecz całością tworzącą nową jakość, której poszczególne elementy wchodzą ze sobą w interakcje. Aby zatem poznać rodzinę, ocenić jaka jest naprawdę, trzeba zarówno poznać jej poszczególnych członków, jak i znać funkcjonowanie systemu jako całości.

Salwador Minuchin określił rodzinę jako system działający w konkretnym kontekście społecznym. System ten charakteryzuje się trzema ważnymi właściwościami:

- 1) jest otwartym socjokulturowym systemem, który podlega stałym zmianom,
- 2) rozwój rodziny przebiega etapowo, a każdy etap wymaga zmiany struktury rodziny,
- 3) rodzina posiada zdolność przystosowania się do zmieniających się warunków, zachowując jednocześnie ciągłość i zdolność zapewnienia psychospołecznego rozwoju każdemu z jej członków.

Rodzina jako system działa według zasad, które warunkują interakcje między członkami rodziny. W każdej rodzinie wytwarzają się określone wzory wzajemnych interakcji. Istnieją dwa systemy podtrzymujące dany układ reguł rodzinnych:

- 1) system zasad uniwersalnych, dotyczących tego, w jaki sposób rodzina ma być zorganizowana (odnosi się to do pojęcia hierarchii, pozycji i funkcji w rodzinie),
- 2) system zasad, które dotyczą postępowania członków rodziny; działają one tylko w konkretnej rodzinie i tylko dla niej są właściwe.

Zadaniem tych dwóch systemów jest zapewnienie tożsamości rodziny. Każda rodzina dąży do jak najdłuższego utrzymania ustalonych reguł i jej reakcją na zbyt duże zmiany jest opór. Jednak rodzina funkcjonuje w szerszym systemie społecznym. System rodzinny musi być stabilny, aby mógł przetrwać, ale równocześnie dostatecznie elastyczny, aby przystosował się do wymogów otoczenia i do zmian rozwojowych wewnątrz samej rodziny.

Rodzina rozumiana jako system realizuje dwa podstawowe cele: zaspokojenie indywidualnych potrzeb jej członków oraz wypełnianie zadań społecznych. Leon Dyczewski (1981) określił rodzinę mianem miejsca odnajdywania siebie i opisał ją jako korelat czterech systemów (układów) postaw, które najpełniej ukazują sposób realizacji wyżej wymienionych celów rodziny.

- 1) Pierwszym systemem jest system postaw miłości. Jedną z podstawowych cech człowieka jest jego zdolność do kochania kogoś innego i zdolność ta może zostać w pełni zrealizowana w małżeństwie i rodzinie. Postawa miłości sprawia, że rodzina staje się jednością, gdzie jeden członek służy drugiemu w miarę potrzeb i możliwości. Najważniejsze dla miłości rodzinnej jest poczucie każdego członka rodziny, że to on właśnie znajduje się w centrum uwagi i na niego są skierowane wysiłki innych.
- 2) System uzupełnień i dominacji tkwi w systemie postaw miłości. Istotną tu jest różnorodność potrzeb członków rodziny i odmiennosc wartości wyznawanych przez poszczególne osoby. Odmiennosc ta wypływa z różnicy płci, predyspozycji psychicznych, zdolności, zamiłowań, wieku, środowiska pochodzenia, wychowania. Ludzie tworzący własną rodzinę nie zatracają swej indywidualności, przeciwnie, wnoszą do rodziny osobiste doświadczenia życiowe, cechy osobiste i cechy swego środowiska. W wyniku tego wytwarza się nowa rzeczywistość rodzinna będąca jednością powstającą z wielości. W tej rodzinnej jedności istnieje wzajemne podporządkowanie się osób i to stanowi system dominacji. Głównymi podstawami istnienia tego systemu są płeć i wiek, jednakże nie jest to system odgórnie ustalony i kształtuje się wraz z procesami poznawania się członków rodziny. Autorytet w rodzinie posiada ta osoba, która więcej i lepiej służy rodzinie, a głos decydujący w konkretnej sprawie należy do osoby, która jest lepiej zorientowana i potrafi ją załatwić. Głównym systemem dominującym w rodzinie jest system rodzicielski. Dzisiejsi rodzice dominują nad dziećmi w sposób bardziej elastyczny, to znaczy, że rodzice w większym stopniu respektują indywidualność dziecka.
- 3) Rodzinę można postrzegać jako system socjalizacji. System ten tworzą realizowane wartości, normy, pisane i niepisane prawa, wzory postępowania, zwyczaje, mechanizmy kontroli, rodzaj kar i nagród. Normuje on życie wewnętrzne rodziny, jej stosunek do społeczeństwa, jednocześnie wprowadzając dzieci w świat wartości stosunków społecznych. Socjalizacja obejmuje całość rodziny i dzięki temu rodzina znajduje się w centrum przemian kulturowych, żywo w nich uczestnicząc i zdobywając tym samym gwarancję trwałości i kontynuacji kulturowej.
- 4) Czwartym systemem jest system wspólnego działania. Różnorodność potrzeb członków rodziny oraz niejednakowe rozumienie przez nich zadań wymaga przekształcenia celów indywidualnych w cele wspólne

dla wszystkich członków rodziny. Osiągnąć to można poprzez uzgodnienia i negocjacje. Proces uzgodnień to wymiana informacji o tym, jak partnerzy postrzegają sami siebie, swoje potrzeby, swoje rozumienie zasad i jak postrzegają się wzajemnie. Ponieważ potrzeby wciąż podlegają zmianom i rozwijają się, to i system ten wykazuje duży dynamizm. W sytuacjach kryzysowych i zagrożenia ma on wyjątkową siłę i skuteczność, przejawiającą się w solidarności członków rodziny dążących do pozytywnego rozwiązania problemów.

Systemy wyżej wymienione występują łącznie, wzajemnie się uzupełniając. Z reguły jeden z nich dominuje nad pozostałymi, nadając charakter atmosferze życia rodzinnego. Dominujący system decyduje o rodzaju więzi panującej w życiu konkretnej rodziny. I tak, jeśli dominuje system postaw miłości, to w rodzinie panuje zdecydowanie więź osobowa przejawiająca się częstymi przepojonymi uczuciem kontaktami, ciepłą atmosferą, bezpośredniością i intymnością. Jeżeli zaś w rodzinie dominuje któryś z pozostałych trzech systemów, wówczas pomiędzy członkami panuje więź strukturalno-funkcjonalna lub więź kulturowa.

Rodzina może być solidarną grupą nastawioną na realizację wspólnych celów, może osiągać coraz wyższy standard życia, coraz wyższą pozycję społeczną. Jednak jeżeli będzie ona charakteryzowała się chłodniejszą atmosferą, to w rezultacie będzie mniej atrakcyjna dla swych członków niż w przypadku rodziny, w której dominuje system postaw miłości. Ogólny klimat rodziny zależy zatem od dominacji któregoś z wyżej wymienionych systemów. Klimat ten stanowi efekt wieloletniego wspólnego współżycia i jest charakterystyczny dla konkretnej rodziny.

Według Minuchina rodzina rozwija własne podsystemy, które wspierają realizację jej podstawowych funkcji. Cały system rodzinny podzielony jest na różne subsystemy. **Trzema głównymi podsystemami są: podsystem małżeński, podsystem rodzicielski i podsystem dzieci.** Poszczególni członkowie podsystemów mogą łączyć się ze sobą dla wykonania różnych zadań. Subsystemy powstają ze względu na generacje, wspólny interes, rodzaj zadań. Jedna osoba może odgrywać kilka ról w różnych podgrupach. Granice interpersonalne są niewidzialnymi barierami, które otaczają podsystemy i całą rodzinę, regulując liczbę kontaktów z innymi. Służą one ochronie odrębności i autonomii poszczególnych subsystemów. Granice interpersonalne mogą być sztywne, zatarte i jasne.

Dla właściwego funkcjonowania rodziny podstawowe znaczenie ma jasność granic między podsystemami. Granice powinny umożliwiać członkom poszczególnych podsystemów spełnianie należnych funkcji, bez zakłócającego wpływu członków z innych podsystemów. Jasne granice pozwalają na wzajemne zrozumienie, wymianę serdecznych uczuć i realizowanie własnych pasji.

Zbyt sztywne granice między podsystemami przejawiają się małą liczbą kontaktów. Takie granice pomiędzy podsystemem rodziców a podsystemem dzieci prowadzą do izolacji dzieci, zbytniej ich swobody, braku kontroli, a z drugiej strony do zbyt małej ilości ciepła, opieki i wsparcia. W momencie kryzysu wzajemna pomoc w tych rodzinach udzielana jest ze zbyt dużym opóźnieniem. System o zbyt sztywnych granicach nazywany jest niezaangażowanym, a rodziny o takim systemie nazywamy niezwiązanymi.

Granice zatarte, zbyt płynne, przejawiają się bardzo dużą liczbą kontaktów, szybkim reagowaniem emocjonalnym, współbrzmieniem z osobami z innego podsystemu. Rodzice w takich rodzinach dostarczają dzieciom dużo uwagi, zrozumienia, ciepła, ale dzieje się to kosztem autonomii dzieci. Mają one kłopoty z nawiązywaniem kontaktów z ludźmi spoza rodziny i źle czują się same z sobą. Na kryzys dziecka rodzice reagują bardzo szybko, lecz często zbyt emocjonalnie, mało racjonalnie i w efekcie podejmują wiele chaotycznych działań. System o zbyt płynnych granicach nazywany jest systemem splątany, a rodziny określa się jako zmieszane.

Podsystem małżeński – dwoje ludzi, którzy wiążąc się, tworzą nową rodzinę, musi wypracować własny styl wzajemnych relacji. Muszą równocześnie nauczyć się współpracy i tolerancji dla swojej odmienności, prawa prywatności i niezależności. Podsystem ten może być źródłem wzajemnego podtrzymywania się obojga i sprzyjać rozwojowi każdego z nich, a z drugiej strony może utrwalać niekorzystne i dysfunkcjonalne cechy interakcji. Ważną rzeczą dla podsystemu małżeńskiego jest umiejętność ustalenia granic, które chronią go przed nadmiernie ingerującym wpływem środowiska.

Podsystem rodziców – wraz z przyjściem na świat pierwszego dziecka struktura rodziny zmienia się. Jest to trudny okres dla małżonków, ponieważ muszą podjąć nowe obowiązki związane z dzieckiem, a jednocześnie powinni stanowić wzajemne wsparcie dla siebie. Rodzicielstwo to trudne zadanie zobowiązujące rodziców do zrozumienia zmieniających się potrzeb

ich dzieci i do stawienia czoła zmiennym wpływom środowiska. Ochrona, którą rodzice starają się zapewnić dzieciom nie może obyć się bez kontroli i ograniczeń, dzieci zaś, chcąc dorastać i stawać się niezależnymi, muszą przeciwstawiać się naciskom i walczyć o własne racje.

Podsystem dzieci. W podsystemie rodzeństwa dzieci uczą się nawiązywania relacji z rówieśnikami, sposobów rozwijania przyjaźni, radzenia sobie z nieprzyjaciółmi, próbują współpracować i walczyć o zwycięstwo. Uznanie autorytetu to wstęp do nauki prowadzenia negocjacji w różnych sytuacjach społecznych.

Rodzina to system, którego naturą jest natura jednostek tworzących ten system. Jak pisze F. Adamski, rodzina wymaga od swych członków integralnego zespolenia celów i dążeń, podejmowanych dobrowolnie, a jednocześnie z poczuciem wewnętrznej konieczności (Adamski 1984).

Prawidłowo funkcjonujący system rodzinny ma tendencję do zachowania równowagi, dzięki której utrzymuje własną tożsamość. To dążenie do zachowania równowagi i *status quo* określane jest mianem **homeostazy rodzinnej**. Utrzymanie równowagi jest jednym z elementów wpływających na poczucie bezpieczeństwa członków rodziny, a szczególnie dzieci, które są niezwykle czułymi odbiorcami komunikatów świadczących o zaburzeniu równowagi rodziny i występujących w niej konfliktów, szczególnie w podsystemie małżeńskim. Nadmiernie silna tendencja do utrzymania homeostazy jest jednak szkodliwa, gdyż zbyt sztywne trzymanie się utartych sposobów reagowania uniemożliwia zmiany, które są motorem rozwoju.

Ważną cechą systemu rodzinnego jest jego dążenie do przetrwania, mogące przybierać dwojaką postać – po pierwsze, dążenia do samostabilizacji systemu, po drugie tendencji do jego zmiany, pozwalającej na stworzenie nowej jakości w systemie rodzinnym. Zdrowa rodzina zachowuje równowagę pomiędzy dążeniem do utrzymania *status quo* a tendencją do zmian wynikającą z konieczności dostosowania się do otaczającego środowiska i przechodzenia przez kolejne fazy cyklu życia rodziny.

Teoria systemów rodzinnych proponuje, aby ujmować zależności między zjawiskami, bazując na zasadzie **cyrkularności**. Jednym z najważniejszych pojęć opisujących dynamikę rodziny jest pojęcie pętli sprzężenia zwrotnego przeniesione do nauk społecznych z cybernetyki, oznaczające zastąpienie liniowej zależności przyczynowo-skutkowej zależnością o charakterze cyrkularnym. System ma więc charakter dynamiczny, gdyż

zmiany w zachowaniu jednego członka rodziny wpływają na zachowanie innych i na funkcjonowanie systemu jako całości.

Oddziaływania te nie mają charakteru linearnego, tzn. nie można jednoznacznie wyodrębnić przyczyny i skutku, ponieważ układ wzajemnych powiązań rodzinnych jest tak skomplikowany, że to, co wydaje się przyczyną, może okazać się skutkiem uprzednich interakcji. Sprzężenie zwrotne jest zamkniętym okręgiem, po którym krążą informacje w systemie, np. atmosfera rodzinna wpływa na ocenę zadowolenia z rodziny, co wpływa na pozytywne lub negatywne spostrzeganie wzajemnych postaw członków rodziny, a to z kolei ma decydujący wpływ na atmosferę rodzinną.

Ogólna teoria systemów została w latach 70. wykorzystana do wyjaśnienia procesów zachodzących w rodzinie. Ten nurt teoretyczny zmienił orientację z nastawienia indywidualnego – na jednostkę – na nastawienie holistyczne, uwzględniające cały system rodzinny. Nurt ten przyczynił się do rozwoju terapii rodzinnej i wielu terapeutów zaczęło myśleć o rodzinie w kategoriach systemu.

Popularny stał się nurt antypsychiatrii, którego główny przedstawiciel T. Szasz negował istnienie patologii indywidualnej i wskazywał na ważną rolę rodziny w etykietowaniu swoich członków jako dewiantów po to, aby sprawować nad nimi kontrolę. Nurt ten zalecał np. terapię rodzinną w narkomanii. Większość współczesnych teorii wywodzących się z terapii rodzinnej oparta jest na podejściu systemowym. W latach 80. pojawiło się wiele badań uwzględniających podejście systemowe zarówno w zakresie socjologii rodziny, jak i terapii rodzinnej. Terapia ta wynikała z założenia, że zaburzenia zachowania poszczególnych członków rodziny stają się elementem łańcucha wzajemnie warunkujących się działań wszystkich członków rodziny i są rozpatrywane jako konsekwencje wadliwego funkcjonowania całego systemu. Zachowania objawowe nie mogą ulec zmianie, jeśli nie zmieni się całego systemu.

Zwolennicy systemowego podejścia do rodziny stoją na stanowisku, że system rodzinny często podtrzymuje symptomy patologiczne u swych członków, gdyż jest to funkcjonalne dla rodziny i pozwala utrzymać jej równowagę. W tym sensie symptomy pełnią funkcję stabilizującą system. Zaburzenia jednostki są tu nie tyle wynikiem jej właściwości intrapsychicznych, ile skutkiem zaburzeń funkcjonalnych systemu rodzinnego. Aby zatem zrozumieć zachowanie jednostki, należy je traktować jako część

szerszych sekwencji składających się na cały układ interakcji między członkami rodziny i badać te wzajemnie oddziałujące na siebie sekwencje.

Zgodnie z założeniami systemowymi każdy symptom ma swój głęboki sens i jest sposobem przystosowania się jednostki do sytuacji życiowej. Symptomy pojawiają się wtedy, gdy sytuacje stają się psychologicznie nie do zniesienia. Nie mogąc zmienić dotychczasowych relacji z innymi członkami systemu, jednostki zmieniają swoje zachowanie wykształcając symptom, którym mogą być różne zachowania zaburzone, np. agresywność, przestępczość czy narkomania.

Podstawowym podsystemem rodziny jest podsystem małżeński, pełniący najważniejszą rolę w utrzymaniu jej stabilności. Jeśli w parze tej występują ostre lub przewlekłe napięcia, małżonkowie mogą wejść w konflikt, walcząc o władzę w rodzinie. Jeden z małżonków, dla dobra rodziny, może podporządkować się drugiemu, prezentując objawy, które usprawiedliwiają zmianę jego pozycji w rodzinie. Oboje rodzice wobec nierozwiązanego konfliktu koncentrują się na dziecku, wciągając je w pole tego konfliktu i mogą zawierać z nim koalicje, skierowane przeciwko sobie wzajemnie. W ten sposób tworzą się trójkąty rodzinne pozwalające małżonkom skoncentrować się na problemach trzeciej osoby. Dziecko, jako najstarszy element systemu, jest najczęściej traktowane jako kozioł ofiarny lub „delegat w chorobę”. dzieci z objawami psychopatologicznymi nie są traktowane jako ofiary relacji między małżonkami, lecz jako osoby włączone w system wzajemnych rodzinnych interakcji i podtrzymujące ten system. Uczą się one, że jedynym sposobem zwrócenia na siebie uwagi jest sprawianie sobą kłopotu. Zaburzone zachowanie jest sposobem na przywrócenie równowagi w rodzinie poprzez skoncentrowanie rodziców na problemie dziecka, co obniża napięcie i odwraca ich uwagę od nierozwiązanego konfliktu. Proces ten jest podstawą tworzenia się pętli sprzężeń zwrotnych, mogących prowadzić do patologii. Inni członkowie rodziny zaczynają postępować według tego samego wzoru. Te powtarzające się sekwencje zachowań nazywane są czasami „tańcem rodzinnym”, w którym poszczególni członkowie mają rozpisane role (zob. Józefik 1994).

4. Rodzina jako uniwersalny mikroświat człowieka

Socjologowie rodziny zgodnie stwierdzają, że obecnie człowiek posiada silniejszą niż dawniej tendencję do zakładania rodziny, chociaż równocześnie i silniejszą tendencję do jej rozwiązywania (zob. Dyczewski 1994). Wyjaśnienia poszukują oni w cechach dzisiejszego technokratycznego społeczeństwa. Jedną z tych cech jest zagubienie i poczucie osamotnienia. Wynika ono z faktu, że stosunki pomiędzy ludźmi zatraciły wartość, którą posiadają same w sobie, a stały się środkiem osiągania pieniędzy, władzy i sukcesu. Wśród wymogów punktualności, identyczności zachowań, ich przewidywalności i skuteczności człowiek czuje się samotny pomimo licznych technicznych więzi i kontaktów z innymi. Z tą samotnością bardzo silnie związane jest poczucie ograniczenia. Człowiek działa w skomplikowanym systemie, a przez to żyje tylko fragmentarycznie, w pośpiechu, szarpany ambicjami i konfliktami. Wszystko ma z góry zorganizowane i zaplanowane. Jest podporządkowany drobiazgowo przemyślanemu planowi, a przez to mocno ograniczony w swojej wolności i w swoich decyzjach. Świetnie oddaje to pojęcie „makdonaldyzacji” codziennego życia (Ritzer 1997). Najważniejszym kryterium oceny jest ostateczny efekt. Tworzy się w ten sposób szczególny rodzaj moralności, której kryteria nabierają cech pragmatycznych. Kształtuje to postawy zagrożenia, frustracji i agresywności. Na poszczególnych szczeblach zinstytucjonalizowanego systemu społecznego człowiek traktowany jest jako środek realizowania z góry zaprogramowanych celów.

Odrutkę na te zjawiska i stany można znaleźć bądź w różnych formach ucieczki od społeczeństwa, często przybierających formę patologii społecznej, bądź też w identyfikacji z małymi grupami, w których wartościowe jest już samo przebywanie z drugim człowiekiem. I do takich grup przede wszystkim należy rodzina, która z założenia jest systemem postaw miłości (Dyczewski 1994).

Postawa wzajemnej miłości sprawia, że członkowie rodziny tworzą grupę, w której jeden służy drugiemu, nie pytając co za to otrzyma. W tej to grupie również nie tyle jest ważne, co dany człowiek posiada lub co może, lecz kim jest dla pozostałych jako osoba. Najważniejsze jest to, że jednostka czuje, że na nią skierowane są wysiłki i troski innych, że znajduje się w centrum zainteresowania całej rodziny. I trzeba przyznać, że dopiero

współczesna rodzina najbardziej się zbliża do tej sytuacji. W rodzinie najważniejsza jest osoba, w społeczeństwie indywidualny lub zbiorowy sukces. Cele społeczeństwa (lub instytucji) osiąga się kolektywnie, ale wycinkowo. Rodzina nastawiona jest na osiągnięcie celów osobowych realizowanych całościowo.

Te i wiele innych czynników sprawiają, że świat małżeńsko-rodzinny pozostaje dla człowieka atrakcyjny. Jednostki mogą czuć się jak twórcy i kierownicy tego świata. Ten mikroświat można też „zabrać ze sobą” wszędzie, gdziekolwiek pociągną jednostkę warunki, lepsza praca, szersze możliwości itp. Tutaj również trzeba przyznać, że dopiero współczesna rodzina mała zbliża się najbardziej do cech tego mikroświata.

Dlatego spróbujemy teraz spojrzeć na rodzinę w sposób maksymalnie uniwersalny, tak aby wykazać, że można w niej odnaleźć źródła norm moralnych oraz elementarnych zasad życia społecznego w ogóle, że stanowi ona uniwersalny mikroświat społeczny człowieka. W tym kontekście należy podkreślić następujące jej cechy:

- 1) Rodzina jest pierwotną i podstawową instytucją społeczną. Jej istnienie poprzedziło powstanie wszelkich innych typów organizacji społecznej oraz instytucji. Żadne państwo, żadne prawo ani instytucja nie stworzyły rodziny i małżeństwa – dlatego po prostu, że rodzina jest starsza od wszelkich instytucji, od narodu i państwa, starsza od samego społeczeństwa wreszcie. To właśnie państwo oraz jego instytucje – podobnie jak wszelkie zasady ładu społecznego – zawdzięczają swój początek rodzinie, nie odwrotnie. Sytuacja pozornie prosta i oczywista, często jednak – szczególnie w celach propagandowych – wykorzystywana do akcentowania odwrotnej zależności.
- 2) Rodzina stanowi uniwersalną formę życia w wymiarze całej ludzkości. Etnologia nie zna społeczeństwa ani w retrospektywie historycznej, ani obecnie, w którym by nie istniała rodzina. Teorie ewolucjonistyczne Bachofena, Morgana, Engelsa i innych, głoszące rozwój rodziny od pierwotnej hordy cechującej się bezładem płciowym, poprzez różne formy zbiorowych i grupowych małżeństw aż do rodziny monogamicznej i patriarchalnej – zostały całkowicie przez naukę obalone.
- 3) Społeczna misja rodziny wyraża się przede wszystkim nie w zapewnieniu trwałości gatunku, bo taką trwałość zapewnić mogłaby żywiołowa czy stadna prokreacja, lecz w tym, że stanowi ona fundament, warunek i wzo-

rzec społecznego ładu oraz *sui generis* wspólnotę (jedność) leżącą u podstaw rozwoju kultury w ogóle.

- 4) Rodzina w zależności od społeczeństwa, w którym występuje, posiada różne formy, różny zakres i kształt, ale stanowi zawsze swoistą całość, swoistą jedność o wyraźnie określonych cechach, które decydują o jej wewnętrznej spójności i odrębności. Ta wspólnotowa jedność rodzinna obejmuje biologiczne, psychiczne, kulturowe i społeczne aspekty życia. Jest to wspólnota, w której przychodzi się na świat, uzyskuje tożsamość oraz kształtuje podmiotowość. Wynika to z faktu, że biologiczne rodzicielstwo musi zostać dopełnione rodzicielstwem duchowym, kulturowym, społecznym i materialnym. Dlatego w tej właśnie wspólnotocie emocjonalne zaangażowanie na ogół dominuje nad formalnie pojętym obowiązkiem, a poświęcenie nad używaniem. Relacje w rodzinie opierają się przede wszystkim nie na tym, co poszczególne jej członkowie posiadają, lecz na tym, czym i kim są dla siebie wzajemnie. Bez tej swoistej wspólnoty rodzina byłaby tylko sumą fizycznie podobnych jednostek, nie zaś społeczną i podmiotową jednością. Jedność ta jest dla funkcjonowania rodziny tak ważna, że wszędzie zapewniają ją określone systemy normatywne właściwe danemu społeczeństwu. Znajduje to także swój wyraz w takich określeniach jak: „ognisko domowe”, „gniazdo”, „moja połowa”, „*communio personarum*” itp. Oznacza to, że jednostka rezygnuje z części swojej osobowości, swojego „ja”, na rzecz nowego podmiotu – „my”.
- 5) Kolejną uniwersalną cechą rodziny jako swoistej jedności i wspólnoty jest jej wyraźnie określona struktura i wewnętrzne relacje w płaszczyźnie: małżeństwo – rodzice – dzieci – krewni. Poszczególne role w rodzinie z natury swojej są niezamienne. Niemożliwe jest dla danego członka rodziny występowanie w obrębie rodzinnej wspólnoty raz w takiej, raz w innej roli. Mąż pozostaje mężem, ojciec ojcem, matka matką, potomstwo potomstwem itp.

Dla ilustracji tego stanu rzeczy można przytoczyć fakt, że w różnych kulturach istnieją różne ograniczenia i zakazy oraz różny stopień tolerancji lub akceptacji zjawisk budzących w nas moralny sprzeciw. Są kultury, w których akceptowana była lub jest niewierność małżeńska, dzieciobójstwo, homoseksualizm, sodomia, poliandria itp. Nauka nie zna jednak kultury, w której nie istniałby zakaz kazirodztwa, czyli utrzymywania stosunków seksualnych pomiędzy najbliższymi krewnymi (pomijamy w

tym miejscu nieliczne przypadki kazirodztwa rytualno-obrzędowego). Zakaz ten jest tak powszechny w czasie i przestrzeni, że określa się go jako „tabu”. Oczywiście fakty kazirodztwa zdarzają się i u nas, i gdzie indziej. Traktowane są też z różnym stopniem tolerancji. Nigdzie jednak nie występują jako uznana forma współżycia. Określenie tego zakazu jako „tabu” oznacza, że funkcjonuje on pomimo trudności w uzasadnieniu lub wyjaśnieniu, dlaczego tak jest. My obecnie wiemy, że jest to zakaz racjonalny z punktu widzenia np. genetyki. Problem w tym jednak, że istniał on od najdawniejszych czasów oraz istnieje i dziś w takich społecznościach, które nie mają o genetyce żadnego pojęcia. Nawiasem mówiąc – fakt ten przemawia przeciwko teoriom głoszącym występowanie w przeszłości bezładu płciowego oraz „rodziny kazirodczej”.

Z punktu widzenia nauk społecznych uważa się, że kazirodztwo wprowadza w rodzinie – jako wspólnocie i podstawowym składniku struktury społecznej – zakłócenie i dezorganizację w układzie ról oraz w systemie pokrewieństwa i wzajemnych więzi łączących jej członków. Zakłóca ono także społeczną identyfikację osób należących do rodziny. Wymownym przykładem takiego zakłócenia ról w rodzinie może być sytuacja, w której żonaty mężczyzna przedstawiał dalszej rodzinie małego chłopca w następujący sposób: „to jest mój brat, syn mojej żony”, dając jasno do zrozumienia, że ojcem dziecka jego żony był teść, czyli jego ojciec. Jest to – należy podkreślić – całkiem prosta i nierzadka sytuacja. W bardziej drastycznych przypadkach ulega ona dalszej komplikacji.

Choć rodzina w oczywisty sposób występuje we wszystkich typach społeczeństw, nie jest łatwo udzielić odpowiedzi na pytanie, czym ona jest w swej istocie, czyli w sposób jednoznaczny ją zdefiniować. Wynika to z wielu różnorodnych przyczyn. 1) Po pierwsze z tego, że jej kształt jest zmienny historycznie i kulturowo oraz tak różny pod wieloma względami, jak różne są społeczeństwa, w których występuje. Wszędzie jednak rodzinę wyodrębnia się na podstawie stosunku małżeństwa i pokrewieństwa. 2) Po wtóre z tego, że funkcjonowanie rodziny znacznie nieraz odbiega od oczekiwań i norm uznawanych w danym społeczeństwie za obowiązujące. Społeczeństwo pozostawia rodzinie różny margines swobody co do sposobu realizacji jej funkcji, co powoduje, że odbiega ona mniej lub bardziej od modelu idealnego. Czasem margines ten musi zostać drastycznie przekroczony, aby pojawiła się ingerencja otoczenia lub instytucji sankcjonujących

obowiązujące rodzinę normy. 3) Po trzecie wreszcie z tego, że rodzinę zwykle definiuje się z punktu widzenia określonych zainteresowań bądź z punktu widzenia określonej dyscypliny naukowej, zajmującej się tylko pewnym aspektem jej życia i funkcjonowania. Definicje takie dają więc z natury rzeczy tylko częściowe odpowiedzi na pytanie: czym jest rodzina? W ten sposób definiują rodzinę prawo, psychologia, pedagogika, teologia itd. Ale gdybyśmy zsumowali elementy definicji i wyniki badań nad rodziną uzyskane przez te różne dyscypliny, nadal nie otrzymamy jasnej odpowiedzi, czym ona jest. Dowiemy się natomiast, że podstawą rodziny jest małżeństwo, ale występuje nieraz i pozamałżeńskie prokreacja, że rodzina pełni w społeczeństwie pozytywną rolę, ale czasem roli tej nie pełni, że jest wspólnotą wychowującą dzieci, ale często ten obowiązek zaniedbuje, że kształtują ją motywy uczuciowe, ale często także wyrachowanie itp.

Chcąc określić, czym jest rodzina, należy podjąć próbę zidentyfikowania tych czynników, które są bezwzględnie konieczne, aby rodzina była rodziną lub inaczej – których brak rodzinę unicestwia. A tych czynników jest w sumie niewiele – w odróżnieniu od czynników, również bardzo ważnych, ale drugorzędnych, decydujących o obliczu rodziny. Uznanie tego, co niekonieczne za czynnik konieczny powoduje, że nasze rozumienie rodziny jest niespójne lub wręcz błędne. Z kolei uznanie czynników koniecznych i niekoniecznych za równorzędne powoduje, że identyfikowanie tego, co czyni rodzinę rodziną, jest dowolną nominacją jakiegoś mniej ważnego czynnika konstytuującego rodzinę.

I tutaj właśnie tkwią przyczyny zasadniczego pomieszania pojęć sprawiające, że wspomina się już o rodzinach homoseksualistów lub innych tego typu związkach – nazwijmy to – alternatywnych wobec dotychczasowych form życia rodzinnego, także w końcu określanych mianem rodzin.

Nie wdając się w bardziej szczegółowe rozważania definicyjne, najogólniej można powiedzieć, że podstawowymi elementami rodziny są: a) osoby, b) relacja małżeństwa i/lub rodzicielstwa, c) swoistego rodzaju jedność wspólnotowa. A więc rodzina to grupa osób połączonych stosunkiem małżeństwa, rodzicielstwa (adopcji) oraz pokrewieństwa, które tworzą wspólnotę, stanowiącą punkt społecznego odniesienia i oddziałującą na siebie zgodnie z wyraźnie określonymi rolami.

W świetle powyższych ustaleń można stwierdzić, że rodzina jest uniwersalną formą życia społecznego. Na tej samej zasadzie, na podstawie

której podkreśla się pewne wspólne cechy czy atrybuty człowieka, mówiąc, że jest on: *sapiens, eloquens, faber, ludens* itd., można także powiedzieć *homo familiarus*.

W tym kontekście nie sposób nie wspomnieć lansowanej w latach 70. teorii rodziny socjalistycznej, co posiadało swój wyraz w nauczaniu przedmiotu pod nazwą: „przygotowanie do życia w rodzinie”. Skoro rodzina jest uniwersalną cechą, atrybutem człowieka – takim jak mowa, zabawa, myślenie, wytwarzanie narzędzi itp. – to nie może ona oczywiście podlegać klasyfikacji według kryteriów ideologiczno-ustrojowych. Również podstawowe jej funkcje, np. prokreacja, współżycie seksualne, socjalizacja, takiemu podziałowi się nie poddają; przypominałoby to bowiem dzielenie np. języków na socjalistyczne czy kapitalistyczne.

Pierwszorzędne znaczenie małżeństwa i rodziny jako instytucji wynika z faktu, że człowiek może być w sensie osobowościowym, podmiotowym i społecznym zrodzony przez rodzinę, a nie tylko przez materialną zbieżność współdziałania dwóch organizmów fizycznych, czyli przez sumę tego co męskie i żeńskie. Taka suma byłaby bowiem płaszczyzną tylko biologiczną, gatunkową, a nie wspólnotowo-osobową, czyli ludzką. Przy pominięciu tej jedności, która decyduje o całkowicie ludzkim charakterze podmiotu rodzącego, nie ma ściśle ludzkiej, tzn. etycznej relacji pomiędzy rodzicami a dziećmi; te ostatnie są w takiej sytuacji tylko przypadkowym rezultatem przeżyć płciowych.

We wszystkich społeczeństwach na straży owej jedności stoją odpowiednie normy. W żadnej kulturze małżeństwo nie było i nie jest sprawą osób wyłącznie zainteresowanych. Zawsze posiada ono różnie pojmowany wymiar społeczny. Wynika to z konieczności zapewnienia potomstwu legalnego czy prawnego pochodzenia, które sprowadzić można do genealogicznej określoności zrodzonych dzieci, możliwości ich identyfikacji oraz odpowiedniego uplasowania w strukturze społecznej.

Niemniej ważnym czynnikiem jest zalegalizowanie oraz społeczna legitymizacja wzajemnych uprawnień seksualnych małżonków. W ten sposób każde społeczeństwo rozciąga kontrolę nad dwiema niezwykle ważnymi dla niego sferami ludzkiej aktywności, a mianowicie: zaspokajaniem potrzeb seksualnych oraz prokreacją, czyli zapewnianiem sobie ciągłości biologicznej przy równoczesnym określaniu członkostwa społecznego każdego nowonarodzonego dziecka. Powszechnie oczekuje się też od małżeństwa przekazy-

wania potomstwu wartości kulturalnych oraz zapewniania realizacji jego materialnych potrzeb.

Z pojęciem małżeństwa łączone są także inne elementy, zadania i oczekiwania, których zakres i znaczenie określane są typem kultury, w której obrębie małżeństwa są zawierane i funkcjonują.

Z czysto socjologicznego punktu widzenia małżeństwo to pewien zespół środków instytucjonalnych, umożliwiających społeczeństwu realizowanie zadań związanych z prokreacją i socjalizacją (uspołecznieniem) swych członków oraz określających stosunki pokrewieństwa w ramach grupy, w tym przede wszystkim – przypisujących dzieciom ich rzeczywistych i domniemanych rodziców. Występują tu dwa elementy definicji: akcentuje się zespół zadań nałożonych przez społeczeństwo i powiązań oraz zobowiązań ludzi wykonujących te zadania.

Definicja ta – pomimo jej ściśle socjologicznych walorów – ujmuje społeczeństwo podmiotowo, małżeństwo zaś przedmiotowo, traktując małżonków jako środek do realizacji nałożonych na nie przez to społeczeństwo obowiązków. Tymczasem podmiotowość małżonków wyraża się już w momencie decyzji o zawarciu małżeństwa – w myśl starożytnej zasady „*consensus facit nuptias*”, czyli wzajemnego wyrażenia zgody – chociaż przyznać trzeba, że zgoda ta w różnych okresach i w różnych kulturach posiadała różny zakres dobrowolności i spontaniczności.

Słuszniej więc byłoby definiować małżeństwo jako dobrowolny, społecznie zalegalizowany (usankcjonowany) związek mężczyzny i kobiety, czyniący z nich wspólnotę podmiotową w celu spełnienia miłości w perspektywie osobowej i rodzicielskiej – ze wszystkimi tego faktu skutkami społecznymi. Ta wspólnota podmiotowa posiada szczególne znaczenie we wszystkich społeczeństwach i kulturach, dlatego mocno jest ona akcentowana już podczas ceremoniału zaślubin. Ceremoniał ów posiada różne formy zewnętrzne, które jednak zawsze mają niecodzienny charakter i w czasie których następuje usankcjonowanie – obojętnie: magiczne, religijne czy państwowe – nowego związku oraz podkreślenie powstania nowej wspólnoty.

Np. u Polinezyjczyków kandydaci do małżeństwa zupełnie otwarcie i bez gwałcenia jakichkolwiek norm obyczajowych współżyją ze sobą bez obowiązku dochowania wierności. Jednakże bardzo silne „tabu” zakazuje narzeczonej spożywania posiłków z narzeczonym w jego namiocie, bo-

wiem jest to zastrzeżone jako element ceremoniału zaślubin. Małżeństwo zostaje bowiem zawarte wówczas, gdy dziewczyna zaczyna prowadzić ze swym wybranym wspólne gospodarstwo domowe.

W starożytnej Grecji oblubieńcy rozpoczynali wspólne małżeńskie życie od rozpalenia ogniska i złożenia ofiar na specjalnie przystrojonym ołtarzu domowym. W Rzymie z kolei młodzi przechodzili wraz z orszakami weselnymi do mieszkania męża, gdzie panna młoda gościom oświadczała, że staje się „panią domu swego pana”; od tej chwili nabywała szerokie uprawnienia jako matrona.

W naszym kraju również w czasie uroczystości weselnych występowało i występuje dużo akcentów podkreślających początek wspólnoty małżeńskiej. Obyczaj jest różny i zależy od regionu. W dawniejszych czasach ta małżeńska wspólnota określana była wspólnotą łoża i stołu. Separacja od łoża i stołu – jak to określano – świadczyła o całkowitym rozkładzie pożycia małżeńskiego.

Tak więc nie przede wszystkim seks i łożo, ale wspólnota namiotu, ogniska domowego, stołu – czyli podmiotowa wspólnota mężczyzny i kobiety – decydują o istnieniu i trwaniu małżeństwa. I to, że ludzie wspólnie spędzają ze sobą czas w łożu dla nikogo jeszcze nie jest dowodem na istnienie wspólnoty.

Następnym elementem definicji małżeństwa jest spełnienie miłości w perspektywie osobowej i rodzicielskiej. Zagadnienie to nie jest łatwe do jednoznacznego ujęcia. Różne są formy małżeństwa, różne też pojmowanie samej miłości. Istnieją również związki zawierane z motywów pozauczuciowych oraz takie, które z różnych powodów nie realizują misji rodzicielskiej.

Z socjologicznego punktu widzenia można by opracować *continuum* charakteryzujące różne typy więzi małżeńskiej, od „mistycznej wspólnoty” do związków istniejących z czystego wyrachowania bądź egoizmu tylko jednej ze stron. Pomijając jednak skrajne, a więc nietypowe przypadki, trzeba stwierdzić, że jedność małżeńska, wyrażająca sens jedności ciała we wzajemnym uzupełnianiu się, stanowi formę istnienia ludzkości i należy do istotnych elementów natury ludzkiej. Bez tej jedności osobowo-podmiotowej współżycie małżeńskie ogranicza się do rozbieżnych akcji – metaforycznie ujmując – zarówno w „łożu” jak i „przy stole”.

Pozostaje wreszcie omówienie spełnienia miłości w perspektywie osobowej. Nie ma potrzeby ani nawet chyba sensu podejmowanie prób definiowania miłości. Bogata literatura poświęcona temu zagadnieniu pełna jest sprzeczności i nieporozumień. Można jednak stwierdzić – co dla naszych rozważań w zupełności wystarcza – że przejawem oraz miarą miłości jest fakt, że wspólna obecność kochających się nawzajem osób całkowicie im wystarcza i daje poczucie jakiejś pełni szczęścia. **To jest właśnie „zupełne” wystarczanie sobie osób. Wystarcza im tylko tyle i aż tyle, że są razem. Obdarowują się wzajemnie nie tym co posiadają, lecz przede wszystkim tym, czym są integralnie, fizycznie i duchowo.** To wzajemne obdarowywanie się sobą wynika z faktu, że po prostu istnieją i że – w ich przekonaniu – istnieją właśnie dla siebie. Że jest osoba, która może przyjąć miłość i nawzajem nią obdarować (zob. Gagacz 1981).

To podporządkowanie się miłości uwalnia osoby od podporządkowywania się sobie, które czyni często partnera tylko środkiem do egoistycznie pojmowanego celu. W takim ujęciu małżeństwo jest związkiem osób podporządkowanych nie sobie, lecz wspólnocie miłości jako celowi.

Realizacja zaś miłości w perspektywie rodzicielskiej, obejmująca akty współżycia płciowego, wiąże się nierozdzielnie – w odróżnieniu od gatunków zwierzęcych – ze współlistnieniem wymiaru etycznego, polegającego na świadomym wyrażaniu sensu rodzicielskiego, opartego na przeznaczeniu płci. Człowiek w określonych społecznie oraz wolitywnie warunkach może – zwierzę w sprzyjających mu obiektywnych okolicznościach musi. I ten sens rodzicielstwa opartego na świadomym przeznaczeniu płci zawiera społeczną legitymizację małżeństwa, która czyni je równocześnie ważną instytucją społeczną.

Małżeństwo i rodzinę jako instytucję analizuje się głównie przez pryzmat funkcji, które pełni ona w społeczeństwie. Różni autorzy i badacze przytaczają rozmaity zakres tych funkcji. Zależy to od szczegółowości ujęcia oraz zasięgu analizowanych problemów. Najogólniej rzecz biorąc, przez funkcje należy rozumieć określone zakresy skutków, które życie rodzinne wywołuje w szerszych układach społecznych.

Na ogół im bardziej społeczeństwo jest rozwinięte cywilizacyjnie, im szerszą posiada sieć instytucji wspomagających rodzinę, tym jej funkcje są mniej liczne, a niektóre ulegają daleko idącej redukcji. W naszym kraju zarówno rodziny wiejskie, jak i miejskie są zaskakująco wielofunkcyjne,

choć – w zależności od środowiska społecznego – różnicuje się tak zakres, jak i sposób wypełniania poszczególnych funkcji. Tak więc w rozważaniach nad nimi coraz częściej mówi się o ich modyfikacji, a nie zaniku. Jak słusznie podkreślają A. Dodziuk-Lityńska i D. Markowska, w odniesieniu do wielu funkcji stwierdza się dziś znamienne zjawisko. Z punktu widzenia ogólnospołecznego ulegają one wprawdzie redukcji, ale jako zadania i fakty życia wewnątrzrodzinnego są rozbudowane i intensyfikowane.

Zmiana instytucjonalnego kształtu współczesnej rodziny polega na ograniczeniu bądź zaniku dawnych rygorów instytucjonalnych zarówno w odniesieniu do zawierania małżeństwa, jak i sposobów funkcjonowania rodziny. Współczesne społeczeństwa cechuje wielka różnorodność form życia, różnorodność systemów wartości, upodobań itp. Tej różnorodności odpowiada także różnorodność form łączenia się ludzi w związki małżeńskie lub quasi-małżeńskie. Wizje realizacji szczęścia osobistego także różnią się nieraz znacznie między sobą. Zanikanie tradycyjnych, sztywnych reguł instytucjonalnych jest bez wątpienia wyrazem humanizacji indywidualnych dążeń jednostki do realizacji własnego kształtu życia osobistego i własnej wizji szczęścia. Problem jednak kryje się w zwiększonych możliwościach nadużywania innej osoby dla często egoistycznie traktowanych celów. Innym problemem jest potomstwo, które w sytuacji wolnych związków często nie uzyskuje odpowiedniego zabezpieczenia instytucjonalnego należnych mu praw. Generalnie rzecz biorąc, najwięcej niezinstytucjonalizowanych związków małżeńskich i rodzinnych występuje w społeczeństwach, w których poziom opieki socjalnej jest wysoki, a możliwości zaspokojenia elementarnych potrzeb stosunkowo łatwo dostępne (np. USA czy kraje skandynawskie). Tych krajów przede wszystkim dotyczą futurologiczne koncepcje związane z przyszłością rodziny. Czas zweryfikuje, w jakim stopniu są one słuszne. Na obecnym poziomie rozwoju naszego społeczeństwa pełna dezinstytucjonalizacja rodziny nie jest możliwa ze względu na groźbę zakłócenia istniejącego ładu w społecznej organizacji. Celem polityki społecznej jest takie wyważenie proporcji pomiędzy instytucjonalnymi i grupowymi aspektami rodziny, aby z jednej strony dawały jej duży margines niezależności i podmiotowości działania, z drugiej zaś zapewniały odpowiedni ład wewnętrznej organizacji społeczeństwa.

X ZAGROŻENIA DOTYCHCZASOWEGO WZORU MAŁŻEŃSTWA I RODZINY

1. Liberalizacja instytucjonalnych zabezpieczeń trwałości małżeństwa

Jak już wspomniano, małżeństwo i rodzina są najważniejszymi i najwcześniejszymi instytucjami, które wytworzyła ludzkość. Instytucje te z założenia i z powodu określonych wymogów czasu miały być trwałe.

Nim jeszcze powstało prawo pisane, w społeczeństwach pierwotnych działały normy porządkujące stosunki małżeńskie. Normy te dyktowało prawo zwyczajowe i nakazy religii, uzasadniały je ponadto przyczyny natury magicznej, religijnej i obyczajowej.

W starożytności pozycja małżonków była skrajnie nierówna, mąż cieszył się przywilejami, których żona była pozbawiona. Dotyczyło to również rozwodów – mąż, pan i władca decydował o losach małżeństwa, mógł je w każdej chwili rozwiązać.

Zdrada małżeńska zagrożona była karą śmierci, lecz nie dotyczyła ona mężczyzn. Przepis ten jest charakterystyczny dla stosunków małżeńskich w starożytności; żona była własnością męża, obowiązywały ją posłuszeństwo i wierność wobec niego. W społeczeństwach niewolniczych zwierzchnik patriarchalnej rodziny był pełnoprawnym panem wszystkich jej członków, żył w wielożeństwie, mógł zmusić do współżycia każdą wolną kobietę należącą do wspólnoty. Kobieta, stając się żoną pozbawiona była możliwości kontaktów seksualnych z innymi partnerami, a jej zadaniem było rodzenie i wychowywanie dzieci (zob. Rosset 1986: 27 i n.).

W wiekach średnich w Europie powszechnie panowała doktryna katolicka, sprzyjająca zawieraniu związków małżeńskich, ale nie dopuszczająca rozwodów. Z powodu częstych w tym okresie wojen rosła rola kobiet w rodzinie, ponieważ to one samodzielnie prowadziły gospodarstwo pod nieobecność męża; wzrosła także rola kobiety jako rodzicielki. Kobiety stawały się bardziej samodzielne przy zawieraniu małżeństwa i w trakcie jego trwania.

Spółczesne społeczeństwa europejskie podporządkowały swe prawo małżeńskie zasadom kościoła katolickiego, który nadał małżeństwu status sakramentu

i jako taki uważał je za nierozzerwalne. Wobec powszechności wiary katolickiej instytucja rozwodu nie istniała, a jedyną formą rozwiązania małżeństwa pozostała separacja i unieważnienie sakramentu orzekane przez władze kościelne.

Kościół konsekwentnie głosił zasadę czystości związku małżeńskiego, godności rodziny i podniesienia statusu kobiety-żony. Chrześcijaństwo stworzyło nową strukturę rodziny oraz zmieniło jej organizację:

- podniosło rangę społeczną małżeństwa, nadając mu charakter sakralny,
- akcentowało wolę osób świadomie i dobrowolnie zawierających związek małżeński, ślubujących sobie miłość dożywotnią i nierozzerwalną,
- prawa i obowiązki męża i żony zostały potraktowane na równi,
- dziecko zostało uznane za najwyższą wartość małżeństwa, a rodzice zobowiązani do wychowywania społecznego i moralnego,
- kobieta została wyróżniona jako matka i wychowawczyni.

W krajach muzułmańskich kierowano się zasadami Koranu, który zabrania wyszukiwania pretekstu do rozwiązania związku małżeńskiego do czasu, gdy realizuje on swoje funkcje. Rozwiązanie małżeństwa może nastąpić przez wypowiedzenie przez męża słów „rozwodzę się z tobą” lub „zostałaś rozwiedziona”, innym sposobem umożliwiającym rozwód jest ślubowanie wstrzeźliwości. Żonie przysługuje prawo rozwodu tylko wówczas, gdy zostało ono zagwarantowane w kontrakcie ślubnym. W rozumieniu teologów muzułmańskich rozwód jest złym, ale niekiedy jedynym sposobem rozwiązania narosłych konfliktów rodzinnych.

Znikoma liczba rozwodów odnotowana została w przedrewolucyjnej Rosji; według istniejących w owym czasie przepisów małżeństwo mógł rozwiązać jedynie sąd kościelny na wniosek jednego z małżonków. Aby wniosek ten został pozytywnie rozpatrzony, należało spełnić jeden z trzech warunków:

- 1) udowodnić niewierność drugiego małżonka lub jego niezdolność do pożycia małżeńskiego,
- 2) współmałżonek musiał być pozbawiony praw stanu lub zesłany na Sybir,
- 3) współmałżonek był nieobecny przez pięć lat i nie było o nim wiadomości.

Ponadto orzeczenie konsystorza wymagało zatwierdzenia przez synod; wszystkie te zabiegi czyniły proces rozwodowy bardzo skomplikowanym i czasochłonnym (półtora do dwóch lat), wiązał się też on z rozpatrywaniem intymnych stron życia małżonków.

Polska w swej długiej historii jako kraj katolicki nie uznawała rozwodów, jednak zasadę tę można było ominąć posiadając odpowiednie środki. Zakaz rozwodów dotyczył tak naprawdę przedstawicieli warstw niższych, natomiast zamierzający rozwiązać związek małżeński przedstawiciele warstw wyższych, korzystali z kosztownych, ale zapewniających pożądany efekt procesów o unieważnienie małżeństwa. Szybszym i mniej kosztownym środkiem było porzucenie wiary katolickiej i przyjęcie bardziej liberalnego w tym względzie wyznania.

W historii rozwodów przełomową rolę odegrała Wielka Rewolucja Francuska, która 20 września 1792 r. usankcjonowała rozwody i każdy z małżonków został uprawniony do wystąpienia o rozwiązanie związku. Instytucja rozwodów uległa laicyzacji, a orzekanie ich oddano w ręce sądów świeckich.

Natomiast załamaniem się rodziny tradycyjnej, a co za tym idzie, początkiem rozwodów, był przełom społeczno-ekonomiczny, który dokonał się w XIX w. Zakłócenie stosunków rodzinnych, zachwianie odwiecznych praw rządzących rodziną spowodowało stały wzrost liczby rozwodów, jeżeli nie uprawomocnionych przez sądy, to faktycznych. Gwałtowna industrializacja Europy Zachodniej w drugiej połowie XIX w., wyjście z domu kobiet-żon do prac zarobkowych i wczesne usamodzielnienie ekonomiczne młodzieży spowodowało wzrost liczby rozwodów i upadek autorytetu rodzicielskiego. Wiek XX ugruntował zmiany w stosunkach rodzinnych zapoczątkowane w wieku poprzednim. Podważenie nierozzerwalności małżeństwa stało się faktem i jedną z cech charakteryzujących rodzinę końca drugiego tysiąclecia.

P.H. Chombart de Lauwe, francuski socjolog, w połowie XX w. stwierdził, że tradycyjny typ rodziny wielopokoleniowej w świecie zachodnim przestał właściwie istnieć, a jego miejsce zajęła rodzina nuklearna, obejmująca tylko dwa pokolenia – rodziców i dzieci.

Zdania dotyczące plusów i minusów rodziny nuklearnej są bardzo podzielone, niektórzy upatrują w niej przyczyny dezorganizacji współczesnych rodzin, o czym świadczy ustawicznie wzrastająca liczba rozwodów.

Niebezpieczeństwo pojawiło się także ze strony związków nieformalnych, tzw. kohabitacji. Liczba nowo zawieranych małżeństw w krajach zachodnich kurczy się, a liczba wolnych związków stale rośnie. Następuje też coraz powszechniejsze przyzwolenie społeczne i akceptacja rozwodów.

Czasy, gdy fakt rozwodu poruszał opinię publiczną, dawno już minęły. Obecnie rozwód nie jest już powodem do wstydu i nie wywołuje powszechnej dezaprobaty. W wypadku rozkładu pożycia strony bez żadnego skrępowania wnoszą sprawę o rozwód, a sąd legalizuje ten fakt w formie orzeczenia o rozwiązaniu małżeństwa. Możliwe jest to dzięki opinii publicznej, która nie tylko nie piętnuje rozwodów, ale uważa je za lepsze rozwiązanie niż codzienna udręka w domu dla dzieci i współmałżonka. Tolerancja opinii publicznej dla rozwodów idzie w parze z częstotliwością występowania tego zjawiska; dotyczy to także rozwodników jako kandydatów na przyszłych małżonków. W samej tolerancji nie ma nic złego, niestety przyzwolenie społeczne na rozwiązanie małżeństwa stało się stimulatorem wzrostu liczby rozwodów. Liberalne prawo rozwodowe obniża także rangę małżeństwa, dając możliwość rozwiązania związku, gdyby okazał się nieudany.

W miarę zwiększania się liczby rozwodów, a co za tym idzie dużej liczby związków powtórnych, a nawet małżeństw zawieranych wielokrotnie przez tę samą osobę, mass media zaczęły traktować to zjawisko jako całkiem naturalne. Nieudane pożycie małżeńskie i rozwody dzięki akceptacji – by nie powiedzieć promocji – prasy, a przede wszystkim telewizji, stały się w oczach opinii publicznej zjawiskiem naturalnym i w pełni akceptowanym. Propaguje się nawet rozwodowy *savoir-vivre*, zalecający kulturę, ochronę dóbr osobistych obu umawiających się stron i przyjaźń po rozwodzie. Małżeństwo zaczęto traktować jako stan przejściowy, a znaczenie tego związku przyrównywać do związków nieformalnych.

Praktyka wskazuje jednak, że wiele małżeństw walczy o utrzymanie raz zawartego związku, a rozwód traktuje jako niepotrzebny i możliwy do uniknięcia.

Statystyki wykazują, że częstość występowania rozwodów jest wprost proporcjonalna do poziomu wykształcenia. W populacji rozwiedzionych występuje znacznie większy odsetek osób z wykształceniem wyższym, niż wynikałoby to ze struktury ludności. Wynika to z większej samodzielności ekonomicznej wykształconych kobiet, wyższych oczekiwań i wymagań obojga partnerów, ale przede wszystkim ze stylu życia nastawionego na uzyskiwanie satysfakcji.

Za pośrednictwem środków masowego przekazu możemy zapoznać się z modelem zachodniej rodziny – rodziny bez wyraźnych wzorów moralnych,

gdzie wierność jest anachronizmem, a wielokrotne związki małżeńskie codziennością powszechnie akceptowaną. Jest to wynikiem przemian społecznych, które dokonały się w wysoko rozwiniętych społecznościach. Obecnie cały świat zmierza do podobnego stylu życia, szybkiego i wygodnego, nastawionego na osobiste szczęście. Dzięki takiemu nastawieniu bardzo obniżyło się znaczenie środowisk lokalnych i, co za tym idzie, kontroli społecznej sprawowanej przez te środowiska nad postępowaniem swoich członków. Młodzi obecnie znacznie szybciej uzyskują niezależność, dlatego odmawiają rodzinie prawa wtrącania się w ich sprawy.

Większa ekonomiczna niezależność kobiet czynnych zawodowo wpływa na decyzję o rozwiązaniu małżeństwa, które nie daje satysfakcji czy jest uciążliwe. Potwierdzają to statystyki – częściej rozwodzą się kobiety czynne zawodowo niż te finansowo zależne od mężów.

Niewątpliwy wpływ na częstotliwość rozwodów ma zwiększenie mobilności ludzi, rozwój przemysłu, zmiana struktury rodziny, spadek rozrodczości oraz zmiana osobistego poglądu na zadowolenie i szczęście w małżeństwie. Wszystko to sprawia, że ludzie stają się mniej skłonni do pozostawania w związkach małżeńskich, które nie dają im satysfakcji.

Transformacja i związane z nią przemiany zachodzące w naszym kraju stwarzają warunki do naśladowania konsumpcyjnego stylu życia, co niewątpliwie będzie miało wpływ na obniżenie znaczenia rodziny i zaowocuje zwiększoną liczbą rozwodów w najbliższych latach.

W Polsce rozpad małżeństw przez rozwód nie jest częsty i pozostaje głównie zjawiskiem miejskim. W latach 1989-1999 aż 82,4% rozwodów orzeczono w mieście. Współczynnik rozwodów równy 1,2‰ w roku 1998 był wyższy tylko od notowanego w Grecji, Hiszpanii, Włoszech i Słowenii. Na początku okresu transformacji ich liczba nawet się zmniejszyła, co było prawdopodobnie spowodowane utrudnieniami natury administracyjnej, które pojawiły się, gdy w wyniku zmian organizacyjnych sądów powszechnych, zainicjowanych w 1990 r., przeniesiono sprawy rozwodowe z sądów rejonowych do wojewódzkich. Wydłużyło to czas oczekiwania na rozwód, wzrosły również opłaty. Najczęściej rozpadają się małżeństwa tworzone przez osoby młode, zawarte w wieku 20-24 lat i zwykle po 5-9 latach trwania (zob. Kotowska 1999: 126).

2. Dominujące przyczyny i uwarunkowania rozwodów

Oto jak w największym statystycznym uproszczeniu wyglądały przyczyny rozwodów w Polsce w 2000 r.

Oficjalnie		Naprawdę	
33%	– niezgodność charakterów	37%	– niewierność
26%	– alkoholizm	28%	– inne
25%	– niewierność	9%	– niezgodność charakterów
16%	– inne	2%	– alkoholizm

(za: Jankowska 2000).

Najciekawsze z punktu widzenia analizy socjologicznej przyczyny rozwodów to „niezgodność charakterów” oraz „niewierność”. Alkoholizm potraktować można jako wyraźnie określony stan patologiczny.

„Jednym udaje się miłość, innym rozwód” – pocieszają się rozwiedzeni. Ale czy istnieją udane rozwody? Psychologowie twierdzą, że nawet te najbardziej kulturalne kryją dramat, poczucie życiowej porażki, gorzki bilans strat i żal. Ilustrują to poniższe dane:

Po rozwodzie:

- 46% – żyje samotnie,
- 40% – zawarło nowy związek małżeński,
- 13% – ma partnera bez ślubu,
- 1% – nadal żyje z byłym współmałżonkiem.

Prowadzone przez Ministerstwo Sprawiedliwości statystyki nie mogą dać precyzyjnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie mają siebie dość. Sprawa jest jasna, gdy związek jest dewastowany przez alkohol. Ale co znaczy niezgodność charakterów? Zdaniem Marii Chabońkowskiej rozwód nad wyraz często ujawnia, jak niedojrzali emocjonalnie byli partnerzy w chwili zawierania związku i jak nierealistyczne były ich oczekiwania. To, co brali za miłość, było zwykłe zauroczenie seksualnym połączonym z doraźną potrzebą akceptacji, przy nastawieniu raczej na branie niż na dawanie. Daje się też zauważyć coś w rodzaju nowoczesnego mezaliansu, polegającego na zderzeniu różnych wzorców z domów rodzinnych. Wreszcie niemałą rolę odgrywa – jak to nazywają w robczym żargonie psychologowie – „nieodpętnienie od rodziców”. Są rozwodzący się małżonkowie, którzy do poradni diagnostycznej przychodzą w asyście rodziców!

Psychologowie z warszawskiej poradni skonfrontowali daty zawarcia ślubu i daty urodzenia pierwszego dziecka w diagnozowanych, rozwodzących się rodzinach. Reguły nie musiały potwierdzać wyjątek – w 100 procentach dzieci zostały poczęte przed ślubem. „Co oczywiście nie znaczy, że każde takie małżeństwo musi się kończyć katastrofą” – zastrzegają.

Czy nowe czasy charakteryzują się jakąś nową przyczyną rozwodów? Stereotyp głosi, że ludzi najdotkliwiej potrafią poróżnić teraz pieniądze, i to zarówno ich brak, jak i nadmiar. Jednakże nasi rozmówcy tego nie potwierdzają (mec. Sawicki twierdzi wręcz, że nic tak ludzi nie cementuje jak wspólny interes). Jedno, co nazwaliby znakiem czasów, to rosnąca liczba kobiet występujących o rozwody. Ma to zarówno dobrą, jak i złą stronę. Z jednej – kobieta odważniej wyzwala się dziś spod przemocy i upokorzeń doznawanych w małżeństwie. Z drugiej – zdarzają się panie – jak określa to psycholog – zagubione w swoich rolach czy też – jeśli posłużyć się słowami adwokata – takie, u których dążenie do partnerstwa zabija małżeństwo.

Psycholog małżeński wyraźnie stwierdza:

Jestem przeciwny postawie: „Jeśli ci niewygodnie, to się rozwiedz”. Niektórzy robią to wiele razy i nigdy nie jest im wystarczająco wygodnie. Nie należy też słuchać uwag typu: „Rozwinęłaś się, twój partner został z tyłu, poszukaj nowego, który będzie cię windował do góry”. Rozwód nie może być pierwszą reakcją na kryzys w związku. To, że nie umiemy sobie radzić z konfliktem, jest dowodem, że powinniśmy szukać pomocy u fachowców, a nie zmieniać partnera. Małżeństwo to sposób na życie, a nie przygoda czy metoda poszukiwania szczęścia.

2.1. Niewierność

Choć zdrada jest najczęstszą przyczyną rozwodów, aż 12% zdradzonych nie ujawnia tego przed sądem. Czy idą na rękę partnerowi?

Jakub Jabłoński, psycholog z warszawskiego ośrodka psychologicznego INTRA (zajmujący się terapią małżeńską) wyznaje:

Powiedzieć „rozvedźmy się”, zamiast „jestem na ciebie wściekła, choć wciąż cię kocham” – to nic tylko pochopne, lecz strategicznie bezsensowne. Rozwodzić się należy przytomnie – to znaczy w ostateczności, gdy nie ma już innego wyjścia. Emocjonalnych decyzji zwykle się żałuje. Chociaż odbudowanie związku po zdradzie jest bardzo trudne, nawet jeśli to był tylko jednorazowy „skok w bok”. Zdradzony nie potrafi zapomnieć, nosi w sercu zadrę i oczekuje zadośćuczynienia. Czasem trafiają do nas na terapię pary, które przeżyły zdradę wiele lat temu. Ona mówi:

„Już mu wybaczyłam”. On na to: „Żona nadal mi wypomina, w złości krzyczy: To się wyprowadź! Idź do niej! Wciąż bierze odwet.” (tamże).

Inna sprawa, że wierność – jak słusznie podkreśla B. Pietkiewicz (2001) – jest przeraźliwie bezwzględna. Miłość kwitnie, przygasa, rozwija się. A wierność po prostu trwa. Można trochę kochać, lecz nie można być trochę wiernym. Jest bezwzględna jak celibat: żadnej części, połowy. „I tej oto tyranicznej konstrukcji przysięgamy dochować: będę ci wierny, niezależnie od okoliczności, w szczęściu i nieszczęściu, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie, póki śmierć nas nie rozdzieli”. Udźwignąć taki ciężar jest coraz trudniej. Dawniej przede wszystkim mężczyźni bywali niewierni, dziś coraz częściej także kobiety. W obyczajowym zamieszaniu naukowcy wymyślili nawet pojęcie „wierności linearnej” – jesteśmy wierni kolejnym partnerom na kolejnych etapach życia. Póki nie poznamy następnych.

Jeśli mężczyzna zostaje nakryty na gorącym uczynku z kochanką, nie świadczy to już o jego męskości, lecz o jego głupocie – mówi na łamach „Newsweeka” terapeutka rodzinna Joanna Hollands. Zdrada głęboko rani drugą osobę, więc cudzołożący starają się ją jak najstaranniej ukryć. Nagminność procederu sprawia jednak, że coraz częściej uważa się, iż w prostym, bez zobowiązań skoku w bok niczego strasznego nie ma, więc nie jest on jeszcze powodem do rozwodu. W Polsce, jak i w całej Europie, im młodszy wiek, tym przekonanie to jest powszechniejsze. 60% rozwodzących się kobiet w wieku 55-59 lat jako powód podaje zdradę. Dla kobiet mających mniej niż 30 lat niewierność jest tylko w 30% powodem rozpadu małżeństwa. Z badań Lwa Starowicza wynika, że 75% Polaków wybaczyłoby skok w bok, a 10% potrafiłoby żyć z kimś, kto ma długi romans.

Zdrada boleśnie rani, lecz rozwód także. Jeśli nawet nie mają dzieci, ludzie starają się do jednej rany nie dokładać drugiej. Boją się odrzucenia, utraty, poczucia przegranej. Bo, jak mówi ksiądz Józef Tischner w książce „Przekonać Pana Boga”, choć ludzie bywają w drugich związkach szczęśliwsi niż w pierwszych, bo wchodzą w nie mądrzejsi i z większą pokorą, to odkłada się w nich gdzieś głęboko, często podświadomie, poczucie winy, krzywdy komuś wyrządzonej (za: Pietkiewicz 2001).

Jednak historia małżeństwa jest także historią zdrady. Od wieków była ona przywilejem mężczyzn, ponieważ ciała kobiet, które utrzymywali i których bronili przed niebezpieczeństwem, należały do nich jak rzecz. Rzeczy przystoi trwać w gotowości do użycia. Bez buntu.

Jednak buntownice były. Kobiety za niewierność pławiono, kamienowano, zamknięto w klasztorze, chłostano, ścigano. Nawet zgwałcona ponosiła karę. Wiernie otaczano szacunkiem. Te się zapewne nie buntowały – nudne, stęchłe, nieruchawe w fiszbinach, krynolinach, gorsetach. Tłuściejące. Tak musiała wyglądać Penelopa.

Odyszeusz po powrocie, prócz zalotników, kazał wymordować dziewczki służebne, bo wierności mu nie dochowały. Zaszlachtowałby także za to samo żonę i uchodziłby za herosa (tamże).

Jak historia długa i szeroka mężczyźni równolegle do wiernych żon mieli kochanki. W renesansie piękne i wykształcone, choć z nienajlepszych rodzin, cieszyły się szacunkiem i nie musiały żyć w cieniu. W dobrym tonie było mieć jakąś damę kameliową, kosztownego motyla przywykłego do zbytku, a nawet dwie. Mężczyźni z ludu byli wierniejsi, nie mieli środków na utrzymywanie kilku kobiet, bo legalnej czy nie, trzeba było wszak zapewnić utrzymanie.

Największą perwersją w dziedzinie wierności były oficjalne kurtyzany królewskie – nielegalny duplikat żony, w istocie od niej ważniejszy. Instytucję kurtyzany potępił papież Pius V. Nastąpiła wierność zadekretowana. Lecz cień żony numer dwa podąża nadal wiernie za mężczyzną. W XIX w. metresa, zwana odtąd utrzymanką, zesłała do cienia. Jak pisze Maja Langsdorff w książce „Kochanka, motywy, konsekwencje” (Wyd. Bertelsmann), stając się cichą bohaterką stulecia, wypełniła mężczyznom lukę między matką a dziewczką. Żona nie miała nic do powiedzenia. Posiadanie utrzymanki było wolą męża, żona więc sznurowała grzecznie gorset i usta, niedowidząc, jeśli oczywiście rodzina nie cierpiała finansowo i była zabezpieczona należycie przed skandalem.

Utrzymanka nie wybierała, to ją wybierano. Czasem zamieniała łóżko na zamożniejsze. Żyła w zależności przede wszystkim finansowej, ukrywając swe położenie seksualne przed swoimi i obcymi. Utrzymujący ją mężczyzna nie miał nazwy. Kochanek – to był wciąż wybraniec Maryli Wereszczakówny na przykład, święte słowo. Przyjaciół – słowo zbyt szacowne jak na związek pokątny. Triumfalne „sponsor” zaczęło być w użyciu dopiero w naszych czasach (Pietkiewicz 2001).

Biologia ewolucyjna stara się wyjaśnić, dlaczego mężczyźni są niewierni. Chodzi o geny. Samiec ludzki tym więcej będzie miał potomstwa, z im większą liczbą samic będzie kopułował. Rozprzestrzeni swe geny w wielu egzemplarzach: ma to zapisane w podświadomości, tego słucha. Samica zaś zdolna jest do wielu [...] prób. aż reprodukcja się uda. Korzystnie jest dla niej, gdy ma wielu partnerów, z których

przynajmniej od jednego uzyska zapłodnienie. Lecz kim jest zapładniający – nie jest bez znaczenia. Większy, silniejszy (lub ten który częściej pokazuje się w telewizji), ma z pewnością geny, w które może wyposażać potomstwo. Jest to zapisane w podświadomości i kobiety tego słuchają. Na całym świecie grawitują one w kierunku mężczyzn mających pozycję, pieniądze, stanowisko i klasę – twierdzi Helena Fisher, autorka europejskiego bestselleru *Anatomia miłości*. Wytwarzają oni więcej męskiego hormonu – testosteronu – i kobiety instynktownie zwracają się ku nim, jak rośliny ku słońcu. Natura wpisała mężczyznę i kobietę w niewierność. I tak było już w czasach jaskiniowych – sądzi Helena Fisher.

Nie jesteśmy stworzeni do szczęścia, lecz do rozmnażania i z tego powodu ciągnie nas do zdrady. Z dużą skutecznością. Właśnie w czwartym-piątym roku małżeństwa, a nie w siódmym, jak dotąd stwierdzono, następuje koniec miłości – uważa Fisher. Wierność, czyli wyrzeczenie się innych partnerów, nie jest więc produktem biologii, lecz kultury. A monogamia skutkiem przymusu.

Do zdrady trzeba mieć pewne predyspozycje. Obserwacje wykazują, że mężczyzna zdradzający ma już kogoś takiego w rodzinie – ojca, brata, stryja. Wojciech Hańbowski, psycholog, jest zdania, że niewierni są mężczyźni, którzy lubią balansować na krawędzi. Myślą o sobie jako o kimś ważnym (co zresztą pokrywa się często ze stanem faktycznym). Są odpowiedzialni, sprawni, pewni siebie i inteligentni, ambitni, dynamiczni. Sprawia im satysfakcję, że trzymają w rękę los innych i do nich należy decyzja, jak postąpić. Lubią żyć. Rozpiera ich testosteron. W stagnacji umierają. Kwitną w intensywności.

Jednak zdradzając, zwykle z popłochem odsuwają myśl o rozwodzie. Znudzeni żonami – jakoś je ciągle kochają. Bo z całą pewnością można kochać dwie osoby naraz.

Co trzeci kochanek – szacuje Maja Langsdorff – to lekarz, psycholog, nauczyciel, dziennikarz. Statystyczny cudzołożnik ma 37 lat i jest dużo starszy od kochanki.

Niektórzy badacze wysuwają tezę, jakoby cudzołożnicy byli niedojrzali emocjonalnie i z nalotem neurotycznym (tamże).

Najgorszy kochanek to taki, któremu zdrada przytrafia się jedynie raz w życiu. Od razu dramat, miłość tragiczna, pożar, szaleństwo. Zachowuje się jak obłąkany. Powiadamia żonę. Ona zresztą sama widzi, co jest. Kobiety mają w tej materii pierwotny instynkt wzrokowy. Piszą o tym poważni badacze problemu. Widzą zdradę w oczach.

Jednorazowy cierpi, a z nim żona. Miotają się i z tęsknotą spoglądają na kurki w kuchence gazowej. W odróżnieniu od cudzołożników-recydywistów częściej zostawiają swe żony. Z nowymi długo jeszcze hamletyzują. Potem przysiadają, nabierają brzucha i starają się nie myśleć o tym, co się wydarzyło.

Z licznych badań potwierdzonych również przez Maję Langsdorff wynika, że w większości związków pozamałżeńskich wcale nie chodzi o seks, przynajmniej nie w pierwszym rzędzie. Angielska socjolog Anette Lawson, specjalizująca się w niewierności małżeńskiej, jest zdania, że obecnie, kiedy mężczyźni nie mogą już czuć się panami ciał swych kobiet, towarem wymiennym w cudzołóstwie częściej jest bliskość niż seks. Jedno zresztą bierze się z drugiego. Badania holenderskiego psychologa C. Wotersa, o czym donosiło pismo „Charaktery” (wrzesień 2000 r.), skłaniają do przypuszczeń, że w seksie następuje wzrost „poziomu głodu”. Chce się więcej i więcej, a tu przeciwnie – jest coraz mniej. Następuje smutny „efekt Coolidge’a”, nazwany tak od nazwiska amerykańskiego prezydenta. Zwiedzał on raz fermę kur. Prezydentowa widzi w nieustannej akcji koguta – dużo on tak może? – Dziesiątki razy, odpowiada przewodnik. Powiedźcie to mojemu mężowi – mówi dama. Ciągłe z tą samą? – dopytuje się prezydent. – Nie, ciągle z inną – mówi przewodnik. – Powiedźcie to mojej żonie.

Brak intensywnych doznań w małżeństwie spostrzegany jest jako źródło monotonii, pustki. Mdłe szkło – ani bliskości, ani czułości. Jednych – jak pisze Wiesław Łukaszewski w „Charakterach” – pragnienie doznań skłania do wspinania się po górach. Innych do szukania ich u nowego partnera. Nuda zabija, monotonia dusi. W okolicach piątego, a już najpewniej w czternastym roku małżeństwa ktoś rzuca duszącemu się koło ratunkowe – siebie (tamże).

Pod koniec lat 80. tytuły artykułów o zdradzie dramatyzowały: „Przyznać się czy nie?”, „Jak sobie poradzić z pragnieniem zdrady?” – i dalej w tym stylu. Przed trzynastoma laty w „Cosmopolitan” pisano: „Zdrada jest niemoralna. Aby tego przestępstwa nie obciążać niezręcznością, trzeba głęboko pomyśleć: czy w ogóle warto?”

Kilkanaście lat później moralne subtelnosci, jeśli gdzieś istnieją na łamach prasy europejskiej, to są gdzieś wstydliwie pochowane. Nie ma cudzołóstwa, jest radosne zdobywanie mężczyzny, nieważne czy ma on obrączkę, czy nie; wśród pigulek, podpasek, kremów, specjalnych westchnień, specjalnych jęków, spojrzeń, technik i gimnastyk. Co się nażyjesz, to twoje.

Nurt ten wkroczył z Zachodu na nasz grunt, zdawałoby się mocno impregnowany tradycją galanterijno-patriotyczno-religijną. Wydawcy pism pornograficznych, przewidujący wielkie przeszkody w namówieniu polskich

dziewczyn do pornofotografii, nie mogli się nadziwić, ile zaczęło się zgłaszać dziewczyn i kobiet porządnych, uczących się, pracujących, gotowych za wcale nieduże pieniądze do ginekologicznej wiwisekcji przed fotografem. Przeprowadzanej nierzadko przez narzeczonych i mężów. Powód? Przeżyć coś niecodziennego, fascynację, przygodę.

Toteż nie ma się co dziwić, że w polskiej prasie kobiecej kolorowy seks bez ograniczeń jest tematem stałym i z moralnością żadną się nie kojarzy. Co więcej, rezygnacja z tego powoduje podobno natychmiast spadek sprzedaży.

Obserwuje się na świecie, co podaje „Newsweek” jeszcze sprzed lat czterech, że gdy starsze kobiety miały w przeszłości znacznie mniej romanśów od mężczyzn w tym samym co one wieku, to odwrotnie jest teraz z dwudziestokilkuletnimi. One mają ich więcej niż równoletkowie mężczyźni. Choć w starszej grupie też powoli wzrasta chęć spożycia. Te, które nie zdążyły się nażyć, gdzieś po czterdziestce gorączkowo starają się naprawić ten błąd. Są ruchliwe, towarzyskie, lubią rozrywki. Rozwijają w sobie egoizm, który nikogo, ich zdaniem, nie rani. Same również nie pozwalają się ranić. Wzbogacają sobie po prostu życie kochankiem.

Wiele z nich sprawia sobie kochanka w poczuciu, że nie uczestniczy w sukcesie finansowym i zawodowym męża. Widzą ponadto, że on ten sukces ozdabia na boku czymś długonogim. Więc biorą rewanż z czymś młodszym i sprawniejszym od męża. „Zasponsoruję młodego chłopaka w zamian za dyskretny seks” – czyta się w ogłoszeniach. Czasem anonsy są wyuzdane. Kobiety, które je dają, otrzymują, jak twierdzą znawcy przedmiotu, równie wyuzdane odpowiedzi i na tym polega ich zdrada: w intencji i w wyobraźni.

Czasem jednak pogubione, upokorzone i nieszczęśliwe trafiają do psychoterapeuty. Żony ludzi ze świecznika to od jakiegoś czasu nowa grupa pacjentek w tych gabinetach.

Jeżeli zaraza zdrady lejąca się z pism popularnych nie rozplenila się jeszcze w podobnych jak na Zachodzie rozmiarach, to czas taki nieuchronnie nadejdzie. Wystarczy poczytać pisma dla dziewczyn: ziarno zostało rzucone. Z badań Lwa Starowicza wynika, że im młodszy jest wiek Polaków, tym bardziej ich obyczaje seksualne podobne są do tych na Zachodzie.

Już teraz, jak wynika z badań seksuologa Zbigniewa Izdebskiego, co trzeci Polak nie jest pewny wierności męża lub żony. Trzech na sto jest o zdradzie przekonanych. Mariola Bieńko, socjolog z Uniwersytetu War-

szawskiego, podaje wyniki następujące: 83% badanych przez nią mężczyzn przyznało się do zdradzenia żony, a 63% zdradziło kilkakrotnie.

Jest jeden mały problem. Emancypacja, równe szanse przyniosły także równe szanse złamania sobie życia – mówi Marlene Cassiano, psychiatra z USA. Dla kobiet, po staremu, chyba większe (Pietkiewicz 2001).

2.2. Niezgodność charakterów – blahe przyczyny rozwodów

Pokłóciliśmy się a więc rozwód. Młodzi małżonkowie coraz łatwiej podejmują taką decyzję. Co piąta rozwodząca się para nie wytrzymała ze sobą dłużej niż cztery lata. Ich rodzice, zamiast gasić konflikty, podgrzewają atmosferę. Wzrasta liczba kobiet, które opuszczają dom i porzucają dzieci (Frankowska 1999).

Przedwczesne rozwody młodych małżeństw to również efekt nieprzygotowania starszych do bycia teściami i dziadkami. Dzieci zaskakują ich często nieplanowaną ciążą czy też zbyt wczesną decyzją o ślubie. I oto ukochany jedynak czy wypieszczona córka znikają z domu. Rodzicom „świat się wali” i podświadomie pragną by dziecko wróciło. „Wielokrotnie miałam wrażenie, że gdyby nie teściowie, udałoby mi się młodych pogodzić” – mówi sędzia Myszowska.

Sędzia Irena Kamińska z Sądu Wojewódzkiego w Łodzi często pyta rozwodzących się, czy mieli ze strony rodziny jakąś pomoc, czy ktoś próbował ich godzić. „Para, którą ostatnio rozwodziłam, bardzo była zdziwiona tym pytaniem. Im po pół roku małżeństwa coś nie wyszło, więc wrócili do swoich rodziców. Jednej parze na sto ktoś starszy próbuje tłumaczyć”. „Inni, których rozwodziłam – mówi sędzia Alicja Myszowska z Sądu Wojewódzkiego w Łodzi – upierali się, że ujawniła się niezgodność charakterów, bo ona gotuje nie to, co on lubi. Gdy widzę takie małżeństwa, jestem przekonana, że ich następne związki też się rozpadną, jeśli oni nie dojrzeją. Rozwodziłam niedawno 25-letniego młodzieńca z drugą żoną: z pierwszą rozstał się, gdy miał 22 lata”.

„A gdy zapytać, co wiedzieli o sobie przed ślubem – mówi Jacek Browiński, kierownik Rodzinnego Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego w Warszawie – okazuje się, że prawie nic. Krótki czas narzeczeństwa, wspólne wypadki do pubu”.

Zagorzałymi kibicami takich rozwodów są rodzice obu stron. Mówią: ty się córeczko (synku) rozwiedz, a my ci pomożemy. Sędzia Myszowska nazywa to „rozwodami teściów”, bo nawet na rozprawie rodzice chcą mówić za młodych.

New Age wkracza także na sale sądów. Przez ręce Teresy Bielskiej-Sobkowicz, przewodniczącej wydziału cywilnego Sądu Apelacyjnego w Warszawie, przeszło już kilka apelacji, gdzie kobieta domagała się rozwodu, ponieważ wskutek seansów bioterapeutycznych zmieniło się jej biopole, odblokowały się wewnętrzne zahamowania, stała się wolniejsza, poczuła własną siłę i nie chce dłużej trwać w małżeńskich pętach.

Istnieje też nowe zjawisko: coraz częściej kobiety odchodzą do innego mężczyzny i zostawiają dziecko z ojcem.

W młodych małżeństwach coraz więcej zdarza się seksualnych niespodzianek. Dziś on czy ona bez najmniejszego skrępowania mówią na przykład na sali sądowej: tak, jestem homoseksualist(k)ą. Czasem jeszcze dodają: upewniłem(am) się w czasie małżeństwa (za: Frankowska 1999).

Ponieważ przyniatającej większości rozwiedzionych małżonków nie sposób czynić zarzutu, że do swego nieudanego małżeństwa od samego początku podchodzili niepoważnie lub że zawarli je dla żartów, z potrzeby przygody, ze zwykłej ciekawości czy dla uzyskania glejtów erotycznego, kluczową sprawą stają się przyczyny rozwodów.

Złożona natura człowieka sprawia, że ich katalog jest ogromny, dlatego nauka zajmuje się tylko niektórymi z nich, powtarzającymi się najczęściej w procesach rozwodowych jako przyczyny sprawcze rozkładu pożycia małżeńskiego. W okresie powojennym w ustawodawstwach i w doktrynie lansowany był pogląd, że podstawą rozwodu mogą być tylko tzw. ważne przyczyny, przy czym ocenę, czy dana przyczyna jest ważna, pozostawiono sądom. Wnet jednak okazało się, że nie tylko poważne przyczyny prowadzą do rozkładu pożycia małżeńskiego i rozwodu, ale nawet bardzo drobne i na pozór błahie mogą wywołać dysonans między małżonkami i oziębnienie stosunków, a na dłuższą metę stać się zarzewiem poważnych konfliktów, które narastając, wywołują nieufność, zawód lub nawet odrazę do współmałżonka, a stąd już tylko krok do rozwodu. Dlatego „ważne powody” stopniowo traciły na znaczeniu.

Kiedy bowiem rozkład pożycia jest zupełny i trwałe, to drugorzędne znaczenie ma kwestia, jakie przyczyny do tego doprowadziły. Nauka zajmuje się następującymi przyczynami rozkładu pożycia, które najczęściej prowadzą do rozwodu: niewierność współmałżonka, niedobór seksualny, niegospodarność współmałżonka, zazdrość współmałżonka, sprawy finansowe, chęć posiadania (lub nieposiadania) dzieci, alkoholizm (lub inne nałogi) współmałżonka, metody wychowania dzieci, bezpłodność współmałżonka, różnice światopoglądowe, narkomania, skłonność do hazardu, rywalizacja zawodowa (konkurencja), choroba współmałżonka, przestępstwo współmałżonka, stosunki z teściami, złe warunki mieszkaniowe, długotrwała rozłąka, wady charakteru, znaczna różnica wieku, znaczna różnica poziomu wykształcenia, przedślubna ciąża żony, powodująca przeważnie wymuszenie małżeństwa (tzw. brzuchoszantaż).

Upowszechnia się jednak zbyt wiele błahych i niezwykle oryginalnych przyczyn rozwodów, które świadczą chyba o niezrozumieniu istoty związku małżeńskiego. Oto przykłady:

Piotr zawsze był trochę leniwy. [...] Nigdy nie chciał prać swoich rzeczy, twierdził, że nie wie, jak się włącza pralkę. Prałam więc jego ciuchy razem ze swoimi. Pamiętam, że kiedy protestowałam, twierdził: „Naczytałaś się feministycznych pism i nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce”. Pewnego razu po praniu Piotr nie mógł znaleźć jednej skarpetki, no i zaczęło się: „Zgubiłaś mi skarpetkę. Tak, to na pewno ty, bo ty jesteś złośliwa. Odkupisz mi skarpetkę!”. Nie było ważne, że uprałam, powiesiłam, żeby wyschły, a potem zdjęłam jego rzeczy. Najważniejsza była zaginiona skarpetka. Po tej awanturze wiedziałam, że to już koniec, że więcej nie zniosę. Spakowałam się i po prostu wyprowadziłam (za: Szymanek 1999).

Pewna Angielka z Birmingham uzyskała rozwód tylko dlatego, że jej mąż śpiąc trochę chrapał.

Inna pani, mieszkanka Paryża, rozwiodła się z mężem, sędzią do spraw rozwodowych. Jako przyczynę rozvodu podała w pozwie: „Kto tak chętnie udziela rozwodów, nie traktuje małżeństwa poważnie”.

Znana i popularna artystka filmowa z Hollywood rozwiodła się z mężem, znanym także aktorem, z tej racji, że małżonek – jej zdaniem – nie czyścił starannie paznokci.

Pewien Szwed z Goeteborga uzyskał rozwód z żoną, aktorką teatralną, która grając rolę kochanki, zdaniem męża całowała się z partnerem wcale nie sztucznie i dłużej nawet niż wymagał reżyser.

Mieszkanka Bordeaux uzyskała rozwód, ponieważ jej mąż przyrzekł solennie, że rzuci palenie i słowa nie dotrzymał, gdyż: „notorycznie palił potajemnie w garażu, piwnicy lub na strychu”.

Wielce ciekawy był też powód rozwodu pewnego menedżera z Nicei, który rozwiódł się z żoną, gdy mimo jego stałych nalegań nie chciała przytyć, a on nie znosił chudych kobiet.

Sąd w Budapeszcie rozwiązał małżeństwo pewnego Węgry, gdyż jego żona zniknęła z domu na 4 lata i po powrocie uporczywie odmawiała wyjaśnienia, gdzie była i co robiła w czasie tej nieobecności.

Nauczycielka z Monachium uzyskała rozwód, ponieważ jej mąż miał, wedle niej, obrzydliwy zwyczaj noszenia stale rąk w kieszeniach.

Znana modelka z Wiednia uzyskała rozwód z mężem, cenionym fotografem, który, mimo jej nalegań, nie chciał zarzucić łowienia ryb.

Pewna krakowianka rozwiodła się z mężem, gdyż mąż „maltretował ją psychicznie”, złośliwie odmawiając nazywania jej po imieniu i demonstracyjnie, zwłaszcza gdy w domu byli goście, zwracał się do niej, zresztą zgodnie z rzeczywistością – „babciu”.

Urzędnik z Chicago uzyskał rozwód z powodu oziębłości płciowej żony. Jako wyłączny powód rozwodu podał, że jego żona była do tego stopnia oziębła, że w czasie seansów miłosnych nie tylko zasypiała, ale nawet chrapała.

Przyczyną rozwodu robotnika portowego w Leningradzie stała się wielka słabość jego żony do rozmów telefonicznych. Udowodnił bowiem, że żona cały wolny czas, miast domowi i jemu, poświęca rozmowom telefonicznym, których średnia norma wynosiła 4,5 godziny dziennie.

Sąd w Brukseli udzielił rozwodu mieszkance tego miasta, której mąż zdecydowanie odmawiał nauki tańca, a ona uwielbia taniec, bez którego nie wyobrażała sobie życia.

Przyczyną rozwodu pewnej Kanadyjki z Winnipeg stała się drobna niezaradność męża: małżonek nigdy nie potrafił dobrać do ubrania właściwego krawata.

Pewien lekarz z Londynu został pozwany przez żonę o rozwód, ponieważ wsypał do jej łóżka torebkę hodowanych w klinice pcheł. Rozwód zapadł na pierwszej rozprawie.

Wreszcie pewien Anglik z Londynu uzyskał rozwód z żoną, ponieważ małżeńskie łóżko zajęte było stale przez 50 kotów, które trzymała jego zakochana w zwierzętach żona.

Te przytoczone *ad hoc* przykłady przyczyn rozwodowych drobnego kalibru tylko pozornie wydają się mało poważne czy też śmieszne. Pamiętajmy, że wszystkie te pary traktowały decyzję zawarcia małżeństwa poważnie. Oznacza to, że przyczyny rozwodu przedstawione w pozwach rozwodowych okazały się wystarczająco doniosłe by zburzyć pożycie małżeńskie, więzy uczuciowe i doprowadzić bądź do trwałego i zupełnego rozkładu pożycia, bądź do sytuacji, w której pod jednym dachem żyć już nie sposób. Człowiek nie jest robotem, którego można programować. Przy

całym zrozumieniu doniosłości znaczenia silnej i zintegrowanej rodziny trzeba zdać sobie sprawę, że ani drogą legislacyjną, ani z pomocą judykatury czy religii niczego wymusić nie sposób.

W rodzinie początku XX w. bezpośrednia relacja osobowa małżonków oraz ich kontakt wzajemny był ograniczony. Stąd też nawet duże różnice charakterów, poglądów czy temperamentów nie miały większego wpływu na losy małżeństwa i rodziny. Ścisły rozdział obowiązków i uprawnień, określony dokładnie zakres świadczeń sprawiały, że nawet wzajemne niechęci nie zagrażały bezpośrednio samemu małżeństwu, uważanemu zresztą za bezwzględnie trwałą sytuację życiową.

Małżonek, małżonka – dobry czy niedobry, był czymś otrzymanym, niezależnym od człowieka, czymś losowym. Małżeństwo mogło nie zaznać miłości, a i kontakt wzajemny małżonków mógł być zredukowany prawie do minimum. Traktowanie współżycia seksualnego małżonków jako obowiązku, czułości i serdeczności jako daru zmniejszało znacznie szanse przeżywania niezadowolenia czy zawodu. Pragnienia uczuciowe w rodzinie kierowały się raczej w dół, ku dzieciom, skąd łatwo przychodził odzew uczuciowy.

To proste i surowe pojmowanie małżeństwa uległo daleko idącym zmianom. Przyniósł je czas, rozwój środowisk miejskich, uprzemysłowienie, przemiany obyczajowości. Jednocześnie skurczenie się rodziny zarówno co do liczby jej wspólnie mieszkających członków, jak również samej przestrzeni życiowej, zagęściło ogromnie wzajemne kontakty. Zanik funkcji ekonomicznej rodziny jako wspólnego warsztatu pracy zatarł poprzednio jasny i przejrzysty podział obowiązków i uprawnień.

Coraz silniej zaznacza się rola małżeństwa i rodziny jako azylu intymności i odprężenia w zagęszczonym i pełnym nacisków społecznych życiu współczesnego świata, co manifestuje się silnie przeżywaną przez człowieka potrzebą akceptacji. Małżeństwo w naszych czasach to sprawa prywatna dwojga ludzi, silnie powiązanych emocjonalnie, nastawionych na osiągnięcie wzajemnej satysfakcji.

Byłoby jednak nonsensem upieranie się, że życie małżeńsko-rodzinne w naszych czasach jest rzeczą łatwiejszą niż na początku XX w. W nowych warunkach cywilizacyjnych małżeństwo jest jeszcze bardziej konfliktowe i pełne sprzeczności.

Rodzina jako grupa wyszła z układu patriarchalnych stosunków oraz sztywnych społecznych stereotypów, a nie doszła jeszcze do innego (czy innych) powszechnie akceptowanego układu. Stąd duże pole do futurologicznych rozważań zarówno optymistycznych jak i katastroficznych oraz społeczne odczucie zagrożenia jej istoty (Jaszczyńska 2000).

2.3. Patologia więzi rodzinnych

Narastający lawinowo proces rozpadu małżeństw musi być dostrzegany i analizowany w kontekście całokształtu zachodzących zmian społecznych. Społeczno-kulturowe i obyczajowe przyczyny tego zjawiska mogą bowiem bliżej wyjaśnić, ku czemu zmierza proces przemian współczesnej rodziny.

Świetną analizę tego problemu daje w swoich pracach naukowych i publicystyce socjologicznej M. Trawińska (1980), za którą warto przytoczyć szerzej liczne wnioski i generalizacje.

Podkreśla ona, że wzrost znaczenia osoby w układach instytucjonalnych dotyczy także rodziny. Dlatego też coraz częściej spotykamy oczekiwania „szczęściodajności” małżeństwa i rodziny, a coraz rzadziej postawy heroizmu, wyrzeczeń na rzecz tych instytucji. Stąd także zapewnienie równowagi psychoemocjonalnej obojga partnerów urasta do jednego z najważniejszych celów małżeństwa i określane bywa nazwą sukces, która wypiera starsze określenie – przystosowanie.

Tradycyjna rodzina, z wyraźnymi wzorami zachowań dla płci, wieku, pozycji w rodzinie, wychowująca do ograniczonej liczby ról, które mogły się człowiekowi przytrafić w ciągu jego życia, wpajająca liczne normy obowiązujące w sferach działania rodzinnego i publicznego, zarówno chroniła swoich członków przed aspiracjami szczęściodajności więzi małżeńskich, jak i wymagała przystosowania do realiów współżycia pary. Nierozwiązane konflikty wewnętrzne osoby rzadziej stawały się więc przyczyną konfliktów zewnętrznych, a nawet, godząc w więzi pary małżeńskiej, słabiej oddziaływały na rodzinę, na jej niezbywalne funkcje rodzenia i wychowywania dzieci.

Błędem byłoby sądzić, że w tym tradycyjnym układzie nie znalazło się miejsce na postawy antagonistyczne czy w ogóle szerzej – na zasadę antagonizmu w relacjach rodzinnych i małżeńskich. Był to jednak antagonizm, który nazwać można względnie zrównoważonym – antagonizmem płci, pokoleń, osób wzajemnie sobie potrzebnych, uzupełniających się

w działaniach. Próby sił, postawienia na swoim, były jednak ograniczone wyraźnie czytelną rolą gospodarza, ojca rodziny, matki dzieciom, w których to rolach względy opiekuńcze i punkt widzenia dobra całości rodzinnej eliminowały indywidualne „siłowania się” partnerów. Wyraźnie określone role zapobiegały „przetargom” małżeńskim we wkładach w dobro rodziny, bo była to powinność, która wynikała z godności pozycji rodzicielskiej, małżeńskiej, a nie z równoważności wzajemnych świadczeń: pracy, pieniędzy, czasu itp., czujnie mierzonej przez partnerów.

Przy zmianie ról w rodzinie, przy ich niejasności, przy zmianach zewnętrznych, którym podlega rodzina, zaostrzyły się procesy antagonistyczne między płciami, więcej jest niezdecydowania w pełnieniu funkcji, ale i we wzajemnym stosunku, więcej zamieszania wokół sensu małżeństwa, co nader często prowadzi do wrogich wobec siebie postaw partnerów.

Patologia więzi w rodzinie występuje w trzech podstawowych układach: a) rodzina pochodzenia i młode małżeństwo, b) partnerzy małżeńscy między sobą, c) rodzice i dzieci przebywające z nimi we wspólnym gospodarstwie domowym.

Inną sprawą jest patologia więzi krewniaczych, które, jak się wydaje, słabły od dziesiątków lat, co pozwalało mówić o małej rodzinie i negatywnych skutkach jej izolacji wobec systemu krewniaczego. Obecnie obserwujemy odradzanie się więzi krewniaczych opartych o zasady wymiany usług, zabezpieczenia materialnego i emocjonalnego, szukania doraźnej pomocy.

Patologia więzi w układzie: rodzina pochodzenia i młode małżeństwo wydawałaby się mniej groźna niż w innych układach, gdyby była zjawiskiem krótkotrwałym i nie miała epilogów w rozwodach.

Przewidywania co do malejącej roli rodziny pochodzenia w małżeńskich losach dzieci nie sprawdziły się w naszym kraju, a zjawisko to ma zarówno swoje plusy, jak i wiele minusów. Niewątpliwie zmalała rola rodziny pochodzenia w doborze małżeńskim (dom rodzinny nie bywa miejscem poznania, wpływ rodziców na decyzje jest ograniczony), ale nie oznacza to wcale, że rodzina pochodzenia nie śledzi skutków tego doboru i nie ponosi jego konsekwencji. Współmieszkanie z teściami czy własnymi rodzicami, korzystanie z ich pomocy materialnej, usług, porad, wywołuje patologiczne układy więzi: antagonizm, jednostronną zależność, siłowanie się, dominację i uległość, egocentryzm dzieci i wnuków. Nader często

takie patologiczne układy kończą się rozpadem związku. W przypadkach małżeństw osób małoletnich życzliwość ze strony rodziców i teściów jest podstawowym czynnikiem zapobiegającym rozpadowi małżeństwa, natomiast rozpad taki następuje siedmiokrotnie częściej wśród małżeństw mieszkających z teściami w porównaniu z mieszkającymi osobno.

Tradycyjne wychowanie nie przygotowało współczesnych rodziców do równego wartościowania człowieka dorosłego i dziecka jako osoby. Typowe dla patologii więzi jest w tym układzie traktowanie dziecka jako wartości „dla nas”, przecenianie nawet w pierwszym okresie rozwoju jego istnienia (nadmierna troska o egzystencję), a następnie brak traktowania go równoprawnie jako nastolatka czy dojrzewającego osobnika.

Patologia więzi małżeńskiej może się rozwijać i w pełnych strukturach i przy zupełnie poprawnym pełnieniu przez rodziców wobec dzieci funkcji gospodarczych, zabezpieczających, czasem nawet (choć rzadziej!) socjalizacyjnych, a nawet i przy wzmożonej prokreacji, której motywem bywa właśnie poprawa więzi. Ileż to razy słyszy się, jak mężczyzna mówi, że żona zmieni się, gdy będzie miała dziecko, a żona twierdzi, że podjęła decyzję urodzenia jeszcze jednego dziecka, sądząc, że zwiąże męża z domem.

Rozpatrując związek partnerski w jego cyklu, w stadiach rozwojowych, możemy mówić o patologii więzi na etapie doboru, np. o braku konkretyzacji uczuć w stosunku do przyszłego męża. Podejmuje się więc decyzję małżeńską z konformizmu, z różnymi motywacjami zdroworozsądkowymi, kochając wiele różnych osób tak samo (rodziców, przyjaciółkę, partnera) bądź też „człowieka w ogóle” lub zakładając, że się przyzwyczai do roli, a więc i do osoby. Na przeciwnym krańcu pojawiają się jako niebezpieczeństwa zbyt silne, zaślepiające uczucia, amok powodujący liczne pomyłki co do cech kandydata, kiedy to bierze się za nieśmiałość zwykłą oziębłość uczuciową a brak odpowiedzialności wydaje się urokiem osobistym partnera. Wszelkie jednowymiarowe kryteria doboru stanowią zagrożenie przyszłości układu małżeńskiego i żadne z nich nie stanowi rękojmi sukcesu: ani jednostronne widzenie człowieka jako kandydata do roli męża („stworzony na dobrego męża”), ani widzenie w nim obiektu zaspokajania wielu naszych potrzeb („przy nim będą się czuła kobieco i bezpiecznie”), ani widzenie go poprzez zajmowaną pozycję społeczną („szanowany człowiek”, „domowy ołtarzyk”), ani nawet nadanie wartości osobie ze względu na nią samą, na jej cechy. Ludzie się zmieniają w ciągu małżeństwa i, mimo że mają w różnych okresach

różne priorytety, a może właśnie dlatego, chcą być traktowani, i powinni być traktowani, w różnych sytuacjach wielowymiarowo. Przewidywanie rozwoju partnera, kierunków zmian jego osobowości, podobnie jak przewidywanie własnego rozwoju poprzez układ małżeński, chroni mężów przed „wyrośnięciem” z małżeństwa, a żony przed nienadążaniem za awansem męża (choć bywa i odwrotnie).

Patologia więzi może wystąpić już na etapie rodzicielstwa, bo dziecko sprzyja przemodelowaniu wzajemnych stosunków, budząc choćby nowe uczucia czy umacniając już istniejące. Mimo że mężczyźni coraz rzadziej odrzucają doświadczenia uczuciowe z kontaktów z małym dzieckiem, to jednak jest wielu takich, którzy dziecko traktują jako przeszkodę w miłości małżeńskiej, bywają zazdrośni o macierzyńskie uczucia, a nawet wrogim postawom wobec dziecka nadają rozmaite racjonalizacje, że „to nie moje dziecko”, albo że „jeszcze jedna kobieta w domu, to o jedną za wiele” itp., a następnie przenoszą wrogie postawy na żonę.

W trakcie trwania małżeństwa występuje cała gama przypadków nieprzystosowania, które nie w każdym małżeństwie utrwalają się jako jego patologia. Najczęściej występujące to: niecenienie swojej wzajemnej obecności, nieumiejętność wypowiadania swoich stanów uczuciowych, nieumiejętność formułowania sensownych zadań, tak bliższych jak i dalszych, stany lękowe, rozmaite formy ucieczek: w chorobę, w alkoholizm czy w depresję.

Małżeństwo nie może też być obszarem lokaty wszystkich oczekiwań dotychczas nie spełnionych, nieograniczonej intensyfikacji więzi uczuciowych na niekorzyść innych, bo patologią są nie tylko niedobory uczuć i oczekiwań, ale i ich nadmiary. Można nawet powiedzieć, że im bardziej globalny charakter nadziei i im bardziej jednostronny charakter ekspresji uczuciowej czy seksualnej, tym mniejsze szanse na ich spełnienie, a większe na tajone agresje, jako reakcje na ciągłe frustracje płynące z rozczarowań.

Na znaczenie patologii więzi małżeńskich zwrócono uwagę w trakcie badań nad neurotycznością (za granicą – Cattel, w Polsce – Bizoń). Badania wykazały największą neurotyczność i niepokoje u osób rozwiedzionych i owdowiałych oraz najliczniejsze zaburzenia nerwicowe u małżeństw, które nie przekroczyły 45 roku życia. Neurotyczność i częstotliwość występowania nerwic jest wyższa u kobiet niż u mężczyzn. Jak wynika z zestawień ilościowych poradnictwa i analizy treści korespondencji prasowych, także

kobiety częściej niż mężczyźni udają się do poradni i piszą do „rubryk serc”, w których prezentują obszary bezradności i lęki. Kobięce lęki to obawy przed odrzuceniem, przed podporządkowaniem, przed ujawnieniem swoich oczekiwań, lęki seksualne. Męskie zaś to, obok seksualnych, lęki przed okazaniem słabości, posądzeniem i reakcją partnerki na zdradę, ogólną inercją czy fizyczną agresją („ja ją zabiję”). Zaburzenia więzi u neurotyków wynikają z zaburzeń komunikacji, nieumiejętności koncentracji na zadaniach, nieumiejętności przewidywania cudzych możliwości, oczekiwań, potrzeb.

Poprawna komunikacja (jasna, o odpowiednim nastawieniu emocjonalnym – nie pokrętna, nie z podejrzliwością) daje w efekcie poczucie zbieżności interesów, uczuciową wzajemność doświadczeń i jednoznaczność wartościowania ludzi i rzeczy. Utrudniony kontakt, w którym partnerzy nie przekazują sobie doświadczeń, nie dzielą zadań, nie liczą się z możliwościami drugiej strony daje w efekcie frustrację, niezadowolenie, zawód, poczucie bezsilności.

Ciągłość frustracji wywołanych utrudnionym kontaktem z partnerem, szczególnie przy neurotycznym podłożu, prowadzi u wielu partnerów małżeńskich do zaburzeń więzi psychicznych. Zaburzenia psychiczne występują w postaci symptomów zaburzeń fizjologicznych, takich jak: bóle żołądka, ataki choroby wrzodowej, nadciśnienie, bóle głowy itp. Tak samo potrzeba odreagowania prowadzi do patologii w postaci całej gamy zachowań obronnych, fiksacji, skłonności egocentrycznych. Najczęściej spotykanymi, obok wymienionej wyżej ucieczki w chorobę, są ucieczki w alkoholizm, w nadmierne jedzenie, w chorobliwą oszczędność czy ponadaktywność na tym polu, które stanowi zarzewie nie rozwiązanych konfliktów w małżeństwie. Taki rodzaj ponadaktywności może się przejawiać w rozmaitych sferach życia małżeńskiego – jako heroiczna gospodarność żon, jako uwodzicielski seks męski „supermana” i żeński „seksbomby”. Są jednak kompensacje, które przeciwdziałają rozpadowi małżeństwa, ale są to kompensacje kontrolowane, w których osoba jest świadoma ich funkcji, ich granic i odbioru przez otoczenie.

Inny rodzaj patologii więzi to zaostrzenie walki między płciami przez ideę współzawodnictwa, charakterystyczną dla współczesnej cywilizacji. Wzory rywalizacji – np. ze stosunków w pracy – przenosi się na teren małżeński, gdzie nagroda miałaby przysługiwać silniejszemu, i to tym większa,

im bardziej zwycięski byłby partner, im bardziej umiałby pokazać swoje zasługi. Jest coś ahumanistycznego w kulcie siły w stosunkach międzyludzkich, w tym, że współczesny człowiek nie jest przygotowany do życia z osobami słabszymi ani ze swoimi słabościami. Poszukiwanie znaczenia w rodzinie, tak ze strony pary, jak i ze strony ich dzieci, łączy się ze wzbudzaniem specjalnej uwagi, zwracaniem jej na siebie, z egocentryzmem, z demonstracjami swojej władzy (w kuchni, w trzymaniu kasy, w przewadze fizycznej, demonstrowaniu zręczności czy domaganiu się zaspokojenia „koniecznych” potrzeb, w czym celują dzieci). Konflikty mnożą się wtedy najczęściej na takiej zasadzie, że ich źródłom przypisuje się racjonalne uzasadnienia (zarówno źródłom racjonalnym jak i nieracjonalnym), które to uzasadnienia są zarzewiem nowych i silniejszych konfliktów, np. mąż o wyraźnych potrzebach prestiżowych kupuje samochód uzasadniając to dobrem rodziny, gdy żona z analogicznych względów chciałaby powiększyć czy unowocześnić mieszkanie i postanawia ukarać męża, nie ciesząc się z zakupu.

Przy zaostreniu walki rezygnacja jednej ze stron nie zawsze jest ustępstwem, które druga strona doceni, ale prowadzi czasem do postaw eksploatatorskich, zdolności pozyskiwania tego, co się chce, kosztem innych, i przypisania sobie uprzywilejowanej pozycji (czasem materialnie, a czasem psychologicznie). W tych sytuacjach także bardzo często spotykamy racjonalizację, to znaczy taką formę wypowiedzi, w której np. mąż przedstawia społecznie akceptowane powody motywujące jego zachowanie, ale nieprawdziwe, np. „żona dla jej własnego dobra wymaga silnej ręki i kontroli”.

Patologią więzi, pozornie mniej znaczącą, ale długofalowo bardzo istotną, jest niewykształcenie się intymności, niewyodrębnienie swego układu małżeńskiego z otoczenia (rodzin pochodzenia, więzi rodzicielskich, sąsiedzkich i przyjacielskich). Brak utożsamienia się z partnerem, choćby w ograniczonych zakresach, sprzyja utożsamianiu się z szerszym otoczeniem, czego partner nie może darować, szczególnie gdy informacje o życiu pary są wynoszone do rodziców albo sąsiadów. Widzi on w tym zagrożenie swojej wartości, swoją małą wartość w układzie, którego granice są płynne. Bolesnie odczuwa fakt, że tożsamość partnera jest ustalana poprzez związek z matką czy przyjaciółką, a nie z nim, ślubnym mężem. Współczesne wychowanie kładzie nacisk na kształtowanie się poczucia tożsamości opierającego się na przynależności do grup, na mechanizmach szukania grup odniesienia, ale mniej na mechanizmach odnoszenia siebie do

pojedynczych osób, co jest tak znaczące dla więzi małżeńskiej. Identyfikacja polegająca na łączeniu się z człowiekiem silniejszym, wyżej cenionym niż własna osoba jest łatwiejsza niż w układzie egalitarnym, jakim modelowo chcielibyśmy widzieć małżeństwo.

Patologia więzi wynikająca z braku intymności małżeńskiej jest łagodzona przyzwyczajeniami, nawykami formowanymi w trakcie trwania związku. Gdyby ich nie było, los wielu małżeństw po odchowaniu dzieci, z którymi identyfikuje się przynajmniej niemal zawsze kobieta, i po śmierci rodzin pochodzenia byłby bardzo trudny. Przyzwyczajenia są podstawą więzi kształtowanej w wielu małżeństwach od nowa w fazie zwanej postparentalną, ale o ileż łatwiej jest żyć w układzie, w którym intymność ukształtowało się od momentu małżeńskiego doboru (za: Trawińska 1980).

3. Upowszechnianie się niezalegalizowanych związków

We wszystkich rozwiniętych cywilizacyjnie krajach narasta obecnie w lawinowym tempie liczba niezinstytucjonalizowanych związków partnerskich, określanych mianem kohabitacji, konkubinatów, ogólnie związków konsensualnych (Slany 1994). Są to związki dwu osób płci przeciwnej, które wspólnie mieszkają przez dłuższy czas, prowadzą wspólne gospodarstwo domowe i utrzymują stosunki seksualne. W literaturze i mowie potocznej można też powszechnie spotkać na określenie tych związków takie pojęcia jak wolny związek, małżeństwo na próbę, dzikie małżeństwo, życie na kocią łapę czy wreszcie pożycie bez małżeństwa. Najstarszym i nadal bardzo popularnym, chociaż nieprecyzyjnym określeniem jest konkubinaty.

Wspólne zamieszkiwanie par bez legalizacji związku ma w niektórych krajach starą tradycję. Konkubinaty znany był już w starożytnym Rzymie. W związkach takich pozostawały przeważnie kobiety, z którymi małżeństwo – ze względów obyczajowych lub społecznych – było zabronione (Kwak 1994: 63). Obyczaj ten występował i występuje najczęściej w krajach nordyckich. W Islandii w połowie XIX w. 14% ogółu urodzeń stanowiły dzieci formalnie pozamałżeńskie. W Norwegii do połowy XIX w. młodzi ludzie bardzo często mieszkali razem bez ślubu. Ze szwedzkich danych wynika, że np. w XIX w. 20-26% dzieci, które przyszły na świat w miastach było poczętych w związkach nieformalnych. W wielu regionach tego kraju

był znany w przeszłości zwyczaj wspólnego zamieszkiwania narzeczonych przed ślubem. Miała to być generalna próba przed zawarciem małżeńskiego związku i swojego rodzaju wstępne małżeństwo.

W Szwecji współcześnie nie legalizuje swego związku 12-13% par. Ponieważ ludzie pobierają się zwykle pomiędzy 20 a 30 rokiem życia, może to oznaczać, że w tym kraju blisko połowa wszystkich ludzi do 30 roku życia znajduje się i żyje w związkach kohabitacyjnych. W krajach zachodnich ta forma życia rodzinnego rozwija się i wzrasta przez cały czas. We Francji i w Niemczech ponad jeden milion par żyje bez ślubu. Tego typu wspólnoty małżeńsko-rodzinne występują też w Danii, gdzie stanowią 13,6% ogółu związków małżeńsko-rodzinych, we Francji – 6,7%, w Holandii – 5,7%, w Wielkiej Brytanii – 5,0%. Ostatnie badania profesora Mladenovića, przeprowadzone jeszcze w byłej Jugosławii, wykazały, że 35% wszystkich związków to były związki kohabitacyjne, przy czym trzeba zaznaczyć, że w tym kraju zwyczaj ten tkwi głęboko swoimi korzeniami w plebejskiej tradycji. Opóźnianie terminu legalizacji związku można również zaobserwować w Niemczech. Zjawisko zamieszkiwania razem bez legalizacji jest silnie zakorzenione w tradycji germańskiej, gdzie akt małżeński był sprawą wyłącznie rodzinną i miał małe znaczenie dla władz świeckich czy kościelnych. Socjologowie podkreślają, że pozycie bez ślubu nie świadczyło o niskim poziomie moralnym i religijnym w tym kraju, ale było zgodne z obyczajową normą. Zwyczajowo społeczeństwo uznawało te związki za małżeńskie, chociaż nie były oficjalnie zalegalizowane. Rodzice wielu dzieci pozostawali w związkach nieformalnych, które jednak przez otoczenie i przez nich samych były uznawane za małżeńskie, niezależnie od sprzeciwu kościoła.

Obecnie zjawisko kohabitacji jest coraz bardziej powszechne. K. Slany stwierdza, że jest ona rzeczywiście atrakcyjna i popularna, zwłaszcza w bogatych krajach Zachodu wśród ludzi młodych. Przywołajmy choćby przykład Szwecji, gdzie 40% wszystkich dzieci rodzi się w tego typu związkach (Slany 1997).

Tak więc obecnie w państwach zachodnich, a zwłaszcza skandynawskich, związki kohabitacyjne stają się powoli zjawiskiem powszechnym. Trzeba przy tym odnotować, że systematycznie zmienia się ocena tej formy życia. Te nieformalne związki zaczęły być powszechnie tolerowane, a nawet aprobowane. Postawy wobec kohabitacji pozostają w ścisłym związku ze

zmianami w sferze obyczajów. Nieformalny związek pozwala na później odsunąć obowiązki wynikające z tradycyjnych ról rodzinnych. Młodzi ludzie, bo tacy najczęściej żyją w kohabitacie, rozpoczynają życie na próbę. Formalne zakładanie małżeństwa w krajach zachodnich odsuwane jest do wieku około 30 lat (Slany 1997). Za główną przyczynę powstawania tego rodzaju związków socjologowie uznają kryzys małżeństwa i osłabienie jego rangi oraz znaczenia w porównaniu z przeszłością. Zmianom podlega także układ ról i pozycji w samej rodzinie, coraz większa jest ich wymiennność, np. mężczyzna może w znacznym stopniu zajmować się domem. Małżeństwo przez wielu uważane jest za niezgodne z zasadami wolności i zaufania, za symbol skrupowania i ograniczeń oraz życia standardowego, a przez to na swój sposób nudnego. Wszystkie te czynniki powodują wzrastającą liczbę kohabitantów.

W tradycyjnym systemie kojarzenia się małżeństw występował okres zalotów, chodzenia ze sobą, zaręczyny i wreszcie małżeństwo. We współczesnym systemie natomiast przebieg tych etapów jest nieco inny. Mianowicie okres zalotów jest krótszy, wydłuża się natomiast okres wspólnego zamieszkania bez legalizacji związku. W. Chechliński uważa jednak, że wśród kohabitantów dość powszechnie funkcjonuje opinia, że jak długo nie ma dziecka, kohabitacja działa bardzo dobrze, ale w momencie kiedy się ono pojawia, występują liczne trudności natury praktycznej i problemy, a zatem brak ślubu może być odczuwalny jako niedogodność (Chechliński 1982).

Pod względem stosunku do małżeństwa kohabitantów można podzielić na dwie grupy. Pierwsza z nich to ci, którzy nie zamierzają i nie planują sformalizowania i uprawomocnienia swego związku, traktują go jako alternatywę małżeństwa, kierują się motywami osobistymi a kohabitacja jest dla nich największą wartością. Małżeństwo uważają oni za rozwiązanie gorsze i dające mniejszą satysfakcję. Druga grupa to ci, którzy zamierzają się pobrać. Ich stosunek do kohabitacji jest na ogół pozytywny, a ślub zamierzają zawrzeć, aby uniknąć formalnych kłopotów życia codziennego np. związanych z pojawieniem się dziecka.

Ogólnie można wymienić trzy grupy motywów skłaniających do pozostawania w związkach kohabitackich: prawne, ekonomiczne oraz ideologiczne (Kwak 1994). Przez motywy prawne należy rozumieć takie sytuacje, w których partnerzy nie akceptują zasad prawa rodzinnego, ze względu np.

na ewentualne trudności mogące wystąpić w wypadku rozwodu, bądź też jeden z partnerów (lub oboje) pozostają już formalnie w związku małżeńskim, co stanowi naturalną przeszkodę w zawarciu nowego. Motywy ekonomiczne mogą być różnorakie. Mogą wiązać się z sytuacją mieszkaniową partnerów, brakiem środków na ślub i wesele, ale głównie jest to pragnienie niezależności ekonomicznej, pewna indywidualna autonomia ekonomiczna, którą raczej jest trudno osiągnąć w małżeństwie. Z kolei motywy ideologiczne wynikają z chęci zachowania wolności i osobistej niezależności i są z nimi związane. Sama istota kohabitacji zakłada możliwość zmiany partnerów.

Brak sankcji i oparcia w prawie powoduje, że, chcąc rozwiązać związek nieformalny, unika się zabiegów formalno-prawnych, które przecież niejednokrotnie są trudne i długotrwałe. Poczucie, że można związek przerwać, i to bez żadnych komplikacji formalnych, powoduje, że kohabitanci czują się w podświadomości wolni i niezależni, a to daje im psychiczne zadowolenie i decyduje o atrakcyjności związku. Wydaje się, że brak formalizacji pozytywnie wpływa na uczucia partnerów. Ich związek musi się opierać na stale ożywianym i odnawianym procesie decyzji, muszą być zatem uważniejsi i bardziej aktywni w dbałości o jego utrzymanie i panującą w nim atmosferę. W ich odczuciu te wszystkie wymienione czynniki są czymś pozytywnym. W kohabitacji nie istnieje poczucie, że druga osoba jest „moją własnością” czy „połową” uzyskaną przez ślub. I to właśnie uważane jest przez kohabitantów za najbardziej atrakcyjną cechę takiego związku (zob. Chechliński 1982).

Kohabitacja nie zawsze jest więc spostrzegana jako zapowiedź małżeństwa, ale raczej jako związek oparty na przyzwoleniu na zmianę partnerów. Wydaje się, że jest ona faktycznym sposobem porządkowania seksualnych i intymnych stosunków we wczesnej dorosłości. Występująca w związku zależność emocjonalna jest elementem, który konstytuuje związek, ale nie niszczy poczucia swobody i niezależności partnerów. Amerykańskie badania sugerują, że kohabitanci wcale nie zamierzają odrzucić małżeństwa jako takiego; małżeństwo, chociaż niekoniecznie z obecnym partnerem, jest ich odległym dążeniem (zob. Kwak 1994).

W Polsce również istnieją takie związki, ale ich liczebność trudno oszacować, gdyż nie prowadzi się szczegółowych badań w tym zakresie, a dotychczasowe przedsięwzięcia badawcze można uznać raczej za częściowe (zob. Slany 1990, 2002).

O kohabitacji w sposób fragmentaryczny dowiadywaliśmy się tylko ze spisów powszechnych, w których stan cywilny ustalało się według subiektywnej oceny osoby spisywanej. Sprawdzenie zgodności oświadczenia spisywanej osoby z rzeczywistym typem związku (formalne lub nieformalne) wymagałoby udostępnienia rachmistrzowi spisowemu odpowiednich dokumentów. W czasie spisu nie wymaga się jednak ich okazywania. Można przypuszczać, że znaczna część spisywanych nie ujawnia faktu kohabitacji. Tak więc informacje spisowe nie obrazują skali zjawiska i bogatej mozaiki cech socjodemograficznych czy kulturowych kohabitantów.

Warto przypomnieć, że z informacji uzyskanych w Spisie Powszechnym w 1978 r. dowiadujemy się, iż liczba osób kohabitujących wynosiła do 189 tys., czyli około 90 tys. par (stanowiły one 1% wszystkich par małżeńskich). Według danych Spisu Powszechnego z 1988 r. liczba żyjących w związkach nieformalnych wzrosła do około 250 tys. osób, a dane Mikrospisu z 1995 r. mówią o liczbie 310 545. Dokładniejsze informacje można będzie uzyskać z danych Narodowego Spisu Powszechnego w roku 2002, bowiem przewiduje się badanie tego zagadnienia, podobnie jak innych, dotąd nie rozpoznawanych w spisach (np. ubóstwo, bezdomność, niepełnosprawność, cudzoziemcy, rezydenci) (Slany 2002).

Z polskich danych statystycznych wynika, że udział ludzi młodych w grupie wieku 15-24 i 25-29 lat wśród ogółu kohabitujących nie jest wysoki. Badania pochodzące z krajów zachodnich wykazują całkowicie odmienną tendencję, co determinowane jest m.in. wczesnym opuszczaniem domu rodzinnego i wcześniejszym usamodzielnianiem się ekonomicznym tej kategorii osób. Zdecydowana większość osób kohabitujących w Polsce znajduje się w wieku 30-39 lat i 40-49 lat; stanowią oni ponad 53% osób pozostających w związkach nieformalnych (w miastach 55%, na wsi 49%). Zgodnie z cyklem życia osoby te powinny znajdować się w fazie parentalnej, bądź z dziećmi w wieku wczesnoszkolnym, szkolnym lub z tzw. adolescentem (dorosłym młodym). Prawie co siódma osoba jest w wieku 50-59 lat i przeszło co siódma w wieku 60 i więcej lat. Domniemywać można, że w tej fazie cyklu życia mamy do czynienia ze związkami to porozwodowymi, pozamałżeńskimi lub osób o tzw. mieszanym stanie cywilnym (osoby stanu wolnego łączą się z pozostałymi kategoriami stanu cywilnego). Wydaje się, że związki kohabitacyjne wdów i wdowców nie są zbyt popularne w Polsce i nie cieszą się akceptacją społeczną, zwłaszcza w społeczności wiejskiej (Slany 2002).

Przedstawione wyniki badań wskazują na pewne podobieństwo z trendami występującymi w innych krajach. W Polsce wzrasta liczba takich związków. Ale nie należy zapominać o rzeczy bardzo istotnej – mimo że zjawisko kohabitacji w Polsce nasila się, to jednak w krajach zachodnich osadzone jest ono na innym kulturowym podłożu i funkcjonuje w odmiennym systemie obyczajowym. W Polsce kohabitanci spotykają się na ogół z niechęcią, są upominani, szczególnie przez swe rodziny pochodzenia, aby uregulowali prawnie swą sytuację. Spotykają się ponadto z oznakami dezaprobaty, a nie rzadko społecznej izolacji i negatywnej stygmatyzacji. Traktowani są nawet jako dewianci burzący podstawowe wartości społeczne.

W. Chechliński uważa, że kohabitacja w Polsce i na świecie wykazuje wiele różnic będących wynikiem różnych społecznych warunków, w których rozwijają się te związki. Wysuwa on hipotezę, że żyjący w Polsce kohabitanci, w wyniku dużej presji społecznej w kierunku legalizacji związku, w większym stopniu niż w krajach zachodnich decydują się na współżycie w tego typu związkach z pobudek ideologicznych. Bardzo ważny dlatego staje się dla nich ich własny system wartości. System ten może uniezależnić ich w dużym stopniu od otoczenia i stać się w ich odczuciu rekompensatą społecznej dezaprobaty. Nie jest to konieczne w krajach, gdzie istnieje większa tolerancja dla niekonwencjonalnych zachowań w stosunkach między kobietą a mężczyzną.

Inną cechą charakterystyczną jest to, że w Polsce dosyć często obok ludzi młodych wspólnoty kohabitacyjne zakładają osoby rozwiedzione, które wcześniej już żyły w formalnym małżeńskim związku, a z różnych powodów nie chcą zawierać go ponownie. Natomiast w krajach zachodnich ta forma życia rodzinnego rozwija się głównie wśród osób, które nie zawierały wcześniej małżeńskiego związku. To także poważnie różni Polskę od Zachodu. Można zaryzykować twierdzenie, że w Polsce właśnie osoby mające za sobą jeden związek małżeński są potencjalnymi kandydatami na kohabitantów. Nie bez znaczenia są również prawne przepisy, a w szczególności te, które dotyczą spraw majątkowych i spadkowych.

Sprawy te są różnie rozwiązywane w różnych krajach. W sposób najbardziej liberalny jednak we Francji i Holandii.

„Pakt Solidarności” legalizuje we Francji związki homoseksualne. Dla par heteroseksualnych jest formą próbnego małżeństwa.

Cywilny „Pakt Solidarności” mogą od 1999 r. zawierać we Francji pary dowolnej

plci i stanu wolnego, mieszkające razem, pełnoletnie i niespokrewnione. Pakt daje im ograniczoną wspólnotę majątkową, ale nie daje prawa do adopcji i do starania się o dziecko metodą sztucznego zapłodnienia.

Pakt może zostać rozwiązany polubownie w trybie natychmiastowym. Wystarczy wspólna deklaracja partnerów, złożona w sądzie pierwszej instancji. Jeśli związek chce zerwać tylko jeden partner, kontrakt uważa się za rozwiązany dopiero po trzech miesiącach od dnia pisemnego powiadomienia drugiego partnera. Jeśli jeden z partnerów zawrze związek małżeński, „Pakt Solidarności” wygasa automatycznie w chwili ślubu.

Partnerzy powinni przed zawarciem kontraktu szczegółowo określić w akcie notarialnym, co z mebli czy nowych nabytków jest czyją własnością. Pakt nie daje też automatycznie prawa do dziedziczenia. Aby partner mógł otrzymać darowiznę lub spadek, trzeba sporządzić odrębny akt darowizny lub testament.

Ustawa o pakcie weszła w życie 15 listopada 1999 r. jako nowy rozdział francuskiego kodeksu cywilnego. Dla homoseksualistów jest jedyną formą legalizacji związku. Pary heteroseksualne uważają to za rodzaj próbnego małżeństwa, bez widma komplikacji rozwodowych (Newsweek, 24 II 2002).

Z holenderskiej prawnej definicji małżeństwa znikły takie słowa jak „kobieta” i „mężczyzna”. Gdy 1 kwietnia 2001 r., kilka minut po północy, weszło w życie nowe prawo, na oczach widzów w amsterdamskim ratuszu obrączki wymieniły cztery pary. Odtąd cieszą się niemal takimi samymi prawami jak pary heteroseksualne. Nie mogą jedynie adoptować zagranicznych dzieci. Według danych holenderskiego urzędu statystycznego w ciągu siedmiu miesięcy od wejścia w życie nowego prawa w Holandii złożyło przysięgi małżeńskie prawie 2,1 tys. par homoseksualnych, co stanowi 3,6% wszystkich zawartych w tym czasie małżeństw. Dla większości była to tylko symboliczna zmiana, gdyż od 1998 r. holenderscy geje i lesbijki mogą rejestrować swoje związki. Dzięki temu dziedziczą po sobie majątki i rozliczają się wspólnie z podatku. Podobne uregulowania wprowadzili Duńczycy, Francuzi i Niemcy. Do ślubu mają jednak prawo tylko homoseksualiści z Holandii. Różnica między zarejestrowanym związkiem a małżeństwem jest niewielka. Chodziło o symboliczne zrównanie z parami heteroseksualnymi – mówi Kees Waaldijk z Wydziału Prawa Uniwersytetu w Lejdzie, specjalista w zakresie problemów prawnych homoseksualistów.

Mimo że Holandia wydaje się rajem dla homoseksualistów, i tutaj mają oni kłopoty. Niektórzy urzędnicy ze względów religijnych odmawiają uczestniczenia w ślubach osób tej samej płci. To są odosobnione wypadki – twierdzi jednak Waaldijk. Problemy pojawiają się za granicą” (Newsweek, 24 II 2002).

Socjologowie z uniwersytetu stanowego w Wisconsin dowiedli, iż od roku 1970 liczba tradycyjnych rodzin spadła w Ameryce o 35%, a od końca lat 80. liczba zwolenników życia bez ślubu wzrosła z 34 do 49%. Milion

niemieckich nieformalnych rodzin zmusiło Trybunał Konstytucyjny tego kraju do jasnego zdefiniowania, czym jest „niemałżeńska wspólnota życia”; w efekcie tego niemieccy małżonkowie w niczym się w świetle prawa nie różnią od partnerów prowadzących gospodarstwo domowe bez państwowych bądź kościelnych świadectw. W Polsce nie promuje się równie demokratycznych rozwiązań. GUS informuje wprawdzie, że co piętnasta para nie widzi potrzeby legalizowania swojego związku, ale zdaniem dr Marleny Kuciarskiej-Ciesielskiej, „statystyki nie uwzględniają tych wypadków, gdy zainteresowani nie pragną dzielić się informacją, jaki charakter ma ich związek”. Nie można się temu dziwić – z badań wynika, że podobnemu sposobowi na życie sprzeciwia się ponad połowa Polaków.

Ciemnej liczby nieformalnych związków nie można ustalić; wiadomo jednak, że najchętniej rezygnują ze ślubnej ceremonii ci, którzy doświadczyli już małżeńskiego stanu i za wszelką cenę starają się uniknąć błędów z przeszłości (Mazur 1996).

Podobne refleksje skłaniają jedną trzecią rozwiedzionych Polek i Polaków do podjęcia decyzji o wiązaniu się w mniej formalny sposób – wynika z badań dr Kuciarskiej-Ciesielskiej. W opracowaniu „Rozpad małżeństw w Polsce” napisała ona: „Jedną z najważniejszych wartości jest dla wielu osób wolność osobista rozumiana bardzo szeroko jako prawo do czynienia wszystkiego, co dostarcza przyjemności. Mniejsze znaczenie mają nakazy i zakazy, a także odczucia małżonka i jego reakcje na takie postępowanie”. Wielu socjologów podkreśla jednak, że Polacy coraz częściej nie biorą ślubów nie tylko z powodu niechęci do rezygowania z przywilejów wolnego stanu, ale także dlatego, iż po prostu nie muszą się już wiązać za wszelką cenę. Rodzina w Polsce przez lata odgrywała przede wszystkim rolę usługową, małżeństwo było instytucją niezbędną do przetrwania – przypomina prof. Bogdan Wojciszke, psycholog. Kapitalizm pozwolił nam skupić się na sobie bez ryzyka zamiany życia w mozolną walkę o codzienne sprawy.

Zuzanna Celmer, psycholog rodzinny, uważa, że wariant „we dwoje, ale osobno” preferują ludzie stawiający na dynamiczny rozwój kariery, obawiający się, że trwałe zobowiązania rodzinne przeszkodzą im w realizowaniu swych aspiracji. „Konkubinat? Jestem za! Zawsze można wziąć zabawki i iść na swoje podwórko” – powiedział pewien publicysta, zwracając w ten niebanalny sposób uwagę na koronny argument przeciwników wolnych związków; ci, którzy tak ochoczo przystają na wspólne życie, jednocześnie wzbraniając się przed jego legalizacją, to w opinii obserwatorów często

ludzie niełojalni, konformiści i asekuranci. Jednak 68% Polek przekonanych, że gdy pracują i są samodzielne powodzi się im lepiej niż wtedy, gdy traktowane są jak damy, nietaktem wydaje się przede wszystkim posądzenie o chęć asekurowania się w życiu kontraktem małżeńskim (za: Mazur 1996).

4. Samotność zamiast rodziny

4.1. Socjologiczne tło zjawiska

Przemiany społeczno-gospodarcze zachodzące w XX w. nie tylko przyczyniły się do zmiany wewnętrznej struktury rodziny, ale również zmieniły pozycję kobiet w rodzinie i społeczeństwie. Dobre małżeństwo i rodzina stanowią wartości niezastąpione dla normalnego rozwoju osobowego człowieka. Niemniej jednak coraz więcej kobiet w Polsce żyje samotnie. Sytuacja ta jest po części wynikiem konieczności, a po części świadomego wyboru takiej formy życia.

Życie w samotności można również zinterpretować, odwołując się do teorii zmian rodziny. Industrializacja, urbanizacja, wzmożona ruchliwość społeczna, nowe warunki ustrojowe po II wojnie światowej, to zintegrowany blok procesów, których wpływom podlega życie rodzinne. Obserwuje się zatem wzrost ruchliwości przestrzennej rodzin, anonimowość jednostki i rodziny w rozszerzających się społecznościach lokalnych. Rodzina staje się coraz bardziej zamknięta, odizolowana od najbliższego otoczenia społecznego. Następuje wzrost indywidualizmu i wolności osobistej członków rodziny (Kwak 1994). W rodzinie typu preindustrialnego wszyscy członkowie biorący udział w produkcji rodzinnej tworzyli pewien system podziału pracy, władzy i ról wyznaczonych płcią i wiekiem. Rodzina stanowiła wówczas nie tylko jednostkę wspólnego zamieszkania, ale także była prawdziwą wspólnotą życia. Ojciec, jako głowa rodziny i zarazem właściciel gospodarstwa domowego, posiadał silny autorytet. Stosunki rodzinne cechowała przewaga mężczyzny – ojca i męża – nad żoną oraz dziećmi, szczególnie córkami, których zamążpójście wynikało raczej z posłuszeństwa i interesu ekonomicznego niż z uczucia. Interesy osobiste poszczególnych członków musiały być podporządkowane całościowemu interesowi rodzinnemu, na którego straży stał system norm moralnych, presja środowiska i autorytet ojca. Kobiety były częściej podporządkowane mężczyźnie zarówno w rodzinie, jak i w społeczeństwie. Taką

sytuacja wynikała między innymi z niemożności zapewnienia sobie na własną rękę warunków życiowych. Kariera osobista i życiowa kobiety równała się karierze małżeńsko-rodzinnej (Adamski 1984).

W dobie industrializacji i urbanizacji rodzina przestała być ekonomiczną bazą życia. Miejsce pracy jej członków zostało odłączone od miejsca zamieszkania, a pozycje i role poszczególnych osób w rodzinie straciły swój dawny układ zależności i podporządkowania. Rodzina, nie mogąc gwarantować swym członkom pracy i utrzymania, starała się przygotować ich do samodzielnego życia, umożliwiając im zdobycie wykształcenia, dzięki któremu będą później sami w stanie zapewnić sobie warunki życia i rozwoju. W społeczeństwie przemysłowym wykształcił się określony system wartości akcentujących przede wszystkim powodzenie osobiste i indywidualne sukcesy człowieka, przedkładane nad dobro rodziny jako całości. Członkowie rodziny niechętnie już podporządkowują się w swych dążeniach i aspiracjach wspólnocie rodzinnej. Indywidualnie wybierają drogę swego życia, kształtując przy tym swój los. Powszechnym typem rodziny we współczesnych warunkach miejsko-przemysłowych stała się mała rodzina dwupokoleniowa. Rodzina współczesna wykształciła się przez systematyczne odchodzenie od modelu rodziny tradycyjnej. Pod wieloma względami stanowi jej przeciwieństwo. Nie utrzymuje rozległych kontaktów opartych na pokrewieństwie i sąsiedztwie, więź z krewnymi jest zredukowana, ograniczona do kontaktów z krewnymi w linii prostej. Rodzina współczesna staje się intymną, zamkniętą grupą, słabo powiązaną ze strukturami zewnętrznymi np. ze społecznością sąsiedzką. Ta grupa, najczęściej dwupokoleniowa, z małą liczbą dzieci, żyje we własnym mieszkaniu i prowadzi samodzielne gospodarstwo domowe, odgradzając własne sprawy od środowiska zewnętrznego. Przeważnie obydwójce małżonkowie podejmują pracę zarobkową poza domem, co, zwłaszcza dla kobiety oznacza uniezależnienie się ekonomiczne i społeczne. Instytucjonalny charakter życia rodzinnego jest w dużej mierze zredukowany, wzrosła ranga potrzeb i dążeń jednostki. Role i normy są mniej sztywno wyznaczone, obowiązuje egalitaryzm w stosunkach wewnątrzrodzinnych, zanika podział na role typowo męskie i kobiece (Kwak 1994).

Aktywizacja zawodowa kobiet dała im możliwość zmiany pozycji w rodzinie i społeczeństwie, a także umożliwiła kobietom wejście w sfery życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego, które dotychczas były

zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn i stanowiły podstawę ich prestiżu społecznego. Zamążdżenie przestało być dla kobiet jedyną drogą i koniecznością życiową, a stało się sprawą wolnego wyboru. Zrównanie pozycji społecznej i rodzinnej mężczyzny i kobiety doprowadziło w konsekwencji do pogłębienia znaczenia więzi uczuciowych w małżeństwie. Struktura rodziny małej przekształciła się w kierunku równouprawnienia współmałżonków.

W społeczeństwie przemysłowym rodzina przeobraża się patriarchalnej w demokratyczną, w której wszyscy członkowie są świadomi ciężących na nich obowiązków i przysługujących im praw. W rodzinie preindustrialnej zachowania członków były regulowane prawem, normami religijnymi, obyczajami i naciskiem opinii zbiorowości lokalnej, podczas gdy w związku partnerskim naczelną rolę odgrywa wzajemne uczucie i porozumienie (Adamski 1984).

Miłość stała się powszechnym, uznanym motywem podjęcia przez partnerów decyzji o zawarciu związku małżeńskiego, a ich wzajemne uczucia są jedynym warunkiem jego trwałości.

Zasadnicza zmiana dokonana się w tej dziedzinie życia społecznego pod wpływem industrializacji, urbanizacji, demokratyzacji i ruchów emancypacyjnych. Przyczyniły się one do radykalnego wzrostu aktywności zawodowej kobiet, ich poziomu wykształcenia i rozwoju aspiracji życiowych. Zmiana w społecznej pozycji kobiety doprowadziła do przeobrażeń wewnątrzrodzinnych, czemu sprzyjało wprowadzenie równouprawnienia oraz lansowany przez kulturę masową indywidualizm i wzory partnerskie życia rodzinnego.

Indywidualizm, w którym obecnie kładzie się nacisk przede wszystkim na realizację własnych aspiracji życiowych, wykreował model kobiety wyzwolonej – niezależnej finansowo, twardej, umiejącej podjąć każdą pracę, nawet tę najbardziej męską. Taką osobę charakteryzuje przebojowość i siła psychiczna. W jej usposobieniu brak miejsca na wrażliwość i ciepło charakterystyczne dla prawdziwej kobiety.

Część kobiet pragnących poświęcić się karierze zawodowej dobrowolnie wybiera życie w pojedynkę. Często zdarza się, że pozostają one w nieformalnych związkach z mężczyznami. Cenią sobie wolność i niezależność, które pozwalają im na osiągnięcie sukcesu zawodowego. Pozostała duża grupa kobiet, którym nie udało się z różnych przyczyn założyć rodziny, prowadzi samotną egzystencję z konieczności. Dla wszystkich samotnych kobiet niezmiernie ważna staje się aktywność zawodowa. Ciekawe zajęcie,

dobre kontakty zawodowe mogą być źródłem zachęty, uznania i bodźców, mogą również zaspokajać potrzeby emocjonalne.

Miłość, małżeństwo i rodzina są dla większości kobiet najważniejszymi wartościami w życiu. Nie wszystkie jednak kobiety wychodzą za mąż i posiadają dzieci. Zdarza się również, że z konieczności lub świadomego wyboru żyją samotnie, nie doświadczając szczęścia rodzinnego. Większość samotnych kobiet głosi ideę małżeństwa z miłości i dlatego swoim wyborem życiowym udowadnia, że kobieta nie musi być mężatką, jeśli nie spotka odpowiedniego dla siebie partnera. Może być również wartościową obywatelką, wspaniałą córką, siostrą, koleżanką z pracy, kobietą sukcesu robiącą karierę zawodową. Jej osiągnięcia życiowe nie powinny być umniejszane tylko przez fakt, że nie wyszła za mąż. Kwestia małżeństwa i rodziny należy przecież do osobistych spraw każdej jednostki oraz do jej filozofii życiowej.

A życiowa filozofia samotności posiada długą historię. Już Francesco Petrarca pisał: „Samotność jest święta, prosta, niezspsuta i najbardziej czysta ze wszystkich rzeczy ludzkich. Samotność nie chce nikogo zwodzić, nikomu nie schlebia, nic nie ukrywa, nic nie zmyśla. Jest całkiem naga i bez ozdób. Nie wystawia się na widok publiczny ani nie szuka oklasków, które zatrują duszę” (za Pietkiewicz 2000).

Wybierali ją z rozmysłem z dawien dawna myśliciele, filozofowie, artyści lub też ludzie tak bardzo pochłonięci pielęgnowaniem talentów lub idei, że nie chcieli, jak Nietzsche, żadnego świadka, który by przeszkadzał im w sku-pieniu. „W samotności – pisał wielki samotnik Artur Schopenhauer – człowiek marny czuje swoją marność, bo im więcej kto sam przez się posiada, tym mniej potrzebni są mu inni”.

Składano ją w darze Bogu – jako szczególnie trudną. Stokroć ją jeszcze usamotniano, idąc na pustynię albo zamykając się w eremach z nakazem milczenia do śmierci.

Kiedyś mogła należeć tylko do wybranych. Szara masa ludzka musiała łączyć się w pary, aby siać, zbierać, paść bydło, aby przeżyć. Tak było przez stulecia niemal do naszych czasów. Samotność była więc niedemokratyczna, dlatego wydawała się piękna.

Wydaje się, że na pustyni gwiazdy świecą niżej niż gdzie indziej na ziemi – ona je przybliża. Z samotnością jest podobnie. Wszystko na świecie wydaje się w niej intensywniejsze, wyrazistsze. Samotni wiedzą, że lepiej im się rozmawia z Bogiem, bo bez pośredników, intensywniej odbiera

naturę – bo bez świadków. Wyraźniej się wszystko widzi, przenikliwiej słyszy. Zdany sam na siebie samotnik ćwiczy zaradność i inteligencję. Lepiej sam siebie poznaje.

Samotność utraciła odwieczną urodę. Zdemokratyzowała się. Nie jest już sprawą elity – gigantów intelektu. Zeszła w tłum. Wynaturzyła się. Już się jej nie wybiera, aby służyć rewolucji społecznej, nieść oświatę do ciemnych mas wiejskiego ludu. Bierze się ją dla samego siebie – z wygody, z lenistwa albo dlatego, że się nie wierzy w to, „że cię nie opuszczę i zdradzać nie będę aż do śmierci”. Bo wszystko, co jest ważne dla dwóch ludzi, jest fałszem – mówi Heiner Mueller, berliński dramaturg. Człowiek jest monadą (zob. Pietkiewicz 2000).

4.2. Samotnicza wolność w miejsce małżeńskiego jarzma

Istniało niegdyś przekonanie, że „za jakim takim chłopem, za jakim takim płotem lepiej niż w szczerym polu”. Porzekadło to określało trafnie sytuację kobiety w systemie patriarchalnym, gdy samotność była dla niej istotnie największym nieszczęściem. I to nie tylko dlatego, że wyjście za mąż, posiadanie dzieci stanowiło w powszechnej opinii jedyne powołanie istot płci żeńskiej, lecz głównie dlatego, że jedynie poprzez małżeństwo kobieta uzyskać mogła materialne zabezpieczenie bytu, zdobyć określony status społeczny. Największą więc troską rodziców posiadających córkę na wydaniu było znalezienie dla niej odpowiedniego męża, który zapewniłby jej przyszłość i możliwie wysoką pozycję społeczną. Przygotowanie młodej dziewczyny do samodzielnego życia, do odpowiedzialności za siebie, tak jak troska o rozwój jej uzdolnień umysłowych, nie było wówczas potrzebne. Dziewczynę trzeba było przygotować wyłącznie do roli przyszłej żony i matki, rozwinąć jej kobiece uroki oraz wyrobić w niej specyficzną kobiecą przebiegłość, które to cechy mogły ułatwić jej zdobycie możliwie najlepszego mężczyzny. Rodzice zastawiający siłła na męża dla swej córki nie przejmowali się przy tym na ogół zbyt jej uczuciami. Uczucia traktowane były zazwyczaj jako panięskie fochy, którymi nie można przejmować się zbyt serio. Liczenie się z uczuciami córki przy wyborze odpowiedniej dla niej partii było swoistym luksusem, na który nie wszyscy, tocząc walkę o dobra bardziej elementarne, mogli sobie pozwolić.

Aby nie dopuścić do tego co najgorsze, to znaczy do staropanieństwa, w domu, w którym były niemłode już panny, zastawiano siłła na każdego

wolnego mężczyznę, nie licząc się w tej podbramkowej sytuacji zbytnio ani z jego wiekiem, ani z tak zwaną aparycją, ani nawet z walorami umysłu czy charakteru. Lepszy był bowiem ktokolwiek niż nikt. W powszechnej opinii nic bowiem gorszego od staropanieństwa nie mogło spotkać kobiety.

Staropanieństwo było nie tylko największym z możliwych nieszczęść, było także czymś jakby nieprzyzwoitym, wstydliwym i śmiesznym. Stara panna bowiem to ta, której nikt nie chciał, to osoba zbędna, nikomu niepotrzebna, a więc żyjąca jakby z łaski. Stara panna to osoba nierealizująca tego powołania, które w powszechnej opinii nadawało sens życiu kobiety, niemogąca rodzić dzieci i służyć mężczyźnie, który wybrał ją sobie za żonę.

Kobiety samotne mogły w tej sytuacji zrehabilitować się tylko w jeden sposób – podjąć służbę na rzecz cudzych dzieci i obcych mężczyzn. Kobieta samotna spełniająca rolę pielęgniarki, niańki, guwernantki czy służącej mniej kłuta w oczy, mogła nawet, gdy wykazywała dużą ofiarność i poświęcenie, liczyć na pewną akceptację i szacunek, niwelujący nieco śmieszność jej staropanieństwa. Pozostawała ona bowiem zawsze istotą niezrealizowaną, istotą, której nie dane było spełnienie jej głównego życiowego powołania.

Dzisiaj sytuacja kobiety zmieniła się znacznie. Dziewczęta są na równi z chłopcami przygotowane do życia samodzielnego i niezależnego. Mają daną tę samą co chłopcy możliwość rozwijania swego umysłu, zainteresowań i uzdolnień. Większość kobiet nie sądzi już, że jedynym ich życiowym powołaniem jest rodzenie dzieci i służenie mężczyźnie, który wybrał je sobie za żonę. Małżeństwo przestało być dla współczesnej kobiety jedyną dostępną szansą samorealizacji i jedynym sposobem odnalezienia swego miejsca w życiu. Nie jest też już ono jedyną drogą zapewnienia sobie przyszłości, zdobycia określonego statusu społecznego, jak też „uczciwego” zaspokojenia potrzeb erotycznych i seksualnych.

Dla współczesnej, świadomej swej pozycji, kobiety wyjście za mąż jest więc, tak jak dla mężczyzny, odpowiedzialną decyzją o założeniu rodziny, związaniu swego losu z losem wybranego przez siebie człowieka, jest wyborem jednej z możliwych dróg życiowych, a nie pochwyeniem jedynej szansy mogącej nadać sens życiu.

Stare porzekadło „za byle jakim chłopem, za byle jakim płotem” uległo więc dezaktualizacji. Wbrew temu właśnie porzekadłu coraz więcej kobiet skłonnych jest sądzić, że lepiej pozostać osobą samotną, że często lepiej nawet ponosić samotne trudy macierzyństwa, niż wiązać swe życie z człowiekiem nieodpowiedzialnym, egoistycznym, despotycznym czy też uwi-

klanym w nałogi niszczące jego samego i jego najbliższe otoczenie. Wiele jest dziś kobiet, które z całą pewnością uznałyby, że lepiej być osobą samotną niż nieszczęśliwą żoną. Sam fakt zamęścia utracił już bowiem swe dawne prestiżowe znaczenie. Coraz więcej jest kobiet, dla których jest ważna jakość realizowanego w małżeństwie związku, nie zaś sam fakt zdobycia statusu osoby zamężnej.

Spotykamy więc dziś często kobiety ładne, towarzysko atrakcyjne, mające powodzenie u mężczyzn, kobiety, którym nieraz już czyniono matrymonialne propozycje, a które mimo to pozostają samotne. Ich samotność nie ma nic wspólnego z dawnym staropanieństwem. Nie są to bowiem bezradne istoty, których nikt nie zechciał, lecz osoby odrzucające oferty niezgodne z ich oczekiwaniami. Nie chcą one wiązać się na trwałe z „kimkolwiek”, by tylko uzyskać status żony. Są to osoby, które nie chcą rezygnować z siebie na rzecz bylejakiego małżeństwa.

Na decyzje pozostawania w stanie wolnym wielu kobiet wpływa dziś często także fakt, że teoretyczna równość obu płci nie jest ciągle jeszcze równością faktyczną. Kobieta, podejmująca zawodową aktywność na równi z mężczyzną, idąca za głosem swych zainteresowań i pasji, pozostaje najczęściej nadal wyłącznie odpowiedzialna za tradycyjnie kobiece funkcje rodzinne. Należą do niej w rodzinie na ogół nadal te wszystkie obowiązki, które wypełniała jej niepracująca zawodowo prababka. Prowadzi to z konieczności do nadmiernego przeciążenia, a w konsekwencji do rezygnacji przez kobietę z tej działalności, do której przygotowywała się ona w okresie młodości. Zdarza się więc czasami, że kobieta, która odkryła w sobie twórcze powołanie i chce mu się poświęcić, świadomie decyduje się pozostać w stanie wolnym. Wie ona bowiem, że nie będzie w stanie godzić ze sobą obowiązków rodzinnych i twórczej działalności.

Spotykamy więc dziś kobiety, które zdecydowały, że droga ich samo-realizacji wiedzie nie poprzez dom i macierzyństwo, lecz poprzez naukę, artystyczną czy zawodową twórczość. Tego typu samotność ze świadomego wyboru jest, rzecz jasna, rzadka i na ogół dotyczy jednostek nieprzeciętnych. Decyzja realizacji swego twórczego powołania kosztem rodzinnego szczęścia nie jest bowiem na pewno łatwa.

W czym więc wyraża się różnica między drogami prowadzącymi do tradycyjnego staropanieństwa a drogami prowadzącymi do samotności wielu współczesnych kobiet?

Stara panna była istotą, której życie wypełniało bez reszty oczekiwanie na męża. Była istotą, dla której niemożność realizacji tego oczekiwania równała się życiowej klęsce. Samotna kobieta to osoba niezależna, żyjąca pełnią życia. To osoba, która sama z tych czy innych powodów zdecydowała się na to, by nie zakładać rodziny.

Kobieta samotna jest dziś pełnoprawnym członkiem społeczeństwa, osobą w pełni samodzielną i niezależną. Samotność współczesnej kobiety nie musi już być, jak niegdyś, samotnością bezradnej, zagubionej istoty, istoty nieszczęśliwej, bo przeświadczonej, że nie jest jej dane wypełnienie jedyne nadającego sens jej życiu powołania.

Jak podkreśla B. Pietkiewicz (2001), w samotności jest wybór, a w staropanieństwie – jakby przymus: „nikt mnie nie zechciał”. Znośniej być samotnym z dorobioną ideologią. Samotna może teraz używać kremów z alg i czuć się młoda do starości. A stara panna jest od początku jakby trwale stara.

Starzy kawalerowie takich lęków nie mają. Mężczyźni (jeśli nie jest rolnikiem) łatwiej nie czuć się niechcianym. Mimo wszelkiej emancypacji to on wciąż prosi o rękę – jeśli taką rękę znajdzie w pobliżu.

Jak trafnie zauważa M. Barcz (2001), samotność stała się nowo lansowanym stylem życia młodych pracoholików. Single dla prasy. Dlaczego? Bo samotny to dziś również ten, który nie ukrywa twarzy, wprost przeciwnie, chętnie fotografuje się. Ciężko pracował, odniósł sukces i zarobił dużo pieniędzy.

W popularnym tygodniku dziewczyna o smutnych oczach opowiada czytelnikom, że, mieszkając z chłopakiem musiała mu robić herbatę i go zabawiać. Teraz czuje się wolna: robi herbatę tylko sobie. Rówieśnik ze zdjęcia obok założył rodzinę, ale ponownie zamieszkał sam. Tłumaczy, że wprawdzie nie rozwiódł się i „utrzymuje kontakty z bliskimi, ale nie musi już nikomu niczego obiecywać”. Nareszcie mu ulżyło. W gazetach można znaleźć przepisy na podryw, udany seks, szaloną randkę. Tak, jakby wszystko zaczynało się i kończyło na pierwszym wrażeniu i jednym spotkaniu.

Psychologowie ostrzegają, że za tym kryje się poważny kryzys więzi międzyludzkich. Obawiamy się bliskości, nawet fizycznej, drugiej osoby. Psychoterapeutka Maria Król-Fijewska twierdzi: „Już dla dwudziestolatków dotyk dłoni stanowi naruszenie granic prywatności. Coraz trudniej zorgani-

zować grupy psychoterapeutyczne, co jeszcze kilka lat temu nie stanowiło problemu. A skoro nie umiemy podać ręki, jak wspólnie żyć?”

Ludzi samotnych przybywa. W pojedynkę żyje coraz więcej atrakcyjnych i wykształconych Polaków. Nie zawsze dlatego, że tak wybrali.

4.3. Skala oraz skutki zjawiska

W naszym kraju obecnie wśród osób mających od 40 do 44 lat dokładnie co szesnasta kobieta i szesnasty mężczyzna pozostają bezzenni (jak to neutralnie i poprawnie politycznie nazywają naukowcy). Kiedyś patrzono na nich, a zwłaszcza na nie, z nutą lekceważenia, a nawet pogardy – jak na towar wybrakowany, osobników zasuszonych, kwaśnych, nie do życia i prokreacji. Dziś częściej jest to własny, świadomy wybór, zresztą coraz częstszy w skali społecznej (zob. Pietkiewicz 2001).

Socjologowie podkreślają, że nigdy dotychczas w historii ludzkości nie było aż tak wielkiej liczby samotnych. Małżeństwo, cudzołóstwo, rozwód, praca kobiet, samotne macierzyństwo znane były od najdawniejszych czasów. Samotność z wyboru jest novum naszych współczesnych. Po raz pierwszy nie musimy łączyć się w pary, aby przeżyć. Eksplozję samotności spowodowały przede wszystkim kobiety. Pojawił się nowy wzorzec – kobiety niezależnej, wykształconej, zaradnej.

„Awansują, podobnie jak mężczyźni, na aktorki, konstruktorki, żonglerki, inscenizatorki własnych biografii” – mówi Ulrich Beck, socjolog z Monachium.

Za nimi wlecze się w rzece samotności smutny nurt – kobiety niechciane. Nie każdy bowiem wybiera samotność, należy raczej przypuszczać, że częściej jest ona stanem przymusowym. Dla, wolnych, ekspansywnych, które w młodości przegapiły czas, kiedy łatwiej znaleźć parę. Dla tych, dla których zabrakło mężczyzny, bo ich dla wszystkich kobiet nie starczy, zwłaszcza że oni wcześniej umierają, a część zostaje starymi kawalerami (bo oni także, wolni i ekspansywni w młodości, przegapiają czas do łączenia się w pary). Albo mają inną orientację seksualną.

Wolne z przymusu są również te kobiety, które zostawiono w średnim i późniejszym wieku z powodu nowej, lepszej kandydatki.

Utarło się przekonanie, że samotność jest domeną kobiet i że znoszą ją one gorzej niż mężczyźni. Skoro jednak kobiety lepiej sobie radzą z trudami życia, dlaczegóżby miały ten, choćby najgorszy, znosić gorzej od

mężczyzn? Widzi się wszak wiele wspaniałych, mądrych, dzielnych samotnych kobiet. Samotny mężczyzna to na ogół mięczak, zaniedbany, rozmemłany i sfrustrowany, dziczejący w czterech ścianach. Powinien być silny i męski, nawet kiedy jest sam. Ale mu nie wychodzi. Nie umie się nawet na święta przykleić do jakichś siostrzeńców ani krewnych. Samotność oznacza dla niego potwierdzenie nieudacznictwa. Czterokrotnie częściej niż samotne kobiety wybiera samobójstwo.

Robią to zwykle w święta Bożego Narodzenia, na Wielkanoc, w weekendy – i w maju. Kwitnące bzy źle się komponują z samotnością. To najsmutniejsze, najczarniejsze, najgorsze dni dla samotnych.

Można wtedy pójść do znajomych. Lecz przebywa się u nich z poczuciem doczepności. W świąteczny czas, gdy człowieka ogarnia pragnienie bliskości, choćby złudnej: towarzyszenie cudzemu życiu nie gasi pragnienia (zob. Pietkiewicz 2000).

Na swoisty paradoks zakrawa to, że samotność jest do pewnego stopnia ceną, jaką płacą kobiety za swoje ambicje oraz społeczny awans. Jak stwierdza B. Pietkiewicz (2001) obecna stara panna, to statystycznie najwspanialszy gatunek ludzki w naszym kraju. Jak wynika bowiem z badań socjologicznych, ponad 31% panien ma wykształcenie wyższe. Łącznie ponad 51% – co najmniej średnie ogólnokształcące, a 40% – co najmniej pomaturalne. Stara panna zna języki. 24% panien co najmniej rozumie jeden język zachodni, 10% zna biegle jedno lub dwa, 60% nie zna żadnego, ale i tak tych znających jest o ok. 12% więcej niż wśród żonatych i zamężnych. Aż 59% panien z badań Tymickiego lokuje się w grupie inteligenckiej, a 26% uprawia wolne zawody, zajmując stanowiska dyrektorów, kierowników i specjalistów różnego rodzaju (zob. Tymicki 2001).

Stare panny przewyższają pod względem wykształcenia, statusu społecznego, znajomości języków nie tylko kobiety zamężne, lecz także żonaty mężczyźni, ustępując im tylko w kategorii „właściciele firm”. Zarabiają mniej więcej tyle co żonaci. Zamężne zarabiają mniej – tyle co starzy kawalerowie.

Stara panna przeważnie jest córką inteligenta. Jeśli nawet jej matka jest kurą domową ze średnim wykształceniem, nic to. Standard wyborów małżeńskich wyznacza przede wszystkim ojciec.

Tak jak wiele jest, co każdy gołym okiem widzi, wspaniałych samotnych panien przed czterdziestką i po, tak mało jest świetnych starych kawa-

lerów. Jakby zapadli się pod ziemię. Gdzie im do starych panien. Wykształcenie mają marne. Aż 33% – podstawowe, a 73% zasadnicze zawodowe. Są najczęściej robotnikami wykwalifikowanymi – 82% (wśród starych panien robotnic jest tylko 18%). Nie znają języków, 80% – żadnego. W wolnych zawodach, wśród specjalistów, dyrektorów, prawie się nie liczą. Większość starych kawalerów mieszka na wsi – 55% (panien – 22%). W dużych miastach powyżej 500 tys. – tylko 7%. Podczas gdy stare panny pochodzą głównie z rodzin inteligentnych, oni – z biednych niewykształconych. Częściej też niż żonaci są bezrobotni.

Starzy kawalerowie rolnicy to kategoria szczególna. Już w socjalizmie dziennikarzom pióra się zdziały od pisania, że rolnicy są bez szans na żony. Kobiety uciekają, jak dawniej, do miasta, choć życie tu teraz jak po grudach. Ale z nadzieją. – Kiedy słyszę, że kandydat jest rolnikiem, serce mi się ściska z żalu – mówi właścicielka jednego z najstarszych biur matrymonialnych w Krakowie. – Może być dobry, uczciwy, bez nałogów, lecz nic z tego. Kobiety lubią wierzyć, że przyszłość zgotuje im mile niespodzianki. Mąż rolnik pozbawia złudzeń.

Ostatnio jednak pojawiła się i dla nich nadzieja. Powoli przybywa małżeństw rolników z Ukrainkami i Białorusinkami, dla których małżeństwo z Polakiem, choćby rolnikiem, to awans (za: Pietkiewicz 2001).

4.4. Cywilizacyjne okaleczenia więzi społecznych i ról rodzinnych

Samotnym przyglądano się niegdyś nieufnie, zwłaszcza gdy chodziło o mężczyzn: z pewnością mają jakiś feler. W polskich socjalistycznych zakładach pracy zarabiali gorzej od żonaty, rzadziej otrzymywali awanse i podwyżki (dla jednego i tak wystarczy), spychano na nich dyżury, mało atrakcyjne zlecenia, zastępstwa.

Niedługo potem, kiedy z uniwersytetów wysypali się yuppies i poszli przebojem, samotni stali się dla pracodawcy mięsem do żyłowania. To właśnie oni szybko dają się przerobić na pracoholików.

Wywyższenie samotnego przeniosło się – wraz z globalizacją – i na kapitalistyczną Polskę. „Samotny dyspozycyjny” – podnoszą swe zalety w ogłoszeniach poszukujący pracy. Samotny, młody, z prezencją i wykształceniem to już ideał. Nowo przyjmowanym pilnie patrzy się na obrączki, kobietom dyskretnie bada się wzrokiem brzuch: strzeżonego Pan Bóg strzeże. Z kolei samotny starszawy jest pierwszy do relegowania, z powodu wieku i wyglądu.

Kapitalizm singlom na Zachodzie przyniósł cud Internetu. Polskim jeszcze do tego szerokiego dostępu daleko, natomiast mają dwie rzeczy wspaniałe: supermarkety i telefony komórkowe (Pietkiewicz 2000).

Jak wynika z raportu A. Sosnowskiej (2001) opublikowanego w „Madame Figaro” (1 V 2001), kobiety i mężczyźni weszli szybko w obyczajową nowoczesność, tyle że całkiem inaczej. One zmężniały, oni jakby spuścili z tonu. Spośród ankietowanych mężczyzn aż 91% twierdzi, że ożeniłoby się z kobietą, która ma wyższe od nich wykształcenie, 85% nie miałyby nic przeciwko temu, by ich żona zarabiała dużo lepiej, a 87% nie widzi żadnego problemu w tym, by w pracy być podwładnym swojej żony.

„Już w badaniach z lat 80. zauważono zjawisko określane jako „kryzys roli ojca” – komentuje wyniki ankiety socjolog Mirosław Pęczak. Rola głowy domu jest dla wielu mężczyzn ciężarem ponad siły. Bardziej od wyzwania interesuje ich święty spokój. Niektórzy deklarują, że patriarchalizm przestał być dla nich obowiązującym wzorcem relacji damsko-męskich, że zgadzają się na zamianę ról. Może to być zapowiedzią istotnych zmian obyczajowych. Ale czy takich jak w Ameryce lat 70., gdy mężczyźni na fali kontrkultury rzeczywiście głęboko przewartościli swój stosunek do kobiet, dopuścili je do wielkich karier, najwyższych stanowisk? Byłbym ostrożny w porównaniach. Rewolucja obyczajowa w Polsce przebiega głównie na poziomie deklaracji. A zgoda mężczyzn na zwiększenie roli kobiet jest raczej ucieczką od odpowiedzialności niż dojrzałością do dzielenia trudów partnerstwa”.

Wśród klientów biur matrymonialnych to kobiety należą do tych silniejszych i atrakcyjniejszych. Jeszcze dziesięć lat temu młodzi, atrakcyjni, wykształceni w ogóle nie korzystali z podobnych usług. Dziś stanowią ponad 50% klientów (większość ma wyższe studia). Liczba kobiet i mężczyzn szukających partnerów jest podobna, jednak ich oferty się różnią. Kobiety częściej szukają partnera do pierwszego związku na stałe, podczas gdy wielu panów ma już za sobą rozpad związku. Są wśród nich i tacy, których nie interesuje sukces zawodowy, bo uważają, że to przez przesadne skupienie się na pracy dziś są samotni. Bardziej cenią bliskość i poczucie bezpieczeństwa niż zaspokojone ambicje (zob. Sosnowska 2001).

Wiele kobiet z dużych miast, które żyją samotnie właśnie z powodu pracy, to przyjezdne z prowincji. Dla Warszawy, Krakowa czy Wrocławia porzucają Sokółkę, Biecz lub Suwałki i nagle stają przed pokusą zarobienia pieniędzy nieporównywalnych z tymi, na jakie mogły liczyć w rodzinnym

mieście. W dużych zachodnich firmach w ciągu trzech lat mogą zarobić na mieszkanie, podróże po świecie, modne ubrania. Nie mają wiele do stracenia, bo w rodzinnym miasteczku większość koleżanek robi byle co albo pobiera zasiłek. Idą więc na całość.

To wygodna grupa dla pracodawców. Wiele firm szuka samotnych dziewczyn z prowincji – mówi Teresa Stępień z warszawskiego Centrum Promocji Kobiet. – żyją w ciągłym poczuciu zagrożenia, co mobilizuje je do nadludzkiego wysiłku. Jeden miesiąc bez pracy grozi przecież utratą mieszkania i końcem kariery w wielkim mieście. Takie dziewczyny nie zastanawiają się nad dylematem: praca czy rodzina. Wybór dokonuje się sam. Bo jeśli firma pochłania je od rana do nocy (godziny etatowe, nadgodziny, doksztalcenie, kolacje biznesowe, wyjazdy integracyjne itp.), to na życie prywatne nie tylko brakuje im czasu, ale też energii i ochoty. Zwłaszcza że często pracują na mało komfortowych warunkach. Zdarza się na przykład, że samotne dziewczyny otrzymują do podpisania umowę o pracę razem z podaniem o zwolnienie na własną prośbę (bez wpisanej daty), na wypadek gdyby zaszły w ciążę. Taka presja nie sprzyja myślom o zakładaniu rodziny. Wręcz przeciwnie, stawia rodzinę w opozycji do kariery. Reguły gry są twarde i logiczne, a szefowie mało wyrozumiali dla dziejowej konieczności przedłużania gatunku.

Na Zachodzie większość samotnych kobiet upatruje przyczyn swojej sytuacji w stylu życia wymuszonym przez pracę. Jednak w Polsce tylko 18% samotnych kobiet uważa, że nie żyje w stałym związku, „bo praca pochłania większość ich czasu i ogranicza życie towarzyskie”, 42% twierdzi, że samotność „jest ich świadomym wyborem i konsekwencją wysokich wymagań wobec potencjalnych partnerów”, a 27% uważa, że żyje bez partnera, bo „ma kłopoty z zawieraniem stałych związków”.

Z mody na samotność cieszą się producenci wszelakich dóbr. Dzięki singlom sprzedają więcej mieszkań, samochodów, telewizorów. Młodzi samotnicy zdecydowanie więcej konsumują. Lubią podróże, nie oszczędzają na książkach i płytach. Cenią luksus (np. samotne kobiety wydają na kosmetyki i ubrania średnio dwukrotnie więcej niż mężatki). W krajach o wysokim wskaźniku samotności (Wielka Brytania, Francja, Japonia, Szwecja) tysiące fachowców od sprzedaży dniem i nocą myślą, jak zrobić złoty interes na singlach, do nich adresują coraz więcej reklam. W reklamie proszku do prania zobaczymy wprawdzie matkę z dwójką dzieci, ale nowe perfumy czy samochód reklamuje atrakcyjna bizneswoman – w tle luksusowy apartament bez śladu bytności dzieci. Coraz więcej jest produktów w małych opako-

waniach, w sam raz dla jednej osoby. Powstają firmy oferujące specjalne usługi dla samotnych: podawanie lekarstw podczas choroby, wyprowadzanie psa czy podlewanie kwiatków w czasie dłuższej nieobecności. Znakiem czasu są coraz liczniejsze filmy i książki o samotnych (najczęściej kobietach) – „Ally McBeal”, „Seks w wielkim mieście” czy „Dziennik Bridget Jones” urastają do rangi manifestu nowej obyczajowości.

W Polsce żyje dziś ponad dwa i pół miliona samotnych. Wciąż ich przybywa, choć nie w tak szokującym tempie jak w wielu krajach wysoko rozwiniętych. We Francji, w krajach skandynawskich i w Japonii w ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba singli podwoiła się. Brytyjcy socjologzy przewidują, że w Anglii w najbliższych latach liczba samotnie żyjących osób przewyższy liczbę rodzin. Polscy uspokajają: przywiązanie do wartości rodzinnych jest u nas silniejsze niż gdziekolwiek indziej (Sosnowska 2001).

Przed dwudziestu laty polscy single skarżyli się w „Polityce”, że wszystko w handlu i usługach nastawione jest na podwójność – od dużych butelek na mleko do miejsc na campingach. Na Zachodzie to się dawno zmieniło. Odstają jeszcze statki wycieczkowe nastawione na nowożeńców, ale włoska „Vittoria” na przykład, która dotąd miała sześć kabin pojedynczych na dwa tysiące miejsc, naprawiła swój błąd. Powstały spółdzielnie mieszkaniowe specjalizujące się w budowaniu mieszkań dla samotnych z kompleksową obsługą uzupełniającą – sprzątnięciem, praniem, prasowaniem, dyżurami lekarza, podlewaczami kwiatów, karmicielami kotów, dozorcami mienia na czas nieobecności.

We wszystkich wielkich miastach świata, podobnie jak w Mediolanie, w którym mieszka rekordowa liczba singli, działają agencje turystyczne dla samotnych. W Nowym Jorku 3,5 miliona takich singli ma do dyspozycji agencje mogące komputerowo wybrać towarzysza dowolnej podróży motocyklowej, samochodowej, samolotowej, rowerowej, są także bary, kluby, dyskoteki, audycje radiowe dla samotnych i setki klubów religijno-towarzystwiskich w kościołach różnych wyznań.

Pojawiły się też agencje wypożyczania mężczyzn (również w Polsce). Bizneswoman, która idzie na prestiżowy raut, może wynająć eleganckiego mężczyznę z katalogu, a starsza panna – np. na pięćdziesięciolecie ślubu rodziców może im się pokazać z taki narzeczonym.

Samotni organizują się. Istnieje np. włoskie Stowarzyszenie Osób Samotnych czy francuski Narodowy Związek Bezzennych oraz Grupa Badań i Działań na rzecz Samotnych – i setki innych. Walczą o zniesienie dyskryminacji w dostępie do sztucznego zapłodnienia, leczenia bezpłodności, prawa do adopcji. Działają wszędzie tam, gdzie jeszcze administracyjnie i finansowo popierane są głównie małżeństwa.

W Polsce zglobalizujemy się i pod tym względem. Niech tylko tysiące samotnych nauczycielek, pielęgniarek i pracownic biurowych – główna u nas masa samotności – podniesie głowę z mizerii finansowej i realnie zamarzy o Karaibach, niech przestanie myśleć, że „samej nie wypada” – co już się powolutku w dużych miastach dzieje – a wtedy tylko patrzeć, jak powstanie Zrzeszenie Panien, Wdów i Rozwiedzionych albo inny Bratniak Pojedynczych (za Pietkiewicz 2000). Prognozy związane z narastaniem zjawiska samotności w globalizującym się świecie nie napawają optymizmem.

Nie ma gorszej samotności niż we dwoje – skarżą się w kobiecy w listach do redakcji magazynów kobiecych, od kiedy tylko te magazyny istnieją. Mąż traktuje dom jak hotel. Zje, poczyta, załatwi potrzebę seksualną i idzie do prawdziwego życia gdzieś w mieście. Albo żyje za szklaną ścianą – obojętny, apatyczny. Drugie z pary buduje wtedy w sobie obronną ścianę własną. Ściany powstają czasem z powodu nadmiernego dobrobytu. To nowy powszechniejący rodzaj samotności – twierdzi amerykański psycholog Dan Kiley. Dorabiają się. Mają obsesję kariery, bycia kimś. „Jeszcze 50 lat temu małżeństwo było towarzystwem wzajemnej pomocy. Obecnie zamiast odpowiedzialności ludzie wolą dzielić ze sobą przyjemności i wygody” – pisze Donata Francescato z uniwersytetu w Rzymie.

W miarę pojawiania się nadmiaru wygód dzieje się podobnie jak wówczas, kiedy zjawia się skrajny niedostatek – związek rozłazi się w szwach, wyrasta ściana. Albo on zdobywa upragniony szczyt i z trudem znosi obok siebie nagle nieatrakcyjną wobec jego nowych wymagań partnerkę, albo też ona ma wymagania nie na jego miarę.

Ścian mogą być tysiące. Między nimi hodoją się dzieci. Kiedy dorosną, także wybudują ściany – samotność bywa wysysana z mlekiem matki, więc będą w niej trwały, niezdolne do żadnych ludzkich więzi. Co dalej? Co czwarty mieszkaniec wielkich miast – twierdzą naukowcy z bońskiego Instytutu Psychologii – przejawia cechy neurotyczne i jest odludkiem. Wiele związków rodzinnych i przyjacielskich utrzymuje się tylko dzięki

technice i tendencja ta będzie się nasilała. Zaczynamy wchodzić w erę przeżywania życia na odległość w izolacji właściwej embrionowi. Dzięki łączom można się już spotykać, nie opuszczając fotela. Świat mierzony dotąd na metry w zasięgu ręki i głosu zostanie wkrótce za nami. Już niedługo, dzięki technikom przestrzeni wirtualnej oraz teleoperatorowi, będzie można mieć poczucie, że ściska się rękę osoby oddalanej o tysiące kilometrów. Ta sytuacja wymyka się całkowicie porządkowi dotykalnemu, to znaczy obecności ciała. Zaczynamy stykać się na odległość.

To wbrew logice, historii, tradycji. Przeciw wszystkiemu, do czego człowiek przywykł, odkąd istnieje. Przywykł, że potrzebuje jakiegoś *vis a vis*, aby toczyć spory, przyjmować wyzwania, projektować działanie. W samotności dziczeje, karleje, nawet jeśli bucha narcystycznym hedonizmem, a intelekt ma głęboki jak ocean. Częściej choruje. Badania Roberta B. Case'a, kardiologa z Nowego Jorku, wykazały, że częściej zapada na przykład na serce, kumuluje bowiem stresy, z nikim ich nie dzieląc. Zmniejszone przez samotny organizm wchłanianie d-glukozy jest przyczyną depresji. Zaburzone są mechanizmy regulujące aktywność, motoryczność i uczuciowość. Robi się w środku pokręcony jak drut kolczasty (Pietkiewicz 2000). W ten sposób potwierdza się trafność starego polskiego przysłowia, że „samotnemu wszędzie źle – żonatemu tylko przy żonie”.

Najogólniej rzecz biorąc, zjawisko to jest wynikiem braku gotowości poświęcenia się drugiemu człowiekowi i rodzinie jako podmiotowi, w którym występuje tylko część własnego „ja”, narastania niechęci do rezygnacji z pewnych części swojej osobowości na rzecz całkowicie nowego podmiotu „my” i „ono”.

Od samotności nie można jednak uciec w świat elektronicznych więzi. Ani w ten przemyślnie montowany z samym sobą. „Osamotnienia – pisze Tadeusz Gadacz – nie pokonuje się przez bycie Z, ale DLA drugiego człowieka. Człowiek zbliża się do człowieka w mierze, w jakiej darowuje mu siebie samego”.

Tymczasem bliskość z drugą osobą przeszkadza w karierze, jest czymś, czym się zajmujemy po godzinach i mamy przez to poczucie straconego czasu oraz dwoistości zachowań. Jeśli chce się liczyć na rynku, trzeba być agresywnym, drapieżnym, nikomu nie ufać. A jeśli chce się być z kimś blisko, trzeba być otwartym, uczciwym, gotowym do poświęceń. Wiele kobiet nie umie przestawić się z jednego typu zachowań na drugie,

zwłaszcza jeśli nie otrzymało odpowiednich wzorców z tej drugiej puli w dzieciństwie.

W tym miejscu warto powrócić na płaszczyznę dotychczasowej roli kobiety w rodzinie oraz społeczeństwie i przytoczyć wypowiedź papieża Jana Pawła II, który w następujący sposób interpretuje powołanie każdej kobiety: „Kobiecość oznacza określony, zewnętrzny kształt człowieczeństwa będący dopełnieniem męskiego sposobu bycia człowiekiem. Inaczej mówiąc, to co nazywa się kobiecością jawi się przede wszystkim jako pewna zdolność i gotowość przekraczania granicy samotności i potrzeba otwarcia się na istotę podobną, tj. męczyznę. Jest to zarazem wezwanie kobiety do komunii osób z mężczyzną, gdy kobiecość niejako odnajduje siebie w obliczu męskości, w doświadczeniu komplementarnego poczucia ciała. Naturalnym zaś sposobem realizacji tego „poczucia ciała” ma być „macierzyństwo”. Tajemnica kobiecości odsłania się do końca poprzez macierzyństwo, które staje się więc najdoskonalszym zjawiskiem głębi kobiecości. Jest on szczególną potencjalnością całego ustroju kobiecego” (cyt. za: Dębowski 1992).

Głębię tej wypowiedzi wspianiale, choć pośrednio ilustruje reportaż Jonathan Eig, pt. „Ojcem tych dzieci jest dawca nasienia nr 5027” (Claudia 2/107, 2002). Poniżej przytaczamy fragmenty tego reportażu. Jego wymowa, z pozoru optymistyczna, w swej istocie jest bardzo tragiczna (podkreślenia w tekście – L. K.).

Pięć samotnych kobiet, które pragnęły zostać matkami, przed laty skorzystało z tego samego banku nasienia. Gdy odkryły, że ich dzieci mają wspólnego, choć anonimowego ojca, zorganizowały zjazd rodzinny. Chciały przekonać się, jak dalece ich pociechy mają podobny do siebie wygląd, charakter i zdolności. Nie widziały ojca swoich dzieci nawet na zdjęciu. W banku nasienia otrzymały o nim tylko kilka informacji. Jest blondynem. Zdrowym, towarzyskim, o ścisłym umyśle, chyba przystojnym. Prawdopodobnie ukończył jeden z najlepszych uniwersytetów. Ma sportowe osiągnięcia. Katolik. 24 lata. Na umieszczone w ankiecie pytanie, jaki jeden przymiotnik trafnie by go scharakteryzował, odpowiedział „opanowany”. [...] Shair, Holly, Claire, Stephanie i Jennifer, samotne i niezamężne Amerykanki, nie znały się wcześniej i nie miały pojęcia, że zainteresował je ten sam dawca. Wszystkie kupiły fiołki z jego nasieniem. [...] Na świat zaczęły przychodzić dzieci: Lawrence, Elizabeth, Nathan i dwie pary bliźniąt: Liam i Sofia oraz Matthew i Megan. Potomstwo ojca nr 5027 ma wiele wspólnych cech: jasne włosy, brązowe oczy, zabawne, male noski, łatwość nawiązywania kontaktów, pogodne usposobienie, charakterystyczny głośny śmiech, a przy dużym skupieniu szczególny sposób zaciskania warg. Troje malców wychowywanych jest w tradycji żydowskiej, czworo – jako chrześcijanie. Jedne żyją

w dobrobycie, inne mają dość skromne warunki [...]. Stephanie, zachwycona małą Elizabeth, zapragnęła drugiego dziecka, podobnego do jasnowłosej dziewczynki. W banku nasienia dowiedziała się jednak, że dawca numeru 5027 przestał już, niestety, z nimi współpracować. Dwa i pół tysiąca dolarów przekonało go, by oddał nasienie raz jeszcze. Próba sztucznego zapłodnienia tym razem się jednak nie powiodła. Stephanie ponownie poprosiła o fiolkę. Numer 5027 zdecydowanie odmówił, ale ona – przedsiębiorcza amerykańska bizneswoman – nie zamierzała tak od razu zrezygnować. Dała ogłoszenie w kwartalniku organizacji „Samotne Matki z Wyboru”. Było krótkie: „Odkupię próbkę nasienia dawcy numer 5027”. Miała nadzieję, że któraś z klientek jej banku kupiła sobie fiolkę na zapas. To wydatek rządu 200 dolarów plus koszty zamrożenia – 150, i rocznego przechowywania – 250 [...]. Mamą dwuletnich bliźniąt Liama i Sofii jest Holly Greenfield z Denver. Niezależna kobieta sukcesu, psychiatra, **dopiero około trzydziestki zapragnęła mieć potomstwo. Bardzo. Była tym zdziwiona.** Kiedy skończyła 42 lata, poczuła, że to ostatni dzwonek. Była pewna – chce zostać matką. Postanowiła poddać się sztucznej zapłodnieniu. Wybrała 5027, bo, jak mówiła, wydawał jej się „przyjazny”.

Gdy była w ciąży ze swoimi bliźniętami, przeczytała ogłoszenie Stephanie. Chciała jej pomóc. Myślała, że ma jeszcze próbki nasienia poszukiwanego dawcy. Pomyliła się, nie miała ich. Na anons jednak odpowiedziała. **Ciekawiła ją kobieta, która na ojca swojego dziecka wybrała tego samego mężczyznę, co ona.** I ogromnie ją interesowało, jak wygląda Elizabeth – przyrodnia siostrzyczka jej dzieci, które miały się wkrótce narodzić. Stephanie przysłała zdjęcie córki. „Gdy Liam i Sofia przyszli na świat, okazali się niezwykle do niej podobni – mówi Holly. – To było naprawdę niesamowite”. Obie matki zaczęły ze sobą korespondować przez Internet. Wymieniały zdjęcia pociech, opowiadały o swoich przeżyciach i doświadczeniach. Wkrótce, dzięki organizacji „Samotne Matki z Wyboru”, Stephanie i Holly dowiedziały się, że trzy inne kobiety także urodziły dzieci dawcy numer 5027. Teraz było ich już pięć. Dzięki elektronicznej poczcie coraz więcej wiedziały o swoim życiu, stawały się sobie coraz bliższe [...]. Lawrence, syn Shair i 5027, ma trzy lata. Mama nadal karmi go piersią. **Powiedziała mu całą prawdę o jego pochodzeniu – tak, żeby mógł zrozumieć. Czasem, gdy chłopiec bawi się pociągami, każe mu jechać „do dawcy nasienia”.** Lawrence ma trochę ciemniejsze włosy i prostszy nos niż reszta przyrodniego rodzeństwa, a policzki, podbródek i oczy – takie same [...].

Sztuczne zapłodnienie? Nasienie nieznanego mężczyzny? Jennifer Black, 45-letnia finansistka z Phoenix, inteligentna, z poczuciem humoru, nie widzi problemu: **Kiedy idę do restauracji, nie muszę poznawać osobiście kucharza, żeby rozkoszować się smakiem potraw – twierdzi.** Jennifer jest mamą czteroletniego Nathana. Dawcę 5027 wybrała, bo chciała mieć dziecko podobne do swojej pierwszej córki, Erin, urodzonej dzięki staromodnemu seksowi. Nie pomyliła się. Erin i Nathan mają jasne włosy i jasną skórę. Jennifer postanowiła skontaktować się z kobietami, które wybrały tego samego ojca. Nathan się z pewnością ucieszy, że ma przyrodnie rodzeństwo [...].

Dla Claire, wychowanej w rodzinie przestrzegającej zasad wiary, seks pozamałżeński to grzech. Ale ona nie wyszła za mąż, a pragnęła mieć dzieci.– Myślałam, że sztuczne zapłodnienie jest dobrym wyjściem z sytuacji – tłumaczyła pastorowi. On jednak powiedział jej, że grzechem śmiertelnym jest wydać na świat dziecko bez ojca, nie wolno bowiem ingerować w naturę; reakcja pastora była dla niej szokiem. Claire spotkała się też z miazdzącą krytyką w swoim środowisku. Poczula się odrzucona. Bała się nawet, że nie znajdzie pediatry, który zgodzi się leczyć jej dzieci. Poznanie pozostałych matek i ich historii **przywróciło jej wiarę w siebie, w słuszność swojej decyzji**. Ucieszyła się, gdy nowe przyjaciółki zdecydowały, że najwyższy czas na pierwszy „zjazd rodzinny”. Kobiety wyznaczyły sobie spotkanie w eleganckim nowojorskim hotelu [...]

Kobiety są zachwycone, wyglądają na szczęśliwe. Nie chcą poprzestać na tym pierwszym spotkaniu w pełnym składzie. **Każdej podoba się pomysł zbudowania rodziny**. Wyobrażają sobie swoje dzieci jako nastolatki, wyjeżdżające na wspólne wakacje. Chcą się wzajemnie odwiedzać, razem spędzać święta. Traktują się z szacunkiem, ciepło i serdecznie.

Dla moich dzieci to spotkanie będzie początkiem rodzinnej tradycji – mówi Holly – Któregoś dnia powiem im: pamiętacie, jak pojechaliśmy do Nowego Jorku poznać waszych braci i siostry?

Matki wiedzą, że czas przyniesie im trudne do rozwiązania problemy. Kiedy dzieci dorosną i zaczną chodzić na randki, potrzebne im będzie coś więcej niż zwykle uświadomienie seksualne. Zanim pójdą z kimś do łóżka, powinny się dowiedzieć, czy ten ktoś nie jest spokrewniony z dawcą numer 5027. Wytłumaczenie im tego może być trudne. Samo sprawdzanie pokrewieństwa także – bank nie kontroluje w pełni, ile dzieci zostało poczętych z nasienia danego dawcy. A co się stanie, gdy dzieci, bez względu na okoliczności towarzyszące ich przyjsciu na świat, będą chciały odszukać ojca? Już teraz ich matki myślą o tym z niepokojem. Dawcy nasienia mogą, ale nie muszą, zaznaczyć, czy chcą spotkać się ze swoimi dziećmi, gdy te skończą 18 lat. 5027 nie wypowiedział się na ten temat.

Claire martwi się tym najbardziej, jakby zapomniała, że 5027 nie jest zwykłym ojcem. Mówi: „**Jeśli on nie będzie chciał mieć z nimi nic wspólnego, dzieci mogą poczuć się zdruzgotane**”.

XI HYBRYDYZACJA I NEUTRALIZACJA ETYCZNA ZWIĄZKÓW MAŁŻEŃSKO- RODZINNYCH

1. Globalizacja, ponowoczesność oraz poczucie zagrożenia jako socjologiczne tło zjawiska

W największym uproszczeniu globalizację można określić jako proces o światowym zasięgu, który coraz ściślej łączy różne społeczności w taki sposób, że lokalne wydarzenia kształtowane są przez zdarzenia zachodzące w odległości wielu tysięcy mil i same także na nie oddziałują. Dzięki temu rodzi się nowe społeczeństwo globalne, czemu towarzyszą gwałtowne turbulencje oraz sprzeczne tendencje ujawniające się zarówno w odniesieniu do form organizacji społecznej czy kulturowej, jak i sposobów budowania indywidualnej i zbiorowej tożsamości (zob. Kempny 1998). Wydaje się, że analizę tych zjawisk w stosunku do rodziny można prowadzić, stosując koncepcję dysharmonii kulturowej Kazimierza Dobrowolskiego (zob. Kocik 1994).

Najogólniej rzecz biorąc, wyraża się ona w tym, że na etapie gwałtownych przemian społecznych mamy do czynienia z załamywaniem się dawnych systemów kulturowych oraz z asynchronicznym funkcjonowaniem wielu elementów nowoczesnych, nie w pełni zakotwiczonych jeszcze w społecznej rzeczywistości, wspólnie z dysfunkcjonalnymi już relikdami przeszłości. Dotyczy to zarówno kultury materialnej, jak i świadomości społecznej.

Natomiast postnowoczesność J. Mariański (1997: 11) określa jako pojęcie, które „jest swoistym kontenerem, do którego wrzuca się rozmaite przedmioty”. Dodajmy jednak równie obrazowo, że „wyziewy” z tego kontenera są często niezwykle szkodliwe zarówno dla jednostki, jak i dla rodziny, ponieważ sama jego zawartość jest wysoce zróżnicowana i – ze swej istoty – dysharmonijna.

Ponowoczesność („postmodernizm”) stanowi bowiem próbę sprowadzenia do wspólnego mianownika różnych form i kształtów życia społecznego: społeczeństwo konsumpcyjne, społeczeństwo usług, społeczeństwo osiągnięć, społeczeństwo poprzemysłowe, społeczeństwo późnego kapitalizmu, społeczeństwo mediów, zindywidualizowane społeczeństwo, „ja”-społeczeństwo,

społeczeństwo samorealizacji, społeczeństwo wielu opcji, społeczeństwo post-pluralistyczne, społeczeństwo posthumanistyczne. Wszystkie te określenia wskazują na nowość i dyskontynuację w porównaniu z wcześniejszymi fazami rozwoju społecznego, chociaż w istocie te nowe kształty życia społecznego są konsekwencją długo już trwającego procesu przemian i stanowią jego kulminacyjną fazę. Niektórzy współczesne społeczeństwa dogłębnie zmodyfikowane przez *mass media* nazywają postmodernistycznymi lub ponowoczesnymi (tamże: 21).

Epoka nowoczesna, której początki wiążą się z powstaniem kapitalizmu, wchodzi w fazę schyłkową. Od końca lat sześćdziesiątych XX w. mówi się o epoce ponowoczesnej (postmodernistycznej). Epokę ponowoczesną łączy się z nadejściem społeczeństw postindustrialnych, w których paradygmat produkcji jest zastępowany paradygmatem konsumpcji, cywilizacja węgla i stali – cywilizacją informacji, gospodarka produkcji dóbr – gospodarką usług. Postmodernizm proponuje nową wizję człowieka, społeczeństwa i świata, wizję odpowiadającą współczesnemu pluralistycznemu społeczeństwu. Społeczeństwo to przechodzi proces nieustannych przekształceń i zmian. Rozwój ten ze swoją dynamiką nie zmierza ku jakiemuś punktowi końcowemu, lecz jest ciągłą zmianą, dostosowywaniem się, uczeniem się, pędem ku nowemu itp. Społeczeństwo znajduje się w ciągłym ruchu. Odcięte od przeszłości, nie jest ukierunkowane na ideały, wzorce, normy, cele, lecz na fleksybilny samorozwój i samosterowność. Zamiast wiary w postęp pojawia się tu postawa ciągłej rewizji tego, co terazniejsze oraz świadomość ryzyka.

Przyszłość nie jest zwykłą kontynuacją teraźniejszości, jawi się jako coś nowego, otwartego i nieokreślonego. Nie musi tak być, może być inaczej: zmienność, otwartość na nowe style życia, ruch i heterogeniczność charakteryzują społeczeństwo przechodzące od nowoczesności do ponowoczesności. Poszerza się wachlarz-możliwych wyborów, dominuje idea zmiany we wszystkich obszarach życia społecznego. Wypracowane w przeszłości wzorce radzenia sobie z rzeczywistością są w nowej sytuacji – przynajmniej częściowo – dysfunkcjonalne.

W sytuacji krzyżujących się oddziaływań społecznych jednostka podejmuje różnorodne decyzje. Nie są one zaprogramowane w tradycji, są bowiem dziełem jednostki, która w ten sposób kształtuje swoje życie. Religia, która w społeczeństwie tradycyjnym była sposobem wyjaśniania świata,

a poprzez rytuały – sposobem umacniania więzi społecznych, w społeczeństwie pluralistycznym i jako idea, i jako instytucja nie obejmuje całości kształtu życia człowieka. To, co tradycyjne, jest nudne, a takie ortodoksyjne instytucje, jak rodzina i Kościół są w defensywie z powodu swej niezdolności do zmiany.

Spółeczeństwa współczesne, realizujące model gospodarki rynkowej, są podobne do wielkich domów towarowych, oferujących klientom nieograniczone wprost możliwości nabywania towarów. Na rynku oferuje się nie tylko dobra materialne, ale i przeżycia duchowe (od turystyki po erotykę), wartości kulturowe (od muzyki klasycznej po kursy języków obcych), rozrywkę, różnorodne terapie i nauki zbawcze, propagujące nowe spojrzenie na sens życia, nowe style i światopoglądy. Rynek duchowych ofert rośnie i poddany jest mechanizmom popytu i podaży. Wielość różnorodnych ofert jest czasami odczuwana jako wzbogacenie lub wyzwolenie, innym razem jako obciążenie niemal nie do zniesienia (tamże: 52).

Równocześnie w świadomości społecznej narasta poczucie zagrożenia. Jest ono wyczuwalne i przejawia się zarówno w wypowiedziach indywidualnych, jak i w debatach parlamentarnych wielu krajów, wystąpieniach duchowych różnych odłamów religijnych, w licznych ruchach oraz inicjatywach podejmowanych na rzecz obrony rodziny.

Na poczucie tego zagrożenia składa się wiele czynników fikcyjnych i rzeczywistych, obiektywnych i subiektywnych, często z odniesieniem magiczno-astrologicznym, przypowieściowym i profetycznym. W związku z przełomem tysiącleci nasilają się numerologiczne przekonania o ważkich i niezwykłych wydarzeniach, które muszą nastąpić. Odżywa popularność wróżbitów i jasnowidzów, proroctwa Nostradamusa, królowej Saby i wiele innych.

Z drugiej strony należy stwierdzić, że w życiu politycznym i społecznym faktycznie mamy do czynienia z wyjątkową kumulacją zjawisk nieoczekiwanych i zaskakujących. Zagrożenia dla pokoju światowego, dla bezpieczeństwa publicznego oraz indywidualnego, ofiary z ludzi składane na ołtarzu szatana, narastanie rozwodów, upowszechnianie się pornografii, homoseksualnych związków (coraz częściej nazywanych małżeństwami), możliwości klonowania ludzi itp. To poczucie zagrożenia przejawia się w retorycznych często pytaniach „kto to widział?”, „kto przedtem o czymś takim słyszał?”, „jak świat światem czegoś takiego nie było”. Oznacza to, że ludzie nie mają do czego odnosić tych zjawisk i zdarzeń, których obecnie są świadkami,

brak im odpowiedniej skali do ich oceny oraz że te zjawiska i zdarzenia naruszają w sposób zasadniczy dotychczasowy stereotyp małżeństwa i rodziny, który przez nich samych uważany jest za jedyny, słuszny i sprawdzony.

Dzięki mikroprocesorom, satelitom telekomunikacyjnym, umowom o wymianie programów, które sprawiają, że imprezy sportowe, ceremonie religijne lub uroczystości polityczne stają się wydarzeniami oglądanymi bezpośrednio przez wszystkie narody świata – wytwarza się całkowicie nowa sytuacja. Zbiorowa wyobraźnia nie zna już granic. Po raz pierwszy w historii rodzaju ludzkiego wszyscy ludzie zaczynają jednocześnie marzyć o tym samym.

Zarazem ludzie, porwani tym pędem, który zrównuje upodobania, który zezwala na wszystko – odnoszą wrażenie, że tracą grunt pod nogami, zaczynają się zastanawiać, co właściwie im pozostało z własnej osobowości. Aby więc nie pogрузić się z w anonimowości, aby za wszelką cenę uratować swą osobowość, kurczowo trzymają się swych korzeni, nawiązują doraźne więzy solidarności sąsiedzkiej, podkreślają swe odrębności, odczuwają potrzebę odkrywania wciąż nowych różnic między sobą. Powstaje sprzeczność paradoksalna: narodzinom pierwszego społeczeństwa powszechnego towarzyszy wszędzie odradzanie się regionalizmów, wioskowego patriotyzmu, dawno zapomnianych kultur i wymarłych języków, a jednocześnie narasta fala nietolerancji i rasizmu. Dotyczy to również stosunku do odmienności wzorów życia i stereotypów lokalnych, w tym także rodziny i małżeństwa jako związku dwojga ludzi.

Co się zmieniło w związku dwojga ludzi? Przede wszystkim jego cel. Historycy specjalizujący się w jego dziejach wykazali, że w tradycyjnej rodzinie liczyła się przede wszystkim ciągłość pokoleń. Celem związku dwojga ludzi było zapewnienie przetrwania rodzaju ludzkiego. Obecnie w związku dwojga ludzi, czy to małżeńskim czy wolnym, poszukuje się przede wszystkim szczęścia. Dlatego partnerzy są bardzo wymagający jeśli idzie o jakość wzajemnych stosunków. Żyje się razem, aby być szczęśliwym, nieszczęścia się nie akceptuje. Ludzie chcą osiągnąć całkowite porozumienie we wszystkich dziedzinach i nie znoszą żadnych zdrażeń. Okresy cichych dni przeżywa się jako dramat i nie zawsze czeka się cierpliwie na wyjaśnienie sytuacji. W środowisku proletariackim duży wpływ na te sprawy ma tzw. prasa sercowa, gdzie drukuje się powieści odcinkowe, z których niczym gejzer bucha wielka miłość. W kołach inteligenckich z kolei oddziałuje na

to prasa kobieca. Postulaty kobiet datują się wprawdzie od niedawna, ale jakże daleko są idące. Ponieważ oczekuje się, że związek dwojga ludzi wszystkie pragnienia spełni, rozczarowanie jest równie wielkie jak nadzieja. W opinii bardzo młodych małżonków, wzajemne ustępstwa są mieszczańskim łataniem dziur. Postulaty i wymagania są często sprzeczne, a więc grożą kłęską. Marzy się zarazem o wielkiej, burzliwej namiętności i o spokojnej egzystencji, partner pod względem seksualnym powinien być równocześnie niewinny i doświadczony, w dzieciach pragnie się widzieć podobieństwo, a zarazem przeciwieństwo rodziców, drugi człowiek ma być kimś innym i dobrze znajomym, a jednocześnie zaskakującym i tajemniczym.

Pierwsze dziecko rodzi się z coraz później dlatego, że oboje partnerzy przez długi czas wystarczają sobie wzajemnie i najważniejszą rzeczą wydaje im się obrona przed intruzami z zewnątrz.

Oto model nowego małżeństwa: Być zakochanym. Po 10 latach pożycia, mieć – możliwie najpóźniej – dwoje dzieci (jedno czułoby się samotnie), ale nie więcej, aby kobieta i mężczyzna mogli nadal cieszyć się sobą.

Wyraźnie dysharmonijny charakter posiadają zarówno programy, jak i pierwsze skutki emancypacji kobiet. O skutkach emancypacji kobiet pisze np. A. Tyszka następująco: „Nasza kultura społeczna, rodzinna i etyczna zatracza te walory, które postulowała w ubiegłych wiekach, zdaje się coraz bardziej zaogniać i podsycać rywalizację świata męskiego z kobiecym, niż łagodzić i regulować wzajemną relację. Etykietka „rodziny partnerskiej”, która ma zastąpić dawny typ rodziny patriarchalnej – daje jedynie efektowne obietnice, a hasło „emancypacji kobiet” przyniosło zaostrenie stosunków międzyludzkich, nie dając w zamian więcej sprawiedliwości ani szczęścia. Ewa jest zawiedziona i sfrustrowana, Adam żyje z kompleksem męczennika i kogoś wydziedziczonego z prestiżu i godności. [...] Regulatorami stosunków i odniesień przestały być przykazania wiary, normy obyczajowe, nakazy moralne, czy prawa niepisane, lecz i nie przekraczalne. [...] Równocześnie kruszeje respekt dla wewnętrznego głosu sumienia, poczucia godności własnej i cudzej”.

Są to wszystko – zdaniem A. Tofflera (1986) – symptomy wdzierania się w życie rodzinne nowej cywilizacji, cywilizacji „trzeciej fali”, cywilizacji ponowoczesnej, informatycznej.

2. Rodzina w nurcie kolejnych „fal cywilizacyjnych”

Futurologiczna wizja przemian społeczeństwa i rodziny „trzeciej fali” cywilizacyjnej jest w ujęciu A. Tofflera (1986) tak spójna, przekonywująca oraz realna, że warto przytoczyć szersze fragmenty jego wywodów.

W nasze życie wdziera się już nowa cywilizacja, choć zaślepieni ludzie wszędzie próbują ją powstrzymać. Nowa cywilizacja niesie z sobą nowy styl życia rodzinnego, zmiany w pracy, w miłości i w życiu, nową gospodarkę, nowe konflikty polityczne, a przede wszystkim – zupełnie odmienną świadomość. Elementy tej nowej cywilizacji już istnieją. Miliony ludzi zaczęły dostrajać swe życie do rytmów dnia jutrzejszego. Inni zaś, przerażeni tym, co nadchodzi, próbują rozpaczliwej i daremnej ucieczki w przeszłość, starając się wskrzesić świat, który ich zrodził.

Narodziny tej nowej cywilizacji są najbardziej wstrząsającym faktem naszych czasów. Z trudem dobieramy słowa, by opisać cały rozmach i zasięg tej nadzwyczajnej przemiany. Niektórzy mówią o początku Ery Kosmicznej, Ery Informacyjnej, Ery Elektronicznej lub o Globalnej Wiosce. Zbigniew Brzeziński powiedział, że stoimy u progu „wieku technotronicznego”. Socjolog Daniel Bell mówi o nadchodzącym „społeczeństwie postindustrialnym czy postnowoczesnym (tamże: 33). Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że ludzkość szykuje się do ogromnego skoku naprzód.

Oczekuje nas najgłębszy w dziejach przewrót społeczny i twórcza przebudowa struktur. Nie zdając sobie z tego sprawy, już uczestniczymy w tworzeniu od podstaw nowej, niezwykłej cywilizacji. Taki właśnie jest sens trzeciej fali.

Gatunek ludzki przeżył dotychczas dwie wielkie fale przemian, z których każda ścierała niemal doszczętnie wcześniejsze kultury i cywilizacje, wprowadzając swoje obyczaje, niepojęte dla tych, co urodzili się wcześniej. Pierwszej fali przemian, czyli rewolucji agrarnej, potrzeba było tysięcy lat do całkowitego wyczerpania. Druga fala – tworzenie się cywilizacji przemysłowej, trwała już tylko trzysta lat. Współczesne dzieje mają jeszcze większe przyspieszenie, wydaje się więc, że trzecia fala wtargnie do historii i dokona swego dzieła w ciągu kilkudziesięciu lat. Przeto nam, żyjącym w tak dramatycznym momencie, przyjdzie odczuć to potężne uderzenie trzeciej fali zapewne jeszcze za naszego życia.

Rozpad rodziny, zachwianie gospodarki, paraliż systemów politycznych, ruina uznanych wartości spowodują, że trzecią falę odczuje każdy. Burzy ona stare stosunki władzy, kwestionuje przywileje i prawa dzisiej-

szych elit i jest tłem, na którym w niedalekiej przyszłości będą rozgrywać się zmagania między potężnymi siłami.

W wyłaniającej się obecnie cywilizacji wiele rzeczy stanowi zaprzeczenie starej, tradycyjnej cywilizacji przemysłowej. Nowa cywilizacja ma bowiem charakter przede wszystkim technologiczny, ale równocześnie jest antyprzemysłowa (Toffler 1986: 34).

Nowy sposób produkcji nie tylko sprzyja powstawaniu drobnych przedsiębiorstw, decentralizacji i wyprowadzaniu produkcji z miast oraz wprowadzaniu zmian w samym charakterze pracy, ale także może pozwolić przenieść dosłownie miliony różnych zajęć z fabryk i biur do miejsca, z którego druga fala je niegdyś wymiotła, a więc z powrotem do domu. Gdyby miało to rzeczywiście nastąpić, wówczas wszystkie znane nam instytucje – od rodziny po szkołę i zakład pracy – zmieniłyby się nie do poznania.

Przed trzystu laty, widząc całe rzesze kosiarzy na polach, tylko wariat mógłby marzyć o tym, że wkrótce nadejdą czasy, kiedy pola opustoszeją, a ludzie będą pracować na chleb stłoczeni w miejskich fabrykach. Tak samo dziś trzeba odwagi, aby powiedzieć, że największe fabryki i biurowce mogą jeszcze za naszego życia wyludnić się i zmienić w jakieś upiorne składy czy magazyny albo zacząć służyć komuś jako mieszkanie. Tymczasem nowe sposoby produkcji umożliwiają właśnie to, czyli powrót do produkcji we własnym domu, opartej na wysoko rozwiniętej elektronice przy jednoczesnym nadaniu nowego znaczenia domowi jako najważniejszej instytucji w społeczeństwie (tamże: 240).

Słowem, w miarę jak trzecia fala ogarnia społeczeństwo, spotykamy coraz więcej przedsiębiorstw, które można określić – za pewnym uczonym – jako „gromady ludzi stłoczonych wokół komputera”. Wprowadźmy komputery do mieszkań, a ludzie nie będą już musieli wokół nich się tłoczyć. Praca białych kołnierzyków w epoce trzeciej fali, podobnie jak produkcja przemysłowa trzeciej fali, nie będzie wymagała stuprocentowej koncentracji wszystkich zatrudnionych w miejscu pracy.

Zasadnicze pytanie brzmi: kiedy koszt instalacji i działania urządzeń telekomunikacyjnych spadnie poniżej kosztu dojazdów do pracy? W miarę jak wszędzie horrendalnie drożeje benzyna i inne koszty transportu (łącznie z kosztami transportu masowego, zastępującego samochód prywatny), cena usług telekomunikacyjnych wyraźnie się zmniejsza. W którymś momencie te dwie krzywe będą musiały się przeciąć.

W tym procesie przemian powodowanych nadciągającą trzecią falą ludzie dalej trzymają się kurczowo wyobrażeń i dążeń ukształtowanych i utwierdzonych drugą (industrialną) falą, a w ocenie zachodzących zjawisk popełniają wszystkie błędy socjologii praktycznej, przed którymi ostrzegali W. Thomas i F. Znaniecki, a które zostały omówione w rozdziale pierwszym. Silnie zwraca uwagę na ten fakt również Toffler (1986: 35 i n.), gdy podkreśla, że większość ludzi – na tyle, na ile w ogóle zadają sobie oni trud myślenia o przyszłości – zakłada, że świat, który znają, będzie trwał wiecznie. Trudno im wyobrazić sobie zupełnie inny sposób własnego życia, a tym bardziej jakąś całkowicie nową cywilizację. Oczywiście przyznają oni, że zachodzą różne zmiany. Lecz zakładają, że obecne zmiany jakimś cudem ich ominą i że nic nie naruszy dobrze im znanych stosunków gospodarczych ani struktury politycznej. Ufają, że przyszłość będzie kontynuacją teraźniejszości.

Ale to ufne spojrzenie w przyszłość nieustannie podważają wydarzenia ostatnich lat. Kiedy w nagłówkach gazet kryzys goni kryzys, gdy rozpowszechnia się terroryzm, a rządy najwidoczniej nie radzą sobie z jego powstrzymaniem – coraz powszechniejsza staje się wizja o wiele posępniejsza. Tak więc ogromna liczba ludzi – karmionych stale złymi wiadomościami, filmami o katastrofach, opowieściami na miarę biblijnej Apokalipsy oraz koszmarnymi scenariuszami opracowywanymi przez cieszące się prestiżem trusty mózgów – wyraźnie dochodzi do wniosku, że społeczeństwo współczesne nie może istnieć w przyszłości, ponieważ w ogóle nie będzie przyszłości. Dla nich Armageddon to kwestia minut. Świat pędzi ku ostatecznemu kataklizmowi.

Te dwie wizje przyszłości są z pozoru bardzo różne, ale obie wywołują podobny efekt psychologiczny i polityczny, albowiem obie prowadzą do paraliżu wyobraźni i woli.

Jeżeli społeczeństwo jutra ma być po prostu szerszą, panoramiczną wersją współczesności, to nie potrzebujemy wiele robić, by się do tego przygotować. Z drugiej strony, jeżeli przeznaczeniem ludzkości jest nieuchronna samozagłada jeszcze za naszego życia, to i tak nic w tej sprawie zrobić nie możemy. Krótko mówiąc, obydwie sposoby widzenia przyszłości rodzą prywatę i bierność. Obydwa skazują nas na beczynność.

Jednakże próbując zrozumieć to, co się dzieje, możemy uniknąć tego prostodusznego wyboru między Armageddonem a mniej więcej tym samym. Są jeszcze inne, więcej wyjaśniające i bardziej konstruktywne

sposoby myślenia o przyszłości – takie, które przygotowują nas do niej i – co ważniejsze – pomogą nam zmienić teraźniejszość.

Stanowimy ostatnie pokolenie starej cywilizacji i pierwsze pokolenie nowej. Nasze osobiste uwikłania, udręki i dezorientacja w znacznej mierze wynikają bezpośrednio z konfliktu rozgrywającego się w nas samych i wewnątrz naszych instytucji politycznych: konfliktu między umierającą cywilizacją drugiej fali i wyłaniającą się cywilizacją trzeciej fali, która gwałtownie wdziera się, by zająć miejsce poprzedniej.

Kiedy zaczynamy w końcu zdawać sobie z tego sprawę, nagle stają się zrozumiałe liczne, dotąd pozornie bezsensowne, fakty. Zaczyna zarysowywać się klarowny, szeroko rozbudowany schemat przeobrażeń. Działanie na rzecz przetrwania znów staje się możliwe i słuszne. Słowem, rewolucyjna przesłanka wyzwala nasz intelekt i wolę (Toffler 1986: 37).

Każda nowa fala rozwoju ludzkości kształtowała odpowiednie dla tego rozwoju warunki, dlatego też radykalnie zmieniała kształt organizacji społecznej. W sposób szczególny uwidaczniało się to w organizacji i funkcjonowaniu rodziny. Jak podkreśla Toffler (1986: 55), przed rewolucją przemysłową, w zależności od miejsca na mapie, istniały różne formy rodziny. Lecz wszędzie tam, gdzie rolnictwo stanowiło podstawę egzystencji, ludzie najczęściej żyli w dużych, wielopokoleniowych zbiorowiskach – pod jednym dachem z wujami i ciotkami, teściami, dziadkami, babkami i gromadą kuzynów, z którymi wszyscy razem pracowali jako produkcyjna jednostka gospodarcza. W Indiach była to rodzina łączona, w krajach bałkańskich – zadrużna, w Europie Zachodniej – wielopokoleniowa rodzina rozszerzona. Rodzina była unieruchomiona, przywiązana do ziemi.

Kiedy do społeczeństw pierwszej fali dotarła druga fala, rodziny zaczęły przeżywać stres związany z zachodzącymi zmianami. W każdym domu zderzenie dwóch napierających na siebie fal przejawiało się w formie konfliktu; zachwiała się autorytatywna władza ojca, zmienił się stosunek dzieci do rodziców, z czasem pojawiły się nowe obyczaje. Kiedy produkcja przeniosła się z pola do fabryki, skończyła się wspólna praca wszystkich członków rodziny jako jednostki gospodarczej. Robotnicy musieli bez reszty oddać się do dyspozycji fabryki, toteż inne ważne funkcje rodziny zostały rozparcelowane między nowe, wyspecjalizowane instytucje. Edukacją dzieci zajęły się szkoły. Opieką nad ludźmi starymi – przytułki i domy starców. A nade wszystko – nowe społeczeństwo musiało być

mobilne; potrzebni byli robotnicy, którzy za pracą przenosili się z miejsca na miejsce.

Obarczona leciwymi krewnymi, chorymi, kalekami, tudzież licznym potomstwem, tradycyjna rodzina w żadnym wypadku nie mogła pozwolić sobie na ruchliwość. Przeto w nowych warunkach, stopniowo i nie bez trudności, struktura rodziny zaczęła ulegać zmianie. Rozdarte z powodu migracji do miast, zdruzgotane przez ciosy natury ekonomicznej, rodziny pozbywały się uciążliwych krewnych, małały, stawały się bardziej ruchliwe i dostosowywały się do potrzeb nowej technosfery.

Spótcznie akceptowaną normą stała się rodzina nuklearna – składająca się z ojca, matki i kilkorga dzieci; rodzina wolna od zbytecznego ciężaru, jakim byli inni krewni. Taki nowoczesny model rodziny występował we wszystkich społeczeństwach przemysłowych, zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych. Nawet w Japonii, gdzie kult przodków dawał seniorom wyjątkową pozycję, pod wpływem naporu drugiej fali zaczęły się rozpadać duże, żyte z sobą rodziny wielopokoleniowe. I tam coraz częściej tworzyły się komórki nuklearne. Słowem, rodzina nuklearna stała się rysem charakterystycznym społeczeństw drugiej fali, odróżniającym je równie wyraźnie i jednoznacznie jak paliwa kopalne, huty czy domy towarowe, od społeczeństw pierwszej fali (tamże: 56).

Dziś znowu osobowość ludzka rozpada się w kawałki niczym strzaskana skorupka jajka. Obecnie jednak mamy poczucie winy raczej z powodu załamania się rodziny niż gospodarki. Miliony kobiet i mężczyzn rozpaczliwie obarczają się nawzajem winą za kryzys lub rozpad własnych małżeństw. Lecz i tym razem winy należy szukać gdzie indziej.

Gdyby chodziło o znikomą mniejszość, to upadek rodziny mógłby rzeczywiście odzwierciedlać złą wolę albo nieudolność poszczególnych ludzi. Skoro jednak rozwody, separacje i inne formy rozpadu rodziny ogarniają miliony małżeństw w wielu krajach równolegle, to absurdem byłoby sądzić, że przyczyny tkwią wyłącznie w ludziach.

Obecny kryzys rodziny jest w istocie częścią ogólnego kryzysu industrializmu, załamania się wszystkich instytucji zrodzonych przez drugą falę. Wiąże się on z szerszym procesem przygotowywania gruntu pod nową socjosferę trzeciej fali. Ten szokujący proces, który odbija się na życiu osobistym każdego z nas, zmienia właśnie nie do poznania instytucję rodziny.

Dla pełnej jasności wywodów warto w skrócie przytoczyć tok rozumowania Tofflera (tamże: 259-262). Píše on: „Słyszymy dziś bez przerwy, że „rodzina” rozpada się lub że „rodzina” to nasz Problem nr 1. Z takim samym namaszczeniem mówi o rodzinie większość kaznodziejów wszelkiego autoramentu, większość premierów i publicystów. Charakterystyczne jest jednak, że kiedy mówią o „rodzinie”, nie mają na myśli rodziny w bujnej mnogości jej różnych możliwych postaci, lecz jeden szczególny typ rodziny: rodzinę drugiej fali.

Mają zazwyczaj na myśli męża – zarabiającego na życie, żonę – gospodynię domową i kilkoro małych dzieci. Chociaż istnieje wiele innych rodzajów rodzin, cywilizacja drugiej fali wyidealizowała i upowszechniła na świecie ten właśnie, dominujący nad innymi, szczególny typ rodziny – rodzinę nuklearną. [...]

Kiedy autorytety wzywają do „uzdrowienia” rodziny, myślą przeważnie o tej właśnie nuklearnej rodzinie drugiej fali. Podchodząc do sprawy w tak ograniczony sposób, nie tylko źle oceniają problem, ale okazują wręcz infantylną naiwność co do tego, jakie kroki byłyby rzeczywiście konieczne, aby przywrócić rodzinie nuklearnej jej dawne znaczenie.

Wspomniane autorytety zapamiętałe dopatrują się przyczyn kryzysu rodziny dosłownie wszędzie – poczynając od pornografii, a kończąc na muzyce rock. Niektórzy mówią, że protestując przeciwko usuwaniu ciąży lub likwidując lekcje wychowania seksualnego w szkołach czy też zwalczając ruch feministyczny, zdołamy posklejać rozpadającą się rodzinę” (tamże: 260).

Jeżeli chcielibyśmy przywrócić rodzinie nuklearnej jej utraconą pozycję, to należałoby:

- 1) Zamrozić całą technologię na poziomie drugiej fali po to, by utrzymać ciągłość społeczeństwa dostosowanego do potrzeb fabrycznej produkcji masowej. Na początek zniszczmy komputer. Komputer stanowi większe zagrożenie dla rodziny drugiej fali niż przerywanie ciąży, równouprawnienie pederastów i światowa moda na pornografię.
- 2) Przeznaczyć większe dotacje na produkcję towarową, zablokować natomiast rozwój sektora usług. Pracownicy umysłowi, ludzie wolnych zawodów oraz personel techniczny mają mniej tradycyjny stosunek do rodziny oraz akceptują intelektualnie i psychologicznie wszelkie zmiany łatwiej niż pracownicy fizyczni. Im więcej ludzi przechodzi do prac technicznych i usługowych, tym bardziej rośnie statystyka rozwodów.

- 3) Oprzeć energetykę na energii jądrowej i innych wysoce scentralizowanych procesach energetycznych. Rodzina nuklearna bardziej pasuje do scentralizowanego niż do zdecentralizowanego społeczeństwa, a systemy energetyczne w poważnej mierze wpływają na stopień centralizacji społecznej i politycznej.
- 4) Wstrzymać rozwój niemasywych środków przekazu, zaczynając od wycofania telewizji przewodowej i wideokaset, nie zapominając oczywiście o likwidacji lokalnych i regionalnych czasopism. Rodzinom nuklearnym najlepiej bowiem służy jeden, ogólnonarodowy, skoordynowany system informacji i wartości; zagraża im natomiast społeczeństwo oparte na wysokim zróżnicowaniu w tym względzie.
- 5) Kobiety wepchnąć siłą z powrotem do kuchni. Zmniejszyć ich pensje do absolutnego minimum, w wyniku czego ich sytuacja na rynku pracy będzie jeszcze mniej korzystna, toteż wrócą one do domu. Jeżeli bowiem nikt z dorosłych nie zostaje w domu, nie ma żadnego jądra, wokół którego organizuje się rodzina nuklearna.
- 6) Zmniejszyć również zarobki młodych pracowników tak, aby bardziej – i na dłużej – uzależnić ich od rodziny: będą przez to mniej niezależni, także pod względem psychicznym. Rodzina nuklearna traci przecież swój nuklearny charakter wówczas, kiedy młodzi, idąc do pracy, wydostają się spod kontroli rodziców.
- 7) Wprowadzić zakaz antykoncepcji i prowadzenia badań naukowych w dziedzinie biologii rozrodczej. One to bowiem prowadzą do niezależności kobiet oraz do stosunków pozamałżeńskich, które – jak wiadomo – przyczyniają się do osłabienia rodzinnych więzów nuklearnych.
- 8) Obniżyć stopę życiową całego społeczeństwa do poziomu sprzed 1955 r., bowiem dostatek zapewnia wystarczające środki utrzymania ludziom samotnym, rozwiedzionym, kobietom pracującym oraz innym osobom żyjącym w pojedynkę. Aby trwać w niezmięnionej postaci, rodzina nuklearna potrzebuje odrobiny ubóstwa (nie za dużo, ale i nie za mało).
- 9) I wreszcie, zabrać się za ponowne umasowianie szybko odmasowiającego się społeczeństwa, powstrzymując wszystkie przemiany – w polityce, w sztuce, w oświacie i wychowaniu, w gospodarce i w innych dziedzinach; prowadzą one bowiem do zróżnicowania, wolności wyboru i idei, do indywidualizacji człowieka. Rodzina nuklearna zachowuje przewagę jedynie w społeczeństwie masowym.

Krótko mówiąc, jeżeli za rodzinę chcemy nadal uważać tylko rodzinę nuklearną, powinniśmy się stosować do powyższych wskazań. Jeżeli rzeczywiście pragnęlibyśmy ocalić rodzinę drugiej fali, to musimy być świadomi, że należałoby ocalić całą cywilizację drugiej fali – hamując nie tylko rozwój technologii, ale również samej historii.

Jesteśmy bowiem świadkami nie tyle śmierci rodziny jako takiej, lecz ostatecznego załamania się systemu rodziny drugiej fali: systemu, w którym wszystkie rodziny miały gorliwie naśladować wyidealizowany model nuklearny. Na naszych oczach miejsce tego modelu zajmuje mnogość różnorodnych form rodziny. Zmierzając ku cywilizacji trzeciej fali – odmasowiamy nie tylko środki przekazu i produkcji, odmasowiamy także model rodziny.” (tamże: 262).

3. Globalny charakter przemian rodziny

Większość ludzi rozwiniętych krajów już obecnie żyje inaczej niż w klasycznej rodzinie nuklearnej – szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie trzecia fala jest najbardziej zaawansowana.

Jeżeli uznamy za nuklearną taką rodzinę, w której skład wchodzi pracujący mąż, zajmująca się domem żona i dwoje dzieci, to w całej Ameryce żyje obecnie w takim modelu rodziny zaskakująco mało ludzi, bo tylko 7%. Aż 93% Amerykanów nie pasuje do tego modelu, będącego ideałem w epoce drugiej fali.

Jeżeli nawet rozszerzymy naszą definicję tak, aby objąć nią rodziny, w których pracuje oboje małżonków lub w których jest mniej lub więcej niż dwoje dzieci, to i tak okaże się, że przeważająca większość – bo aż dwie trzecie do trzech czwartych ludności – żyje w inny sposób niż rodzina typu nuklearnego. Ponadto, wszystko wskazuje, że liczba nuklearnych gospodarstw domowych (niezależnie od ostatecznie przyjętej definicji) wciąż maleje; mnożą się natomiast inne formy rodziny. Oto jak je przedstawia A. Toffler (1986: 263 i n.).

Przede wszystkim jesteśmy świadkami eksplozji obyczajowej, polegającej na tym, że coraz więcej ludzi żyje solo – całkowicie samotnie, poza jakąkolwiek rodziną. W Stanach Zjednoczonych w latach 1970-1978 liczba osób w wieku od 14 do 34 lat, żyjących w pojedynkę, prawie się potroiła, wzrastając z półtora miliona do 4,3 miliona. Dziś jedną piątą wszystkich gospodarstw domowych w USA prowadzą pojedyncze osoby.

I nie są to bynajmniej ludzie przegrani ani odludki, zmuszeni przez los do samotnego życia. Wielu wybiera je celowo, przynajmniej na jakiś czas.

Patrząc na grupę ludzi w starszym wieku, znów obserwujemy znaczną liczbę ludzi poprzednio żyjących w małżeństwie, często znajdujących się między jednym a drugim małżeństwem, którzy mieszkają sami i którym – w wielu wypadkach – podoba się takie życie. Powiększanie się takich grup powoduje rozkwit specyficznej kultury singli; kwitną usilnie reklamowane bary i schroniska turystyczne, organizuje się coraz więcej wycieczek i innych usług planowanych z myślą o niezależnym, pojedynczym człowieku. Budownictwo mieszkaniowe wychodzi także z ofertą „tylko dla samotnych”, proponując im kupno mieszkań w przeznaczonych tylko dla nich blokach oraz budując mieszkania i domki na przedmieściach z mniejszą liczbą pokoi. Prawie jedna piąta wszystkich nabywców mieszkań i domów w USA to obecnie ludzie bez rodzin.

Obserwujemy również gwałtowny wzrost liczby osób mieszkających razem i nie baczących na żadne formalności prawne. Według oficjalnych danych ich liczba w ciągu ostatniej dekady podwoiła się; spowodowało to m.in. tę konsekwencję, że uwagę felietonistów zaczął zaprzętać problem, jakiego nazwiska używać, mówiąc o parze żyjącej bez ślubu. Obok istniejącego poradnictwa dla małżeństw, zaczyna także kwitnąć nowa forma usług – poradnictwo dla ludzi żyjących parami.

Zupełnie nową jakość wprowadza w nasze życie również i to, że przybywa ludzi, którzy świadomie decydują się na – nazwijmy to – bezdzietny styl życia. Według Jamesa Rameya, kierującego badaniami w Center of Policy Research (Ośrodka Badań Ludnościowych) obserwujemy obecnie masowe przechodzenie od modelu domu skoncentrowanego wokół dzieci do domu skoncentrowanego wokół dorosłych. Dziś powstają liczne organizacje propagujące życie bezdzietne; niechęć do posiadania dzieci ogarnia zresztą wiele innych krajów uprzemysłowionych. Dotyczy to również Polski, co zostało zaprezentowane w poprzednich rozdziałach.

O kryzysie rodziny nuklearnej jeszcze dobitniej świadczy spektakularny wzrost liczby rodzin, w których pozostał tylko jeden rodzic. W ostatnich latach obserwujemy tyle rozwodów, zrywanych małżeństw i separacji – i to głównie w rodzinach nuklearnych – że jedno dziecko na siedmioro wychowuje obecnie w Ameryce tylko jedno z rodziców; w miastach w takiej sytuacji znajduje się jeszcze więcej dzieci, bo jedno na czworo.

W miarę powiększania się liczby domów prowadzonych przez jedno z rodziców ludzie dochodzą do przekonania, że – mimo poważnych problemów – dom taki może być w pewnych warunkach lepszy dla dziecka niż dom nuklearny, w którym panują ustawiczne spory i konflikty. Prasa i organizacje społeczne starają się pomagać samotnym rodzicom, przyczyniając się do poprawy ich zbiorowego samopoczucia i dodając im odwagi, by śmiało występować na forum publicznym w obronie swych praw.

W Skandynawii uchwalono wiele ustaw z zakresu opieki społecznej z myślą o poprawie warunków życiowych takich rodzin. Pierwszeństwo w przyjmowaniu do żłobków i przedszkoli mają w Szwecji dzieci, którymi opiekuje się tylko jedno z rodziców. W efekcie zarówno w Norwegii, jak i w Szwecji zdarza się, że rodzina prowadzona przez jedno z rodziców żyje na wyższym stopniu niż typowa rodzina nuklearna.

Na wielką różnorodność form małżeńsko-rodzinnych oraz modeli związków występujących pomiędzy ludźmi w rozwiniętych krajach świata oraz w Polsce zwraca również uwagę M. Marody (2000). Źródła tego stanu rzeczy dostrzega ona w różnicach ekonomicznego poziomu pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Obecnie jednostka nie potrzebuje już rodziny, aby godziwie żyć i przekazać swoje geny następnemu pokoleniu.

W historii ludzkości rodzina przez długi czas była instytucją ekonomiczną, poza którą koszty życia gwałtownie wzrastały, a szansę przeżycia malały. Proces indywidualizacji jednostki, tak charakterystyczny dla drugiej połowy XX w., jest nierozdzielnie związany z przemianami sfery publicznej, w której następuje gwałtowny rozwój wszelkiego rodzaju usług, co uniezależnia jednostkę od rodziny. Miało to zresztą swój wpływ także na kształt rodziny. Tak popularny dziś model partnerski, w którym zatarciu ulega tradycyjny podział ról na kobiece i męskie, był również wspomagany tymi zmianami, bo ani odgrzanie gotowego posiłku z supermarketu, ani wymiana oleju w warsztacie samochodowym nie wymagają kulturowej specjalizacji ról.

To absolutnie nowa jakość w naszym życiu – po raz pierwszy w dziejach rodzaju ludzkiego jednostka nie potrzebuje trwałych związków z innymi jednostkami, aby przeżyć i zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Potrzebuje tylko pieniędzy (tamże).

Dlatego w dzisiejszym świecie funkcjonuje równolegle wiele innych modeli związków pomiędzy ludźmi. Są pary, które mieszkają i pracują

oddzielnie, ale żyją razem – jeśli za życie uznamy wspólne spędzanie weekendów, bo w gruncie rzeczy do tego się to sprowadza. Mamy też model, który bywa określany mianem „przyjacielscy kochankowie”, w którym dana osoba pozostaje we względnie trwałym związku jednocześnie z kilkoma partnerami, z których każdy ma przypisaną jakąś rolę: ten jest partnerem od zimowych wyjazdów na narty, tamten od letnich eskapad nad morze, jeszcze z innym spędza słotne jesienne popołudnia – i tak dalej.

W zachodnim obszarze kulturowym obserwujemy też proces przekształcania się rodziny z wielopokoleniowej w coś, na co nawet jeszcze nie mamy dobrej nazwy, a co można by określić mianem „rodziny wielorodzinnej”. Jest ona konsekwencją faktu, że do swych biografii ludzie wpisali rozwody, często nawet kilkakrotne. A ponieważ rozwód nie ma dziś charakteru dramatycznego zerwania, często przypomina przyjacielskie rozstanie, to w efekcie w skład takiej „wielorodzinnej rodziny” wchodzi nie tylko rodzice i dzieci, lecz również była żona i były mąż oraz ich dzieci z następnych małżeństw, a także dziadkowie ze strony byłej żony i byłego męża. W ten sposób rodzina rozszerza się poprzez włączenie w nią poprzednich partnerów, ich dzieci i ich rodziców. To jest rzecz absolutnie nowa w naszej kulturze.

Procesy, o których mowa, nie obejmują całości społeczeństwa, a głównie dość specyficzną grupę ludzi zamożniejszych, lepiej wykształconych, koncentrujących się na karierze zawodowej, mających nienormowany czas pracy, dysponujących większą liczbą kontaktów z innymi ludźmi. Dla znacznej części społeczeństwa założenie rodziny nadal pozostaje podstawową strategią bądź pomnażania bogactwa, bądź dzielenia biedy, choć rzadko kiedy myślimy o tym w takich kategoriach. Poza tym instytucję rodziny podtrzymuje przy życiu system prawa i system norm obyczajowych. Tak więc rodzinie sprzyja naturalny konserwatyzm naszej psychiki, który sprawia, że nawet ludzie, który mogliby sobie pozwolić na pozostawanie w luźnym związku, chętnie przypieczętowują go zawarciem formalnego małżeństwa.

Być może powoduje nami również tęsknota za zbudowaniem więzów emocjonalnych trwających aż do grobowej deski. Wzmocnienie ich więzami prawnymi wydaje się rozsądną strategią, gdyż stwarza dodatkowe zabezpieczenia, podnosząc koszty zerwania. Wierzymy w to, mimo że

doświadczenie i znajomość przekazów kulturowych uczą, że zazwyczaj niewiele to pomaga (tamże).

Socjologowie prześcigają się ostatnio w spekulacjach na temat rodziny. Ferdinand Lundberg, autor książki *The Coming Worlds Transformation*, twierdzi, że rodzina „jest na wymarciu”. Psychoanalityk Wiliam Wolf uważa, że „rodziny już nie ma, z wyjątkiem roku czy dwóch, kiedy zajmuje się nowo narodzonym dzieckiem. Będzie to w przyszłości jedyna jej funkcja”. Pesymiści roztaczają różne wizje zagłady rodziny, rzadko jednak mówią, co zajmie jej miejsce.

Optymiści natomiast przypuszczają, że skoro rodzina przetrwała już tyle czasu, będzie istniała nadal. Niektórzy wręcz prorokują dla niej nadejście złotego wieku. W miarę wydłużania się czasu na rekreację – uważają oni – rodziny będą go więcej spędzać razem, czerpiąc ogromną satysfakcję ze wspólnych zajęć. „Wspólna zabawa gwarancją wspólnego życia”, powtarzają eksperci (za: Toffler 1998: 236).

4. Zanikanie określoności i różnicowanie się celów życia małżeńsko-rodzinnego

Jak podkreśla Toffler (1998: 242 i n.), eksperymentowanie z różnymi formami małżeństw grupowych może w przyszłości stać się remedium na rosnące poczucie samotności i wyobcowania wynikające z ciągłego przemieszczania się ludzi. Wspólne życie dorosłych z dziećmi i tworzenie czegoś w rodzaju „rodziny” może chronić przed poczuciem izolacji. Nawet jeżeli jedna czy dwie osoby z takiej rodziny odejdą, pozostali będą wciąż mieć siebie nawzajem. Powstające w ten sposób komuny są odwzorowaniem modeli przedstawionych przez psychologa B.F. Skinnera i Roberta Rimmera. Rimmer proponuje legalizację zbiorowej rodziny, w której troje do sześciorga dorosłych przyjmuje jedno nazwisko, żyje razem i wychowuje razem dzieci, stanowiąc prawnie rodzinę, której przysługują określone przywileje ekonomiczne i podatkowe.

Według niektórych obserwatorów już dziś w Stanach Zjednoczonych żyją setki jawnych lub utajonych komun. Nie wszystkie składają się z młodzieży czy hippisów. Niektóre organizują się wokół określonych celów, jak pewna grupa, po cichu finansowana przez uczelnie Wschodniego Wybrzeża, której zadaniem jest przygotowywanie początkujących studentów do życia

na kampusie. Cele takich komun mogą być różne: społeczne, religijne, polityczne, nawet rozrywkowe. Możemy sobie wyobrazić, że powstaną – a może już powstały – komuny rodzinne nastawione na uprawianie surfing-u u wybrzeży Kalifornii czy południowej Francji. Powstaną komuny skupione wokół doktryn politycznych bądź wyznań. W duńskim Folketingu, czyli parlamencie, już znalazła się ustawa zmierzająca do legalizacji grupowych małżeństw. I chociaż jej uchwalenie wcale nie jest pewne, samo zgłoszenie takiego projektu można uznać za symbol nadchodzących przemian.

Pod auspicjami Instytutu Ekumenicznego, szybko rozwijającej się organizacji religijnej z Chicago, żyje już w „rodzinnym klasztorze” dwieście pięćdziesiąt dorosłych i dzieci. Ludzie razem mieszkają, gotują, jedzą, modlą się i zajmują dziećmi, a także zbierają swe dochody do wspólnej kasy. Kursy organizowane przez Instytut ukończyło przynajmniej sześćdziesiąt tysięcy osób. Podobne komuny powstały już w Atlancie, Bostonie, Los Angeles i innych miastach. Czołowa postać Instytutu, profesor Joseph W. Mathews, mówi: „Wyłania się zupełnie nowy, nieznany świat, a ludzie wciąż działają według starych reguł. Staramy się dać ludziom nową wiedzę i narzędzia do tworzenia nowych warunków społecznych”.

Jeszcze innym rodzajem rodziny, która zyska zwolenników w przyszłości, może być „komuna geriatryczna” składająca się z osób starszych, pragnących wzajemnej wspólnoty w celu dotrzymania sobie towarzystwa i udzielania pomocy. Ludzie starsi, wycofawszy się z aktywnego życia zawodowego, nie musieliby już zmieniać miejsca zamieszkania, osiedliby więc razem, składali swe dochody i oszczędności do wspólnej kasy, wspólnie wynajmowaliby pomoc domową lub pielęgniarską i – w granicach swych możliwości – mogliby cieszyć się życiem.

Wspólnotowy styl życia stanowi zaprzeczenie tendencji do ruchliwości geograficznej i społecznej towarzyszącej pędowi do superindustrializmu. Jednak styl ten będzie do zaakceptowania jedynie przez grupy stacjonarne i dlatego pierwsze eksperymenty wspólnotowe zaczną rozwijać się wśród grup wolnych od industrialnej dyscypliny, a więc emerytów, młodzieży, studentów, a także przedstawicieli wolnych zawodów i techników pracujących dla siebie. Z czasem, gdy rozwój technologii i systemów informacji umożliwi większości ludzi wykonywanie pracy w domu lub z domu – za pomocą skomputeryzowanej telekomunikacji – wspólnotowe życie stanie się dostępne dla większej części społeczeństwa.

W miarę wzrostu tolerancji wobec homoseksualizmu dojdzie może do tego, że zaczniemy też akceptować rodziny oparte na małżeństwach homoseksualnych wychowujących adoptowane dzieci; do rozważenia pozostaje kwestia, czy dzieci będą miały być tej samej płci co partnerzy, czy przeciwnej. Sądząc po tempie, w jakim homoseksualiści pozyskują sobie szacunek w nowych technospołeczeństwach, można spodziewać się, że prędzej czy później ich prawa zostaną uznane.

W miarę rozluźniania się rygorów w sferze seksu i zmniejszania się znaczenia kwestii majątkowych w wyniku wzrostu zamożności ludzi, społeczna niezgoda na poligamię może się stać irracjonalna. Zmianę tę może przyspieszyć sam fakt zwiększonej ruchliwości ludzi, co sprawi, że wielu mężczyzn zacznie spędzać więcej czasu z dala od swych domów. Pradawne fantazje o „raju kapitańskim” mogą dla niektórych stać się rzeczywistością, z tym że współczesne kobiety pozostawione same w domu też mogą domagać się przyznania im prawa do stosunków pozamałżeńskich. Dla dawniejszego „kapitana” sytuacja taka byłaby nie do pomyślenia, ale w przyszłości może być nieco inaczej.

Obserwujemy pojawienie się jeszcze jednej formy rodziny, którą można nazwać „rodzinnym agregatem”. Składa się on z rozwiedzionych rodziców, który zawarli nowe związki małżeńskie i teraz wszystkie zebrane razem dzieci żyją w tej zbiorowej rodzinie. Chociaż socjologowie jeszcze się specjalnie tym fenomenem nie interesują, musi on być już na tyle znany, że stał się kanwą dla filmu *Rozwód w stylu amerykańskim*. W nadchodzących dziesięcioleciach rodzinne agregaty staną się chyba jeszcze częstsze.

Małżeństwa bezdzietne, zawodowe rodzicielstwo, dzieci w rodzinach emerytów, rodziny homoseksualne, poligamia – oto kilka typów rodzin, z którymi różne innowacyjne mniejszości będą w niedalekiej przyszłości eksperymentować. Na pewno nie wszystkim spodoba się uczestniczenie w tych eksperymentach, co zatem zrobi pozostała większość?

Nelson Foote pisze z pewną ostrożnością: „Oczekiwanie, że we współczesnych warunkach małżeństwo będzie trwało bez końca, wydaje się dość wygórowane”. Oczekiwanie, że miłość będzie trwała bez końca, wydaje się jeszcze bardziej wygórowane. Przeciw nim obu sprzysięgają się bowiem przejściowość i pogoń za nowością (tamże: 247).

Sprzysiężenie to przyczynia się już obecnie w większości rozwiniętych krajów do dużej liczby rozwodów i separacji. Wskaźniki te są tym większe, im szybsze są zmiany i dłuższe życie ludzi. Coś w końcu musi się załamać.

W istocie coś już się załamało. Tym czymś jest upieranie się przy permanentnej trwałości rodziny. Miliony mężczyzn i kobiet stosują dziś praktyczną i zdroworozsądkową strategię. Mianowicie, zamiast wymyślać jakieś nowatorskie formy współżycia, konwencjonalnie się pobierają, starają się wytrwać w swych związkach, a gdy drogi małżonków rozchodzą się poza dopuszczalne granice, rozwodzą się lub rozstają. Większość szuka nowych partnerów, których etap rozwoju w danym momencie bliższy jest ich własnemu.

W miarę narastania tymczasowości w relacjach międzyludzkich pragnienie miłości staje się coraz bardziej gorączkowe. Zmieniają się oczekiwania. Skoro małżeństwo konwencjonalne nie gwarantuje spełnienia dożywotniej miłości, możemy się spodziewać akceptacji małżeństw tymczasowych. Zamiast pobierać się do grobowej deski, ludzie będą z góry wiedzieli, że ich związki będą raczej krótkotrwałe.

Będą też wiedzieli, że gdy drogi małżonków zaczną się rozchodzić i gdy rozbieżności między nimi staną się zbyt duże, będą oni mogli po prostu uznać małżeństwo za zakończone – bez specjalnego szoku i zakłopotania, a nawet bez tych cierpień, które towarzyszą rozwodom dzisiaj. A gdy trafi się im odpowiedni partner, będą zakładać następny związek, a potem następny i następny.

Małżeństwa tymczasowe – zawierane kolejno jedno po drugim – pasują do wieku zmian, w którym ludzkie relacje i wszystkie związki człowieka ze środowiskiem będą miały charakter przejściowy i krótkotrwały. Jest to naturalny i nieunikniony rezultat porządku społecznego, w którym wypożycza się auta, lalki oddaje z powrotem do sklepu, a sukienki wyrzuca po jednym włożeniu. Tak też będzie w przyszłości z małżeństwem.

W pewnym sensie tymczasowe seryjne małżeństwa są już najlepiej strzeżonym sekretem rodzinnym w wielu technospołeczeństwach. Światowej sławy socjolog profesor Jessie Bernard twierdzi: „W naszym kraju małżeństwa wielokrotnie występują dziś częściej niż w społeczeństwach dopuszczających poligamię. Główna różnica polega na tym, że my wolimy coraz to nowe związki zawierane kolejno, a nie trwające równocześnie”. Ponowne małżeństwa są obecnie tak powszechne, że obliczono, iż prawie co czwarty nowożeniec w Ameryce staje przed ołtarzem nie pierwszy raz. Opowiada się o zabawnym zdarzeniu w jednej z firm IBM, kiedy to pewna rozwódka, wypełniając kwestionariusz osobowy przed przyjęciem do pracy, do rubryki

„stan cywilny” wpisała – po chwilowym wahaniu – „niezamężna ponownie” (tamże: 249).

Kiedy jeszcze bardziej upowszechnią się małżeństwa seryjne, zaczniemy charakteryzować ludzi nie w kategoriach ich aktualnego stanu cywilnego, lecz w kategoriach kariery małżeńskiej jako swoistej trajektorii. Będą ją wyznaczać decyzje w ważnym momentach życia ludzkiego.

W mniej sztywnym i bardziej urozmaiconym systemie rodziny więcej będzie małżeństw między osobami o dużej różnicy wieku. Coraz więcej starszych mężczyzn żenić się będzie z młodymi dziewczętami i na odwrót. Liczyć się będzie nie dopasowanie chronologiczne, lecz dobór odpowiadający zainteresowaniom i uznawanym wartościom oraz uwzględniający poziom rozwoju osobistego partnerów. Nie wiek, lecz etap rozwoju będzie decydować o małżeństwie.

Dzieci wzrastać będą w licznym gronie nibyrodzeństwa wprowadzanego do rodziny przez kolejnych partnerów i przychodzącego na świat w kolejnych małżeństwach. Dopiero się okaże, jak będą funkcjonować nowe agregaty rodzinne. Wydaje się, że relacje między dziećmi mogą przypominać relacje między dzisiejszymi kuzynami. Zachwiany zostanie jednak dotychczas najsilniejszy czynnik stabilizujący społeczeństwo, a mianowicie rytmiczny i trwały cykl rodziny.

Przychodzimy na świat, jesteśmy dziećmi, dojrzewamy, opuszczamy gniazdo rodzinne, sami stajemy się rodzicami, a następnie nasze dzieci dorastają, odchodzą i w ten sposób proces ten toczy się nieprzerwanie od tak dawna, tak automatycznie i z taką regularnością, że uważamy go za rzecz najzupełniej oczywistą. Stał się on nieodłączną częścią istnienia ludzkości. Na długo zanim dzieci osiągną dojrzałość, wiedzą dobrze, jaką rolę odegrają w tym cyklu. Ta przewidywalność zdarzeń związanych z życiem rodzinnym stwarza – we wszystkich społeczeństwach i plemionach – poczucie ciągłości i pewności trwania w czasie. **Cykl rodziny był zawsze gwarantowaną stałą utrzymującą poczucie ładu i bezpieczeństwa w egzystencji ludzkiej.**

To poczucie ładu i bezpieczeństwa może zniknąć zupełnie, jeżeli proces przygotowania do macierzyństwa będzie można ograniczyć do krótkiej wizyty w salonie hodowli embrionów; jeżeli zarodek ludzki można będzie transplantować z brzucha jednej kobiety do drugiej w dowolnym momencie rozwoju, to nie tylko runie oczywisty niegdyś pewnik o dziewięciomiesięcznej ciąży, lecz przychodzące na świat dzieci będą uczestniczyć w dra-

stycznie nierytmicznym cyklu rodziny. **Z ruin starego porządku usunięty zostanie kolejny filar zapewniający ludziom poczucie pewności i ładu.**

Rewolucja superindustrialna wyzwoli człowieka od wielu barbaryzmów wyrosłych na gruncie staroświeckiego i ograniczającego wolność modelu znanej nam dzisiaj rodziny. **Człowiek uzyska nowy wymiar wolności wyboru, ale wolność ta będzie miała wysoką cenę.**

Pęd ku przyszłości narazi wielu ludzi na silne stresy emocjonalne związane nie tylko ze zmianą, lecz także z faktem, że żadne doświadczenia z przeszłości nie będą w stanie niczego odpowiedzieć. **Staną oni w obliczu radzenia sobie z tym, co nowe bez żadnych źródeł mądrości wynikających z doświadczenia.**

Zarówno w sprawach wielkich, jak i małych, w konfliktach o charakterze publicznym i prywatnym, będziemy sobie musieli radzić z utrzymaniem chwiejnej równowagi pomiędzy tym, co można i czego nie można przewidzieć oraz tym, co znane i nieznanne. W sumie wzrośnie liczba doznań całkowicie nowych.

Zaistnieją nowe warunki, szybko zmieniające się i w dużej mierze niewiadome, w których będziemy musieli dokonywać osobistych wyborów spośród niezliczonych nowych możliwości. Właśnie różnorodność stanowi trzeci charakterystyczny rys nadchodzącego jutra. **I właśnie zbiegnięcie się trzech czynników – przejściowości, nowości i różnorodności – stworzy nowe okoliczności, w których dojdzie do historycznego kryzysu adaptacji człowieka, a mianowicie szoku przyszłości (tamże: 255).**

I w tym miejscu nieodparcie nasuwa się pytanie, czy cena nowej wolności nie będzie równie wysoka jak cena zdobywania informacji z drzewa wiadomości dobrego i złego w Raju. Czy nie będzie to szok przyszłości na miarę szoku, który wywołało zetknięcie się pierwszych ludzi z ziemską rzeczywistością po odebraniu im rzeczywistości rajskiej? Zetknęli się oni bowiem ze współwystępowaniem tych samych trzech czynników, o których wspomina A. Toffler: przejściowości (śmierć), nowości (w pocie czoła będziesz pracował) i różnorodności (osty i ciernie rodzić ci będzie).

Tym co utrzymuje na tej ziemi warunki egzystencji człowieka i społeczeństwa, jest dążenie do tworzenia i utrzymywania ładu, czyli przewidywalności zachowań, spójności reguł, stabilności oraz ciągłości. Gdy zaniknie ład społeczny, zaniknie człowiek jako twórca kultury i struktury społecznej oraz główny podmiot naszego świata.

Szok przyszłości – tak prawdopodobnie wyglądało zetknięcie się pierwszych rodziców z doczesną rzeczywistością.

Podsumowując problematykę różnorodności istniejących współcześnie form życia rodzinnego A. Toffler pisze: „Obserwując ten prawdziwy kalejdoskop związków pokrewieństwa i powinowactwa, nawet dość ortodoksyjni uczeni dochodzą do niegdyś radykalnego przekonania, że oddaliśmy się od ery rodziny nuklearnej i zdążamy ku nowemu społeczeństwu, którego cechą charakterystyczną będzie różnorodność życia rodzinnego”. Jak twierdzi socjolog Jessie Bernard, „najbardziej charakterystycznym aspektem małżeństw przyszłości będzie właśnie możliwość dokonywania różnych wyborów przez różnych ludzi, dla których ich związki z innymi ludźmi będą mogły zaspokajać różne potrzeby i cele”.

W pytaniu, które często słyszymy: „Jaka jest przyszłość rodziny?” pobrzmiewa zazwyczaj przeświadczenie, że skoro nuklearna rodzina drugiej fali traci swe panowanie, to jej miejsce musi zająć jakaś inna forma. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że w cywilizacji trzeciej fali żadna forma rodziny nie zatriumfuje na dłuższy okres czasu. Będziemy raczej obserwować ogromną różnorodność struktur rodzinnych. Ludzie – miast żyć masowo w zuniformizowanych układach rodzinnych – będą zmieniali własny model, podążając przez życie indywidualnymi, a raczej „kreślonymi według własnych potrzeb” szlakami.

Lecz znowu nie oznacza to kompletnej eliminacji czy „śmierci” rodziny nuklearnej. Oznacza to jedynie, że, począwszy od chwili obecnej, rodzina nuklearna będzie tylko jedną z wielu społecznie akceptowanych i uznawanych form rodziny. Napływająca właśnie trzecia fala jednocześnie z odmasowianiem systemu produkcji i systemu informacji w społeczeństwie powoduje odmasowienie systemu życia rodzinnego (Toffler 1986: 268).

Niektórzy twierdzą, że właśnie z powodu nadchodzących wstrząsów ludzie będą się garnąć do swych rodzin z tym większą determinacją. „Ludzie będą zawierać małżeństwa, aby uzyskać stabilność” – uważa dr Irwin M. Greenberg, profesor psychiatrii w Szkole Medycznej im. Alberta Einsteina. Rodzina, według niego, umożliwia człowiekowi „zapuszczenie korzeni”, które ochronią go przed skutkami szalejącego sztormu przemian. Krótko mówiąc, im bardziej zmienia się i pędzi życie, tym ważniejsza stawać się będzie dla człowieka jego rodzina.

Możliwe, że ani jedni, ani drudzy nie mają racji. Przyszłość jest bowiem mniej przewidywalna, niż może się wydawać. Rodzina może ani nie obumrzeć, ani nie zaznać złotego wieku. Może natomiast, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, najpierw załamać się, ulec rozdarciu, by potem słać się na nowo, przyjmując wszelako inne, może nieco dziwaczne formy.

5. Dręczące pytania i upiorne wizje

Patrząc na rozkwit różnorodnych form rodziny, nie możemy jeszcze powiedzieć, które z nich narzucą główne style życia w cywilizacji trzeciej fali.

Czy nasze dzieci będą długo, może przez całe dziesięciolecia, żyły samotnie? Czy będą bezdzietne? A my, czy na starość przyłączymy się do komuny seniorów? Jak będziemy się zapatrywać na jeszcze bardziej egzotyczne możliwości? Na przykład, na rodziny składające się z kilku mężów i jednej żony? (To mogłoby się zdarzyć, jeżeli dzięki zabiegom genetyków nauczymy się planować płeć dziecka i zbyt wielu rodziców będzie wołało chłopców). A co z rodzicami homoseksualnymi wychowującymi dzieci? Sądy już debatuja nad tą kwestią. Co wyniknie z wydawania na świat dzieci różnych ojców przez tę samą, sztucznie zapładnianą kobietę?

Jeżeli każdy z nas w ciągu swego życia zechce podążać torem różnych doświadczeń rodzinnych, to jakie będą kolejne fazy? Najpierw małżeństwo na próbę, następnie bezdzietne małżeństwo dwojga ludzi aktywnych zawodowo, a potem małżeństwo homoseksualne wychowujące dzieci? Możliwych odmian jest nieskończenie wiele. Chociaż wydaje się, że niektóre pomysły wprost wołają o pomstę do nieba, żadnego z nich nie należy uważać za niemożliwy, pisze A. Toffler (tamże: 268).

Upiorne wizje roztaczają przed rodziną przyszłości nowe „technologie urodzeniowe” oraz inżynieria genetyczna.

W obliczu zawrotnych przemian społecznych i równie zawrotnych skutków rewolucji naukowej człowiek epoki superprzemysłowej będzie musiał poradzić sobie z nowymi formami rodziny. Znane nam dotychczas formy życia rodzinnego wzbogacą swymi innowacjami rozmaite mniejszości obyczajowe i kulturowe, które już zaczynają eksperymentować w tej dziedzinie. Już jest prawdopodobna możliwość planowania płci, a nawet programowania przyszłego ilorazu inteligencji, wyglądu i cech osobowości dziecka. Implantowanie

embrionów, dzieci z próbówki, pigułki gwarantujące bliźniaki lub trojaczki, a może także sklepy z zarodkami ewentualnych potomków, to kolejne pomysły odpowiadające bardziej wyobraźni wizjonerów niż konwencjonalnych socjologów czy filozofów.

Dyskutowanie nad tymi pomysłami uchodzi na razie za nienaukowe i niepoważne. Tymczasem postęp – naukowy i technologiczny – w dziedzinie biologii rozmnażania wkrótce już może zachwiać dotychczasowym rozumieniem rodziny, jej zadań i obowiązków. Co się stanie z sensem macierzyństwa, jeżeli dzieci można będzie hodować w laboratoriach? Jak będą kobiety postrzegać własne posłannictwo, kojarzone od zarania ludzkości przede wszystkim z przedłużaniem i podtrzymywaniem rodu ludzkiego?

Rzadko zastanawiamy się dziś nad tymi sprawami. Jednym z pionierów jest psychiatra Hyman G. Weitzen, dyrektor oddziału neuropsychiatrycznego polikliniki nowojorskiej. Rodzenie dzieci – według doktora Weitzena – „zaspokaja potrzeby twórcze większości kobiet, są one dumne z tego, że mogą rodzić dzieci, niezwykłą aurę gloryfikującą kobiety w ciąży przedstawiają liczne dzieła w sztuce i literaturze zarówno Wschodu, jak i Zachodu”.

Doktor Weitzen zastanawia się, co się stanie z kultem macierzyństwa, jeżeli „potomstwo będzie mogło pochodzić nie od konkretnej kobiety, lecz z genetycznie doskonałego *ovum*, przeszczepionego do jej brzucha z brzucha innej kobiety lub nawet z próbówki?” Znaczenie kobiet będzie związane z innymi osiągnięciami niż rodzenie dzieci. Wygląda na to, że unicestwimy całą mistykę macierzyństwa.

Może nawet koncept rodzicielstwa zostanie poddany radykalnej rewizji. Wkrótce może nadejść dzień, gdy dzieci będą miały więcej niż dwoje biologicznych rodziców.

A wtedy co lub kto będzie rodzicem? Jeżeli kobieta nosi w swej macicy embrion zapłodniony w łonie innej kobiety, to która jest matką? A kto w istocie jest wtedy ojcem?

Jeżeli będzie można kupić sobie embrion, wówczas rodzicielstwo stanie się kwestią prawną, a nie biologiczną. Brak ścisłej kontroli doprowadziłby do niewyobrażalnych nadużyć i kombinacji. Na przykład jakaś para kupuje sobie embrion, hoduje go w próbówce, następnie ta sama para nabywa wkrótce drugi embrion, ale w imieniu tego pierwszego, czyli osoby te zostają dziadkami, zanim jeszcze ich potomek sam wyrośnie z niemow-

łectwa. Nie obejdzie się wówczas bez specjalnego słownika zawierającego nazwy nowych rodzajów pokrewieństwa (podaję za: Toffler 1998: 238 i n.).

A jeżeli zarodki ludzkie będą na sprzedaż, to czy będą mogły je kupować korporacje? Czy można będzie zakupić tysiąc sztuk? Czy można będzie odsprzedawać? A jeśli korporacja nie, to czy będzie mogło takiego zakupu dokonać laboratorium badawcze? Czy kupowanie i sprzedawanie żywych embrionów nie wprowadzi nowej formy niewolnictwa? Te upiorne pytania trzeba będzie pewnego dnia poddać dyskusji. Myślenie o rodzinie w sensie konwencjonalnym wydaje się w każdym razie dość przestarzałe. Można się więc spodziewać, że wśród rodzin przyszłości wiele wybierze bezdzietność, zawężając tym samym model rodziny do dwojga osób – kobiety i mężczyzny. Dwojgu ludziom, może nawet o podobnych karierach, łatwiej będzie osiągać wykształcenie i przemieszczać się geograficznie, nawigując pośród różnych grup społecznych i coraz to nowych miejsc pracy niż rodzinom obciążonym dziećmi. Antropolog Margaret Mead zauważa, że zmierzamy do sytuacji, w której „rodzicielstwo będzie udziałem tylko niektórych rodzin, nastawionych na wypełnianie tej funkcji, jaką jest wychowywanie dzieci”. Pozostała część ludności, twierdzi Mead, „będzie funkcjonować – po raz pierwszy w dziejach – jako wolne i niezależne jednostki”.

Kompromisowym wyjściem może być nie rezygnacja z dzieci, lecz posiadanie ich w późniejszym wieku. Mężczyznami i kobietami targają dziś często sprzeczności – czy poświęcić się karierze zawodowej czy posiadaniu dzieci. Dylemat ten może całkowicie ominąć wiele małżeństw w przyszłości, gdyż wychowywanie dzieci można będzie odłożyć do emerytury.

Dziś może się to wydać dziwne, ale jeżeli rodzenie dzieci zostanie oderwane od uwarunkowań biologicznych, nic poza tradycją nie będzie już uzasadniać posiadania dzieci w młodym wieku. Czemu nie poczekać i nie kupić sobie odpowiedniej liczby embrionów później, gdy zakończona zostanie kariera zawodowa? Bezdzietność ma szanse rozpowszechnić się wśród ludzi młodych i w średnim wieku, normą zaś staną się sześćdziesięciolatki opiekujące się niemowlętami. Poemerytalne rodziny mogą z powodzeniem zostać uznanymi instytucjami w społeczeństwie jutra (tamże: 240).

O tym, że nie jest to już tylko czysta fantazja, ale realny problem informuje reportaż W. Konarzewskiej (1985) z Australii, która jest krajem

najbardziej zaawansowanym w technologiach urodzeniowych oraz inżynierii genetycznej.

Aktywne z pozoru społeczeństwo jest w stanie samozagłady. Dzieci się już nie rodzą. Ujemny przyrost naturalny nęka Australię od wielu lat. Co dziesiąta para jest bezpłodna.

Paradoksem (a może zemstą?) natury jest to, że im kobieta bardziej dorodna i zadbana, tym większe ma problemy z zachodzeniem w ciążę, porodem i urodzeniem zdrowego, normalnego potomka. Potomków nienormalnych za to – do wyboru. Widoczni są oni w pejzażu ulicy i w ustawodawstwie socjalnym. Nie udało mi się dokładnie ustalić – ilu. Znany genetyk twierdził, że jest to aż 4–5% rodzących się tu noworodków. [...]

Na wielkim kontynencie natura robi wszystko, by powstrzymać reprodukcję i eliminować gatunek homo sapiens. Lesbijki i homoseksualiści są agresywnymi grupami tego społeczeństwa. Rozdają ulotki w szkołach, publikują książki i czasopisma. Manifestują na ulicach. Tylko w stanie Victoria działa kilkanaście organizacji homoseksualistów. W ABC strajk, bo kierownictwo rządowej stacji telewizyjnej nie chce płacić diet za podróże zagraniczne homoseksualnych partnerów. Inne instytucje są bardziej postępowe. „Telecom” na przykład wypłaca męskim żonom i żeńskim mężom zwyczajne zasiłki rodzinne. Telefoniczna sieć Lesbian-line i Gay-line pokrzepia i łączy dewiantów wszelkiego rodzaju i w każdej chwili każdy może sobie wydzwonić prostytutkę dowolnej płci. Dla zabawy może też wynająć sobie transwestytę. Pełno tych biedaków, szpikowanych hormonami, wypycha sobie piersi watą i potyka się na obcasach.

Rząd Nowej Południowej Walii, któremu ustawicznie brak pieniędzy na szkoły dla dzieci i na bezdomnych starców, przyznał ostatnio 80 tys. dolarów dla podtrzymania komuny transwestytów w Sydney. Szefem tej wspólnoty jest Dorota Perkins. Właśnie zmienił(a) płeć na kobiecą. Dwa lata temu był(a) jeszcze mężczyzną. Żonaty(a) z trzema kobietami, ma troje dzieci. Żali się na dyskryminację i prześladowania. Niedawno napadła go(ją) grupa 16-latków: „Przyszliśmy cię zgwałcić – podobno jesteś kobietą” ...! Byli to uczniowie szkoły, gdzie pracował(a) dotychczas. Brał(a) udział w strajku homoseksualnych nauczycieli, którzy apelują do poczucia wolności demokratycznego społeczeństwa. Teraz pracuje na ulicy: „Kiedy pracuje jako męska prostytutka czuje się po prostu niedowartościowana jako kobieta”.

Chrześcijański Ruch Studencki – organizacja działająca na wszystkich uniwersytetach, rozdaje wśród studentów podręcznik prostytucji. Tak, podręcznik: co, jaką techniką i za ile. Wszystko ma swą cenę. A poza tym – bez komentarzy, bardzo proszę. Prostytucja była już w Biblii i jest przyzwolona przez Pana. Jak demokracja, to demokracja. Nikt nie może być dyskryminowany. W grudniu ubiegłego roku Na Melbourne University konferencja naukowa na temat seksualnych uciech z nieletnimi. Uczestnicy zgodzili się nawet na prasowe zdjęcia. Były głosy za i przeciw. W domowych zaciszach tysiące dzieci jest podobno nadużywanych, obmacywanych

i gwałconych. Ale właściwie dlaczego nie? Dwa lata temu dziennikarz „Heralda” wykrył burdel w nadmorskiej dzielnicy Melbourne – St. Kilda, gdzie starszym panom sprowadzano 8-letnie dziewczynki. Inaczej nie mogli. Sprawie ukręcono szybko głowę, bo okazało się, że wśród gości bywali członkowie parlamentu. [...]

Bez obowiązków społecznych, bez świadomości misji dziejowej i zbiorowego losu wolność jednostki jest tylko zaspokajaniem instynktów. Nawet moralizować nie sposób. Raczej litościwie współczuć. Wygląda na to, że cywilizacje materialne, uzależnione jedynie od struktur finansowo-energetycznych są w ślepych zaułku. Tracą instynkt życia. Bezpłodność, impotencja i oziębłość ogarnia miliony, żyjące w piekle samotności i izolacji.

I już nie dziwi, że istnieje kolosalne zapotrzebowanie na technologię reprodukcyjną. Australia jest na pierwszym miejscu w świecie w eksperymentach rozmnażania człowieka w próbowce. [...]

Cztery dni życia w próbowce wystarcza dla zainicjowania ciąży. Ale z USA donoszą ostatnio, że na Uniwersytecie Stanford hodowano w szklanym naczyniu rozwijające się ludzkie komórki przez 6 tygodni.

Widome jest, że nowoczesne inkubatory potrafią zachować przedwcześnie urodzone dzieci już po 23 tygodniu ciąży. Ciąża homo sapiens trwa 40 tygodni. Mamy więc do wypełnienia jedynie 17-tygodniową lukę embrionalnego rozwoju poza organizmem matki.

A jeśli ... I co dalej?

„Gdy medycyna płodu ulepszy się, dziecko będzie immunizowane i hodowane całkowicie w sztucznej macicy, gdzie środowisko wydaje się bezpieczniejsze niż wewnątrz ludzkiego ciała. Wreszcie, gdy ulepszymy program doboru genów i preselekcji seksu ciąża stanie się przeżytkiem i macica nie będzie potrzebna kobietom bardziej niż wyrostek robaczkowy” – ta futurologiczna wypowiedź wyszła spod pióra dr Paula Lancastera, prezesa Australijskiego Towarzystwa Płodności.

Całe życie na naszej planecie pochodzi z kobiety. Każdy z nas spędził w kobiecym łonie pierwszy okres swej ziemskiej wędrówki. Czyżby nasze wnuki miały zaznać smaku innej formy płodności? Nie zazdroszczę im. Byłyby to dzieci z urazem od chwili poczęcia. Osierocone zanim zdążyły się urodzić. Jak odnajdą swoją tożsamość? Gdzie ojciec? Gdzie matka? Gdzie rodzina? Z kim będą się utożsamiać? Może z lekarzem, który dokonał eksperymentu? Z pielęgniarką, dozującą temperaturę w inkubatorze? Pęknięta „więzy krwi”, najsilniej spajające ludzkie istoty. W świecie bez miłości i bez rodziny poruszać się będą zbłąkane cienie mężczyzny i kobiety. Co stanie się z kobietą? Pozbawiona przeżycia ciąży i macierzyństwa przestanie być przeciw sobą.

W ubiegłym roku ogłoszono w Australii raport specjalnej komisji, która pracowała przez dwa lata pod kierunkiem znanego australijskiego prawnika, prof. Louisa Waltera. Jest to pierwsza społeczna opinia, wyprzedzająca parlamentarny akt – Infertility Bill. Embriony nie mają w nim praw. Przyznaje się je rodzicom. Mężczyzna i kobieta powinni wyrazić zgodę na połączenie w próbówce ich komórek rozrodczych. Oni też są władni decydować o zamrożeniu embrionu i dłuższym jego magazynowaniu. Jedyne oni mogą wyrazić zgodę na eksperymenty. A eksperymentować z embrionem – mówi raport Wallera – można tylko do 14 dnia życia (zob. tamże).

Tajemnice awangardowej technologii wychodzą z pomieszczeń laboratoryjnych i idą w dół – udostępniane właścicielom prywatnych szpitali, zespołom ekspertów, agencjom i kampaniom wszelkiego rodzaju. Jak sępy rzucają się one na zdobycz, by tajemnicę wydartą życiu przetworzyć na dolary. Od tej chwili wszystko jest na sprzedaż: ciało, emocje, intymność i cierpienie. Wszystko możesz uzyskać, jeśli tylko masz pieniądze: zakupić geny odpowiedniej jakości i wynająć odpowiednie ciało. Wynajmują się biedne, a płacą bogate. Nic nowego.

Najwyższe zyski zgarniają pośrednicy, czyli zaradni, przedsiębiorczy mężczyźni, którzy organizują tę towarową wymianę: lekarze, agenci, eksperci, konstruktorzy patentujący medyczne wynalazki i prawnicy przygotowujący kontrakty. Dolarowy licznik bije bez przerwy (tamże).

Udane zapłodnienie w próbówce wraz z wszczęciem embrionu i donoszeniem ciąży kosztuje kilkadziesiąt tys. dolarów. Któż zaprzepaści taką szansę! Średnio prosperująca agencja sztucznego macierzyństwa, to też dobry interes. Matkomnosicielkom za poród i 9 miesięcy ciąży płaci się w USA 10 tys. dolarów, lekarz bierze połowę, agent-organizator też nie może narzekać. Dochodzą jeszcze zarobki dodatkowe. Kim Cotton w Anglii, której transferowano cudzy embrion, dostała tylko 6 500 funtów, ale 20 tys. zarobiła na reklamie prasowej i telewizyjnej. Skądinąd ciekawe jest, jak się naprawdę czują kobiety, rodząc dzieci, a potem porzucając je, a właściwie odsprzedając, zgodnie z podpisanym kontraktem.

Oczywiście łatwiej sprzedawać się na rynku reprodukcyjnej technologii, gdy się jest kobietą, ale i mężczyźni mogą trochę zarobić na produktach własnego ciała. W Anglii za oddanie spermy zarobić można siedem funtów, w Ameryce płacą 20 dolarów, z tym że laureatom Nobla płaci się więcej. Wspomniał o tym Robert Graham, który prowadzi w USA reprodukcyjną agencję, oferując komórki rozrodcze ludzi genialnych. Dokładnie nie zdradził jednak, ile płaci zasłużonym laureatom za poświęcanie się dla ludzkości (Konarzewska 1985).

Uciekanie się do męskiej pomocy przy prokreacji może się zresztą w ogóle okazać niepotrzebne. Jerry Hall i Yan-Ling Feng z Instytutu Medycyny Reprodukcyjnej i Genetyki w Los Angeles donoszą o postępach w pracy nad partenogenezą, czyli dzieworództwem. Inni są przekonani, że uda się im wyprodukować chemiczną miksturę, która pobudzi niezapłodnione komórki jajowe do duplikacji ich chromosomów i utworzenia embrionu. Ta złowroga wizja może dodatkowo przyczynić się do pogłębienia depresji – a w efekcie jeszcze większego wzrostu samobójstw – wśród mężczyzn.

Czy jest jakaś nadzieja, że uda się uchronić mężczyzn przed zagładą? Zdaniem wielu uczonych – ostatnio wypowiedzieli się na ten temat badacze muszek owocowych William Rice i Adam Chippindale z California University w Santa Barbara – wydaje się, że konwencjonalne rozmnażanie płciowe na dłuższą metę przynosi istotne korzyści genetyczne: pomaga wyeliminować z genetycznej puli gatunku wybrakowane geny (zob. Szymborski 2002).

Wiek XXI ma przynieść całkowite oddzielenie seksu od prokreacji. „Przed upływem półwiecza znajdziemy się w świecie, w którym będziemy poddawać się sterylizacji jako nastolatki, przechowując w bankach komórki jajowe i spermę” – twierdzi Robin Baker w książce „Seks w przyszłości”. Komputery i Internet staną się głównym medium kojarzenia par.

„The Times” na podstawie prognoz futurologów relacjonuje, co będzie się działo dalej, po roku 2020. Zatrą się różnice między orientacjami seksualnymi, a preparaty hormonalne pozwolą na wielokrotne zmiany tożsamości seksualnej. Pary homoseksualne dzięki klonowaniu doczekają się potomstwa. Zniknie tradycyjnie pojęty monogamiczny (nawet umiarkowane) związek (zob. Podgórska, Wilk 2000).

Wirtualny seks w wielu przypadkach zastąpi prawdziwy. Kategoria płci straci na znaczeniu – o różnicach będzie decydować poziom umysłowy, stan majątkowy albo dostęp do środków technicznych. Biseksualizm stanie się normą, również społeczną. Nikogo nie będą dziwić związki osób tej samej płci. Kobiety częściej będą wybierały inne kobiety na towarzyszek życia. Wszyscy zaczną bardziej poszukiwać porozumienia i psychicznej bliskości – przyjaźń między osobami płci przeciwnej będzie łatwiejsza.

Seks wirtualny stanie się potężną gałęzią biznesu. Coraz większe uznanie zyskiwał będzie cyberseks. Ciało ludzkie metodą piercingu (kolczy-

kowania) wyposażone będzie w specjalne czujniki, umożliwiające seks na odległość. Chip orgazmu, wprowadzony bezpośrednio do mózgu, odkryje przed człowiekiem niedostępne przedtem doznania, zaspokoi wszelkie możliwe fantazje. Seks wejdzie całkowicie w sferę komercji.

Oczywiście, pozostanie grupa ortodoksyjnych konserwatystów, którzy wybiorą małżeństwo z tradycyjnym podziałem ról. Jednak ten model albo zostanie zepchnięty do slumsów, albo wręcz przeciwnie – będzie charakterystyczny dla stylu życia elit.

I wtedy, mniej więcej w połowie wieku, przyjdzie bunt młodych. Pojawią się ruchy na rzecz purytanizmu i prostoty, analogiczne do współczesnej mody na naturalną żywność. Prof. Judith Mackey, ekspert Światowej Organizacji Zdrowia, na rok 2050 przewiduje powstanie Światowego Instytutu na rzecz Seksu z Ludzkim Obliczem (tamże).

6. Aksjologiczna i teleologiczna neutralizacja dotychczasowego wymiaru człowieka i rodziny

Przedstawione wcześniej futurologiczne wizje dotyczące małżeństwa, rodziny i aktywności seksualnej człowieka w znacznej mierze opierają się na analizie współczesnych przemian zachodzących w sferze świadomości społecznej, w szczególności zaś aksjologicznej neutralizacji dotychczasowych celów życia ludzkiego oraz jego trwałych form. Świetną charakterystykę i zarazem diagnozę podłoża tych zjawisk daje Z. Bauman (1993) w pracy poświęconej analizie ponowoczesnych wzorów osobowych, z której warto przytoczyć niektóre fragmenty (wytluszczenia w tekście – L. K.).

Upływ czasu przestał jak gdyby być procesem ciągłym. Zamiast linii ciągłej – zbiór epizodów, które wprawdzie następują po sobie, ale z równym powodzeniem mogą być pomyślane jako zachodzące obok siebie; ich kolejność chronologiczna nie ma w sobie nic z konieczności; nie określa też ona ich treści ani nie determinuje ich przebiegu. Innymi słowy, niewiele z jednego epizodu dla innego epizodu wynika. Każdy epizod jest poniekąd samoistny; jest całością zamkniętą, rozpoczynającą się jak gdyby w sytuacji „wolności całkowitej” i nie pozostawiającą po sobie nieodwracalnych następstw – to znaczy pozwalającą także i następnym epizodom „zaczynać od początku”. Dobrze oddaje charakter ponowoczesnego życia format serialu telewizyjnego: w każdym odcinku pojawiają się te same osoby

(z dodatkiem paru „występów gościnnych” – postaci bez przeszłości, ale i bez przyszłości, które pojawiają się znikąd po to tylko, aby odegrać przydzieloną im rolę i zniknąć bezpowrotnie), ale każdy odcinek opowiada zdarzenie, które w ramach odcinka zaczyna się i kończy; wszystko, co zdarzeniu nadaje sens i dla jego zrozumienia jest potrzebne, zawarte jest w jednym odcinku – nie jest więc ważne, w jakim porządku odcinki są oglądane, jako że znajomość jednych nie jest warunkiem rozumienia innych.

Kurczą się więc horyzonty czasowe działania. Każdy stan osiągnięty jest tymczasowy, „do czasu” – „a tam się zobaczy”. Mało kto liczyć może na to, że raz zdobyty zawód służyć mu będzie do końca życia – zawody pojawiają się i znikają, umiejętności wczoraj nabyte dziś stają się bezużyteczne. Zmienia się też sens praktyczny doświadczenia gromadzonego w toku wykonywania zawodu: kompetencje nie dają się kumulować i wraz ze zmianą technicznego wyposażenia, zanikiem dawnych i wyłanianiem się nowych funkcji nawyki już zdobyte stają się obciążeniem raczej niż tytułem do dalszych postępów zawodowych. Prace nie są dożywotnie i rzadko kiedy długofalowe. Trudno zakładać, że pracować się będzie i awansować w tej samej instytucji przez cały czas trwania życia zawodowego. Zatrudnienie jest z reguły dorywcze i wypowiedzenie pracy nastąpić może w każdej chwili: ulotność, doraźność każdego stanowiska i zadania wbudowana jest w pragmatykę zatrudnienia i w oczekiwania z nim łączone (tamże).

Z sytuacji tej wynikają dla problemu tożsamości dwa istotne następstwa. Z jednej strony wykonywana na bieżąco funkcja ma nikłą wartość dla samookreślenia – dziś ona jest, jutro jej nie będzie. Z drugiej strony inne niż dawniej cechy sprzyjają sukcesom życiowym: nie uparte trzymanie się z góry obranego celu, konsekwencja w postępowaniu, wytrwała specjalizacja, gromadzenie kwalifikacji o zdecydowanym profilu – lecz elastyczność zainteresowań i szybkość ich zmiany, giętkość przystosowawcza, gotowość do uczenia się i umiejętność zapominania tego, co już wyszło z użycia. Kontekst ponowózny foruje więc, rzecz można, brak ściśle określonej tożsamości; im mniej dokładnie tożsamość jest zdefiniowana, tym lepiej dla jej posiadacza. Najlepiej wiecie się osobnikom, nieskrępowanym precyzyjną specjalizacją, niemającym zwyczaju koncentrowania uwagi zbyt długo na jednym przedmiocie, nieprzywiązuającym się nadmiernie do spraw, którymi wypada im się zająć w tej czy innej chwili i zachowującym dystans i wstrzemięźliwość

emocjonalną wobec tego, czym się w każdym momencie zajmują. Osobowość iście ponowoczesna wyróżnia się brakiem tożsamości. Jej kolejne wcielenia zmieniają się równie szybko i gruntownie, jak obrazy w kalejdoskopie.

Nie inaczej przedstawia się sytuacja w dziedzinie stosunków międzyludzkich. Zaangażowania międzyludzkie nabierają tejże plastyczności, co zawód czy praca; związków międzyosobowych nie zawiera się na ogół z myślą, że trwać będą „aż śmierć nas rozdzieli”. Coraz częściej się zdarza, że z góry zakłada się ich tymczasowość i oblicza się je tylko na tak długo, jak trwać będzie zadowolenie z nich czerpane. Związki nie zaopatrzone w klauzulę wymówienia, związki których nie można zerwać, nawet gdy motywy ich zawiązania utraciły moc, wydają się równie sprzeczne z rozsądkiem, jak podpisanie czeku bez wpisania nań sumy, odczuwane są jak gwałt zadany niezbywalnej autonomii podmiotu.

Anthony Giddens ukuł termin **miłość współbieżna** (*confluent love*) dla określenia postaci, jaką coraz częściej i coraz powszechniej przybierają dziś intymne stosunki międzyludzkie. Romansu, powiada Giddens, **nie utożsamia się dziś ze stałością uczuć; miłość współbieżna klóci się z wizją „miłości jedynej i niepowtarzalnej”, „miłości na wieki”, jaka właściwa była miłości romantycznej, będącej wzorem idealnym dla związków intymnych ery nowożytnej**. Zawiera się dziś związki nie „po to aby”, nie z myślą o tym, by służyły one czemuś innemu niż one same – ale gwoli korzyści, jakie ma się nadzieję wydobyć ze związku samego: gwoli satysfakcji, jaką dostarczyć ma partner w toku intymnego obcowania. Miłość współbieżna jest wedle Giddensa emocjonalnym aspektem „czystego stosunku”, tzn. stosunku, który jest swoim własnym celem i którego nie obciążają funkcje instrumentalne wobec jakichkolwiek innych dziedzin życia. Byłoby więc bezsensowne domaganie się, aby miłość taka, a tym bardziej związek, któremu przestała ona towarzyszyć, trwały dłużej niż satysfakcje, których dostarczają sobie nawzajem partnerzy. Współbieżna miłość nie ma żadnych innych racji poza zadowoleniem przysparzanym partnerom.

„Oczyszczenie” stosunku miłosnego wynikało w znacznym stopniu z oddzielenia seksu od reprodukcji (dzięki współczesnej, niemal niezawodnej technologii antykoncepcyjnej, stosunki seksualne są wolne od obaw, że mogą one pociągnąć za sobą zobowiązania długofalowe). Giddens powiada o „seksie plastycznym” – plastycznym z tego właśnie powodu, że nie wiąże

się już z prokreacją, zakładaniem rodziny ani zaciąganiem obowiązków wobec osób trzecich. Stosunki uzasadniane przez spodziewaną satysfakcję cielesną czy psychiczną różnią się radykalnie od tych, których wymiary czasowe wyznaczała perspektywa opieki nad potomstwem i stadłem małżeńskim. Nadzieja spełnienia powoduje ich zawiązanie i nic nie sprzeciwia się ich rozwiązaniu z chwilą nasycenia lub zawodu. Rozstawać się można bez żalu i rekryminacji. (Wszystko to, rzecz jasna, dotyczy wzoru kulturowego, rzadko przystającego do doświadczeń tych, którzy usiłują żyć wedle jego wskazań; odległe od rzeczywistości jest szczególnie założenie wzajemności, na którym wspiera się powyższy opis). Jeżeli powstanie związku wymaga na ogół obopólnej zgody, dla wypowiedzenia wystarcza z reguły decyzja jednej ze stron; wolność nie jest równo między partnerów podzielona.

Rozpad projektu życiowego na kalejdoskop samoistnych epizodów, niepowiązanych ani przyczynowo ani logicznie, rezonuje z równie kalejdoskopową ponowoczesną kulturą „nieustającego karnawału”, która zastępuje kanon kulturowy korowodem krótkotrwałych mód. Arena publiczna jest terenem zacieklej konkurencji między orędownikami spraw, wierzeń i towarów, a stawką w zmaganiach jest nieodmiennie rozgłos: w tym świecie istnieć to tyle, co być zauważonym, a miernikiem ważkości, namacalności istnienia jest liczba widzów i słuchaczy i ślad odcisnięty w ich świadomości. Wśród kakofonii krzykliwych ofert uwaga publiczna jest najbardziej deficytowym z dóbr, a jej przykucie do oferowanego dobra choćby na krótką chwilę jest głównym, a być może nawet jedynym celem reklamy – najbardziej wszędobylskiego i natrętnego z kulturowych przekazów.

W sukces przekazu wbudowana więc być musi od początku obietnica przemijania, jako że pojemność uwagi jest ograniczona i trzeba zwolnić w niej miejsce dla przekazów następnych. Kultura ponowoczesna jest, rzecz można, nieustanną próbą generalną śmierci, codzienną lekcją pogładową nietrwałości wszechrzeczy i powszechnego przemijania – **ale też i śmierć samą konstruuje ona jako epizod bez trwałych konsekwencji, jako „tymczasowe wybycie”, jako stan „do odwołania”**; przedmioty fascynacji, bożyszczą tłumów, sława i rozgłos nie umierają, lecz „znikają”. W odróżnieniu od śmierci, zniknięcie nigdy nie jest ostateczne, „na wieki wieków”. Rzeczy odłożone zostają do lamusa, z którego w każdej chwili, gdy będzie po temu chęć lub potrzeba, można je będzie wydobyć, odkurzyć, przewietrzyć i umieścić tam, skąd niegdyś je usunięto, czyli na widoku publicznym, w ognisku publicznej uwagi. **Jest ta**

kultura ponowoczesna nieustającą demonstracją nie tyle nieodwołalności śmierci, co nieostateczności przemijania. A skoro przemijanie nigdy nie jest na zawsze i z reguły do odwołania – rzeczy i czyny tracą ważkość, którą im niegdyś przypisywano. Wszystko staje się nieco na niby; byt jest czymś pomiędzy paradą przebierańców a zabawą w chowanego. Nic, co się zaczyna, nie będzie trwało wiecznie, ale i nic nie kończy się tak naprawdę bezapelacyjnie. Nie trzeba więc tego, co się czyni, traktować zbyt na serio: wyrządzone szkody zawsze da się naprawić, to o czym się zapomniało można przywrócić do życia, przywołując z niepamięci. Zawsze zresztą można zacząć od początku albo próbować gdzie indziej, albo przyłożyć siły do czego innego.

A nade wszystko – powódź, nadmiar, przerost informacji, komunikatów, dźwięków i obrazów o ładunku semantycznym, którego odcyfrować, a już tym bardziej wchłonąć i przyswoić, nie ma czasu.

Jak w tym wszystkim odróżnić postrzeżenia ważne od błahych, trwałe od ulotnych – jak wysupłać prawdę spod warstw strojów jarmarcznych, ustalić co strój, a co przebranie, co jest czego udawaniem? A jeszcze, zanim do tych pytań dojdzie – jak poszatkować szum na dźwięki, jak wyłuskać obraz z powodzi kolorów, wykroić zdania z potoku słów? Wraz z natężeniem hałasu rośnie próg wrażliwości i każdy następny przekaz musi być głośniejszy od poprzedniego, każdy obraz jaskrawszy, każdy szok dotkliwszy. I tak wciąż po wznoszącej się spirali – aż szum ogłuszy, wizja oslepi, wstrząs sparaliżuje. **Festyn znaczeń kończy się bezsensem – gdy wszystko chce znaczyć, nie znaczy nic „odrobina seksu może cię wyzwolić” – powiada Baudrillard – „ale gdy seks jest wszędzie, nie ma go w ogóle. Uniwersalny dyskurs seksualny unicestwia efekt”. Wewnątrz nasycenia czai się próżnia – zmysłowa, znaczeniowa, emocjonalna.**

W tak skonstruowanym świecie nie ma już miejsca dla pielgrzyma, bo nie ma już celu ostatecznej życiowej wędrówki – „celu nad cele”, celu który wszystkie inne cele przekształca w środki, a wszystkie przystanki życiowe redukuje do roli punktów etapowych. Życie jest w tym świecie, jak i dawniej, wędrówką – ale teraz jest to wędrówka bez wyznaczonego z góry kierunku. Czas jest rzeką bez koryta, potokiem, który żłobi swą trasę płynąc, niepewny zlewiska do którego zmierza. Czas nie jest, jak niegdyś wektorem – jest pędem bez strzałki kierunkowej.

Bardzo trudno oddać charakter ponowoczesności i określić wzory kulturowe życia, które w niej występują. Żadna typologia nie odda chyba cech ponowoczesnego bytu; jest na to ponowoczesność zbyt skomplikowana i za mało spójna. Wymyka się ona wszelkim próbom redukcji – tym właśnie różni się przecież od klasycznej nowoczesności, że nie można się w niej doszukać „stosu pacierzowego”, głębinowej struktury, głównego ogniwa czy wzoru dominującego, a więc takich właśnie składników, których dostrzeganie pozwalała posłużyć się jedną tylko metaforą dla oddania całokształtu życia nowoczesnego. Zamiast jednego trzeba nastawić się w przypadku ponowoczesności na kilka wzorów – nie w tym jednak celu, by oddać różnorodność sposobów życia wybieranych odpowiednio do preferencji osobistych czy grupowych, ale po to, aby ukazać niespójność wewnętrzną sposobu, który jest w warunkach ponowoczesnych udziałem wszystkich ludzi i każdego człowieka z osobna. Wielość typów sygnalizuje analityczną nieczystość bytu, jego niespójność, rozchwianie, chroniczną wieloznaczność, niekonsekwencję, charakterystyczną skłonność do zbierania w jeden nurt wzorów, którym nie łatwo żyć ze sobą w zgodzie (tamże: 18).

Dlatego właśnie tworzy się nowe neutralne pojęcia i terminy upowszechniane w ramach tzw. *political correctness* i wypierające dawniejsze pojęcia, które wiązały się wyraźnie z określonym aksjologicznym i etycznym podłożem.

W ponowoczesnym języku kaleka to „sprawny inaczej”, głupi to „mądry inaczej”, dewiant to „kochający inaczej” lub „o odmiennym orientacji”, przerwanie ciąży to „przywrócenie (wywołanie) miesiączki”, małżonek to „partner seksualny” itp., itd. Są to przykłady na to, jak bardzo relatywizuje się rzeczywistość, jak odbiera się właściwe znaczenie określonym cechom ludzkim lub sytuacjom społecznym, jak bardzo unika się nazywania rzeczy po imieniu, aby uniknąć wartościowania, a unikając wartościowania, nie spoglądać prawdzie w oczy. Narastają więc neutralne oraz mgliste etycznie, społecznie i znaczeniowo określenia. Pojęcie „mąż” i „żona” z natury rzeczy posiadają kontekst etyczny związany z wiernością i wyłącznością. Pojęcie „partner” posiada przede wszystkim kontekst sytuacyjno-utilityarny, a więc zmienny, okazjonalny, egoistyczny i krótkotrwały – jak w interesach.

W podobny sposób dokonuje się etyczno-obyczajowa neutralizacja, a nawet nobilitacja homoseksualizmu poprzez globalizację określenia „gay”. Historia tego określenia doskonale ilustruje proces neutralizacji

aksjologicznej pojęć związanych z aktywnością seksualną człowieka. Jak wiemy, różny był stosunek do homoseksualistów w różnych okresach historycznych i różnych kulturach. W XX w. zarówno w USA jak i w Polsce nie byli oni w zasadzie prześladowani, raczej podlegali społecznej stygmatyzacji i odsunięciu na towarzyski margines. Określani byli potocznie w sposób pejoratywny i pogardliwy jako „pederaści”, „pedały”, „buzeranci”, „cioty” itp. To sprawiało, że starali się nie demonstrować swoich skłonności. Dlatego – w społecznej opinii – nosili pewne przedmioty lub wykonywali gesty pozwalające im na wzajemną identyfikację. Takim przedmiotem miała być pod koniec lat 60. w Polsce saszetka noszona przez mężczyzn, zwana wówczas „pedałówką”.

W Stanach Zjednoczonych homoseksualiści rozpoznawać się mieli wzajemnie po kolorach ubrania. Jeśli ubranie zawierało kolor zielony i żółty, świadczyło o orientacji homoseksualnej. W ulicznym slangu nazywano ich „gay” od pierwszych liter pełnego określenia:

green
and
yellow

Z ulicy określenie to trafiło do prasy brukowej, później do środków masowego przekazu, a pod koniec lat 80. do literatury naukowej. W ten sposób pejoratywne i wartościujące znaczenie wcześniej stosowanych terminów zostało zneutralizowane.

Kilka miesięcy temu w TV polskiej odbywała się dyskusja na temat zalegalizowania związków homoseksualnych, w której występowali młodzi mężczyźni, ich zwolennicy.

Zabierając głos często podkreślali „my, polscy geje”. Prawdopodobnie nigdy nie użyliby zwrotu „my, polskie pedały”, czy „my, polscy buzeranci”.

Pojawia się więc zupełnie nowy język i zupełnie nowe sytuacje dążące do usatysfakcjonowania wszystkich, a tym samym nie satysfakcjonujące nikogo, zatracające za to pierwotny swój sens, znaczenie i wartości. Świadczy o tym poniższy przykład.

Jak donosi Polska Agencja Prasowa za tygodnikiem „Sunday Times”, w sieci londyńskich sklepów Johna Lewisa znalazły się szopki bożonarodzeniowe, spreparowane według zasady *political correctness*, z którymi

właściciel chce trafić do tzw. rodzin niepełnych, a więc matek z dzieckiem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby wśród figurek nie zabrakło św. Józefa, a Trzej Królowie nie byli wymienni w zależności od upodobań rasowych kupującego. Właściciel sieci sklepów sugeruje, że św. Józefem może być jeden z pasterzy, ale ma on kręcone włosy, różowe policzki, chustkę na głowie i przypomina kobietę. Żeby absurd mógł osiągnąć swoją pełną dojrzałość, minister rządu T. Blaira oświadczyła, że w Wielkiej Brytanii, gdzie jest najwyższa liczba rozwodów w Europie, rząd nie powinien propagować małżeństwa, bo dzieci z rodzin niepełnych mogą poczuć się gorsze (za: „Nasz Dziennik” z 20 XII 2000 r. Z biblioteki absurdu).

Dużo obaw muszą też budzić tzw. nowe prawa człowieka oraz poświęcona im konferencja ONZ (5-10 VI 2000) w Nowym Jorku.

Delegaci państw rozwiniętych (głównie Stany Zjednoczone, Kanada i kraje Unii Europejskiej) byli zdecydowani zaakceptować i promować, a nawet przyspieszyć proces przyjęcia tzw. nowych praw człowieka. Do tych praw należą: 1) traktowanie własnej płci jako zjawiska antropologicznie nieokreślonego („gender”), 2) prawo do wyboru własnej orientacji seksualnej, a także do jej zmiany, co implikuje możliwość małżeństw homoseksualnych wraz z prawem do adopcji, 3) prawo do dowolnego kształtowania i interpretowania modelu rodziny (pluralizm modelu rodziny); oprócz rodziny naturalnej byłyby równouprawnione rodziny homoseksualne, rodziny z jednym rodzicem (ojcem lub matką); łączyłoby się z tym prawo do rozstania lub zmiany partnerów; 4) prawo do usług medycznych, zwłaszcza w odniesieniu do kobiety – z tytułu troski o tzw. zdrowie reprodukcyjne; w praktyce chodzi o nieograniczony dostęp do antykoncepcji we wszystkich jej formach oraz o dostęp do aborcji; 5) obowiązkowa edukacja seksualna dla młodzieży, rozumiana w duchu ideologii „gender” i dowolności orientacji seksualnej; łączy się z tym wolność praktyk seksualnych, odrzucenie kontroli ze strony rodziców. Ta formuła przewiduje także łatwy i dyskretny dostęp do antykoncepcji, do aborcji, także w specjalnych klinikach organizowanych ad hoc przy szkołach. Według niektórych sformułowań dopuszcza się pedofilię; 6) wreszcie prawa tzw. pracowników seksualnych, a więc zniesienie zakazu prostytutki, złagodzenie przepisów ograniczających dostęp do pornografii itd.

Wyjaśnić tutaj należy, że termin „gender” (ang. rodzaj) jest pojęciem wysoce neutralizującym aksjologiczne problemy związane z przeznacze-

niem płci. Używany jest w antropologii społecznej i socjologii na określenie płci jako cechy społeczno-kulturowej, nie zaś przede wszystkim biologicznej. Obejmuje on cechy i wyznaczniki zróżnicowania według płci z pominięciem aspektów biologicznych. Oznacza to możliwość samo-określenia własnej płci oraz związanych z tym, społecznych cech, zadań, ról i pozycji.

Skrajne konsekwencje ideologii gender w odniesieniu do rodziny rozważa i prezentuje J. Bajda (2001).

„W przypadku ideologii „gender” mamy do czynienia z dość ścisłą analogią: jakaś nowa siła totalitarna dąży do całkowitego podporządkowania sobie osoby ludzkiej przez poddanie zewnętrznemu sterowaniu całej struktury poznawczej, emocjonalnej i wolitywnej zakorzenionej w płciowej konstytucji bytu ludzkiego. Ta ideologia – i związana z nią praktyka totalnej manipulacji świadomości – dąży do rozbicia i zniszczenia całej duchowej i antropologicznej podstawy identyfikacji człowieka jako ojca, matki, syna, córki, brata, siostry. To zniszczenie tożsamości ludzkiej (człowieczeństwa człowieka!) dokonuje się przez wzajemne przeciwstawienia i rozdzielanie konstytutywnych elementów małżeństwa i rodziny, jakimi są: miłość, będąca nieodwołalnym darem osób – i płodność, jako owocowanie miłości małżeńskiej, skierowanej z istoty swojej ku budowaniu rodziny. W wyniku owej ideologii „gender”, miłość staje się jedynie przelotną rozrywką, poddaną zresztą prawom polityki i ekonomii państwowej, płodność staje się niepotrzebnym dodatkiem i przeszkodą w realizowaniu swoich egoistycznych planów, a konsekwentnie – przemysłem „reprodukcyjnym”, poddanym jedynie kryteriom higienicznym i ekonomicznym. W jednym i drugim przypadku – ciało ludzkie, naznaczone symbolem płciowości, staje się zwykłą rzeczą tego świata, poddaną administracji państwa. Plany poddania państwu całego mechanizmu płodności – a przez to także całej rzeczywistości płci – można znaleźć już w filozofii Platona. Przez XIX wieków cywilizacji chrześcijańskiej małżeństwo było pod pewną ochroną prawa. Ustroje totalitarne XX wieku (geneza tkwi poniekąd w rewolucji francuskiej) uważały za konieczne podjąć plan niszczenia rodziny jako głównego gniazda oporu przeciw totalitaryzmowi. Marzył o takim państwie nie tak dawno Pierre Simon, autor książki „De la vie avant toute chose”. Życie miało być właśnie jedną z „rzeczy”, która podlega wyłącznej kompetencji państwa. Państwo zaś administruje ową „rzeczą” przy pomocy grupy ekspertów wykształconych w zakresie

medycyny i biotechnologii. Miała to być nowa forma ustroju, tzw. medikokracja, gdzie o wszystkim, co dotyczy porządku człowieka, jego „hodowli”, jego przeznaczenia, jego końca (eutanazja) mają decydować owi eksperci. Byłoby to więc państwo bez człowieka, choć działałoby w nim jednostki człowiekopodobne. Szczytowym osiągnięciem tego totalitaryzmu jest zdolność „produkowania” człowieka. Warunkiem jest zniszczenie rodziny, czyli tej struktury duchowej i tego układu osobowego, w którym życie pojawia się jako owoc miłości bezinteresownej i jako dar Stwórcy. Państwo totalitarne nienawidzi miłości, która jest początkiem i celem człowieka; z dokumentu podsumowującego konferencję w Pekinie (1995) słowo „macierzyństwo” zostało po prostu wymazane. Państwo totalitarne zamiast miłości proponuje „seks” pojęty jako towar, jako konsumpcję ciała i jego energii, a także w pewnym sensie – jako nową religię, jako bożka, któremu człowiek oddaje w ofierze swoją wolność, swój honor, swoją godność, zgadzając się na status istot podobnych do czworonogów i płazów (por. Rz. 1,23)” (tamże).

Nie ulega wątpliwości, że rodzina to najbardziej ugruntowana i suwerenna społeczność, wspólnota wyjątkowo odporna na uzależnienia narzucone jej przez systemy ideologiczne. Ona właśnie przez tysiące lat była podstawą kultury, struktury i ładu świata społecznego.

Obecnie we wszystkich futurologicznych programach i wizjach rozwoju społecznego brak w ogóle miejsca na rodzinę i wyrosłe na jej gruncie wartości oraz zasady moralne i odniesienia międzyludzkie. Jest to całkiem nowa i całkiem odmienna wizja życia, w której następuje radykalne odcięcie seksu od wszelkiej relacji do miłości, małżeństwa, wierności, odpowiedzialności rodzicielskiej – słowem – od całej prawdy antropologicznej, która jest zakorzeniona w tajemnicy stworzenia.

LITERATURA

1. Abbot E., A History of Celibacy, Toronto 1999
2. Adamski F., Modele małżeństwa i rodziny a kultura masowa, Warszawa 1970
3. Adamski F., Socjologia małżeństwa i rodziny, Warszawa 1982
4. Adamski F., Rodzina. Wymiar społeczno-kulturowy, Kraków 2002
5. Aleksandrowicz A., Niezwykłe dzieje antykoncepcji. „Claudia” 3 (107), 2002
6. Antoine P., Sens płciowości i poszukiwanie etyki, [w:] K.W. Meissner (red.), Natura, kultura, płć, Kraków 1969
7. Aries E., Historia dzieciństwa, Gdańsk 1995
8. Bajda J., Ku integralnej teologii rodziny, *Studia Theol. Vars.* 14/1, 1976
9. Bajda J., Wojna demograficzna, „Nasz Dziennik” 2 IV 2001
10. Bajda J., Inwazja niemoralności: nowa krucjata?, „Nasz Dziennik” 10 VII 2001
11. Barańska Z., Rodzina w ludowych przysłowiacz i pieśniach, [w:] J. Komorowska (red.), Przemiany rodziny polskiej, Warszawa 1975
12. Barbaro B., Wprowadzenie do systemowego rozumienia rodziny, Kraków 1994
13. Barcz M., Gdy miłość nie przychodzi, „Elle” nr 7, lipiec 2001
14. Barcz M., Nie będę mamą?, „Elle” nr 11, listopad 2001
15. Bastide R., Rzeczywistość płci u ludów pierwotnych, [w:] K.W. Meissner (red.), Natura, kultura, płć, Kraków 1969
16. Bauman Z., Zarys socjologii, Warszawa 1963
17. Bauman Z., Ponowoczesne wzory osobowe, „Studia Socjologiczne” nr 2 (129) 1993
18. Backer H., Barnes H.E., Rozwój myśli społecznej od wiedzy ludowej do socjologii, cz. I i II, Warszawa 1964
19. Boy-Żeleński T., Pieśń o mowie naszej, Słówka, Kraków 1971
20. Bystroń J.S., Dzieje obyczajów w dawnej Polsce, Warszawa 1960
21. Celmer Z., Markowska D., Gdy zabrzmi marsz Mendelzona, Warszawa 1977
22. Chałubiński M., Trybusiewicz J., 500 zagadek socjologicznych, Warszawa 1976
23. Chechliński W., Kohabitacja jako nowe zjawisko życia rodzinnego, [w:] A. Kwak, M. Ziemska (red.), Funkcjonowanie rodziny a problemy profilaktyki społecznej i resocjalizacji, Warszawa 1982
24. D’Ascanio, Cywilizacja Śmierci, Lublin 2000
25. Dębowski J., Kościół i feminizm, „Problemy Rodziny” nr 1, 1992
26. Dobrowolski K., Studia nad życiem społecznym i kulturą, Wrocław 1966
27. Dodziuk-Lityńska A., Markowska D., Współczesne rodziny w Polsce, Warszawa 1975

28. Drożdżowicz L. Ogólna teoria systemów. [w:] B. Barbaro (red.), Wprowadzenie do systemowego rozumienia rodziny, Kraków 1994
29. Dryll I., My, nasz dom, rodzina, Warszawa 1980
30. Dyczewski L., Więź pokoleń w rodzinie, Warszawa 1976
31. Dyczewski L., Rodzina polska i kierunki jej przemian, Warszawa 1981
32. Dyczewski L., Rodzina, społeczeństwo, państwo, Lublin 1994
33. Engels F., Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa, [w:] K. Marks i F. Engels, Dzieła Wybrane, t. II, Warszawa 1949
34. Firkowska-Mankiewicz A., Rodzina a zdrowie i choroba, [w:] Z. Tyszka (red.), Rodziny polskie u progu lat dziewięćdziesiątych, Poznań 1991
35. Frankowska A., Cztery wesela i rozwód, „Elle” nr 6, czerwiec 1999
36. Freyberg E., Socjologia w równaniach, „Wiedza i Życie” nr 3 1993
37. Frieske K., Dewiacje społeczne, [w:] Z. Krawczyk, W. Morawski (red.), Socjologia. Problemy podstawowe, Warszawa 1991
38. Goodman N., Wstęp do socjologii, Warszawa 1977
39. Giza-Poleszczuk A., Rodzina i system społeczny, „Studia Socjologiczne” 2 (129), 1993
40. Gogacz M., Metafizyczne ujęcia rodziny, [w:] A. Podsiad, A. Szafrąńska (red.), Spojrzenia na współczesną rodzinę w Polsce w kontekście wskazań soborowych, Warszawa 1981
41. Gołębiowski B., Osobotwórcza, niezastąpiona, [w:] A. Cwynar (red.), Rodzina socjalistyczna – a więc jaka?, Warszawa 1976
42. Górski A., Czystość a wydajność, „Polityka”, 49, z 2 XII 2000
43. Grzywak-Kaczyńska M., Słowo wstępne, [w:] M. Grzywacz-Kaczyńska (red.), Erotyka w aspekcie zdrowia psychicznego, Warszawa 1973
44. Grzywak-Kaczyńska M., Erotyka a rozwój osobowości, [w:] M. Grzywacz-Kaczyńska (red.), Erotyka w aspekcie zdrowia psychicznego, Warszawa 1973
45. Holzer J., Demografia, wyd. IV, Warszawa 1994
46. Jakubczak F., Tradycyjne i nowoczesne poglądy na planowanie rodziny wiejskiej, „Wiś Współczesna” nr 3, 1966
47. Jan Paweł II, O małżeństwie i rodzinie, Warszawa 1983
48. Jan Paweł II, Rodzina wspólnotą życia i miłości, „L'Osservatore Romano”, wyd. pol. nr 7, 1997
49. Jan Paweł II, Przemówienie z 27 sierpnia, „L'Osservatore Romano”, nr 11, 1997
50. Jankowska M., A jednak mi żal, „Elle” nr 10, 2000
51. Jarosz M., Samobójstwa, Warszawa 1997

52. Jarosz M., *Oblicza prywatyzacji*. [w:] M. Jarosz (red.), *Manowce polskiej prywatyzacji*. Warszawa 2001
53. Jaszczyńska T., *Poczucie zagrożenia rodziny końca XX wieku oraz jego stereotypowe i socjologiczne uwarunkowania*, praca magisterska napisana pod kier. L. Kocika, Biblioteka IS UJ, Kraków 2000
54. Jeanniere A., *Zróżnicowanie płciowe. Prawo a pożądanie*. [w:] K.W. Meissner (red.), *Natura, kultura, płęć*. Kraków 1969
55. Jessel D., Moir A., *Płęć mózgu. O prawdziwej różnicy między mężczyzną a kobietą*. Warszawa 1998
56. Johnson P., *Intelektualiści*. Warszawa 1988
57. Józefik B., *Strategie rodzinne*. [w] B. Barbaro (red.), *Wprowadzenie do systemowego rozumienia rodziny*. Kraków 1994
58. Kałużyński Z., *Duch zezwierzęcony. Filmowy konflikt świadomości z systemem rozplodowym*. „Polityka” nr 49 z 8 XII 2001
59. Kapiszewski A., *Stereotyp Amerykanów polskiego pochodzenia*. Wrocław 1978
60. Kempny M., *Globalizacja*. [w:] Kwaśniewicz i inni (red.), *Encyklopedia Socjologii*. Warszawa 1998
61. Kłoskowska A., *Rodzina w Polsce Ludowej*. [w:] A. Sarapata (red.), *Przemiany społeczne w Polsce Ludowej*. Warszawa 1965
62. Knotz K., *Akt małżeński*. Kraków 2001
63. Kocik L., *Koncepcja dysharmonii kulturowej Kazimierza Dobrowolskiego*. [w:] W. Bienkowski, W. Kwaśniewicz (red.), *Kazimierz Dobrowolski – człowiek i uczoney*. Kraków 1994
64. Kocik L., *Między przyrodą, zagrodą i społeczeństwem*. Kraków 2000
65. Koczerska M., *Rodzina szlachecka w Polsce późnego średniowiecza*. Warszawa 1975
66. Kołakowski L., *O sprawie seksu. Mini wykłady o maxi-sprawach*. Seria II, Kraków 2000
67. Konarzewska W., *Embriony nowego wspaniałego świata*. „Polityka” z 20 VII 1985
68. Kornas-Biela D. (red.), *Rodzina: źródło życia i szkoła miłości*. Lublin 2001
69. Kotlarska-Michalska A., *Zakres funkcji opiekuńczo-zabezpieczającej rodziny*. [w:] „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”, zeszyt 1, 1985
70. Kotlarska-Michalska A., *Sposoby pojmowania istoty funkcji rodziny*. [w:] „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”, zeszyt 2, 1990
71. Kotowska I. (red.), *Przemiany demograficzne w Polsce w latach 90-tych w świetle drugiego przejścia demograficznego*. Warszawa 1999

72. Kozakiewicz M., Miejsce rodziny w ogólnospołecznym systemie wychowania, [w:] J. Piotrowski (red.), Wybrane problemy socjalistycznej rodziny, Warszawa 1978
73. Kryczka P. (red) Rodzina w zmieniającym się społeczeństwie, Lublin 1997
74. Krzemiński A., Miłość półfrancuska, „Polityka” nr 3 (2333), 2002
75. Kuchowicz Z., Obyczaje staropolskie XVII-XVIII wieku, Łódź 1975
76. Kukolowicz T., Rodzina w procesie uspołeczniania dziecka, Lublin 1973
77. Kurkiewicz J., Modele dynamiki dzietności teoretycznej w wybranych krajach europejskich, „Studia Demograficzne” 3/129, 1997
78. Kurzynowski A., (red.) Rodzina w okresie transformacji systemowej, Warszawa 1995
79. Kwak A., Rodzina i jej przemiany, Warszawa 1994
80. Leczkowicz-Baczyńska Z., Funkcja opiekuńczo-zabezpieczająca rodzin dzieci niepełnosprawnych, praca doktorska napisana pod kier. A. Kotlarskiej-Michalskiej, Archiwum IS UAM, Poznań 1996
81. Leśniak A., Eutanazja, „Nasz Dziennik” nr 6-7, I 2001
82. Lew Starowicz Z., Współżycie seksualne jako wyraz miłości, [w:] M. Grzywacz-Kaczyńska (red.), Erotyka w aspekcie zdrowia psychicznego, Warszawa 1973
83. Lew Starowicz Z., Małżeństwo i religia, „Tygodnik Kulturalny”, nr 24, z 16 VI 1985
84. Lew Starowicz Z., Czy cnota jest na wagę złota?, „Twój Styl” nr 11 z XI 1998
85. Lovell M., „Bara-bara” czyli referat Prezesa, „Echo Krakowa” z 11-13 I 1985
86. Łoziński W., 1974: Życie polskie w dawnych wiekach, Kraków 1985
87. Majkowski W., Czynniki dezorganizacyjne współczesnej rodziny polskiej, Kraków 1997
88. Małewska H., 1969: Kulturowe i psychospołeczne determinanty życia seksualnego, Warszawa 1985
89. Mariański J., Religia i Kościół między tradycją i ponowoczesnością, Kraków 1997
90. Mariański J., Kryzys moralny czy transformacja wartości, Lublin 2001
91. Marody M., Rodzina wielorodzinna (wywiad), Magazyn Gazety Wyborczej z 10 VIII 2000
92. Mazur M., Małżeństwo na słowo, „Wprost” nr 48 z 1 XII 1996
93. Mądrzycki T., Deformacje w postrzeganiu ludzi, Warszawa 1986
94. Merton R.K., Teoria socjologiczna i struktura społeczna, Warszawa 1982
95. Murdock G.P., Social Structure, London 1949
96. Mysłakowski Z., Rodzina wiejska jako środowisko wychowawcze, Warszawa 1931
97. Neugebauer K., Społeczno-obyczajowe uwarunkowania sztucznych poronień, [w:] M. Kozakiewicz (red.), Pro i kontra w planowaniu rodziny i wychowaniu seksualnym, Warszawa 1989

98. Niewiadomska I., Rodzice i dzieci: jak mogą pomagać sobie nawzajem w sytuacjach trudnych. [w:] D. Kornas-Biela (red.), Rodzina, źródło życia i szkoła miłości. Łublin 2001
99. Nowakowska R., Manto, „Polityka” nr 46 z 15 XI 1997
100. Nowakowska E., Dłaczego Polki nie chcą dzieci, „Polityka” nr 7 z 14 II 1998
101. Olszewska-Ładyka A., Rodzina, Warszawa 1964
102. Orzeszkowa E., O kobiecie, Warszawa 1891
103. Ossowski S., O strukturze społecznej, Warszawa 1982
104. Ozorowski E. (red.), Słownik małżeństwa i rodziny, Warszawa-Łomianki 1999
105. Paleczny T., Sekty. W poszukiwaniu utraconego raju, Kraków 1998
106. Pałubicki W., Iluk J., Małżeństwo i rodzina w dawnym judaizmie i starożytnym chrześcijaństwie, Gdańsk 1995
107. Papużyńska M., Pierwsze dziecko naszej ery, Magazyn Gazety Wyborczej, z 2 VI 1999
108. Pawłowicz B., Bezdzielni w konspiracji, „Elle” nr 2 II 2000
109. Pietkiewicz B., Panny, wdowy i rozwódki, „Polityka” nr 23 z 8 VI 1996
110. Pietkiewicz B., Sam na sam, „Polityka” nr 23 z 3 VI 2000
111. Pietkiewicz B., Geny niewierności, „Polityka” nr 7 z 17 II 2001
112. Pietkiewicz B., Stary bez pary, „Polityka” nr 30 z 25 VIII, 2001
113. Placek S., Bocian M., Okruchy chleba. Antologia polskiej liryki z motywem chleba, Wrocław 1992
114. Podgórska J., Wilk E., Damy pochopne, huzary niemrawe, „Polityka” nr 50 z 9 XII 2000
115. Podgórska J., Trudno być matką, jeszcze trudniej nie być, „Polityka” nr 21 z 26 V 2001
116. Podgórska J., Co począć. Raport o aborcji, „Polityka” nr 4 z 26 I 2002
117. Póltawska W., Plciowość jako dar i zadanie, [w:] S. Kornas-Biela (red.), Rodzina: źródło życia i szkoła miłości. Łublin 2001
118. Ranke-Heinemann., Eunuchy do raju, Gdynia 1995
119. Ritzer G., Mcdonaldyzacja społeczeństwa, Warszawa 1997
120. Rodan A., Życie seksualne Polaków. Raport, Warszawa 2000
121. Rosset E., Rozwody, Warszawa 1986
122. Sanders K., Stanford P., Katolicy i seks, Warszawa 1996
123. Schaff A., Stereotypy a działania ludzkie, Warszawa 1981
124. Siciński A., O idei domu i jego roli w Polsce, [w:] P. Łukasiewicz, A. Siciński (red.), Dom we współczesnej Polsce, Wrocław 1992

125. Skąpska G., Ziółkowski M., Instytucja społeczna, [w:] W. Kwaśniewicz i in. (red.), Encyklopedia Socjologii, Warszawa 1998
126. Skrzydlewski W., Etyka seksualna. Przemiany i perspektywy, Kraków 1999
127. Skrzydlewski W., Seks, wolność i miłość, Kraków 2001
128. Slany K., Demograficzne i psychologiczno-społeczne uwarunkowania postaw i zachowań prokreacyjnych rodzin w środowisku wielkomiejskim. Praca doktorska, archiwum IS UJ, Kraków 1986
129. Slany K., Kohabitacja w Polsce w świetle danych mikrospisu. Komunikat z badań, „Studia Demograficzne” (w druku) 2002
130. Slipko A., Granice życia, Kraków 1994
131. Sosnowska A., Młode, ambitne, dlaczego samotne? „Madame Figaro”, nr 1, V 2001
132. Spirago F., Katechizm ludowy (tłum. z włoskiego), Mikołów 1927
133. Stasiak H., Kształty i wnętrza rodziny, Warszawa 1975
134. Strojnowski J., Eros i człowiek, Kraków 1976
135. Szacki J., Historia myśli socjologicznej, cz. I i II, Warszawa 1983
136. Szczepański J., Socjologia. Rozwój problematyki i metod, Warszawa 1961
137. Szczepański J., Elementarne pojęcia socjologii, Warszawa 1970
138. Szczepański J., Sprawy ludzkie, Warszawa 1980
139. Szczurkiewicz T., Rodzina w świetle etnosocjologii, [w:] T. Szczurkiewicz, Studia Socjologiczne, Warszawa 1969
140. Szymanek P., Małżeństwo z roczną gwarancją, „Cosmopolitan” 11 (31), 1999
141. Szymborski K., Panom dziękujemy, „Polityka” nr 1 z 5 I 2002
142. Tazbir J., Stosunek do dziecka w okresie staropolskim, [w:] „Problemy opiekuńczo-wychowawcze” nr 3, 1995
143. Teresińska M., Pokolenie zwane Dinks, „Polityka” nr 11 z 15 III 1997
144. Thomas W., Znaniecki F., Chłop polski w Europie i Ameryce, t. I, Warszawa 1976
145. Toffler A., Trzecia fala, Warszawa 1986
146. Toffler A., Szok przyszłości, Poznań 1998
147. Trawińska M., Modele małżeństwa i rodziny w materiałach autobiograficznych, „Więć Współczesna” nr 1, 1967
148. Trawińska M., Bariery małżeńskiego sukcesu, Warszawa 1980
149. Trawińska M., Nadwyrżone więzi, „Tygodnik Kulturalny” nr 3 z 20 I 1980
150. Tryfan B., Pozycja społeczna kobiety wiejskiej, Warszawa 1968
151. Turowski J., Teoria indywidualizacji rodziny małej i autonomizacji jednostki w świetle polskich badań socjologicznych, „Studia Socjologiczne” nr 3, 1972

152. Turowski J., Struktura i funkcje rodziny a teoria rodziny nuklearnej, [w:] J. Komorowska (red.), Przemiany rodziny polskiej, Warszawa 1972
153. Tymicki K., Starokawalerstwo i staropanieństwo. Analiza zjawiska, „Studia Socjologiczne” nr 4 (163) 2001
154. Tyszka Z., Przeobrażenia rodziny robotniczej w warunkach uprzemysłowienia i urbanizacji, Warszawa 1970
155. Tyszka Z., Socjologia rodziny, Warszawa 1979
156. Tyszka Z., Socjologiczny punkt widzenia w badaniach nad rodziną, [w:] Z. Tyszka (red.), Metodologiczne problemy badań nad rodziną, Poznań 1980
157. Tyszka Z., Z metodologii badań socjologicznych nad rodziną, Bydgoszcz 1988
158. Tyszkowa M., Badania psychologiczne wewnątrzrodzinnej socjalizacji. Implikacje praktyczne, [w:] Z. Tyszka (red.), Badania nad rodziną a praktyka społeczna, Poznań 1991
159. Urbanek M., Dorosłym wstęp wzbroniony, „Polityka” nr 50 z 9 XII 2000
160. Veyne P., Cesarstwo rzymskie, Wrocław 1988
161. Wachowiak A., Socjologia rodziny w Polsce: narodziny i rozwój, Poznań 1996
162. Wasilkowska Z., Kodeks rodzinny wychowuje i broni, [w:] B. Kosterkiewicz (red.), Rodzina socjalistyczna, a więc jaka?, Warszawa 1976
163. Węzowicz-Ziółkowska D., Miłość ludowa, Wrocław 1991
164. Wiatr J.J., Czy zmierzch ery ideologii, Warszawa 1968
165. Wiatr J.J., Społeczeństwo, Warszawa 1977
166. Wielgus S., Rodzina wobec współczesnych zagrożeń, [w:] D. Kornas-Biela (red.), Rodzina: źródło życia i szkoła miłości, Lublin 2001
167. Winclawski W., Przemiany środowiska wychowawczego wsi peryferyjnej. Studium wioski Ciche Górne powiatu nowotarskiego, Wrocław 1971
168. Winclawski W., Przemiany środowiska wychowawczego w rejonie uprzemysławianym, Warszawa 1976
169. Zawadzka M., Amerykańska zabawa w seks, „Newsweek” nr 9 (12), 2001
170. Ziemska M., Rodzina i dziecko, Warszawa 1979
171. Ziemska M., Rodzina a osobowość, Warszawa 1979
172. Znamierowski Cz., O małżeństwie, Warszawa 1958
173. Żywno J., Przemiany instytucjonalnego kształtu rodziny w świetle literatury przedmiotu oraz badań socjologicznych, praca magisterska napisana pod kierunkiem L. Kocika, Biblioteka IS UJ, Kraków 1997

